

JACK McDEVITT

K/IEŻYCA

W SERII „KOSMICZNY RODZYNEK”

UKAZAŁY SIĘ M.IN.:

Eugeniusz Dębski „Planeta Anioła Stróża” Leonid Kudriawcew „Polowanie na Quacka” Marek Oramus „Arsenał” Mirosław P. Jabłoński „Duch Czasu” Marek Oramus „Rozmyślania nad tlenem” Marek Oramus „Rewolucja z dostawą na miejsce” Stefan Otceten „Przechowalnia” Marcin Wolski „The Bestiarium” Leonid Kudriawcew „Prawo metamorfa” Antologia polskiej SF „Wizje alternatywne 3” Frederik Pohl „Gateway - brama do gwiazd” Frederik Pohl „Za błękitnym horyzontem zdarzeń” Frederik Pohl „Spotkanie z Heechami” Frederik Pohl „Kroniki Heechów” Brian W. Aldiss „Malacjański gobelin” Kir Bułyczow „Pieriestrojka w Wielkim Guslarze”

W PRZYGOTOWANIU:

C.J. Cherryh „Cyteen” t. 1-3 HUGO 1988
Gordon R. Dickson „Encyklopedia Ostateczna” Jack McDevitt „Plaża nieskończoności” Kir Bułyczow „Zamach na Tezeusza” Brian W. Aldiss „Siwobrody” Pat Cadigan „Synners” Antologia polskiej fantastyki „Wizje alternatywne 4”

JACK McDEVITT

**ZAGŁAD
A
KILĘŻYCA**

Przełożył
Jarosław Cieśla

Olsztyn 2002

„Zagłada Księżyca” Tytuł
oryginału „*Moonfall*”

Copyright © 1998 by Cryptic, Inc.
All Rights Reserved
Copyright © for the Polish translation by
Jarosław Cieśla

ISBN 83-88431-37-4

^{Vv} Projekt graficzny serii *Tomasz Wencek*
Projekt i opracowanie graficzne okładki
Dariusz Jasiczak
Redaktor serii *Wojtek Sedenko*
Korekta *Bożena Mołdoch*
Skład *Tadeusz Meszko*

Wydanie I

Agencja „Solans
Małgorzata Piasecka
ul. Generała Okulickiego 9/1, 10-693 Olsztyn
tel/fax. (0-89) 541-31-17
f-mail: apk-solaris@poczta.wp.pl
www.solaris.net.pl

Dla Frań i Briana Cole Desperados z Clearwater

Podziękowania

Jestem niezmiernie wdzięczny za pomoc, porady i podtrzymywanie mnie na duchu, czym obdarzyli mnie: Franklin R. Chang-Diaz z Centrum Kosmicznego im. Lyndona B. Johnsona (Lyndon B. Johnson Space Center); Ted Dunham i Bruce Koehn z Obserwatorium Lowella (Lowell Observatory); Terry Gipson z Centrum Naukowego St. Louis (St. Louis Science Center); Sergei Pershman z Uniwersytetu Pensylwanii (University of Pennsylvania); Eileen Ryan z Obserwatorium Narodowego Kitt Peak (Kitt Peak National Observatory); Jim Sharp, były pracownik Smithsonianskiego Muzeum Lotnictwa i Kosmonautyki (Smithsonian Air & Space Museum); George Tindle z Urzędu Celnego USA (U.S. Customs Service) oraz Judith A. Tyner z Uniwersytetu Stanu Kalifornia w Long Beach (California State University, Long Beach).

Tekst ten zyskał też wiele dzięki przewodnictwu Fre-da Espenaka z Ośrodka Goddarda NASA (NASA Goddard), tak osobistemu jak i za pośrednictwem jego znakomitej książki „Fifty Year Cannon of Solar Eclipses: 1986-2035” („Zaćmienia Słońca w latach 1986-2035”) wydanej w 1988 przez Sky Publishing Corp., Cambridge, MA. Składam też serdeczne podziękowania Benowi « Bova za pozwolenie wykorzystania jego wersji Bazy Księżycowej, której szczegóły zostały zaczerpnięte przede wszystkim z jego książki „Wellcome to Moonbase” („Witajcie w *Bazie* Księżycowej”) wydanej w 1987 roku przez Ballantine Books.

W trakcie tworzenia tej książki Geoff Chester z Obserwatorium Marynarki USA (U.S. Naval Observatory) i pisarz science fiction Walt Curlie z Seminarium im. Isaaca Asimova (Isaac Asimov Seminar) byli obiektami

bezustannych prześladowań. Znieśli to z ogromną cierpliwością i, mam nadzieję, wciąż jeszcze odzywają się do mnie.

Maureen McDevitt pomogła w tworzeniu licznych wersji manuskryptu a Caitlin Blasdell z wydawnictwa HarperPrism służyła swoją zazwyczaj bardzo słuszną oceną. Dziękuję również Dolores Dwyer za pomoc edytorską.

Ron Pfeiffer współpracował ze mną przy tworzeniu fragmentów związanych z działalnością Straży Przybrzeżnej (Coast Guard) a Lewis Shiner dostarczył przezroczystą taśmę samoprzylepną.

O wiele lepiej jest ważyć się na rzeczy wielkie, dążąc do najwspanialszych triumfów, nawet skażonych niepowodzeniami, niż pozostawać wśród tych nieszczęsnych dusz, którym nigdy nie jest dana ani ogromna radość ani ogromne cierpienie, jako że żyją w szarym cieniu nie znającym ani zwycięstwa ani porażki.

- Theodore Roosevelt

Rozdział pierwszy

Całkowite zaćmienie

Poniedziałek, 8 kwietnia 2024

1.

**Statek wycieczkowy „Merrivale”, wschodni Pacyfik.
5:21 czasu strefowego (9:21 letniego czasu wschodnioamerykańskiego EDT).**

„Merrivale” płynął do Honolulu. W chwili gdy zaczynało się zaćmienie słońca mijały cztery dni od jego wypłynięcia z Los Angeles. Tylko nieliczni pasażerowie wyszli na pokład oglądać to zjawisko. Lecz Horace Brickmann, który zapłacił za rejs poważną sumę, chciał by Amy uważała go za człowieka o szerokich zainteresowaniach naukowych i artystycznych.

- Tak - powiedział jej wczoraj wieczorem, kiedy stali koło łodzi ratunkowych słuchając monotonnego dudnienia silników statku i przyglądając się jak odkosy dziobowe odpływają w mrok - całkowite zaćmienie słońca. Nie mogę go przegapić. Prawdę mówiąc, dlatego udałem się w ten rejs.

Kiedy zauważyła, że pas widoczności zaćmienia przechodzi w poprzek dużej części Stanów Zjednoczonych, szybko odrzekł, że to nie to samo.

Zasugerowała, że też chciałaby je zobaczyć. W świetle gwiazd Amy wyglądała prześlicznie, serce biło mu mocno, przywodząc na myśl wspomnienia z czasów, gdy miał dwadzieścia parę lat, okresu, który pamiętał jako

pełen romantyzmu i namiętności. Miał wrażenie, że w młodości to on kończył różne romanse, łamiąc kobietom serca, że w owym czasie nie był gotów do poważnego związku. Lecz nadal zdarzały mu się chwile, gdy budził się w nocy żałując tej czy innej utraconej kochanki. Czasami zastanawiał się gdzie teraz są i jak sobie radzą.

Był to dziwny świt, słońce i księżyc razem, w chłodnym, szarym uścisku. Ocean zrobił się niespokojny, a Horace siedział na leżaku popijając gorącą kawę, zastanawiając się co zatrzymuje Amy. Obciągnął wełniany sweter na brzuchu i przypomniał sam sobie, że obserwowanie zjawiska gołym okiem jest niebezpieczne. Większość rannych ptaszków przyniosła koce, ale Horace chciał sprawiać wrażenie człowieka z fantazją i koc do tego nie pasował.

Ku jego konsternacji, gadatliwy bankier, którego spotkał poprzedniego dnia, pojawił się przed nim i powitał go z taką wesołością, jakiej okazywanie tak wcześnie rano zawsze jest irytujące, po czym usiadł na sąsiednim leżaku.

- To wspaniałe doświadczenie - oświadczył, zerkając mniej więcej w kierunku zaćmienia, wyciągając jednocześnie z kieszeni niebieskiego, marynarskiego bledera złożony egzemplarz Wall Street Journal. Usiłował czytać gazetę w słabym, szarym świetle, ale dał za wygraną i upuścił ją na kolana.

Zaczął gadać o surowcach, obligacjach i stosunku płać do cen. Horace omiół wzrokiem niemal pusty pokład. Przy relingu stał starszy mężczyzna oglądający zaćmienie przez okulary przeciwsłoneczne. Podszedł do niego steward i zaoferował jeden z przyrządów obserwacyjnych rozdawanych przez obsługę. Horace był za daleko by usłyszeć rozmowę, spostrzegł jednak irytację pasażera, który w końcu przyjął przedmiot, odczekał aż steward się odwróci i wrzucił niechcianą rzecz do kieszeni, by powrócić do obserwacji słońca. Bankier gadał dalej, pełen obaw, że rząd federalny znów podniesie stopy procentową.

Zaczynało coraz mocniej wiać.

Steward podszedł do Horace'a i bankiera, podając im przyrządy do oglądania.

- Lepiej, żeby panowie nie patrzyli na zaćmienie gołym okiem - powiedział.

Horace wziął jeden. Była to niebieska, plastikowa rura, o średnicy mniej więcej piętnastu centymetrów, z przyczepioną z jednej strony cynfolią.

- Proszę skierować rurę na zaćmienie - ciągnął steward, - a na folii pojawi się rzutowany obraz słońca. Będzie pan mógł bezpiecznie obserwować wszystko.

Na rurze umieszczono profil i nazwę statku. Horace podziękował.

Amy spóźniła się już dwadzieścia minut, ale musiała opiekować się ośmioletnią córką, więc każde spotkanie było dość nieprzewidywalne.

Nagle zdał sobie sprawę, że bankier zadał mu jakieś pytanie.

- Przepraszam - usprawiedliwił się. - Byłem myślał mi gdzie indziej.

- Nie ma sprawy, wiem jak to jest.

Jego rozmówca był w średnim wieku. Włosy miał czarne jak pasta do butów, a leżak protestował przy każdym jego poruszeniu.

Głęboki zmierzch zapadł nad statkiem. Bankier odchrząknął i rzucił okiem na zegarek. Musiał unieść rękę i na szkiełku przez moment błysnęło odbicie luku. Sprawiało to wrażenie, jakby sprawdzając czas kontrolował całe zdarzenie. Ostatki szarego blasku znikły z nieba i pojawiła się korona, biała i posępna. Do Horace'a dobiegały pełne podziwu wypowiedzi i głębokie westchnienia.

Pojawiły się gwiazdy, ocean znikł w mroku.

- Wspaniała rzecz, natura - powiedział bankier.

- Piękna.

Horace wymamrotał coś odpowiedniego.

W ciągu mniej więcej godziny zjawisko zakończyło się, cień księżycy powędrował dalej a bankier udał się na śniadanie. Amy nie pojawiła się, a „Merrivale” sunął przez wciąż szare, niespokojne morze.

Horace długo jeszcze siedział na leżaku. Wilgotny chłód niepostrzeżenie przesączył mu się pod ubranie. Później, wędrując po pokładzie, zobaczył Amy siedzącą z córką w liczniejszym towarzystwie przy stole w jadalni. Pograżona była w ożywionej rozmowie z mężczyzną, którego Horace widział wczoraj skaczącego z wieży. Zatrzymał się na chwilę, lecz ani na moment nie podniosła wzroku.

Zupełnie jakby cień, który ogarnął statek, dotknął samego serca świata.

Stacja Kosmiczna LI, sterownia "*Percivala Lowella*". 8:03.

Zawsze wiadano, że kanały to bzdura, że sieć przecinających się linii widziana przez "*Percivala Lowella*" oraz obszary ciemniejące latem, po nasączeniu wodą, to tylko ułuda. Adams i Dunham, w 1933, zanim ja się urodziłem, wykazali, że zawartość tlenu w atmosferze Marsa stanowi mniej niż jedną dziesiątą procenta jego stężenia na Ziemi. To powinno wystarczyć. Jednak ludzie wciąż mieli nadzieję, nawet gdy w latach sześćdziesiątych byłem w szkole średniej. Do chwili, gdy tuż po Święcie Dziękczynienia 1964 roku Mariner 4 przysłał te koszarne zdjęcia i wtedy zrozumieliśmy, że widzimy koniec mitu kanałów.

Dziadek Rachel Quinn chciał zostać astronomem, lecz poszedł na niewłaściwą uczelnię, bo była blisko i tania. Musiał studiować to, co było tam dostępne i w jakiś sposób skończył jako księgowy. Lecz miał wspinały teleskop, przez który Rachel oglądała księżycy Jowisza, demoniczną gwiazdę - Algola i Wielką Kometę w roku 2011. Ona też bardzo żałowała, że na Marsie nie ma kanałów.

Ostatnio, w trakcie przygotowań do startu, często przychodziło jej to na myśl. *Jakże* inna byłaby to wyprawa, gdyby ktoś czekał po drugiej stronie. „Witamy, ludzie z Ziemi”. No cóż, na Marsie istnieją prymitywne formy biologiczne, lecz nic, co mogłoby zauważyć jej przybycie.

Zastanawiała się, dlaczego pragnienie znalezienia innych istot wśród światła na niebie jest tak silne. Wła-

ściwie to było ono tak głęboko zakorzenione, że nikt nigdy nie spostrzegł, iż samotni bylibyśmy o wiele bardziej bezpieczni.

Start miał nastąpić za dwadzieścia dwa dni. Blask słońca wpadał przez okna i lśnił na srebrnym dziobie „*Lowella*”. Znajdowali się na stacji Lagrange Jeden, powszechnie znanej jako L1, zawieszanej pomiędzy Ziemią i Księżycem, pięćdziesiąt osiem tysięcy kilometrów ponad powierzchnią ziemskiego satelity. Byli gotowi do odlotu. Reaktor atomowy statku został przetestowany na pustyni Mojave i na orbicie wokółksiężycowej; w systemy nawigacyjne wpisano wytyczony kurs na Marsa; sprzęt pomiarowy został załadowany; części zapasowe spoczywały w pokładowych magazynach i biblioteka wideo też była na miejscu. Jeden z techników zaprogramował obwody kontrolne tak, by codziennie rano zadawały Rachel kolejny wariant pytania „Czy już czas?”.

NASA poprosiła dzieci z całego świata o zaproponowanie nazwy dla nuklearnego statku, który miał wyruszyć na Marsa. Nagrodą dla zwycięzcy konkursu były: wycieczka na L1, pamiątkowe zdjęcie z sześcioposobową załogą i możliwość obserwacji startu z bliska. Napłynęły setki tysięcy propozycji, nazwy we wszystkich językach Ziemi. Cała armia sekretarzy, młodszych asystentów i stażystów przeglądała ten zalew listów, wynajdując nazwy, które mogły mieć w opinii jury cechy oryginalności lub atrakcyjności. Krążyły plotki o animozjach i impasie, jeden z sędziów naprawdę zrezygnował z funkcji, lecz w końcu komisja wybrała nazwę „*Percival Lowell*”.

W nazwaniu marsjańskiego statku imieniem człowieka, który tak dogłębnie się mylił i tkwił w błędzie do samej śmierci, tkwiło ziarno ironii.

- Ale on marzył - powiedział zwycięzca - w imieniu nas wszystkich. Bez niego nie byłoby Barsoom ani Kronik marsjańskich. Nieodparte pragnienie pchające nas w przestrzeń narodziło się wraz z „*Percivalem Lowellem*”.

To powiedzenie utkwiło Rachel w pamięci. Nie zgadzała się z nim, ale nie potrafiła też znaleźć wystarczająco mocnych argumentów przeciwko.

Dzieciak pochodził z Chin, był uczniem szkoły średniej w Kantonie i za dwa tygodnie miał przylecieć razem z resztą załogi. Jak dotychczas oprócz niej na pokładzie znajdował się tylko geolog Lee Cochran.

Rachel niewiele obchodziło jaka nazwa zostanie umieszczona na kadłubie, byle tylko statek był zdolny do lotu. A po raz pierwszy w historii jej styczości z rządowymi projektami wszystko zdawało się przebiegać tak sprawnie, że jeszcze zostawała rezerwa czasowa.

„Lowell” składał się z długiego trzonu, na jednym końcu którego umieszczono pomieszczenia załogi i sterownię, na drugim silniki jądrowe. Pokłady załogowe, oprócz sterowni, mogły się obracać dając pozorne ciężenie 0.07 g. Było to za mało, by zapewnić wygodną podróż, lecz dość blisko warunków panujących na stacji i stanowiło prawie połowę ciężenia księżycowego. Pod brzuchem statku przymocowano ładownik. Z kadłuba wystawały talerze czujników, gniazda przewodów zasilających i anteny.

Napędzały go zmiennieimpulsowe silniki plazmowe, wymyślone pod koniec lat 90. XX wieku¹. Zasada ich działania opierała się na podgrzaniu znajdującego się w butelce magnetycznej wodoru, promieniowaniem Oczęstotliwości radiowej do temperatur gwiazdowych i skierowaniu powstałej plazmy do dyszy, również za pomocą potężnych pól magnetycznych. Technologii tej nie rozwijano dopóki prezydent Culpepper nie podjął decyzji o wyprawie na Marsa jako logicznej kontynuacji ustanowienia stałej bazy na Księżycu.

¹ *Variable Specific Impulse Plasma Drive. Naprawę taki silnik jest opracowywany obecnie przez NASA. Jego konstrukcje umożliwiło odkrycie nadprzewodników wysokotemperaturowych. Na 2004 rok planuje się pierwszy start pojazdu z takim silnikiem, próbnika mającego badać pasy van Allena. (przyp. tłum.)*

Kilka lat temu Rachel prowadziła prototypowy lunobus napędzany pyłem aluminiowym i ciekłym tlenem. Teraz siedziała w nuklearnym potworze, który miał ją zabrać przez międzyplanetarną pustkę.

Było to miłe uczucie.

Otworzyła się śluza prowadząca do sterowni i Lee wsadził przez nią głowę.

- Hello, Rache. Co ty tutaj robisz?

Siedziała w fotelu pilota. Wyznaczone na dziś symulacje już się skończyły i czuła się niemal winna, jakby przyłapano ją na stawianiu pasjansa na komputerze.

- Wącham róże - odparła.

Miała *teraz* wrażenie, że całe jej życie prowadziło do tej chwili, że znalezienie się w tym fotelu było jej przeznaczeniem. Zamierzała w pełni delektować się sukcesem. Pragnęła tego gdy miała dziesięć lat i spoglądała przez teleskop dziadka. Tkwiło to w zakamarkach jej umysłu gdy poszła do szkoły lotniczej, gdy latała w patrolach nad Zagrzebiem i gdy zaczęła pilotować lunobusy pomiędzy instalacjami księżycowymi i LI. Gdy Culpepper dziewięć lat temu ogłosił, że jej naród wyruszy na Marsa, Rachel Quinn złożyła podanie zanim jeszcze skończył mówić.

- A gdzie miałabym być? - spytała Lee.

- Dziś jest poniedziałek. Dyrektorskie śniadanie.

- Zapomniała. Wczoraj jadła lunch z wiceprezydentem, który znalazł się tu w drodze na Księżyc, gdzie dziś po południu miał pełnić honory w czasie uroczystości przecięcia wstęgi na otwarciu Bazy Księżycowej. Dziś powinna spożyć jajka na bekonie w towarzystwie dyrektora stacji. Jutro będzie to kolejny lunch, tym razem z chińską delegacją dyplomatów i przemysłowców. Miała wrażenie, że najbardziej czasochłonną częścią jej pracy jest dotrzywanie towarzystwa wszystkim VIP-om trafiającym na LI. A przy zbliżającym się starcie na Marsa i dzisiejszym oficjalnym otwarciu Bazy, znajdzie się tu cała horda ważniaków.

Lee skrzywił się.

- Kolejne faux pas popełnione przez zespół NASA.

Rachel wzruszyła ramionami, próbując zasugerować, że ma ważniejsze rzeczy do roboty. Jednak tak naprawdę to porządnie wyprzedzali harmonogram.

Większość „*Lowella*” wystawała poza stację. Tylko przednia sfera, w której mieściła się sterownia, znajdowała się w doku wypełnionym powietrzem. Popatrzyła w dół na samotnego technika przełączającego przewody.

- Mogę ruszać, Lee - powiedziała.

Statek też. Było to już tylko sprawą odpraw i polityki.

Lee usiadł w fotelu drugiego pilota. Na wiszącym nad nimi ekranie widniał obraz Marsa, szeroki, posępny, rdzawy.

- Nastąpi to już naprawdę niedługo - odezwał się Lee. - Sądzę jednak, że tymczasem powinnaś pójść na to śniadanie. W ostatnich dniach jesteś gwiazdą programu i zignorowanie dyrektora sprawi nie najlepsze wrażenie.

Rachel skrzywiła się.

- Nienawidzę polityki związanej z tego typu rzeczami.

Właściwie to nie nienawidziła. A w każdym razie nie całej. Wczorajsze spotkanie z wiceprezydentem było miłe. Lecz do kodeksu astronautów należało traktowanie wszystkich szczurów lądowych, nawet wiceprezydentów, jak pechowców. Istoty gorszego gatunku.

- Rachel, do jasnej Anielki, dorośnij.

Uśmiechnął się. Major Lee Cochran był opanowany, miał żywe, przystojne rysy i wciąż spadające mu na oczy włosy.

- Połowa tej roboty to polityka i kontakty z mediami. Kto, jak myślisz, płaci za tę zabawkę?

Był członkiem załogi uwielbianym przez media. Wciąż jeszcze przed czterdziestką, w zeszłym miesiącu znalazł się na czort wie czyjej liście dziesięciu najlepszych kawalerów do wzięcia. W przeciwieństwie do Rachel i wszystkich pozostałych potrafił powiedzieć coś, co dawało się zacytować. Był dubletem, dwa-w-jednym,

inżynier kosmonautyki i jednocześnie światowej sławy geolog. Cochran miał dotrzeć do serca Marsa i używając laserów oraz przyrządów do zbierania próbek rozpocząć wreszcie rzeczywiste badania historii planety. A jednak, choć nikt by tego nie przyznał, to nie sprawność zawodowa zapewniła mu ten przydział, ale umiejętność radzenia sobie z mediami.

- On mówi to co trzeba - oznajmił jej dyrektor stacji. - Pogadaj z nim zanim zejdziesz z drabinki. Posłuchaj jego rad i niech już nigdy nie będzie tego pieprzonego „wielkiego kroku ludzkości”.

Taak. Rachel udała, że jej uczucia zostały zranione, ale facet miał rację. Tak jak Lee *teraz*. Jeśli nie chcą powtórzyć historii projektu Apollo, czyli parę razy przelecieć się na Marsa i pożegnać się z nim na długo, należało potraktować media bardzo poważnie.

Kosmodrom Bazy Księżycowej. 8:11.

Kiedy wiceprezydent Charles L. Haskell przeszedł z mikrobusu do rękawa dla pasażerów, zrobił to jako najwyższy urzędnik administracji USA, który kiedykolwiek stanął na Księżycu i jednocześnie przerośnięty dziecięciolatek. Serce waliło mu mocno, bardzo uważnie postawił stopę na rampie zejściowej prowadzącej prosto do hali pasażerskiej. „Tak, właśnie tak. Naprawdę tu jestem.” pomyślał. Odetchnął głęboko, przypominając sobie dinozaury i modele statków kosmicznych, które kiedyś wypełniały mu życie. By ukryć targające nim uczucia zwrócił się z jakąś niewinną uwagą do Ricka Haileya i uścisnął dłonie przedstawicieli kierownictwa Bazy Księżycowej, którzy wyszli mu na powitanie.

Pomimo długiej podróży czuł się świeżo. Zapewne dzięki temu, że zarówno obie stacje kosmiczne, jak i baza na Księżycu działały według EDT, letniego czasu strefowego wschodniego wybrzeża USA, gdzie znajdowały się siedziby

Administracji Transportu i konsorcjum Księżycowego (LTA) i konsorcium Moonbase International (MBI). oficjalnie Bazy Księżycowa jeszcze nie istniała. Znajdowała się na naszym satelicie i funkcjonowała w ten



czy inny sposób już od siedmiu lat, może nawet ośmiu, zależy od którego momentu zacząć liczyć. Jednak dziś zostanie oficjalnie ogłoszone jej otwarcie. Dlatego właśnie Charlie Haskell przybył na Księżyc.

Gdy wszedł do hali przylotów, dziennikarze już na niego czekali. Zarejestrowali jego uścisk dłoni z Evelyn Hampton, główną dyrektorką Moonbase International; wykrzyczeli kilka pytań wyborczych i głośno zastanawiali się, dlaczego prezydent nie przyjechał. Czy to dlatego, że nie ubiegał się o drugą kadencję i chciał dać Charliemu przewagę nad innymi kandydatami?

Charlie odparł, że nie ma tu głowy żadnego państwa, Baza jest przedsięwzięciem komercyjnym, i że starał się znaleźć pod ręką, bo mogła to być dla niego ostatnia szansa na darmową wycieczkę na Księżyc (ostatnia uwaga odnosiła się do faktu, że niewielu spodziewało się, by Charlie dostał latem nominację swojej partii).

- Jednak - dodał poważnym tonem, - Stany Zjednoczone są głównym udziałowcem tego przedsięwzięcia, a kosmos zawsze zarezerwowany był dla wiceprezydentów. Datuje się to już od czasów Lyndona Johnsona.

Prawda była zaś taka, że prezydent nie za bardzo lubił Charliego, który znalazł się na tym stanowisku wyłącznie dzięki swoim głosom w Nowej Anglii. Z Waszyngtonu Baza wyglądała jak inwestycyjna bzdura i Henry Kollander wcale nie chciał być z nią wiązany, nawet jeśli wycofywał się z życia publicznego.

- Wiedział jak wiele ten program znaczy dla mnie - ciągnął Charlie, znacząco naginając prawdę. - Poprosił mnie więc, bym go reprezentował. Jestem zachwycony, że się tu znalazłem.

Odwrócił się i uśmiechnął do Evelyn Hampton, która lekko skinęła głową.

² *Regolit to rozdrobniony i wymieszany luźny materiał skalny, powstający przy braku gęstej atmosfery, wielkich skokach temperatury oraz upadkach meteorytów i mikrometeorytów. (przyp. tłum.)*

Za tłumkiem reporterów znajdowało się okno z widokiem na regolitową² równinę. Płaski grunt ciągnął się do bardzo bliskiego horyzontu. „TR byłby zachwycony”, pomyślał.

Teddy Roosevelt stanowił dla Charliego wzorzec do naśladowania. Twardy. Niewzruszony, gdy przekonany, że ma rację. Bezwzględnie uczciwy. Zafascynowany otaczającym go światem. Co by dał stary „Rough Rider”, by móc spojrzeć na ten krajobraz?

Hampton zaprowadziła go do kwater w towarzystwie czterech ochroniarzy z Secret Service. Agenci byli dość nieszczęśliwi, że nie mogli z tego rejonu usunąć mieszkańców przed przybyciem Charliego. Jednak w Bazie było jeszcze dość ciasno i po prostu nie znalazłoby się dość miejsca na ludzi z całego skrzydła. Co więcej, wiceprezydent zwrócił uwagę głównemu agentowi, że na Księżyc nie wpuszczają wariatów.

Evelyn Hampton była zaskakująco atrakcyjną Syngalezką, mówiła znakomitą angielszczyzną ze śladami akcentu oksfordzkiego. Miała błyszczące, ciemne oczy i władczy sposób bycia, który nie pozostawiał jej podwładnym najmniejszych wątpliwości kto tu rządzi.

- Jesteśmy zachwyceni, że mógł pan przybyć, panie wiceprezydencie - powiedziała, stojąc na progu jego kwatery. - Mamy nadzieję, że będzie pan w pełni zadowolony z pobytu u nas.

Przez moment jej oczy obiecywały coś więcej.

- Pańscy ludzie mają mój numer - dodała. - Proszę zwracać się do mnie, jeśli tylko będę mogła w czymś pomóc.

- Zrobię tak - obiecał Charlie.

Był kawalerem i jedyną przykrą dla niego rzeczą w politycznej karierze stanowiło zainteresowanie mediów, tak utrudniające prowadzenie choćby w miarę normalnego życia.

Evelyn Hampton miała na sobie oficjalny mundur Bazy - białą bluzkę, marynarską kurtkę, spodnie i chustę wokół szyi. Na naszywce na kieszeni wyhaftowano jej nazwisko i emblemat Bazy, pomnik Armstronga.

- Po ceremonii będzie niewielki poczęstunek - do końca. - Mam nadzieję, że znajdzie się na to miejsce w pańskim harmonogramie.

- Oczywiście - zgodził się Charlie. - Nie mógłbym go opuścić.

Jego apartament znajdował się w Dzielnicy Grisoma, sekcji zarezerwowanej dla wyższego personelu i odwiedzających Bazę VIP-ów. Był większy niż się spodziewał. Miał do dyspozycji dwa całkiem spore pokoje oraz łazienkę i wnękę kuchenną. Znajdowało się tu biurko, niewielki stół konferencyjny, kilka krzeseł, półka z książkami (na której ktoś *przezornie* umieścił powieści współczesne i historyczne) oraz stolik do kawy. W jednej ze ścian znajdowało się uniwersalne okno, które zapewniało widok na powierzchnię Księżyca. Albo, jeśliby wolał, na wodospad Tequendama w Kolumbii, Mount Bromo w Indonezji czy też dolomitowe wzgórza Kweilin. Gdyby poczuł tęsknotę za domem, dostępne było kilka widoków z przylądka Cape Cod. Po naciśnięciu guzika ze ściany wysuwało się łóżko.

Ktoś zostawił na sofie dwa mundury Bazy, jeden wyjściowy, drugi roboczy, oraz marynarkę. Mundur dobrane prezentowały się przed kamerami, postanowił więc założyć go na ceremonię otwarcia.

Pomimo, że na Księżycu znaleziono zamrażającą wodę, jej wydobycie wciąż było kosztowne i trudne. W rezultacie bardzo ją oszczędzano. Nie zabraniano jej używania, jednak wielki napis zwracał się do niego z prośbą o skorzystanie z ultradźwiękowej skrobaczki zamiast prysznica. Personel księżycowy miał niewielki przydział wody pozwalający od czasu do czasu na wybór sposobu mycia. Charlie wiedział, że mógłby zużyć jej dowolną ilość i nie usłyszałby na ten temat ani słowa skargi. Jednak na pewno przeciekłoby to do mediów. Uśmiechnął się, rozbawiony grą słów. Rozebrał się, wszedł do kabinki, zaciągnął zasłonę i wybrał pozycję „Ultradźwięki”. Wrażenie wcale nie było przykre. Tysiące drobniutkich palców szturchały

i skubały, usuwając brud i zaschnięty pot. Wytarł się potem wilgotnym ręcznikiem.

Ubrał się i w towarzystwie asystenta oraz zespołu ochroniarzy udał się na zwiedzanie. Plac Główny, serce Bazy, miał pozostać oficjalnie zamknięty do czasu ceremonii. Lecz niektóre sklepiki już działały.

Plac Główny stanowiła ogromna kopuła, wysoka na około piętnaście piętér i długa na dobre osiemset metrów. Centrum placu przecinał zygzakiem głęboki na pięć poziomów wąwóz mieszczący kwatery mieszkalne i miejsca pracy. Na poziomie gruntu było wyjątkowo zielono: trawniki, parki i zagajniki ciągnęły się lekko pod górę w stronę ścian.

Strop podtrzymywały cztery kolumny stojące w jednej linii na długiej osi budowli. Umieszczono je w równych odstępach, po dwie z każdej strony budynku administracji stojącego pośrodku placu. Sklepy i restauracje znajdowały się w dobrze dobranych miejscach, a nad jednym z parków wznosiła się muszla koncertowa. Charlie popatrzył w górę, na dach, skąd płynęło światło paneli luminescencyjnych, zdumiewająco udanie naśladowujące słoneczny blask.

Świeże, czyste powietrze pachniało wiosną. Charlie wędrował po chodnikach, jeździł windami i tramwajami, pozował do zdjęć chyba połowie mieszkańców Bazy, rozdawał autografy, ścisnął dłonie komu się dało i generalnie doprowadzał swoich ochroniarzy do rozpacz.

Pozostało jeszcze mnóstwo do zwiedzenia: rezerwar wody, centrum łączności, biuro transportu kosmicznego, wydziały związane z utrzymaniem Bazy oraz siedziba służb technicznych, baterie słoneczne, zautomatyzowana fabryka ogniw słonecznych, laboratoria badawcze. Chciał zajrzeć wszędzie, lecz zrobić to bez pośpiechu.

Dostosowanie się do ciężenia sześciokrotnie mniejszego niż ziemskie sprawiło mu trochę kłopotów, nawet pomimo obciążanych butów dostarczonych przez gospodarzy. Za to miał uciechę widząc, że od czasu do czasu i jego ochroniarze potykali się o własne nogi. Tylko to-

warzyszający mu asystent, Rick Hailey, zdawał się nie mieć kłopotów z adaptacją, co irytowało ochroniarzy. Był taki stary dowcip o meczu futbolowym pomiędzy służbami specjalnymi a pracownikami Białego Domu: dziesięć minut po opuszczeniu boiska przez agentów pracownicy zdobyli punkt.

Lecz Rick, prowadzący jego kampanię, sprawiał wrażenie jakby urodził się w niskim ciężeniu. Po LI poruszał się, jak gdyby spędził tam całe życie. Teraz, na Księżycu okazywał taką samą swobodę. Kiedy Charlie skomentował ten fakt, Rick obrócił rzecz w żart:

- Urabianie opinii publicznej oznacza, że człowiek nigdy nawet nie dotyka ziemi.

Potem doradził by skrócić przechadzkę, przysiąść w kawiarni i pogadać o ceremonii przecięcia wstęgi.

W tym roku miały się odbyć wybory, wskutek czego polityczne podteksty każdego działania były szczególnie wyraźne. Zwłaszcza jeśli ktoś znajdował się na niezbyt korzystnej pozycji. Charlie nie miał jeszcze czterdziestu lat, był za młody by serio brano pod uwagę powierzenie mu prezydentury. Brak żony stanowił obrazę dla ludzi czczących wartości rodzinne, którzy stali się główną siłą polityczną Ameryki. W dodatku administracja Kollandera powierzała mu niewiele obowiązków, a prezydentowi czasem się wrywało, że woli „starsze, mądrzejsze głowy”.

- Kiedy skończysz już przemowę - mówił Rick po ważnym tonem, - dziennikarze będą chcieli rozmawiać o polityce. Nie daj się w to wciągnąć. Baza Księżycowa to specjalne miejsce. Stojące ponad polityką. Mów o gwiazdach, Charlie. Dokąd zmierzamy. Otwarcie wrót w przyszłość. Tego typu rzeczy. Wszystko inne to bła hostki.

Taki był Rick: jedyny człowiek cokolwiek wart wśród osób poznanych przez Charliego wyłącznie z powodów politycznych. Jego pełne nazwisko brzmiało Richard Daley Hailey, był synem bardzo ustosunkowanego radnego w Chicago. Zaczął karierę w Illinois jako twórca przemówień, rozwinął swój wrodzony talent do budowa-

nia kampanii i to dzięki niemu w ostatnich wyborach Mike Crest zdobył stanowisko gubernatora tego stanu.

Wiedział jak Charlie może *zrobić* dobre wrażenie, czego chcą wyborcy, jakie są najgorętsze tematy. (Wyborcy zawsze uważają, że politycy po prostu unikają mówienia o rzeczach istotnych. Czasem to prawda. Lecz o wiele częściej głosujący po prostu nie znają samych siebie. W elitarniej atmosferze stolicy kraju czasem trudno pojąć co napędza ludzi, którzy muszą jeździć do supermarketu).

W czasie rozmowy pili kawę i pogryzali ciasteczka księżycowe (drożdże udające czekoladowe wypieki). Charlie zerknął na ścienny ekran. Przed kamerą przepływał egzotyczny las. W tle mignęła planeta otoczona pierścieniami, w błękitnym świetle połyskiwała rzeka, znikająca pod gęstwiną fioletowych drzew.

- Oczywiście - przyznał Charlie, - w takim miejscu jak to, polityka wygląda szpetnie.

Rick wpatrywał się w niego nad krawędzią filizanki.

- Lecz musisz pamiętać - dodał, - że to wszystko bujda. Wszystko rozgrywa się na dole, w D.C. Zawsze tak będzie, przynajmniej za naszego życia, i tylko to się liczy. Sądzę jednak, że jeśli pogramy jak trzeba, zrobiemy długi krok w kierunku zapewnienia sobie nominacji.

Dojadł ciasteczko.

- Całkiem niezłe - oznajmił.

To była prawda. Bardzo dobrze naśladowało prawdziwą czekoladę.

Charlie ponownie popatrzył na ekran. Kamera pędziła nad otwartą wodą i drugi glob, srebrzysty i zamglony, zaczął wynurzać się z morza. To już nie była bujda. Spośród wszystkich miejsc, które Charlie odwiedził w swoim bogatym w podróże życiu, żadne nie wywołało w nim tak potężnych emocji jakie odczuł, gdy spojrział w dół z promu na skupisko światełek w pobliżu środka krateru Alfons, stanowiska Bazy Księżycowej. Niektórzy spośród przybywających tutaj mówili o religijnym wręcz przeżyciu, o poczuciu istnienia potęgi i majestatu

Stwórcy. Charlie odczuł bezkompromisową neutralność, beczasowość, nieskończoną obojętność wobec wszystkiego co ludzkie. Jego psychika nie została zaprojektowana dla tego miejsca. Twarda jak skała pustka, brak jakiegokolwiek życia, skrajne temperatury, wszystko to wbijało mu do głowy, że jest intruzem.

Ta równina wyglądała tak, samo gdy pierwsze pierwotniaki zaczęły pływać w oceanach Ziemi. Skapana była w miękkim blasku planety. Był czas, kiedy człowiek mógłby stanąć na regolicie i zobaczyć ten sam glob, w tym samym miejscu na niebie, lecz z lądami skupionymi w jeden superkontynent. Pamiętał, że gdzieś czytał nazwę tego kontynentu, ale nie mógł sobie jej przypomnieć. Godwannaland³. Coś w tym stylu.

Nigdy by się tu nie znalazł z własnej inicjatywy. Widział wszystkie rodzaje przekazów wizualnych, impresje artystyczne, hologramy i co tam jeszcze jest. Uważał, że wie jak by to było. Jak by się czuł. Dziesięcioletni Charlie, który kolekcjonował dinozaury i budował modele statków kosmicznych gdzieś się zagubił po drodze. Lecz powrócił, żądny zemsty, i teraz wiceprezydent chłonał księżycowy krajobraz i zachowując go w duszy pojął, że właśnie przeżywa doświadczenie, które zapamięta do końca życia.

Przygotowując się do tej podróży dużo czytał o Księźycu mając nadzieję *znaleźć* coś, co mógłby włączyć do przemówienia, które miał przygotować prowadzący jego kampanię. Kiedy Charlie robił coś takiego, Rick stawał się nerwowy. Miał w zanadru całe mnóstwo przykładów mających dobre intencje urzędników państwowych, których ambicje prezydenckie poważnie ucierpiały na grząskim gruncie improwizowanych wypowiedzi. Jednak Rick był tylko politycznym doradcą. Najemnikiem. Wy-

³ Nieprzetłumaczalna gra słów. „Godwannaland” to zbitka trzech wyrazów „God wanna land” czyli „Bóg chce ląd” (dość żargonowo powiedziane). Prawidłowa nazwa angielska to „Gondwana Land” czyli „kontynent Gondwany”. (przytłum.)

szkolonym by wszystko mierzyć miarą sondaży przedwyborczych, reakcji społecznych, konsekwencji dla partii. Jak większość najemników był dość przyzwoity i uczciwy wobec swojego pracodawcy; jednak widział wszystko w ograniczonym kontekście konieczności wygranania wyborów. Nic innego nie miało znaczenia.

Teddy'emu Rooseveltowi by się to nie podobało.

Decyzję o ustanowieniu stałej obecności na Księżycu podjął i obronił prawie dwanaście lat temu prezydent Andrew Y. Culpepper, który przekonał podatników, zjednoczył w tym dążeniu wszystkie uprzemysłowione państwa i przepchnął pomysł w opornym Kongresie.

- Są tacy - powiedział, - którzy wmawiać nam będą, że nie stać nas na stałą obecność człowieka na Księżycu. To potomkowie doradców królowej Izabeli, którzy uważali, że Europy nie stać na przepłynięcie Atlantyku.

Te słowa wygrawerowano na tablicy wmurowanej w samym środku Placu Głównego.

Culpepper nie dożył realizacji swojego marzenia. Lecz dziś cień całkowitego zaćmienia wędrował przez Amerykę Północną. A kiedy o mniej więcej dwunastej trzydziści wschodnioamerykańskiego czasu letniego (używanego również w Bazie) dotrze do małego, rodzinnego miasteczka Culpeppera w Ohio, Charlie przetnie symboliczną wstęgę we frontowej bramie Placu Głównego i oznajmi otwarcie Bazy Księżycowej.

Z początku rozwój był powolny. Jednak z czasem wzrosło zainteresowanie możliwościami produkcyjnymi Księżycza i powstała Administracja Transportu Księżycowego. W miarę możliwości przeprowadzano ludzi i laboratoria z prowizorycznych schronień i umieszczano w stałych budowlach. Baza składała się z centralnego kompleksu pomieszczeń administracyjnych i mieszkalnych, kilku rozrzuconych ośrodków badawczych oraz zakładów wydobywczych i produkcyjnych, w większości skupionych w pobliżu krateru Alfons. W przyszłości miała je połączyć gęsta sieć zasilanych elektrycznie pojazdów, zwanych trolejbusami. Były

nawet plany zbudowania linii do zautomatyzowanego obserwatorium na Drugiej Stronie.

Port Bazy Księżycowej, kosmodrom, znajdował się na dnie krateru Alfons, tuż przy Placu Głównym. Dojeżdżał do niego tramwaj.

Charlie planował spędzić dwa dni na zwiedzaniu Bazy i wykazać przed światem zainteresowanie i poparcie Ameryki dla księżycowego przedsięwzięcia. Czekał go ciąg spotkań poświęconych celebrowaniu otwarcia i oficjalnych zaproszeń na lunch. Zjechali się dygnitarze z całego świata i w gruncie rzeczy wiceprezydent cieszył się na całe to zamieszanie.

W środę po południu wsiądzie na pokład lunobusu lecącego na LI, złapie prom do Skyport, stacji kosmicznej na orbicie okołoziemskiej, a potem przesiądzie się na prom SSTO⁴ do Dulles. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wróci do domu z ogromnym potencjałem do wykorzystania w rozpoczynających się późnym latem wyborach wstępnych.

2.

Meksyk. 6:43 Górskiego Czasu **Letniego (8:43 EDT)**

Część cienia całkowitego zaćmienia, przemieszczając się głównie w kierunku północno-wschodnim, przesunęła się nad wybrzeżem Mazatlan. Sześć minut później niebo pociemniało nad Durango. Przechodnie w zócalo zatrzymali się i spojrzeli w górę. W dzielnicach handlowej zapłonęły światła.

Mniej więcej w tym samym czasie cień Księżyca dotarł do granicy kontynentów. Na wybrzeżach Laguna del

⁴ SSTO - *Single Stage to Orbit* (czyli „jednym stopniem na orbitę”, *jednostopniowy samolot orbitalny*) - skrót oznaczający typ promu kosmicznego nie wymagającego żadnych rakiet wspomagających do wejścia na orbitę, (przyp. tłum.)

Liano ucichły ptaki. Mrok sunął przez Sierra Mądre i szerokie, na wpół jałowe równiny, a w chwili gdy śpiochy zaczynały późne śniadanie, dotarł do Teksasu. Na przejściach granicznych Piedras Negras i Eagle Pass jak zwykle panował duży ruch; jednak i tutaj, wśród łomotu klap bagażników i ryku ciągników siodłowych pojawiła się krótka przerwa, moment znieruchomienia.

Cień przesunął się pomiędzy San Antonio na wschodzie a Lubbock na zachodzie. Ludzie, którzy przybyli wcześniej na otwierający sezon mecz Rangersów przeciwko drużynie A, przyglądali się jak ciemnieje parking. Zaćmienie przesuwało się teraz wolniej niż gdy obserwowali je pasażerowie „Merrivale”.

Nauczyciele w Fort Smith w Arkansas wyprowadzili dzieci na dwór by mogły popatrzeć na zapadającą ciemność. W lokalnej szkole w Batesville zaproszony astronom z Planetarium Delmora w Little Rock wyjaśnił publiczności złożonej z trzecio- i czwartoklasistów jak powstają zaćmienia, dlaczego ludzie kiedyś się ich bali i dlaczego nigdy nie powinno się patrzeć bezpośrednio w Słońce.

Na wysokości jedenastu tysięcy ośmiuset metrów nad Springfield cień objął przemieszczający się również na północny wschód, zmodyfikowany transportowiec Lockheed C-311. Na pokładzie samolotu znajdował się półtorametrowy teleskop wraz z wyposażeniem, sześciu astronomów oraz trzech członków załogi prowadzących maszynę. Teleskop zamontowano w przeciwwstrząsowym jarzmie tuż przed lewym skrzydłem. Wyposażono go w żyroskopy i czujniki służące utrzymywaniużądanego celu w polu widzenia. W samolocie było zimno, wypełniał go huk silników, stanowczo zbyt głośny by dało się rozmawiać. Żeby się porozumieć astronomowie musieli mieć słuchawki i mikrofony. Pod marynarkami nosili grube, wełniane swetry. Rozpoczęli pracę gdy tylko tarcza Księżyca wgrzyła się w słoneczny krąg. Lecz najcenniejszy był okres całkowitego zaćmienia. Ruch samolotu, usiłującego nadążyć za pędzącym cieniem, mógł dać im jakąś dodatkową minutę. Wyprawę tę sponsorował

należący do NASA ośrodek Goddarda. W jej czasie planowano wykonać liczne zadania: zbierać dane mające pomóc w wyjaśnieniu anomalii wewnątrz korony, prowadzić badania w wielu różnych długościach fali, porównać aktywne zjawiska na powierzchni Słońca w nadziei na znalezienie korelacji z różnymi prędkościami gazu koronalnego. Oraz jeszcze kilkanaście innych.

Mieli do dyspozycji prawie sześć minut całkowitego zaćmienia. Potem ciemność zostawiła ich za sobą, przesunęła się przez Park Narodowy im. Marka Twaina i zbliżyła się do St.Louis.

W Valley Park, miłej dzielnicy podmiejskiej pełnej tradycyjnych plotów i zacienionych trawników, Tomiko Harrington siedziała nad klawiaturą uruchamiając analizator obrazu w swoim elektronicznym reflektorze⁵ Magenta 764XX, czasowo zamontowanym na tarasie na zewnątrz obserwatorium urządzonego nad garażem. Tomiko pracowała jako projektant systemów w Capital Bank i Trust Company of St.Louis. Była też astronomem amatorem i dziś wzięła sobie dzień wolny.

Poranek był rześki, niebo czyste, warunki idealne do obserwacji zaćmienia. Zapowiadano fronty burzowe i chmury, ale nic z tego się nie sprawdziło. Namietność Tomiko do astronomii wywołało zaćmienie, które siedem lat temu było widzialne w stanie Missoury. Wydarzyło się to 21 sierpnia, w jej osiemnaste urodziny i sprawiało wrażenie znaku, jakby kosmos zapraszał ją do wyjścia poza prywatki oraz głupstwa i wprowadzenia do swojego życia czegoś sensownego. Zaakceptowała to zaproszenie. Tomiko była teraz członkiem uniwersyteckiego Klubu Astronomicznego, napisała kilka skryptów dla planetarium w Forest Park i niedługo na Uniwersytecie St.Louis miała bronić pracy magisterskiej. Dziś uzyska kompletny zapis całkowitego zaćmienia.

⁵ *W terminologii astronomicznej reflektor to teleskop zwierciadlany, a teleskop soczewkowy (luneta) nazywany jest refraktorem. (przyp. tłum.)*

Kiedy kolega zapytał ją po co to robi, sama nie bardzo wiedziała. W końcu powiedziała: „Po prostu, żeby go mieć”, wiedząc, że co najmniej jeden z otrzymanych obrazów po oprawieniu zawiśnie na „ścianie chwały” pośród zrobionych przez nią wspaniałych zdjęć Plejad, mgławicy Krab, Marsa z Deimosem, przepięknego wiru galaktyki M31, supernowej z 2019 w Herkulesie oraz osobistego obserwatorium.

Rozsiadła się swobodnie, z colą w ręku. Przed nią znajdowały się cztery ekrany. Trzy pokazywały ciemny księżycowy krąg z wolna zasłaniający ostatki blasku. Na jednym z nich, zamontowanym na biurku, widniał obraz uzyskany z jej własnego teleskopu. W prawym dolnym jego rogu niewielki zegar odliczał ostatnie minuty do całkowitego zaćmienia. Na pozostałych dwóch były programy komercyjne. Wyłączyła w nich dźwięk, nie chcąc by komentarze dziennikarzy popsują jej tę chwilę. Czwarty monitor pokazywał mapę drogi zaćmienia przez półkulę północną.

Dotęła colę i odstawiła puszkę na stolik. Niebo ciemniało, przeszedł ją przyjemny dreszczyk. Przejeżdżający samochód włączył światła.

Gdy żył jej ojciec, pokój nad garażem był wynajmowany, zazwyczaj studentom z seminarium biblijnego, lecz Tomiko nie potrzebowała dodatkowych dochodów a stare pomieszczenie znajdowało się z dala od ulicznych latarni, co czyniło z niego idealne miejsce na obserwatorium. W dodatku otaczał je szeroki taras, na którym mogła zamontować statywy dla teleskopu. Kiedy dwaj studenci, winni jej czynsz za dwa miesiące, zerwali umowę najmu i zniknęli w środku nocy, była im prawie wdzięczna. Zabrała się za to pomieszczenie, wyremontowała, zainstalowała komputery, dwa teleskopy zwierciadlane i sprzęt do analizy obrazu. Obiecała sobie, że jeśli kiedykolwiek dorobi się większych pieniędzy zdemontuje dach i zrobi z tego miejsca obserwatorium z prawdziwego zdarzenia.

Włączył się spryskiwacz na trawniku.

Tomiko była drobna, uprzejma i pewna siebie. Miała na sobie ciemnozielone spodnie i żółtą bluzkę rozcię-

tą pod szyją. Ciemne włosy *zaczesała* do przodu tak, że niemal zasłaniały jej lewe oko, zgodnie z obecnie panującą modą. Miała przenikliwe spojrzenie swego ojca, lecz nie odziedziczyła mongolskiej fałdy po japońskich przodkach matki. W chwilach takich jak ta, kiedy była skupiona na swoim hobby, sprawiała wrażenie nieobecnej duchem. Postronny obserwator pomyślałby, że błądzi gdzieś daleko od pokoju nad garażem.

Chłodny podmuch zachwiał drzewami. Gdzieś dzwonił telefon.

Nadeszła noc. Niebo wypełniły gwiazdy. Czowała się jakby była samiuteńka na całym świecie.

Pociemniałe Słońce znajdowało się w Rybach. Tuż nad drogerią widziała wielki równoległobok Pegaza, nad domem Doca Edwardsa Aldebarana, Deneba na szczycie wiązu, a Betelgeuzę nisko nad skrzyżowaniem. Jowisz, biały i jasny, lśnił na wschód od Słońca a Wenus na zachód.

Nawet Merkury był widoczny, na swojej samotnej orbicie.

Wyszła na taras, usiadła w jednym z wiklinowych foteli, skrzyżowała przedramiona na barierce i oparła podbródek na grzbiecie lewej dłoni. W kuchni Conroyów zapaliło się światło.

Kilka stopni poniżej Słońca, na samej granicy korony, gdzie jej blask roztopiał się w mroku Tomiko zauważyła jasną gwiazdę.

A to co takiego?

Wprawnym okiem przemierzyła jej pozycję względem otaczających gwiazdozbiorów, skrzywiła się i pospiesznie wróciła do wnętrza, do komputera. Załogowała się do programu astronomicznego Celestik na uniwersytecie i ściągnęła mapę nieba.

Baza Księżycowa, Dzielnica Grissoma. 11:10

Rick Hailey oszacował strój Charliego, uśmiechnął się na widok naszywki Bazy Księżycowej i potrząsnął głową.

- Nie - powiedział. - Nie rób tego.

- Dlaczego? - Charlie sądził, że będzie idealna na tę okazję.

- Dlatego, że politycy, którzy usiłują wyglądać jak ktoś, kim nie są zawsze sprawiają wrażenie głupków. Jesteś za młody by pamiętać Michaela Dukakisa i jego czołg. Ale Bili Worthy?

Worthy stracił nominację partyjną na rzecz Andrewa Culpeppera, wówczas mało znanego, po próbie przemierzenia przed kamerami skafandra kosmicznego. Udało mu się przekonać wyborców jedynie o tym, że jest słaby i bliski śmierci.

Charlie westchnął.

- Tak - potwierdził.

- Znaczy, widzę już satyryczne rysunekzki w gazetach. Wyślą cię na Marsa.

To było wkurzające. Tak dobrze wyglądał w tym stroju.

- To twój dzień, Charlie - ciągnął Rick. - Dziś po południu ukujemy hasło naszej kampanii. Przyszłość należy do Haskella.

Dopił szklankę księżycowego rumu, bezalkoholowego.

- Czuję się niezbyt pewnie - powiedział Charlie.

- Wciąż myślę, że to prezydent powinien być tutaj. A może to tylko obniżona grawitacja.

Uśmiechnął się niepewnie.

- Poradzisz sobie. Jak zawsze - głos Ricka obniżył się o oktawę. - Nie zapomnij o Bogu - dodał.

Charlie westchnął.

- To ważne. Tam, na dole, ludzie oczekują, że do strzeżesz dzieło stworzenia. Błękitną Ziemię. Gwiazdy. Poczucie małości człowieka.

Przerwał na chwilę i zastanowił się.

- Nie - ciągnął, - nie małości człowieka, tylko twojej, dobrze? Nie chcemy by wyborcom przyszło na myśl, że uważasz, iż oni są nieważni.

- Wiem.

Czasami Charlie myślał o swoim wybiciu się na stanowisko wiceprezydenta jak o jakimś kosmicznym żarcie. Nie pamiętał jak się znalazł w polityce. To po prostu

mu się przydarzyło. Dwadzieścia lat temu prowadził małą firmę elektroniczną w Amherst kiedy zaczęły się dyskusje na temat modlitw szkolnych, ewolucji, nauki o stworzeniu oraz książki Buszujący w zbożu. Charlie, który sądził, że te walki toczyły się i zostały wygrane w poprzednim wieku, pojawił się na spotkaniu rady szkolnej, gdzie zamierzał jedynie udzielić wyraźnego poparcia nauce angielskiego i kołu naukowemu. Oburzył go jednak wysoki, ciemnowłosy, żółtooki kaznodzieja, który pouczał radę jakie są jej obowiązki nie pozostawiając najmniejszych wątpliwości, że przemawia w imieniu siły wyższej. Przyprowadził ze sobą członków swojej kongregacji, z których jeden wymachiwał transparentem z liczbą 649, mającą oznaczać liczbę nieprzyzwoitości zawartych w Buszującym. Charlie nie wytrzymał i wdał się z duchownym w ostrą dyskusję.

Patrząc z perspektywy czasu wypadł wtedy nie najlepiej. Jego oponent był głośniejszy i miał dużo większą praktykę, ale niewielkiej grupce sponsorów szkoły spodobało się to, co zobaczyli. Poprosili go o kandydowanie w jesiennych wyborach i zanim się obejrzał już był wiceprezydentem.

Spojrzał na zegarek.

- Daj mi minutkę na przebranie się - powiedział.

- Trzeba już iść.

-Tak. Czekaj, zastanowiłem się, załóż kurtkę. Okay? Pomoże ci zadzierzgnąć więz z tymi ludźmi. Ale mundur to za wiele.

Wartość Ricka polegała na czymś, co Charlie lubił określać w myślach jako umiejętność zagładania za róg. Jeśliby znajdowała się tam mina-pułapka można było liczyć na niego, że ją znajdzie zanim nastąpi wybuch.

Założenie samej kurtki byłoby połowicznym posunięciem. Oznaką słabości. Kiedy Charlie wyszedł z sypialni miał na sobie własny, szyty na zamówienie garnitur.

Rick skrzywił się.

- Nie wiem po co w ogóle mnie trzymasz - skomentował.

Skyport, Laboratorium Orbitalne NASA i Instytutu Smithsonianańskiego. 12:13.

Laboratorium Orbitalne na ziemskim satelicie Skyport służyło jako ogólnoswiatowe centrum danych astronomicznych. Analiza nowego zmiennego pulsara, świeże informacje o konfiguracji superukładów, najnowsze odkrycia o innosystemowych planetach mających atmosfery tlenowe - wszystkie dane kierowano do Laboratorium Orbitalnego gdzie były zestawiane, indeksowane na wszelkie możliwe sposoby, przekazywane zainteresowanym i upowszechniane w Internecie.

Tory Clark obserwowała wędrowkę zaćmienia przez Amerykę Północną na wiszącym nad głową monitorze, jednocześnie przeglądając napływające sprawozdania. Choć odbywający się na niebie spektakl wywołał ogromny ruch informacyjny, napływ nie związanych z nim, rutynowych danych wcale nie zmalał znacząco. Na przykład z Kitt Peak dostała równocześnie informacje o kwarzarze, nowy raport o R136a w Wielkim Obłoku Magellana i poprawki pomiarów prędkości oddalającej się gwiazdy 53 Barana. Przyszło jeszcze coś.

- Windy? - Podniosła rękę by zwrócić uwagę swojego szefa, Winfielda Crossa. - Możesz na to spojrzeć?

Cross był po pięćdziesiątce, średniego wzrostu, średniej budowy ciała, wszystko miał średnie. Ludzie zwykli nie pamiętać kim był, czy jak się nazywał. Amerykański Murzyn, który dorastał w południowym Los Angeles, dostał stypendium do Princeton, a teraz zdawał się martwić jedynie możliwością, że wiek dopadnie go zanim dopnie jedyne pożądanego celu. Zautomatyzowane obserwatorium na Drugiej Stronie, niewidocznej półkuli Księżyca miało zostać rozbudowane i uzupełnione personelem. Windy miał nadzieję zdobyć tam stanowisko dyrektora.

Podniesieniem ręki zasygnalizował, że zauważył jej sygnał, skończył pisać w notatniku i odwrócił się w stronę swojego ekranu. Usłyszała jak gwałtownie wciąga powietrze.

- Co to jest? Sprawdziłaś to już?

Patrzyli na świetlny punkt Tomiko.

- Nie wiem.

- Sądzisz, że to słoneczny ślizgacz?

-Tak mi się zdaje. Nie wiem co to mogłoby być innego.

Oczywiście nie było nic nowego w kometach prześlizgujących się na niebie tuż obok Słońca. Nadlatywały w jego pobliże cały czas, znajdując się po przeciwnej stronie naszej gwiazdy niż Ziemia i wracały w mrok po tej samej stronie. W rezultacie ich wypatrzenie z Ziemi było prawie niemożliwe, o ile nie pokazały się akurat w trakcie całkowitego zaćmienia, jak ta.

Windy postukiwał palcami o stół komputerowy.

- Kogo mamy?

Tory była przygotowana na to pytanie.

- Feinberg przyjechał do Beaver Meadow na przedstawienie. - Miała na myśli zaćmienie.

- Feinberg. No coż, nie ma co zabawiać się płótkami. Okay, spróbuj się z nim skontaktować i poprosić, żeby się temu przyjrzał.

Baza Księżycowa, Audytorium *Rangera*. 12:17

Salę nazwano imieniem jedyne go statku utraconego w czasie drugiej fali eksploracji Księżyca. „*Ranger*”, drugi z pojazdów, które pojawiły się znów na naszym satelicie po ponad trzydziestoletniej przerwie, miał jeszcze niecałe czterdzieści minut do powrotnego wejścia w atmosferę, kiedy eksplodowała linia paliwowa. Wybuch zniszczył system nawigacyjny co zmusiło Franka Bellwethera, dowódcę, do podjęcia próby wślizgnięcia się w atmosferę „na oko”. Procedura ta była jednak wyjątkowo trudna, nieco źle ocenił kąt podejścia, który okazał się zbyt płaski. „*Ranger*” odbił się od atmosfery i nie mając dość paliwa na powrót wszedł na orbitę okołosłoneczną. Był to najbardziej traumatyczny ze wszystkich wypadków w historii eksploracji kosmosu, o wiele bardziej bolesny niż katastrofa „*Challenger*”, bo Bellwether i jego załoga jeszcze przez kilka dni mogli komunikować się z Ziemią, aż skończył się im tlen.

W audytorium wmurowano tablicę pamiątkową ku czci dowódcy. Oprócz tego pięć promów przewożących pasażerów pomiędzy LI i Skyport nazwano nazwiskami członków załogi.

Kiedy Charlie wszedł do sali, na zajmującym całą ścianę ekranie widniał obraz z Clifton w stanie Ohio, gdzie zespół muzyczny liceum stał w szyku na scenie. Równocześnie z ceremonią odbywającą się na Księżycu, dokonywało się tam nadanie szkole nazwy Liceum-Pomnika Andrewa Y. Culpeppera. Salę gimnastyczną wypełniał tłum uczniów, zespół grał starą melodię „Księżyc nad Miami”. No cóż, to nie było Miami, lecz Charlie sądził, że nikt nie przejmował się drobiazgami. Do audytorium Bazy Księżycowej wcisnęło się około sześćset osób, gości i chyba całej zamieszkałej tu ludności nie będącej na dyżurze.

Technicy Evelyn Hampton wybudowali podest z rzędem krzeseł. Po jednej jego stronie podwójne odrzwia prowadziły na Plac Główny, w poprzek nich przeciągnięto srebrzystą wstęgę. Na czas uroczystości potraktowano je jako symboliczne główne wejście do bazy. Podest udekorowano białymi, zielonymi i błękitnymi chorągiewkami, kolorami Moonbase International. Na ścianach umieszczono flagi wszystkich (lub prawie wszystkich) krajów świata. Na podeście siedzieli wysoko postawieni przedstawiciele międzynarodowego handlu, różnych rządów, świata rozrywki i świata nauki. Wyróżniał się wśród nich Slade Elliott, znany milionom telewidzów jako Komandor Pierce z niesłychanie popularnego serialu „Arc-turus Run”. Ostatnie sondaże opinii publicznej wykazały, że jego nazwisko jest rozpoznawane częściej niż prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Evelyn spostrzegła Charliego i podeszła do niego.

- No cóż, panie Wiceprezydencie - spytała przyjacielsko, - jest pan gotów czynić honory? To historyczna chwila. To co pan tu dziś powie, ludzie będą cytować przez następny tysiąc lat.

- Wielkie dzięki - odparł Charlie. - Naprawdę po trzebałem zwiększenia napięcia.

Zerknął w stronę grupy dziennikarzy, z których wielu rozpoznawał. Rick utrzymywał, że dla polityka najważniejszą umiejętnością jest zapamiętywanie imion reporterów. Charlie postarał się tego nauczyć.

- Gdzie są kamery telewizyjne? - spytał.

Pokazała na odległy koniec audytorium, gdzie z tylnej ściany wystawała grupka czarnych obiektywów. Inne kamery poukrywano na obu końcach podestu.

Evelyn przedstawiła go innym gościom, Charlie był zaskoczony gdy Elliott poprosił go złożenie autografu na programie.

Nadszedł czas rozpoczęcia uroczystości. Siedział bezpośrednio po prawej stronie mównicy, na honorowym miejscu, które zajmował dzięki temu, że rząd USA był największym udziałowcem Moonbase International. Atrakcyjna, młoda dziewczyna w kombinezonie Bazy zwróciła uwagę Evelyn i uniosła dwukrotnie do góry obie dłonie z rozcapierzonymi palcami, sygnalizując w ten sposób, że zostało dwadzieścia sekund. Dyrektorka poszła do mównicy. Zgromadzeni uciszyli się.

Z sufitu zwiisał monitor, zerknęła na niego by sprawdzić swój wygląd. „Jak na szefową prezentuje się całym dobrze”, pomyślał Charlie.

W głębi sali zaświeciła się czerwona lampka, co znaczyło, że pracuje tam kamera. Młoda dziewczyna odliczała bezgłośnie, a kiedy doszła do zera, Evelyn pochyliła się i powitała wszystkich, cały świat w Bazie Księżycowej.

- Zanim przejdziemy do dalszych części uroczystości - powiedziała, - chciałabym przedstawić naszego wszechwyznaniowego kapelana, Wielebnego Marka Pinnacle'a.

Pinnacle wyglądał krucho i niepewnie. Wystąpił naprzód, ściskając w garści kartkę, podziękował Evelyn, położył papier na mównicy i drżącym głosem zaczął czytać. Poprosił Wszechmocnego o błogosławieństwo dla tego ogromnego przedsięwzięcia i podziękował za dotychczasowe dobrodziejstwa. Jeden z gości siedzących niedaleko Charliego szepnął, że jeśli kapelan chce mieć nadzieję

na rezultaty, to powinien mówić głośniej. Pinnacle nie przestał monotonicznie mamrotać, ale na szczęście miał dość poczucia przyzwoitości, żeby mówić krótko. Z widoczną ulgą oddał prowadzenie programu Evelyn.

Przedstawiła kilku notabli, z których każdy wygłosił kilkuminutową przemowę. Prawdopodobnie najbardziej radosny moment tej części nastąpił gdy przy narastającym akompaniamencie muzyki z „Arcturus Run” do mikrofonu zbliżył się Slade Elliott. Zadowolił się krótkim cytatem z serialu: „Granice istnieją tylko w umyśle”.

Charlie, główny mówca, był oczywiście ostatni. Ogłoszenie jego wystąpienia spotkało się z uprzejmym aplauzem.

- Dziękuję - powiedział. Zerknął na Elliotta, potem zwrócił wzrok ku kamerom. - Dziękuję za zaproszenie mnie tutaj. Jest to moment, którego nigdy nie zapomnę. Podejrzewam też, że ludzkość też go nigdy nie zapomni.

Dwóch agentów Secret Service w kombinezonach Bazy, siedziało w pierwszym rzędzie, nie zwracając niczyjej uwagi. Sam Anderson, dowódca grupy, i jedyna kobieta w jego zespole, Isabel Heyman, obserwowali sytuację po bokach platformy. Rick Hailey, stojący w przejściu, przyglądał mu się uważnie. Oczywiście będzie podliczał punkty.

- *Baza księżycowa to przyszłość* - ciągnął Charlie.
- Robimy pierwsze kroki oddalające nas od rodzinnej planety, a wy wskazujecie drogę.

Rick skinął głową, popędzając go.

Charlie popatrzył w kamery, mówiąc ponad głowami zgromadzonych „lunaków”, zwracając się raczej do wyborców na dole i być może do wielkiej publiczności poza Ameryką.

- *Baza Księżycowa jest kosztowna. Dotarcie tu kosztowało życie ludzi, cenę tę poniesiemy jeszcze za nim skończymy. Wydaliśmy sporą część skarbu narodowego. Czasami zastanawiamy się czy to przedsięwzięcie jest warte takich wysiłków. Dlaczego w ogóle tu jesteśmy? Prawda jest prosta - Ziemia stała się za mała. Nie dla populacji, ale dla marzeń. Mamy rande-*

zvous z gwiazdami. Ziarno zostało zasiane. Zostało zasiane już kiedy pierwsi ludzie popatrzyli w górę na konstelacje - i wszędzie kwiatami w fontannach na Księżycu. Dziś ludzie wciąż odwiedzają miejsce lądowania misji Apollo, gdzie mogą obejrzeć odciski stóp Neila Armstronga.

Charlie opuścił wzrok na publiczność i wiedział, że przykuł ich uwagę.

- Nasi odlegli potomkowie będą odwiedzać Bazę Księżycową - powiedział, - czy też jej odpowiednik istniejący w ich czasach, zobaczą ślady pozostawione przez nas, was i mnie, i będą wiedzieli, że my też tu byliśmy. - Pozwolił sobie na okazanie emocji. - Nabraliśmy przekonania, że mamy kosmiczne dziedzictwo. Dotarliśmy na Księżyc. Za kilka tygodni „*Percival Lowell*” wyruszy na Marsa. Slade Elliott i jego alter ego, komandor Tobias Pierce, mają absolutną słuszość: „Granice istnieją wyłącznie w umyśle”.

Podniósł prawą rękę by zsalutować publiczności, odwrócił się od mównicy, poczekał aż dołączy do niego Evelyn i ruszył przed siebie, Niewielka rampa sprowadzała na poziom podłogi. Koło zagrodzonych wstęgą drzwi pojawił się asystent ze złotymi nożycami.

Charlie doszedł do rampy, ale postanowił zeskoczyć z podestu, zapominając, że panuje tu jedna szósta g. Pomimo obciążanych butów poszybowałby daleko i wylądował w pierwszych rzędach gdyby Evelyn nie spostrzegła co się święci. Złapała go za kurtkę i odciągnęła do tyłu.

- Ostrożnie - wyszeptała.

Charlie, wdzięczny za uratowanie przed niezdarnym upadkiem na oczach miliardów widzów podziękował jej.

- Jestem winien drinka - powiedział.

- Co najmniej - uśmiechnęła się.

Goście otoczyli ich, asystent podał nożyce Evelyn, ta przekazała je Charliemu. Dwie inne osoby przytrzymały wstęgę.

- Dziś, ósmego kwietnia - oznajmił, - dwutysięcznego dwudziestego czwartego roku naszej ery i dwieście czterdziestego ósmego roku niepodległości Stanów Zjed-

noczonych, w imieniu Narodów Zjednoczonych, ogłaszani otwarcie Bazy Księżycowej.

Przeciął wstęgę. Zamruczały silniki elektryczne w ścianach i odrzwia otwały się. Plac główny za nimi okrywała ciemność. Zapalił się punktowy reflektor na szczycie budynku administracji, oświetlił park, kępę wiązów, kilka ławek i basen. Potem rozjarzyły się panele słoneczne i dzienne światło zalało parki, sklepiki, restauracje i kładki dla pieszych.

Rozległy się oklaski. Z początku powściągliwe i uprzejme. Niemal niedbałe. Lecz ktoś wzniósł radosny okrzyk, który podchwycili inni, wiwaty osiągnęły szczyt i trwały bardzo długo.

NEWSNET. AKTUALNOŚCI Z 12:30.

(Kliknij po szczegóły)

WYZNAWCY NA CAŁYM ŚWIECIE OBCHODZĄ URODZINY BUDDY

CZY NASA ROZWAŻAŁA WYSŁANIE NA MARSZA ZAŁOGI ZŁOŻONEJ Z SAMYCH KOBIET?

Przeciek: To najlepszy sposób
na zapewnienie stabilności psychicznej
Zaprzeczenia jakoby polityka wpłynęła na obecne przydziały

TRANSGLOBAL ZDOBYWA NAGRODĘ TCHÓRZA ZA ATRYKUŁY NA TEMAT BIAŁEJ PLAGI

Fałszywe doniesienia, że wirus Zambezi przenosi się
drogą powietrzną śmiertelnie wystraszyły miliony
i przyniosły Transglobalowi 34 doroczną nagrodę
przyznawaną przez National Anxiety Center.

Baseball

AARON POBIŁ DZIŚ REKORD „HOME RUNS” USTA- NOWIONY 50 LAT TEMU PRZEZ BABE'A RUTHA

Zdobył 715. w Atlancie, w meczu przeciwko Dodgersom z Los
Angeles 755 Aarona wciąż nie pobite

PRZEWRÓCIŁ SIĘ PROM DO TOKIO

Prawdopodobnie zginęły setki ludzi Naoczni świadkowie twierdzą, że statek był przepełniony

DZISIAJ CAŁKOWITE ZAĆMIENIE SŁOŃCA

Spektakl na niebie widoczny na dużym obszarze terytorium USA

WATYKAN ZAPRZECZA POWAŻNEJ CHOROBY PAPIEŻA

Innocenty jest „zmęczony, lecz w dobrej kondycji”

DZIŚ OTWARCIE BAZY KSIĘŻYCOWEJ, WICEPREZYDENT PRZEWODZI CEREMONII

Obserwatorium Beaver Meadow, North Java, stan Nowy Jork. 12:38

Wesley Feinberg dwukrotnie otrzymał Nagrodę Nobla: za udział w obliczeniu wieku wszechświata oraz za ustalenie związku pomiędzy grawitacją i efektami kwantowymi. Był też dyrektorem AstroLab na Harvardzie w centralnym Massachusetts. Szanowany przez równych sobie, traktowany przez studentów jak pomniejsze bóstwo i obdarzany wszelkimi możliwymi korzyściami ubocznymi przez instytucję, która była szczęśliwa, że ma go u siebie. Ostatni prezencik: wyjazd do Obserwatorium Beaver Meadow w North Java, w stanie Nowy Jork, które było na trasie zaćmienia.

Feinberg cieszył się z tego wyjazdu. Nie tylko z powodu wydarzenia astronomicznego. Był kawalerem, który poświęcił życie astronomii i odkrył, że to nie wystarczy. Podróż do Beaver Meadow wyrwała go z mieszkania, którego coraz bardziej nie cierpiał, i pozwoliła *znaleźć* się wśród nowych ludzi. Własne życie stanowiło dla niego pewną zagadkę. Osiągnął wszystko czego pragnął, nawet więcej niż kiedykolwiek uważał za możliwe. Jednak wyczuwał, że coś okrągłego i czarnego nasunęło się na istotę jego egzystencji blokując światło.

Beaver Meadow to niewielki ośrodek. Ma tylko trzy teleskopy, największy to reflektor Claytona-Brausteina, przekazujący obraz na ekran o przekątnej pięć i pół metra. Obserwatorium zarezerwowało dla niego komputer umieszczony w najlepszym miejscu, skąd można było obserwować ekran ścienny. Dyrektor, Perry Hoxon, spytał czy potrzebne mu coś jeszcze.

Hoxon był zajęтым i nieszkodliwym człowieczkiem. Feinberg wyjaśnił, że nie pracuje nad żadnym konkretnym projektem. W gruncie rzeczy zadowoliliby się spokojnym siedzeniem na ławeczce w pobliskim parku i prostą przyjemnością płynącą z obserwacji zaćmienia. Lecz tak, niewątpliwie był wdzięczny za miejsce w pierwszym rzędzie (tak naprawdę czułby się poirytowany, gdyby mu go nie zaproponowano).

Teraz, w miarę rozwoju zjawiska, zastanawiał się czy nie powinien był wyjść na zewnątrz i obserwować wszystkiego z parkingu. Do ośrodka przybyło kilkaset osób. Dzieciaki się śmiały, niemowlęta płakały i cały czas toczyły się rozmowy, które nie ucichły nawet do ostatnich chwil tuż przed całkowitym zaćmieniem. Feinberg widział już coś podobnego, całkowity brak szacunku dla wydarzenia, ludzi, którzy wpadli do obserwatorium po drodze do supermarketu. Potem ostatnie błyski światła znikły z ekranu. Pojawiły się jasne smugi i paciorki otaczające ciemny dysk. Efekt „diamentowego pierścienia”. Kilka osób wiwatowało, zupełnie jakby ktoś właśnie miał zdobyć punkt. Westchnął i skoncentrował się na zjawisku, odcinając się od reszty świata. Jak szczęśliwie się złożyło, że Księżyc i Słońce są podobnej wielkości katowej, i jak mało to było prawdopodobne! Na żadnej innej planecie w Układzie Słonecznym nie można było doświadczyć nawet w przybliżeniu czegoś podobnego. Gdyby on, Wesley M. Feinberg, projektował układ, chciałby stworzyć dla inteligentnego gatunku właśnie jakieś takie spektakularne widowisko. I wcale nie był pewien, czy pomyślałby o tym konkretnym zjawisku.

Hałas wśród publiczności przywołał go do rzeczywistości. Głos był męski, pełen zniecierpliwienia: „Zacze-

kam w samochodzie!". *Jakże* tępi i pozbawieni wyobraźni byli przeciętni ludzie.

- Profesor Feinberg?

Oderwał wzrok od ekranu. Jeden ze stażystów obserwatorium, bardzo młody chłopak wyraźnie onieśmiewiony jego obecnością, podawał mu kawałek papieru.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie profesorze.

Właśnie przyszła do pana wiadomość.

Wziął ją, skinął głową, nie czytając wepchnął kartkę do kieszeni i wrócił do zaćmienia. Korona słoneczna była wspaniała: z ciemnego dysku wybuchały fontanny i serpentyny długie na miliony kilometrów. Spektakl rozwijał się i zanikał z matematyczną precyzją, kosmiczna symfonia światła i potęgi. Patrzył, słysząc teraz tylko uderzenia własnego serca, pragnąc *znaleźć* się bliżej, uchwycić ogrom widzianego.

- Profesorze, wydaje mi się, że to trochę pilne.

Tym *razem* inny głos. Hoxon. W pierwszej chwili Feinberg nie był pewien o czym ten człowiek mówi. Potem przypomniał sobie wiadomość. Wyłowił ją z kieszeni.

Była z Laboratorium Orbitalnego.

WES,

NIETYPOWY OBIEKT ZGŁOSZONY PRZEZ OBSERWATORA Z REJONU ST. LOUIS. PROSZĘ O WERYFIKACJĘ

Na dole strony, zakreślone prostokątem, widniały współrzędne. Obiekt znajdował się dokładnie pośrodku Ryb.

- Zaraz wracam - powiedział Hoxonowi.

I tak chciał wyjść na zewnątrz, oddalić się od tłumu, od pełnej sali. Chciał zatopić się w zjawisku, posmakować je, odcisnąć w duszy.

Zapiął sweter, szybko przeciął wyłożoną parkietem podłogę i wyszedł na parking. Było dziwnie zimno, wcisnął ręce do kieszeni. Obserwatorium znajdowało się w parku, którego chodniki i trawniki były puste. Feinberg odnalazł Gwiazdę YanMaanena, popatrzył na lewo

od niej i zobaczył światełko, którego nie powinno tam być. Zaśmiał się i powodowany czystą radością wyrzucił w górę prawą pięść.

3.

Baza Księżycowa, Dzielnica Grissoma. 12:49.

Sam Anderson był szefem zespołu ochraniającego wiceprezydenta od sześciu miesięcy. Czuł się niezbyt szczęśliwy. Zadanie powinno być stosunkowo proste. Znajdowali się w strefie o ograniczonej dostępności, wszyscy mieszkańcy Bazy przeszli testy psychologiczne eliminujące świrów, wszyscy goście należeli do elit i w bardziej dostępnych miejscach podróżowaliby z własną ochroną.

Niemniej sytuacja przedstawiała się niezbyt komfortowo. Oczywiście, będąc na służbie Sam nigdy nie czuł się zbyt swobodnie. Zawsze zakładał istnienie potencjalnego zabójcy, tylko szukającego okazji. Zaś Baza miała dla niego kilka wyraźnych, ujemnych stron.

Ludzie zwykli tu żyć i pracować w małych odległościach od siebie. W korytarzach i salkach konferencyjnych po prostu nie dało się otoczyć „Teddy'ego”. Takim kryptonimem obdarzyli swojego podopiecznego. Było to oczywiście nawiązanie do przechowywanych przez wiceprezydenta w biurze szkiców i pamiątek. Samowi szczególnie podobał się fotomontaż przedstawiający Theodore'a Roosevelta i Charliego Haskella, obu odzianych w skórzane ciuchy, stojących przed knajpą Dakota Saloon w Badlands.

W Bazie obowiązywał zakaz posiadania broni ręcznej. Żadnych wyjątków, poinformowano Sama, gdy próbował oponować. W rezultacie agenci byli uzbrojeni jedynie w ogłuszacze. Nie na wiele by się zdały, gdyby komuś udało się przemycić pistolet przez czujniki.

Wsparcie, rzecz oczywista, znajdowało się bardzo daleko. Baza nie miała jakichkolwiek sensownych sił

bezpieczeństwa. Zakładano, że mieszkańcy będą stosować się do nakazów i przestrzegać reguł. Można było sobie poradzić z człowiekiem, który wypił za dużo i zaczął rozrabiać. Jednak kilka osób mających przestępcze zamiary, gdyby udało im się przemycić broń do bazy (co, według Sama, nie byłoby wcale tak trudne), bardzo łatwo mogło osiągnąć swoje cele. Zastanawiał się, czy tu na Księżycu wydarzy się jakaś nieduża katastrofa zanim ludzie zmądrzeją i zorganizują porządną oddział policji.

Coś innego go niepokoiło. Przyzwyczajenie się do jednej szóstej g zajmowało trochę czasu. Gdyby agenci musieli zareagować na zagrożenie, wcale nie był pewien na ile okazaliby się skuteczni. Szybkie ruchy zwykły tu powodować obijanie się ludzi o ściany.

Sam miał trzydzieści osiem lat, był dwukrotnie rozwiedziony, po jednym dziecku z każdego małżeństwa. Skończył stanową szkołę wyższą w Ohio, gdzie przebiegał dwieście dwadzieścia jardów najszybciej w historii uczelni. Pracę napisał z nauk politycznych, został powołany i cztery lata przesłużył jako oficer marynarki. Kolega przekonał go tam o zaletach i blasku chwały Secret Service. Wstąpił na służbę, a kumpel zmienił w ostatniej chwili zdanie i poszedł do szkoły prawniczej, gdzie nauczył się jak zbijać fortunę bronią spraw nie do obrony.

Pierwszy przydział Sam dostał do Detroit.

Oczywiście, żadnych godnych wzmianki blasków chwały nie było, ale płacili znacznie, a praca mu się podobała. Człowiek nie mógł żądać więcej. Radził sobie dobrze, zdradzał pewne predyspozycje do pracy wywiadowczej i dwukrotnie go awansowano. W końcu dostał przydział do Białego Domu. Za rok o tej samej porze spodziewał się być już dowódcą jednego z głównych oddziałów.

Sam mierzył metr osiemdziesiąt i wyglądał jak wzorcowy filmowy agent: ciosane rysy; bystre, brązowe oczy i konserwatywnie przycięte czarne włosy. Na służbie łatwo wpadał w manierę mówienia zimnym, monotonnym

głosem brzmiącym niemal jak parodia sposobu wypowiedzenia się hollywoodzkich agentów. Jednak nikomu to najwyraźniej nie przeszkadzało i na przyjęciach poże-gnalnych czy oblewaniu nagród, kumple nigdy nie omieszkali go trochę ponaśladować. Zawsze budziło to śmiech.

Był dobry w swojej robocie: twardy, odpowiedzialny, bystry. Obie jego żony uważały też, że ma i duszę, bardzo starannie ukrytą. Być może zrezygnowały z niego w końcu właśnie dlatego, że dostrzegały tylko prze-błyski tej jego części, którą kochały. W przeciwieństwie do pozostałych członków jego zespołu bardzo by się cieszył z pobytu w Bazie, gdyby tylko mógł się odprężyć na parę godzin.

Z powodu natury zadania, tylko trzech agentów przy-dzielono do jego grupy. Wszyscy przez cały czas trwania ceremonii trzymali się tuż koło powierzonej im osoby. W innych przypadkach Sam dzielił dyżury, żeby mogli trochę odpocząć. (Zwiedzanie było poza wszelką dysku-sją.) Ale cztery osoby to po prostu za mało, żeby porządnie wykonywać tę robotę. Trzymali się Teddy'ego od chwili opuszczenia Białego Domu i zaczęli już odczuwać zmęczenie.

Wiceprezydent, podobnie jak większość innych wysoko postawionych polityków, nie lubił środków bezpieczeństwa, lecz znosił je pogodnie i otwarcie przyznawał, że wolałby nie musieć szukać swoich agentów, gdyby okazali się potrzebni. Swoich agentów. Charlie Haskell był wystarczająco bystry by dać im do zrozumienia, że wie co muszą robić, i że ich docenia. Dzięki temu, gdyby dostał nominację partyjną miał zapewnione głosy swojej ochrony.

Pracownicy Secret Service otrzymali podwójny po-kój, który stanowił skrzyżowanie kwatery i centrum ope-racyjnego. Sam wiedział, że świętowanie przeciągnie się do bardzo późnych godzin, a Teddy lubił imprezy. Zano-siło się więc na długą noc. Przynajmniej jedno było do-bre: w Bazie obowiązywał czas Waszyngtonu, więc nie musieli borykać się ze stresami związanymi ze zmiana-mi stref czasowych.

Szef operacyjny twierdził, że mając taki przydział nie będą się przemęczać. Lecz Sam przejmował się, dokładnie tak, jak go uczono. Od ponad sześćdziesięciu lat Secret Service nie straciła ani jednego człowieka i nie miał zamiaru przerywać tej passy.

Laboratorium Orbitalne na Skyport. 13:00.

Księżycowy cień dotarł do Nowej Anglii i Kanady. Przesunął się tuż na południe od Rzeki Świętego Wawrzyńca. Po północnej stronie, w Toronto i Montrealu zaćmienie było tylko częściowe. Lecz tysiące entuzjastów przejechało autobusami, samochodami i pociągami do Granby, Magog i St.-Hyacinthe oraz przez granicę ze Stanami do Burlington i Plattsburga. Zaćmienie prze-wędrowało przez Nowy Brunszwik, zsunęło się do zatoki i zaczęło przyspieszać po rosnącej krzywiznie Ziemi. Szybko minęło południowy koniuszek Nowej Funlandii i późnym popołudniem dotarło do St.John. Zagrała orkiestra a mieszkańcy rozpoczęli obejmującą całe miasto zabawę, która przeciągnęła się do późnego wieczora. Do tego czasu cień dawno już znikł, mijając północny Atlantyk, a potem spływając całkowicie z planety,

Gdzieś w trakcie tych wydarzeń, Wesley Feinberg potwierdził doniesienie Tomiko Harrington, że coś nowego pojawiło się na niebie.

Zaleca się podjęcie działań w celu ustalenia natury obiektu, brzmiało podsumowanie jego raportu.

- Prawdopodobnie jest to słoneczny ślizgacz - powiedział przez telefon do Windy Cross.

Na nieszczęście obiekt znów zniknął w blasku słońca. Żaden teleskop optyczny nie mógł się już przydać. Lecz Windy miała jeszcze inne możliwości.

Baza Księżycowa, Plac Główny. 13:11

Stoły rozstawione wzdłuż korytarza uginały się pod stosami jedzenia. Evelyn wykorzystała okazję by podziękować wszystkim, którzy - jak się wyraziła - przybyli z tak daleka by wspólnie cieszyć się uroczystością. Wręczyła pamiątkowe plakietki wiceprezydentowi oraz wie-

lu innym gościom. Kiedy feta się skończyła, jej uczestnicy rozproszyli się po kilku sklepach i barach czynnych w trakcie obchodów.

Tramwaj przejeżdżał przez jeden z parków. Rick obserwował go, wspominając kursujące latem wagoniki, którymi jako dziecko przemierzał miasteczko Lakę Michigan, a potem spojrzął na budynek zarządu Bazy. Winda zjeżdżała w dół. Kilku robotników kończyło montaż latarni. Inny instalował drzwi do windy, kolejni dwaj najwyraźniej sprawdzali kratę nad centralnym wąwozem.

Rick czuł się lepiej niż kiedykolwiek przez ostatnie trzydzieści lat. Księżycowa grawitacja dawała poczucie ogólnego świetnego samopoczucia, czystego ożywienia. Gdyby dało się to zabutelkować, powiedział wiceprezydentowi, zbilibyśmy fortunę.

Później spędził trochę czasu z dziennikarzami, stawiając im drinki, od niechcienia wspominając o planach wiceprezydenta, w jaki sposób naród skorzystałby na jego rządach, oraz - pokrótce mówiąc - robiąc co tylko mógł, by zapewnić sobie ich poparcie w nadchodzącej kampanii. Wykonywał te obowiązki z czystą przyjemnością. Był urodzoną duszą towarzystwa. Szczerze lubił dziennikarzy, a oni o tym wiedzieli, więc odruchowo bardziej przychylnie traktowali jego zabiegi. Nieświadomie, oczywiście, ale jednak. To właśnie sympatia mediów była największą zaletą Ricka dla kandydującego w wyborach.

Uważał też by nie zlekceważyć przedstawicieli prasy. Przy okazji tej uroczystości rzecznik Bazy będzie udzielał wywiadów i Rick chciał mieć pewien wpływ na to, co zostanie powiedziane. Toteż wstąpił do biura prasowego, przedstawił się i udał poważne zainteresowanie jego działalnością. Czy chciałby pan zwiedzić nasz skromny kącik Bazy, panie Hailey?

Oczywiście, że chciał. Tu jest wydział produkcji wideo, a tam grupa koordynacyjna dla VIP-ów. Kiedy przechodzili przez dział szkolenia (kierowany przez tę samą osobę, co wydział prasowy), Hailey zauważył wyjątkowo

piękną młodą kobietę. Miała szare oczy z zielonymi plamkami i blond włosy. Przyglądała mu się z zaciekawieniem, do którego wszyscy bliscy współpracownicy wiceprezydenta byli przyzwyczajeni.

- Kto to taki? - zapytał prowadzącego niewinnym tonem.

- Och - padła odpowiedź - to tylko jedna z technik łączności.

Nie drążył tematu. Byłoby to niestosowne.

Wtedy wyszła z pomieszczenia, z plikiem papierów w dłoni.

Richard Daley Hailey uwielbiał dreszczyk i blask polityki, gdzie polowano raczej na władzę niż pieniądze. Kiedy więc wuj, ubiegający się o stanowisko radnego, poprosił go o pomoc, wziął urlop, oderwał się od pracy rzecznicza prasowego i poprowadził kampanię. Określił, które problemy będą przedstawiać jako najważniejsze (wywózka śmieci i naprawa nawierzchni), które aspekty korupcji przeciwnika podkreśla (nepotyzm i łapówkarstwo), które grupy wyborcze postarają się pozyskać, a z których zrezygnują.

Odkrył, że ma idealnego nosa do takich spraw i jego wuj wygrał bez trudu. Rick nigdy nie powrócił do dawnego zajęcia.

Kilka lat później dopilnował wyboru Avery'ego Fostera, najbardziej niekompetentnego burmistrza, jakiego kiedykolwiek widziano w Chicago. To zwycięstwo zapewniło Rickowi reputację. Kiedy, w późniejszych latach, dziennikarze próbowali dołożyć mu posługując się korupcją i niekompetencją Fostera, Rick twardo utrzymywał, że jego zadaniem w kampanii politycznej nie było wykrywanie prawdy.

- Moja praca - powiedział kiedyś w Fox TV, - polega na reprezentowaniu jednej albo drugiej strony. Prawda wychodzi na jaw w trakcie starcia idei, a nie wskutek działań pojedynczej osoby.

Od czasów Fostera wygrał już wiele kampanii, nigdy nie przegrał, a teraz z przyjemnością pracował dla Charliego Haskella, chociaż doprowadzenie do wygranej dobre-

go kandydata wydawało mu się zbyt małym wyzwaniem. W tej chwili Charlie miał kiepską pozycję, ale tylko dlatego, że Kollander odmawiał mu swojego poparcia. Był idealnym kandydatem - uczciwy, dość inteligentny, dysponujący podobną do Foster'a umiejętnością mówienia właściwych rzeczy. Młody, imponującego wzrostu metr dwięćdziesiąt trzy, przystojny, typ faceta, jakiego ludzie chcieliby widzieć przy boku swej córki. W dodatku wspólnie się uśmiechał. Przy amerykańskich wyborcach jeden uśmiech w rodzaju „oj, coś się pokręciło” kompensował cztery lata niewidzialności.

Rick żałował, że nie udało mu się zdobyć nazwiska dziewczyny o oczach w zielone plamki.

Laboratorium Orbitalne na Skyport. 13:58.

Tory spojrzała na środkowy ekran, gdzie widniał bezpośredni przekaz obrazu kotłujących się wenusjańskich chmur.

Sonda wysłana na tę planetę w 2016 roku niosła osiemdziesięciocentymetrowy teleskop Hofleitera, który - po wprowadzeniu do atmosfery głównego próbnika - wszedł na orbitę. Teleskop ten potrafił prowadzić obserwacje w ultrafiolecie, świetle widzialnym i w bliskiej podczerwieni, w zakresie długości fal od 115 do 1010 nanometrów. Wyposażono go w dwa spektrografy, bardzo czuły fotometr, szerokokątną kamerę półprzewodnikową i porządny system naprowadzania. Jego podstawowym zadaniem było sporządzanie map atmosfery Wenus i śledzenie jej turbulencji, co przy czyniało się do lepszego zrozumienia układów pogodowych na Ziemi.

Teraz proszono ich o zmianę celu. Robili to ze sporą niechęcią. W obserwacjach atmosfer planet ciągłość miała krytyczne znaczenie. Ważna była sekwencja zdarzeń i ich rozwój. Jednak druga wiadomość od Feinberga zmusiła ich do czynu.

PRAWDOPODOBNIIE KOMETA. BARDZO DUŻE HALO.

Kometa.

Tory była zachwycona. Uczestnictwo w takim odkryciu zawsze było ekscytujące, nawet jeśli uznanie zdobędzie Tomiko Jak-jej-tam z St.Louis. Lecz jeśli to jest kometa, okrąży Słońce i odleci tam, skąd przybyła. Co oznacza, że może być niewidoczna gołym okiem przez kilka miesięcy, do czasu gdy Ziemia dotrze na przeciwległą stronę swojej orbity.

Lecz to rodziło pytanie: Dlaczego nikt nie zauważył jej, powiedzmy, w październiku, kiedy zbliżała się do Słońca, a Ziemia znajdowała się po jego przeciwnej stronie?

- Gotowe - powiadomiła Windy.

- Do roboty.

Wprowadziła już współrzędne komety i teraz trzeba tylko było rozpocząć procedurę. Zrobiła to zamaszystym ruchem i razem z szefową obserwowała pociemnienie monitorów. Orbiter potrzebował kilku minut na zmianę położenia osi, wycelowanie i ustawienie ostrości.

- To pewnie dlatego, że jest niezbyt jasna - powiedział Windy. - Zawsze tak jest.

- Zawsze?

- No, od czasu do czasu.

Zaczęły nadchodzić obrazy. Wyostrzyły się i zobaczyli ją!

- Kometa Tomiko - powiedziała Tory.

Windy uśmiechnął się szeroko.

- Tak trzymaj - powiedział. - W końcu będziesz miała swoją własną.

Zwiększyła powiększenie.

- Skromny warkocz.

Był przejrzysty, ledwie widoczny.

Windy potrząsnął głową.

- Nie wiem czy kiedykolwiek wcześniej ją widziałem. Tory wywołała rejestr regularnie powracających komet i zainicjowała przeszukiwanie.

- Nic nie ma - oznajmiła po dłuższej chwili. - Tej nie znamy.

Baza Księżycowa

Wtorek, 9 kwietnia

1.

Baza Księżycowa, Pokój Jadalny Dyrekcji. 7:15.

Charlie usłyszał o komecie przy śniadaniu. Jadł je w towarzystwie kilkunastu innych specjalnych gości, kiedy Slade Elliott o niej wspomniał. Jego komentarz był pobieżny i bagatelizujący. Dla Charliego, podobnie jak i dla większości pozostałych VIPów kometa była światełkiem na niebie, na które można by spojrzeć gdyby przez przypadek znalazło się na pozbawionym latarni kawałku szosy. Lecz wydało mu się właściwe, że informację przekazał człowiek, który zbił majątek grając zawadiackiego dowódcę fikcyjnego statku kosmicznego.

Evelyn wykorzystała śniadanie by przedstawić Jacka Chandlera, który miał zostać pierwszym dyrektorem Bazy Księżycowej. Chandler był krępy, poważny i powściągliwy. Ściskając dłonie notabłom miał niezbyt szczęśliwą minę, lecz rozsiewał wokół siebie atmosferę spokojnej kompetencji. Jako polityk byłby beznadziejny, lecz wiceprezydent wyczuł, że jako administrator poradzi sobie całkiem dobrze. Jednak potrzebowałby, pomyślał Charlie, dobrego doradcy do spraw opinii publicznej. Kogoś takiego jak Rick. Dyrektor

Bazy Księżycowej zostanie wplątany w politykę, czy tego chce, czy nie.

Kiedy się rozchodzili Charlie przydybał Evelyn.

- Chciałem prosić o przysługę - powiedział.

- Słucham.

- Chcę wyjść na zewnątrz.

Sam Anderson zbladł i zaczął gwałtownie potrząsać przecząco głową. Charlie udał, że jest zbyt zajęty rozmową, żeby spostrzec gesty swojego szefa ochrony.

- Na powierzchnię? - upewniła się Evelyn.

- Oczywiście. Na powierzchnię.

Zawahała się.

- Czy ma pan jakiegokolwiek doświadczenie ze skafandrami?

Sam wyglądał jakby miał za chwilę eksplodować.

- Pani ludzie mogą mi to pokazać - powiedział

Charlie.

- Panie wiceprezydencie, nie zezwalamy na wyjście na zewnątrz nikomu, kto nie ma dogłębnej znajomości sprzętu.

- Ile czasu zajmuje dogłębne zapoznanie się z nim?

- Zwykle kilka dni. Prowadzimy szkolenie zakończone pisemnym testem i egzaminem praktycznym. Oraz ze sprawności fizycznej.

Charlie westchnął.

- Nie zostanę tu aż tak długo.

Evelyn uśmiechnęła się współczująco.

- Jak pan sądzi, co by mi zrobili gdybym straciła wiceprezydenta?

- Daliby pani medal.

Jeden z doradców usiłował zwrócić na siebie jej uwagę. Odwróciła się na moment, podpisała jakiś papier, potem znów popatrzyła na Charliego z bardzo poważnym wyrazem twarzy.

- To jest ryzyko - oznajmiła, - którego wolałabym nie podejmować. Czy mogę spytać dlaczego chce pan wyjść na zewnątrz?

Bo zawsze chciałem to zrobić, a teraz być może mam jedyną szansę.

- Mogę już nigdy tu się nie *znaleźć* - wyjalnił.
Przyglądała mu się przez długą chwilę.

- A kiedy chciałby pan popełnić to głupstwo?

Charlie czuł się jak dzieciak stojący twarzą w twarz z niechętnym nauczycielem. Jak trudne może być nauczenie się spacerku w skafandrze?

- Kiedy tylko pani zechce - odparł.

Westchnęła.

- Proszę zrozumieć, moim zdaniem to kiepski pomysł. - Popatrzyła na Sama, zapewniając sobie świadka w przyszłym dochodzeniu. - Jednak - do dała - na pańskim miejscu też chciałabym wyjść na zewnątrz.

Wzięła go za rękę. Jej uchwyt był dziwnie elektryzujący.

- Możemy zrobić to zaraz, jeśli pan chce.

Tak, zdecydował Charlie, bardzo chce. Zawołał Ricka i polecił mu odwołać wszystkie poranne zajęcia. Rick był, oczywiście, przerażony.

Sama też to nie uszczęśliwiło.

- Przepraszam, sir. Nie mogę na to pozwolić. To po gwałcenie wszelkich zasad.

- Uspokój się, Sam - rzekł Charlie. - Nic mi nie będzie.

Baza Księżycowa była budowlą podziemną. Powierzchnia znajdowała się dziewięć pięter nad jadalnią dyrekcji. Evelyn, Charlie, Sam i Isabel wsiedli do windy, która wyjechała ponad budynek zarządu zapewniając panoramiczny widok na Plac Główny. Z tej perspektywy Baza Księżycowa przypominała zwykły ogromny park.

Na najwyższym piętrze przeszli krętym korytarzem, którego ściany ozdobiono zdjęciami przedstawiającymi kolejne stadia konstrukcji Bazy. Zatrzymali się przed ciężkimi, metalowymi drzwiami opatrzonymi napisem UWAGA - OSOBOM NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Na ścianie wisiał interkom. Evelyn wystukała numer, podała swoje nazwisko i drzwi otworzyły się.

Weszli do długiego pomieszczenia pełnego ław, pojemników ze sprzętem, szaf i regałów. Z przebiegających nad głowami prętów zwisały skafandry w różnych jaskrawych barwach. Zza biurka wyszedł technik i stanął obok nich w gotowości.

- Mamy kilka wyjść na poziomie gruntu - wyjaśniła Evelyn. - Na zewnątrz jest sporo roboty. Baza wciąż jest w budowie, jak pan wie. Personel wciąż kręci się tam i z powrotem. Także naukowcy, pracownicy obsługi i od czasu do czasu turysta.

Przy tych słowach wyraźnie poweselała i zacisnęła usta.

Technik podał im dwa skafandry, jeden złoty, drugi cynobrowy. Evelyn wzięła pierwszy z nich i zdjęła buty.

- Panu przypada ten bardziej wściekły - uśmiechnęła się.

- Chwileczkę - zaprotestował Charlie. - Wcale nie chciałem wyciągać pani na zewnątrz.

- Nikt nie wychodzi sam. Nie wolno i koniec.

Miało to sens.

- Okay. Lecz dlaczego nie wyśle pani kogoś innego? Nie chcę zabierać pani czasu.

- Pójdę z przyjemnością - odparła.

- Ja też będę potrzebował skafandra - odezwał się Sam, urażonym tonem.

- Dlaczego? - zdziwił się Charlie. - A kto tam będzie chciał do mnie strzelać?

- Sir, moim zdaniem to nie ma znaczenia. To nie bezpieczne i wolałbym, żeby pan tego nie robił.

- To już postanowione.

- Muszę iść z panem. To należy do moich obowiązków.

- Na ile jest pan obeznany ze sprzętem?

- Słabo.

- Co oznacza, że na ile by się pan przydał w razie zagrożenia?

Sam zaciskał nerwowo szczęki.

- Na niewiele.

- Mógłby się nawet pan sam stać zagrożeniem. Proszę cierpliwie tu poczekać, Evelyn zadba o mnie i wróci my za parę minut.

Evelyn poinformowała go w skrócie o zasadach, które oznaczały przede wszystkim nie tykanie bez potrzeby przycisków kontrolnych skafandra po ich początkowym ustawieniu. Pokazała mu jak zmieniać ciśnienie powietrza, temperaturę i jak używać radia.

- Proszę pamiętać o różnicy siły ciężenia - przy pomniła. -To jest prawdziwe niebezpieczeństwo. Jest tu mnóstwo rozpadlin, kraterów, szczelin, do wyboru do koloru, w które można wpaść. Trzeba się dobrze rozglądać. Skafander jest mocny, ale wciąż jeszcze można zrobić w nim dziurę. Czerwone światło oznacza, że ma pan kłopoty i musi natychmiast wracać. Jeśli pan zobaczy czerwone światło, tu też je zobaczą i każą panu wracać. Jeśli coś takiego się wydarzy, żadnych dyskusji, OK?

Charlie nie był durniem.

- Jak często zdarzają się czerwone światełka?

Wzruszyła ramionami.

- Słyszysz się od czasu do czasu.

Założyli mu hełm i powietrze z sykiem wypełniło skafander. Evelyn sprawdziła radio.

- Wszystko w porządku?

- Świetnie.

- To dobrze. - Włożyła swój hełm. - Będzie się panu podobało, panie wiceprezydencie.

Technik wprowadził ich do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie czekała na nich otwarta śluza. Charlie wszedł do niej za Evelyn i technik zamknął drzwi. Zaczęły migać kolorowe światła.

- Poczujecie pan mrowienie przy zmianie ciśnienia

- powiedziała Evelyn.

Nie widział jej twarzy za przydymionym pleksiglasem.

- Ile razy pani była na zewnątrz? - zapytał.

Roześmiała się.

- Raz czy dwa.

Charlie uznał, że go nabiera, ale po tym stwierdzeniu zapadło długie milczenie.

- Żartuje pani - obruszył się w końcu.

- Tak. Byłam kilka razy. Nie tak często jakbym chciała.

Zapaliło się zielone światło i wyjściowe drzwi rozsunęły się jak migawka centralna. Charlie wyjrzał na powierzchnię Księżyca, potrzaskaną równiną wyciosaną w srebrzystym świetle. Niebo było ciemne, ale wypełnione mrowiem gwiazd.

Czekała, przepuszczając go przodem.

- To wspaniałe - powiedział.

Przeszedł przez próg śluzy, stanął na regolicie. Światło, a przynajmniej jego większa część, pochodziło od Ziemi, która wisiała niemal wprost nad ich głowami, wielka, błękitno-biała.

- Jest prawie czterdzieści razy jaśniejsza niż księżyc w pełni na niej - powiedziała Evelyn.

Horyzont znajdował się bardzo blisko. Gdyby istnieli tu tubylcy, bez wątpienia wiedzieliby, że żyją na powierzchni kuli.

Brak mu było słów. Wielokrotnie widział hologramy, ale żaden nie przypominał obecnego widoku.

Evelyn zaprowadziła go do prostokątnego, ogrodzonego obszaru, o wymiarach mniej więcej trzydzięści na piętnaście metrów. Nad nim, na niewielkiej wysokości zbudowano chodnik. Tu i tam widoczne były ślady stóp, przy każdym na niewielkiej tyczce znajdowała się żółta tabliczka. Wskazała na umieszczone na nich nazwiska. Wszystkie znajome i bardzo znane: Sheila Davidson, dowodząca pierwszą wyprawą księżycową po przerwie; Angela Mikei, pierwsza kobieta, która urodziła dziecko na Księżycu, Ed Harper, który nadzorował większą część budowy. Evelyn pokazała na gładki kawałek powierzchni regolitu.

- Chciałabym, żeby pan tam stanął - powiedziała.

- Dlaczego?

- Pan należy do tego miejsca.

- Nie sędzę.

- Jeśli wygra pan jesienią, ludzie za setki lat będą patrzyli na pana ślady i pamiętali o pierwszym prezydencie, który spacerował po Księżycu.

- A jeśli przegram?

Uśmiechnęła się.

- Przyniesiemy kawał liny i przeciągniemy po nich walcem.

Popatrzył ponownie na Ziemię na czarnym niebie, błękitną, ciepłą, kuszącą.

- Rozumiem - powiedział, - dlaczego ludzie trafiają cy tu odnajdują w sobie wiarę.

Po chwili, w przypiływie ostrożności spytał:

- Czy tam w środku mnie słyszą?

- Każde słowo, sir - rozległ się głos technika.

- W porządku - uspokoiła go Evelyn. - Nikt nie będzie pana cytował.

- To dobrze.

Po raz kolejny Rick wypomniałby mu, że spontanicznie wygłoszona uwaga nie raz pograżyła kandydata. George Romney znikł ze sceny, gdy po powrocie z południowowschodniej Azji zażartował, że przeszedł tam pranie mózgu. Teddy Roosevelt wykluczył się z drugiej kadencji nie zastanowiwszy się w porę, a Mary Emerson była o włos od zostania pierwszą kobietą na stanowisku prezydenta kiedy powiedziała dziennikarzowi, że z Medicaid korzysta duża liczba nierobów.

Zszedł na oznaczony teren usiłując pozostawić wyraźne ślady. Myśl o ludziach stających w tym miejscu w przyszłych wiekach, pokazujących sobie, że to tu właśnie stapał Charlie Haskell sprawiała mu ogromną satysfakcję. Pierwszy prezydent Ery Kosmicznej. Ładnie to brzmiało.

Przyszło mu do głowy, że Evelyn prawdopodobnie zastanawiała się, czy ten jego spacer to nie sztuczka polityczna. Coś takiego ha pewno pojawi się później w jego biografii, sporządzonej dla potrzeb kampanii. Lecz nic nie mógł na to poradzić. Zastanawiał się, nie po raz pierwszy, czy polityczna kariera warta jest tych wszystkich kłopotów. Lubił polityczne przepychanki,

kochał wygrywać i sprawiało mu przyjemność znajdowanie się na pozycji pozwalającej wpływać na bieg wydarzeń. Lecz miało to swoją cenę. Nigdy już nie będzie mógł wybrać się do knajpy, czy Wal-Martu nie przyciągając tłumów.

Umieszczony w tyle hełmu wiatraczek zmienił ton, dostosowując się do temperatury albo wilgotności.

Z politycznego punktu widzenia najpoważniejszą wadą Charliego był jego stan kawalerski. Partia żywiła przekonanie, że wyborcy będą się niezbyt dobrze czuli bez Pierwszej Damy. Badania opinii publicznej nic takiego nie wykazywały, ale stanowiło to tajemnicę polityczną w społeczeństwie coraz bardziej zwracającym uwagę na moralność osobistą w czasach, gdy tylko jedno małżeństwo na sześć okazywało się trwałe.

Grunt był szary i kruchy. Przewodniki utrzymywały, że Księżyc niewiele się zmienił w ciągu ostatnich jakichś trzech miliardów lat. Nie było tu żadnej aktywności wulkanicznej, żadnego klimatu, wiatru mogącego coś przesunąć. Na tym świecie nic się nie działo, jeśli nie liczyć spadających od czasu do czasu odłamków skał.

Wspiął się z powrotem na chodnik i rozejrzał po płaskiej równinie.

- Myślałem, że Baza znajduje się w kraterze - zdziwił się.

Evelyn stała tuż za nim, dzięki czemu nie przeszkadzała mu się rozglądać.

-To prawda. Ale ten krater jest duży, a Księżyc mały. Alfons ma sto siedemnaście kilometrów średnicy. Jesteśmy pośrodku niego i ściany obrzeża znajdują się poniżej horyzontu. Ale są tam. Jeśli pan chce, możemy tam pojechać.

- Tak - powiedział Charlie. Przyglądał się jej przez długą chwilę, żalując, że nie widzi jej twarzy. - Pani miałaby na to ochotę, prawda?

Zachichotała.

- Chyba mnie pan przyłapał - przyznała. - Ale tak. Za pozwoleniem wiceprezydenta możemy zmienić tę wycieczkę w większy wypad.

- Jak najbardziej - potwierdził Charlie. Popatrzył na horyzont. - Zastanawiam się, czy stąd widać by było kometę.

Evelyn milczała, za to z radia dobiegł głos technika.

- Nie, sir, nie widać jej z Bazy.

- Szkoda - mruknął Charlie.

Obserwatorium Beaver Meadow. 9:30

Wesley Feinberg odwołał swój lot do domu i został w Beaver Meadow. Hoxon przydzielił mu pokój i komputer, więc podłączył się do Kitt Peak, NASA, Zielenczukskiej oraz dwudziestu innych instytucji. Oczywiście społeczność astronomów była podekscytowana i trwała walka kto pierwszy znajdzie istotne informacje o komete. Czy można ją zidentyfikować przez porównanie z czymkolwiek w archiwach? Jak jest duża? Dokąd zmierza?

Szybkim sposobem na poznanie komety byłoby przesledzenie jej pozycji, powiedzmy, w styczniu czy lutym. Wtedy można obliczyć jej trajektorię. Powinna być widoczna na początku roku, czyli rzecz tkwi jedynie w drobiazgowych poszukiwaniach.

Lecz jak dotąd ilość danych była niewystarczająca by choćby w miarę sensownie zgadywać, gdzie mogła się znajdować na zimowym niebie. Feinberg pracował metodycznie, wywołując na ekran kolejne fragmenty nieba i porównując je z bazą danych w nadziei na znalezienie obiektu do niej niepasującego. Obrazy wykonano przy użyciu ACCD, czyli wykorzystujących wysokosprawne układy ze sprzężeniem ładunkowym kamer, w które wyposażono główne teleskopy ziemskie i orbitalne. Zdjęcia były dużo ostrzejsze niż te, z którymi pracował zaczynając karierę pod koniec ubiegłego wieku.

Wiedział, że cała armia zawodowców i utalentowanych amatorów robiła dokładnie to samo, ale nie zamierzał siedzieć i czekać na wyniki innych. Choć zaprzeczyłby temu, to jednak lubił rywalizację i bardzo pragnął wyprzedzić pozostałych. Mimo wszystko prawdopodobieństwo zwodzenia go przez każde światełko nie-

pasujące do katalogu było dużo mniejsze. Ale po całonocnej pracy nie osiągnął nic. Rzecz zrozumiała. Za to zupełnie niepojęty był całkowity brak rezultatów u wszystkich innych.

Feinberg pracował dalej, prawie do szóstej rano, kiedy zaczął przysypiać nad klawiaturą. W końcu dał za wygraną i poprosił o wstawienie kozetki do pomieszczenia gospodarczego, gdzie spał do południa. Wtedy kilka ośrodków już zgłosiło odkrycie wcześniejszych zdjęć obiektu. Jednak już krótkie spojrzenie na nie pozwoliło Feinbergowi odrzucić te znaleziska jako szczątki satelitów ziemskich, dwóch znanych asteroidów oraz, w jednym przypadku, mgławicę.

Późnym popołudniem wyników nadal nie było.

Dziwne.

- Trudno to pojąć - powiedział Hoxonowi, który dla formalności też prowadził poszukiwania.

Dyrektor zgodził się z tym stwierdzeniem. Szef tego obserwatorium miał orli nos, był gadatliwy, spędzał większość czasu na organizowaniu wycieczek turystycznych po swoich włościach i wykazywał zdumiewająco znikomą zainteresowanie prawdziwą astronomią. Uporczywie prowadził rozmowy o niczym z otaczającymi go ludźmi, którzy usiłowali pracować.

Feinberg poszerzył zakres poszukiwań, opierając się na założeniu, że kometa porusza się albo dużo szybciej, albo wolniej niż czterdzieści kilometrów na sekundę, co było typową prędkością. Pracował do późnego popołudnia, sortując zdjęcia, a tajemnica narastała.

O szóstej, stażystka podoktorska z Cerro La Silla w Chile, poprosiła o pomoc. Przesłała zdjęcia sugerujące, że odkryła drugą kometę. Widniał na nich obiekt znajdujący się po przeciwnej stronie Słońca, w pobliżu orbity Jowisza. Zrobiono je w dwie kolejne noce, 25 i 26 marca. Na obrazach tego samego obszaru sporządzonych sześć dni wcześniej nie było nic interesującego. Obiektu nie było również na trzeciej serii fotografii rozpoczynającej się 30 marca. Najwyraźniej znajdował się na niebie najwyżej przez dziesięć dni a potem zniknął.

Gdzie się podział? Stażystka pytała, czy ktoś jeszcze dysponuje zdjęciami interesującego ją obszaru wykonanymi w tym samym czasie.

To było już bardzo dziwne. Mieli dwie nieuchwytnie komety.

Pojawił się Hoxon i zaprosił Feinberga na obiad.

- Ja stawiam - powiedział.

Astronomowie z reguły zarabiają dość skromnie, toteż Feinberg wcale się nie zdziwił, gdy dyrektor zabrał go do pobliskiego Shoney's⁶ Rozmawiali o znalezisku z Chile. Feinberg zdawał sobie sprawę, że wygaduje się, ale jedyną odpowiedzią Hoxona było stwierdzenie, że to tylko stażystka i czort wie, co naprawdę widziała.

Mamy zdjęcia, durniu pomyślał Feinberg, ale nie powiedział tego głośno.

Półprzewodnikowe kamery zliczały fotony, potem liczby przekształcano w obrazy. Gdzieś pomiędzy befsztykiem a lodami z kremem, na które uznał, że zasłużył, Feinberg pomyślał o liczeniu fotonów i odciskach palców. Dwa obiekty, jeden koło Jowisza, drugi blisko Słońca, obydwa trudne do wyśledzenia.

Przeprowadził szybkie obliczenia, by sprawdzić kielkujący mu pomysł. Uśmiechnął się na widok wyniku. Bazgrał na serwetce, a kiedy Hoxon spytał go o co chodzi, wrzucił tylko ramionami.

- Nic takiego - zbył sprawę.

Jego gospodarz wcale nie uważał powrotu do pracy za dobry pomysł, oznajmił, że idzie do domu i zasugerował by Feinberg także skończył już na dzisiaj. Ten zastanawiał się, co by się stało z duchem naukowej dociekliwości, gdyby wszyscy charakteryzowali się równie szaleńczą ciekawością jak dyrektor.

- Nie - odmówił. - Muszę jeszcze co nieco dokończyć.

⁶ *Shoney's to sieć barów szybkiej obsługi, trochę podobna do McDonald's, tylko oferująca bardziej normalne posiłki, (przyp. tłum.)*

Na nieszczęście nie mógł dokończyć tego co chciał, bezpośrednio ze swojej klawiatury. Wykonał dwa telefony. Pierwszy na Skyport, do Laboratorium Orbitalnego, które wykorzystało swoją sondę wenusjańską do zrobienia zdjęć komety Tomiko. Drugi do Cerro La Silla. W obu przypadkach spytał o zliczenia fotonów w obrazach komet. Obydwa ośrodki obiecały, że odzwonią.

Cerro La Silla odezwało się w ciągu godziny. Zapisał wynik i niecierpliwie oczekiwał na odpowiedź z Laboratorium Orbitalnego. Jej uzyskanie mogło potrwać, zwłaszcza jeśli byli tam zajęci, jak podejrzewał. O północy wciąż jeszcze warował przy telefonie.

Nie pamiętał jak się zdrzemnął, ale zapamiętał ocknięcie z głębokiego snu, widok szarego światła sączącego się z okna, niepewność gdzie jest. Dzwonił telefon.

Windy Cross ze Skyport przeproszał za zwłokę, ale podał mu dane.

- Jeśli wolno spytać, profesorze - zahaczył go na koniec. - Do czego to potrzebne?

Feinberg pamiętał zliczenia fotonów z komety koło Jowisza. Były niemal identyczne. Nie dokładnie, ale cholernie blisko. Możliwe, że to ten sam obiekt.

- Zadzwoń do ciebie, Windy - obiecał - kiedy będę pewien.

Gapił się na liczby, zastanawiając się nad problemem. Obserwacja Cerro la Silla stanowczo przekraczała normy. Najwyższa notowana prędkość komet sięgała około pięćdziesięciu kilometrów na sekundę. Jeśli to ten sam obiekt, musiałby poruszać się ośmio- czy dziewięciokrotnie szybciej. Ponad czterysta kilometrów na sekundę!

To zaś oznaczało, że nie należał, nie mógł należeć do układu słonecznego.

Nikt nie wątpił, że przez międzygwiazdną pustkę dryfuje ogromna liczba komet nie związanych z żadnym słońcem. Według ostatnich szacunków, które Feinberg widział, liczba takich wolnych komet w po-

blizu układu słonecznego i, powiedzmy, kilku najbliższych gwiazd plasowała się w okolicy biliona. On sam nie hołdował tej hipotezie. Prawda, że Słońce, a czasem nawet Jowisz, wyrzucały nieraz komety z układu słonecznego. Nie sądził jednak by częstość takich wydarzeń była wystarczająca dla poparcia co bardziej zwariowanych teorii. Ale tak naprawdę, kto wie?

W każdym razie ten obiekt sprawiał wrażenie prawdziwego międzygwiazdowego gościa. Jeśli obydwie obserwacje dotyczyły tej samej komety, musiała pochodzić z głębokiej przestrzeni.

Nigdy jeszcze nie zarejestrowano komety międzygwiazdnej. Jeżeli się nie myli, Wesley Feinberg zajmie miejsce obok Shapleya, Herschela, Eddingtona i Galileusza.

Zakładając, że obie obserwacje to ten sam obiekt, spróbował obliczyć jego trajektorię. Przy typowej prędkości, rzędu czterdziestu kilometrów na sekundę, kometa okrążyłaby Słońce i wróciła w stronę, z której nadleciała. Jednak przy czterystu kilometrach na sekundę nie zawróci.

Przy odrobinie szczęścia mogli mieć niezwykle przedstawienie.

Wyszedł i radośnie przywitał się ze strażnikiem, który najwyraźniej był jedynym człowiekiem w całym obserwatorium.

- Zastanawiałem się, czy pana nie obudzić, sir - powiedział strażnik. - Chyba było panu niewygodnie na tej kanapie. Ale pomyślałem sobie, że lepiej panu nie przeszkadzać.

Feinberg uśmiechnął się do niego najuprzejmiej jak potrafił.

- Miał pan rację, sir - powiedział - świętą rację.

Włączył ekspres do kawy, stojący w sali seminarnej obok gabinetu Hoxona. Wahał się przed pospiesznym działaniem, ale tylko kwestą czasu było dojście do takich samych wniosków przez kogoś innego. Jeśli tak się stanie, będzie musiał dzielić się sławą z odkrycia. Wrócił więc do swojego komputera i prze-

i
kazał swoje dane do Centralnego Biura Towarzystwa
Astronomicznego w Cambridge, gdzie zostaną zapro-
tokołowane i rozesłane dalej.

Proszę, Boże, niech to będzie prawda.

NEWSNET. AKTUALNOŚCI Z 12:30.

(Kliknij po szczegóły)

**CZŁOWIEK ARESZTOWANY POD
ZARZUTEM KRADZIEŻY SAMOCHODÓW
WYGRYWA NA LOTERII 20
MILIONÓW DOLARÓW.**

I
Oskarżony o kradzieże może dostać dziesięć lat „To
mnie nie zmieni”

**HASKELL PRZECINA WSTĘGĘ W
BAZIE KSIĘŻYCOWEJ**

Robi sobie wakacje od prawyborów by poprawić
swoją wizerunek publiczny występując w widowisku
„Mamy randkę z gwiazdami”

CORMAN WYGRYWA W PENNSYLVANII

Wyprzedza pozostałych nominowanych o szesnaście procent
Haskell na odległej, trzeciej pozycji

**MOSKWA URUCHAMIA NAJWIĘKSZĄ
LINIĘ KOLEI JEDNOSZYNOWEJ**

System ma 700 mil, będzie przewoził
dwa miliony pasażerów dziennie

**PREZYDENT ZAWIESZA PORTRET CHURCHILLA W
TRAKCIE CEREMONII W BIAŁYM DOMU**

Przywódca Wielkiej Brytanii z czasów II Wojny Światowej
sprzed 64 lat został dziś honorowym obywatelem USA

ODKRYCIE LEKU NA STAROŚĆ JUŻ BLISKO

Przewiduje się, że potraktowane nim noworodki
będą żyły dwukrotnie dłużej Bojownicy ruchu
populacyjnego ostrzegają przed katastrofą

**DWIE OSOBY ZGINĘŁY W
DENVER W KATASTROFIE WINDY**

Tydzień temu kabina przeszła pomyślnie testy techniczne

**ŚWIATOWA POPULACJA PRZEKROCZYŁA DZIESIĘĆ
MILIARDÓW**

Indie ogłaszają nowy program edukacyjny

**AMATORKA Z ST. LOUIS ODKRYWA KOMETĘ W
TRAKCIE ZAĆMIENIA**

Gość z gwiazd ukrywał się w blasku Słońca

Baza Księżycowa, wycieczka. 16:30

Isabel Heyman, która zazwyczaj pracowała w grupie szybkiego reagowania w Białym Domu, załatwiła sobie przydział do Bazy Księżycowej. Sukces tych starań wynikał nie tyle z jej wpływów, co z faktu, że agencja przydzielani wiceprezydentowi, w miarę jego pograżania się w przygotowaniach do wyborów wstępnych, mieli szczególnie długi dzień pracy. W przeciwieństwie do Isabel wcale nie uważali lotu na Księżyc, w zmniejszonym składzie gwarantującym całodobowe dyżury, za korzyść.

Teraz więc Isabel zwiedzała Szklarnię, trzymając się po lewej stronie Teddy'ego, przyglądając się wszystkim twarzom w poszukiwaniu najdrobniejszej sugestii złych zamiarów, jakichś tików, zaciśniętych warg, oczu może troszkę zbyt zwężonych i skupionych, gwałtownego poruszenia, dłoni wsuniętej pod ubranie.

Trudno było skupić się na pracy w trakcie zwiedzania cudów *Bazy*. Lecz trening czynił swoje i wystarczała jej świadomość gdzie się znajduje.

Postanowiła, że tu wróci. Sama.

Rozdział trzeci

Prognozy

Środa, 10 kwietnia

1.

Arecibo, puerto Rico. 8:03 czasu atlantyckiego (7:03 EDT)

Obrazy radarowe nadchodziły już od kilku godzin. Tomiko to był potwór, 180 kilometrów średnicy. Lecz najbardziej niesamowitą rewelacją stanowiła jej szybkość: pędziła 480 kilometrów na sekundę! Wczoraj jeszcze Foster Cardwell założyłby się o własny dom, że ten rząd prędkości jest niemożliwy.

Cardwell był dyrektorem operacyjnym w Arecibo. Stał nad monitorem, pocierając kark. Miał na sobie jasnożółtą koszulę w palmy i delfiny.

- Jeszcze raz - poleciał.

Penny McGruder skinęła głową i wpisała komendę.

- Będzie tak samo.

Kursor wędrował nieomylnie na spotkanie Ziemią i Księżycem. Kometa mijała *teraz* Słońce. Dziś po południu przetnie orbitę Merkurego, w piątek rano orbitę Wenus. Potem doleci na odległość 384000 kilometrów od Ziemi. I tu uderzy w Księżyc!

- Jesteśmy pewni?

Sprawdzili wszystko jeszcze raz.

W sobotę w nocy. O dwudziestej drugiej trzydzieści pięć EDT.

- Cardy - powiedziała, - ta kometa nie trzyma się żadnych reguł.

Skinął głową i wzruszył ramionami. Podświetliła prędkość: 480. Co zrobi Księżycowi?

- To będzie piekielne widowisko - mruknął.

Obserwatorium Beaver Meadow. 7:33 EDT.

Feinberg wpadł w euforię. Zaczęły nadchodzić gratulacje. Tomiko naprawdę była obiektem międzygwiazdowym. Lecz nawet pomimo to, jej prędkość była trudna do uwierzenia. Trzeba będzie zmienić niektóre założenia.

Kiedy spostrzegł, że uderzy w Księżyc, targaly nim sprzeczne uczucia. Będzie wspaniałe widowisko, oraz niezrównana okazja obserwowania międzygwiazdowego gościa. Dlaczego więc czuł coś bardzo bliskiego rozpaczy?

Wiele by dał, żeby wysłano wyprawę do komety. Kto wie czego udałoby się dowiedzieć, gdyby trafiła się okazja do bezpośrednich badań. Być może udałoby się wyjaśnić tajemnicę jej ogromnej prędkości.

Tej zagadce poświęcił dużo czasu. Obiekt miał miliardy lat. Musiał mieć. W przeszłości miał wiele spotkań, z których każde przyspieszało go aż do obecnego pędu. Mocno naciągana teoria, ale jakie były inne możliwości?

Hoxon był niespokojny, obawiał się, że Feinberg może się pochorować jeśli „nie wyjdzie zaczerpnąć świeżego powietrza”.

- Za chwilę - odparł Feinberg.

- Gdzie uderzy? Zobaczmy to?

- Zderzenie nastąpi po drugiej stronie.

- Szkoda.

- Może nie - Feinberg wyjawiał swoje obawy. - Gi gantyczna kometa, wielka prędkość.

Odchrząknął i stuknął w klawisz. Na ekranie pojawiła się pojedyncza liczba:

$$7 \times 10^{29}$$

Hoxon skrzywił się.

- Uwolniona energia?

- Z grubsza.

- Wes, to niemożliwe.

Feinberg zignorował poufałość.

- Nie sędzę - odparł. - Dostyc, żeby rozwalić Księżyc. Zapatrzył się na zielony trawnik, wciąż jeszcze poły skujący rosą w świetla poranka.

- To wydarzenie może mieć swoją mroczną stronę.

Jadalnia Białego Domu. 8:04.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie prezydencie. Al Kerr, szef personelu Henry'ego Kollandera wyło nił się z drzwi. Miał nieszczęśliwą minę.

Prezydent siedział przy stole śniadaniowym *razem* z pierwszą damą. Emily Kollander skrzywiła się. Przez dwa lata toczyła przegraną bitwę o prywatność rodziny zanim zrozumiała, że prezydent po prostu nie ma życia prywatnego. Henry usiłował znaleźć dla niej czas; zazwyczaj wstawał wcześnie, pracował jakieś dwie godziny by spotkać się z nią przy nieformalnym śniadaniu. W założeniu nie należało przeszkadzać w tym posiłku sprawami mniej istotnymi niż wojna nuklearna. Oczywiście założenia tego nie przestrzegano niemal codziennie. Pierwszy szef personelu, poprzednik Kerra, stracił z tego powodu pracę. Henry uśmiechnął się do Emily, wzruszył ramionami i przełknął kawałek bekonu.

- O co chodzi Al? - spytał.

Kerr wszedł do pokoju i dopiero wtedy Henry zdał sobie sprawę, że gość nie jest sam. Za nim weszła oficjalnie wyglądająca kobieta w średnim wieku. Widział ją już kiedyś.

- Panie prezydencie - odezwał się Kerr, - zna pan doktor Juarez.

Tak, jego doradca naukowy.

- Oczywiście. Jak się masz, Mercedes?

Mercedes Juarez ubrana była w czarne spodnie i czarny zakiet ozdobiony złotą apaszką. Włosy miała jakby nieco rozczochrane, a oczy wpatrywały się w niego niczym czarne igły.

- Całkiem dobrze, dziękuję, panie prezydencie
- otworzyła skórzaną aktówkę. - Sir, mamy stan za
grożenia.

Uwaga ta nie zaniepokoiła Kollandera, który miał
do czynienia z kilkunastoma zagrożeniami dziennie.
Kobieta wyjęła zdjęcie i podała mu. Widniało na nim
niebo pełne gwiazd. Jedna była szczególnie jasna.

- To jest Tomiko - powiedziała.

-Kto?

- Kometa, sir.

- Och. Oczywiście.

- Jest bardzo duża. Leci bardzo szybko. I zbliża się
do nas.

Kollander odłożył widelec. W pokoju nagle zrobiło się
zimno. -I...?

- W sobotę w nocy uderzy w Księżyc.

- Okay... - zrobił pauzę, usiłując odzyskać równo
wagę. Z jej tonu wnioskował, że wieści będą znacznie
gorsze. - Mówi pani, że Baza Księżycowa jest zagrożo-
na?

Wzięła głęboki wdech.

- To też.

Podniósł wzrok na Kerra, nie pojmując ku czemu
ona zmierza.

- Też? - zapytał.

Doktor Juarez ściągnęła brwi.

- Panie prezydencie - zrobiła dziwną minę, niczym
dziecko zmuszane do zjedzenia szpinaku. - Jest ogrom-
na. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy czegoś tak wielkie-
go. Istnieje możliwość, że całkowicie zniszczy Księżyc.

Kollander popatrzył na żonę i na Kerra. Emily do-
tknęła jego nadgarstka. Stany Zjednoczone zainwesto-
wały w Księżyc kilka bilionów dolarów. Wiadomość była
tak niesamowita, że miał trudności z ogarnięciem jej
implikacji.

- Nie ma gdzieś błędu?

- Nie, sir. Oczywiście jest margines interpretacyjny,
ale niewart wspomnienia.

- Jaki margines?
- Jeśli chodzi o samo uderzenie, bardzo niewielki.
Wyraźnie większy w przypadku uwolnionej energii.
Henry odepchnął się od stołu.
- Okay. Zakładam, że Baza jest ewakuowana?
- Jeszcze nie otrzymaliśmy żadnych oficjalnych danych, panie prezydencie - odezwał się Kerr. - Przekazaliśmy im informację, ale nie sądzę, żeby mieli dość czasu na jej przetrwanie. Ale tak, będą musieli wszystkich stamtąd wywieźć.
- Też tak sądzę - przyjrzał się swojej doradcy naukowej. - Czego oczekuje pani ode mnie?
- Panie prezydencie - powiedziała - jest możliwe, nawet bardzo, że odłamki zostaną odrzucone od Księżycy. Jeśli tak się stanie, część z tego spadnie na nas.
- Nas? Stany Zjednoczone?
- Ziemię.
- Przepraszam - przerwała Emily, - ale dlaczego nie powie nam pani wprost co pani wie?
Pierwsza dama rzadko się wtrącała, ale tym razem była wyjątkowo zdenerwowana.
- Czy naprawdę obawia się pani upadku odłamków księżycy?
- Tak, pani Kollander. Może dużej ich liczby.
- Jak dużej? - zapytał Henry. - Jakie jest prawdopodobieństwo?
- Nie wiem. Nie jestem pewna czy ktokolwiek wie. Zorganizowaliśmy spotkanie, żeby mógł pan osobiście porozmawiać z ekspertami.
Henry zerknął na Kerr. Ten kiwnął głową. Wyglądał jakby się bał.
Prezydent odsunął talerz. Trudno było poważnie brać pod uwagę spadnięcie nieba na głowy. Lecz jeśli Juarez udało się przestraszyć Kerr... do cholery, ona przestraszyła jego samego.
Henry Kollander zbliżał się do końca długiej, chwalebnej kariery. Niejedno poświęcił dla kraju. Płuca zniszczyły mu trzydzieści trzy lata temu irackie chemikalia. Jako młody kongresman wmieszał się w odbijanie za-

kładników, został dwukrotnie postrzelony, ale wyprowadził uwięzionych. Przejął także marzenie Culpeppera o powrocie na Księżyc, doprowadził je do szczęśliwego spełnienia, zacisnął zęby i zrestrukturyzował opiekę społeczną oraz ubezpieczenia zdrowotne ponieważ ludzie żyli dłużej i państwo nie mogło już sobie pozwolić na osiemdziesiątkę jako wiek emerytalny. (Zaledwie wczoraj czytał, że przeciętny człowiek mający dziś pięćdziesiątkę może spodziewać się przekroczenia setki. Moj Boże, jak sobie z tym poradzą? Zastanawiał się, czy nie powinno się przywrócić tytoniu do łask.) Rządził w kraju Osilnej ekonomii potrafiącej zapewnić miejsca pracy prawie wszystkim potrzebującym, których liczba rosła jednak w zastraszającym tempie.

Konstytucja pozwalała mu ubiegać się o następną kadencję. Był dość popularny by stosunkowo łatwo wygrać. Lecz dopadł go rzadki rodzaj raka limfatycznego. Lekarze nie byli nawet pewni czy dożyje do końca obecnej kadencji. Tak więc ogłosił, że usuwa się w cień. Bardzo żałował, tyle jeszcze było do zrobienia. Ktokolwiek po nim przyjdzie, będzie musiał zmierzyć się z kilkoma trudnymi decyzjami. Sam był na najlepszej drodze zdobywania reputacji, która postawiłaby go w rzędzie najznakomitszych prezydentów. Teraz wszystko zależało od tego, czy następcą dokończy co on zaczął. W rezultacie, zachowując formalną neutralność wobec wszystkich kandydatów, miał nadzieję, że nominację dostanie ktokolwiek inny, byle nie Charlie. Lubił go, ale Haskell nie miał dość politycznego zmysłu i siły woli, by zmuszać innych do realizacji swoich zamierzeń.

Henry był drugim afroamerykańskim prezydentem. (Culpepper był pierwszy.) Cieszył się z tej drugiej pozycji. Wszyscy tylko czyhali na błąd Culpeppera, żeby coś mu źle poszło, żeby wychylił się choć trochę za bardzo na prawo czy lewo. Ten stary sukinsyn tańczył na cienkiej linie przez osiem ciężkich lat. Ale dał radę.

Teraz najwyraźniej poważny problem spadł z nieba. Henry wątpił, żeby naprawdę musieli przejmować się deszczem kawałków Księżyca, ale amerykańska inwe-

stycja na tym globie to zupełnie inna sprawa. Wszystkie główne siły świata były udziałowcami Moonbase International i utrata Bazy stanowiłaby poważną klęskę. Jego nazwisko straciłoby blask i już zawsze by go kojarzono z tym fiaskiem, tak jak Lyndona Johnsona z Wietnamem, a Herberta Hoovera z Wielkim Kryzysem.

- Czy istnieje jakakolwiek szansa, że popełniono błąd? - upewnił się, wciąż jeszcze z nadzieją.

- Obliczenia są wciąż sprawdzane, panie prezydencie. Ale nie sądzę.

Popatrzył na nią ze złością.

- Cudownie. Wydaliśmy kilka bilionów dolarów, żeby otworzyć Bazę Księżycową na ile, tydzień? A potem ją znów zamknąć.

Juarez milczała.

Prezydentowi zaschło w ustach. Pierwsza myśl jaka przyszła mu do głowy, to że jakiegokolwiek podjąć działania i tak będzie mnóstwo wytykania palcami.

Baza Księżycowa, gabinet dyrektora. 8:27.

Evelyn Hampton rozmawiała z Jackiem Chandlerem, w pierwszym dniu po objęciu przez niego urzędu, o nieobsadzonych jeszcze najważniejszych stanowiskach. Chandler od lat pracował w kadrach kierowniczych różnych korporacji, z którymi Evelyn miała powiązania bezpośrednie lub pośrednie. Dwukrotnie już jej pomagał rozpocząć i utrzymać nowe projekty. Specjalizował się w tego typu działalności i był w tym naprawdę bardzo dobry.

Co więcej, stał się dla niej kimś w rodzaju ojca, doradcą tak zawodowym jak i osobistym, człowiekiem, do którego zwracała się gdy nadchodziły kłopoty.

Po pięćdziesiątce, wdowiec z trojgiem całkowicie już samodzielnych dzieci. Miał lekką nadwagę i tę nieco oklapłą aparycję charakterystyczną dla osób, które niedawno zrzuciły około trzydziestu kilogramów. W ostatnie Boże Narodzenie przeszedł ciężki zawał i od tego czasu znajdował się na ścisłej diecie.

Evelyn, chcąc jak najwięcej zrobić dla swego najbliższego przyjaciela, posunęła się jeszcze dalej: dowie-

działa się, czy zmniejszona grawitacja księżycowa nie pomogłaby Chandlerowi poprzez zmniejszenie obciążenia jego uszkodzonego serca. Od lat mówiło się o założeniu na księżycu sanctum sanctorum dla chorych na serce i wydawało się, że to najlepsza okazja, żeby zacząć działać. Ujemną stroną była opinia jego lekarza, który uważał, że już nigdy nie będzie mógł powrócić na Ziemię.

Chandler miał to w nosie. Toteż Evelyn dostała dyrektora, którego chciała jednocześnie robiąc coś dobrego dla człowieka, któremu tyle zawdzięczała. Czy czuł się lepiej?

- Młodszy o dwadzieścia lat - oświadczył. - Doszedłem już do punktu, w którym miałem w piersi kawał ołowiu - uśmiechnął się do niej radośnie. - Ten ciężar znikł.

Rozważali zalety różnych kandydatów z krótkiej listy ubiegających się o stanowisko jej asystenta kiedy zadzwonił telefon.

- To tylko Carpenter, panie Chandler - oznajmił głos sekretarki. - Chce rozmawiać z doktor Hampton.

Carpenter był dyrektorem operacyjnym NASA w Houston. Chandler przekazał słuchawkę.

- Dzień dobry Orły - powiedziała Evelyn. - Jak leci?

- Kiepsko.

Carpenter był kiedyś astroanotą i jego głos miał tendencję do utraty wszelkich emocji, gdy mówił o kłopotach.

- Mamy problem - rzekł.

Siedziała na krawędzi biurka, patrząc na scenę z Bostońskiej ulicy, która była odtwarzana na ścianie gabinetu dyrektora. Ludzie z parasolami przemykali pod nagłą ulewą.

- Co się dzieje? - zapytała lekko.

Orły był w porządku, ale z długiego doświadczenia wiedziała, że pracownicy rządowi mieli skłonność do przesadnych reakcji.

- Wiesz o komecie - upewnił się.

- Oczywiście.

- Uważamy, że będzie zderzenie. Jest ogromna i leci szybko. Mój Boże, Evelyn, mamy tylko trzy i pół dnia.

- Uspokój się Orły - powiedziała, zduszając atak pani ki. - Przełączam cię na głośnik. Jack Chandler tu jest.

Chandler miał podobny jak ona stosunek do rządowych alarmów. Przywitał się.

- Ta kometa zderzy się z czym? - zapytała Evelyn.

- Z Ziemią? Jedną ze stacji? Z czym?

- Z Księżycem - odetchnął głęboko. - Księżycem.

Przywali wam jak cholera.

- Żartujesz.

- Czy sprawiam takie wrażenie?

- Kiedy?

- W sobotę w nocy. Późnym wieczorem, jak się zdaje.

- Na ile jesteś pewien?

- Jakies dziewięćdziesiąt osiem procent.

Evelyn usiłowała zebrać myśli.

- Z twoich słów wynika, że powinniśmy się czymś przejmować. Czy uderzy w pobliżu Bazy?

- Najprawdopodobniej w Marę Muscoviense.

- Obserwatorium - szepnął Jack. - Rozwali obserwatorium?

- Co najmniej. To bydlę wywoła potężne trzęsienia ziemi. Może nawet gorzej.

- Co może być gorsze? - zdziwiła się Evelyn.

- Istnieje poważne prawdopodobieństwo rozbicia Księżyca.

Rozbicia Księżyca. Te słowa wciąż wisiały w powietrzu. Evelyn gapiła się na deszcz zalewający budynek Prudential, usiłując zrozumieć co naprawdę zostało powiedziane.

- Co masz na myśli - spytała - mówiąc rozbicia?

- A jak inaczej mam to powiedzieć? Pomyśl o worku kamieni.

Evelyn wzięła notes i zaczęła gorączkowo notować. Mieli trzy lunobusy, które mogły przewieźć czterdzieści osób do LI. Droga tam i z powrotem zajmowała nieco ponad pięć godzin. Pomiedzy chwilą obecną a dziesiątą trzydzieści w sobotę mogli zrobić siedemnaście kursów.

- Jack - powiedziała, - ile osób znajduje się teraz w Bazie?

Już obliczał.

- Siedemset trzydzieści cztery - odczytał z ekranu.

- Plus dwadzieścia w drodze z LI.

Evelyn patrzyła na niego nieruchomo.

- Raczej nie zdołamy zabrać stąd wszystkich - po wiedziała.

2.

Międzynarodowy port lotniczy Dulles, Dystrykt Columbia (DC). 8:47.

Prom SSTO *Arlington* miał jeszcze około pół godziny do startu. George Culvier usiłował skupić się na liście kontrolnej. Ostatniej nocy w końcu dobrał się do Annie i jej obrazy wypełniały mu głowę. Z tyłu dobiegały go odgłosy wchodzenia pasażerów na pokład. Otrząsnął się i jeszcze raz spróbował porządnie odczytać przyrządy.

Jednostopniowy samolot orbitalny mógł zabrać dwustu trzydziestu pięciu pasażerów i zazwyczaj miał dwaście osób załogi. Był nieco bardziej zwarty niż zwykle samoloty rejsowe i obowiązywały w nim dużo ostrzejsze restrykcje bagażowe. Jednak w przeciwieństwie do dawnych promów, stanowił stosunkowo tani i sprawny sposób dostania się na orbitę.

George zaczął karierę jako pilot na lotniskowcu. Latał odrzutowcem A-77 *Blackjack*, dosłużył się dowództwa dywizjonu, ożenił się i przeszedł do lotnictwa cywilnego. W sumie żenił się trzy razy - wszystkie partnerki były związane z medycyną: lekarka, pielęgniarka i analityczka systemów szpitalnych. Jego żony wcale nie wydawały się zirytowane biegiem wydarzeń i wszystkie małżeństwa kończyły się mniej więcej przyjaźnie. Żadne nie przetrwało nawet dwóch lat.

Właśnie kończył wstępne odczyty, kiedy Mary Casey, drugi pilot, weszła do kokpitu i usiadła.

- Jak stoimy, Mary? - zapytał.
- System naprowadzania się zbiesił - odparła.
- Wstawiłam nowy panel.
Skinął głową, sięgnął po notes i przyjrzał się specyfikacjom.
- Jak Billy?
Billy to był jej syn. Nastolatek, właśnie uczący się prowadzić, odkrywający swoją niezależność. Jego stopnie poleciały w dół i George wiedział, że Mary nie podobała się kumple chłopca.
- Lepiej - powiedziała.
Prom był wypełniony w trzech czwartych, nic niezwykłego w środowiu poranek. Wśród pasażerów znajdowało się kilku turystów, ale niewielu. Bilety na stację kosmiczną wciąż były raczej drogie i, pomimo swoich atrakcji, Skyport wciąż pozostawała poza zasięgiem nawet niezłe sytuowanych ludzi. Lecz Administracja Transportu Księżycowego, korporacja o dużej niezależności, obiecywała, że ceny spadną dramatycznie po pojawieniu się w przyszłym roku SSTO drugiej generacji.
Mary założyła zestaw nagłowny i podregulowała mikrofon, wciąż mówiąc o Billym.
Kapitan słuchał uprzejmie.
- Wszystko to jest częścią dorastania - powiedział.
- Założę się, że ty nie byłeś aniołkiem.
SSTO latał trzy razy w tygodniu pomiędzy Dulles i stacją kosmiczną. Załoga George'a od czasu do czasu robiła bezpośrednie rejsy z Dulles do Moskwy, Rzymu i Londynu. Jednak największą przyjemność sprawiał im taki zwykły lot, pełnym ciągiem na orbitę.
Mary postukała w mikrofon.
- Wieża - powiedziała - lot jeden-siedemnaście. Kontrola łączności.
- Lot jeden-siedemnaście - odpowiedział żeński głos w słuchawkach. - Łączność na piątkę.
- Gdzie Curt? - zapytał George.
- Tu, kapitanie - inżynier pokładowy wsadził głowę do kabiny. - Wskoczę tylko po kawę.

Lot na Skyport zajmie godzinę i czterdzieści trzy minuty. Rozładują się, zatankują, zabiorą następných pasażerów wraz z ładunkiem i wrócą w sam raz na późny lunch.

Mary zakończyła swoje przygotowania. George pokazał jej listę pasażerów i pokazał kilka nazwisk. Wielcy śpiewacy. Rozpoznała też kilku znanych krytyków telewizyjnych oraz arabskiego potentata naftowego. Było też kilkoro dzieci. Wybierały się na najwspanialsze wakacje w życiu. Oraz kilka rodzin lecących do końca, aż do Bazy Księżycowej.

- Lot jeden-siedemnaście - odezwał się ten sam żeński głos.

- Wieża, słucham.

- Wasz lot został odwołany. Wysadźcie pasażerów i pozostaniecie w gotowości.

Mary wykrzywiła się szpetnie w stronę kapitana, który jeszcze nie założył słuchawek. Włączyła głośnik.

- Wieża, powtórz.

- Jeden-siedemnaście, lot odwołany.

George zdjął czapkę i założył zestaw nagłówny.

- Wieża, o co chodzi? Jaka jest przyczyna opóźnienia?

- FAA⁷ nie podała powodów, jeden-siedemnaście. To nie jest opóźnienie. Lot został odwołany. Proszę odesłać pasażerów do hali.

- Co mam im powiedzieć? Pasażerom?

Kobiecy głos zastąpił baryton.

- Powiedzcie im, że dziś nie będzie żadnych lotów do Skyport. Zwyczajne przyczyny techniczne.

- A co naprawdę się dzieje?

-Jeden-siedemnaście, możemy o tym pogadać później? Powiedzcie pasażerom, że obsługa będzie na nich czekać.

Baza Księżycowa. 9:04.

Charlie zwiedzał sekcję kopalniano-przemysłową, gdy Al Kerr dopadł go przez komórkę.

⁷ *Federal Aeronautics Administration (przyp. tłum.)*

- Baza zostanie rozwalona, *Chanie*. Prezydent chce, żebyś się stamtąd wynosił.

Charlie odszedł na bok od niewielkiej grupki VIPów.

- Daj spokój, AL To nie może być aż tak wielkie.

Wędrówka sygnałów radiowych pomiędzy Księżycem i Ziemią powodowała irytujące trzysekundowe opóźnienie.

- Powtarzam ci tylko słowa ekspertów. Będzie ogół na ewakuacja. Ty masz opuścić Księżyc jeszcze wcześniej. Hampton wie wszystko i już to organizuje.

Znienacka Sam i jego ludzie zmaterializowali się znikąd i wszyscy wpatrywali się w Charliego. Domyślił się, że agenci musieli dostać wiadomość w tej samej chwili co on.

- Okay, Al - odpowiedział Kerrowi. - Myślę, że wieść się rozchodzi.

- Dobrze. Henry odetchnie z ulgą wiedząc, że jesteś w drodze powrotnej.

Kerr wyłączył się, pozostawiając Charliego wpatzonego w telefon i zastanawiającego się czy w całym personelu Białego Domu Kollandera jest ktoś mniej szanowany niż wiceprezydent.

Sam odciągnął go na bok.

- Słyszał pan, sir?

- Tak.

- Mają lunobusa w południe. Będziemy na pokładzie.

Lecz Charlie zastanawiał się, co wyborcy pomyślą o człowieku aspirującym do prezydentury, który złapał pierwszą okazję by wydostać się z miasta.

- Nie - odparł. - Mówią o sobotniej nocy. Mamy mnóstwo czasu.

Sam skrzywił się.

- Panie wiceprezydencie...

Charlie potrząsnął głową i dał znak, że dyskusja skończona.

Ostatnie kilka minut wstrząsnęło nim. Program kosmiczny najprawdopodobniej był skończony. Co więcej, opinia publiczna zapewne ukrzyżuje prezydenta i wszyst-

kich z nim związanych. Pół biliona dolarów w pakiecie akcji MBI, będącym w posiadaniu Skarbu, z dnia na dzień stanie się bezwartościowe. A ile cały kraj zainwestował przez całe lata rezygnując z tempa rozwoju?

Skrócił wycieczkę i udał się do budynków administracyjnych w poszukiwaniu Evelyn. Sekretarkę zaskoczył jego widok, ale po krótkiej, szeptanej konwersacji ze swoim szefem wprowadziła go do gabinetu Chandlera, gdzie Evelyn wciąż konferowała z dyrektorem.

- Hello, Charlie - powiedziała, wstając gdy wszedł.
- Jak widzę nowiny dotarły już do ciebie.

- Zgadza się, parę minut temu - skinął powitalnie głową Chandlerowi, potem zwrócił się znów do Evelyn.

- Biały Dom chyba jest wstrząśnięty. Jak zła jest sytuacja?

Gestem poprosiła go by usiadł.

- Jest kiepsko. Każdy, z kim rozmawiam uważa, że Baza nie przetrwa. Część z nich sądzi, że Księżyc nie przetrwa. Parę minut temu rozmawiałam z Wesem Feinbergiem.

Charlie nie wiedział kto to taki, ale z tonu głosu Evelyn domyślił się, że to panujący obecnie ekspert.

- No to, co on mówi?

Potrząsnęła głową w sposób taki, jak lekarze nad umierającym pacjentem. Patrzyli potem na siebie przez długą chwilę.

- Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę
- odezwała się w końcu.

- Co zamierzasz zrobić?

- A co mogę zrobić? Ewakuujemy się.

Zapytała go, czy chce kawy. Chciał, nałala mu kubek i podała nad biurkiem.

- Mogę jakoś pomóc?

- Zdobyć więcej lunobusów - uśmiechnęła się.

- Chyba nie mam ich na stanie - zażartował, a po tem bardziej serio powiedział: - Chyba nie sugerujesz, że nie jesteś w stanie wywieźć stąd wszystkich?

- Trochę brakuje czasu - wtrącił się Chandler.

Evelyn skinęła potwierdzająco głową.

- Nie mamy dość lunobusów, żeby przewieźć wszystkich na LI.

Charlie poczuł w brzuchu ciasny węzeł.

- Tak - powiedział. - Co więc zrobimy? Czy gdziekolwiek indziej jest ich dosyć?

- Są w budowie. A jeden w naprawie, tak rozbebeszony, że jakby go nie było. Nie. Jack zasugerował wykorzystanie SSTO.

- Samolotów orbitalnych? - zastanawiał się Charlie. - O ile wiem, potrafią latać tylko pomiędzy Skyport a powierzchnią Ziemi?

- To prawda - zgodził się Chandler. - Zaprojektowano je na krótkie trasy kosmiczne. Zbyt duża masa, nieekonomiczne wykorzystanie paliwa. Ale na bezrybiu i rak ryba.

- Czy zdołają tu wylądować?

Evelyn potrząsnęła głową.

- Ale mogą wejść na orbitę okołoksiężycową i przejmować ludzi z lunobusów. Znajdą się bliżej niż LI, więc małe jednostki będą miały krótszą drogę. Niewiele, ale dość, żeby ewakuować wszystkich. Czekaając na nie będziemy przerzucać ludzi na LI.

- Dzięki Bogu - westchnął Charlie.

Czuł ulgę, nie tylko dlatego, że nikt nie zostanie, ale również dlatego, że już przewidział polityczne konsekwencje gdyby ludzie zginęli, a on uciekł.

BBC worldnet. 10:01.

- Rzecznik prasowy z kwatery głównej Moonbase International w Bostonie ujawnił dziś, że rozpoczęła się generalna ewakuacja Bazy Księżycowej. Rzecznik podkreślił, że ani goście, ani personel nie są zagrożeni. Ewakuację podjęto ze względu na nieuchronne zderzenie z kometą Tomiko w niedzielny poranek czasu Greenwich. Kolidacja nie będzie widoczna z Londynu.

Astronomowie z Królewskiego Obserwatorium uważają, że obiekt ten nie jest ściśle biorąc kometą w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. „Komety należą do Układu Słonecznego” powiedział William Hodge, pracownik obserwatorium i znany publicysta naukowy. „Tomiko to obiekt międzygwiazdny, prawdopodobnie jądro

kometarne wyrzucone z innego układu gwiazdowego, które wędrowało przez miliony, a może miliardy lat."

Baza Księżycowa, Dzielnica Grissoma. 10:17.

Evelyn Hampton stwierdziła, że w trakcie największego kryzysu operacyjnego w jej życiu ma niewiele do roboty. Jack Chandler organizował ewakuację, a drugi szef byłby ostatnią rzeczą jakiej mogła potrzebować Baza. Wycofała się więc do roli Ważnego Gościa, Którego Należy Uratować.

Zajęcie takiego stanowiska dało jej punkt widzenia podobny do Charliego. W rezultacie naturalną kolejną rzeczą umówili się na nieoficjalne spotkanie w prywatnym saloniku Huntress, baru bistro mieszczącego się w kępie drzew na Placu Głównym, gdzie (pod czujnym okiem agentów) wymienili kondolencje i słowa otuchy.

- Żadna wina nie powinna zostać przypisana któremukolwiek z nas - powiedziała Evelyn, - ale tak się stało. To Prawo Hampton.

- Co to jest Prawo Hampton? - spytał Charlie. Wiceprezydent sprawiał wrażenie nieco ogłuszonego, jakby nie do końca nadążał za wydarzeniami.

- Kiedy coś idzie źle, niezależnie od okoliczności jest to czyjaś wina.

Evelyn z zasady nie lubiła polityków. Zazwyczaj należeli do jednej z dwóch kategorii: kompletnie pozbawionych zasad, stanowiących ogromną większość; oraz żyjących według zasad bez względu na to ile osób wskutek tego ucierpi. Pierwsze wrażenie, jakie na niej zrobił Charlie sugerowało, że nie da się go tak łatwo zaklasyfikować do żadnej z nich. Zupełnie jakby ktoś wlaźł gdzieś prosto z ulicy i zaczął pracę w niewłaściwym zawodzie. Miał w sobie pewne swobodne podejście, w rodzaju wszyscy-w-tym-siedzimy, spotykanego często w interesach. Ani przez moment by nie uwierzyła w takie podejście ze strony któregokolwiek z innych żądnych władzy ludzi, których znała. Nawet wobec Charliego

była łagodnie sceptyczna. Po pierwsze, nie siedzieli w tym wszyscy. Charlie mógł doświadczyć pewnych politycznych kłopotów, ale Evelyn miała stracić wszystko - korporację, udziały, karierę. Oraz reputację.

- Co więc zamierzasz teraz robić? - zapytał Charlie.
-Widzisz jakikolwiek sposób, żeby cokolwiek stąd uratować?

Wzruszyła ramionami.

- Niezbyt dobrze to wygląda.

Siedzieli nad kawą i grzankami. Mniej więcej połowa stołów była zajęta. Ludzie spacerowali po chodnikach, ktoś spływał na lotni spod szczytu kopuły.

- Co z ewakuacją? - zainteresował się. - Jakież problemy?

- Nie sądzę. LTA ogłosiła, że idzie na współpracę i natychmiast wysłała samoloty orbitalne. Z czasem będzie krucho; niektórzy z nas, odlatujący ostatnim kursem w sobotę, będą mieli cholernie dobry widok na fajerwerki. Ale wszyscy się stąd wyniosą. O ile nic się nie pochrzani - wgryzła się w grzankę. - Zawsze zakładaliśmy, że najbardziej prawdopodobnym zagrożeniem będzie zmiana w aktywności słonecznej, albo coś w tym stylu. Wtedy jedynie wszyscy musieliby znaleźć się pod osłoną. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek komuś przyszło na myśl, że konieczna stanie się ewakuacja całego kompleksu. Mówimy o Księżycu, na miłość Boską! - Miała kłopoty ze stabilnością głosu. - Właśnie wysłaliśmy pierwszą grupę na LI.

Naprzeciwko nich w boksie płynął górski potok. W strumieniu tkwiły głązy, pęknięta czara stała z boku, częściowo zanurzona w wodzie. Evelyn zerknęła na nią i zobaczyła jak obraz rozplywa się i przekształca w nagłówek USA today:

KOSMICZNY POCISK UDERZY W KSIĘŻYC

O włos minie Ziemię, lecz inne obiekty
przelatywały nawet jeszcze bliżej

Tekst został zastąpiony przez obraz komety. Wszystkie głowy komet - przynajmniej te, których zdjęcia oglądała - wyglądały tak samo. Pod złotym halo były ciemnymi, pełnymi szczelin pecynami lodu i pyłu, czasami zrytymi kraterami, zawsze nieregularnego kształtu. Niezmiennie były zupełnie nie interesujące i nigdy do końca nie zrozumiała, dlaczego kogokolwiek mogłyby obchodzić. Ta niczym się nie różniła. Było na niej kilka kraterów, kilka równoległych szczelin, jakby ktoś ją podrapał.

- Wygląda całkiem zwyczajnie - powiedziała.

Charlie potrząsnął głową.

- Ma średnicę większą niż New Jersey. Lepiej, żeby nas tu nie było, kiedy się zjawi.

Evelyn czuła się kompletnie załamana. Gdyby kometa dała im kilka lat, pozwoliła Bazie Księżycowej udowodnić swoją wartość i zapoczątkować przepływ gotówki, korporacja miałaby szansę przetrwania nawet tak katastrofalnego ciosu. Ale nie w tej chwili. Teraz był moment krytyczny i nie mogła pozbyć się wrażenia, że pojawienie się komety było w jakiś sposób zamierzone, jakby wszechświat chciał ją dopaść.

- Wiesz co jeszcze? - spytała. - Kiedy się to skończy LI też nie będzie warta funta kłaków.

- A to dlaczego?

Popatrzyła zdumiona na Charliego.

- Bo to równowaga grawitacji Ziemi i Księżyca trzy ma ją w miejscu. Jeśli Księżyc sobie pójdzie w diabły, nie da się utrzymać satelity w tej pozycji. Punkt Lagrange'a przestanie istnieć.

-Och.

- Będziemy więc ograniczeni do niskich orbit okołoziemskich, nie będzie też dogodnego bliskiego celu na niebie. Charlie, mieliśmy otwarte okienko w kosmos, kiedy dysponowaliśmy już technologią, pieniędzmi i chęciami. Na krótko. Ale sądzę, że te raz to okno się zamyka.

3.

Baza Księżycowa, Dzielnica Grissoma. 10:55.

W wiadomościach pojawiły się symulacje i porównania. W komecie było dość lodu i skał by wypełnić Wielki Kanion sto pięćdziesiąt razy. Albo pokryć całą Ziemię równą warstwą o grubości ponad piętnastu metrów.

Oto jak będzie wyglądała sobotnia noc. Widzowie mogli obejrzeć animację komety przecinającej orbitę Wenus, celującej w Księżyc i w końcu wbijającej się weń. W punkcie uderzenia pojawiła się niewielka chmurka.

Ludzie pakowali się. Panowała atmosfera, którą można by nazwać spokojnym pośpiechem. Pracownicy Jacka Chandlera opracowali plan odlotów, którego kopie wisiały dosłownie wszędzie. Goście mieli odlecieć pierwsi, za nimi wszyscy, których obecność nie była niezbędna: astronomowie, matematycy, chemicy, eksperci od hydroponiki, przedsiębiorcy, specje od organizacji wypoczynku, pracownicy obsługi i wszyscy inni zbędni przy wysyłaniu statków w kosmos i utrzymaniu zasilania. Musieli zostać technicy systemów podtrzymania życia, pracownicy kosmodromu, łącznościowcy i analitycy systemowi. Oraz, jak zawyrokował Chandler, całe kierownictwo. Nawet jeśli nikt z nich nie mógł bezpośrednio pomóc.

Wezwano personel z zewnętrznych stacji. Krótco zastanawiano się czy próbować ratować wyposażenie i szybko z tego zrezygnowano. Jeśli nie da się czegoś zapisać na dysk, oznajmił Chandler, należy o tym zapomnieć. Ogłoszono skromny limit bagażu i wyznaczono dyżurnego by zbierał sugestie i zażalenia, oraz pomagał w razie problemów.

Rick Hailey przeczytał dokument na swojej ścianie i zauważył, że *Mikro*, który w okolicy lunchu miał zabrać grupę wiceprezydenta, przygotowywał się do startu z zupełnie innymi pasażerami na pokładzie.

Wczoraj wieczorem udał się do łóżka w spokojnej instytucji oczekującej długich lat powodzenia i odkryć. Dziś rano obudził się w chaosie. W fizyce, zdał sobie sprawę, podobnie jak w polityce, wszystko mogło zmienić się w mgnieniu oka. I bez ostrzeżenia. Zadzwoił telefon.

- Hailey - przedstawił się spokojnie.

- Rick - to był wiceprezydent. - Sporo się wydarzyło. Jeśli masz parę minut, powinniśmy pogadać.

Rick oglądał wiadomości przy myciu zębów. Widział wywiad z Tomiko Harrington, animację oczekiwanej kolizji, zauważył ostrożną reakcję Białego Domu. (Prezydent obserwuje przebieg wydarzeń.)

Kiedy dotarł do kwatery Charliego Haskella, agent stojący przed drzwiami przywitał się uprzejmie, zapukał, poczekał na odpowiedź i otworzył drzwi. Haskell rozmawiał przez telefon.

- Tak, Henry - mówił - wszystko mam pod kontrolą. O ile wiem.

To musiał być prezydent.

- Nie, możesz im powiedzieć, że ze mną wszystko w porządku. Żywności jest w bród i wszyscy odlecają z nim to paskudztwo tu doleci.

Charlie leżał wyciągnięty na sofie z nogami skrzyżowanymi na stoliku kawowym. Wskazał Rickowi krzesło.

- Henry, zakładam, że dotrzemy do domu mniej więcej w niedzielę rano. Nie jestem pewien, czy już opracowali szczegółowy rozkład lotów.

W niedzielę rano? Rick wykrzywił się do wiceprezydenta, który uniósł rękę prosząc o cierpliwość.

- Tak, wiem - ciągnął Charlie. - I doceniamy to. O ile wiem, Evelyn i jej ludzie zajmują się wszystkim. Ale powtórzę jej.

Słuchał przez chwilę i skinął głową.

- Tak, sir. Będziemy. Zobaczymy się za kilka dni. Przyjrzał się w zamyśleniu aparatowi i przerwał połączenie.

- On się o nas martwi, Rick.

- Ja też. O co chodziło z tym niedzielnym porankiem?

- Wysyłają cztery samoloty orbitalne, żeby nas ewakuować. Dwa odleca w piątek, dwa w sobotę. Ostatni wystartuje na jakąś godzinę przed kolizją.

- Kłamałeś prezydentowi. Powiedziałeś, że jeszcze nie opracowali dokładnego rozkładu lotów.

- Ten rozkład jest niepewny. Zadam ci pytanie, Rick: w którym z samolotów powinien się *znaleźć* wiceprezydent?

Rick wyczuł sytuację bez wyjścia.

- Potrafisz być takim sukinsynem, Charlie.

Ten rozłożył ręce.

- A jaki mam wybór?

Rick potrząsnął głową.

- Ja nie widzę żadnego.

Sytuacja prezydenta też nie przedstawiała się różowo. W ciągu jednej nocy Baza Księżycowa zmieniła się w monumentalny polityczny kłopot. A miało być jeszcze gorzej, wprost proporcjonalnie do skali katastrofy. Trzeba żywić nadzieję, że nikt nie zginie, choć Rickowi przyszło na myśl, tak jak na pewno i prezydentowi, że bohater-ska śmierć wiceprezydenta bardzo by poprawiła polityczną pozycję obecnej administracji. Nawet, pomyślał czując nagły chłód, wystarczyłby jego doradca. Mężny biurokrata ginie na Księżycu. Lecz Boże uchroni przed śmiercią kogokolwiek postronnego.

Charlie wydał w zamyśleniu wargi.

- A ty? - zapytał. - Chcesz się załapać na wczesny kurs?

Tak, pomyślał Rick, dałbym za to wszystko.

- Zostanę do soboty - oznajmił. - Ale nie chciałbym cię zobaczyć na pokładzie dopiero ostatniego promu.

- Ja też nie. Jednak nie sądzę, żeby udało mi się tego uniknąć.

- Charlie, kampania nie jest warta twojego życia

- Rick był wściekły, choć nie bardzo wiedział na kogo.

- Na razie, Rick, chciałbym, żebyś był pod ręką. Przez następne trzy dni ciągle będę miał do czynienia z me-

diami i potrzebuję trochę pomysłów. Wiesz, na komentarze o odwadze i chłodnym profesjonalizmie mieszkańców Księżyca w sytuacji skrajnego zagrożenia. Zwłaszcza o, hm, amerykańskim personelu. Da się to zrobić nie obrażając nikogo?

- Jasne.

- Okay. Pamiętaj też, żeby wspomnieć o Evelyn Hampton. Zdobądź również nazwiska jeszcze kilku pracujących tu kobiet. Dzielnych kobiet. Pamiętaj by zaznaczyć uznanie dla ich płci. „Ich umiejętność radzenia sobie z nawet tak skrajnymi sytuacjami dowodzi, że...” i tak dalej.

- Charlie, to trąci seksizmem.

Wiceprezydent roześmiał się.

- Dlatego ty jesteś mi niezbędny. Musimy ratować co się da. Dlatego też konieczne jest wykazanie, że wciąż mamy środki do dalszych działań. Nie możemy rezygnować. Wielkie marzenie. Przypomnij katastrofę Challengera. I Rick...

- Tak, sir?

- Na miłość boską, znajdź mi jakieś wiersze.

Georgetown, Waszyngton, DC. 12:03.

George Culver wcale nie czuł się nieszczęśliwy z powodu odwołania lotu. Wykorzystał niespodziewany wolny dzień na lunch z przyjaciółmi w „Turn of the Century” Hursta, na Wisconsin Avenue. Restauracja została otwarta tuż po Bożym Narodzeniu dwutysięcznego roku i malowidła na ścianach przedstawiały sceny z końca ery Clintona. Tu krzykliwie ubrana orkiestra, tam antyczna Toyota Corolla. Brodaty ojciec z synem w tłumie, wymachujący proporczykami niegdysiejszej drużyny Washington Redskins. Wielkie otwarcie zostało uwiecznione na olejnym obrazie. Ludzie w ubiorach, które wówczas uchodziły za bardzo oryginalne, stojący w kolejce do inauguracyjnego posiłku.

Przyjaciele Culvera również byli pilotami. Mel Bancroft latał w liniach Continental; Rich Albert miał stopień pułkownika sił powietrznych. Zazwyczaj rozma-

wiali o sprawach zawodowych albo o kobietach, lecz dziś głównym tematem była nadlatująca kometa i gwałtowne zwiększenie liczby opuszczających stolicę, co zauważyli na autostradach wokół miasta. Ludzie obawiali się, że kawałki księżyca mogą wpaść do oceanu i wody Zatoki Chesapeake zaleją ulice. Mel solidaryzował się z udającymi się w głąb lądu na czas katastrofy. Przyznał, że gdyby tu mieszkał, prawdopodobnie zrobiłby to samo. Jednak było inaczej, a rano miał lot. W sobotnią noc znajdzie się w Indianapolis.

- Tak więc, jeśli kawał księżyca naprawdę wpadnie do oceanu - powiedział, - zamierzam przeczytać o tym w gazecie.

Rich pracował za biurkiem w Pentagonie. Nie lubił swojego przydziału, ani biurokracji, ale było to ceną orła na naramiennikach. Wyglądał na starszego niż był. George sądził, że po części może to być skutkiem operacji pokojowych, w których brał udział. W trakcie działań w Afryce mnóstwo ludzi zginęło, a sam Rich spędził cztery miesiące w niewoli u buntowników Tibaki. Nigdy nie opowiadał o tych wydarzeniach, ale poruszał się wolniej niż kiedyś i czasami krzywił się wsiadając do samochodu. Pociągnął łyżeczek drinka i przyznał, że kiedy tylko się dowiedział, natychmiast wsadził żonę i dzieci do samolotu.

- Nic nie straci, jeśli pobędzie parę dni ze swoją rodziną w Vermont.

- A ty, Rich?

- Mam służbę w weekend.

Krepy, niewysoki, nosił blond wąsik. Grywał w pokera i golfa, potrafił też stać się najbardziej niebezpiecznym sukinsynem na świecie. Natura stworzyła go na wojownika. ("

~ Ale jeśli coś się zdarzy - uśmiechnął się ponuro - wzywamy śmigłowce i zwiewamy, gdzie pieprz rośnie.

Kelnerka przyjęła zamówienie: paluszki z kurczaka dla Mela, kanapka z tuńczykiem dla Richa i sałatka cesarska dla George'a.

- Raz widziałem wielką falę - powiedział Mel. - La-
taliśmy z lekami i żywnością do Ahmadabadu. Właśnie
się tam zakotłowało i pomiędzy lotami znalazłem się
w Arabii Saudyjskiej. Ściągali pilotów mających certyfi-
katy na 328⁸. Lecieliśmy jednym z nich, nadlatywali-
śmy akurat nad Morza Arabskiego, kiedy fala weszła
na brzeg. Najbardziej przerażająca rzecz jaką kiedykol-
wiek widziałem. Ostrzeżenia były, ale nikt nie przekazał
ich zwyczajnym ludziom. Później przeczytałem, że u-
to nęło lub zaginęło piętnaście tysięcy osób. - Oczy zrobiły
mu się niewidzące. - Oni po prostu robili to co zwykle,
kiedy nadeszła katastrofa.

George miał szczęście.

- Wiodłem spokojne życie - rzekł. - Nigdy nic ta-
kiego nie widziałem. I mam nadzieję, że tak zostanie.

Zmienili temat na dziecięcą ligę baseballową i wciąż
kłócili się o przewidywane wyniki, kiedy przyniesiono
im posiłek. George wziął kęs sałatki i wtedy zadzwoni-
ła jego komórka. Przeprosił kolegów i wyciągnął apa-
rat z kieszeni marynarki.

- Culver - przedstawił się.

- George?

- Tak, tu Culver.

- Jesteś potrzebny, George. Natychmiast.

Rozpoznał głos.

- Pete, to ty?

W tle słychać było odgłosy z wieży kontrolnej.

- To ja.

- Właśnie jem lunch. Podobno dziś mam wolne.

- Sprawa życia i śmierci, przyjacielu. Naprawdę.

Spakuj się na kilka dni.

- Co? Co się dzieje?

- Powiem ci, kiedy się tu zjawisz.

- Pete, dokąd lecę?

Chwila ciszy. Potem:

- Na Księżyc.

⁸ *Dornier 328 - niewielki (32 pasażerów) samolot
krótkodystansowy (przyp. tłum.)*

NEWSNET. AKTUALNOŚCI Z 12:30.

(Kliknij oo szczegóły)

BRENKOV DAJE ZDUMIEWAJĄCEGO MATA.

Rosjanin jest pierwszym człowiekiem w historii,
który wygrał z programem z MIT

Psychologia:

INTELIGENCJA JEST WYUCZONA

Graham: znacznie przeceniano rolę dziedziczności

WIELKA BRYTANIA WYSYŁA POMOC DO OGARNIĘTEGO POWODZIĄ SUDANU

NOWE AKUMULATORY SAMOCHODOWE TUŻ-TUŻ

W 27. ma być możliwe przejechanie tysiąca mil na
jednym ładowaniu, ale nowe akumulatory są drogie

JASON RILEY ZGINĄŁ W UPADKU Z APARTAMENTU NA DACHU WIEŻOWCA

Twórca „Pat and Mary” być może został wypchnięty
Rysownik komiksów otrzymywał pogróżki
od rozżłoszczonych czytelników
Oskarżany o bluźnierstwo, rasizm i szerzenie niechęci
do ludzi starszych

KOMETA MA UDERZYĆ W KSIĘŻYC

„To wręcz ułaskawienie” mówi Michaelson
„Kolizja z Ziemią zabiłaby n/s wszystkich”
Baza Księżycowa zostanie ewakuowana

SEKSKOMY ZNÓW NA SZCZYCIE NOTOWAŃ

Policjant wykrywa zdalnego klienta

GANG „DARMOWYCH POSIŁKÓW” UJĘTY NA FLORYDZIE

Polowali na niepełnosprawnych

Kosmodrom Bazy Księżycowej. 12:33.

Tony Casaway pojawił się, kiedy zaczęto wpuszczać pasażerów na pokład. Według dawnego rozkładu miał na pokładzie *Mikro* przewieźć grupę wiceprezydenta na LI. Ale dziś wszystkie plany zaginęły w chaosie. Rozumiał, że kierownictwo chce jak najwięcej ludzi przerzucić na stację. Kometa się zbliżała, wszyscy byli podekscytowani w podobny sposób jak na kolejce górskiej, kiedy człowiek wie, że czeka go przyjemna dawka strachu, lecz zaaplikowana w całkowicie bezpieczny sposób.

Tony wcale nie był tego ostatniego pewien. Wyczuł atmosferę niepokoju, kiedy Bigfoot wezwał go by powiadomić o zmianach przydziału. Nie desperacji, to na pewno, ale napięcia. Przypisał to świadomości, że Baza miała zostać zrównana z ziemią. Jednak mogło być w tym coś więcej.

Tony Casaway był starym oblatywaczem, czyli należał do najlepszych pilotów. Różnił się od innych przybyłych na Księżyc z powodów, których nigdy nie potrafił zrozumieć. Gadali o pograniczu i locie na Marsa. On trafił tu, bo któregoś dnia Giną poszła na zakupy do supermarketu i *znalazła*, się pod lawiną pocisków, kiedy kilku wariatów próbowało rozwalić cały sklep. Pochowano ją na zielonym stoku *wzgórza*, pod jej rodzinnym Kansas City, a Tony uciekł od tego zbocza najdalej jak tylko zdołał.

Kosmodrom, podobnie jak reszta budowli, był zagłębiony w regolit. Hangary i stanowiska startowe zaprojektowano tak, by mogły pomieścić najrozmaitsze pojazdy: lunobusy łączące Bazę z LI, różne ciężarówki kosmiczne, księżycowe skoczki towarowe, nazywane *loberami*, przewożące wyposażenie i towary pomiędzy głównym kompleksem a odległymi fabrykami i placówkami naukowymi.

Grupa ewakuowanych osób kręciła się po poczekalni, a w tym czasie technicy sprawdzali układy dwóch pojazdów - lunobusa i *Mikro* - które miały wystartować za pół godziny na LI. Większość spośród oczekujących stanowili biznesmeni i menedżerowie w średnim wieku oraz VIPy przybyłe do Bazy na ceremonię otwarcia. Wśród nich znalazł się znany historyk, rzeźbiarz światowej sławy, dwie hollywoodzkie gwiazdy oraz Wolfgang Weller, niemiecki minister spraw zagranicznych, ze swoją trzyosobową świtą.

Weller był wysoki, przystojny, miał szare, zimne oczy i władczy sposób bycia. Jego zachowanie wyraźnie zdradzało irytację i Tony zastanawiał się, czy źródłem tego złego nastroju było nadchodzące zniszczenie Bazy czy też konieczność przebywania wśród pospółstwa. Minister sprawiał wrażenie człowieka, którego odruchowo się nie lubi. Ciekawa cecha u polityka.

A może problem tkwił w umyśle Tony'ego. Nie przepadał za ludźmi z góry. Zawsze wydawało mu się, że oczekują szczególnego traktowania oraz nadskakiwania ze strony wszystkich dookoła. Dlatego też starannie dbał by nigdy nie dać po sobie poznać, że w ogóle ma świadomość rangi takiego kogoś.

Pasażerowie zrobili Tony'emu przejście. Wszedł po rampie, wewnątrz przywitał go Shen Kai-tai, steward.

- Saber⁹ jest na pokładzie - powiedział.

•Tony skinął głową i przeszedł przez przytulny przedział pasażerski. Po każdej stronie przejścia znajdowały się cztery fotele, ustawione parami. Charakter ruchu pomiędzy L i i Bazą Księżycową wymagał istnienia[^] niewielkiego, bardzo ekonomicznego pojazdu do przewożenia niewielkich grup, a od czasu do czasu nawet pojedynczej osoby. Taką właśnie rolę spełniał *Mikro*. Dwa kolejne takie mikrobusy były w budowie, miały wejść do eksploatacji za miesiąc.

Pasażerowie wchodzili za nim. Weller z trzema doradcami oraz para z dwojgiem dzieci. W sumie osiem

⁹ Szabla (przyp. tłum.)

osób. Z listy wynikało, że rodzina to turyści, udający się do Londynu. Obydwa dzieciaki, piegowata dziesięciolatka i jej nieco młodszy brat, sprawiały wrażenie podekscytowanych. Jednak rodzice byli szorstcy i zde nerwowani. Ostrem głosem wydawali potomkom polecenia, siadajcie, zapnijcie pasy i, proszę, nie hałasujcie. Tony dodał im trochę otuchy wyjaśniając, że w momencie kolizji z kometą będą już bezpiecznie w domu, co wyraźnie sprawiło wielki zawód dzieciom. Matka zaczęła robić im wykład, dlaczego to wcale nie jest śmieszne i jakie mają szczęście znajdując się już w drodze.

Tony wspiął się po drabinie i wśliznął przez klapę w suficie do kokpitu.

Saber przeprowadzała rutynową kontrolę przedstartową.

- Hello Tony - powiedziała, uśmiechając się do niego przez ramię.

Była szczupłą, wysoka (prawie metr osiemdziesiąt), o chłopięcej sylwetce. Czarnowłosa, o świetlistych błękitnych oczach. Pomimo pewnych braków w wymiarach nigdy nie brakowało jej męskiego towarzystwa. Nazywała się Alisa Rolnikaja, urodziła się we Florencji, w rodzinie rosyjskiego dyplomaty. Nauczyła się latać w wieku piętnastu lat, wróciła do rodzinnego Sankt Petersburga dokończyć edukację, potem przenieśli się na odrzutowce i spędziła kilka lat w dywizjonie NATO, składającym się w głównej mierze z Włochów. Tam dorobiła się przyzwiska „Saber”, które przywędrowało wraz z nią na Księżyc. Tony uważał, że pasowało. W jej osobowości, poczuciu humoru był jakiś taki błysk, coś ostrego. W LTA pracowała od trzech miesięcy, *Mikro* był jej pierwszym przydziałem. Jak na razie okazywała się zadowolająco kompetentna.

- Widziałeś zdjęcia komety? - spytała.

Skinął głową. Już zaczął snuć plany emerytalne. Na pokładzie poniżej Shen usadzał pasażerów.

- Włącz wewnętrzne zasilanie - powiedziała.

- *Mikro*. Kontrola Bazy na linii.

- Słucham.
- Jesteście odłączeni, możecie startować za sześć minut.

Mikro był kulą stojącą na dwóch podporach. Kokpit znajdował się w kokułce na jej szczycie. W tej chwili Tony patrzył w poprzek doku, obserwując odsuwające się przewody paliwowe i zasilające. Lampki kontrolne na jego desce rozdzielczej błysnęły żółto. Rozpoczęło się opróżnianie doku z powietrza.

Zwolniono uchwyty mocujące pojazd do stanowiska.

Tony nasłuchiwał odgłosów z dolnego pokładu: kroki, głosy, wkładanie bagaży do pojemników pod sufitem. Potem zamykanie włazów, zewnętrznego i wewnętrznego. Pompy powietrzne zapracowały głośnie.

Shen zgłosił gotowość kabiny pasażerskiej do startu. Znow odezwała się Kontrola.

- *Mikro*, macie najszybciej jak się tylko da wrócić z LI. Prześpijcie się jeśli znajdziecie na to czas. Najprawdopodobniej do piątku nie będziecie mieli chwili wytchnienia.

- Tak słyszałem. Zaśmiardniemy się w tym *Mikro*.

Saber uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Oboje świetnie wiedzieli, że w trakcie obsługi pojazdu po każdym locie będą mieli krótkie przerwy dla siebie. Niewiele, ale dość, żeby się wykapać i zmienić mundur.

- W starym, dobrym *Mikro* zawsze śmierdziało - odezwał się nowy głos. Tony poznał, że to główny kontroler, Bigfoot Caparatti.

- Cześć Bigfoot - pozdrowił go.

- Zobaczymy się kiedy tu wrócisz, Tony - powiedział Caparatti. - Dobrego lotu.

Wrota nad lądowiskiem zaczęły się otwierać.

- Wszystko gotowe, Tony - odezwała się Saber.

- Odliczanie do zapłonu. Na mój *znak*, dziesięć...

Mikro napędzany był pojedynczym silnikiem General Electric 7RV, dającym stały ciąg jednego g. Doliczywszy do zera Tony uruchomił go. Zaskoczył z rykiem. Pokład zadrżał i *Mikro* zaczął się wznosić. Po chwili wysunęli się z oświetlonego doku, lecąc w noc.

Biały Dom, Sala Trumana. 13:27.

- Al, czy wszyscy już są?

Prezydent wezwał członków gabinetu na telekonferencję na temat komety, z udziałem dwojga ekspertów naukowych.

Kiedy Henry wszedł, Kerr rozmawiał z sekretarzem obrony. Rozejrzał się szybko, licząc obecnych przy stole i skinął głową.

-Tak, panie prezydencie. Brak tylko Hopkinsa.

Armand Hopkins, sekretarz spraw wewnętrznych, przebywał na zachodnim wybrzeżu. Henry zajął swoje miejsce, próbując nie okazywać, że odczuwa silny ból. Teraz już cały czas go bolało, ale wiedziała o tym tylko Emily. I prawdopodobnie Al.

Przez dwa pierwsze lata Henry był żwawym, energicznym politykiem. Wciąż próbował utrzymać ten wizerunek, ale było mu coraz trudniej. Choroba wysysała z niego życie. Jeśliby zdołał, utrzymałby ją w tajemnicy, lecz nie miał na to szans. Jednak, dopóki ludzie nie widzieli co się dzieje, mógł działać. Stał się wręcz postacią tragiczną, postrzegano go niemal jak jakiegoś świętego, człowieka stojącego u progu wieczności, którego jedyną motywacją było działanie dla dobra narodu. Wszyscy odnosili się do niego z szacunkiem, prawie jakby cały naród czuwał przy łożu. Sytuacja była unikatowa w historii Stanów Zjednoczonych. Inni prezydenci zyskiwali chwałę we wspomnieniach, Henry cieszył się nią piastując urząd. W Stanach Zjednoczonych roku 2024, atakowanie prezydenta uważano za coś niegodnego i nie sportowego. Z drugiej strony było absolutnie pewne, że nie wystartuje do drugiej kadencji.

- Panie prezydencie - odezwał się Kerr - jeśli nie *zamierza*, pan wygłosić wstępny komentarz, możemy zaczynać telekonferencję.

- Proszę.

Na dwóch połówkach ściennego ekranu pojawiły się twarze, kobiety i mężczyzny. Henry widział już kiedyś tego mężczyznę, ale nie mógł sobie przypomnieć nazwiska.

Od czasu spotkania z Juarez złapał już drugi oddech, rządziło nim teraz zawsze wyznawane przekonanie, że wszystko układa się dobrze, jeśli tylko ludzie nie panikują. Facet na ekranie zachowywał się jak na porządku. Nie chciałbym, żeby ten durny sukinsyn wystąpił w mediach, pomyślał Henry. Kto w ogóle go zaprosił? Spostrzegł jednak, że członkowie jego gabinetu i doradcy także mieli ponure miny.

- Zanim zaczniemy - powiedział Henry - proszę pozwolić mi ostrzec was, że trzeba niezmiernie uważać na każde słowo wypowiedziane poza tym pokojem. Cała historia z Księżycem jest już powszechnie znana, ale reakcja społeczeństwa w poważnym stopniu będzie zależeć od wyników naszego spotkania.

Oczywiście nie była to cała prawda. Henry zdawał sobie sprawę, że media mają ostateczny wpływ na nastroje i to one podejmą decyzję, jak rozegrać tę partię. Lecz ludzie musieli zrobić co do nich należy. A zwłaszcza zależało mu na ostrzeżeniu tych spoza kręgów politycznych, że powinni uważać na swoje słowa.

- Kiedy się rozejdziemy i zaczniemy wypowiadać się publicznie, proszę pamiętać, jaki wpływ na ludzi będą miały nasze słowa. Przez kilka następnych dni będzie wystarczająco ciężko. Lepiej unikać paniki, jeśli to tylko możliwe.

Zauważył jak sekretarz stanu bezgłośnie wypowiedział słowo „panika”, jakby nie przyszło mu wcześniej do głowy. Henry odchylił się do tyłu w fotelu i wyjął z kieszeni złocone pióro.

- A teraz, Al, proszę przedstawić naszych gości.

Kerr skinął głową.

- Profesor Alice Finizio z Jet Propulsion Lab.

Afroamerykanka, nosiła dwuogniskowe okulary, przypięte srebrnym łańcuszkiem do klapy pomarańczowego blezera. Kolor ten wydał się prezydentowi nieco zbyt krzykliwy, uważał, że zwracać uwagę powinna osobowość a nie ubiór. Szczupła, siwowłosa, prawdopodobnie koło siedemdziesiątki. Bardzo silnie przypominała mu nieżyjącą babkę. Kerr przedstawił ją jako astronoma.

- Oraz profesor Wesley Feinberg z AstroLab.

To wyjaśniało dlaczego twarz wydała się znajoma. Feinberg był najsłynniejszym naukowcem, otrzymał co najmniej jedną nagrodę Nobla i ostatnio pojawiał się na okładkach Time i Newsweeka. Był nawet gościem na obiedzie w Białym Domu, choć Henry nie przypominał sobie by z nim kiedykolwiek rozmawiał.

Feinberg był chudy, niewysoki, miał zaczerwienione oczy. Resztki siwych włosów zaczesał do tyłu na łysiejącej głowie. Jego wyraz twarzy sugerował, że ma coś ważniejszego do roboty.

- Chciałbym powitać oboje państwa - powiedział prezydent, - i podziękować za poświęcenie nam swojego czasu. Jestem pewien, że przedstawiono już wam pozostałych tu zgromadzonych.

Wiedział, że to nieprawda, ale nie miało to żadnego znaczenia.

- Mercedes, na czym stoimy? - zapytał.

- Obecne przewidywania dają dziewięćdziesiąt siedem procent prawdopodobieństwa, że Tomiko uderzy w Księżyc.

- Czy ktoś z państwa uważa inaczej? - zwrócił się do osób na ekranie.

Oczy Finizio były wąskie jak szpareczki.

- Powiedziałabym raczej, że dziewięćdziesiąt dwie i sześć dziesiątych. Nie widzę nic, co mogłoby temu zaprzeczyć.

- Okay - Henry odetchnął głęboko. - Więc uderzy. Co z tego wyniknie?

- Jeśli zrobi to z taką prędkością, jaką ma w tej chwili - odezwał się Feinberg - zrobi z Księżycą mokrą plamę.

Finizio milcząco potwierdziła tę ocenę.

- Przepraszam - odezwała się Jessica McDermott, sekretarz obrony. - Nie bardzo rozumiem. Co to znaczy „mokrą plamę”?

McDermott przed przejściem do Pentagonu pracowała w kierownictwie Rockwell. Miała około sześćdziesiątki.

- To oznacza, że po sobotniej nocy najprawdopodobniej nie będzie już żadnego Księżyca.

Mężczyźni i kobiety przy stole poruszyli się niespokojnie. Fotele zaskrzypiały, ludzie odchrząkiwali nerwowo. Harold Boatmann, sekretarz komunikacji zerknął w górę, na uśmiechnięty portret Harry'ego Trumana.

- Chyba poradzimy sobie bez niego - powiedział.
- Czy są jeszcze jakieś inne konsekwencje?

- Księżyc - wyjaśnił Feinberg - prawdopodobnie zmieni się w kupę gruzu, plazmy, kurzu i gazu. Należy się spodziewać, że część tych śmieci poleci w naszą stronę.

Wszystkie oczy zwróciły się na prezydenta. Henry poczuł jak zasycha mu w ustach. Przez ostatnie kilka godzin przekonywał sam siebie, że zderzenie w odległości ponad trzystu tysięcy kilometrów nie może stanowić poważnego zagrożenia dla pomyślności Stanów Zjednoczonych. Popatrzył na przestraszone twarze.

- O czym konkretnie mówimy? - zapytał. - Czy jesteśmy zagrożeni?

- Prawdopodobnie w niezbyt dużym stopniu - odparła Finizio. Nawet głos miała podobny do babki. Po patrzyła wprost na niego. - Sądzę, że większym zagrożeniem od gruzu będzie panika.

- Nonsens - zaprotestował Feinberg. - Wszędzie będzie latało mnóstwo odłamków i nie mamy pojęcia do kąd się skierują. Panie prezydencie, wszystko może się zdarzyć.

- Proszę zdefiniować wszystko.

-Trzęsienia ziemi. Fale tsunami. Bóg jeden wie jak będzie wyglądał niedzielny poranek. Podam panu jedną z przykładowych możliwości: jeśli wystarczająco duży odłamek wpadnie do Pacyfiku, wszyscy będziemy pływać. Niemal cała planeta.

Kollander usłyszał postukiwanie palcami. Ktoś odkaslnął.

Finizio przewróciła oczami.

- To bardzo mało prawdopodobna możliwość - powiedziała. - Świetnie o tym wiesz.

- Wcale nie bardzo mało.

- Oczywiście, że tak. Słuchaj, zawsze miałeś skłonność do przesady, ale sądzę, że powinieneś trochę się opanować.

Henry wtrącił się, zanim dyskusja przerodziła się w pyskówkę.

- Pani profesor Finizio, proszę powiedzieć czego pani się spodziewa.

- Niewiele, panie prezydencie. Proszę zrozumieć, Wes ma rację, przy takim wydarzeniu wszystko jest możliwe. Ale niewiele z tego jest prawdopodobne. Spodziewam się zwiększonej gęstości meteorów, ale sądzę, że przejdzie my przez katastrofę dość gładko. Może będzie pan musiał sobie poradzić z kilkoma odosobnionymi incydentami. Najprawdopodobniej jednak z niczym szczególnie poważnym.

- Pojawi się też problem osi - włączył się Feinberg, zupełnie jakby Finizio w ogóle nic nie powiedziała.

- Nachylenie ekliptyki jest, w pewnym stopniu, utrzymywane przez układ Ziemia-Księżyc. Jeśli tego zabraknie...

- Och, na miłość Boską... - wtrąciła Finizio

- Po angielsku proszę - zażądał prezydent.

Feinberg skinął głową.

- Pory roku zależą od nachylenia osi Ziemi. Oczywiście wie pan o tym. Znajdujemy się dalej od Słońca w czerwcu niż w grudniu. Ale teraz wszystko to może się zmienić. Proszę zabrać Księżyc i nachylenie poważnie się zwiększy.

- Czy powinniśmy się tym przejmować? - spytała Patricia Russell, sekretarz prasowy.

- Lata staną się gorętsze, zimy mroźniejsze. W wyższych szerokościach geograficznych nie da się już przeżyć. Rolnictwo będzie miało kłopoty.

- Rolnictwo? - spytał Henry. Popatrzył na Finizio, oczekując od niej pomocy.

- On ma na myśli fakt, że pas upraw pszenicy przesunie się na południe - wyjaśniła. - Ale ten efekt nastąpi dopiero po bardzo długim czasie. Nie mamy się czym przejmować.

- W czasie następnej kadencji? - zapytał jeden z doradców politycznych.

Finizio roześmiała się.

- Może w następnym tysiącleciu - odparła. - Na pewno nie wcześniej. Prawdopodobnie dużo później.

- To prawda - potwierdził Feinberg, - ale powinniśmy myśleć o przyszłości.

- Trzymajmy się raczej teraźniejszości - poradził Henry. - Jest coś jeszcze?

- Na pewno - powiedziała Finizio - fragmenty Księżyca nie polecą we wszystkich kierunkach. Grawitacja wciąż będzie działała i cokolwiek się zdarzy, większość skał tworzących Księżyc pozostanie tam gdzie jest. Och, zostanie poruszony. Rozbity. Ale nic gorszego. Uważam, że najrozsądniejszy kurs, jaki powinien przyjąć rząd to po prostu zachować spokój.

Spojrzała w lewo, niewątpliwie na *obręcz* Feinberga.

Prezydent miał ochotę na oklaski.

- Uważam, że to ekstremalnie optymistyczne stanowisko - oznajmił Feinberg.

- Czego oczekujecie państwo ode mnie? - spytał Henry spokojnie. - Ewakuacji obydwóch wybrzeży?

- Powiem panu, co powinien pan zrobić w pierwszym rządzie - odezwała się Finizio. - Na początek ewakuować LI. Jest zbyt blisko punktu kolizji. Może też na wszelki wypadek Skyport.

Ewakuować stację. No cóż, to łatwo zrobić. A co najważniejsze, to nie moja działka. Ale przekażę tę radę.

Widząc, że już nic nie uzyska od ekspertów, Henry podziękował im przy pierwszej okazji za rady, przerwał połączenie i zwrócił się do swoich doradców.

- Nie mamy wiele czasu - rzekł. - Proponuję odpowiedzieć najpierw na najważniejsze pytania. - Spojrzał na Juarez. - Możemy ją zatrzymać? Może odpalić ładunki nuklearne?

- Jest za wielka - odparła - i porusza się zbyt szybko. Johnson Space Center twierdzi, że równie dobrze moglibyśmy trzepnąć ją patykiem.

- Czy powinniśmy ogłosić ostrzeżenie?

- Nie wiem jak moglibyśmy to zrobić - powiedział Amos Pierson, doradca prawny. - Potrafi pan sobie wyobrazić ewakuację Los Angeles i Nowego Jorku do soboty? Gdzie przeniesiemy tych ludzi? Jak ich na karmimy? Będziemy mieli potężne korki, ludzie będą ginąć w wypadkach, a inni umrą, bo nie dotrą do nich pojazdy ratunkowe. - Postukał dwoma palcami w stół. - Będzie też mnóstwo plądrowania, o ile nie zaryzykujemy pozostawienia policji. Gwarantuję, panie prezydencie, że ogłoszenie ewakuacji wywoła monumentalną katastrofę.

Kiedy Pierson kończył Harold Boatmann splótł ręce na piersi w obronnym geście.

- Nie mogę uwierzyć - powiedział ze złością, - że zamierzamy powiedzieć ludziom, iż wszystko jest w porządku, podczas gdy świetnie zdajemy sobie sprawę z prawdopodobnego zagrożenia, a potem siądziemy sobie na tyłkach w nadziei, że nic się nie wydarzy!

- Czy im powiemy, czy nie, nie ma to najmniejszego znaczenia - odparł Russell. - I tak usłyszą o wszystkim w telewizji. Nikt nie będzie zwracał większej uwagi na to, co my będziemy gadać. Ludzie spanikują i zaczną się poważne kłopoty.

- Wciąż zastanawiam się - odezwał się McDermott, - co się będzie działo, jeśli spróbujecie przeprowadzić ewakuację, a potem nic się nie wydarzy. Niebo leci nam na głowy. Już widzę te dowcipy rysunkowe w gazetach.

Po naradzie Henry wrócił razem z Kerrem do swojego gabinetu i rozsiadł się w skórzanym fotelu zaprojektowanym specjalnie tak, by ulżyć jego chronicznie obolałym plecocom.

- Wiesz, Al - powiedział - to wszystko nic nie znaczy dopóki nie uzyskamy współpracy mediów. Jeśli te sukiny się rozsąleją, będziemy mieli największą pani kę, jaką kiedykolwiek ten naród widział.

Popatrzyli na siebie nieruchomo.

- Niech Grace połączy mnie z McConnellem.

5.

Międzynarodowy Port Lotniczy Dulles, Waszyngton, DC. 13:33.

Samolot orbitalny przypominał raketę z filmów science fiction z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Długi, srebrzysty, w kształcie pocisku, mający grube skrzydła o zmiennej geometrii oraz stateczniki ogonowe. Napędzała go mieszanka wodoru z tlenem. Odlatujące z Dulles SSTO rozpędzano na wyrzutni raketowej umieszczonej w siedemnastomilowym tunelu przebiegającym pod Potomakiem do stanu Maryland. Start następował w okolicy Glen Hills. Wersja samolotu orbitalnego z napędem nuklearnym znajdowała się na deskach kreślarskich, ale dopóki ktoś nie wymyśli jak rozproszyć wątpliwości związane ze środowiskiem, na pewno nie miała szans z nich zejść.

Alexander Drummond, szef operacyjny LTA w Dulles, był niski, tłusty i łysy. Chodził obwieszony łańcuszkami, z rozluźnionym krawatem i rozpiętą pod szyją koszulą. Miał krzaczaste brwi i grube wargi. W tysiącach kryminałów podobne typy grały grube ryby. Gapił się przez okno swojego gabinetu, skąd widział SSTO i wyrzutnię startową.

- George - powiedział nie odwracając się - na biurku masz opis zadania.

George Culver zerknął w dół na teczkę, ale nie sięgnął po nią.

- Jest w nim prośba byś zrobił dwa razy więcej niż przewidują twoje obowiązki - ciągnął Drummond. Wrócił do fotela, gestem zaprosił George'a do zajęcia miejsca na otomanie i usiadł sam. - Ja cię o to proszę.

Drummond zatrudnił George'a, dbał o niego i teraz pilot wiedział, że nadszedł czas zwrotu długów.

- Słucham - rzekł tylko.

- W zadaniu będą uczestniczyć cztery samoloty. Dwa z nich dziś odlecą ze Skyport i jutro koło południa *znajdą* się na orbicie okołoksiężycowej. Obydwa wystartują z powrotem w piątek, zabierając tylu ludzi, ilu się zmieści. Trzeci samolot dotrze na orbitę księżycową w piątek wieczorem i odleci późnym popołudniem w sobotę. Do tego czasu zostanie tam naprawdę niewiele osób. Chcielibyśmy, żebyś ty poleciał na LI. Dotrzesz tam jutro koło jedenastej rano. Zabierzesz swoją porcję pasażerów. Spodziewaj się przepelnienia. Wrócisz do Skyport. Powinieneś dotrzeć tam około siódmej rano w piątek.

George wzruszył ramionami. Jak na razie wszystko w porządku.

- Rozładujesz samolot i zatankujesz. Kiedy tylko będziesz gotów do startu, zawiniesz ogona i polecisz na Księżyc:

- Żartujesz - zdumiał się George.

- Na orbicie księżycowej znajdziesz się w sobotę około południa. Wkrótce po twoim przybyciu odleci trzeci samolot. Ty zabierzesz resztę.

- Ile to może być osób?

- Prawdopodobnie mniej niż sto. Ale na pokładzie nie znajdują się wcześniej niż około dwudziestej pierwszej trzydzieści. Przykro mi, wiem, że to bardzo mały zapas czasu.

- To znaczy tuż przed przylotem komety.

-Tak. Dokładnie o to chodzi.

Nic dziwnego, że ten sukinsyn wyglądał jakby zżerało go poczucie winy.

- Alex, w co ty mnie, do diabła, wrabiasz? Chcesz, żebym tam kiblował kiedy wszystko się będzie rozlatywało?

- Już przed katastrofą powinieneś być dość dawno w drodze do domu.

- Dość dawno? O czym my tu gadamy? O-dwudziestu minutach?

- O godzinie, George. Sądzę, że mogę ci obiecać godzinę. Co najmniej. Słuchaj, wiem, że to bardzo napięty plan, ale nie ma wyboru.

- Jasne, że jest. Macie w okolicy kilka SSTO. Użyj cie jednego z nich i przyspieszcie sprawę.

Fotel Drummondsa zatrzeszczał.

- Wysłanie piątego samolotu niczego nie przyspieszy. Wąskim gardłem są lunobusy. Przetransportowa nie ludzi z powierzchni do samolotów. To powolny proces. Nie ma więc żadnego znaczenia czy polecą cztery samoloty czy pięć. Ostatni lot wciąż będzie musiał wy startować około dwudziestej pierwszej trzydzieści w sobotę.

Decydujemy się na takie przeprowadzenie akcji z dwóch powodów. Po pierwsze jesteś najlepszy ze wszystkich. W drodze powrotnej może będziesz musiał zrobić parę uników, a przy takiej okazji nie chciałbym mieć nikogo innego w lewym fotelu. Po drugie, wysłanie cię do LI da ci pewne doświadczenie w zachowaniu się samolotów poza orbitą okołozemską.

- Wspaniale - mruknął George. - Czuję się zaszczycony.

Na zewnątrz cysterna sunęła po płycie lotniska.

- Nie musisz tego robić. Nie mogę cię do tego zmusić. Ale wraz z tobą będzie wracało około stu osób. Ich życie będzie *zależało* od pilota, którego do nich wyślemy. Ja chcę ciebie. Jeśli nie podejmiesz się, zrozumieć i znajdę kogo innego.

- Sukinsyn - skomentował George.

■- Dzięki.

Drummond wziął plan akcji i podał mu.

Baza Księżycowa, Dzielnica Grissoma. 15:05.

Evelyn odebrała telefon w swojej kwaterze. Nie była fizykiem, ale podejrzewała na co się zanoszą, a przecucia zmieniły się w pewność, gdy usłyszała głos Kermita Hancocka, który był jej przełożonym w kwaterze głównej w Bostonie.

- Dostaliśmy informację z Białego Domu - powiedział bez wstępów. - Zalecają ewakuację obu stacji kosmicznych. Zwłaszcza LI. Uważają, że może zostać zdmuchnięta.

Zmuchięta. Wyrażenie to trywializowało potencjalnie ogromną stratę. Ale przynajmniej był tam samolot w drodze. Równie dobrze może zabrać wszystkich.

- Zróbcie to - powiedziała. - Zadzwoń w parę miejsc.

W słuchawce zapadło długie milczenie.

- Evelyn, przykro mi.

- Mnie też, Kerm - odparła. - Mnie też.

Mikrobus, na podejściu do LI. 15:10.

Stacja sunęła na tle gwiazd. Tony zobaczył jak wypływa z siebie drezynę. Były to pudełkowate pojazdy mogące przewozić dwudziestu albo czterdziestu pasażerów, zależnie od modelu. Ich jedynym zadaniem był transport ludzi i ładunków pomiędzy stacjami kosmicznymi. Ta nazywała się *Christopher Talley*. Tony znajdował się wystarczająco blisko, żeby dostrzec ludzi w kabine pasażerskiej. Prawdopodobnie były to rodziny pracowników, z powodu komety wysyłane dla ostrożności na Skyport.

W momencie zadziałania silników korekcyjnych na wyświetlaczach zatańczyły liczby, a główny silnik zamikł. Wirowali synchronicznie z satelitą. Księżyc, ogromny z odległości zaledwie sześćdziesięciu tysięcy kilometrów, oraz Ziemia w miarę obrotu mikrobusu wokół osi przesuwały się wolno za oknami w pozornej pogoni za sobą.

Podobnie jak Skyport, LI tworzyły pierścienie obracające się w przeciwnych kierunkach, co dawało jej stabilność i znaczącą namiastkę ciężenia księżycowego. Była mniejsza od stacji orbitującej wokół Ziemi. Oniemiał jedną trzecią, a ponieważ nie miała przyjmować turystów, wyposażono ją o wiele bardziej spartańsko. Kilka zespołów silników korekcyjnych zapewniało jej utrzymanie pozycji w niestabilnym punkcie Lagrange'a.

- Dokowanie za siedem minut - odezwała się Saber.

- Zrozumiałem.

Złapał namiar na krótkodystansowe radiolatarnie i wmanewrował pojazd na wyznaczoną ścieżkę podej-

ścia, a w tym czasie Saber rozmawiała z kontrolerami lotów i zaczęła podawać minimalne korekty kursu. Wtem pojawił się nowy głos.

- Tony.

- Słucham, LI.

- Nowiny. Tylko dla twoich uszu, Tony. Właśnie otrzymaliśmy informację, że stacja będzie ewakuowana.

Tony pomyślał, że chodzi o Bazę Księżycową.

- Proszę powtórz.

- Spodziewają się poważnych kłopotów po uderzeniu komety. Opuszczamy LI.

- Ewakuacja LI? Do soboty?

- Roger. Polecono ci wysadzić pasażerów i wracać w te pędy.

Łuk terminatora przecinał powierzchnię Księżyca, dzieląc ją ostro pomiędzy światło i ciemność. Tony popatrzył na Saber.

- Jesteśmy bardzo daleko od księżyca - powiedział.

- Jakich szkód może narobić Tomiko?

6.

Skyport. 16:04.

Dwa samoloty odlatujące jako pierwsze, startowały z Berlina i Kopenhagi. Stewardzi zostali w domu. George *zabrał* swojego na *Arlington*, zakładając, że polecą na LI, ale na Księżyc już nie.

Czwarty samolot, jak się dowiedzieli, miał startować z Rzymu.

Trzy załogi spędziły godzinę z personelem operacyjnym ustalając szczegóły, protokoły łączności awaryjnej, próbując przewidzieć co może pójść źle, dyskutując o spodziewanych kłopotach ze sterowaniem. SSTO nie zaprojektowano do lotów na Księżyc, a jeśli ktokolwiek przewidział taką ewentualność, w planach operacyjnych nie było po tym żadnego śladu. Będą wlekli ze sobą mnóstwo zbędnej masy w postaci aerodynamicznych

części kadłuba, silników atmosferycznych i podwozia, co spowoduje ociążałość. Jeśli naprawę dojdzie do uników przed fruującymi głazami, będą mieli pełne ręce roboty.

Wejdą na wyznaczone orbity a lunobusy zadokują do nich. Mieszkańcy Księżyca dysponowali też dwiema ciężarówkami, które nie dysponowały orbitalnymi urządzeniami dokującymi i ludzie z nich będą musieli zostać przetransportowani przy użyciu sprzętu do pracy w próżni (EVA). Oczywiście w ten sposób przybędą tylko przeszkoleni pracownicy, po jednym lub dwóch za jednym zamachem. Zdolność do przewozu pasażerów była tu niewielka.

- Powiedziałabym, że praktycznie żadna - powiedziała Nora Ehrlich, urodzona w Wielkiej Brytanii pilot *Copenhagen*. -Jaki jest margines bezpieczeństwa całej operacji?

- W tym rzecz - odparł prowadzący odprawę. - Nie ma w ogóle miejsca na błędy.

Wkrótce po przybyciu George dowiedział się, że sporządzono też plany ewakuacji Skyport. Zostaną tam tylko ludzie niezbędni do obsługi samolotów i kilku jeszcze, których obecność uznano za konieczną dla utrzymania stacji w ruchu. Kierownictwo twierdziło, że to tylko środek ostrożności.

Po odprawie George poszedł razem z załogą do restauracji „U Mo” na obiad. O szóstej zadzwonił do zespołu operacyjnego. Powiedziano mu, że wciąż jeszcze opracowują szczegóły, ale powinien być gotów do odlotu o ósmej wieczorem.

Jednym z tych szczegółów było napisanie programów nawigacyjnych. Zadanie to przydzielono pracownicy i kiepsko opłacanej techniczce, której praca polegała na porozumiewaniu się z jednym z astronawigatorów i przekładanie jego instrukcji na kod zrozumiały dla komputerów pokładowych trzech pojazdów kosmicznych. Nazywała się Kay Wilmont, odbywała drugi dyżur na Skyport i właśnie złożyła podanie o stanowisko kontrolera.

Początkowy plan zakładał napełnienie zbiorników paliwem do mniej więcej połowy, poziomu niezbędnego do odbycia lotu tam i z powrotem na orbitę księżycową albo do LI (różnica była znikoma). Lecz pod koniec planiści poinformowali zespół operacyjny, że SSTO mogą być zmuszone w drodze powrotnej do manewrowania. Lepiej przesadzić z ostrożnością niż żałować.

Był jeszcze jeden fakt - tylko dwóch samolotów dotyczyła potencjalna konieczność wykonywania gwałtownych manewrów, tych mających wracać w sobotę. Ale uznano, że nie ma się co rozdrabniać i zdecydowano, że wszystkie zbiorniki będą napełnione po brzegi.

Jednak nikt nie powiedział Kay, czy komukolwiek z jej wachty, o tej zmianie planów. W rezultacie programy zakładały całkowitą masę paliwa o połowę mniejszą niż w rzeczywistości. Ten błąd, po wyłapaniu, będzie wymagał serii korekt kursu w trakcie lotu. Sam w sobie nie stanowił niebezpieczeństwa dla powodzenia akcji.

Biuro Kierownictwa Transglobal, Manhattan. 16:47.

Dwadzieścia siedem lat temu Bruce Kendrick pracował jako prezenter pogody w wiadomościach Channel 11 pod Topeka. Został dostrzeżony przez Kapitana Raymonda L. McConnella, gdy ten ostatni musiał zmienić kurs swojego samolotu ze względu na zamieć w Kansas City i spędzić noc w miejscowym Sheratonie. Spodobał mu się sposób, w jaki młody chłopak radził sobie z niżami oraz frontami, zaproponował mu pracę w sieci, i tak to się potoczyło.

W Transglobal pełno było tego typu historii. Większość z ludzi w kierownictwie, i niemal wszyscy najlepsi spośród showmanów (w których wyewoluowali dziennikarze telewizyjni) zostali osobiście wybrani przez Kapitana. Był właścicielem sieci, miał niezawodny talent do ciągnięcia zysków z wiadomości oraz publicystyki i można by się spierać czy nie był najbardziej wpływowym człowiekiem w Stanach. Może nawet na świecie.

Kapitan nie zawdzięczał swojego tytułu służbie w marynarce. Zgodnie z ustną tradycją w Transglobal,

zaczęło się to jako żart, przezwisko zasugerowane przez jego autokratyczne zachowanie. Niemniej McConnell lubił ten tytuł. Zachęcał do używania go i w rezultacie wszyscy zaczęli się tak do niego zwracać. Lubił publicznie opowiadać, że wziął się z chęci wywarcia na nim wrażenia przez podwładnych. Zawsze wzbudzał śmiech dodając, że osobiście wolałby „Sędzia” albo lepiej „Eks-celencja”, ale pracownicy się sprzeciwili.

Każdy, kto znał Kapitana zdawał sobie sprawę, że żadnych sprzeciwów nigdy nie było.

Bruce Kendrick bywał na jedenastym piętrze gmachu Transglobal. McConnell zazwyczaj wzywał go w czwartkowe popołudnia razem z jego bezpośrednim przełożonym, dyrektorem wiadomości Chuckiem Parmentierem. Organizował je, żeby dokładnie wiedzieć co się dzieje w wiadomościach. Przyjrzyjmy się jak przebiegł tydzień, co podkreślamy, jaki jest nasz punkt widzenia, czego się spodziewamy. I może najważniejsza rzecz - co chcemy osiągnąć i w jaki sposób najlepiej to zrealizować.

McConnell był dyktatorem, niemniej miał dość rozsądku by zadawać pytania i słuchać odpowiedzi. Powstrzymywał się ze swoimi opiniami do ostatniej chwili i, na ile Kendrick potrafił ocenić, był otwarty na sugestie do chwili podjęcia decyzji. Nawet i potem pozwalał na krytykę i znany był z tego, że potrafi zmienić stanowisko pod wpływem przekonującej argumentacji. Ta zaleta, jak utrzymywał Parmentier, była absolutnie unikatowa wśród szefów gigantycznych korporacji medialnych.

Jednak tym razem była to środa, dzień za wcześnie. Kendrick najpierw poszedł do gabinetu szefa wiadomości.

- Na pewno chodzi o kometa - uznał Parmentier.

Kapitan był dość przeciętnej postury. Wzrostu o jakieś trzy-pięć centymetrów poniżej przeciętnej, wciąż jeszcze ciemnowłosa, pomimo siedemdziesiątki na karku. Z wykształcenia był prawnikiem, choć nigdy tego zawodu nie wykonywał. Kiedy wprowadzono gości do gabinetu stał przy oknie, przyglądając się Parkowi Cen-

tralnemu. Pomieszczenie było ogromne, obwieszane oryginalnymi dziełami sztuki, między innymi Remingtona i Jardina.

- Panowie - zagaił bezceremonialnie - mamy robotę.

Steward wprowadził wózek z tacą wypełnioną pączkami oraz kawałkami sernika i nalał wszystkim kawy.

Kapitan okrążył biurko i usiadł. Spod ciężkich brwi prawie nie widać było jego oczu.

- Przyjrzyjcie się - powiedział.

Wdusił przycisk i zaczął się przeglądać wiadomości z godziny czwartej.

Prezenterka o wyglądzie dziewczyny z sąsiedztwa uśmiechnęła się z ekranu.

„Mówi Janet Martin, wiadomości. Dziś po południu pojawiły się nowe konsekwencje wiadomości o komecie Tomiko. Ludzie z obu wybrzeży i z nad dużych zbiorników wodnych na całym świecie zaczęli opuszczać swoje domy. Tomiko zbliża się do Księżyca i naukowcy ostrzegają o możliwości wypadnięcia jego odłamków do oceanów, co wywołałoby gigantyczne fale. (Przebitka na zakorkowane autostrady z samochodami poruszającymi się w żółwym tempie.) Jak poważne jest zagrożenie? Dan Molinari jest w Obserwatorium Beaver Meadow w stanie Nowy Jork z jedną z osób próbujących *znaleźć* odpowiedź na to pytanie. Dan, jak to wygląda?”

Molinari stał obok niskiego, siwowłosego człowieka w okularach i zmechaconym, niebieskim swetrze. „Janet, to Wesley Feinberg z harwardzkiego AstroLab. Przyjechał tu obejrzeć całkowite zaćmienie. Profesorze Feinberg, czy mógłby pan powiedzieć nam co wydarzy się w najbliższy weekend?”

Parmentier obserwował Kapitana usiłując zgadnąć co tu było źle.

„...naprawdę trudno powiedzieć, Dan. Może się zdarzyć wszystko. Po prostu nie da się ściśle przewidzieć następstwa tak potężnej eksplozji.

- Profesorze, widzieliśmy, że wiele osób obawia się oceanów. Co pan sądzi na ten temat? Czy istnieje re-

alne zagrożenie dla ludzi mieszkających na wybrzeżach?

- Na pewno. Gdybym żył w pobliżu brzegu, wyniósłbym się stamtąd na kilka najbliższych dni. A pan nie? W Denver o tej porze roku jest bardzo przyjemnie."

McConnell wyciszył dźwięk, na ekranie dwie osoby wciąż bezgłośnie rozmawiały. Popatrzył na Parmentiera ponad przestrzenią blatu biurka z drewna wiśniowego.

- No, Chuck - powiedział, - co o tym sądzisz?

-To bardzo dobra historia - odparł Parmentier. - Chyba nie bardzo wiem, do czego pan zmierza, Kapitanie.

Kendrick przeniósł wzrok ze swojego szefa na Kapitan. Parmentier zazwyczaj szybko się orientował, ale kiedy uważał, że ma dobrą historię, czasami bywał tępawy. Kendrick natychmiast pojął ku czemu to zmierza, ale był zbyt bystry, żeby wprawić w zakłopotanie człowieka podpisującego czeki z jego wypłatą.

McConnell ściągnął brwi.

- Czy wziąłeś pod uwagę - zapytał, - co się będzie działo, jeśli uda się nam wywołać panikę wśród dwustu pięćdziesięciu milionów ludzi? Nie wspominając już o naszych widzach z innych kontynentów?

Twarz Parmentiera poczerwieniała.

- Kapitanie, to wielka historia. Co chce pan, żebyśmy zrobili? Dać sobie z nią spokój?

- Nie podoba mi się sposób, w jaki to przedstawiamy, Chuck. Możemy doprowadzić do potężnej katastrofy. Już zaczęli ginąć ludzie.

- Wypadki.

- Zdarzają się, kiedy ludzie przestają myśleć. My rozpoczęliśmy proces doprowadzania mnóstwa ludzi do stanu bezmyślności.

Zerknął na Kendricka, który usiłował sprawiać wrażenie, jakby zawsze uważał, że do tej sprawy powinni podchodzić bardzo ostrożnie.

- Mamy obowiązki wobec społeczeństwa - oznajmił Parmentier.

- Do cholery, Chuck, zachowaj te banały dla polityków. Rozmawiasz ze mną. Nie wezmę na siebie odpo-

wiedzialności za wywołanie kilku nocy chaosu. Za zabicie Bóg jeden wie ilu ludzi, *zanim* się to skończy. Oraz może otrzymanie kilku pozwów.

Parmentier nie dawał się łatwo zastraszyć, nawet szefowi.

- Nie mamy wyboru, sir - powiedział, wymawiając słowa starannie, z nutką oburzenia, - musimy przedstawić naszym widzom prawdę. A jest taka, że w ciągu kilku najbliższych dni mogą nastąpić poważne zaburzenia. Miejsca takie jak Nowy Jork są narażone. Mówienie im prawdy to nasza praca.

Wzrok McConnella stwardniał. Popatrzył na Kendricka.

- Bruce, wezwałem cię tutaj, bo uważam, że to jest sprawa, w której musimy osiągnąć porozumienie. *Co* ty o tym sądzisz?

Kendrick odchrząknął i zaczął się wykręcać jak umiał.

- Nieważne - przerwał mu Kapitan. - Będziesz się starał kryć szefa. To dobrze, Bruce. Do pewnych granic. Ale to... - wstał i zapatrzył się na Remingtona stojącego na biurku. - Prawda jest taka, Bruce, że tak naprawdę nie wiemy *co* się wydarzy. Wszystko to tylko spekulacje, a te nie powinny być podawane jako ścisłe fakty. Czy wyraziłem się jasno?

- Myślę - odezwał się Parmentier, - że możemy inaczej rozłożyć naciski.

- Tak - zgodził się Kapitan. - Dokładnie to zrobimy. Inaczej rozłożymy naciski.

Jego ton sugerował, że jeśli pozostali nie zamierzają dyskutować na ten temat, on już skończył. Parmentier i Kendrick wstali. Bruce powiedział, że zaraz się za to weźmie. Obaj mężczyźni ruszyli do drzwi.

- Jeszcze jedno - powiedział McConnell. - W week end...

- Tak, sir?

- Będziemy nadawali z terenu. Idźcie do Jima, już to przygotowuje. Pojutrze nie chcę widzieć nikogo w tym budynku, czy nawet w pobliżu miasta.

Biały Dom, Gabinet Ovalny. 16:48.

Feinberg uśmiechnął się niewinnie z ekranu.

"Na pewno. Gdybym żył w pobliżu oceanu, wyniósłbym się stamtąd na kilka najbliższych dni. A pan nie? W Denver o tej porze roku jest bardzo przyjemnie."

Henry wyłączył obraz.

- Czasami żałuję starych, dobrych czasów - mruknął.

- Co masz na myśli, Henry? - zapytał Kerr.

- Kiedy przywódcy państwowi mogli rozstrzeliwać przyglupów. Dużo przemawia za takim rozwiązaniem.

Właśnie zakończył rozmowy ze swoimi odpowiednikami w Japonii, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Rosji i Chinach. Wszyscy czuli się zagubieni. Niemcy i Rosjanie zaczęli działać i przenosili ludzi w głąb lądu. Mogli to zrobić. Nie mieli tysięcy mil wybrzeża. Inni podejmowali ograniczone działania, gromadzili zapasy, snuli plany przeciwdziałania skutkom katastrofy i stawiali siły wojskowe w stan gotowości. Wielka Brytania i Japonia, nie dysponujące dużym lądem, były zdane na łaskę wydarzeń.

Henry'emu nie podobała się jego własna polityka, polegająca na obserwowaniu, czekaniu i próbowaniu pocieszania wszystkich naokoło. Żywieniu nadziei, że wszystko się ułoży. Będziemy sobie radzić z konsekwencjami w miarę ich pojawiania się, powiedział sobie w duchu. Może będziemy mieli szczęście. Niektórzy przywódcy religijni namawiali go na ogłoszenie dnia narodowej modlitwy. Jakby w obliczu kryzysu narodowi potrzebny był tylko widok prezydenta na kolanach.

Żaden prezydent nie dostaje się do Gabinetu Ovalnego bez przedzierania się przez gąszcz nacisków. W momencie gdy się tam już znajdzie, jest pokryty bliźnami, cyniczny, twardy i ma przed sobą tylko jeden cel. Nie wierzy też by z czymkolwiek, lub kimkolwiek, nie uda mu się poradzić. (Dotyczy to również pani prezydent. Stany Zjednoczone miały już pierwszą kobietę na tym stanowisku w latach 2017-2021. Odrzuciła nominację na następną kadencję, opatrując tę decyzję komentarzem: „Nie warto“.)

Oczywiście myliła się. Było warto. Henry wiedział to, tak samo jak każdy człowiek w kraju zasługujący na miano polityka. Nawet w takim czasie jak ten, kiedy tak wiele zależało od jego decyzji a przyszłość rysowała się mętnie, było warto. Zwłaszcza w takim czasie. Nie ma miejsca na wielkość bez znaczącego wyzwania. Henry obawiał się, że zniknie w księgach historycznych wraz z ludźmi takimi jak Polk i Cleveland, bardzo skuteczni prezydenci, którzy mogli znaleźć się wśród najślawniejszych, gdyby w czasie swojej kadencji musieli poradzić sobie z wystarczająco dużym nieszczęściem. Nie można zostać Lincolnem bez wojny domowej. Wszystko wskazywało na to, że Henry miał tę swoją wojnę domową.

Pomimo przytłaczającej skali problemu, dzisiejszego ranka nie poddawał się ponurym nastrojom. Musiał zrobić wszystko właściwie. I potrzebował szczęścia.

Ale nie miał powodów sądzić, że mu się nie uda.

7.

TRANSGLOBAL. WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA. 18:45.

- Dzisiaj w Zatoce Bengalskiej rozbił się indonezyjski samolot. Szacuje się, że zginęło dwieście siedemdziesiąt osób, wszyscy znajdujący się na pokładzie. Zła pogoda utrudnia akcję ratunkową.

■ - Rebelianci w Patagonii przyznali się do zamachu bombowego na budynek rządowy, w którym w zeszłym tygodniu zginęło jedenaście osób, w tym amerykański dyplomata.

- W kraju, na szosach, wciąż znajduje się bezprecedensowa liczba samochodów. Ludzie opuszczają swoje domy przestraszeni przewidywanym na sobotnią noc wpadnięciem do oceanów fragmentów Księżyca. Chcielibyśmy przypomnieć naszym widzom, że wielu naukowców uważa takie wydarzenie za mało prawdopodobne. Mówił Bruce Kendrick z "World Report".

Biały Dom. Ogród Różany. 19:44.

Wieczorem Henry zobaczył kometę. Była jasną, rozmażaną plamą po zachodniej stronie nieba, widoczną

krótko po zmierzchu słońca. Astronomowie twierdzili, że w ciągu kilku najbliższych nocy będzie się szybko pięć w górę na niebie.

OŚWIADCZENIE PREZYDENTA. 20:00

Rozpowszechnione we wszystkich sieciach.

Moi rodacy Amerykanie,

Jak już wiecie, kometa Tomiko zbliża się do Księżyca i spodziewamy się, że uderzy weń w sobotę wieczorem, około dwudziestej drugiej trzydzieści pięć wschodnioamerykańskiego czasu letniego.

Z przyjemnością mogę poinformować, że ewakuacja Bazy Księżycowej, podjęta jako środek ostrożności, postępuje bardzo szybko. Nie przewidujemy żadnych problemów z usunięciem wszystkich ludzi z obszaru potencjalnego zagrożenia,

Pojawiły się pewne obawy związane z możliwością oderwania się od Księżyca skalnych fragmentów i skierowania się ich w naszą stronę. Wydaje się, że siła zderzenia może być wystarczająca by spowodować poważne pęknięcia naszego satelity, czego wynikiem będzie uwolnienie pewnej liczby odłamków. Nie ma jednak bezpośredniego powodu do niepokoju. Rząd uważnie śledzi rozwój wypadków, a kąt uderzenia będzie taki, że - zdaniem naukowców - nie musimy się niczego obawiać.

Choć nie mam zamiaru umniejszać powagi sytuacji, największym zagrożeniem jakie obecnie istnieje jest możliwość zbyt gwałtownych reakcji części Amerykanów. Powinniśmy zachować spokój i nie pozwolić by kierował nami strach czy plotka. Wszyscy jesteśmy w takiej samej sytuacji i razem przezwyciężymy kryzys. Wydałem polecenie by służby federalne oraz wojsko postawić w stan gotowości do udzielania pomocy, o ile okaże się potrzebna. Na razie najbezpieczniejszym miejscem dla was i waszych rodzin jest własne mieszkanie.

Dziękuję bardzo za uwagę, dobranoc państwu.

Kosmodrotn Bazy Księżycowej. 23:28.

Tony dwukrotnie przewiózł pasażerów na LI w rekordowym czasie. W trakcie drugiego lotu *Mikro* przekroczył sześćtysięczną godzinę spędzoną w przestrzeni, co łączyło się z koniecznością wykonania rutynowych czynno-


ści obsługowych. Kiedy mikrobus dotarł do Bazy Księżycowej, załoga techniczna zajęła się nimi z listą w rękach. Sprawdzili silniki korekcyjne i zespoły dokujące, przejrzeni układy podtrzymywania życia i zajęli się wymianą szybko zużywających się części. Wśród nich znajdowały się zawory ograniczające silniczków korekcyjnych.

Planujący ewakuację zamierzali porzucić mikrobus razem z dwoma lunobusami, kiedy już wykonają swoje zadania i wszyscy ludzie znajdą się na pokładzie samolotów orbitalnych. W rezultacie większość obsługi wykonywanej po sześciu tysiącach godzin lotu była niepotrzebna. Jednak w trakcie przekazywania informacji pomiędzy kierownictwem a załogami wykonującymi pracę, ten szczegół gdzieś się zagubił.

Mikro Tony'ego przeszło pełną obsługę. Wykonujący tę pracę wiedzieli, że mają na to dziewięćdziesiąt minut zamiast normalnie potrzebnych pięciu godzin. W rezultacie, co było do przewidzenia, ucierpiała na tym dokładność.

Podobnie jak inne pojazdy przebywające wyłącznie w przestrzeni *Mikro* był wyposażony w pojedynczy silnik napędowy i zespół silniczków korekcyjnych. Napędzała go mieszanina pyłu aluminiowego z ciekłym tlenem. W miarę godzin pracy w silnikach odkładał się nagar, dlatego też wymagały okresowej wymiany.

Silniki zainstalowano na wsporniku pomiędzy przewodami paliwowymi, okrążającymi pierścieniem statek. Jednym płynęło paliwo, drugim utleniacz. Zespół sterujący pozycją pionową i poziomą składał się z czterech, mogących zmieniać pozycję silniczków, rozłożonych w równych odstępach wokół statku. Zespół obracający wyglądał tak samo, tyle tylko, że silniczki były sztywno zamocowane do uchwyty tak, że dysze miały skierowane w przeciwne strony, dwa zgodnie z ruchem wskazówek zegara i dwa przeciwnie. *Mikro* wyposażony był w cztery zespoły, po jednym pion/poziom na dziobie i rufie, obrotowy pośrodku, oraz pozwalający na precyzyjne manewrowanie zestaw silniczków skierowanych wzdłuż osi, dwa w przód, dwa w tył.



Gdzie tylko było to możliwe części zostały zunifikowane. Wszystkie przewody, uchwyty i gniazda były identyczne we wszystkich promach, busach i ciężarówkach, pomimo że te ostatnie używały większych silników. W rezultacie przewody były za duże dla małych jednostek napędowych i mogły doprowadzić większą niż niezbędną ilość paliwa lub utleniacza. Przepływ był kontrolowany przez zawory ograniczające. Baza Księżycowa produkowała dwa rodzaje silników: duże dla ciężarówek i małe dla busów. W dużych przepływ był dwukrotnie większy.

Ze względu na unifikację obydwie typy zaworów wyglądały identycznie. Przeznaczone do kontroli przepływu utleniacza były obłe, do paliwa kanciaste. Lecz jedynym sposobem na rozróżnienie pomiędzy zaworami dla małych i dużych silników było sprawdzenie ich oznaczeń. W dodatku nie miały żadnej regulacji, włączenie prądu je otwierało, wyłączenie zamykało.

Technik, który je miał zainstalować, był trzydziestoletnim inżynierem po Uniwersytecie Tekszańskim. Nazywał się Elias Tobin i do tej pory nie popełnił najmniejszej pomyłki w pracy wymagającej bezwzględnej uwagi na szczegóły. Lecz dziś znajdował się pod silną presją by jak najszybciej skończyć tę robotę, bo trzeba jeszcze było wymienić smary, przejrzeć sieć elektryczną i skalibrować silniki. Później grupa dochodzeniowa stwierdzi, że w tych okolicznościach, wśród przydzielonych Eliasowi zadań znaczenie miała jedynie wymiana zaworów ograniczających.

Popełnił błąd.

Na szczęście, sam w sobie nie był on szczególnie poważny.

INFORMACJA LUFTHANSY DLA TERMINALI W USA. 23:47

Linie Lotnicze Lufthansa informują, że w ramach środków ostrożności podjętych w związku z określonymi wydarzeniami astronomicznymi mającymi nastąpić w najbliższy weekend, wszystkie loty po 20:30 EDT w sobotę, 13 kwietnia, zostają odwołane.

Wznowienie usług zostało wstępnie przewidziane na 12:01 EDT w środę, 17 kwietnia, lecz ostateczna decyzja będzie zależeć od przebiegu wydarzeń.

Rozdział czwarty

Lot

Czwartek, 11 kwietnia

1.

LI, kwatery pilotów. 3:01.

Telefon wyrwał Rachel Quinn z głębokiego snu. Włączyła lampkę na stoliku i spojrzała na budzik.

- Quinn - przedstawiła się.

- Rachel - głos był znajomy, ale jakoś nie mogła od razu skojarzyć kto to. - Przepraszam, że budzę cię o tak barbarzyńskiej godzinie.

Dyrektor stacji.

- W porządku, John. Co się stało?

- Czy mogłabyś przyjść do mojego gabinetu?

- Teraz?

- Bardzo proszę. To pilne.

Wstała z łóżka i piętnaście minut później wyłoniła się z windy w sektorze biur kierownictwa administracji. Światła się paliły, ludzie pracowali. Sekretarka dyrektora podniosła wzrok na wchodzącą osobę.

- Proszę wejść, pani pułkownik.

John Barringer był arogancki, bezwzględny i zdarzały mu się ataki wściekłości. Kiedy weszła, stał pochylony nad wydrukami *razem* z jednym ze swoich asystentów. Machnął jej ręką, żeby usiadła, odprawił asystenta i podszedł do niej.

- Rachel - zapytał - kiedy zamierzasz zaprowadzić „Lowella” z powrotem do Skyport?

- Jutro - odparła.

- Czy nie udałoby ci się nieco przyspieszyć planów? Potrzebowała tylko niewielkiego uzupełnienia zapasów. Żywności i wody.

- Czemu nie - zgodziła się. - Kiedy chcesz mieć nas w drodze?

- Najprędzej jak to możliwe. Mamy kupę roboty z ewakuacją, a wy moglibyście pomóc.

- Jasne. Czego ci trzeba?

Barringer opadł na oparcie i założył nogę na nogę.

- W Bazie Księżycowej sytuacja jest krytyczna. Mnóstwo ludzi trzeba stamtąd wywieźć. W tej chwili transportują ich tutaj. Mogłabyś polecieć do domu przez Lunę, i zabrać paru z nich. Wprowadzić nieco luzu do planu napiętego do ostateczności.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że jest aż tak kiepsko - skomentowała. - Sądziłam, że nie ma z tym żadnego problemu.

- Powiedzmy, że starali się przedstawić opinii publicznej optymistyczną wersję. W każdym razie byłibyśmy wdzięczni za pomoc.

- Jasne - odparła. - Zrobimy co się da. Lecz pamiętaj, że „Lowella” zaprojektowano dla sześciu osób. Ja i Lee to dwie. To znaczy, że możemy zabrać jeszcze tylko cztery. Nie wydaje mi się to szczególnie dużą pomocą.

Barringer pochylił się w przód.

- Dlaczego tylko czworo?

- Przeciążymy układy podtrzymania życia. Ale może zdołam wcisnąć kogoś jeszcze. Powiedzmy sześć osób.

- Dobrze - powiedział. - To już coś. Powiedzmy, że dostarczę maski tlenowe na pokład. Ilu ludzi wtedy zdołasz zabrać?

- Wolałabym raczej nie ryzykować wożenia ludzi z osobistymi maskami tlenowymi aż na Skyport.

Barringer skinął głową.

- Nie jestem pewien, czy rozumiesz co ci chcę powiedzieć, Rachel. Ludzie, których nie zabierzesz, być może tam zostaną.

- Boże, to jest aż tak źle?
- Na styk.
- Ile osób miałabym wziąć na pokład?
- Mniej więcej dwadzieścia. Może parę więcej, jeśli zdołasz.
- Nie będzie im wygodnie.
- Oni nie obawiają się o wygodę.
- Okay - zgodziła się. - Wezmę dwadzieścia. Nie, dwadzieścia pięć.

Barringera łatwo byłoby zgubić w tłumie: okrągła twarz, łysiejące czoło, niezbyt charakterystyczne rysy twarzy. Prawdę mówiąc nie myślała o nim za dużo. Rachel żywiła przekonanie, że człowieka najłatwiej jest ocenić po tym, o co się troszczy, a Barringer, w jej obecności, zawsze mówił o metodach w księgowości i procedurach kadrowych. W widoczny sposób podlizywał się odwiedzającym LI VIPom, a także (jeśli wieści były słuszne), rzadko miał dobre słowo dla podwładnych. Lecz dzisiajszego ranka współczuła mu.

- Za godzinę napełnimy zbiorniki i dostarczymy maski - powiedział. Przyjrzał się jej przez chwilę.
- Wiem, że jest was tylko dwoje. Potrzebujecie zapasowego pilota?

- Nie - odparła. - Dzięki.
- To ja ci dziękuję, Rachel.

Skinęła głową i ruszyła w stronę drzwi.

f- Jeszcze jedno - zawahał się. - Czy wasz lot został oficjalnie odwołany?

Miał na myśli Marsa. Wyprawę.

- Nie - odparła. - Jeszcze nie. Sądzę, że mają inne sprawy na głowie.
- Przykro mi - rzekł.

Zrozumiała: Barringer pracował w branży wystarczająco długo by wiedzieć, że jeśli wyprawa nie dojdzie do skutku, to kiedy NASA w końcu ją wyśle, na pokładzie znajdzie się inna załoga. A tę wyprawę niewątpliwie trafił szlag.

- Taak - powiedziała. - Dzięki.

Mikro. 3:52.

Tony zostawił trzecią grupę pasażerów na LI i wystartował w drogę powrotną. Zaczynał się nudzić. Mijało właśnie mniej więcej piętnaście godzin spędzonych przez niego jednym ciągiem na pokładzie *Mikro*. A jeszcze przed nim dwa i pół dnia.

Przyspieszał, odchodząc od stacji, minął przy tym bus Hala Jenkinsa, podchodzący z szesnastoma uciekinierami na pokładzie. Tak Tony zaczął myśleć o ludziach zwiewających w stronę rodzinnej planety. Bus zamrugał światłami. Tony oddał pozdrowienie, ale uwagę miał skupioną na Tomiko, która lśniła tuż ponad światłami sąsiedniego pojazdu. Oddaliła się od blasku Słońca i stała się rozmytą gwiazdą.

Leci szybko i coraz szybciej.

Wyglądała całkiem nieszkodliwie.

- Gdzie jej warkocz? - zapytał Saber.

- Słyszałam, jak ktoś w TV mówił, że warkocza nie widać bo skierowany jest prawie dokładnie w naszą stronę. Uważają też, że porusza się zbyt szybko by Słońce zdążyło ją porządnie rozgrzać.

Podniósł lornetę i wybrał największe powiększenie. Kometa zdawała się pulsować, rozjaśniać i ciemnieć zgodnie z rytmem jego serca.

Po tym weekendzie nie będzie za dużo roboty dla pilotów księżycowych.

- Przejdiesz na emeryturę, Tony?

Chyba odczytała jego myśli, czarownica.

- Tak - potwierdził. - Być może. Nie sądzę, żebym potrafił wrócić do latania w atmosferze. Nie po tym wszystkim.

Chyba miała wilgotne rzęsy.

- Wszystko w porządku, Saber?

- Ty to jesteś szczęściarz - powiedziała.

Zachowanie Saber wyzwoliło w Tonym ojcowskie instynkty. To wyjątkowe draństwo dotrzeć tak daleko i zobaczyć swoje marzenia wydarte spod palców. Kiedyś słyszał opowieść o jednym ze średniowiecznych papie-

ży, który wściekł się na komety i ekskomunikował ją. Tony nie był pewien, czy historia była prawdziwa, czy nie, ale rozumiał gesty ludzi, których życie zaburzały goście nie dający się dotknąć, ani nie dający się odpuścić. Gapił się w obraz na znajdującym się nad głową ekranie, lśniący, spokojny i nawet piękny. Żałował, że nie można tam sięgnąć, rzucić zaklęcia, rozwalić jej.

- Ciekawa jestem, czy udało się im prześledzić jej tor wstecz - powiedziała Saber.

- Dokąd?

- Do miejsca, z którego wystartowała.

- Wątpię by to było możliwe. Ona ma prawdopodobnie miliard lat.

- To dziwne - rzekła Saber. - Miliard lat i przez cały ten czas leciała dokładnie prosto w Księżyc.

Zapatrzyła się na ekran, a Tony wręcz czuł jak z jej oczu tryskają emocje. Odpiął pasy i wstał.

- Co byś powiedziała na małą przekąskę?

- Jasne - zgodziła się.

Otworzył kłapę do przedziału pasażerskiego i spłynął w dół. Kambuz znajdował się na rufie, w osobnym pomieszczeniu. Poszedł tam w czepnych butach, otworzył lodówkę, wyjął kilka kanapek z serem i wsadził je do mikrofalówki. Pokroił parę pomidorów, cebulę, przyrządził sałatkę, wziął do niej sos ranczerski, napełnił termos kawą i zabrał to wszystko do kokpitu.

- Dzięki - powiedziała, zaczynając jeść. - Nie zda wałam sobie sprawy, że jestem aż tak głodna.

- Brakuje mi Shena - uśmiechnął się Tony. - Nie jestem przyzwyczajony samemu dbać o siebie.

Zostawili stewarda na LI. Jedna osoba więcej do przewiezienia.

Saber wzięła sobie dokładkę sałatki.

- Zastanawiam się czy ona jest sama - powiedziała.

- Co masz na myśli?

- Czasami takie draństwo latają stadami. Może ich tam być więcej, zmierzających w naszą stronę.

- Pocieszająca myśl.

- Nieprawdaż?

Kiedy zjedli, Saber zaproponowała, że posprząta. Jednak Tony potrzebował pretekstu, żeby rozruszać mięśnie. Zabrał resztki posiłku do kambuza, wrzucił sałatkę do plastikowej torby i ułożył naczynia w stosik.

LI, sterownia „Percivala Lowella”. 4:18.

- Najbardziej mnie wkurza - oznajmił Lee Cochran,
- że wciąż jeszcze moglibyśmy wyruszyć na tę wyprawę.
- Czy to nie trochę egoistyczne? - spytała Rachel.
- Nie, nie o to mi chodzi - zaprotestował geolog.
- Moglibyśmy podskoczyć do Bazy Księżycowej, przewieźć stamtąd ludzi, zabrać załogę ze Skyport i ruszyć w drogę.

Jego oczy, zazwyczaj mające bardzo seksowny wyraz, *teraz* były puste.

- Nie otrzymaliśmy jeszcze żadnych dyrektyw, prawda?

- Nie - potwierdziła. - Jeszcze nic. Ale na pewno nas odwołają.

- Dlaczego? Okno startowe wciąż jest otwarte. Dla czego nie uratować wyprawy? Nie ma powodu, żeby wszystko schrzanić.

Miał rację. Najcięższa robota została zrobiona, statek był gotów do lotu. Nie istniały żadne techniczne powody by pozostawali na orbicie okołoziemskiej. Jednak rozumiała przesłanki polityczne: „*Lowell*” nie mógł polecieć na Marsa, gdy ludzie na Ziemi robili co mogli, żeby uniknąć katastrofy.

Zapisał jej telefon komórkowy.

- Pani pułkownik?

”

- Strzelaj, Jim.

James Hoffer był koordynatorem akcji ratunkowej.

- Poduszki już są.

- Okay, dawaj je na pokład. Zaraz do was przyjdę, pokażę gdzie je zostawić.

- Poduszki? - zdziwił się Cochran.

- Dla naszych pasażerów.

Cochran usiadł obok niej.

- Dlaczego byśmy nie mieli ruszyć dalej, po zostawieniu ludzi na Skyport?

Uśmiechnęła się.

- Ukraść „*Lowella*”? Zaplanujmy sobie nieograniczony czas pobytu na Marsie.

Nie wypadło to wcale śmiesznie, a Cochran naprawdę sprawiał wrażenie przepełnionego bólem. Dla nich wszystkich był to szczytowy moment w karierze. Dla niej samej, dla Lee i dla pozostałych członków załogi, którzy właśnie przybyli na Skyport i czekali na transport na LI.

- Posłuchaj - miała nadzieję, że to utnie dyskusję, - Baza Księżycowa zostanie zniszczona i z programu kosmicznego zlezie cała pozłota. Politycy wcale nie będą gotowi do startu.

- Niech szlag polityków. Jeśli nas odwołają, polecimy dopiero za całe lata, czy też raczej ktoś poleci.

- Lee - zmieniła temat, - skupmy się na najbliższym kłopotcie: gdzie my umieścimy pasażerów?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Sądzę, że najwyższy czas się tym zająć. Rozejrzyjmy się.

Chciała by korytarze pozostały puste. Sześć osób mogli umieścić w kłódkach, które miały służyć jako kabiny załogi. Dwie można posadzić na nieużywanych stanowiskach. Dla następnych sześciu było miejsce w pomieszczeniu rekreacyjnym, a reszta będzie najbezpieczniejsza w schowku na wyposażenie. Mogli siedzieć w pojeździe marsjańskim i samobieżnej wiertni laserowej, gdzie były pasy.

Wiertnia wyglądała jak traktor z modliszką siedzącą okrakiem na masce. Lee zatrzymał się przed nią, a Rachel wręcz mogła czytać w jego myślach. Maszynę zaprojektowano w celu dotarcia na głębokość stu metrów pod powierzchnię Marsa i pobrania stamtąd próbek. On siedziałby w niej, kierując rubinową wiązką, wysyłając próbnik w głąb i odkrywając marsjańską historię.

Teraz oboje wiedzieli, że to nigdy nie nastąpi. Kiedy „*Lowell*” polecą, za dwa, trzy lata, jeśli w ogóle, na pokładzie znajdzie się całkowicie nowa załoga.

- Popatrz na to z innej strony - powiedziała. - Mamy szansę wykazania przydatności statku z napędem atomowym. Może kiedy się to wszystko skończy, ktoś zda sobie sprawę z korzyści, jakie daje posiadanie „*Percivala Lowella*”. To znaczy, zbudowaliśmy pierwszy. To on kosztował wszystkie pieniądze. A teraz to będą grosze.

Kokpit *Mikro*. 6:51.

Mikro zbliżał się do kosmodromu. Lecieli na auto pilocie za wiązką naprowadzającą kiedy odezwało się radio.

- Tony? Tu Baza - głos Bigfoota.

- Mówcie, Baza. Słuchamy.

- Zmiana planów. Dziś rano startuje do nas „*PercivalLowell*”. Ty i jeszcze jeden bus polecicie na spotkanie z nim. Droga tam i z powrotem zajmie wam jakieś czterdzieści pięć minut. Zabierzecie tam dziewięć osób.

Zwykła ósemka, plus jedna osoba za nieobecnego Shena.

- Zrozumiałem, Bigfoot. Zobaczymy atomówkę w akcji, he?

- Dla jokerów wszystko co najlepsze.

- Ciekawa jestem ile osób musieli usunąć - zapytała Saber.

Tony nie odpowiedział, przeniosła więc uwagę na kometę, która na wyświetlaczu miała drugi warkocz.

- Może zwalnia - odezwał się. - Może będziemy mieli szczęście.

- To byłoby miłe - Saber popatrzyła na ekran. - Ale nie licz na to. Tutaj jest napisane, że dwa warkocz to normalna rzecz.

-Och.

Kometa zaczynała nabierać osobowości, zupełnie jakby była żywa. Gdyby się rozleciała, Tony miałby wielką uciechę.

Na pulpicie Saber migotały zielone lampki, sygnały gotowości. Pośrodku Alfonsa rozbłysły światła gdy kosmodrom otworzył dla nich wrota. Silniczki korekcyjne zagrały na chwilę, wrócili na środek korytarza podej-

ściowego. Gdyby Tony albo Saber przyglądali się uważnie, może spostrzegliby ślady szarej mgiełki na zewnątrz busa. Wątpliwe, czy by rozpoznali w niej nie spalone paliwo, pył aluminiowy tłoczony do komór spalania w ilości dwukrotnie większej niż ich wydajność. Lecz może ktoś by się nad tym zastanowił.

Alfonsa pokrywały liczne szczeliny i kratery wtórne. Górka centralna, charakterystyczna cecha większych kraterów, rzucała poszarpany cień. *Baza Księżycowa* była bezpiecznie schowana pod regolitem, jej położenie zdradzały tylko światła.

- *Mikro* - powiedziała Baza. - Idzie wam dobrze.

Silniczki zadziały raz jeszcze. Tony czuł jak bus obraca się wokół osi. I

jeszcze raz.

- Siedzimy na torze - powiedziała Saber.

- *Mikro*, macie zezwolenie na lądowanie.

Czterdzieści pięć minut. Akurat dość czasu na po siłek.

- Chcesz śniadanie? - zapytał.

- Tak - skinęła głową. - Dobry pomysł.

Zapaliła się migająca pomarańczowa lampka. Saber sprawdziła wyświetlacz nad głową.

- Nadmierne zużycie paliwa. Silniczki korekcyjne.

Tony podążył za jej wzrokiem. Stracili kilka funtów.

- Może coś jest niedokręcone - powiedział.

- Nie wiem. Przed obsługą po sześciu tysiącach wszystko było w porządku.

Tony zamruczał coś niepoehlebnego o technikach Bazy Księżycowej.

- Mielibyśmy się lepiej, gdyby zostawili wszystko w spokoju.

Włączył radio.

- Baza, tu *Mikro*. Silniczki korekcyjne zużywają za dużo paliwa.

- Przyjęto.

- Sprawdźcie to w czasie przeładunku. Pewnie tylko jakiś przeciek.

2.

BBC WORLDNET. 7:07

Wywiad z dr Alice Finizio z Jet Propulsion Lab.

Prowadzi Connie Hasting.

Hasting: Dr Finizio, widziała pani obrazy ludzi uciekających z wybrzeży w całym kraju i na świecie. Co powiedziałaaby pani osobom mającym domy nad morzem?

Finizio: Żeby zostali w swoich salonach i w telewizji oglądali wszystkich tych głupków stojących w korkach.

Hasting: Czyli uważa pani, że nie ma żadnego zagrożenia?

Finizio: Zagrożenie istnieje zawsze, Connie. Nie mogę obiecać, że kawał skały nie wpadnie przez czyjeś okno. Albo nie wylądnie w oceanie. Jednak założyłabym się, że w chwili obecnej o wiele większe jest prawdopodobieństwo śmierci na autostradzie, niż na wybrzeżu.

Hasting: Czy jest pani czymś zaniepokojona?

Finizio: O, tak. Obawiam się, że stracimy pływy.

Hasting: Nie wydaje się to szczególnie poważną sprawą.

Finizio: Może być poważna. To nie moja specjalność, ale nie wiemy jakie będą skutki braku pływów dla ekosystemów. Całkiem spora liczba gatunków bez nich nie przeżyje. Na przykład czaple na pewno wymrą.

Hasting: Nie chciałabym sprawiać wrażenia osoby bez serca, ale sądzę, że zgodzi się pani, dr Finizio, że strata czapli dla większości z nas nie będzie niczym poważnym.

Finizio: Prawdopodobnie nie. Ale wszystko jest z sobą powiązane. Nastąpi efekt domina. Proszę pamiętać, to nie będzie stopniowe wymieranie tylko zniknięcie. Proszę pozwolić mi przypomnieć sprowadzenie królików do Australii, czy masowe polowania na ptaki w obu Dakotach, które trwały do czasu, gdy komary praktycznie zdominowały te rejony. Nie wiemy co się wydarzy na dłuższą metę. A przynajmniej ja nie wiem.

Hasting: Czy jest coś jeszcze, czego powinniśmy się obawiać?

Finizio: Duża ilość pyłu dostanie się do atmosfery. Może nastąpić epoka lodowcowa.

Hasting: Czy nadejdzie szybko?

Finizio: (Z wahaniem) Jeśli to nastąpi, tak, sądzę, że skutki będą widoczne bardzo szybko.

Hasting: Chyba już nie będziemy musieli się przejmować gazami cieplarnianymi.

Finizio: No cóż, istnieje też taki prawdopodobny scenariusz rozwoju wydarzeń, który prowadzi i do tego zagrożenia.

Hasting: To nie są chyba najlepsze nowiny, dr Finizio.

Finizio: (Pogodnie) Zagrożenia istnieją zawsze. Dlatego też radzę naszym słuchaczom, żeby się nie przejmowali. Jeśli wydarzy się najgorsze, i tak nic na to nie poradzimy. Ale sądzę, że na krótką metę będzie całkiem dobrze. W dłuższym czasie sytuacja nie wygląda już tak różowo. Ate to bardzo długi czas.

Kosmodrom Bazy Księżycowej. 7:10.

Lunobus AVR/2665, nazwany przez swoją załogę Wobble, wystartował z dwudziestoma sześcioma pasażerami. Po przybyciu samolotu orbitalnego z Kopenhagi miał ich przeładować na jego pokład. Przyniesiono kilka wag, personel stacji ważył wszystkich i sumował otrzymane liczby. Okazało się, że jest jeszcze margines stu pięćdziesięciu ziemskich kilogramów, więc dodano dwóch pasażerów, dorosłego i dziecko.

Po spotkaniu, dwóch stewardów przesiądzie się razem z pasażerami, zwiększając w ten sposób liczbę osób, które bus będzie mógł przewieźć w następnych lotach.

Pół godziny po odlocie Wobble Tony i Saber znów znaleźli się w sali odlotów kosmodromu. Oboje też zostali zważeni, dziewięćdziesiąt kilo Tony i pięćdziesiąt dziewięć Saber. To żebyśmy mogli ułożyć dokładne tabele, powiedziano im.

Zgodnie z sugestią Tony'ego obsługa techniczna sprawdziła linie paliwowe pod kątem przecieków.

- Nic - powiedział mu Bigfoot. - Prawdopodobnie ostatnim razem trochę za wcześnie odłączyliśmy wąż i dostaliśmy nieco mniej paliwa. Zdarza się. - Wzruszył ramionami. - Nasza wina.

- Wolałbym znać przyczyny kłopotów - rzekł Tony.

- Ale to nie jest krytyczna sprawa - odparł Bigfoot.

Był najbardziej umiejętnym człowiekiem jakiego Tony kiedykolwiek oglądał z bliska. Nazywał się Elrond Capriatti. Przewisko ciągnęło się za nim od czasu rozgrywek baseballowych. Krótco grał w Packerach jako obrońca. Zgodnie z tym co sam opowiadał, ktoś nadepnął mu na kolano w pierwszym meczu. Tony podejrzewał, że ta opowieść była mocno upiększona, ale faktycznie jego kariera zakończyła się bardzo szybko. Kulał do dziś.

- To tylko kilka kilo mniej - Bigfoot wzruszył ramionami. - Słuchaj, Tony, gdybym sądził, że to coś poważnego, zrobilibyśmy pełny przegląd. Ale tak nie jest, a już nie nadążamy za grafikami. I tak nie będzie to miało większego znaczenia. W sobotę porzucimy tego grata.

Tony skinął głową. Ufał Bigfootowi.

- Okay - rzekł. - Dzięki.

Bigfoot pokazał mu oba podniesione kciuki. W poczekalni otwarto drzwi i pasażerowie zaczęli wchodzić po rampie.

Na pokładzie szybko przeprowadzili kontrolę przedstartową. Tony zgłosił gotowość do startu, w radio znów odezwał się Bigfoot.

- Czy ty nigdy nie śpisz? - spytał Tony.

- Ostatnio nie. Wy też nie będziecie. Kiedy dostaniecie grafik, zauważycie, że od chwili obecnej aż do zderzenia będziecie latać bez przerwy. Próbujcie dzielić się obowiązkami kiedy to tylko możliwe. Śpijcie przy lada okazji. Tony, muszę ci to powiedzieć, damy radę *zabrać* wszystkich, ale plan jest bardzo napięty i uda się tylko wtedy jeśli wszystko zagra jak w zegarku - przerwał na chwilę. - Macie zgodę na start.

Saber zeszła na dół sprawdzić, czy pasażerowie są przygotowani. Wciąż wozili rodziny i VIPów. Zgłosiła gotowość kabiny i szybko wspięła się po drabinie kiedy Tony prowadził końcowe odliczanie. Nad głowami sufit rozdzielił się i odjechał.

- Są naprawdę podnieceni - powiedziała Saber.

- Zwłaszcza dzieci.

- Tym, że się stąd wynoszą?
- Lotem na „*Percwalu Lowellu*”.

Odlecieli z Bazy Księżycowej. Był to niemal perfekcyjny start, wymagający tylko kilku króciutkich zapłonów silniczków korekcyjnych, nie wystarczających by zauważyć, że jeden z nich pali za dużo, zużywając dwa razy więcej paliwa niż pozostałe jedenaście. Tony odechnął z ulgą gdy główny silnik zgasł a na pulpicie nie pokazały się żadne ostrzeżenia, nawet sugestie nadmiernego zużycia paliwa. Może rzeczywiście nie dopełnili zbiorników, a może to była pomyłka komputera.

Kiedy znaleźli się na orbicie Tony zszedł na dół przywitać się z pasażerami. Zawsze odwiedzał kabinę. Zazwyczaj w czasie dwudziestu pięciu godzin z groszami spędzanych pomiędzy LI a Księżycem robił to bez pośpiechu, pozwalając by jego spokój udzielił się jednej czy dwóm osobom, które leciały po raz pierwszy. Nosił przyczepne buty, pomimo że już dawno opanował poruszanie się w nieważkości. Mający chęć na wygłupy lepiej reagowali na kapitana stojącego twardo na pokładzie.

W grupie VIPów znajdowali się: siedemdziesięcioletni Kwae Li Pak, światowej sławy ekspert od wpływu długotrwałego życia w obniżonej grawitacji na układ mięśniowy; senator Stanów Zjednoczonych, dziewiętnastoletni student z politechniki w Catalunya, którego wyścizka na Księżyc była główną nagrodą w konkursie naukowym, oraz rosyjski przemysłowiec.

Wszyscy byli podekscytowani, nawet Pak. Senator, pochodzący z Południowej Karoliny, głośno prosił Boga by skruszył kometę. Najwyraźniej znajdował się w podobnym stanie ducha jak Tony. Rosjanin podziękował Tony'emu i spytał kiedy pilot sam się ewakuuje.

- Nie jestem pewien - odparł. Po krótkim namyśle dodał: - Kiedy tylko będę mógł.

„*LowelF*” pojawił się na ekranach dokładnie o czasie. Tony przerzucił wizję nad głowy i Saber patrzyła na obraz statku z podziwem.

- To jedyny sposób podróżowania - oznajmiła. Tony wzruszył ramionami.

Kiedy pierwszy raz zobaczył „*Lowella*” w doku na LI, opanowały go mieszane uczucia. Wspaniale prezentujący się statek, wystrojony i nie mający się dokąd udać. Mars to tylko pustynia z wielgachnym wulkanem i kilkoma starymi łożyskami rzek. Niezbyt wart dwóch lat na puszgowanym żarciu.

Mikro powoli zbliżał się do statku międzyplanetarnego. Tony wymieniał dane z jakąś kobietą.

- To będzie Rachel Quinn - uśmiechnęła się Saber.

W jej głosie pobrzmiwała żalność.

- Naprawdę chciałabyś wziąć udział w tej wyprawie? - spytał.

Saber uśmiechnęła się.

- Gotowa bym zabić za to.

Dok „*Lowella*” umieszczono na jego spodniej stronie, w okolicy rufowej. Tony wprowadził *Mikro* na pozycję, ustawiając go niemal w poprzek w stosunku do większej jednostki i oddał sterowanie autopilotowi, który przeprowadził busa przez ostatnie pięćdziesiąt metrów. Włączył interkom i ostrzegł pasażerów przed zbyt wczesnym odpinaniem pasów. Niewielkie wstrząsy poparły tę radę.

Uchwyty magnetyczne zaskoczyły, zaczęły zapalać się bursztynowe światła kontrolne świadczące o tym, że łącznik pomiędzy słuzami jest uszczelniony i zaczął wypełniać się powietrzem. Po kilku minutach zmieniły się na zielone i Saber zeszła na dół by zająć miejsce przy słuzie.

Tony słyszał otwieranie kłap, rozmowę Saber z inną kobietą, zapewne Rachel Quinn. Potem wysunął się z fotela i zszedł na dół pożegnać pasażerów.

Wysiadali radośnie i usłyszał okrzyki zachwytu, kiedy dotarli na pokład „*Lowella*”. Wtedy zobaczył Quinn.

- Zobaczymy się na Skyport - powiedziała, i kłapa jej statku zamknęła się.

Tony był lekko zirytowany. To prawda, że *Mikro* nie był zbyt olśniewający, ale za to twardy niczym koń roboczy i ci ludzie nie traktowali go z należyтым szacunkiem.

- Szlag - mruknęła Saber.

- Wiem co masz na myśli - rzekł Tony.
- Chciałam wejść tam i rozejrzeć się odrobinę.
- Och. No cóż, widziałas go na LI. Do kroćset, byłaś w środku kilka razy.
- To duża różnica - odparła. - *Teraz jest żywy.*
- Chyba nie mamy czasu do stracenia - przypomniał.
- Wiem.
Wstukwała sekwencję odcumowania i przyglądała się, jak zamyka się ich własna klapa.
Podczas startu Tony użył silniczków korekcyjnych tylko dwa razy.

Kokpit SSTO *Berlin*. 7:12.

Nieprawidłowy program nawigacyjny sprawił kłopoty wszystkim trzem samolotom orbitalnym. Pilot *Berlina*, Willem Stephan, spokojnie obserwował jak Księżyc i kometa robią się większe, kiedy z Bazy Księżycowej nadeszło ostrzeżenie.

- *Berlin* i *Copenhagen* zboczyły z kursu.
- Niemożliwe - zaprotestował inżynier pokładowy.
- Profil lotu wygląda dobrze.
- Baza - odezwał się Stephen, - nie dostrzegamy odchylenia.

Copenhagen, znajdujący się w odległości osiemdziesięciu kilometrów wyglądał jak jasna gwiazda.

- Poczekajcie chwilę - poleciała Baza.
Stephan połączył się z Norą Ehrlich w *Copenhagen*.
- Jak u ciebie?
- Tak samo jak u ciebie, Willem. Dokładnie na kursie.

Baza odezwała się ponownie.
- Do obu statków, tu *Baza Księżycowa*. Przejść na nawigację ręczną. Przełączyć się na kanał jedenasty i namierzyć radiolatarnię. Potwierdzić wykonanie.
Inżynierem pokładowym na *Berlinie* był Gruder Miiller, przyjaciel jeszcze z Uniwersytetu Hamburgskiego. Uzyskał na ekranie namiar na radiolatarnię.
- *Berlin* zrozumiał - powiedział Stephan.
- Przyjęto. Przygotować się do korekty kursu.



- Zrozumiano.

Wymienił spojrzenia z Gruderem. Może pilotaż pomiędzy Ziemią a Księżycem nie był tak precyzyjną nauką jak mu się zdawało.

- *Berlin*, tu Baza - nowy głos. Autorytatywny. Prawdopodobnie dowódca wachty. - Przenosimy was na inną trajektorię niż planowana. Uważamy, że jest błąd w oprogramowaniu, więc dalej lecicie na ręcznej. Zrozumieliście?

Stephan potwierdził.

Wprowadził nowe dane do komputera i sześć minut później zmienił kurs. *Copenhagen* zrobił to samo.

Pierwsze planowane spotkanie *Berlin* miał z mikrobussem. Stephan przeprowadził jego symulację.

- *Teraz* już kursy nie pasują do siebie tak dobrze - powiedział. - *Mikro* będzie musiał troszkę pokombinować.

Waszyngton, D.C. 7:22.

Harold Boatmann nie spał całą noc. Szary świt sączył się przez zasłony jego mieszkania w Georgetown. Poddał się, wstał, usmażył sobie parę jajek, wsadził kilka plasterków boczku do mikrofalówki, przyrządził dzbanek kawy i połączył się z oficerem służbowym. Zaczęło się trochę poprawiać. Ludzie uspokoili się nieco dzięki zapewnieniom Białego Domu i kursowi przyjętemu przez media bagatelizujące kometę i przypinające łatkę zbikowanych, którzy ruszyli na szosy.

Sekretarz komunikacji powinien być zadowolony. Prawdę mówiąc jednak administracja balansowała na ostrzu noża. Dziesiątki tysięcy mogły zginąć jeśli źle zgadli. Boatmann zastanawiał się jakby żył z takim ciężarem.

Dłubał w śniadaniu, aż w końcu dał sobie spokój, wziął kawę do salonu, gdzie zapadł w wyściełany fotel. Położył nogi na podnóżku, postawił filiżankę na stoliku i zapatrzył się na rząd fotografii na gzymsie kominka. Pokój wciąż był ciemny, zasłony odcinały poranne światło, zdjęcia tonęły w mroku. Syn, córka i stadko wnu-

czat, teściowie, kuzyni oraz przyjaciele z dawnych lat, rozsiani teraz po całym kraju. A także on sam, Margaret i prezydent, zdjęcie zrobione na trawniku Białego Domu w czasie zaprzysiężenia. Myślami wciąż wracał do wczorajszego spotkania.

Przetrzymamy to. Przeczekamy z nadzieją, że wszystko pójdzie dobrze, i że będziemy mieli szczęście.

Boatmann nie potrafił poradzić sobie ze świadomością, że gdyby mieszkał w Miami, chciałby znać prawdę. Fakt, że prezydent i doradcy ukrywali niebezpieczne informacje przed najbardziej narażonymi ludźmi krył w sobie potencjalnie fatalne konsekwencje. Jeśli coś źle pójdzie, to jedno mogło wystarczyć by zmusić rząd do ustąpienia.

Obraz przed oczami Boatmanna rozmazał się. Podzielił ludzi na kominku na bezpiecznych i zagrożonych. Kilkoro z nich już ostrzegł. Do pozostałych, z tych czy innych powodów, nie zdołał dotrzeć w tak krótkim czasie, a był zbyt ostrożny by zostawiać wiadomości na sekretarkach. Spróbuje jutro jeszcze raz.

Otrząsnął się, wstał, rozsunał zasłony i wyjrzał w światło poranka. Niebo było szaroniebieskie, powietrze pachniało nadchodzącym deszczem. Na Wisconsin Avenue panował nienaturalny spokój.

Jego cierpienie wynikało z wiedzy, że prezydent miał rację: masowa ucieczka z nadbrzeżnych miast zabrałaby niejedno życie. Jakie były szanse na to, że szczątki komety wywołają jedynie kilka nocnych deszczy meteorów? Najwyraźniej na to pytanie nie było odpowiedzi. Większą część wczorajszego dnia po spotkaniu gabinetu spędził w Internecie i przy telefonie. Nikt o tym nie wiedział.

Lecz w nie ujawnianiu tego, w co naprawdę wierzyli, tkwiła wewnętrzna nieuczciwość. Bez względu na motywy. System działa tylko jeśli stosunki pomiędzy rządem a rządzonymi oparte były na uczciwości.

Łatwo to powiedzieć. Ale jak usprawiedliwić przed samym sobą wywołanie paniki?

Kawa wystygła. Nalał kolejną filiżankę. Po chwili sięgnął po telefon.

3.

Baza Księżycowa, Dzielnica Grissoma. 8:05.

We wczorajszym późnym telefonie wiceprezydenta zawarta była sugestia by Rick przygotował odpowiednie wypowiedzi na dzisiejszą konferencję telewizyjną. Dobre oświadczenie wstępne. Mamy być optymistyczni, powiedział Charlie. Prawdopodobnie powinniśmy wspomnieć o niepewnych elementach całej sytuacji. Jednak znajdujemy się w rękach starej, dobrej amerykańskiej technologii. Przetrywamy wraz z naszymi zagranicznymi przyjaciółmi, bla, bla, bla. Prezydent chciałby, żebyśmy skupili się na problemach Bazy Księżycowej. Ma nadzieję, że możemy odwrócić uwagę opinii publicznej i powstrzymać ludzi przed zapychaniem autostrad. Jego głos nabrał dziwnych tonów. Charlie rzadko okazywał negatywne emocje wobec innych ludzi, ale Kollander najwyraźniej go zirytował. Kiedy się za to weźmiesz, przygotuj listę prawdopodobnych pytań, które mogą być mi zadane. Oraz zalecane odpowiedzi.

„I tak żadnej z nich nie użyjesz” pomyślał Rick.

Tak czy siak, Rick dotarł do drzwi wiceprezydenta pełen sugestii. Charlie przywitał go, siedząc na sofie i przeglądając strony w notatniku.

- Dzień dobry, Rick - pozdrowił go. - Mam parę pomysłów jak to powinno brzmieć.

- Czy tam, w domu, są aż tak nerwowi? - spytał Rick.

- O ile wiem, sytuacja się poprawia. Ale Szef jest niespokojny - i ma ku temu powód. Grałeś z nim kiedyś w pokera?

Rick nie grał. Ale znał reputację prezydenta. Kollander oczywiście teraz nie grał, w żaden sposób nie dałoby się tego utrzymać w tajemnicy przed mediami, a opinia publiczna krzywiłaby się na myśl o pokerzyście siedzącym w Białym Domu. Prowadzący programy pu-

blicystyczne i występujący nocami komiccy mieliby używaniu.

- Zawsze twierdził - rzekł Charlie, - że nigdy nie blefuje. To oczywiście nieprawda. Ale dzięki temu blefy są skuteczne.

- Teraz blefuje? W związku z sobotnią nocą?

- Tak, tak sędzę. Jest przerażony.

Rick skinął głową.

- Jeśli wydarzy się najgorsze, może stracić obydwie wybrzeża.

Mięśnie szczęk Charliego poruszyły się, ale nic nie powiedział.

Rick, który żywił pierwotną niechęć do ponurych rozmów, zmienił temat.

- Sporządziłem szkic jak, moim zdaniem, powinniśmy poradzić sobie z konferencją telewizyjną.

- Dobrze. Zaplanowano ją na dwudziestą, Najlepszy czas dla wszystkich sieci i netlinków. Będzie sporo gości, w tym kilku naukowców z Ziemi, którzy uważają, że nie ma się czego bać. Znaleźli nawet jednego, który przy sięga, że kometa spadnie. Chcą, żeby Kendrick skupił się na tym. Zada kilka pytań. Jestem pewien, że wiesz, jakie będą. A my chcemy pocieszających odpowiedzi - opadł na oparcie i popatrzył na Ricka. - Henry nie przyznałby tego, ale jeśli dobrze czytam pomiędzy wierszami, wszystko jest ustawione. Jestem ciekaw, czy prezydent słyszał więcej niż się do tego przyznaje.

- To złe posunięcie - oświadczył Rick.

- Dlaczego? Z jakich powodów?

- To tylko pobudzi ludzi, którzy uważają, że mamy poważną sytuację. Gwarantuję, że w godzinę po programie każdy naukowiec, który się z nim nie zgodzi, będzie miał własną konferencję prasową. Najlepiej byłoby powiedzieć jak najmniej, pokazać zdjęcie prezydenta zajmującego się zwykłymi sprawami i, na miłość boską, upewnić się, że mają zdjęcia jego żony i wnuków na plaży Florydy.

- Na to jest już za późno.

- Chyba tak. Wiesz, nie cierpię krytykować kolegów, ale prezydentowi potrzebny jest porządny rzecznik pra-

sowy - Rick westchnął. - Widziałem parę raportów z twojego stanu. Wszyscy zmiatają na zachód.

- Sądzę, że robiłbym to samo - przyznał Charlie.

- Tak - potwierdził Rick. - Zwłaszcza jeśli dziś wieczorem powiem im, że nie mają się czym przejmować.

Pokład gospodarczy „Percivala Lowella”. 8:14.

Rachel otrzymała rozkaz zawieszenia wyprawy, gdy druga grupa pasażerów wchodziła na pokład.

LOT NA MARSJA ODWOŁANY. NOWA DATA NIE USTALONA. WYRAZY WSPÓŁCZUCIA.

Lee Cochran był na śródokręciu i pomagał pasażerom się rozlokować. Rachel wydrukowała wiadomość i kiedy bus odleciał, poszła do kolegi i *pokazała*, mu ją. Skinął głową, nieporuszony.

- Ciekaw jestem - powiedział, - czy ta wyprawa kiedykolwiek dojdzie do skutku.

Ta uwaga Lee uporczywie brzęczała Rachel w głowie, kiedy pomagała mu rozmieścić pasażerów. Tak nie będzie, pomyślała. Dysponujemy narzędziem pozwalającym nam wdrzeć się w głąb systemu słonecznego; i niezależnie od tego co się tutaj wydarzy, polecimy.

My polecimy.

Pasażerowie wiedzieli, że będą musieli nosić aparaty tlenowe, ale i tak krzywo na nie patrzyli. Kilku domagało się zapewnienia, że butli z tlenem wystarczy dla wszystkich. Rachel pomyślała, że to dziwne, iż ludzie nie mieli nic przeciwko wchodzeniu na pokład promu czy lunobusu bez pytania czy system podtrzymywania życia tych pojazdów jest wystarczający. Tu za to trzymali ten system w rękach i to ich niepokoiło. Były też inne pytania. Co z posiłkami? Na zmiany. A jeśli maska zsunie się w czasie snu? Proszę się nie martwić, jeśli pojawią się kłopoty, na pewno nikt ich nie prześpi, ale na wszelki wypadek będziemy regularnie do was zaglądać. Czy jeśli będę musiał zmienić butlę, powinienem wstrzymać oddech do czasu otrzymania następnej?

Zmiana trwa trzy sekundy, nic się panu nie stanie. Dlaczego nie dostałam maski tlenowej? Nie wszyscy ich potrzebują ponieważ powietrza na statku jest dosyć dla ośmiu osób, plus pewna rezerwa. Zastosujemy system zmianowy, wyjaśniła Rachel, i wszyscy będą mogli spędzić część czasu bez maski.

Listę pasażerów dostali wcześniej i umieścili starszych ludzi w kajutach załogi. W przybyłej grupie znalazło się kilka rodzin, czterech oficjeli z różnych rządów, rosyjski przemysłowiec i dwóch ważniaków z NASA. Oczywiście Rachel znała obydwóch, a jeden z nich, rewident księgowy, z drwiną w głosie powiedział jej, iż bardzo się cieszy, że udało się znaleźć jakikolwiek sposób na wykorzystanie „Lowella”.

Lee zastępował stewarda. Z LI zabrał kilka przegładarek i na całym statku zamontował gniazda, tak że pasażerowie mogli podłączyć się do pokładowej biblioteki. Pokazał wszystkim gdzie jest kambuz i toaleta. Umieszczonym na siedzeniach zademonstrował działanie pasów, a pozostałym rozdał siatki zabezpieczające. Kręcił się wśród nich, pomagając się przypiąć, aż w końcu uznał, że wszyscy są bezpieczni.

Rachel starała się emanować pewnością siebie i swobodą. Przelot na Skyport miał trwać około dwiętnastu godzin. Pasażerowie zjedzą na stację w piętek około czwartej rano, zjedzą śniadanie i potem będą mogli złapać jeden z samolotów orbitalnych, który zabierze ich do domu. Nie ma się czym przejmować, powiedziała. Przepraszamy za niewygodę. Proszę tylko pamiętać o masce, oddychać normalnie i wszystko będzie w porządku. Jeżeli ktoś z jakiegokolwiek powodu będzie musiał zdjąć maskę, nie ma sprawy. Lecz jeśli ktoś uzna, że nie jest w stanie jej dłużej używać, stanowczo prosimy by bezwzględnie nas o tym poinformował.

- Masz do tego prawdziwy talent - powiedział jej Lee.

Wróciła do kokpitu i wyjrzała przez okno by popatrzeć na kometę. Wisiała na niebie na wschód od Księżyca, rosła. Warkocze było już dobrze widać gołym okiem.

Włączyła kanał ogólny.

- Panie i panowie, za chwilę ruszamy. Wystartuje my powoli i łagodnie, lecz mimo to poczujecie pewne przeciążenie. Statek będzie przyspieszał przez około dwie minuty. Proszę nie próbować przemieszczać się, do póki na to nie zezwolimy.

Wciąż mogła dostrzec światła drugiego busu, blade i samotne, dryfujące w ciemności.

Lee wrócił i zajął sąsiednie siedzenie.

- Wszystko gotowe - oznajmił.

Skinęła głową i pchnęła dźwignię przyspieszenia.

Stos atomowy pracował ciszej i bardziej gładko niż rakiety chemiczne. NASA, na pustyni Mojave, przeprowadziła mnóstwo testów z silnikiem nuklearnym, a na LI opracowano setki symulacji. Załoga zabrała „*Lowella*” na kilka lotów próbnych, w rodzaju dookoła Księżyca i z powrotem. Teraz jednak po raz pierwszy można było uznać, że silnik atomowy wszedł do eksploatacji.

- Żyjemy w historycznych czasach - rzekł Leo.

- Uhum, chłopie - w mżącym świetle pulpitu kontrolnego jej przegub wyglądał blade. - Właśnie w takich.

Arlington, Virginia. 9:16.

Kiedy zadzwonił telefon Mary-Lynn Jamison z Washington Online pracowała nad reportażem o Arnoldzie Cloud. Był to kongresman ze środkowego zachodu, który najwyraźniej wynajął płatnego mordercę, żeby pozbyć się żony. W tym przypadku wszystko wskazywało na to, że motywem nie była inna kobieta, ani ubezpieczenie. Raczej Cloud miał kłopoty w swoim okręgu wyborczym i planował twierdzić, że to zorganizowana przestępczość chciała mu dać coś do zrozumienia. Gliniarze wciąż za czymś węszyli, ale kongresman miał haka na zbyt wiele związanych z Waszyngtonem osób, które teraz, w panice, dzwoniły z poparciem dla niego. Istniały silne naciski na władze, żeby winnych szukać gdzie indziej, ale Mary-Lynn miała dość materiału, żeby rozpocząć ujawnianie całej historii.

- Jamison - przedstawiła się do słuchawki.

- Mary-Lynn, jak się masz?
- Rozpoznała głos sekretarza komunikacji.
- Cześć Harold - przywitała go.
- Żadnych zapisów, Mary-Lynn.
- Wyłączyła magnetofon podłączony do telefonu.
- Czy możemy się gdzieś spotkać?
- Na lunch?
- Obiad - sprostował. - U Willoughby'ego.

Kosmodrom Bazy Księżycowej. 10:03.

- Jakies kłopoty, Tony? - zapytał Bigfoot, czekający aż zejda z pokładu.

Tony potrząsnął głową

- Chodzi jak zegarek - odparł.

Procedura lądowania w Bazie była całkiem rutynowa i w związku z tym silniczki korekcyjne wykorzystywano w minimalnym stopniu. Wydostało się z nich dość pyłu, żeby Tony uzyskał więcej niż zwykle fałszywych odczytów w trakcie lądowania. Lecz sprawiało to wrażenie rzeczy mało poważnej, a czas *teraz* liczył się najbardziej.

- Okay, miło mi to słyszeć. Mamy tu dość powodów do obaw.

Bigfoot odchrząknął basowo, gdzieś w czeluściach gardła.

- Samoloty orbitalne tu są. Twój pasażerowie też. Za dziesięć minut bądź gotów do odlotu.

Saber uśmiechnęła się.

- Kupa czasu na relaks, he? Nie mogłabym więcej wymagać.

- Wybacz, dziecinko - odparł. - Sytuacja jest odrobinę napięta.

Kokpit SSTO Berlin. 10:17.

Willem Stephan dotarł na stację i zameldował się. *Copenhagen* już spotkał się z jednym z busów, o nazwie *Wobble*, i lądował pierwszą partię pasażerów. Rozkład zakładał loty busów w najkorzystniejszych okienkach. *Copenhagen* miał opuścić orbitę księżycową w piątek po

południu, a *Berlin* tegoż dnia wieczorem.

Willem popatrzył na księżycowy krajobraz.

- Nigdy nie sądziłem, że dotrę aż tutaj - powiedział do co-pilota.

Drugim pilotem była Kathleen Steadmann z Bremerhaven. Zmrużonymi oczami patrzyła na kometa.

- Jak się zdaje dokładnie wtedy, kiedy trzeba - skomentowała.

LI, kokpit SSTO Arlington. 10:23.

Arlington, z powodu wadliwego oprogramowania, też potrzebował poprawki kursu, niemniej jednak dotarł do LI niemal o czasie.

Stacja nie miała urządzeń dokujących dla SSTO. Technicy przerobili dok dla ciężarówek i George wprowadził do niego zaokrąglony dziób dużego statku. Używanie pełnego uszczelnienia okazało się niemożliwe, więc doku nie można było napędnąć powietrzem. Kiedy pojazd wsunął się tak daleko jak się dało, na pulpicie wciąż paliły się czerwone kontrolki. Na polecenie kontroli wyłączył silniki i obserwował jak grupa techników w skafandrach otacza skrzydła i kadłub, kawałkami lin unieruchamiając samolot. Dok znajdował się w osi, która się nie obracała, stanowiła więc obszar pozbawiony ciężenia. Samolot kiwał się, od czasu do czasu obijając się o cumy. Pojawił się następny zespół, który od rampy załadowniczej przeciągnął rękaw Fleminga i zamocował go do głównej śluzy.

Rękaw Fleminga to metalowo-plastikowy korytarz, gazoszczelny, giętki, przypominający miech akordeonu, skonstruowany by umożliwić dostęp do pojazdów, których normalne wejścia zostały uszkodzone. Zastosowany tutaj miał około trzydziestu metrów długości. George przeszedł do tyłu i stanął koło głównych drzwi, umieszczonych prawie pośrodku statku, nieco ku dziobowi. Kiedy ich kontrolki zmieniły barwę na zieloną, informując, że po drugiej stronie jest już powietrze, otworzył je.

Młoda kobieta w ciemnoniebieskim mundurze, podobnym do noszonych na Skyport, ale z naszywką LI,

uśmiechnęła się do niego.

- Witamy na Lagrange Jeden, kapitanie - powiedziała.
- Miło pana widzieć.

Pięć kwadransów później George wraz z załogą doprowadzili wszystko do porządku i wrócili do samolotu. Na pokładzie było teraz dwustu dwudziestu czterech pasażerów. Kilku ludzi zostało na stanowiskach by odcumować *Arlington*.

- Macie transport? - spytał człowieka z kontroli lotów, znanego mu tylko jako głos w słuchawkach.

- O, tak. Przygotowaliśmy Antonię Mabry. Polecimy zaraz za wami, *Arlington*.

- No to do zobaczenia na Skyport - powiedział George. Wprowadził samolot na kurs powrotny i zaczął przy spieszać. Za nim gasły światła stacji.

BIULETYN BAZY KSIĘŻYCOWEJ. WYDANIE Z 10:30.

Dopuszczalna waga bagażu wynosi sześć kilogramów na osobę. Żadne przedmioty osobiste powodujące jej przekroczenie nie zostaną przepuszczone na pokład. Ratujcie życie: bierzcie ze sobą jak najmniej. Podpisano

John C. Chandler, dyrektor.

Manhattan. 10:36.

Marylin Keep pracowała jako redaktorka dla Grant Tempo Publications. Współpracowała z GrantQuasar, działem powieści historycznych. Jej mąż był księgowym w Bradley&Boone, szybko rozwijającej się firmie ubezpieczeniowej. Mieszkali w wygodnym, choć nie luksusowym, dwupokojowym apartamencie na Manhattanie, tuż koło ulicy Central Park West. Marylin miała dwadzieścia dziewięć lat, była mężatką od czterech lat i bardziej niż czegokolwiek innego pragnęła zajścia w ciążę. Larry wciąż powtarzał „Kiedy będziemy w trochę lepszej sytuacji finansowej”.

Pracowała w domu. Teksty do opracowania dostawała co środę, późnym popołudniem. Teraz usiłowała przedrzeć się przez „Cień zdrajcy”, kryminał umiejscowiony na dworze szwedzkiego króla Karola XII. Chociaż

lubiała swoją pracę i historyczne powieści, nie była w stanie docenić zalet tytułów wydawanych przez GrantCjuasar w takim samym stopniu, jakby potrafiła czytając książkę wybraną w księgarni. Zbyt była pogrążona w szczegółach, pilnowaniu by zgadzały się kolory oczu i sposób wyrażania się postaci, uzgadnianiu wątków czasowych, wykrywaniu anachronizmów. Jej praca bardziej była techniczna niż literacka. Oczywiście zdawała sobie z tego sprawę. Jednak wykonywała ją dobrze i niejednego cenionego pisarza uratowała przed wpadką. Chociaż, jak się zdawało, nikt nie doceniał jej wysiłków.

Zazwyczaj pracowała przy włączonym stereo, z którego dobiegała pierwotna muzyka, brzmiąca jak zawodzenia przy akompaniamencie bębnów, górskich strumieni i szumu lasów. Dziś jednak te starożytne odgłosy ustąpiły CNN, mamrocącemu z zadowoleniem w tle. Podczas gdy pracowała, jej podświadomość nasłuchiwała słów takich jak kometa, spadające skały czy możliwe gigantyczne fale.

W wiadomościach nie mówiło się właściwie o niczym innym, może za wyjątkiem reakcji na zbliżającą się kolizję. „Czy Nowy Jork jest bezpieczny?” prowadzący program pytał mężczyznę o wyjątkowo wąskim nosie. „Czy próbowano coś zatuszować?”

Mężczyzna uważał, że próbowano.

W jednym z talk-show odbywających się w Los Angeles, kobieta - głosem graniczącym z histerią - oświadczyła, że wszyscy znajdujący się w pobliżu Pacyfiku zginą. Nie była żadnym ekspertem, po prostu osobą z publiczności, ale jej strach tak zaniepokoił Marilyn, że zadzwoniła do Bradley&Boone żeby spytać Larry'ego czy nie powinni rozważyć kilkudniowego wyjazdu.

- Wszystko wygląda normalnie - odparł Larry w sposób mogący doprowadzić do szału.

Wyjrzała przez okno. Rzeczywiście, ulice wyglądały całkiem normalnie, co oznacza, że były zakorkowane przez transport miejski i samochody dostawcze (w 2010 wprowadzono zakaz wjazdu pojazdów prywatnych do miasta).

- Uważam, że powinniśmy wyjechać do czasu aż wszystko się skończy - powiedziała.

W słuchawce słyszała jego oddech. Właściwie to widziała go wpatrującego się w aparat z tym wyrazem twarzy, który pojawiał się gdy po raz kolejny dochodził do wniosku, że ożenił się z panikarą.

- Może porozmawiamy o tym wieczorem?

- Nie jestem pewna, czy powinniśmy czekać z tym do wieczora. Jeśli mamy się wydostać z miasta, może powinniśmy zrobić to, kiedy bilety lotnicze są jeszcze w ogóle dostępne.

- Och, daj spokój, Marylin - głos miał rozdrażniony, zupełnie jakby to w jakiś sposób była jej wina.

- Nie możemy wyjechać w środku tygodnia i uciec do lasu. Zabrakłoby nam pieniędzy. A poza tym, mam tu zobowiązania i nie mogę ot tak sobie wyjść tylko dlatego, że wszyscy podniecają się jakąś kometą.

- To nie jest środek tygodnia. Dziś jest czwartek.

- Zastrzel mnie. Pomyliłem się o jeden dzień.

- Mówią, że Nowy Jork może zostać zalany gigantycznymi falami.

- Marilyn, posłuchaj sama siebie. Miasto będzie tu w przyszłym tygodniu, tak jak zawsze. Ale dobrze, zdobądź bilety na jutro wieczór. Dokąd chcesz polecieć?

Było jej wszystko jedno, byle tylko na wyżynie.

- Spróbuj Columbus - powiedział głosem sugerującym, że skoro ona panikuje, to w porządku, on jej ustąpi. - Możemy zatrzymać się u mojej rodziny.

Zadzwoiła do Trans World. Wszystko mieli zarezerwowane do końca weekendu. Tak samo wszystkie linie lotnicze na JFK, LaGuardii i w Newark.

Amtrak¹⁰ też.

¹⁰ JFK - lotnisko im. Kennedy'ego; LaGuardia i Newark - pozostałe lotniska w Nowym Jorku, Amtrak - największa pasażerska firma kolejowa, (przyp. tłum.)

NEWSNET. AKTUALNOŚCI Z 12:30.

(Kliknij po szczegóły)

**SSTO I LOWELL WŁĄCZAJĄ SIĘ
DO AKCJI RATUNKOWEJ**

Samoloty orbitalne po raz pierwszy przekraczają orbitę okołoziemską

„Lowella” w drodze do Skyport z ewakuowanymi
Uważa się, że Baza Księżycowa nie przetrwa zderzenia

**PACRAILZNÓW ZAPOWIADA
PODWYŻKĘ CEN BILETÓW**

W trzecim roku działania jednoszynowa kolej w L.A.
ciąż odnotowuje straty finansowe.

**SIDNEY PAUL GINIE W
KATASTROFIE SAMOLOTU PODMIEJSKIEGO**

47—letni aktor, pamiętny Octavius z Battle Eagles
Przyczyną prawdopodobnie był podmuch wiatru

**KONGRES ZATWIERDZA BUDŻET
UBEZPIECZEŃ SPOŁECZNYCH**

30-to miliardowy zastrzyk mający utrzymać system do
roku 28-go

CENA GAZU SPADA DZIEWIĄTY MIESIĄC Z RZĘDU

Ten przewrót przypisuje się Solarcars,
Transportowi Publicznemu i Powerseats

**KOMPOZYTORKA RATUJE DZIECKO Z
POŻARU NA LONG ISLAND**

Karen Baker zdobyła nagrodę Emmy
za „Zostawiłam serce w LTA”

**WOLFZIGER OSKARŻONY O POGWAŁCENIE
PRAW DOTYCZĄCYCH BADAŃ GENETYCZNYCH**

Prokurator Okręgowy Madison zażąda najwyższego, 20-
letniego wyroku

FBI OTACZA ENKLAWĘ GRUPY ANTYPODATKOWEJ

Kościół Boga Wszechświata nie uznaje podatków
„Już Cezar zrzekł się prawa do wyznaczania podatków”

CLINTON POWRACA DO BIAŁEGO DOMU NA CEREMONIE ZATWIERDZENIA BUDŻETU EDUKACYJNEGO

78—letni były prezydent popiera wspólną inicjatywę obu partii
„Tym razem musimy sprawić by to zadziało”

San Francisco. 9:31 Letniego Czasu Pacyficznego (12:31 EDT).

Jerry Kapchik był szefem działu podatków dochodowych od osób indywidualnych w firmie księgowej Bennett&McGee. Młody i energiczny, na najlepszej drodze do stanowiska kierownika całego oddziału, które miało zwolnić się pod koniec lata. Jerry łatwo zdobywał sympatię, lubił grać całą noc co środę w klubie brydżowym i był zagorzałym kibicem drużyny „49-ers”. Życie było piękne. Ale prowadzący program radiowy, rozbrzmiewający w jego biurze, rozmawiał o komecie, a jego słuchacze dzwonili i mówili straszne rzeczy. Jak najdalej od oceanu, powtarzali.

Jerry nie miał w zwyczaju brać zbyt poważnie takich rozmów. Lecz jedna urzędniczka dostała telefon z domu i poprosiła o zwolnienie na resztę dnia. Zanim wyszła, powiedziała Jerry'emu, że sytuacja jest kiepska i nie sądzi by pojawiła się następnego dnia.

- Prawdę mówiąc, wyjeżdżam z miasta aż się to wszystko przewali - przyznała.

Oczywiście w najgorszym możliwym czasie. Ostateczny termin składania zeznań podatkowych upływał w poniedziałek.

- To nie pomoże pani w karierze - ostrzegł ją, ale tylko wzruszyła ramionami.

Zastanawiał się, czy zdawała sobie sprawę jak absurdalne wrażenie sprawiała. I w ogóle to był absurd, zupełnie jak z jednego z tych filmów o średniowieczu,

gdzie jest kometa, albo zaćmienie słońca i wszyscy w panice padają na ziemię. A jednak, wciąż słyszał przepowiednie, że być może Księżyc zostanie zniszczony. Trudno było uwierzyć, że jego kawałki mogą dolecieć taki kawał drogi aż do zatoki San Francisco. Ale co Jerry mógł wiedzieć?

Dla niego świat był bardzo szczęśliwym miejscem. Od ojca nauczył się żyć teraźniejszością, nie tylko przyszłością. Toteż dbał o to by znaleźć czas na wędrowanie róż. Miał żonę Marisę, dwoje bystrych dzieci, przemyły dom w stylu Tudorów w Pacifica, kępę drzewek pomarańczowych, *garaż* na dwa samochody, idealny trawnik, pokój zabaw dla dzieciaków i sute konto bankowe. Jedyny cień w bucie stanowiły pojawiające się jedno za drugim uczulenia, przeciwko którym bezustannie musiał brać leki.

Z okna gabinetu widział Zatokę. Był piękny, słoneczny dzień. Kilka żagli widniało na spokojnym, błękitnym morzu, frachtowiec zmierzał w stronę horyzontu. Nie do uwierzenia by cokolwiek było nie w porządku. Lecz Jerry zastanawiał się, czy jednak zapakowanie rzeczy do samochodu i przygotowanie się do wyjazdu to nie jest całkiem zły pomysł. Tak na wszelki wypadek.

Kokpit *Mikro*. 12:36.

By spotkać się z *Berlinem* Tony musiał zmienić orbitę. *Mikro* nadleciał od lewej burty i od tyłu. Widok SSTO w tym miejscu, z jego skrzydłami i usterzeniem ogonowym, był wręcz surrealistyczny. Przypominało to reklamy samochodowe, w których mały, rodzinny van podskakiwał po księżycowych kraterach.

Wymienił pozdrowienia z pilotem i przekazał komputerowi procedurę dokowania. Włączył system komunikacji wewnętrznej.

- Panie i panowie - powiedział, -jak widzicie przez okna po prawej stronie, właśnie złapaliśmy wasz bilet do domu. Jednak zajmie to trochę czasu zanim się z nim sprzęgniemy. Jak sobie zdajecie sprawę, samolot orbitalny troszkę się spóźnił i nadlecieliśmy kursem,

który będzie od nas wymagał kilku manewrów. Zanim zdołamy się połączyć prawdopodobnie minie jakieś czterdzieści minut, więc rozluźnijcie się. Jeśli musicie wyjść do toalety, albo opuścić swoje miejsce z jakiegokolwiek powodu, teraz jest najlepszy moment. Kiedy rozpoczniemy manewrowanie, wszyscy muszą być przypięci pasami. Włączę światło ostrzegawcze nieco wcześniej. Przyjemnego lotu do domu.

- Wiesz - odezwała się Saber - ci ludzie spędzą na pokładzie samolotu długi czas. Do odlotu pozostanie dobre trzydzieści parę godzin. Plus czas przelotu na Skyport.

- Uhm - potwierdził Tony. - Mam nadzieję, że za brali mnóstwo kanapek.

Saber skrzywiła się.

- Mam nadzieję, że jest tam dobra wentylacja.

Komputer zasygnalizował odliczanie do sekwencji manewrów. Tony przeszedł do kabiny pasażerskiej i odegrał przedstawienie składające się przede wszystkim z wystudiowanej nonszalancji. W trakcie przyjmowania ich na pokład wyczuł, że niektórzy są niespokojni i chciał ich pocieszyć, przekazać, że nic niezwykłego, a przede wszystkim niebezpiecznego, się tu nie dzieje.

Mikro miał znaleźć się w pozycji prostopadłej do długiej osi samolotu orbitalnego. Żaden problem dla komputerów, ale widok manewrów musiał wywołać mdłości u pasażerów. Wyjaśnił więc, że jeśli będą obserwować poruszenia statku mogą poczuć mdłości i zasugerował by zaciągnęli zasłony. Kiedy jeden z ojców próbował to zrobić, jego syn zaprotestował głośno. Ojciec zrezygnował, ale wziął czasopismo i wsadził w nie nos.

Na czas manewru zbliżania wrócił do kokpitu. Autopilot dokonywał minimalnych poprawek kursu podejścia wykorzystując krótkie impulsy głównego silnika. Potem rozpoczął długą i skomplikowaną sekwencję odpalen silniczków korekcyjnych. Po raz pierwszy od czasu zainstalowania niewłaściwego zaworu pojawiła się konieczność tak intensywnego ich wykorzystywania.

Mikro obrócił się i zgrał z samolotem służę dokującą. Jego sensory skanowały SSTO, a komputer komunikował się ze swoim odpowiednikiem w samolocie orbitalnym i porównywał rzeczywistą pozycję *Mikro* z idealną. Tymczasem nie spalone paliwo wciąż wydostawało się z silni czka numer dwanaście.

Zbierało się w pobliżu *Mikro* w postaci delikatnej mgielki, która zaczęła przeszkadzać czujnikom, wprowadzać do ich odczytów błąd, a czasami dane wręcz przeczące rzeczywistości. Komputer pokładowy, próbując skompensować sprzeczne odczyty, ciągle odpalał i wyłączał silniczki korekcyjne, pompując jeszcze więcej rozpylonego aluminium w najbliższe otoczenie *Mikro*.

Tony stopniowo zaczął zauważać nietypowe zachowanie się statku. Skrzywił się, ale przypisał to zmianie planów lotu i podejściu do samolotu pod kątem dalekim od doskonałości. Wciąż się nad tym zastanawiał, kiedy Saber zwróciła mu uwagę na odczyty radarowe.

Obraz samolotu na ekranie zamglił się. Sygnały odbite od niego nadal wracały we właściwym czasie, ale zaczęły chwilami zanikać.

- Co się dzieje? - zapytał Tony, szybko sprawdzając przyrządy. Wszystko było w porządku.

Silniczki korekcyjne odpaliły po raz kolejny. Gwiazdy świeciły wśród pasm mgły. Saber potrząsnęła głową.

- Coś tu nie gra - powiedziała.

Tony w końcu dostrzegł szarą chmurę pyłu aluminiowego, tuż przed zapaleniem się kontrolki ostrzegającej przed nadmiernym zużyciem paliwa. Sprawdził pulpit. Obraz radarowy był coraz gorszy, rozmazywał się po całym ekranie.

- Gdzieś jest pęknięta linia zasilająca - uznała Saber.

Ekran radaru przypominał już garnek z grochówką. Tony przełączył się na sterowanie ręczne i wyjrzał przez iluminator w szarą mgłę.

- Gdzie jest ten cholerny samolot?

Znajdowali się w odległości pięćdziesięciu metrów od niego, ale zniknął w chmurze, niedostrzegalny za-

równy dla oczu jak i czujników. Tony przełączył się na kanał samolotu.

- *Berlin*, tu *Mikro*. Mamy kłopoty.

Biały szum. Potem głos pilota. Z burzy zakłóceń Tony wyłowił tylko pojedyncze słowa.

- ...słyszę cię, *Mikro*... dryfuję... radzę...

- Nic nie widzę - Saber przełączała się na kolejne czujniki. Wszystko znikło we mgle. Iluminatory przypo miwały kiepsko posrebrzone lustra.

Tony całkowicie przejął stery i jeszcze raz spróbował nawiązać łączność. Zanikła kompletnie. Musiał wydostać się z tej chmury, ale znajdował się za blisko samolotu, żeby użyć silnika głównego. Jeśli wybierze zły kierunek...

- Co robimy? - spytała Saber.

- Mam nadzieję, że oni widzą nas - odparł. - Poczekaamy i damy im czas na oddalenie się.

5.

Orbita wokółksiężycowa. 14:51.

Chmura otaczająca *Mikro* nie rozproszyła się. Pilot SSTO nie mogąc nawiązać łączności z oślepionym pojazdem przyspieszył i oddalił się na sześćset kilometrów. Bigfoot wysłał na pomoc jeden z lunobusów, z którego właśnie pasażerowie przesiedli się na *Copenhagen*. Lecz podejście blisko do pojazdu, który nic nie widział, był pozbawiony łączności i w każdej chwili mógł ruszyć, było ryzykownym i czasochłonnym przedsięwzięciem. Wydawało się, że trzeba będzie wysłać tam kogoś w skafandrze. Drugi pilot lunobusu właśnie przebierał się w tym celu, kiedy pojazd Tony'ego wyprysnął z chmury, wciąż gubiąc paliwo.

W tym czasie Bigfoot już zlokalizował uszkodzenie.

Możliwych przyczyn była ograniczona liczba. Bigfoot znalazł rozwiązanie już w pierwszej próbie, po prostu sprawdzając spis części.

Na szczęście nikt nie został ranny w tym wypadku, a naprawa była bardzo prosta. Lecz stracili kilka godzin, wiedział też czyja to wina.

Odzyskali nieco czasu przenosząc pasażerów z *Mikro* do lunobusu, który po dwugodzinnym pościgu dostarczył ich na pokład *Berlina*.

- Są w kiepskim humorze - doniósł Stephan z samolotu.

Ponieważ *Mikro bez* problemu dokował w Bazie i na LI, Bigfoot wiedział, że może bezpiecznie *weswać* go bezpośrednio na Księżyc.

Nie ma sprawy, powiedział Tony'emu. Prawdopodobnie masz trochę mniej paliwa, ale na pewno ci wystarczy.

No cóż, we wszystkim można znaleźć dobrą stronę. *Mikro* wróci do akcji kiedy tylko wmontują właściwy zawór.

Jednak było to marne pocieszenie. Starannie zaplanowany rozkład lotów rozleciał się i do szóstej wieczorem Bigfoot wciąż nie potrafił opracować nowego, który też pozwoliłby na ewakuację wszystkich ludzi.

Wrightstown, New Jersey. 14:58.

Firma Pine River Furniture Company zajmowała trzy i ćwierć akra gruntu pierwszej klasy. Produkowano w niej ręcznej roboty, kryte skórą fotele i sofy, biurka i stoły z drewna tekowego dla średnio zamożnych. „Każda sztuka jest oryginałem” głosiły jej reklamówki. „Za żadną cenę nie znajdziecie lepszych mebli.”

Niewielka firma rodzinna istniała od 1961 roku i nie poddała się powszechnym trendom rozwoju i zmiany profilu. W rezultacie, podczas gdy konkurenci dryfowali w inne dziedziny albo czasami plajtowali, Pine River kroczyła spokojnie swoją drogą, dostarczając znakomitych mebli dobrze sytuowanym ludziom i zapewniając sobie wierne grono stałych klientów. Do chwili obecnej miała za sobą czterdzieści siedem zyskownych lat z rzędu. W Pine River konserwatyzm był wyznawaną wiarą.

Kierował nią Walter Harrison, imiennik i praprabranek założyciela. Harrison był człowiekiem rodzinnym, członkiem Klubu Rotariańskiego, pobożnym prezbiterianinem, ofiarodawcą na rzecz wielu akcji dobroczynnych, wysoko postawionym działaczem Koalicji na Rzecz Przyzwoitości w Mediach oraz trenerem Małej Ligi. Służył w armii, był z siłami pokojowymi w Afryce i Ameryce Środkowej i wreszcie zaniepokoił całą rodzinę, oprócz ojca, żeniąc się z Żydówką.

Miał skłonności do przesadnych reakcji. Zdawał sobie z tego sprawę i rozumiał, że niezbyt ta cecha pasuje do jego konserwatywnej duszy. W rezultacie, kiedy zbliżały się kłopoty, traktował swoje odruchy z dużą dozą ostrożności. Dziś jego instynkt wrzeszczał jak opętany.

- Chciałbym wiedzieć, Marshall - zwrócił się do niego, siwowłosego mężczyzny siedzącego w skórzanym fotelu (model Bulhauer) przed biurkiem, - jaka będzie nasza sytuacja, jeśli coś z tego wszystkiego się wydarzy? Czy jesteśmy ubezpieczeni przed powodzią?

Marshall Waring był prawnikiem firmy od trzydziestu pięciu lat. Człowiek solidny, twardo stojący na ziemi, dobrze znający się na prawie dotyczącym firm oraz odpowiedzialności za produkt, kompetentny, choć pozbawiony wyobraźni partner do brydża i od czasu do czasu zapewniający towarzystwo przy lunchu.

- Walt - odpowiedział - stąd do oceanu jest dwa dzieścia pięć mil. Czym ty się zajmujesz?

Popołudniową ciszę rozdzierał huk helikopterowych wirników dobiegający od strony Fortu Dix.

- Latają cały dzień - powiedział Harrison. Opadł na oparcie i wbił nieruchome spojrzenie w niższego mężczyznę. - Jak sądzisz dlaczego oni to robią?

- Zawsze to robią. Helikoptery zawsze latały tam i z powrotem.

- Nie tak jak teraz - zaprzeczył Harrison. - Sądzę, że się wynoszą.

Zauważył, że prawnik przewrócił oczami.

- Ja tu mieszkam. Uważasz, że nie wiem, iż coś się tu szykuje?

Waring, niepewny jak odpowiedzieć, tylko podniósł dłonie w geście rezygnacji.

- Okay - Harrison machnął ręką. - Przeglądałem polisy. Paragraf sześćdziesiąty szósty dotyczący pokrycia szkód we własności i wyposażeniu wyraźnie wyklucza klęski żywiołowe. Paragraf siedemnasty polisy ubezpieczenia produktów zawiera tę samą klauzulę. Czyli mogę chyba bezpiecznie założyć, że jeżeli wydarzy się najgorsze, jeżeli fala dotrze aż tutaj, zostaniemy z niczym, żadnej fabryki, żadnych wyrobów, nic?

Waring powoli skinął głową.

- Zasadniczo masz rację, Walt. Tak. Nie jesteśmy ubezpieczeni przed tsunami ani powodziami. To nie jest teren zalewowy. Również trzęsienie ziemi by nas załamało. Albo wybuch wulkanu - skrzywił się i założył nogę na nogę. - Dlaczego by nie spojrzeć na całą sytuację z tej strony: jeżeli rzeczy będą miały się aż tak źle, że fala dotrze aż do Wrightstown, nie będziesz miał powodu martwić się firmą. Cały kraj nie przetrwa.

- Nie mam ochoty na żarty, Marshall.

Harrison rozejrzał się po ścianach gabinetu. Pokrywały je fotografie jego samego, na których przewodził wyścigom dzieciaków w drewnianych wózkach własnej roboty, odbierał nagrodę Człowieka Roku przyznaną mu przez Izbę Handlową, stał przed mikrofonem razem z generałem dowodzącym Fortem Dix, ścisnął dłoń gubernatora.

- Nie jestem odpowiedzialny za cały kraj. Odpowiadam jednak za Pine River, jej pracowników oraz klientów, i niech mnie diabli jeśli nie dopilnuję, by i firma i jej ludzie przetrwali tę katastrofę.

- Jak? - zapytał Waring.

- Stając z nią twarzą w twarz - wcisnął guzik interkomu. - Louise, czy mogłabyś przysłać Archiego?

- Bądź ostrożny - ostrzegł Waring.

- Właśnie o ostrożność mi chodzi.

Kiedy Archie Pickman wchodził do gabinetu, nad ich głowami przeleciały kolejne helikoptery. Harrison wyrzwał przez okno, próbując prześledzić ich kurs. Od-

wrócił się i znacząco popatrzył na mężczyznę stojącego w drzwiach.

- Wchodź, Archie. Siadaj - postukał palcami w blat biurka. - Co ty sądzisz na temat tych helikopterów?

- Do diabła - odparł Archie. - Wynoszą się stąd.

Archie Pickman był szefem części produkcyjnej i najbardziej zaufanym podwładnym Harrisona. Trzydzieści lat temu *znalazł* się w Pine River nie mając żadnych konkretnych umiejętności, świeżo upieczony małżonek, gwałtownie potrzebujący pracy. Firma z zasady zatrudniała doświadczonych rzemieślników, lecz ojciec Harrisona dostrzegł coś w chłopaku. Zerknął na prawnika.

- Mój szwagier - oznajmił - pracuje w Instytucie Franklina. Zadzwoił dziś rano. Twierdzi, że jest się czym przejmować.

- Sugerowałbym, żeby się nadmiernie nie podniecać - odparł Waring.

- Nikt się tu nie podnieca - sparował Harrison - ale jutro zamykamy interes. Archie, cały towar ma zostać załadowany na tiry i wywieziony do Reading, albo w jego okolice. Gdzieś na wyżynę. Jeśli nie wystarczy naszych samochodów, wynajmij ile trzeba.

Oczy Pickmana zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Nie sądzę, żeby sytuacja była aż tak poważna - powiedział.

Harrison odepchnął fotel do tyłu.

- Na Boga, mam nadzieję, że nie jest. Ale jeśli jest, nie zostaniemy tu z ręką w nocniku. Jeżeli to fałszywy alarm, tym lepiej i wszystko przywlecjemy tu z powrotem w przyszłym tygodniu. Zorientuj się ilu ludzi będzie trzeba, niech ktoś to rozgłosi w okolicy, zajmij się też przygotowaniem żywności i kwater. Okay?

- Tak jest, sir - potwierdził Archie.

- Walter, przesadzasz - powiedział Waring.

- To tylko środek bezpieczeństwa, Marshall.

- Kiedy się to skończy staniesz się pośmiewiskiem.

- Może. Mam nadzieję, że tak będzie - odwrócił się do Archiego. - Jeszcze jedno: powiedz naszym stałym

pracownikom, że jeśli chcą zabrać rodziny gdzieś wyżej - wyznacz jakąś granicę i zorientuj się, gdzie to może być - firma pokryje połowę rachunku w motelu za noc z piątku na sobotę i z soboty na niedzielę. Okay? Potem już będziemy wiedzieli na czym stoimy i sami będą musieli sobie radzić.

Baza Księżycowa, Sala Konferencji Prasowych. 15:00.

Rick Hailey cieszył się, że pomyśleli o wszystkim.

Ośmiu reporterów wybrano do zadawania pytań. Dwóch znajdowało się w Bazie Księżycowej. Pozostali korzystali z łączy telekonferencyjnych z krajem i światem. Byli to Charles Young z BBC w Londynie; Erik Łachman z berlińskiego oddziału NEWSNET; Chiang Tien ze Służby Wiadomości Nowych Chin w Beijing; Ali Haroud z Cairo Timesa w Egipcie. Ellen Randall reprezentowała PBS, a Mark Able CNN. Keith Morley z Transglobal i Tashi Yomiuri z Pacific siedzieli w sali konferencyjnej wśród niewielkiego tłumku naprzeciwko mównicy, na której zawieszono wiceprezydencki emblemat.

Hampton wygłosiła wstęp, bardzo prosty.

- Panie i panowie, mam zaszczyt przedstawić państwu Charlesa L. Haskella, wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych.

Haskell wszedł do pomieszczenia, uścisnął kilka rąk, zajął miejsce za mównicą i uśmiechnął się w stronę kamer. Wyglądał dobrze, o wiele bardziej prezydencko niż kiedykolwiek udało się to Kollanderowi, pomyślał Rick. I spokojnie. Najwyraźniej był odprężony. Pozdrowił swoją publiczność na całym świecie, oznajmił, że przed pytaniami chciałby wygłosić oświadczenie, uśmiechnął się w ten swój ujmująco nieporadny sposób i powiedział:

- No cóż, jestem świadom, że trochę się o nas tutaj obawiacie, ale sądzę, że przede wszystkim powinniście się dowiedzieć, iż jesteśmy w dobrych rękach.

Popatrzył przez salę na Evelyn, która zrobiła co mogła, żeby sprawić wrażenie osoby absolutnie panującej nad sytuacją.

Charlie był dobry tego dnia. W ocenie Ricka nigdy wcześniej nie wypadł lepiej. Sprawiał wrażenie spokojnego i rozważnego, absolutnie pewnego, że wszystko jest pod kontrolą. Udało mu się nawet kilka kiepskich dowcipów (Nie chcę opuszczać Bazy. Po tylu latach walki z nadwagą w końcu zszedłem do siedemnastu kilo, a oni wyrzucają mnie za drzwi.) Żarty stanowiły część jego publicznego wizerunku, niezbyt bystre - ludzie nie lubili zbyt mądrych dowcipów w ustach swoich politycznych przywódców - lecz podkpiwające z samego siebie. Wiceprezydent miał talent do nawiązywania kontaktów publicznością. Ta wydawała się szczególnie podatna. Śmiali się z jego powiedzonek i szybko nabrali ciepłego stosunku do niego.

Kiedy skończył, dziennikarze posłali mu miękkie piłki. Jakie morale panuje w Bazie? Potem trochę poważniej: czy w świetle tych pechowych wydarzeń cały program kosmiczny można uznać za chybiony? Wyprawa na Marsa została odłożona, możliwe że na zawsze. Czy jeśli zostanie wybrany, poprzez ponowną próbę?

Haroud chciał wiedzieć, czy wszyscy zostaną bezpiecznie ewakuowani z Księżyca.

- Na pewno - odparł Haskell.

- Miałem na myśli, na bezpieczną odległość, panie wiceprezydencie. Jak się zdaje, jeden albo dwa pojazdy ratunkowe odlecą na krótko przed zderzeniem.

- Jeśli pytasz, Ali, czy się tym martwimy, to tak. Oczywiście, że przysparza nam to troski. Lecz robimy wszystko, co tylko możliwe... - zrobił pauzę dla zastanowienia. - Powiem to może w ten sposób. Spodziewam się znaleźć w domu za kilka dni. Zamierzam też być ostatnią osobą opuszczającą Bazę. Osobiście pogaszę światła i zamknę drzwi.

Rick wiedział, że intencje Charliego są szczerze, wolałby tylko, żeby obyło się bez publicznego zobowiązania.

WASHINGTON ONLINE. 15:18

Mary Lynn Jamison

- Źródła zbliżone do Białego Domu podały dzisiaj, że prezydent został powiadomiony, iż fragmenty powstałe po kolizji komety z Księżycem mogą uderzyć w Ziemię z fatalnym skutkiem. Zna komicy naukowcy poinformowali prezydenta, że wielkie odłamki skał mogą zniszczyć całe miasta. Jeszcze jedno ostrzeżenie: fragmenty wpadające do oceanów są w stanie wywołać ogromne fale. Jeśli tak się stanie, zamieszkane obszary w okolicach wybrzeży na całym świecie będą zagrożone. Źródła podają, że wśród przywódców, naukowców i mediów istnieje zmowa milczenia dotycząca możliwych skutków zderzenia.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL. 16:22.

-Tu Shannon Gardner na przedmieściach St. Louis z Tomiko Harrington, która odkryła kometę nazwaną jej imieniem. Tomiko, jak zmieniło się twoje życie w ostatnich dniach?

- No cóż, zrobiło się bardzo ekscytująco. Straciłam już rachubę wywiadów, których dziś udzieliłam. Dziś wieczorem będę w programie Jack Kramer Show w CNN, jutro rano w The Today Show. Nawet dzwoniли do mnie jacyś ludzie chcący bym napisała książkę.

- Masz jakieś plany z tym związane?

- Och, nie sądzę. O czym tu pisać? Ja tylko... zauważyłam kometę.

- Chciałaś powiedzieć coś innego?

- Prawie powiedziałam, że miałam szczęście odkryć kometę. Ale nie było to najszcześniejsze wydarzenie, nieprawdaż?

6.

Baza Księżycowa, gabinet dyrektora. 18:27.

Jack Chandler od chwili ogłoszenia zagrożenia nie zmrużył oka. Nie był już młody i nie potrafił działać bez przerwy. *Teraz* jednak nie dostrzegał niczego, czym musiałby się zająć, pozostawił więc całą akcję w rękach współ-

pracowników, zgasił światło i położył się na sofie w gabinecie. Spośród wszystkich ludzi w Bazie, wszystkich przerwanych karier, utopionych inwestycji, przepadłych marzeń, najsilniejszy cios od Tomiko miał otrzymać dyrektor.

Po raz pierwszy od niemal dziesięciu lat nie czuł w piersi ołowianego ciężaru, bezustannej walki z grawitacją toczoną przez zbliznowaone serce, poczucia braku tchu. Jack Chandler kochał życie na Księżycu. Przybył tu, by zostać na zawsze.

Evelyn sądziła, że znaleźli się na końcu długich prób ludzkości by wyjść w kosmos. Co takiego powiedziała wiceprezydentowi? Mieliśmy otwarte okienko w kosmos, kiedy dysponowaliśmy już technologią, pieniędzmi i chęciami. Mieliśmy je. Na krótko. Już szarpali się z LTA, żeby z floty pojazdów kosmicznych zachować ile się da.

Dla Chandlera katastrofa oznaczała powrót do jednego g.

Zamknął oczy i wsłuchał się w miękki, równy rytm swojego serca. Ciało pamiętało jak to było, kiedy miał dwadzieścia pięć lat.

Odległość pomiędzy Księżycem a Ziemią mierzona była nie w kilometrach, a w uderzeniach serca.

Ktoś zapukał. Drzwi się otwały.

- Panie Chandler? -jego sekretarka.

- Tak, Susan?

- Telefon, sir. Elrond Caparatti. Twierdzi, że musi z panem rozmawiać, i że to pilne.

Baza Księżycowa, Dzielnica Grissoma. 23:53.

Evelyn owinęła się za dużym szlafrokiem.

- Jesteś pewien? - zapytała ostro.

Chandler zawahał się. Jeśli średnia waga w jakiś cudowny sposób zmniejszyłaby się tak by mogli wcisnąć tu dodatkową osobę, tam drugą, wciąż mogło im się udać. Lecz w realnym świecie było to niemożliwe.

- Tak - potwierdził. - Sześć osób.

Przewiercała go wzrokiem.

- Przeciążcie busy - powiedziała.

- Są przeciążone. Jeden z nich godzinę temu omal się nie rozbił. Zaprojektowano je z minimalnym zapasem udźwigu, Evelyn. Bardzo mi przykro: kilkoro z nas nie wróci do domu i sądzę, że lepiej będzie stawić temu czoła.

- Pokaż - zażądała.

Chandler zaprezentował wyliczenia, maksymalny udźwig wszystkich pojazdów, czasy przylotu i odlotu, okienka startowe. Przyglądał się jak w trakcie czytania drgały jej mięśnie na szyi.

- Nie da się wymyślić nic lepszego?

- Pracowałem z nimi cały wieczór. Próbowaliśmy wszystkiego, co nam przyszło do głowy. To jest najlepsze z możliwych rozwiązań.

Odwróciła wzrok.

- Około dziesiątej może tu dotrzeć *Mikro* - powie działa.

- I co to zmieni? Ostatni samolot odleci stąd o wpół do dziesiątej. Nie zdołalibyśmy nawet do niego dotrzeć przed uderzeniem komety. Nawet wystartować z kosmodromu.

- Sześć osób? - upewniła się.

Chandler poczuł ciężar w piersi.

- Wystarczy pięć - powiedział.

CAŁONOCNA AUDYCJA FRANKA CRANDALLA. 23:59.

Crandall: Słuchamy Billa z Nashua. Witamy na antenie.

Pierwszy rozmówca: Frank? Frank, to ja?

Crandall: Tak, to ty Bili. Przycisz tylko nieco radio.

Pierwszy słuchacz: Och. Okay. My o tej komecie?

Crandall: Tak.

Pierwszy rozmówca: To kolejna zмова rządu. Wiesz, co mam na myśli.

Crandall: Dlaczego tak sądzisz, Bili?

Pierwszy rozmówca: Twierdzą, że zainwestowali te wszystkie pieniądze na Księżycu...

Crandall: Masz na myśli Bazę Księżycową?

Pierwszy rozmówca: Tak. A teraz znikąd pojawia się kometę i oni mówią nam, że rozwali wszystko. Kompletnie. Czy nie wydaje ci się to trochę dziwne?

Crandall: No cóż, to wyjątkowy pech.

Pierwszy rozmówca: Pech? Daj spokój, Frank. Oni przeputali tę forsę. Rozdali kumplom. I tym wszystkim typkom na zasiłku. A teraz wymyślili sobie sposób na ukrycie przekrętu. Jak się pozbyć trupa, kapujesz?

Crandall: Okay. Dzięki, Bili. Dziękuję za telefon. Jeanie z Clarksdale, Alabama. Cześć, Jeanie.

Drugi rozmówca: Cześć, Frank. Hej, wiesz, nie mogę uwierzyć, że się w końcu dodzwoniłam. Próbowałam od dwóch lat.

Crandall: Cóż, podziwiam twoją cierpliwość. No to co sądzisz o komecie?

Drugi rozmówca: Wiesz, ludzie mówią, że to dziwne, iż przyleciała w tym samym tygodniu, w którym otwarliśmy tę bazę? No więc ja myślę, że to nie jest zbieg okoliczności.

Crandall: Możesz to wyjaśnić, Jeanie?

Drugi rozmówca: To dość oczywiste. Otwieramy bazę na Księżycu i Bóg zsyła kometę. Tego samego dnia ją dostrzegamy. Jak to rozumiesz?

Crandall: Że wszystko może się zdarzyć?

Drugi rozmówca: Bóg chce nam coś powiedzieć. Wiesz co napisano w Piśmie Świętym: „Niech ten co ma oczy, zobaczy”.

Crandall: Co Bóg próbuje nam przekazać, Jamie?

Drugi rozmówca: Nie mamy czego szukać na Księżycu, Frank. Jest zbyt blisko nieba. To nie miejsce dla nas i właśnie nam to mówi. Mam nadzieję, że jesteśmy dość mądrzy by Go posłuchać.

• **Crandall:** Okay, kochani, spotkamy się po przerwie.

Rozdział piąty

Ewakuacja

Piątek, 12 kwietnia

1.

Baza Księżycowa, Dzielnica Grissoma. 5:50.

Evelyn Hampton stała w drzwiach kwatery Charliego. Na jej zazwyczaj spokojnej twarzy malowało się napięcie.

W innych okolicznościach Charlie cieszyłby się z jej towarzystwa. Jedną z niedogodności związanych z jego urzędem był fakt, że jeśli podróżował bez świty, to nie miał do kogo gęby otworzyć. Oczywiście oprócz dziennikarzy. Oni zawsze mieli ochotę na rozmowę, i dobrze, tyle tylko że wyłącznie o interesach, polityce. A pomimo bardzo dobrych stosunków z mediami Charlie zdawał sobie sprawę z konieczności zachowania ostrożności. Nie istniało coś takiego jak swobodna pogawędka z Washington Post.

- Cześć - powiedział, zastanawiając się dlaczego się zjawiała, czując, że nie przynosi dobrych wieści.

Zamknęła za sobą drzwi.

- Jest problem, Charlie.

Zrobił jej miejsce, żeby usiadła.

- Ciekawe jak zgadłem - zażartował.

Jej oczy wyglądały jak dwa czarne jeziora.

- Nie nadążamy.

1

Skinał głową, czując jak świat się zaciska wokół niego.

- Jak bardzo?

- Wydaje się, że sześć osób.

To było niemożliwe i Charlie bardzo pragnął dowiedzieć się, że źle ją zrozumiał.

- Sześć osób, które stąd nie odlecą?

- Na to wygląda.

- Tak niewiele - powiedział. - Na pewno da się ich gdzieś wcisnąć.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się i Charlie zaczął myśleć o implikacjach politycznych. Lecz kiedy zobaczył wilgoć na jej policzkach, poczuł ukłucie zakłopotania.

- Co zamierzasz zrobić?

- Jack mówi, że zostaje.

- Może nie będzie aż tak źle jak sądzimy - nie wie dział co może innego powiedzieć.

- Wątpię, żebyśmy mogli na to liczyć. Tak czy siak, musisz pomyśleć o ratowaniu własnego tyłka.

Osobiście zamknę drzwi i pogaszę światła. Taak, *znalazł* się w bardzo niewygodnej sytuacji. Podeszła do drzwi.

- Muszę iść.

- Co zrobisz z resztą?

- Jeszcze nie zdecydowałam.

- Poproś o ochotników - powiedział Charlie. - Potrzebujesz tylko pięciu. Wiem, że to brzmi brutalnie, ale zawsze znajdują się ludzie gotowi zostać bohaterami jeśli odpowiednio się do nich przemówi.

Te słowa były następstwem podstawowej zasady Ricka, że ludzi da się namówić do wszystkiego jeśli znajdzie się mającą wydzwięk emocjonalny ideę, na którą będzie można się powołać. Boga, kraj, cokolwiek.

Wzrok jej stwardniał.

- Mimo wszystko jesteś cyniczny, prawda?

- Nie, ja... - skrecał się pod jej wzrokiem, zobaczył jak w jej oczach pojawia się pogarda. - Nie to miałem na myśli...

Ruszyła do drzwi.

- I tak nie ma to znaczenia. I tak potrzebuję tylko czterech.

Gapił się na nią.

- Nie musisz tego robić - powiedział. - Nie masz tu przydziału.

Zobaczył jej reakcję, poczuł, że ją zranił.

- Nie możesz tak mówić, Charlie, jeśli sam nie masz zamiaru zostać. Wiesz, kapitan na statku, takie rzeczy.

Coś przemknęło pomiędzy nimi, jakieś porozumienie na tak głębokim poziomie, że Charlie aż się wzdrygnął. Rozpaczliwie usiłował uratować sytuację.

- Mogę jakoś pomóc?

- Załatw dodatkowy bus - odparła. Położyła dłoń na klamce. - Problem stanowią busy.

Czuł się nieczysty.

- Ile osób wie?

- Jack mówi teraz swoim ludziom. Będziemy zaprzeczać wszystkiemu aż do wieczora. To powinno dać ci czas...

- ...na wyjście za kaucją.

- Tak - cięła tym słowem jak nożem, pomimo łagodnego tonu. - Przykro mi. Przedtem dałam ci nieprawdziwą informację. Sądziłam, że nie będzie kłopotów z ewa kucją. Może było to pobożne życzenie.

Charlie znów stanął przed znanym dylematem: człowiek pragnący zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych nie mógł sobie pozwolić, by postrzegano go jako kogoś zmiatającego z podwiniętym ogonem przed niebezpieczeństwem. Ale teraz reguły się zmieniły. Ktoś miał zostać na pastwę losu.

- Sugeruję, żebyś powiadomił natychmiast prezydenta. Oczywiście masz prywatny kanał?

Jasne. Poinformuję go o sytuacji, a on rozkaże mi natychmiast wracać do Waszyngtonu. Ale musi to nastąpić zanim wieść się rozejdzie.

- Podejrzewam - ciągnęła, - że okaże się nagle, iż jesteś mu natychmiast potrzebny i dostaniemy rozkaz wpakowania cię do najbliższego busu - popatrzyła na niego oczami bez wyrazu. - Nikt nigdy się nie dowie.

- Dzięki, Evelyn - powiedział.

Przepelniała go mieszanina ulgi i poczucia winy.

Uśmiechnęła się. Błado, beznamiętnie.

- Powodzenia, panie wiceprezydencie - otworzyła drzwi i zatrzymała się na chwilę. - Kiedy dostaniesz rozkaz, powiadom mnie. Dopilnuję, żeby znalazła się dostateczna liczba świadków.

Baza Księżycowa, Plac Główny. 6:06.

Evelyn wyjechała windą na poziom gruntu i wyszła na Plac Główny, gdzie miękkie, szare światło sygnalizowało wczesny poranek. (Panele świetlne działały według dwudziestoczworgodzinowego cyklu.)

Czuła się pusta. Wyczerpana. Koniec jej życia nadszedł praktycznie bez ostrzeżenia i zaczęła się zastanawiać czy kiedykolwiek naprawdę żyła. Czego zabrakło?

Naprawdę nie wiedziała. Osiągnęła wszystko co sobie zamierzyła, w dwóch próbach znalazła jednego dobrego męża - całkiem niezłą średnia. Dzięki jej wysiłkom sporo ludzi w kraju zarabiałoby lepiej. Miała władzę, o jakiej większość ludzi może tylko marzyć. A nawet wzięła znaczący udział w wysiłku ludzkości zmierzającym do otwarcia drogi ku gwiazdom.

Czego zabrakło?

Dlaczego odczuwała pełną okrucieństwa satysfakcję, kiedy zademonstrowała wiceprezydentowi Stanów Zjednoczonych wyższość swojego charakteru? Kiedy obserwowała jego zażenowanie? Czyżby aż tak była niepełna swojej wartości?

Nie pokłóciła się z Charlie Haskellem.

Grupka techników, w kombinezonach Bazy, podeszła jedną z ramp i skierowała się chodnikiem w stronę budynku administracji. Jeden z nich rozpoznał ją i uśmiechnął się.

Może, pomyślała, kiedy bez ostrzeżenia człowiek znajdzie się w chwili, gdy czas życia liczy się już tylko w godzinach, a nie jest gotowy do zejścia z tego świata, musi się tak czuć. Może nie ma najmniejszego znaczenia kim się jest, ani czego się dokonało.

Evelyn, będąc jeszcze przed czterdziestką, już doświadczyła więcej czystej radości i miała więcej osiągnięć,

niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Może to dlatego, gdy pojawiły się łyzy, nie potrafiła ich powstrzymać.

Baza Księżycowa, sala konferencyjna dyrektora. 6:55.

Będąc dyrektorem Bazy Księżycowej Jack Chandler piastował jeszcze drugie stanowisko: szefa Pionu Obsługi, co oznaczało administrację, sprawy personelu, finanse, ochronę, zaopatrzenie, szkolenia i kontakt z mediami. Istniały jeszcze dwa pionow: Zdrowia i Bezpieczeństwa oraz Służb Technicznych, obydwie z mnóstwem działów.

Nie spał od czasu rozmowy z Caparattim, teraz piekły go oczy i czuł się oczadziały. Adrenalina wciąż jednak działała, serce waliło mu mocno kiedy patrzył na dwudziestu szefów pionów i działów. Poczęstował wszystkich kawą, bułeczkami i bajglami. Przechadzał się pomiędzy nimi, samym zachowaniem uprzedzając najważniejsze osoby, że wieści są złe. W końcu, o siódmej, podszedł do mównicy. W sali zapadła cisza. Jego osobista sekretarka wśliznęła się do pokoju, niosąc plik papierów.

- Panie i panowie - zagał. - Jak prawdopodobnie wiecie, wczoraj wieczorem pojawił się problem. Jeden z busów miał kłopoty, opóźnił się i spowodował załamanie się planu lotów. Okazało się, że teraz nie będziemy w stanie ewakuować wszystkich przed kolizją.

Wiedzieli o co chodzi. Utrzymanie czegoś takiego w tajemnicy było niemożliwe. A jednak oficjalne ogłoszenie i tak zmroziło wszystkich. Chandler wsłuchiwał się w cichy szum systemu wentylacyjnego. Tu kierowniczka działu finansowego, o nagle pobladłych chudych, zniszczonych policzkach; tam dyrektor Pionu Technicznego, wpatrzony w blat stołu; i szef kontaktu z mediami, potakujący lekko, jakby właśnie wymyślił godną podziwu strategię. Każde z nich na swój sposób próbowało utrzymać rzeczywistość na dystans wyciągniętej ręki.

Na twarzach szok ustąpił miejsca strachowi.

- Udało się nam trochę doszlifować nowy plan lotów - ciągnął Jack - i każdy z was dostanie przy wyjściu jego kopię. Kierownictwo zostanie do momentu aż wszyscy pozostali odlecą. W obecnej sytuacji sześć osób będzie musiało przetrwać kolizję w bazie. Loty wszystkich busów zaplanowano z największym możliwym obciążeniem i tak, by trwały najkrócej jak się da. Przykro mi, że tak się stało. Szczerze mówię, że nie potrafię sobie wyobrazić jak moglibyśmy przewidzieć taką sytuację i się przed nią zabezpieczyć.

Osoby, których nazwiska są wśród ostatnich sześciu, proszę o pozostanie na kilka minut. Reszta z was niech potwierdzi godzinę swojego odlotu w Dziale Transportu. Jeśli nie złapiecie swojego lotu, zostaniecie - prawie płakał. - Dziękuję.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nie ufał swojemu głosowi.

Nazwiska jego i Evelyn widniały na samym końcu listy. Pozostałych czworo to byli Angela Hawthorth i Herman Eckerd, dwoje dyrektorów pionów; Jill Benning, kierowniczką kadr oraz Chip Mansfield, dyrektor działu technicznego.

- Chciałbym, żebyście byli świadomi - powiedział gdy pozostali wyszli z sali, - że zrobimy co tylko możemy. Jednak lepiej być nie robili sobie fałszywych nadziei.

Benning była niską kobietą koło czterdziestki, szczupłą, ciemnowłosą, energiczną.

- Jakim prawem - zapytała - decyduje pan za nas, kto powinien zostać?

- A co pani by zaproponowała? - odparował bezna miętym tonem. - Żebyśmy sami wyjechali i zostawili ten pasztet na głowach sekretarek?

- Tego nie ma w moim kontrakcie - oświadczyła.
- Mam rodzinę. Są ludzie ode mnie zależni. Nie mogę panu pozwolić na wyrzucenie mojego życia do śmietnika.

Rozejrzała się desperacko w poszukiwaniu poparcia. Twarze jej kolegów wyglądały jak nieruchome maski. Byliby szczęśliwi, pomyślał, gdyby udało się jej wy-

grać ten pojedynek. Nie kwapili się jednak do otwartego poparcia.

- Korporacja - powiedział Chandler - zadba o pani rodzinę. Ufundowane będą stypendia edukacyjne, inne sprawy, w razie potrzeby, też zostaną załatwione. Przykro mi, że muszę być tak bezlitosny, ale nie mamy ani innego wyjścia, ani czasu na jego szukanie.

- A co się stanie jeśli pójdę i wsiądę do jednego z busów? - zapytała ostro, świdrując go wzrokiem.

- Nie wpuszczą pani na pokład, Jill. Pani nazwiska nie ma na listach pasażerów.

Eckerd odchrząknął.

- Ja się zgadzam zostać - powiedział. - Nie mogę powiedzieć, żeby mi się to szczególnie podobało, ale chyba nie mam wyboru.

Benning popatrzyła na niego z furją. Potem zwróciła się znów do Chandlera.

- Mój prawnik się z panem skontaktuje - powiedziała.

Spojrzał na nią i nie potrafił wzbudzić w sobie złości.

- Jeśli wrócimy do domu, Jill - odparł - z radością przedyskutuję tę sytuację w sądzie.

Kiedy wyszli, opadł bezwładnie na fotel. Jak tu przyjechał, sądził, że już nigdy nie polecą na dół. Nie chciał wracać do martwego ciężaru w piersi i podskakiwania serca przy każdym oddechu.

Może było to nie fair. Im było trudniej niż jemu, grał bohaterską rolę, sam zostając na ochotnika, oczekując, że inni pójdą jego śladem. Jednak nie śmiał powiedzieć im jak naprawdę się czuje, nie śmiał zrobić nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób zaspokoić jego potrzebę by skłonić ich do dobrowolnego pozostania. Czy też tak dobrowolnego jak tylko potrafił to zorganizować.

Skyport. 8:17.

Tory Clark słyszała, że nadlatuje „*Percival Lowell*” z pierwszą grupą ewakuowanych z Bazy Księżycowej. Zrobiła sobie przerwę i poszła na wyższy pokład do Earthlight Grill, wzięła kilka cynamonowych bułeczek i wyjrzała przez okno. Był tam, prześlizgując się przez plane-

tarną mgiełkę, długi, szary, wspaniały. Mniejszy niż SSO i nie tak elegancki, ale w jakiś sposób z jego sylwetki promieniowała większa moc.

- Leci prosto na śmietnik - odezwał się za nią jakiś głos.

THE TODAY SHOW. WYDANIE O 8:30.

**Fragmenty wywiadu Jaya Cristophera
z Wesleyem Feinbergiem.**

Christopher: Dlaczego ma dwa warkocze? Czy to coś niezwykłego?

Feinberg: Absolutnie nie, Jay. Komety często mają dwa warkocze. Jeden pyłowy, można powiedzieć, zwiewany z głowy. W przeciwieństwie do jonowego świeci wyłącznie światłem odbitym.

Christopher: Warkocz jonowy, oczywiście, nie jest zbudowany z pyłu.

Feinberg: Prawda. Składa się ze zjonizowanych cząsteczek, świeci więc własnym światłem.

Christopher: Profesorze Feinberg, rozmawiał pan z prezydentem o komecie?

Feinberg: To prawda, Jay.

Christopher: Może pan powtórzyć, co mu pan powiedział?

Feinberg: Nie sądzę by było to właściwe. To pytanie powinien pan zadać raczej jemu.

Christopher: No dobrze. Co może nam pan powiedzieć o zderzeniu? Jak wielkie jest zagrożenie?

Feinberg: No cóż, niewątpliwie zobaczymy pewną liczbę meteorów. Jeśli Księżyc rozpadnie się, co wydaje się dość prawdopodobne, sytuacja stanie się raczej poważna. Jest kilka możliwych przebiegów wydarzeń, przy których przetrwanie życia na Ziemi staje się wątpliwe.

Christopher: (Po długiej chwili milczenia.) Czy są inni, którzy zgadzają się z tą oceną, profesorze? To znaczy inni naukowcy?

Feinberg: O, tak. Sądzę, że większość by się zgodziła.

Christopher: Czy chodzi tu o wielkie fale?

Feinberg: Ich na pewno należy się obawiać. Lecz duży meteor uderzający gdziekolwiek w powierzchnię Ziemi może wywołać niewiarygodne zniszczenia, zapoczątkować erę lodowco-

wą albo niepohamowany efekt cieplarniany. To jest niezbyt komfortowa sytuacja, ale musimy po prostu siedzieć i czekać co się stanie. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę pozycję Księżyca i kąt zderzenia, mamy sporo szczęścia.

Christopher: Czy mógłby pan to wyjaśnić?

Feinberg: Oczywiście. (Pojawia się ilustracja.) Jeśli wydarzy się najgorsze i Księżyc zostanie zniszczony, większość materiału, jak widać, zostanie odrzucona od Ziemi.

Christopher: Co się z nim stanie?

Feinberg: Och, większość pozostanie na orbicie. Mówimy tu głównie o zagrożeniach, to jest oczywiście zrozumiałe. Lecz nie powinniśmy tracić z oczu faktu, że jest to niepowtarzalna okazyja.

Christopher: Ma pan na myśli obserwację kolizji z bliska.

Feinberg: Więcej. Zwykliśmy zapominać, że względu na krótkość naszego życia i pozorną niezmienną otoczenia, że wszechświat jest w gruncie rzeczy miejscem bardzo gwałtownych wydarzeń. Przypomnienie tego od czasu do czasu niekoniecznie musi być złą rzeczą.

Christopher: O ile przeżyjemy.

Feinberg: Oczywiście.

BBC WORLDNET. 9:05.

Raport ze Skyport:

„...dziś rano zakończyła się ewakuacja L1. Kilka minut temu, po śmiałej akcji ratunkowej, SSTO *Arlington* przywiózł dwieście jedenaście osób do Skyport. Pojazd ten wkrótce dołączy do trzech innych orbitujących wokół Księżyca, uczestniczących w wysiłkach zmierzających do ewakuacji personelu Bazy Księżycowej.”

Baza księżycowa, Dzielnica Grissom. 10:05.

Charlie słuchał rozwścieczonego Kollandera na prywatnym kanale. Było już źle, że Feinberg miał panikę w narodzie. Lecz ktoś z administracji powiadomił media, że Henry dobrze wiedział o powadze sytuacji i lekomyślnie szafował życiem Amerykanów. Prezydent poprzysiągł, że znajdzie donosiciela, wywali go z urzędu i dopilnuje, żeby nigdy więcej nie znalazł pracy w tym mieście (przypuszczalnie miał na myśli rząd Stanów Zjed-

noczonych). Nigdy. Posunie się nawet do przestępstwa. Co więcej, domyślał się chyba, kto to taki.

Przez jakiś czas pieklił się na ten temat, ale nie wymienił nikogo z nazwiska. Charlie miał kilku podejrzanych, ale zdawał sobie sprawę jakie wzburzenie musiała wywołać narada, na której postanowiono nic nie robić i ryzykować gigantyczną katastrofę nie wydając ostrzeżenia. Rozumiał dlaczego podjęto taką decyzję i nie zamierzał nikogo oceniać, nie miał bowiem wcale pewności jakie powinno się podjąć działania. Dowiemy się w niedzielę rano, nieprawdaż?

- Charlie, ludzie nie będą winić za to tylko mnie. Przykro mi to mówić, ale będą pamiętać partię, która rządziła w tym czasie. Prawdopodobnie w końcu to ty będziesz musiał zapłacić rachunek.

Biorąc pod uwagę milczącą opozycję prezydenta wobec jego kandydatury uwaga ta zabrzmiała co najmniej nieszczerze. Lecz podobna myśl przysłała i Charlieemu do głowy, choć podejrzewał, że oskarżenia o ukrywanie faktów w sumie nie będą miały większego znaczenia. Jego związek z Bazą Księżycową zapewne wystarczy, by go pogrążyć. Mimo to zdawał sobie sprawę, że musi robić dobrą minę do tej gry.

- Może nie, Henry. Jeśli skały nie zlecą na Nowy Jork, każdy powie, że postąpiłeś właściwie. Jeśli spadną... - zapatrzył się na skrambler podłączony do komunikatora ściennego. - Jeśli spadną, prawdopodobnie wyborów w ogóle nie będzie.

- Robimy co w naszej mocy, Charlie. Przenosimy zapasy, wyposażenie, oddziały. Na wypadek...

- A co z resztą świata?

- Wszyscy się miotają. Nawet tu i ówdzie zaczęli współpracować. Nawet Korea Północna zgłosiła chęć współdziałania. Jednak nie ma opracowanych metod takich działań. Głównym sojuszom może udać się koordynacja wysiłków; gdzie indziej będzie wóz albo przewóz.

- Cóż - odparł Charlie, - jeśli będziemy mieli szczęście, przetrwamy o włos i wszyscy śmiertelnie się przestraszą, a może wykluje się z tego trochę dobrej woli.

- Mam nadzieję - prezydent zamilkł na moment.
- A jak tam na górze?
Charlie zawahał się.
- W gruncie rzeczy niezbyt dobrze.
Po drugiej stronie Henry spowaźniał.
- Wyduś to z siebie.
Wiceprezydent przekazał mu wszystko, co sam wiedział.
- Jeszcze tego nie ogłosili.
- Sam się zapędziłeś do narożnika.
- Wiem.
Charlie wsłuchiwał się w biały szum na linii.
- Okay - odezwał się Henry. - Zdarzy się nagły wypadek, powiedzmy, w Parku Everglades. Okaze się, że niezbędny jest facet z ramienia administracji od nadstawiania karku za środowisko. Wynoś się stamtąd jak najprędzej. Prześlę pisemne potwierdzenie i dam do mediów stosowne wyjaśnienia, tak żeby wszyscy wiedzieli, że dostałeś bezwzględny rozkaz powrotu.
- Nikt nie uwierzy w tę historyjkę o Everglades.
- No to wymyślmy coś innego. Kiedy dostaniesz rozkaz, możesz publicznie zaprotestować. Zażądaj pozostawienia cię w Bazie. To będzie dobre posunięcie.

2.

Seattle. 7:27 pacyficznego czasu letniego (10:27 EDT).

Matt Randall nie zamierzał siedzieć i czekać aż dopadną go wielkie fale przetaczające się z rykiem przez wybrzeże. Mieszkał na wyspie Vahon w Zatoce Puget. Zwykł wstawać o szóstej i biegać przez godzinę przed złapaniem promu na kontynent, gdzie pracował w firmie ubezpieczeniowej Coastal Marine Insurance Company, w której kierował wydziałem szkód ogólnych. Tu ubezpieczało się „niebezpieczalnych”: nastoletnich kierowców o złej sławie, którym przydzielono do CMI w ramach akcji Szczególnego Ryzyka. Po obejrzeniu wcz-

snoporanych wiadomości miał wrażenie, jakby on sam *znalazł* się w sytuacji szczególnego ryzyka, i to paskudnego. Siwowłosy facet z Harvardu był spokojny, niemal beznamiętny i przez to wyjątkowo wiarygodny.

Matt podjął decyzję, zrezygnował z biegania i wyciągnął żonę z łóżka. Przez kilka minut oglądała wywiady i zgodziła się z nim. Spakowali dzieciaki, trzyletnie bliźniaczki, załadowali starego kombi i zdołali załapać się na prom. Pomimo wczesnej godziny zebrało się już spore stadko ich sąsiadów, spakowanych i wyruszających w drogę. Znalazłszy się na kontynencie przemknął przez centrum Seattle na 190 i skierował się na wschód. O ósmej trzydzieści zadzwonił do biura i usłyszał nieznamy głos. Jego sekretarka wzięła sobie dzień chorobowego.

Na szosie było niezwykle gęsto. Samochody sunęły powoli, głównie na wschód, tak samo jak oni. Dzień było pochmurny i ponury, mżyło od czasu do czasu. Przejechanie dziewięćdziesięciu kilometrów do Parku Stanowego Lake Easton zajęło prawie trzy godziny. Tam, kiedy dopiero co minęli przydrożny parking, bliźniaczki oświadczyły, że muszą do łazienki. Matt skorzystał z najbliższego zjazdu i podjechał do McDonalda. Kupił wszystkim po hamburgerze z frytkami. Było późne przedpołudnie, pomimo to panował tłok.

Dostanie się z powrotem na autostradę wymagało wykonania nieprzyjemnego skrętu w lewo przez dwa pasma ruchu w kierunku południowym i następnie szybkiego przejechania na prawy pas. Czekał kilka minut szukając dziury w potoku samochodów, dostrzegł ją i przeskoczył szosę, wśliznął się na lewy pas i nie zauważył vana Voyagera, który w tej samej chwili wjechał na ten sam pas zamierzając skorzystać ze znajdującego się nieco z przodu zjazdu na stację benzynową. Uderzył samochód Matta w okolicy prawych, tylnych świateł i wepchnął pod ruch z przeciwka. Dziewczynki wrzasnęły a żona uchwyciła się rękami pulpitu. Nastąpił krótki moment skrajnego przerażenia, a potem niebo znikło w ciemności.

W kraksie uczestniczyły cztery samochody wiozące jednaście osób. Spośród nich tylko kierowca vana nie został ranny. Matt stracił żonę i jedną z córek.

Dla policji stanu Waszyngton był to początek dnia rzezi.

Terminal na Skyport. 11:03.

Kilkunastu stewardów George'a przyszło życzyć mu szczęścia. Stali niepewnie w poczekalni dla pasażerów, dwóch czy trzech w mundurach, reszta po cywilnemu. Kilku zaoferowało się, że polecą jeśli zechce. Podziękował im i obiecał, że spotka się z nimi w niedzielę, kiedy wróci.

Wszedł na pokład i razem z Mary zrobił przegląd przedstartowy. Tylko we dwoje będą wieźli w drodze powrotnej zaledwie około stu pasażerów, ostatnią grupę ewakuowanych. Cieszył się, że samolot będzie stosunkowo mało obciążony, bo takim łatwiej manewrować. Jeśli ten gigantyczny statek w ogóle będzie do tego zdolny.

- Wszystko gra - powiedziała Mary.

George skinął głową. Zaczął wychodzić z doku.

Czuł się wspaniale. Całymi latami nie robił nic innego tylko latał tam i z powrotem między Nowym Jorkiem a Londynem, Kansas City a Miami. Potem zrobił wielki skok z Waszyngtonu na niską orbitę okołoziemską.- Wczoraj doleciał do Lagrange One. Teraz czekała go reszta drogi do Księżyca i w dodatku z misją ratunkową.

- Okay, Mary - powiedział. - Do roboty.

Baza Księżycowa, Dzielnica Grissom. 11:04.

- Musimy pomyśleć jak to rozegramy.

Rick skinął głową.

- To jeden wielki koszmar. Następnym razem będziemy pamiętać, żeby nie dawać pochopnych przyrzeczeń, nie?

Charlie zdusił w sobie impuls irytacji. W końcu ten facet miał rację.

Rick siedział niepokieszony z rękami w kieszeniach.

- Kto ma zostać? - spytał nagle.
- Evelyn. Jack Chandler. Pozostałych nie znam. Są dżę, że ktoś z kierownictwa.
- Hampton zostaje?
- Tak powiedziała.
- Odważna kobieta. Ona nie należy do personelu stacji. Nie musi tego robić - Rick sprawiał wrażenie, jakby chciał coś dodać i rozmyślił się w ostatniej chwili. Za to wziął notatnik i otworzył go. - Mamy lot o trzynastej dwadzieścia. Nasz samolot schodzi z orbity dziś około północy.
- Okay.

Rick potrząsnął głową. Próbował załatwić im lot opuszczający orbitę o trzynastej, ale jeszcze nie dotarły rozkazy z Białego Domu i w tej chwili było już za późno, żeby go złapać.

- Przeżyjemy to, Charlie - powiedział.

Wiceprezydent przyglądał mu się długą chwilę.

- Niektórzy z nas - rzekł.

Baza Księżycowa, kancelaria kapelana. 11:27.

Mark Pinnacle był potomkiem średnio zamożnego, starego rodu z Northumberland. Jego najbliżsi przodkowie, których większość znał z imienia i wyglądu, byli nauczycielami, żołnierzami i mężami stanu Imperium Brytyjskiego. Kiedy czasy stały się niezbyt sprzyjające dla arystokracji ziemskiej, Pinnacle'owie przenieśli się do handlu, a w końcu do produkcji oprogramowania. George Pinnacle, dziadek Marka, zapewnił rodzinie fortunę i sławę dzięki serii gier i praktycznych programów domowych.

Mark był dopiero drugim ze współczesnych Pinnacle'ów, który przywdział sutannę. Zrobił to kierując się nie tyle wiarą, ile irytacją budzoną w nim przez ojca, Avery'ego, który w każdą niedzielę chodził do kościoła i szczerze wspomagał go datkami, jednocześnie tłumacząc dzieciom, że w dogmatach chrześcijaństwa nie ma jednego słowa prawdy. Jediną wartością Kościoła, utrzy-

mywał, jest zabawianie motłochu i zmuszanie go by wziął się w garść.

Kiedy w ataku złości Mark oskarżył ojca o hipokryzję, ten się tylko roześmiał.

- Bez chrześcijaństwa, czy jakiegoś podobnego systemu - powiedział - cywilizacja byłaby niemożliwa. Ono uczy nas, na przykład, jak kłamać.

- Kłamać, ojcze?

- Wyobraź sobie, mój chłopcze, jak wyglądałby świat, gdybyśmy wszyscy, przy każdej okazji, mówili dokładnie to co myślimy - spoważniał. - Pomyśl o alternatywie: załóżmy, że nie ma żadnego mechanizmu mogącego wystraszyć brutalni na tyle, żeby się zachowywali jak należy.

Każde cokolwiek warte dziecko w końcu wygłasza deklarację niezależności. Oświadczenie Marka polegało na zgłoszeniu się do seminarium duchownego. Zamierzał ograniczyć się do spędzenia może jednego roku, w czasie którego jego ojciec aż się skręcał. Lecz w końcu, będąc pod wrażeniem wiary swoich nauczycieli, został na dobre. A jeśli uosobiony Bóg, chodzący po wodzie, zawsze wydawał mu się dość odległy, nigdy nie pozwolił żeby komukolwiek, oprócz najbliższych przyjaciół, choćby zaświtała myśl o jego wątpliwościach.

Kiedy wuj zapytał, czy Mark chciałby zostać pierwszym kapłanem w Bazie Księżycowej, zaakceptował propozycję bez namysłu. Musi stać się bezwyznaniowcem, wyjaśnił wuj. Żadnego nawracania. Wszystkie wyznania mają być traktowane jak równe sobie.

- My wiemy lepiej - mrugnął do niego wuj - ale się nie wygadamy, prawda?

Markowi taka sytuacja odpowiadała. Przystąpił do działania z entuzjazmem i teraz mijały dwa lata jego pobytu w Bazie Księżycowej, spędzone na służbie duchowej dla gromady tutejszych robotników, techników i naukowców. Wśród mieszkańców Księżyca niewielu znalazłoby się takich, których można by uznać za pobożnych, ale tu też potrzebny był ktoś, z kim można porozmawiać, ktoś, kto zajmie się ceremoniami znaczącymi ważne chwile życiowe.

Udzielił pierwszego księżycowego ślubu, i pierwszego chrztu. Przewodniczył pierwszemu świętu Hannukah i odczytywał wersety z Koranu na pogrzebie muzułmiana Ibn bel Mihala, który zginął po pęknięciu uszkodzonego skafandra. Najwyraźniej nikomu nie przeszkadzało, że rytuały religijne odprawia człowiek mogący, z formalnego punktu widzenia, nie akceptować doktryny, z której się wywodziły. Mark miał wrażenie, że na Księżycu ostre podziały pomiędzy różnymi wyznaniem jakoś się zacierały.

Na szczęście pogrzebów było niewiele. W gruncie rzeczy, jedną z radośniej szych stron pracy duszpasterskiej w Bazie Księżycowej był fakt, że o wiele częściej błogosławił dzieci i pary, niż pocieszał pogrążonych w żałobie. Odkrył coś jeszcze. Na dole jego parafianie w większości odprawiali obrzędy nakazane wiarą, ale bardzo rzadko w ogóle zastanawiali się nad jej znaczeniem. Była dla nich po prostu elementem życia, czymś w rodzaju pogody, czy sygnału w słuchawce. Za to ludzie przybywający na Księżyc zazwyczaj mieli dość negatywny stosunek do wszelkich instytucji religijnych, a mimo to chętnie spoglądali w nieskończoność i wyznawali swoje wątpliwości. Mark wierzył, że to właśnie oni najbardziej zasługiwali na zbawienie.

Teraz, po pojawieniu się komety, zastanawiał się jakiemu celowi miała posłużyć. Podzielał powszechny niepokój, troskę przekraczającą granice pytania czy ten, lub tamten, zdąży stąd odlecieć na czas. Dla kapelana, podobnie jak dla wielu osób w Bazie, zbliżał się kres czegoś bardzo ważnego. Koniec ery. Był to okres bardzo bolesny w szczególności dla niego, uznał bowiem, że nie się nie dzieje przypadkiem. Ileż to razy słuchał argumentów, że to przecież wszechświat jest darwinowski, zimny i neutralny? Machina nie mająca pojęcia o naszym istnieniu, kręcąca gwiazdami, wiewiórkami i astromami z jednakową bezduszną gorliwością.

To, mówili, tylko nasza frustracja wywołana dostrzeżeniem tej prawdy, zobaczeniem jej wypisanej wyraźnie na niebie, doprowadziła do wymyślenia religii. A jednak

najwyraźniej zwróciliśmy czyjąś uwagę. Jądro, na wpeł ukryte w czerwonym blasku warkocza wyglądało zupełnie jak oko szatana.

Baza Księżycowa, Centrum Łączności. 11:46.

Młoda kobieta, która zwróciła uwagę Ricka w czasie jego pierwszej wizyty w dziale medialnym, nazywała się Andrea Bellwether i pracowała jako technik łączności. Brytyjka, pochodząca z Portsmouth, gdzie dorastała w sąsiedztwie „Victory” Nelsona. Była córką Franka Bellwethera, który dowodził „*Rangerem*” w czasie jego pierwszego, tragicznego lotu. Andrea miała sześć lat, kiedy jej ojciec spróbował sprowadzić na Ziemię uszkodzony statek, odbijając się od atmosfery i odlatując, mniej więcej w kierunku Canopusa.

Był to najstraszniejszy okres w jej życiu. Pamiętała rozmowy telefoniczne z ojcem, pamiętała, że nie rozumiała dlaczego tata nie może wrócić do domu, zapamiętała za to najdokładniej jego słowa, kiedy prosił ją by była odważna. Twoja mama będzie ciebie potrzebować.

Po pewnym czasie rozmowy się urwały. Lata później Andrea dowiedziała się, że kiedy zaczęło im brakować tlenu, otworzyli włazy.

Kiedy przyleciała do Bazy Księżycowej, jej współpracownicy założyli, że dostała ten przydział ze względów politycznych. Kąsek dla córeczki bohatera. Prawdę mówiąc tak było, ale w pełni zasłużenie. Półtora roku później była równie dobra jak inni.

W centrum łączności panował ruch jak nigdy. Zazwyczaj równy napływ połączeń zmienił się w lawinę.

Zamierzali pracować do południa w sobotę. To oznaczało, że część techników będzie musiała udać się do domu ostatnim lotem, tuż przed kolizją. Andrea miała poczucie, iż powinna zaproponować, że zostanie. Jednak życie było wspaniałe i nie czuła wcale pewności, na ile gotowa jest tak nonszalancko je zaryzykować.

W normalnych warunkach cztery osoby wystarczały by panować nad sytuacją. Lecz kiedy Andrea weszła,

już pracowało siedmioro techników. Szef zorganizował dla niej prowizoryczne stanowisko przekierowywania.

- Po prostu rób co możesz - poradził.

Zazwyczaj jej praca polegała na przekazywaniu informacji administracyjnych, danych personelu, zestawień finansowych, potwierdzeń zamówień, reklam artykułów mogących się przydać w Bazie. Były też odpowiedzi na pytania do naukowców z Księżyca dotyczące różnych projektów, danych o składzie chemicznym gleby w Arizonie, porównania widomych jasności gwiazd widzianych z Australii i z Księżyca, najnowszych badań prądów oceanicznych. Wiele z tego nie miało nic wspólnego z księżycem jako takim, ale naukowcy to ludek ciekawski, mający zwyczaj trzymać rękę na pulsie we wszystkich dziedzinach.

Dziś jednak wszystkie serwisy wiadomości chciały się dowiedzieć jak sobie radzi Baza, czy morale jest wysokie, z kim mogliby przeprowadzić wywiad. To niezmiernie wszystkich interesuje, mówili, ludzie w tak odległym miejscu stojący w obliczu zagrożenia jakiego jeszcze nie było. Jak to wygląda? Czy ktokolwiek załamał się pod tym ciężarem?

Sama prywatna poczta była większa niż dotychczasowy cały ruch. Kanały głosowe były przeciążone, co oznaczało, że bezpośrednia rozmowa stała się niemożliwa, o ile nie było się Evelyn Hampton albo wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych. W rezultacie zaczęły się zatykać inne kanały. Bufory były całkowicie zapchane tysiącami zapytań o bliskich i przyjaciół. Trafiały tu także rady, ostrzeżenia, sugestie od każdego mającego dostęp do klawiatury.

„MACIE NAJWIĘKSZE SZANSĘ JEŚLI SKIERUJECIE SAMOLOTY NA TAKI SAM KURS JAKI MA KOMETA, TYLKO PO PRZECIWNEJ STRONIE KSIĘŻYCA.”

„BĘDZIECIE BEZPIECZNI NA POWIERZCHNI KSIĘŻYCA. JEGO RUCH WIROWY UNIESZKODLIWI ENERGIĘ ZDERZENIA SKIEROWUJĄC JĄ W KOSMOS. TRZYMAJCIE SIĘ Z DALEKA OD SAMOLOTÓW.”

„POWINNIŚCIE SIĘ WSTYDZIĆ. TO KOLEJNY PRZYKŁAD RZĄDOWEGO MARNOTRAWSTWA.”

Większość nadchodzących wiadomości zawierała kody dystrybucyjne. Ale w pozostałych mogło się znaleźć wszystko, więc Andrea musiała zajrzeć do każdej przesyłki, określić adresata i przekazać ją. Jednocześnie nawiedzone listy normalnie wędrowały do kierownika wachty, który je zwyczajnie wywalał do śmietnika. Lecz dziś Andrei nakazano decydować samodzielnie. Usunąć bełkot wariatów.

Dla serwisów informacyjnych sklecono automatyczną odpowiedź:

BAZA KSIĘŻYCOWA DOCENIA WASZE ZAINTERESOWANIE, ALE Z ŻALEM INFORMUJE, ŻE NIE JEST W STANIE ODPOWIEDZIEĆ NA INDYWIDUALNE ZAPYTANIA. ZAPEWNIAMY KORESPONDENTÓW, ŻE ROBIAMY POSTĘPY W WYSIŁKACH ZMIERZAJĄCYCH DO BEZPIECZNEGO EWAKUOWANIA WSZYSTKICH OSÓB Z BAZY. ODNOŚNIKI ZNAJDUJĄ SIĘ W COGODZINNYCH BIULETYNACH INFORMACYJNYCH.

Wśród tego wszystkiego znalazła się wiadomość do niej, od matki mieszkającej w Edynburgu. WIEM, JAK WIELE TA PRACA NA GÓRZE DLA CIEBIE ZNACZY. ALE ODBIJEMY SIĘ OD DNA, JAK JUŻ BYWAŁO. Ku swemu zaskoczeniu trafiła na list od byłego chłopaka, który nie odzywał się od czasu studiów. ANDI, WCIAŻ CIĘ KOCHAM. WRACAJ BEZPIECZNIE DO DOMU. •To było bardzo dawno temu.

Sygnał oznajmił przybycie wiadomości z kodem pierwszeństwa. Musiał ją podpisać wiceprezydent Haskell. To oznaczało wydruk. Zrobiła go, zerknęła na niego i stwierdziła, że wiceprezydent zostaje na gwałt wezwany na Ziemię. Dla usprawnienia łączności i pomocy przy organizacji reakcji na zagrożenia.

Słyszała, że nie wszyscy zdołają się stąd zabrać, zastanawiała się więc, czy Biały Dom próbuje uratować bohaterskiego wice, który upiera się, żeby zostać - czy też gościa, który chlapnął za dużo ozorem i znalazł się w kłopotliwej sytuacji.

Pokazała depeszę kierownikowi zmiany.

- Okay - wziął ją od niej. - Dopilnuję, żeby dotarł na miejsce.

**FINANCIAL TIMES, WYDANIE MIĘDZYNARODOWE.
UAKTUALNIONY 11:53.**

Indeksy głównych giełd spadają gwałtownie drugi dzień z rzędu. Obawy o stabilność finansową Moonbase International i Administracji Transportu Księżycowego spowodowały poważne spadki w wielu dziedzinach...

3.

Baza Księżycowa, Dzielnica Grissom. 12:03.

Charlie był sam, kiedy nadeszła wiadomość.

- .. właśnie dotarła do centrum łączności, panie wiceprezydencie. Do pana - posłańcem był chłopak, prawdopodobnie nie mający jeszcze osiemnastu lat. - Muszę prosić pana o podpis, sir.

Charlie spełnił jego życzenie.

- Dlaczego jeszcze tu jesteś, synu? - zapytał. - Kiedy odlatujesz?

- Mam lot jutro.

Chłopak był Afroamerykaninem. Patrzył na Charliego z niemal tęsknym szacunkiem, który wiceprezydent automatycznie wzbudzał we wszystkich, oprócz tych, którzy dobrze go znali.

- Ten wcześniejszy.

- Powodzenia - powiedział Charlie.

Uśmiechnął się nieśmiało.

- Nawzajem, sir.

Potem odszedł i Charlie został sam z otwartą drogą ucieczki. Jak fatalne skutki miał wypadek *Mikro*. Tak blisko byli sukcesu. Haskell czeka do końca. To byłby dynamit, który mógłby nawet załatwić mu nominację.

Charlie czuł się zmęczony.

Evelyn zostaje.

Jack Chandler też zostawał. Charlie spotkał go tylko przelotnie, ale ścisnął jego dłoń, rozmawiał z nim, życzył mu szczęścia.

Stanął twarzą w twarz z samym sobą i to co widział, wcale mu się nie podobało.

Spojrzał na zegarek i pomyślał, czy nie zadzwonić do Evelyn. Życzyć jej szczęścia, jakby mógł coś zdziałać. Pożegnać się.

Skurwysyn.

Jakkolwiek będzie próbował się z tego wywinąć, na zawsze pozostanie facetem, który zwiął.

Baza Księżycowa, kancelaria kapelana. 12:09.

Tego ostatniego dnia wiele osób przyszło do kaplicy, żeby się pożegnać i życzyć Markowi Pinnaclebwi powodzenia. Wszyscy wiedzieli, że niektórzy z kierownictwa zostają i Mark zauważył kilka typów reakcji na tę wiadomość. Ludzie bywali mile zaskoczeni, część utrzymywała, że góra wyniesie się na samym początku. Inni reagowali sceptycznie sugerując, że to oszustwo i nikt tak naprawdę nie jest zagrożony. Jednak większość była zasmucona.

Krażyły plotki, że nie wszyscy zostający byli ochotnikami, że do pewnego stopnia zostali zmuszeni przez Evelyn Hampton. Jeśli to prawda, cała sprawa wyglądała niezbyt ładnie. Przystawianie ludziom lufy do głowy, żeby zrobili to, co słuszne, kiepsko wygląda w księżkach historycznych. Ale nikt nie występował naprzód i nie mówił weźcie mnie.

A dlaczego ktokolwiek miałby to robić? Dlaczego, powiedzmy, młody człowiek, mający przed sobą przyszłość, miałby się poświęcić, żeby jego szef mógł się uratować? Zbyt wielkie żądania wobec ludzkiej natury. A przynajmniej w jej zachodniej wersji.

Kapelana uderzyło to co słyszał o zachowaniu Hampton. Miała reputację osoby bezwzględnej, założył, że dobrze zasłużoną, podobnie jak zakładał, że nikt nie mógł dotrzeć na sam szczyt jakiegokolwiek organizacji, nie mając w duszy trochę DNA Tamerlana. Jednak Mark miał dar

spoglądania na różne sprawy oczami innych ludzi i kiedy rozważył jaki miała wybór, poczuł dla niej współczucie.

Wpisano go na popołudniowy lot w sobotę, będzie więc już daleko kiedy uderzy kometa. Ale od chwili, gdy usłyszał pogłoski o tym, że jacyś ludzie zostają, zdawał sobie sprawę, iż stanowi to dla niego wyjątkowy problem. Czy Chrystus wsiadłby na pokład któregoś z busów gdy inni mieli czekać na śmierć? Jak mógłby to zrobić? A tak w ogóle, w co on naprawdę wierzył?

Zmagał się z tym przez cały ranek. Raz już podniósł słuchawkę by zadzwonić do Jacka Chandlera i zgłosić się na ochotnika. Lecz tylko gapił się na nią z walącym sercem.

Takiej decyzji nie można było cofnąć.

Mark Pinnacle miał trzydzieści jeden lat. Kochał życie, lubił dobre drinki i miał szeroki krąg przyjaciół. Spędził z nimi wiele przemyśłych wieczorów prowadząc ożywione dyskusje o życiu, śmierci i polityce. Interesował się kobietami w stopniu prawdopodobnie stanowczo zbyt dużym, jak na człowieka w sutannie. Miał nadzieję znaleźć kogoś, z kim mógłby dzielić życie. Wiedział jak może wyglądać wielka namiętność i zdecydowanie nie miał zamiaru zadowolić się niczym pomniejszym.

Myślał właśnie o tym, kiedy niemal bezwiednie doszedł do wniosku, że odlatując do domu, pozostawiając kogoś innego by umarł za niego, zaprzeczyłby wszystkiemu, co -jak uważał - sobą reprezentował.

Usiadł przy telefonie i podniósł słuchawkę. Ręka mu drżała gdy wystukiwał numer dyrektora, który pamiętał jeszcze z poprzedniej próby. Sekretarka pozdrowiła go, poinformowała, że pan Chandler jest zajęty, ale przełączyła, gdy zaczął naciskać, mówiąc, że to ogromnie ważne.

- Tak, kapelanie - odezwał się szorstki głos Chandlera. - Czym mogę służyć?

Krew dudniła Markowi w żyłach.

- Zostanę - powiedział.

Chandler sprawiał wrażenie zdumionego, niepewnego o czym Pinnacle mówi.

- Proszę mnie wpisać na listę. Oddać moje miejsce na pokładzie komu innemu.

- Och - dyrektor zrozumiał. - Jest pan pewien?

Już po wszystkim kapelan odłożył słuchawkę i wyczerpany opadł na kanapę. Jednak zdarzyło się coś dziwnego: strach odpłynął i zaskakujące wrażenie wewnętrznego spokoju wypełniło mu duszę. Zaczął pojmować, że jego misja się skończyła, jego ziemską egzystencja (uśmiechnął się, rozbawiony tym wyrażeniem) zbliżała się do kresu i pozostało mu tylko nie stracić odwagi i czekać na osąd Stwórcy.

Nalał sobie drinka i wzniosł toast za swój mężny czyn. Przemknęło mu przez głowę, że grzeszy nadmiarem pychy, ale czuł się do tego upoważniony.

Kiedy opadły emocje, wrócił strach. Cóż to za słaba rzecz, pomyślał, taka nie wzmocniona dusza. Nawet mając pewność zbawienia czuł lęk na widok złowieszczonego blasku komety. Jednak Chrystus był po jego stronie. Jaki musiał być dla niewierzących?

W pokoju zrobiło się zimno, jakby wyłączył się system podtrzymywania życia. Włożył marynarkę i wyszedł na Plac Główny, gdzie ludzie wciąż jeszcze gromadzili się w parkach i przed sklepikami, które niemal wszystkie były zamknięte. Pozdrowiał znajomych, a tym, których nie znał, a popatrzyli mu w oczy, życzył szczęśliwego lotu i mówił, tak, chciałby się spotkać kiedy już szczęśliwie dolecą do domu. Uśmiechnął się, rozbawiony tym drobnym żartem.

W końcu przysiadł na ławce przed ciemnym sklepem z naczyniami kuchennymi, na którego wystawie widniała skośna tabliczka OTWARTE. Wzdłuż chodnika rósł rząd dopiero co posadzonych młodych drzewek. Ludzie kręcący się po części handlowej wcale nie sprawiali wrażenia, że coś jest wyjątkowo nie w porządku. Od czasu do czasu rozlegał się śmiech, a rozmowy były lekkie. A jednak wszyscy garnęli się do siebie.

Instynkt stadny.

Jego decyzja coś w nim zmieniła, przecięła łańcuch spinający go z pobratymcami. Czuł się wyjątkowo samotnie.

NEWSNET. AKTUALNOŚCI Z 12:30

(Kilknii DO szczegóły)

**MBI ZAPRZECZA JAKOBY KOGOKOLWIEK
MIANO POZOSTAWIĆ**

„Wszystko jest pod kontrolą” - Hampton

KONCERTY REWELERSÓW W TULSA

Konkurs potrwa cały tydzień

**Nauka: DZIEWIĘTNASTA
ROCZNICA „WIELKIEGO WIATRU”**

Największą w historii prędkość naturalnego wiatru zanotowano 12 kwietnia 1934. W porywach osiągał 375 km/h.

**ENTUZJAŚCI HISTORII ZBIERAJĄ SIĘ
W FORT SUMTER**

Upamiętnienie pierwszych strzałów w wojnie domowej W planach symulacja fantomatyczna

**MICHAEL HARMON BĘDZIE PRZEMAWIAŁ
W WARM SPRINGS NA CEREMONII
POŚWIĘCONEJ FDR**

Jedyny prezydent piastujący urząd przez cztery kadencje, zmarł 12 kwietnia 1945 roku

HASKELL OŚWIADCZA, ŻE ODLECI OSTATNI

„Zamknę drzwi i pogaszę światła”

**SAMOLOTY, POCIĄGI, SAMOCHODY:
CAŁY TRANSPORT UTKNAŁ W KORKACH**

Linie lotnicze odwołują loty; autostrady zakorkowane

Nie wybieraj się w ten weekend do cioci Sue

(patrz pokrewne artykuły: „Chaos na drogach” i „Japończycy uciekają na wyżyny”)

DZIEŃ WYZWOLENIA W UGANDZIE

Tego dnia został obalony dwudziestowieczny dyktator Idi Amin

NADMORSKIE MIEJSCOWOŚCI TRACĄ LUKRATYWNY WEEKEND

Turyści uciekają z południowych ośrodków wakacyjnych

Washington Online. 12:33.

Mary-Lynn Jamison

- Kilka minut temu Biały Dom oznajmił, że wydał wiceprezydentowi polecenie natychmiastowego opuszczenia powierzchni Księżycy i udania się na pokład jednego z samolotów znajdujących się na jego orbicie. Sekretarz Pat Russell wyjaśnił, że do takiego posunięcia zmusiła prezydenta konieczność utrzymania bliskiego kontaktu z Haskellem w sytuacji, gdy centrum łączności przenoszone jest z terenu Bazy Księżycowej na SSTO. Doniesiono, że Haskell, który publicznie oświadczył, iż opuści Bazę jako ostatni, był „bardzo niezadowolony z polecenia” i poprosił o pozwolenie pozostania na Księżycu, lecz najwyraźniej mu go nie udzielono. Wczoraj wieczorem, w trakcie konferencji, transmitowanej przez wszystkie stacje telewizyjne w kraju, wiceprezydent powiedział...

4.

Baza Księżycowa, Plac Główny. 12:36.

Fakt, że Rick nadal przede wszystkim szacował polityczne implikacje, a dopiero potem rozważał bardziej ludzkie aspekty sytuacji, wynikał nie tyle z bezduszności, co z prostego oporu przed uwierzeniem, że ktokolwiek w Bazie Księżycowej naprawdę zginie. Rick żył w świecie wizerunków i manipulacji, świecie właściwie wolnym od przemocy. Nikt nie zostawał ranny. Nie fizycznie. Dla niego najważniejszą rzeczą był wizerunek wiceprezydenta, a szukanie wyjścia z sytuacji to sprawa szefostwa.

Może eksperci mylili się i wystarczy tylko potem wrócić i zabrać pozostawionych. W końcu kometa miała uderzyć w niewidoczną stronę Księżyca. Jego robota polegała na dopilnowaniu by Charlie Haskell otrzymał nominację, czyli uniknięcie potencjalnie zabójczych politycznie skutków katastrofy. Oczywiście nie mógł zostać tutaj, im prędzej więc znajdzie się w samolocie i ruszy do domu, tym lepiej.

Na przystanku tramwaju przy Placu Głównym stał mały tłumek oczekujących transportu na kosmodrom. Rick stał z boku z małą aktówką zawierającą nieco rzeczy osobistych, które wolno mu było zabrać. Ludzie rozmawiali o tym co zrobią kiedy dotrą do domu. Czy Monbase International podejmie jakiegokolwiek wysiłki w celu znalezienia pracy dla nich. A także jak bardzo współczują zostającej szóstce.

Nadjechał tramwaj i wszyscy wsiedli. Głos z taśmy ostrzegł, że należy zająć miejsca siedzące. Kiedy to zrobili, pojazd ruszył.

Przed Rickiem usiadło dwóch mężczyzn. Jeden miał na sobie czarny, wełniany sweter, chroniący przed podmuchami powietrza w pędzącym pojeździe. Perorował energicznie, ale Rick wyłapał tylko słowo kapelan.

Tramwaj wjechał w gęsty zagajnik. Rick pochylił się do przodu.

- Jesteś pewien?

-Tak. Widziałem listę tuż przed wyjściem. Znałeś go?

Obaj nosili okulary i zadbane brody.

- Tylko z klubu brydżowego.

Rick przypomniał sobie nerwowego mężczyznę stojącego na estradzie i zastanawiał się, dlaczego mówiono o nim w czasie przeszłym.

Całkiem dobre przybliżenie słonecznego światła przesączało się przez korony drzew nad głowami. Powietrze pachniało wiosną.

Rick pochylił się mocniej do przodu.

- Przepraszam - odezwał się - czy coś mu się stało?

Obaj mężczyźni odwrócili się.

- Komu?
- Kapelanowi.
- Zostaje - wyjaśnił człowiek w swetrze.

Ptaki śpiewały, na pniaku stał czipmank i obserwował ich przejazd. Dwóch mężczyzn powróciło do rozmowy. A Rick stwierdził, że nowiny są niepokojące.

Tramwaj wjechał do tunelu. Zapaliły się światła, na ścianach zatańczyły cienie. Po kilku minutach skręcili i zwolnili. Zarejestrowany głos poinformował, że pojazd za chwilę się zatrzyma.

Opadł na oparcie.

- To nie twoja działka, Monica - żeński głos za nim, ochrypły, pełen złości. - Jesteś taka, jak ja. Jesteśmy pracownikami z samego dołu. Robimy swoje i odbieramy czeka z wypłatą. Nigdy nie płacono nam za coś takiego. To nie nasza sprawa.

- A czyja?

- Takich jak Hampton. Posłuchaj, szefowie świata biorą forszę, wydają rozkazy, zgarniają śmietankę, a kiedy coś się popieprzy, to oni mają sobie z tym poradzić. Oni. Nie ty. I nie ja.

Tramwaj zaczął hamować. Zwolnił gładko, lekko zakółsał się na boki, podjechał do peronu i stanął. Drzwi otworzyły się z sykiem.

- Chcesz tam pójść i się zgłosić? Jestem pewna, że bardzo by się z ciebie ucieszyli - ten sam ochrypły głos.

Obie miały około dwudziestki. Obie były atrakcyjne. Jedna biała, druga czarna.

- Pamiętaj o jednym - powiedziała Murzynka.
- Śmierć trwa wiecznie.

Pasażerowie wysiedli i pojechali windą na wyższy poziom, przeszli korytarzem i rozdzielili się na dwie strefy, oznaczone ZIELONA i ŻÓŁTA. Karta pokładowa Ricka wyznaczała mu strefę zieloną.

Przez zajmujące całą długość ściany pleksiglasowe okna widać było platformy startowe. *Mikro* spoczywał w sieci przewodów. Spod statku wydobywały się kłęby pary. Zajmowała się nim grupa techników sprawdzają-

ca w notatnikach specyfikacje części. Z systemu nagłośnienia dobiegł szum, a po chwili głos:

- Pasażerowie ze strefy żółtej proszeni są na pokład. Strefa zielona ma około dziesięć minut opóźnienia.

Kilka osób wstało, pożegnało się i wyszło.

Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych stał obok biurka służbowego. Sprawiał wrażenie zagubionego. Rick zerknął na Sama Andersona, który skrzywił się i wzruszył ramionami. Doradca poczuł się, jakby żył w równoległych światach, tak popularnych w kinach.

- Dobrze się czujesz, Charlie? - zapytał.

Charlie wzdrygnął się.

- Tak - odparł. - Nic mi nie jest.

Rick wyciągnął kartkę.

- Napisałem oświadczenie dla ciebie. Uważam, że powinieneś je wygłosić natychmiast po wejściu na pokład.

Charlie zaczął je przeglądać, ale najwyraźniej w ogóle nie czytał.

- Ogłosisz tylko, że protestujesz przeciwko poleceniu, że chcesz tu zostać, ale prezydent zdecydowanie żąda twojego powrotu, nie widzisz więc możliwości uchylenia się od obowiązku, i tak dalej.

- Dobrze.

Haskell wyglądał jakby postarzał się przez noc. Kilka osób podeszło by uścisnąć mu dłoń. Bardzo mi miło, panie wiceprezydencie, mówili. Oraz Powodzenia w prawyborach. Żadnych założeń, że otrzyma nominację. Kiedy odeszli, Charlie potrząsnął głową w milczeniu.

Rick odezwał się dopiero po chwili.

- Słyszałem - powiedział - że kapelan też zostaje.

- Kapelan? - oczy Charliego zwięzły się wyraźnie.

- Uhum - rzekł Rick. - To samo sobie pomyślałem.

Pojawili się kolejni ludzie z pozdrowieniami. Wiceprezydent był kordialny jak zawsze. Miał dar sprawiania na osobach, z którymi rozmawiał, wrażenia, że spotkanie z nimi jest ukoronowaniem dnia. Wyznał, że bardzo się cieszy z ich poznania i jest niezmiernie dumny z ich osiągnięć.

- Jakie to samo? - spytał Ricka, kiedy znów zostali sami.

- No, wiesz. Kapelan wcale nie wygląda na faceta, który by zrobił coś takiego.

Haskell przymknął na moment oczy. System nagłaśniający powiadomił, że grupa zielona może wchodzić na pokład.

- Czas na nas - powiedział Rick.

Wiceprezydent długą chwilę nie ruszał się z miejsca. W końcu potząsnął głowę.

- Nie - oświadczył. - Nie mogę tego zrobić. Odwrócił się do Sama, na twarzy którego zaczął pojawiać się wyraz grozy.

- Leć razem ze swoimi ludźmi - powiedział. - Dopilnuj, żeby ktoś dostał mój bilet.

- Nie mogę! - zaprotestował Sam.

- Zrób to. Dopilnuję, żeby twój protest został odnotowany - uścisnął rękę Ricka i podziękował mu,

- Co ty robisz? - jęknął Rick.

- Nie wiem - odparł Charlie. - Ale wiem czego nie mogę zrobić.

Kokpit *Copenhagen*. 12:51.

Nora Ehrlich uruchomiła silniki, utrzymywała je na jałowym biegu, a samolot sunął spokojnie wokół Księżyca. Potem, dokładnie o 13:02 dała ciąg i statek, ze stu trzydziestoma sześcioma pasażerami na pokładzie, zszedł z orbity kierując się do domu.

Baza Księżycowa. Dzielnica Grissom. 13:47.

Evelyn Hampton pozostawiła ewakuację w rękach Jacka Chandlera i cały swój czas poświęciła przygotowaniu Moonbase International na skutki nadchodzących wydarzeń. Mianowała swojego następcę, opracowała strategię, która mogła pozwolić korporacji na odtworzenie w nowym kształcie, po przeprowadzeniu reorganizacyjnej procedury upadłościowej.

- Nie wolno nam po prostu się poddać - powiedziała zarządowi. - W chwili obecnej dysponujemy technologią

pozwalającą nam wyjść poza Ziemię. Tomiko nie powinna nas odstraszyć; raczej posłużyć jako ostrzeżenie.

Na początek, myślała, mamy projekt Skybolt, orbitalny system laserowy zdolny do poszatkania nadlatujących asteroidów na drobny żwirek. Program ten jednak w nieuchronny sposób traktowany był zawsze jak piąte koło u wozu. Stanowił łatwy cel dla cięć budżetowych i po piętnastu latach od powstania i kilku nieudanych próbach rozpoczęcia, wciąż pozostawał na deskach kreślarskich. Nawet Culpepper był mu przeciwny. W chwili obecnej jest nam to w ogóle niepotrzebne. Oczywiście, niewiele mógłby zdziałać wobec Tomiko, ale miło byłoby go mieć po kolizji, jeśli fragmenty Księżyca zaczęły dryfować w stronę Ziemi. Jeżeli ta katastrofa nie nauczy nas czegoś więcej, przynajmniej dowiedzieliśmy się, że zagrożenia z kosmosu są jak najbardziej realne i stanowią znakomite uzasadnienie dla posiadania środków obrony planetarnej. Jednak w tej historii jest coś więcej. O wiele więcej.

Najwyraźniej ekspansja była wbudowana w geny gatunku. Rozwijaj się, albo wpadaj w stagnację. Lecz zachodnie rządy działały na dużym deficycie. Jeśli dążenie do opuszczenia planety ma się utrzymać, drogę musi torować interes prywatny, trzeba udowodnić, że to się mu opłaca. Na kosmosie musi dać się zarobić.

Taki czas jeszcze nie nadszedł. I nie nastąpiłby jeszcze przez wiele lat. Lecz wciąż istniały orbitalne gałęzie przemysłu czekające na rozwój. A jeśli Księżyc był z nami dość długo, żebyśmy mogli użyć go jako odskoczni, powinniśmy tylko być za to wdzięczni.

- Najważniejsze - powiedziała w MBI - żebyśmy teraz nie schowali się w skorupie. Obecne pokolenie dysponuje narzędziami i wiedzą pozwalającymi rozpocząć proces wychodzenia w kosmos. Jeśli ludzie zostaną zmuszeni do zmiany pracy, jeśli porzucone busy, promy i SSTO porosną kurzem, wszystko się skończy. Przynajmniej za naszego życia nic nie drgnie. A może już nigdy.

Przygotowała kilka pożegnań, które zamierzała wysłać jutro, jeśli okaże się to konieczne. Spędzała teraz

dużo czasu w towarzystwie Jacka Chandlera. Porozumiewali się bez słów, spojrzenie, uśmiech, wzruszenie ramion. Zawsze byli sobie bliscy, lecz teraz czuła związek przekraczający wszystko, co czuła w kontaktach z inną istotą ludzką. Zupełnie jakby istniała jakaś psychiczna więź, pozwalająca jej czytać jego myśli i dzielić jego emocje.

I kapelan, Mark Pinnacle. Myszowaty, drobny mężczyzna, który na estradzie sprawiał wrażenie tak bardzo przerażonego. Kto by pomyślał? Była zachwycona jego zgłoszeniem. Pozwoliło jej to zadzwonić do Chipa Mansfielda i powiadomić go, że zerwał się z haka. A jeśliby jeszcze ktoś zgodził się zostać, mogłaby pozbyć się Benning, następnej w kolejce. Szlag ją trafiał na myśl o spędzeniu ostatnich chwil życia w towarzystwie ludzi, którzy zostali tylko dlatego, że ktoś ich do tego zmusił. Przyjemniej umierać razem z odważnymi.

Wydobyła się ze skafandra. Był to długi dzień i marzyła o prysznicu. Teraz mogła go usprawiedliwić: już nie istniała potrzeba oszczędzania wody.

Telefon zadzwonił akurat kiedy właśnie weszła do kabiny, ale zignorowała go. Odbierze po kąpieli. Nad głową wisiało ostateczne niebezpieczeństwo i nic nie było już w stanie zmusić jej do pośpiechu. Nie w tym życiu.

Evelyn urodziła się w Dakarze. Ojciec był brytyjskim misjonarzem, matka wykładała literaturę francuską na Uniwersytecie Senegalskim. Evelyn wcześniej oznajmiła, że zamierza zostać lekarzem. Na własne oczy widziała warunki życia afrykańskich plemion i chciała zrobić co się tylko da. Godny podziwu cel, ale zblakł jakoś w liceum, kiedy odkryła niechęć do chemii i fizyki.

Poszła na Uniwersytet Versailles, gdzie doszła do wniosku, że o wiele więcej pieniędzy można zarobić na spełnianiu *marzeń* klasy średniej niż dokonywaniu medycznych napraw wśród biedaków. Fantomatyka właśnie docierała do afrykańskich wybrzeży we wszystkich swoich odmianach: diagnostyczna, kinowa, terapeutyczna, analityczna. Evelyn nie miała jeszcze magisterium, gdy założyła MicroTech Ltd., najęła sekretarkę i od sła-

bo zorientowanych biurokratów wydobyła wszelkie możliwe licencje.

Od tej chwili kontrolowała rozwój tego przemysłu w Senegalu i krajach ościennych. Monopol przyniósł jej sute zyski, poszerzyła działalność na Mauretanię, Ghanę, Sierra Leone i Wybrzeże Kości Słoniowej. Organizacje przestępcze usiłowały ją sobie podporządkować, ale najęła własną, elitarną ochronę i w końcu okazało się, że jest silniejsza od mafii. Wszystko to wydarzyło się tuż przed rozkwitem Afryki, w czasie którego Evelyn wykorzystała swój sukces do zdobycia miejsca w zarządzie Global Communications, Ltd.

Znalazła się dokładnie we właściwym miejscu, kiedy społeczność międzynarodowa uznała, że nadszedł czas by ustanowić stałą obecność człowieka na Księżycu i potrzebna była do pomocy odpowiednia korporacja.

Przez krótki czas okazała się nią znów MicroTech, tyle tylko, że na skalę globalną. W 2022 roku Times nadał jej tytuł Kobiety Roku, zatrudniała kilku laureatów nagrody Nobla i była po imieniu z prezydentami i premierami. Jej napisana przez „murzyna” książka Księżyc nad Wall Street od pięćdziesięciu siedmiu tygodni nie schodziła z listy bestsellerów New York Timesa.

Dwukrotnie wyszła za mąż. Marcus Hampton zginął w wojnie ze wschodnioafrykańskimi oprychami. William źle ją ocenił, sądząc, że zgodzi się na pozycję jednej z kobiet w haremie. Gdzie był teraz, nie miała pojęcia.

Z Marcusem miała jednego syna, który mieszkał z nią w Roxbury. Robił doktorat na MIT. Dość dorosły, by poradzić sobie ze stratą matki. Jeśli do tego dojdzie.

Telefon zadzwonił ponownie gdy zakręciła wodę. Wyszła z łazienki, owijając się po drodze ręcznikiem.

- Hampton - rzuciła. To nazwisko wypowiedziane jej głosem, uruchomiło komunikator.

- Evelyn - to był Chandler. - Właśnie dostałem wiadomość z Operacyjnego.

- Co poszło nie tak, Jack?

- Odlecieli bez Haskella.

I

Potrzebowała chwili na przetrawienie tej informacji.

- Jak to się stało?
- Po prostu wyszedł razem ze swoimi ludźmi. Jeden z nich dostarczył ich bilety, by oddać ich miejsca komu innemu. Był tu kilka minut temu.
- Wyjaśnił dlaczego? Dlaczego nie odleciał?
- Nie. Ale jest w drodze do ciebie.
- Okay - potwierdziła. - Dzięki, Jack. Zakładam, że wykorzystaliśmy te miejsca.
- Tak.
- Okay. Zapisz ich na jutrzejszy poranny lot.

Usłyszała głosy na korytarzu.

- Chyba już tu jest, Jack. Pogadamy później.

Złapała szlafrok, zrzuciła go sobie na ramiona i odwróciła się twarzą do drzwi.

Baza Księżycowa, Dzielnica Grissom. 14:06.

Charlie Haskell nie był bohaterem. Wielbił bohaterów, zawsze był gotów cytować TR¹¹ albo Churchilla, dwukrotnie przewodniczył obchodom Dnia Weterana. Jednak nigdy, przez całe życie, nie trafiła mu się żadna okazja dokonania jakiegoś czynu, który można by uznać za heroiczny. Sprzeciwił się jednemu czy dwóm brutalom, raz postawił się despotycznej nauczycielce geometrii. Wspomnienia tego dawno minionego dnia krótko, absurdalnie, przemknęły mu przez głowę w jadącym na Plac Główny tramwaju, gdzie siedział w towarzystwie Ricka i sfrustrowanych ochroniarzy.

Frustracja była głównym daniem tego popołudnia. Charlie upierał się, żeby ochroniarze skorzystali z wyznaczonego im lotu. Twardo odmówili. A Rick, który zawsze dbał przede wszystkim o własny tyłek, akurat w tej chwili postanowił zadziałać wbrew sobie. Twierdził, że Charlie nie może zostać, nie może nawet o tym myśleć, bo jest winien Amerykanom swój powrót do domu, jest dla nich zbyt cenny. Co po prostu oznaczało, że nawet Rick nie potrafił *znaleźć* dość przekonującego argumentu by postanowił ratować skórę.

" TR czyli Theodore Roosevelt (przyp. tłum.)

Charlie nie miał żadnej zależnej od siebie rodziny, nikogo, kto by szczególnie cierpiał, gdyby coś mu się przytrafiło. Nie miał też żadnego powodu do życia oprócz pracy, o której ktoś kiedyś powiedział, że składa się z trzech zajęć: wędkowania, przewodniczenia Senatowi i czekania aż prezydentowi się zemrze.

Rick przekonywał go całą drogę do kwatery Evelyn.

Lecz Charlie miał wrażenie, jakby całe jego życie było tylko przygotowaniem do tej jednej, strasznej chwili. Myślał o sobie, jak o narodowym przywódcy. Lubił pułapki swojego stanowiska, rozkoszował się sławą, obracał się wśród mających władzę, odwiedzał kluby. Teraz nadszedł moment by zacząć przewodzić.

Siedział w tramwaju, słuchając Ricka. Wyobraził sobie siebie w przyszłym roku, w Białym Domu - jeśli miałby szczęście - usiłującego pozbyć się uporczywej myśli, że ktoś odważniejszy zginął za niego. Nawet nie pamiętał nazwiska kapelana. Serce mu waliło z całych sił. Później zaczął wierzyć, że decyzję podjął już wcześniej, że powstała już dawno w lewej półkuli, że tylko trzeba było poczekać aż świadomość ją przechwyci. I może nawet było w tym ziarno prawdy.

Charlie próbował dodzwonić się z tramwaju do prezydenta. Miał kod, który pozwolił bez trudu przedostać się przez centrum łączności Bazy, ale Henry był na spotkaniu. Odzwonił, Sir. Zostawił więc informację. Oczywiście to natychmiast pozwoliło mu przekroczyć Rubikon.

Potem wyruszył na poszukiwanie Evelyn. Jeśli miał zrobić taki krok, chciał przynajmniej zapewnić sobie przyjemność, że powie jej to osobiście. Zastanawiał się, dlaczego zdobycie jej szacunku było dla niego tak ważne. Teraz jednak stał pod jej drzwiami, czekając na ich otwarcie, czując radość, przestraszony i zadowolony z siebie.

Otwarcie drzwi zaskoczyło go. Nie zauważył ruchu po drugiej stronie, ale przy księżycowym ciążeniu odgłos kroków był słabo słyszalny. Evelyn stała w kałuży wody, owinięta w żółty, frotowy szlafrok i przyglądała mu się ciekawie.

- Co się stało, panie wiceprezydencie?
- Nie jestem pewien - odparł Charlie. - Mogę wejść?
Odsunęła się na bok.
- Powiedziano mi, że spóźnił się pan na swój lot.
Obejrzał się na Ricka i Sama, a potem przekroczył próg. Zamknęła za nim drzwi.
- Zostaję - oznajmił.
- Zostajesz?
Patrzyli na siebie niczym przez cieśninę morską.
- Masz jakąś kawę?
- Ty i kapelan - wymruczała niemal rozmarzonym głosem. - Dlaczego?
- Cały czas myślałem o MacArthurze - wyjaśnił.
- MacArthurze?
- To dwudziestowieczny generał.
- Wiem, kto to był - skrzywiła się. - Co Douglas MacArthur ma z tym wspólnego?
- Jesteś na mnie zła?
- Dlaczego miałabym być zła? - głos miała lodowaty.
- Naprawdę nie wiem. Twój głos brzmi wrogo.
- Wyjaśnij mi tego MacArthura.
- W 1942 roku, kiedy Filipiny lada moment miały zostać zdobyte przez Japończyków, Franklin Roosevelt rozkazał MacArthurowi, głównodowodzącemu generałowi, powrót. Posunięcie jak najbardziej słuszne, bo Alianci bardzo go potrzebowali. Był wart kilku dywizji: Przemycili go pod nosem nieprzyjacielskiej floty i później okazał się jedną z decydujących sił w wojnie. Rozkazano mu porzucić swoje oddziały i ratować własną skórę. Zrobił to i nic, czego później dokonał nie wymazało tego czynu. Nazywano go już zawsze „Duck-out Doug”¹².
Choć Charlie był dobre trzydzieści centymetrów wyższy od Evelyn, sprawiała wrażenie jakby patrzyła na niego z góry.

¹² „Duck-out Doug” - dosłownie „Uchylający się Doug”. Nieformalnie, ale bardziej właściwie byłoby np. „Doug Cykor”, (przyp. tłum.)

- Daj spokój z polityką - powiedziała. - Nie masz tu żadnych oddziałów.

Podniosła słuchawkę i wystukała numer.

- Są potwierdzenia? - spytała.

- Proszę, nie - poprosił Charlie.

- Dobrze - powiedziała do telefonu. - Będzie na pokładzie.

Odwróciła się do niego.

- Odłot dziewiąta piętnaście jutro rano z kosmodromu. Mam dla ciebie sześć miejsc.

Charlie poczuł przypływ złości.

- Będę potrzebował tylko pięciu.

Przyglądała mu się długą chwilę, spojrzała na telefon i usiadła w fotelu.

- Jesteś pewien? - spytała.

- Uhum, jestem pewien. Trudniej jest zwać niż zostać.

Przyszło mu do głowy, że historia zapamięta szóstkę, która została. Prawdopodobnie dużo lepiej niż jakiegokolwiek wiceprezydenta.

5.

Baza Księżycowa, Biura Administracji. 14:08.

Andrea Bellwether nigdy wcześniej nie widziała swojej szefowej w tak ponurym nastroju.

Jej zwierzchnikiem była Teresa Perella, zazwyczaj sympatyczna i ożywiona. Nigdy jeszcze nie natrafiła na problem, z którym nie potrafiłaby sobie poradzić, albo go obejść. Dziś sprawiała wrażenie pokonanej. Gapiała się nieruchomo nad głowami swoich łącznościowców, jakby jej umysł błędził gdzieś poza salą konferencyjną.

- Jesteśmy gotowi do rozpoczęcia ewakuacji - powiedziała.

Była drobną kobietą o ciemnych oczach i silnej osobowości. Pochowała dwóch mężów. Powszechny żart głosił, że doprowadziła ich do skrajnego wyczerpania.

- Musimy utrzymać funkcjonowanie centrum łączności do jutra, do godzin popołudniowych. Potrzebuję trzech osób do pomocy. Ci, którzy zostaną, odlecą najpóźniejszym kursem. Twierdzą, że będzie bezpieczny, ale kto to wie?

Popatrzyła na nich z rozchyłonymi wargami, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć i wahała się. Ci bez rodzin.

Tommy Chan zgłosił się gestem.

Ci bez przyszłości.

Elanor Kile. Oszałamiająco piękna kobieta, najcudowniejsza w całej Bazie, pomyślała Teresa, ale jedna z tych, które zdają się odstraszać mężczyzn. Wszystkich - oprócz absolutnie niewłaściwych.

Ktoś jeszcze? Teresa wyprostowała się lekko.

- Potrzebna jest jeszcze jedna osoba.

Andrea Bellwether przeglądała gwałtownie wspomnienia, studiując teksturę ścian, myśląc o wszystkich ludziach, których chciałaby jeszcze zobaczyć. Rodzice, wujowie, siostrzenica.

Co zrobi Teresa, jeśli nikt się nie zgłosi?

Popatrzyła na Chana, na Kile. No cóż, wystartują całą godzinę przed katastrofą. Przechwyciła spojrzenie Teresy i skinęła głową. Została nagrodzona błyskiem szacunku w jej oczach.

Wrightsville, New Jersey. 14:11.

Konwój Pine River Furniture Company w końcu wyruszył. Archie wolałby odjechać wcześniej, bo chciał okrążyć Filadelfię przed godzinami szczytu. Lecz nie docenili złożoności procedury bezpiecznego załadowania towaru i przecenili zdolność tymczasowych pomocników do wykonywania najprostszych poleceń. Konwój liczył osiemnaście tirów, wypełnionych biurkami, skórzanymi kanapami i rzeźbionymi, obrotowymi krzesłami. Firma wykorzystwała wszystkie posiadane samochody, czternaście ciężarówek, ciemnoniebieskich z białymi obramowaniami i emblematem zaprojektowanym przez założyciela, Waltera Harrisona, przedstawiającym debiu-

lantkę wtuloną w wyściełany fotel stojący na brzegu rzeki. Cztery pozostałe pojazdy wynajęto w U-haul z Wrightstown.

Archie pilotował czołowego tira. Claire Hasson, kierowca firmowy, siedziała za kółkiem. W bocznym lusterku Archie widział konwój ciągnący się aż za zakręt. Jechali drogą 68, która przez 1295 łączy się z Pennsylvania Turnpike. Ich celem było Carlisle i Góry Błękitne. Śmieszne, myślał Archie. Ale, na Boga, zatopienie ich tam wymagałoby naprawę nieprawdopodobnie wielkiej fali.

Carlisle nie znajdowało się na czele listy miejscowości. Jednak nigdzie w całej górzystej części Pensylwanii nie byli w stanie *znaleźć* żadnych noclegów. Po kilku godzinach bezowocnych telefonów, Walter spróbował dogadać się z masonami, którzy zgodzili się przyjąć kierowców do własnych domów. Archie zastanawiał się, co szef musiał im za to obiecać.

Brak wolnych miejsc w motelach stanowił ostrzeżenie. Archie dziś rano wyprawił rodzinę Buickiem kombi do siostry żony w Troy, w stanie Nowy Jork. Susan nie podołało się, że będą daleko od siebie, choć jednocześnie utrzymywała, iż nic się nie będzie działo. Lecz kiedy Archie powiedział jej, że Harrison traktuje sprawę bardzo poważnie, zaczęła się denerwować. Zgodzili się w końcu, że wrócą tu w przyszłym tygodniu strojąc sobie ze wszystkiego żarty. Potem żona wsiadła do Buicka *razem* z nastoletnim synem i córką, którzy oboje głośno protestowali przeciwko zmuszaniu ich do wyjazdu, i ruszyła w drogę.

Konwój posuwał się rażno czteropasmową szosą. Od czasu do czasu Archie dostrzegał inne karawany. Macro Electronics. Sonya Precision Timepieces. Solar Works Complete Auto Power Systems. Z rzadka wyprzedzały ich grupki samochodów na numerach komisowych.

Na autostradzie obserwacja ludzi jadących na zachód jeszcze bardziej podkopała pewność siebie Archiego.

- Co o tym sądzisz? - spytała Claire.
- To wariactwo - odparł. Jednak zdawał sobie sprawę, że mówi tak tylko dlatego, że jego szef spodziewa się sceptycyzmu z jego strony. - Szef zorganizował ten wyjazd tylko na wszelki wypadek.
- Cieszę się, że tak uważasz.
- Myślę, że nie ma się w ogóle czym przejmować.
Minutę później dodał:
- Gdzie jest twoja rodzina?
- W domu. Myśleliśmy o wyjeździe do mojej siostry na parę dni, ale oznaczałoby to zabranie dzieci ze szkoły, a Ed nie mógł wziąć sobie wolnego dnia.
- Uhm, wiem jak to jest.
Po długim milczeniu powiedziała:
- Ale będę się cieszyła, kiedy się to już skończy, Archie. Te gadki w telewizji mnie przerażają.
Zapisał numer telefonu komórkowego.
- Pickman - przedstawił się.
- Archie, tu Brad - Brad Cabry był pomocnikiem w kadrach, jechał w ostatnim samochodzie konwoju.
- Nie wiem, czy słuchałeś radia, ale mówią, że na Pennsylvania Turnpike już jest gęsto. Gorzej niż w godzinach szczytu. Ostrzegają, żeby się trzymać z daleka od niej.
Archie popatrzył na poprzedzający ich długi rząd samochodów i ciężarówek.
- Dla nas już jest za późno - powiedział. - Trzymamy się planu A. Jeśli zajmie to całą noc, to trudno.
Claire skinęła głową.
- Nie ma sprawy - skomentowała. - Nadgodziny się przydadzą.
Archie zmienił pozycję i spróbował usadowić się wygodnie. Siedzenie tira sprawiało wrażenie jakby miało pękniętą sprężynę.
- Kiedy ta cholerna buda była na przeglądzie?
Sięgnęła do schowka na rękawiczki, wyciągnęła książkę obsługi i podała mu. Popatrzył na liczby, ale miał kłopoty ze skupieniem się na nich.

Manhattan. 15:36.

Marylin Keep oglądała obraz zakorkowanych szos, przyglądała się jak komentatorzy wiadomości uśmiechali się protekcjonalnie mówiąc o uciekających ludziach, widziała komiksy Chicken Little¹³ w New York Online. Każdy próbujący udać się w głąb stanu był traktowany jak idiota. No cóż, dla tych, którzy nie mogli się ruszyć z miasta była to pociecha.

Wróciła na pracy nad „Cieniem zdrajcy” kiedy zadzwonił telefon. To był Larry:

- Co robimy jutro, kochanie?

Oderwała się od swoich notatek, w których zapisywała każdy fizyczny i psychologiczny szczegół dotyczący każdej z postaci w książce i skrzywiła się.

- Będziemy zapewne przyglądać się rozpieprzaniu Księżyca - odparła. - A co ci chodzi po głowie?

- Louise urządza imprezę przy komecie jutro wieczorem. Chciałaby, żebyśmy przyszli.

- Przyszło jej to do głowy w ostatniej chwili, nie?

- No cóż, kometa też jest taka trochę z ostatniej chwili. Myślę, że może być ostro.

Louise była jedną z koleżanek Larry'ego, ekonomistką u Krausa&Cole. Marylin spotkała się z nią parę razy na gruncie towarzyskim. Dwukrotna rozwódka, twierdząca, że przepędziła obu swoich byłych, choć Larry utrzymywał, że było dokładnie odwrotnie. Była nieoficjalnym socjalnym szefem biura, organizowała lunche z tego co pod ręką, zespoły kręglarskie i zbiorowe wyprawy do knajp.

- Jasne - zgodziła się Marylin. - Idziemy.

Świat zdawał się wrócić niemal do normy. Nocni komicy wygłaszali dowcipy o komecie, telewizyjny kanzodzieja oznajmił, że Tomiko początkowo kierowała się wprost w Alabamę i zmieniła kurs dzięki jego mo-

¹³ *Chicken Little* - to moralizatorska przypowieść o kurczaku, której mottem jest: "Nie bój się, nie rób igły z widel, niebo wcale nie spada nam na głowy", (przyp. tłum.)

dlitwom. Polityczni guru analizowali wpływ komety na jesienną kampanię. (Większość uważała, że zmniejszy szansę Haskella, pomimo jego postawy, postrzeganej przez nich jako sprytne posunięcie pod publiczność, a to z powodu narodowych inwestycji w Bazie Księżycowej, które teraz miały zostać nieodwołalnie stracone.) Yankees, którzy w ten weekend grali u siebie z Tigers ogłosili, że jeśli gra nie zakończy się do dziesiątej trzydzieści pięć, czyli do momentu uderzenia, zrobią przerwę i pokażą fajerwerki na niebie na monitorach. Księżyc będzie po zachodniej stronie nieba, niewidoczny dla nikogo poza kibicami z prawej strony pola. Część fanów zaprotestowała i zasugerowała menedżerom, żeby na monitorach pokazywać mecz, i że nie ma najmniejszego powodu, żeby robić przerwę w grze.

Mieszkanie Marilyn na trzecim piętrze wychodziło oknami na Central Park. Wszystko wyglądało tak jak co dzień: kilkoro dzieci próbowało puścić latawca, a mamusie gapiły się na nie, truchtający biegacze posuwali się wzdłuż alejek a na ławkach siedziało tyle samo ludzi co zwykle. Żebracy obrabiali przechodniów, ulice wypełniały taksówki, autobusy i samochody dostawcze. Szkoły były otwarte a Wal-Mart ogłosił wielką wyprzedaż z okazji komety. („Przywleczyć swojego ogona tutaj, gdzie można zaoszczędzić.”)

„Cień zdrajcy” okazał się najbardziej pozbawionym polotu kryminałem, jaki kiedykolwiek znalazł się na jej biurku. Mniej więcej od trzeciego rozdziału morderca był oczywisty, w dodatku miał bardzo kiepski motyw. Mydlenie oczu rzucało się w oczy. Tempo powolne, postaci drewniane. Narracja przesadzona jak diabli i nie mająca wiele wspólnego z atmosferą tajemniczości. Czytelnik nigdy nie miał szans przerwać na chwilkę i zastanowić się nad implikacjami. Sam autor najwyraźniej pominął kilka okazji do stworzenia porządnego dramatu. Zupełnie jakby miał klapki na oczach.

Nie mogąc się skupić, otworzyła drzwi i wyszła na balkon, niewielki, mieszczący dwa krzeselka i malut-

ki stolik. Stała tam przez chwilę, oparta o betonową poręcz, obserwując trzech mężczyzn wnoszących meble do sąsiedniego apartamentowca.

San Francisco. 13:20 pacyficznego czasu letniego. (16:20 EDT).

Wszyscy znajdujący się na trzecim piętrze biur Bennett & McGee gapili się w telewizory. Na podzielonym ekranie widniała mapa okolic Zatoki, od Richmond na północy, do Santa Clara i Los Altos Hills na południu, od Pacyfiku aż do 1680, obejmująca w sumie ponad tysiąc sto kilometrów kwadratowych. Drugą część zajmowała głowa komety, nieco podłużna i nieregularna, pokryta kraterami i spękana. Jeden z ogromnych kraterów zajmował mniej więcej jedną piątą widocznej powierzchni komety. Jerry patrzył jak obydwie obrazy zostają nałożone na siebie a potem mapa zmniejszyła się tak, że okolice San Francisco zmieściły się w kraterze. Na dole pojawił się napis: RZECZYWISTA WIELKOŚĆ.

W tle senator Mark Caswell rozmawiał z prowadzącą PugetWeb Jane McMurtrie.

- ...postawieniu w stan oskarżenia - mówił. - To absolutnie nie do pomyślenia, żeby prezydent Stanów Zjednoczonych bagatelizował zagrożenie o takiej skali. Sądzę, że w najbliższej przyszłości kongres zareaguje odpowiednio do tej sytuacji.

- Jednak, senatorze - powiedziała McMurtrie - czy nie jest to tylko czcza pogroźka? To znaczy, jeśli słuszna jest część oskarżenia mówiąca, że ta informacja jest kluczowa dla przetrwania narodu, zło już się stało. Odłamki spadną i w poniedziałek nie będzie już Kongresu. Jeśli jednak, z drugiej strony, prezydent tylko usiłuje utrzymać alarmistów w ryzach, czyli inaczej mówiąc, nic się nie stanie, jakie będą zarzuty? To znaczy, okaże się, że miał rację, nieprawdaż?

- Absolutnie nie, Jane. Nie zamierzamy pozwolić panu Kollanderowi postępować według własnego widzi mi się w sprawach bezpieczeństwa ludności tego kraju. Mogę cię zapewnić, że kiedy się to wszystko skończy,

Kongres będzie istniał i będą istniały Stany Zjednoczone. Nadejdzie też czas porachunków.

Połowa pracowników wzięła chorobowe. Dział załatwić trzeba było obsadzić ludźmi z wydziału akcyjnego. Berek Manny's Coffeehouse po drugiej stronie ulicy, gdzie Jerry zazwyczaj wpadał by przegryźć grzanekę i poczytać *Chronicle*, dziś rano był zamknięty. W oknie widniała informacja „Otwieramy w poniedziałek”.

Jerry i Marisa spędzili poprzedni wieczór z przyjaciółmi na wymienianiu kpinek na temat znajomych opuszczających miasto. Śmiechu było dużo, ale dawał się wyczuć powszechny niepokój.

Szefem jego działu był Leo Gold, pracujący w firmie od czasów, gdy pociągi towarowe jeździły na zachód. Teraz był całkiem siwy i miał głos jak piła łańcuchowa. Był miłośnikiem modelarstwa kolejowego. Wezwał Jerry'ego do gabinetu.

- Możesz pracować jutro? - zapytał bez zbędnych wstępów.

Czyli w sobotę. Sobotę przed 15. kwietnia, dzień bardzo pracowity dla firm księgowych. Lecz Bennett & McGee z dumą utrzymywała, że potrafi pracować bez popadania w stan ciężkiej gorączki w okresie składania zeznań podatkowych. Nikt poniżej stanowiska dyrektora działu nigdy nie pracował w sobotę przed terminem spowiedzi u fiskusa. To była sprawa dumy.

- Ale nie w tym roku - wyjaśnił Leo. - Od paru dni wszyscy biorą sobie wolne, Jerry. Jesteśmy w kropce.

W normalnych warunkach Jerry nawet by się nie zastanawiał. Wiedział jednak, że Marisa niepokoi się kometa. Możliwe, że będzie chciała wyjechać, usunąć się jej z drogi, a nie będą mogli tego zrobić jeśli zobowiąże się przyjść do pracy.

- Planowaliśmy wyjazd z miasta na weekend - powiedział.

Leo zacisnął usta.

- Jerry - pochylił głowę. - Jerry, nie mówisz poważnie.

Jak możesz być taki naiwny, Jerry?

- Nie chodzi o kometę, Leo - pośpiesznie wyjaśnił Jerry. - Ten wyjazd planowaliśmy od kilku tygodni. Wy bieramy się w odwiedziny do Helen, siostry żony.

- Jerry, my wszyscy będziemy tu w poniedziałek. San Francisco będzie również. Bennett & McGee będzie tutaj. A **nie** muszę ci przypominać jaka data wypada w poniedziałek.

Piętnasty kwietnia. Jerry'emu przyszło do głowy, że jeśli sprawdzą się najgorsze przewidywania, ostatnim aktem oficjalnego rządu Stanów Zjednoczonych może być coroczne strzyżenie obywateli.

- Masz przed sobą znakomitą przyszłość w firmie - ciągnął Leo. - Nie narażaj jej z powodu...

Wydawało się, że zabrakło mu słów, zadowolił się narysowaniem palcem wskazującym kółka w powietrzu.

W końcu Jerry się zgodził, nie z powodu obaw o karierę. Raczej wskutek zachowania Leo poczuł, że musi udowodnić, iż nie boi się komety.

6.

Point Judith, Rhode Island. 19:21.

Lukę Peterson był emerytowanym drukarzem. Żona nie żyła od dwudziestu lat, dzieci los rozrzucił po całym kraju. Miał duży, ceglany dom w Point Judith. Roztaczał się z niego piękny widok na ocean. Były tu rozległe trawniki, brukowany podjazd i mnóstwo miejsca dla wnuków, które uwielbiały to miejsce i co lato zjeżdżały się tu całym stadem. Lukę przyjechał nad ocean po stracie żony i kupił tę posiadłość za sto dziesięć tysięcy dolarów. Teraz warta była trzy czwarte miliona i nie stać by go było na jej utrzymanie gdyby nie fakt, że przekroczył już siedemdziesiątkę - a w prawie podatkowym znajdowała się specjalna klauzula chroniąca właścicieli domów przed nieopanowanym wzrostem wartości nieruchomości. Przez dziesięć lat prowadził tu drukarnię. Wydawał reklamówki i folderki turystyczne, wykonywał

też dużo prac na zamówienie - wizytówki, papeterie, cokolwiek. Było to miłe zajęcie, ale znudziło mu się. Życie jest za krótkie, żeby spędzić je w drukarni, więc kiedy mógł ją zamknąć, zrobił to.

Łukę inwestował dobrze, więc pieniądze nie stanowiły dla niego problemu. W środy grywał w pinochle¹⁴, a w każdy drugi poniedziałek miesiąca chodził do klubu dobrej książki. (Na majowym spotkaniu czytali Marka Aureliusza.) Dwa, albo trzy razy w tygodniu, kiedy go naszła ochota, grywał w golfa. Lunch zazwyczaj jadał w towarzystwie znajomych z Klubu Rotariańskiego. Zwali się Lunchową Bandą.

Wciąż jednak czuł się samotny. Tęsknił za Ann, przez większość dni dom był bardziej cichy niż by tego pragnął. Mimo wszystko radził sobie całkiem nieźle. Ona nie tolerowałaby jego snucia się z kąta w kąt i uzalania nad sobą, więc robił co mógł, żeby postępować zgodnie z radą, jaką wypisała na ostatniej kartce urodzinowej, którą od niej dostał: by traktować życie jak przejrzałego grejpfruta i wycisnąć zeń tyle soku, ile się tylko da.

Oglądał więc wiadomości telewizyjne z zainteresowaniem i lekką trwogą. (Strach też był częścią grejpfruta.) Lecz ocean wyglądał pocieszająco płasko i spokojnie.

Pennsylvania Turnpike, na północ od Filadelfii. 19:33.

Korek, który przez ostatnie trzy godziny posuwał się od czasu do czasu, teraz ugrzązł na dobre. Na kanałach policji stanowej podawano informację, że aż do Valley Forge autostrada zmieniła się w gigantyczny parking.

Konwój dawno już stracił spójność. Archie potrafił wypatrzeć cztery tiry należące do firmy stojące z tyłu. Reszta znikła gdzieś w zatorze.

- Claire - zapytał, - czy wiesz jakie było uzasadnienie dla budowy systemu autostrad międzystanowych?

Nie miała zielonego pojęcia.

¹⁴ *Gra karciana dla dwóch do czterech osób, podobna do bezika. (przyp. tłum.).*

- Eisenhower oświadczył, że chce mieć możliwość szybkiego przegrupowywania oddziałów wojskowych. W razie inwazji.

Popatrzyła wokół, na gigantyczny zator i uśmiechnęła się.

- Wtedy było mniej samochodów.

Pikapy, kombi, mikrobusy, wszystkie pojazdy załadowane były kartonowymi pudłami, dywanami i dziećmi. Na wierzchu umieszczono sterty mebli. Z okien wystawały lampy, klapy bagażników poprzywiązywano uniesione, oparte na krzesłach. Archie był na Kaukazie, w jednej z misji pokojowych, kiedy miejscowi notable usiłowali pozbyć się mniejszościowych grup etnicznych, a Turcja odmówiła pomocy w akcjach humanitarnych. Pamiętał ludzi na szosach, wędrujących na południe i wschód, jak najdalej od rejonów rzezi. Mnóstwo samochodów, drogi też były całkiem dobre. Nie takie jak Pennsylvania Turnpike, oczywiście. Jednak coś w tym zatorze samochodowym przypominało mu tamte przerażone tłumy.

Coś.

Może dzieciaki skulone na tylnych siedzeniach; albo wystraszeni kierowcy wysiadający by zepchnąć zamarłe samochody z drogi; albo słyszalne od czasu do czasu wystrzały. Na Kaukazie byli to snajperzy czatujący wzdłuż autostrad. Kto tutaj używał broni - nie miał pojęcia.

W przedzie kogut migał powoli na dachu radiowozu, ale policjanci byli równie bezradni jak cała reszta.

W starych samochodach przegrzewały się silniki, kończyło się paliwo. W elektrycznych wyczerpywały się akumulatory. Tiry z Pine Rivers zostały przed wyjazdem naładowane do pełna, ale nie miały szans na przetrwanie nocy.

- Jak tam, Claire?

Wzruszyła ramionami. Posuwali się centymetr po centymetrze obok zjazdu, wypełnionego pojazdami usiłującymi uciec z korka. Pas bezpieczeństwa zamienił się w dodatkowe pasmo ruchu - ale tam też wszystko stało.

Kilkakrotnie usiłował dodzwonić się do Susan, na komórkę, ale stacje przekaźnikowe musiały być przeciążone i nie udało mu się połączyć. Drogi prawdopodobnie wszędzie wyglądały równie źle. Wyobraził sobie żonę usiłującą okrążyć Nowy Jork po 1287 i pożałował, że namawiał ją do wyjazdu.

- Wszyscy powariowali - powiedział w końcu.
- Claire uśmiechnęła się złośliwie.
- My też tu tkwimy.
- Uhm. Ale nam za to płacą.

PROGRAM MOLLY SINGER. 20:00.

Skrót wywiadu przeprowadzonego w studio WXPI-TV w Richmond, w stanie Wirginia, z „Pułkownikiem” Steve Gallagherem, komendantem Legionu Thomasa Jeffersona.

Singer: Pułkowniku, dlaczego w Wirginii potrzebna jest milicja?

Gallagher: Wszyscy znamy odpowiedź na to pytanie, Molly. Niektórzy nie chcą spojrzeć prawdzie w oczy, inni zaś działają ręką w rękę ze zdrajcami siedzącymi na samej górze. Ale wszyscy ją znamy.

Singer: Może jednak pan nam ją przytoczy.

Gallagher: Pomiędzy uciskającym nas rządem a zwykłymi ludźmi stoi tylko Legion. Jeśli federalni kiedykolwiek zdołają nas zlikwidować, równie dobrze i pani, i pozostali możecie założyć sobie kajdany na nogi.

Singer: Czy naprawdę uważa pan, że istnieje jakaś szeroko zakrojona zмова mająca na celu zniewolenie Amerykanów?

Gallagher: Może sobie pani stroić z tego żarty ile dusza zapragnie, pani i cała reszta liberalizujących mediów, zawsze kroczyliście w pierwszym szeregu, podjudzając tych zdrajców i ukrywając prawdę. Lecz jeśli oddacie im kraj, was też połkną. Tak samo jak wszystkich innych.

Singer: O czym konkretnie pan mówi?

Gallagher: Można zacząć od Kollandera.

Singer: Cóż takiego on zrobił?

Gallagher: Powołał nie reprezentatywny rząd, Molly. Otwórz oczy. Z tego samego powodu walczyliśmy w pierwszej rewolucji.

Słuchaj, tu nie chodzi o pojedyncze osoby. Tu chodzi o mechanizm rządów. Tu chodzi o system, który pozwala by u steru stanęły indywidualia takie jak Kollander, próbujące trzymać nas wszystkich za pysk.

Singer: Możemy głosować.

Gallagher: A na kogo możecie głosować? Zazwyczaj wybieracie pomiędzy dwiema marionetkami. Molly, Molly, większość mężczyzn i kobiet rodzi się by zostać niewolnikami. Oboje o tym wiemy. W dowolnie wybranej chwili na całej planecie jest bardzo niewiele osób, o których naprawdę można powiedzieć, że są wolne. Pozostali, na przykład cała twoja wielka widownia, są zniewoleni, ponieważ wierzą we wszystko co im wtlaczają do głów szkoła i kościół. A także społeczeństwo, a zwłaszcza programy takie jak ten. Wszystko to są skorumpowane instytucje mające na celu zapewnienie właściwego zachowania. Utrzymać porządek, tego chcecie, nieprawdaż? Żeby móc utrzymać swoją pracę za dwieście tysięcy dolców rocznie. Urodziłaś się niewolnicą, Molly. Jesteś zdolna, ale sprzedałaś się. Twoja praca polega na tym, żeby każdy, kto myśli samodzielnie, poczuł się wyizolowany, został zesłany na margines i unieszkodliwiony.

Richmond, studia WXPI. 20:36.

Tad Wickett i młodszy brat pułkownika, Jack, czekali na niego w holu.

- Jak poszło? - spytał Steve.

- Byłeś cholernie dobry, Steve - odparł. - Może zdolamy obudzić parę osób.

Tad skinął głową.

- Cholernie dobrze dowaliłeś tej suce, pułkownik.

Steve stał przez chwilę nieruchomo, patrząc tam, skąd przyszedł, jakby spodziewał się wezwania na bis.

- Zasługuje na dużo większe baty - orzekł. - To ludzie tacy jak ona stanowią największy problem. Kryją sukinsynów, którzy wysysają ten kraj. Nie wierzę, by ona nie zdawała sobie sprawy, że jest wykorzystywana.

- Czy zdaje sobie sprawę, czy nie - rzekł Tad - stoi na drodze. Dlaczego by nie usunąć jej z interesu? Dać całej reszcie lekcję?

Jack poczuł zimny dreszcz. Nie lubił Wicketta. Dwa razy, w jego obecności, o mało nie wypadł z szosy próbując przejechać psa. Były marines, który dużo gadał o eliminowaniu ludzi. Nie dało się rozstrzygnąć, czy mówił to poważnie, czy nie. Pułkownik śmiał się, gdy Jack wyraził swoje obawy. Nie martw się o Tada. On robi tylko to, co mu się każe. A my potrzebujemy takich jak on. Nadejdzie dzień...

- Coś ty wymyślił? - spytał Steve, który był stanowczo zbyt mądry by uciekać się do przemocy, chyba że w ostateczności. Wiedział jednak, że przedwczesne odrzucanie sugestii jest błędem w przewodzeniu ludziom.

- Rozwalić stację - wyjaśnił Tad. Jack wyczuł, że jego kumplowi sama myśl o tym sprawia przyjemność.

- Wiesz jak ona to mówi na zakończenie programu: „Tu Molly, dobranoc państwu i życzę szczęścia”. Niech powie tę swoją gadkę a potem pošlijmy tę stację do piekła. Dokładnie na zakończenie.

Pułkownik uśmiechnął lekko. Tad twierdził, że w czasie służby wojskowej zabił kilku ludzi i wszyscy wiedzieli, iż w zeszłym roku, w bójce, wykończył Scratchy'ego Ełswortha. Policja schrzaniła dochodzenie, w przeciwnym razie siedziałby teraz w pudle.

- Nie sądzę by coś takiego było nam *teraz* potrzebne - uznał Steve. - Ale z czasem, Tad, dobierzemy się do Molly Singer.

7.

OGÓLNOSTANOWA TRANSMISJA RADIOWO/SIECIOWO/TELEWIZYJNA. 21:00.

Ze stolicy stanu, Harrisburga, mówi gubernator Adcock. Chciałbym prosić was wszystkich o pozostanie w domach. Rozumiem wasze obawy związane z kometą Tomiko, ale pozwólcie, że przypomnę, iż Księżyc znajduje się w odległości prawie czterystu tysięcy kilometrów i wszystkie przewidywania to czyste spekulacje.

Ruch na ulicach i autostradach wschodniej Pensylwanii całkowicie zamarł, pomimo wysiłków policji lokalnej i stanowej. Najbezpieczniejsze miejsce jest w domu. Na wypadek jakichś problemów zmobilizowane zostały wszelkie państwowe siły i środki. Dodam, że nie spodziewam się żadnych kłopotów poza wywołanymi przez wystraszonych obywateli. Proszę pamiętać, że jeśli prywatne samochody blokują jezdnie, pojazdy służb publicznych nie są w stanie dotrzeć do potrzebujących. Prosiłbym też, by powstrzymali się państwo od używania telefonu, o ile nie jest to absolutnie niezbędne.

Za kilka godzin wyjeżdżam, by dołączyć do burmistrza Hansona w Filadelfii. Zamierzam zatrzymać się w ratuszu na cały weekend i pozostać z wami aż wszystko będziemy mieli już za sobą.

Proszę mnie źle nie zrozumieć. W pełni zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji. Lecz proszę być świadomym, że to jest problem nas wszystkich. Najlepsze, co możecie zrobić by pomóc innym, to zachować spokój. Będę informował o rozwoju wypadków. Dziękuję i dobranoc państwu.

Kokpit *Mikro*. 22:18.

Gonili *Copenhagen*. Tym razem był to długi lot, prawie półtorej godziny i Tony usiłował wykorzystać ten czas na sen. Jednak wypadek z przeciekającym zaworem wciąż go prześladował.

W przeciwieństwie do Bigfoota Caparatti, nie był odpowiedzialny za incydent i nie winił sam siebie za najprawdopodobniej fatalne spóźnienie względem planu. Wiedział, że mógł zadziałać inaczej, wiedział, że mógł wylecieć z chmury, albo wyjść na zewnątrz, wyłączyć niewłaściwy zawór i dokończyć zadanie. Jednak nikt nie mógł od niego oczekiwać, że wszystko odgadnie właściwie. Na przykład lekkomyślnością byłoby ryzykowanie zderzenia z samolotem. Wewnętrzny głos cichutko podpowiadał mu, że powinien zdać sobie sprawę, iż pilot większego statku postanowi go odsunąć. Jednak z drugiej strony nie można było mieć pewności, że nie pomyślałby, iż *Mikro* jest w poważnych kłopotach i nie oczekiwał wówczas, że

podczas zbliżania się większej jednostki lunobus ani drgnie.

Tak czy siak, było po sprawie. Rozważanie jej to tylko strata czasu. Pozostaje tylko pytanie -jak naprawić szkodę?

Był pewien sposób.

- Wszystko w porządku, Tony? - Saber przyglądała mu się z troską.

Copenhagen znajdował się za krzywizną tarczy Księżyca. Przelatywali nad niewidoczną stroną, pod złowrogim blaskiem komety, która *teraz* wyglądała jak drugie słońce. Nie prawdziwe słońce, ale zimna, zwiewna zjawą. Coś, co widuje się nocą w lesie.

- Uhm. Nic mi nie jest.

- O czym rozmyślasz?

- Wiesz - powiedział, - że moglibyśmy dostarczyć jutro wieczorem ostatnią grupę i wciąż jeszcze wrócić na dół przed uderzeniem komety?

Ostatni raz mieli startować w sobotę około dziewiętnastej trzydzieści. Spotkanie z *Arlington*, który wtedy będzie ostatnim statkiem na księżycowym niebie, wyznaczono na mniej więcej dwudziestą pierwszą dziesiątą.

- Mniej więcej w kwadrans po możemy być na kosmodromie.

- Po dziesiątej?

- Uhum.

- Tony, to tylko dwadzieścia minut przed uderzeniem komety. Nie starczy czasu nawet na oderwanie się od stanowiska. Poza tym *Arlington* już dawno będzie w drodze.

- No to będziemy musieli zostać w *Mikro*, nie?

Wpatrywała się w niego nieruchomo.

- Nie zdołamy wynieść się stamtąd w czasie krótszym niż pół godziny. Możemy pominąć przegląd, ale zatankować musimy.

- Wiem Saber. Po prostu nie chcę zostawiać nikogo na powierzchni.

- Do cholery, nikt nie chce. Ale jeśli tam wrócimy, to i my znajdziemy się w pułapce razem z resztą.

- Niekoniecznie.

Wziął listę pasażerów i przejrzał nazwiska. Na pokładzie znajdowało się trzech prywatnych przedsiębiorców i trzy osoby towarzyszące. Byli też dwaj geolodzy, ekspert od hydroponiki oraz astrofizyczka. Razem dziesięć osób. (Hydroponik był ciężki, dzieciaki lekkie, dzięki temu na pokładzie znalazło się jedno dziecko więcej.)

Astrofizyk powinien się nadać. Tony poprosił Saber, by zeszła na dół i zaprosiła ją do kokpitu.

Janet Koestler była w średnim wieku, nieco tęgawa, o pulchnej, ciastowatej twarzy. Łatwiej ją było sobie wyobrazić w otoczeniu wnuków niż przy teleskopach.

- Czym mogę służyć, kapitanie? - spytała, kiedy za prosił ją na fotel Saber.

- Poradą zawodową?

- Oczywiście.

- Ciekaw jestem jak dokładnie opisałyby pani wydarzenia, które rozegrają się po dotarciu tu Tomiko? Po uderzeniu w Księżyc?

Przed nim wschodziła Ziemia.

- Jak dokładnie? - zdziwiła się.

- Czy Księżyc eksploduje?

Zmarszczyła brwi.

- Nie - odparła. - Księżyc nie może eksplodować. To dość spoiste ciało.

- No to co się stanie?

- Nie widziałam obliczeń, ale kometa jest naprawdę duża. Nietypowa. W dodatku nadlatuje z prędkością, jaką uważałam za niemożliwą. Gdyby kometa tej wielkości uderzyła w Ziemię, wybiłaby krater o średnicy mniej więcej trzech tysięcy sześciuset kilometrów. To więcej niż średnica Księżyca - przerwała dla większego efektu.

- Te fakty mówią mi, że Księżyc rozleci się na kawałki - popatrzyła w dół, na jego powierzchnię. - Wszystko w bezpośrednim sąsiedztwie punktu kolizji zamieni się w parę, prawdopodobnie krater sięgnie poważnie w głąb jądra. Kometa stopi dużo skały. Mnóstwo. Część z tego zostanie wybita z powierzchni, a ściślej mówiąc odrzucona od centrum grawitacyjnego. Część nawet

opuści układ ZiemiaKsiężyc i przejdzie na orbity okołosłoneczne.

- Ale Księżyc, czy też jego większość, pozostanie tutaj? Czy to ma pani na myśli? Bo my słyszeliśmy coś zupełnie innego.

Skrzywiła się.

- To wydarzenie bardzo trudno jest przewidywać. Proszę posłuchać, kometa rozbije Księżyc. Co do tego nie ma wątpliwości. Przemieni się on w skupisko luźnych skał. Wszystko co może pęknąć, pęknie. Wstrząs spowoduje oddryfowywanie skał od siebie. Rozłożą się po orbicie księżycowej, a część prawdopodobnie utworzy wokół Ziemi sferę o grubości mniej więcej jego średnicy. Chcę trochę nad tym popracować, ale jak sobie wyobrażam, z czasem odłamki się przegrupują i powstanie nowy Księżyc. Mniejszy, jak sądzę - odechnęła głęboko. - Jest jeszcze jedna interesująca możliwość.

- Jaka?

- Ziemia uzyska pierścienie. Po dłuższym czasie.

Saber spytała ile trwałby ten dłuższy czas.

- Kilka milionów lat. Na pewno nie powinniśmy się tym teraz przejmować.

Tony pochylił się ku niej w napięciu.

- Pani doktor - rzekł. - Chciałbym zadać hipotetyczne pytanie. Czy dobrze przyjrzała się pani *Mikro*?

- Słucham?

- Temu pojazdowi. Temu, w którym się znajdujemy.

- No cóż, tak. Mniej więcej go widziałam. Jestem w jego wnętrzu.

- Jeśliby znalazł się trzysta metrów nad Bazą Księżycową w momencie kolizji, jakie według pani miałby szansę przetrwania?

- Kiepskie.

- Czy mogłaby pani to uściślić?

Wzruszyła ramionami.

- Cóż, jeśli bus byłby dokładnie nad Bazą, jedna rzecz na pewno by go dopadła. Uderzenie nastąpi po przeciwległej stronie, ale pojawi się kula ognia. Uwa-

zarn, że przekroczy ona biegun i obejmie całą północną półkulę.

- Baza Księżycowa znajduje się w kraterze Alfons - przypomniał jej Tony. - Na trzynastym stopniu szerokości lunograficznej południowej.

- Może powinnam była raczej powiedzieć, że obejmie cały Księżyc.

- Jak wysoko nad *Bazą* byłbym już bezpieczny?

- Najlepiej w połowie drogi do Ziemi. Przynajmniej. Kapitanie, to nie jest moja dziedzina. Naprawdę nie wiem.

Przyjrzała mu się i uśmiech, który do tej pory tkwił na jej twarzy jak przylepiony, znikł.

- Nie planuje pan czegoś takiego, prawda?

Baza Księżycowa, gabinet dyrektora. 23:03.

Kapelan Pinnacle nie był pierwszym ochotnikiem. Mechanik nazwiskiem Tamayaka zaproponował, że zostanie w zamian za opłacenie w przyszłości uczelni dla trojga jego dzieci. Młoda specjalistka od optyki, rozjuszona flirtami swojego nowo poślubionego męża, też poprosiła o pozostawienie jej na powierzchni. Chandler odmówił w obu wypadkach. Był rozczarowany postawą kierownictwa. Tylko Jill Benning otwarcie mu się przeciwstawiła. Inni tylko stali z boku i pozostawili go, by bronił jedyne rozsądne stanowiska jak potrafi. Eckerd zachowywał się jakby wyrządzał mu przysługę. Hawkworth snuła się dookoła niczym męczennica.

Eckerd, szef Zdrowia i Bezpieczeństwa, znał kłopoty Chandlera z sercem. Dyrektor zastanawiał się, czy jego podwładny wykorzystał tę wiedzę do wyciągnięcia logicznego wniosku: że Chandlerowi dużo łatwiej było zabawiać się w bohatera niż pozostałym. A ta ponura rzeczywistość przeszywała go dreszczem, choć nadal wcale nie tłumiła tłącego się w nim gniewu. Kłopoty z sercem czy nie, i tak zrobiłby właściwą rzecz. Wiedział to.

Po telefonie od kapelana, po prostu umieścił go na liście, tuż nad własnym nazwiskiem. To pchnęło wszystkich, oprócz Evelyn, o oczko w górę. Potem nadszedł

szok: wiceprezydent zostawał! Chandler miał pewne wątpliwości, czy Haskell nie zmieni zdania. Lecz wpisał go na listę, wyznaczając Benning termin odlotu i przesuwając pozostałych o jedną pozycję do góry. Benning powiedziała mu, iż ani przez moment nie powinien sądzić, że dzięki temu odpuści jemu, Hampton i korporacji. Zamierzała pozwać kogo tylko się da.

Zastanawiał się, co też by zrobił, gdyby Haskell zmienił zdanie. Powiadomił ją, że jednak musi zostać?

BBC WORLDNET 23:07.

**Skrót wywiadu udzielonego Connie Hasting przez
dr Olive Ellsworth z Anglo-Australijskiego Obserwatorium
w Nowej Południowej Walii.**

Ellsworth: Podświetlony obszar to miejsce uderzenia. Znajduje się na niewidocznej stronie, około sto sześćdziesiąt kilometrów od Marę Muscoviense. Kometa nadleci z prędkością mniej więcej czterystu pięćdziesięciu pięciu kilometrów na sekundę, co oznacza, że od czasu gdy zobaczyliśmy ją po raz pierwszy, nieco zwolniła. To, oczywiście, jest wynik grawitacyjnego oddziaływania Słońca.

Hasting: Powinniśmy się obawiać centralnej części komety, prawda?

Ellsworth: Tak, Connie. To środek komety, jej jądro, dokona zniszczeń.

Hasting: A halo to ta świecąca część?

Ellsworth: Halo to chmura gazu i pyłu. Kiedy kometa zbliża się do Słońca, ogrzewa się i wkrótce towarzyszy jej halo. Oraz warkocz. Czy też, jak w tym przypadku, dwa warkocze.

Hasting: Jak duże jest halo?

Ellsworth: To konkretnie ma średnicę około pięciuset kilometrów.

Hasting: Pięćset kilometrów? To dużo.

Ellsworth: Tak naprawdę jest mniejsze niż należałoby się spodziewać po tak dużym obiekcie. Może to wynik składu komety: brak w niej po prostu składników, które mogą odparować. A może to dlatego że tak szybko przemierzyła układ słoneczny

i Słońce nie zdążyło nad nią popracować. Najbardziej prawdopodobne jest złożenie obu powodów.

Hasting: Na tych zdjęciach ma dwa warkocze.

Elisworth: Tak. Warkocz jonowy, ten tutaj, ma około dziesięciu milionów kilometrów długości.

Hasting: Ale kiedy patrzę w niebo, widzę tylko nieostry kłaczek.

Elisworth: Warkocze poprzedzają komętę, więc trudno jest je obejrzeć obserwatorowi z Ziemi.

Hasting: Warkocze są przed komętą?

Elisworth: O, tak. Warkocze komet zawsze skierowane są od Słońca, a to z powodu wiatru słonecznego. (Pokazuje zdjęcia.) Te wykonała sonda wenusjańska.

Hasting: Śliczne... Czy mogłaby pani powiedzieć nam, co się wydarzy jutro w nocy?

Elisworth: Proszę spojrzeć na animację. Oczywiście kometaby byłyby mniej niszczycielska, gdyby nadlatywała z prędkością, z jaką te ciała niebieskie zazwyczaj poruszają się w układzie słonecznym, czyli trzydzieści-czterdzieści kilometrów na sekundę. Jednak ta leci dużo szybciej i w konsekwencji uderzy w Księżyc z ogromną siłą. Proszę popatrzeć, właśnie zbliża się do celu.

Hasting: (Skinienie głowy.)

Elisworth: Teraz przebija płaszcz Księżyca. Prawdę mówiąc grunt księżycowy w miejscu uderzenia zostanie odparowany na głębokość kilkuset kilometrów.

Hasting: Wygląda to zupełnie jak ciecz rozchlapywana wokół wpadającego do niej kamienia.

Elisworth: A tak, rozchlapanie to bardzo dobre słowo. Tak właśnie powstają kratery. Grunt topi się pod uderzeniem. Nigdy nie widzieliśmy jeszcze czegoś takiego jak ta kometaby.

Kokpit SSTO *Rome*, 23:10.

Na Skyport poprawiono błąd oprogramowania. John Verrano wprowadził swój pojazd na orbitę okołoksiężycową jak po sznurku. Włączył odpowiedni kanał.

- Baza Księżycowa, tu *Rome*.
- Słuchamy, *Rome*
- *Rome* jest na pozycji i gotów do roboty.

Baza Księżycowa, gabinet dyrektora. 23:11.

To była, oczywiście, historia stulecia. Keith Morley z Transglobal wściekł się gdy jego połączenie z wiadomościami zostało zerwane przez centrum łączności Bazy. Jack Chandler powiedział, że tak, tak, oczywiście, rozumie uczucia Morleya, ale nie może mu otworzyć kanału, bo po prostu nie ma żadnych wolnych obwodów.

- Obwody, akurat! - prychnął Morley. - Kilka osób ma zginąć i po prostu nie chcecie, żebym uniemożliwił zatuszowanie tego.

- Jeszcze nie jesteśmy pewni, czy ktokolwiek zginie.

Morley nie dowierzał Chandlerowi - idealny biurokrata, stosujący uniki, sterczący za biurkiem, człowiek myślący w kategoriach ograniczeń i metodologii. Wyciągnięcie jednoznacznej odpowiedzi od kogoś takiego było niemal niemożliwe.

- Co to znaczy, Jack? Czy spodziewacie się, że ktoś zginie?

Chandler przeczesał palcami rzadziejące włosy.

- Tak - przyznał. - Spodziewamy się.

- Dlaczego to ukrywacie? Czy sądzicie, że milczenie cokolwiek zmieni jutro w nocy?

Chandler pochylił się w przód, oparł łokcie na blacie biurka i wsparł podbródek na splecionych dłoniach.

- Niczego nie ukrywamy, Keith - popatrzył na aparat telefoniczny. - Zadzwoń do centrum łączności i za pewno ci połączenie, jeśli tego właśnie chcesz.

- Oczywiście, że właśnie tego chcę - wziął głęboki oddech. - Ile osób ma zginąć?

- Być może nikt.

- Akurat. Już to przerabialiśmy. Jeśli ktokolwiek zginie, ile to będzie osób?

- Sześć - padła odpowiedź.

Sześć. No cóż, nie było tak źle jak sądził. Zakładając, że ten stary drań mówił prawdę.

- Nazwiska? - spytał. - Kto zostaje?

Oczywiście nie wyjął notatnika. Wystarczająco dłu-

go był w tym interesie by wiedzieć, że nigdy, przenigdy nie wolno przeprowadzać wywiadu ani z notesem ani z magnetofonem.

Chandler wymienił je szybko. On sam i Hampton. Hawkworth, Eckerd, Pinnacle.

- Kapelan?

- Zgłosił się na ochotnika.

Morley przywołał w pamięci obraz Marka Pinnacle'a.

- Powiedział dlaczego?

Chandler potrząsnął głową.

- Nie. Nie przyszło mi do głowy, by spytać.

- Okay. To pięć. Kto jeszcze?

- Charlie Haskell.

Morleya zatkało na dobrą chwilę.

- Nie mówisz poważnie! Odleciał dziś po południu, prawda?

- Nie. Zrezygnował z lotu.

- Ale dostał rozkaz, żeby się stąd wynosić.

- Wciąż tu jest.

Morley ruszył do drzwi.

- Czy możesz mi załatwić rozmowę z nim?

Chandler ponownie potrząsnął głową. Odmawianie wychodziło mu znakomicie.

- Nie mam żadnego wpływu na jego terminarz spotkań, Keith.

Szlag. Albo to prawda i Haskell naprawdę zamierzał przejechać się na komecie, albo coś się tu szykuje. Tak czy siak, to wielka historia. Kiedy Morley pomyślał, jaki ma wybór, zabrakło mu tchu. Niemniej podjął decyzję niemal w jednej chwili.

- Jack, też chciałbym zostać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Chandler zrobił wielkie oczy.

- Nie mówisz poważnie.

Instykt podpowiadał Morleyowi, że to niemożliwe by wiceprezydent upierał się przy pozostaniu, jeśli nie byłoby żadnej szansy na ucieczkę. Politycy takich rzeczy nie robią.

A to jest cholernie duża historia. Pulitzer, myślał Morley. Może pośmiertnie. Ale Pulitzer.

CAŁONOCNY PROGRAM FRANKA CRANDALLA.

23:53.

Crandall: Witamy Jasona z Coos Bay.

Pierwszy rozmówca: Witaj, Frank. Pozdrowienia ze stolicy białych plaż.

Crandall: Dziękuję, Jason. Co ci chodzi po głowie?

Pierwszy rozmówca: Jakie są prawdziwe wiadomości o komicie, Frank? Media zawsze łżą, a ja ciągle słyszę przeczące sobie opowieści. Właśnie patrzę przez okno na ocean. Co się zdarzy jutro w nocy?

Crandall: Człowieku, nie wiem. Nie sądzę, by ktokolwiek wiedział coś na pewno.

Pierwszy rozmówca: Powinienem się wynieść?

Crandall: To twoja decyzja, Jason.

Pierwszy rozmówca: A co ty zrobisz?

Crandall: Stary Frank będzie jutro na szczycie góry. (Śmiech) A poważnie, Jason, będę tu, w Miami, przy codziennej robocie i z nadzieją, że będzie dobrze. Uważam, że media mają tendencję do zachowywania wielkiej ostrożności w doborze doniesień. W dzisiejszych czasach wszyscy musimy bardzo uważać, powiem ci czemu. Pozew goni pozew - więc wszyscy jesteśmy super ostrożni... Przed przerwą reklamową mamy czas na jeszcze jedną rozmowę... Dzień dobry, Harry z St.Louis.

Drugi rozmówca: Cześć, Frank. Chciałbym zmienić temat.

Crandall: Słuchamy. Mów o czym chcesz.

Drugi rozmówca: Byłem ciekaw, czy zauważyliście, że Cardinals rozpoczęli sezon sześcioma wygranymi z rzędu.

Crandall: Aha, świetnie miotają i zdaje się, że w tym roku mają bardzo porządną drużynę...

Kokpit SSTO Berlin. 23:59.

Willem Stephan pchnął dźwignię przepustnicy i pojazd kosmiczny zaczął nabierać prędkości. Kapitan poinformował Bazę Księżycową, że schodzi z orbity, czując ulgę na widok oddalającej się powierzchni Księżyca. Krążył dookoła naszego satelity przez trzydzieści osiem go-

dzin i właśnie rozpoczął powrót ze stu sześćdziesięcioma dwoma pasażerami na pokładzie. Nie aż tyloma, ilu się spodziewał, bo awaria *Mikro* spowodowała opóźnienia.

Lecz teraz na orbicie znajdował się *Rome*, który będzie przyjmował pasażerów na pokład przez całą noc aż do jutrzejszego wczesnego ranka, gdy zluzuje go amerykański samolot.

Gurder popatrzył na niego.

- Cieszę się, że odlatujemy - powiedział.

- Tak, stary druhu. Ja też.

Rozdział szósty

Kolizja

Sobota, 13 kwietnia

1.

Biały Dom. 1:15.

Prezydent był na przyjęciu w polskiej ambasadzie, gdy dotarła do niego wiadomość od Haskella: NIE MOGĘ WYKONAĆ TWOJEGO OSTATNIEGO POLECENIA. MUSZĘ POZAMYKAĆ.

Henry przeczytał ją kilka razy. Cholerny dureń.

Ambasador Iraku, stojący za nim, spytał co źle poszło.

- Nic istotnego, Oman - odparł, chowając skrawek papieru do kieszeni.

Ludzie rozmawiali o ostatniej gafie senatora Butlera (który nazwał wyborców debilami nie zdając sobie sprawy, że mikrofon wciąż jest włączony); o toczącej się pomiędzy dwoma najsłynniejszymi w Waszyngtonie dziennikarzami wojnie, która nie miała najmniejszego związku z polityką, za to dużo wspólnego z modelką; oraz o odkryciu, że szanowany komentator polityczny z nocnego programu kupował pornografię dziecięcą. Lecz Henry nie był w stanie przestać myśleć o swoim upartym wiceprezydencie.

Około trzeciej, kiedy już znalazł się z powrotem w Białym Domu, odwołał Kerra na stronę i pokazał mu wiadomość.

- To pewnie pomysł Haileya - skomentował Kerr. - Chcą większej dramaturgii. Chodzi im o to, żebyś *pokazał* się w telewizji i kazał mu natychmiast przestać się wygłupiać i wsiadać na pokład samolotu.

- Z początku też tak sądziłem, AL. Ale on sobie zdaje sprawę, że nie mogą tego zrobić. Oni tam przyznali się, że nie są w stanie wywieźć wszystkich i zabierają się do wymieniania nazwisk wszystkich pozostających. Jak by to wyglądało, gdy bym zażądał odesłania go, a potem okazałoby się, że zamiast niego musiał zostać ojciec trojga dzieci? Nie. Ten cholerny dureń powinien się był stamtąd wynieść zanim cała sprawa stała się powszechnie wiadoma. Teraz jest już za późno - po trząsnął głową. - Facetowi należy się podziw. Chyba dzięki temu cholernemu uwielbieniu dla Teddy'ego Roosevelta.

Ephrata, Pennsylvania. 1:50.

Claire spała w szoferce ciężarówki firmy meblowej z Pine River. *Zatrzymali* się na parkingu banku Old Rock przy drodze 322. Reszta konwoju znajdowała się Bóg wie gdzie, telefony były przeciążone i Archie nie mógł się z nikim połączyć. Co gorsza akumulatory ciężarówki zaczęły słabnąć. Kolejki przy stacjach doładowczych ciągnęły się kilometrami, więc poddali się i zjechali na bok, żeby doczekać rana. Jeśli pogoda pozwoli, słońce podładuje im akumulatory.

Niebo ginęło w blasku lamp ostrzegawczych. Deszcz w końcu przestał padać, ale wilgoć wciąż wisiała w nocnym powietrzu.

Parking był niewielki, ogrodzony łańcuchem. Duży napis głosił: PARKING WYŁĄCZNIE DLA KLIENTÓW BANKU. NIESTOSUJĄCY SIĘ ZOSTANĄ ODHOLOWANI. Obok stało kilka innych pojazdów. Szosą wciąż jeszcze przejeżdżały samochody, ale korek się rozładował.

Archie podziwiał jak Claire potrafi ułożyć się do snu w szoferce. Sam wypróbował wszystkie możliwe pozycje, ale wciąż było mu niewygodnie, czuł się śmiertelnie zmęczony i ani trochę senny. W czasie całej wyprawy zagrożenie ze strony fal nie wydawało mu się bardziej nierealne.

Wtedy zaświergotał telefon komórkowy. Archie wygrzebał niezgrabnie aparat, w pierwszej chwili nie pamiętając, do której kieszeni go wepchnął.

- Halo?
- Archie? - głos Susan, pełen ulgi.
- Cześć kochanie. Wszystko w porządku?
- Tak. Jestem u Helen. Ale to był koszmar. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Próbowałam dzwonić przez całą noc. Nie mogłam się przedrzeć.
- Wiem. Cieszę się, że już nie jesteś na szosie.
- Archie, autostrada była straszna. Zderzak w zderzak od południowego Jersey. Gdzie jesteś? W Carlisle?
- Nie. Tu też były korki. Ale wszystko w porządku. Zaparkowaliśmy na noc. Droga wygląda już całkiem dobrze. Jeśli ten stan się utrzyma będziemy w Carlisle koło południa.
- No dobrze, mistrzu. Uważaj na siebie.

Kokpit SSTO Arlington. 5:50.

George wprowadził duży statek kosmiczny na orbitę okołoksiężycową idealnie zgodnie z rozkładem. Znajdował się trzy tysiące kilometrów nad powierzchnią. Obserwacja przesuwanego się pod nim krajobrazu sprawiała mu przyjemność. Po raz pierwszy w życiu stracił z oczu rodzinną planetę.

A kometa wydawała się piekielnie blisko.

Dwadzieścia minut później do burty dobił księżycowy bus i pasażerowie zaczęli wchodzić na pokład.

WIADOMOŚCI TRANSGLOBAL. 6:14.

Policja informuje o sporadycznych przypadkach nocnych rabunków na przedmieściach Baltimore - Catonsville i Edgemere. Aresztowano co najmniej jedenaście osób, a w wyniku towarzyszących temu zajęć hospitalizowano kilkanaście, w tym trzech policjantów. Burmistrz Baltimore, Patricia Godwin, próbując zapobiec zniszczeniom jakie dwa lata temu towarzyszyły zamieszkom po egzekucji Gandara, zwiększyła liczbę policjantów na ulicach i zapowiedziała, że wichrzyciele będą bardzo surowo karani. Dodała, że nie może zagwarantować, iż obywatele nie wezmą spraw

w swoje ręce i nie będą strzelać do złodziei. Powszechnie interpretuje się to jako sugestię, że właściciele domów zastanawiający się nad użyciem broni w obronie swojej własności nie powinni obawiać się energicznego ścigania, tak jak to miało miejsce po zamieszkach związanych z Gandarem.

SSTO Copenhagen. 6:17.

Po dziewiętnastogodzinnym locie *Copenhagen* nawiązał łączność wzrokową ze Skyport. Kiedy stacja kosmiczna pojawiła się w iluminatorach ludzie w kabynie pasażerskiej zaczęli klaskać.

KOMENTARZ TRANSGLOBAL

W gruncie rzeczy zniszczenie Księżyca, jeśli naprawdę to właśnie zobaczymy, wyjdzie nam na dobre. Ludzie potrzebują okresowego przypominania, że świat jest żywy, zmienny - a my opieramy się zmianom najbardziej zajadle jak potrafimy.

Ten instykt, to uwielbienie dla status quo, owo przekonanie, że świat jest miejscem stabilnym i solidnym, to relikw z czasów gdy życie każdego człowieka wyglądało dokładnie tak samo jak jego dziadków. Kiedy zmiana zawsze oznaczała zło: Nil znów wylał, pojawili się barbarzyńcy, zaraza opanowała miasto. Jesteśmy zaprogramowani by utrzymywać status quo.

Ta potrzeba ochrony stanu obecnego jest związanym z przetrwaniem odruchem, który teraz działa na naszą szkodę. Widać to w zarzuceniu badań nad nanotechnologią, w strachu przed metodami wspomagania biotechnologicznego, w oporze przeciwko wyprawie na Marsa. Dostrzec to można w występującej w życiu codziennym niezdolności do wykorzystania technologii znajdujących się wręcz pod ręką. Czy wiecie jak zaprogramować wasz odtwarzacz fantomatyczny? Ostatnia ankieta USA Today wykazała, iż sześćdziesiąt pięć procent badanych nie wierzy, że poziom życia poprawił się w porównaniu z końcem dwudziestego wieku.

Jeśli dziś w nocy Księżyc naprawdę zniknie z nieba, posłuży nam jako przypomnienie, że nic nie jest wieczne, a świat bezustannie się zmienia, i że lepiej będzie, jeśli nauczymy się zmieniać wraz z nim. Z Johnson Space Center mówiła Judy Gunworthy, Transglobal News Service.

Baza Księżycowa, Dzielnica Grissom. 10:47.

Charlie uściskał dłoń każdemu ze swoich ochroniarzy, podziękował za pracę dla niego i spróbował przekonać ich, że nic mu nie będzie. Powiedział, że powiadomił ich przełożonych, iż wyjeżdżają pomimo protestów i wydał im rozkaz odlotu, a w tych okolicznościach nie mogli zrobić nic innego, jak tylko się podporządkować.

- Wystąpiłem o poważne podwyżki dla was wszystkich.

Uśmiechnęli się. Isabel na chwilę straciła zawodowy spokój i uściskała go.

- Wolałabym, żeby pan zmienił zdanie - powiedziała.

Kiedy odeszli, zbliżył się Rick i tak bardzo próbował przekonać go do wyjazdu, że stracił poczucie czasu i musiał biec by złapać swój lot.

Potem Charlie został sam.

Pacifica, Kalifornia. 8:35 Pacyficznego Czasu Letniego (11:35 EDT).

Jeny Kapchik oglądał w telewizji obrazy zatłoczonych autostrad. Na szczęście wszystko to działo się na wschód od San Francisco. Szosa numer 1, którą widział z frontowej werandy, była pusta. Po pierwszej fali nerwowych reakcji tylko niewielu sąsiadów opuściło miasto. Może dlatego, że bardziej obawiali się szabrowników niż księżycowych skał. Już były doniesienia o włamaniach w San Mateo i Pało Alto.

Widział jak na tyłach Marisa ustawia zraszacz. Za mniej więcej czterdzieści pięć minut miała wyjść z dziećmi do parku. Wcale nie czuła się szczęśliwa, że Jerry na ochotnika zgłosił się do pracy, ale rozumiała, że nad tego typu rzeczami mąż nie zawsze ma pełną kontrolę.

Tego poranka najbardziej sensacyjna była wiadomość, że wiceprezydent zostaje w *Bazie Księżycowej*. Jerry oglądał krótki wywiad, w którym Haskell oświadczył, iż nie porzucił nadziei, że wszyscy **się** wydostaną. Nie porzucił nadziei. Jak mogliśmy pozwolić by wicepre-

zydent wpakował się w taką sytuację? To było bez sensu i Jerry zastanawiał się czy rząd nie jest jeszcze bardziej niekompetentny niż na to wygląda.

Były też inne wiadomości. Terrorysty opanowali ambasadę w Dżakarcie domagając się zwolnienia kilkuset kryminalistów z indyjskich więzień. Pracownicy Czerwonego Krzyża zostali zamordowani w Transwalu. W Japanese Diet wybuchła strzelanina. Kilka tysięcy rodzin pozwało zbiorowo system szkolny Los Angeles za niezdolność do wyedukowania ich dzieci. Wszystko wyglądało całkiem normalnie.

Jimmy zszedł na dół. Siedmiolatek o bystrych oczach i szerokim uśmiechu. Miał blond włosy po matce.

- Tato? Czy będziemy dziś w nocy oglądać komętę?

Wczoraj wieczorem dzieci późno położyły się spać, stali wszyscy razem z sąsiadami koło garażu. Kometę wisiła nad oceanem. Była ogromna, kilkakrotnie większa od Księżyca, nieostra, niczym wielki kłęb mgły w świetle księżyca. Wyglądała zupełnie nie na miejscu i Jerry miał wrażenie, że należy do zupełnie innego nieba.

- Jasne - powiedział. - Jeśli chcesz.

-Tato, zastanawiałem się czy moglibyśmy coś zrobić.

- Co takiego?

Syn zawahał się.

- Możemy zdobyć teleskop? Taki jak mają Ryanowie?

W gruncie rzeczy Jerry już myślał o takiej inwestycji. Dostrzegał szansę zainteresowania dzieciaków astronomią i wczoraj rozglądał się w Wal-Marcie, w centrum, za jakimś niedrogim teleskopem.

- Jasne - odparł. - Sądzę, że możemy sobie na to pozwolić.

Niepokoił się o Marisę. Była w dziwnym nastroju, mówiła, że wszystko w porządku, ale nie patrzyła mu w oczy.

Jerry, na szczęście, był stojącym twarzą na ziemi realistą, pragmatykiem. Cokolwiek miało się wydarzyć w odległości czterystu tysięcy kilometrów, realny świat wciąż będzie obracał się wokół podatków, spłat kredytów i rozgrywek Małej Ligi.

NEWSNET. AKTUALNOŚCI Z 12:30

(Kliknij po szczegóły)

KRAJ SZYKUJE SIĘ DO ZAGŁADY KSIĘŻYCA

Dziesiątki tysięcy opuszczają obszary nadmorskie
Hekatomba na autostradach

**PALADINI, CORMAN I ALMYER UCZESTNICZĄ W
CZUWANIU W INTENCJI „LUNAKÓW”**

Almyer: „Czas odłożyć politykę na bok”

**WEWNĘTRZNE MIASTO SAN FRANCISCO
EWAKUOWANE AUTOBUSAMI**

Krucjata Biednych Ludzi mobilizuje wolontariuszy

**TELESKOPY BĘDĄ POSZUKIWAĆ
SPADAJĄCYCH KSIĘŻYCOWYCH SKAŁ**

NASA organizuje system wczesnego ostrzegania

SAMOŁOT ORBITALNY POWRACA Z KSIĘŻYCA

Ewakuowani świętują przybycie na Skyport

**MASAKRA PRACOWNIKÓW POMOCY MIĘDZYNARODOWEJ
W PENDŻABIE**

Wśród ofiar są dwie zakonnice z Chicago

**BOBBY RAY HUTTON MOŻE ZOSTAĆ OSKARŻONY
O OSZUSTWA PODATKOWE**

Firma teleewangelisty „Schody do wiary”
sprzedawała Biblie i środki medyczne

**HOCKLEBY, BRAXTON OSKARŻENI W
SPRAWIE OPROGRAMOWANIA GENETYCZNEGO**

Czy pierwsza prawdziwa sztuczna inteligencja mieszka w
Minneapolis?

**BIAŁE KOBIETY W USA NADAL W
CZOŁÓWCE DŁUGOWIECZNOŚCI.**

Hokej:
RANGERSI WYJEŹDZAJĄ DO ALBANY
NA ROZGRYWKI BARAŻOWE

Start McCormack będzie grat przeciwko Flyersom
Bijący żonę obrońca „dostał nauczkę”

MANUSKRYPT MOŻE BYĆ KOLEJNYM
ESEJEM LAMBA

Znaleziony w biurku niegdyś należącym do
The Quarterly Review

Kosmodrom Bazy Księżycowej. 13:02.

Nowa zmiana pracowników Bigfoota właśnie przybyła. Było ich pięciu, o dwóch mniej niż pełny skład. Zostaną tu przez resztę dnia i odlecą na orbitę ostatnim kursem. Bigfoot dopilnował by osobiście podziękować każdemu członkowi odchodzącej wachty i *zyczyć* mu szczęścia.

Właśnie był w doku i pomagał ustawić wszystko do następnego tankowania kiedy odezwał się radiooperator.

- Tony chce z tobą rozmawiać, Bigfoot.

Mikro zbliżał się do lądowania po spotkaniu z *Rome*. W doku panował hałas, więc mechanik poszedł odebrać wezwanie w biurze.

- Tak, Tony, co możemy dla ciebie zrobić?

- Bigfoot, sądzę, że możemy zabrać wszystkich.

Inżynier czuł się już zmęczony głowieniem, jak to osiągnąć. Jeśli zdołaliby zaoszczędzić gdzieś kilka godzin, udałoby się. Lecz sprawdzili wszystkie możliwe układy startów i lądowań w symulatorze i trzymali się najlepszego. Jedynym innym sposobem byłoby załadowanie dodatkowych osób na pokłady busów, które i tak już ledwie dawały sobie radę pod obecnym obciążeniem. Chandler stanowczo zabronił przekraczania ustalonych limitów. Nie zamierzał, jak powiedział Dyspozytorni, pozwolić by drobna katastrofa zamieniła się w wielką.

- Jak to zamierzasz zrobić, Tony?

- Mój ostatni start wypada dziś wieczorem o dzie wietnastej trzydzieści pięć. Mam przerzucić pasażerów na pokład samolotu, a potem sam się przesiąść i porzucić *Mikro*.

- Mów dalej. Na razie świetnie ci idzie.

- Dwa następne busy odlatują wkrótce po mnie. I to koniec planu. Jednak zdołałbym *znaleźć* się z powrotem w Bazie dziesięć po dziesiątej. Mniej więcej. To dwadzieścia pięć minut przed kolizją. Jeśli ograniczymy przedstartową obsługę do absolutnie niezbędnych czynności zdołamy zapakować na pokład wiceprezydenta oraz pozostałych a potem wziąć nogi za pas. Ominiemy wszystkie zwykłe procedury. Nie zamykaj wrót na czas tankowania, tylko daj do tego kogoś w skafandrze. Pasażerowie niech będą gotowi do załadunku. Możemy wystartować w ciągu dwudziestu minut.

- Na pięć minut przed katastrofą. To je dobre. A dokąd ich zabierzesz? Samolotów dawno już nie będzie.

- Wszędzie lepiej niż tam na dole.

- Kogo, według ciebie, powinienem poprosić o za tankowanie was?

Po drugiej stronie zapadło długie, niezręczne milczenie. Potem Bigfoot westchnął ciężko.

- Zobaczę co się da zrobić - powiedział.

Centrum Łączności Bazy Księżycowej. 13:21.

Andrea była ostatnią osobą spośród pracowników nie piastujących kierowniczych stanowisk wypuszczoną do domu. Pospiesznie udała się do kwatery, gdzie koło koi czekały walizki. One nigdzie nie leciały. Na pokład można było wziąć tylko lekki bagaż ręczny. Ale spakowała je i tak, na wszelki wypadek.

Otworzyła jedną z nich i wyjęła kubek do picia w warunkach bezgrawitacyjnych. Widniał na nim emblemat *Rangera*: Księżyc w pełni, na tle powiewającej flagi amerykańskiej. Weisnęła go do kieszeni.

Pokoik był ciasny i niezbyt ładny, ale czuła się tak, jakby mieszkała tu od lat. Łączyło się z nim wiele mi-

łych wspomnień. Oraz parę mniej sympatycznych: nieudany romans i kilka samotnych wieczorów. Nic wstrząsającego. Pokój ten był dla niej domem przez dużą część jej dorosłego życia i wiedziała, że będzie za nim tęsknić.

Stała w progu, omiatając pomieszczenie wzrokiem po raz ostatni. Opanowało ją dziwne uczucie, że już to kiedyś przeżyła, i że znów to kiedyś się jej zdarzy. W tym życiu, czy następnym.

W godzinę później weszła na pokład zatłoczonego lunobusu. Wśród współpasażerów panowało przygnębienie. Wszyscy byli pracownikami MBI, tak samo jak ona. Rodziny, goście, konsultanci i rozmaici VIP-owie odlecieli już dawno. Zajął swoje miejsce i zaciągnęła pasy. Zdała sobie sprawę, że odczuwa radość wywołaną odlotem, nie tylko z oczywistego powodu jakim była zbliżająca się kometa, ale także dlatego, że *Baza* zaczęła jej się wydawać obca, niespokojna.

To wrażenie narastało powoli, prawdopodobnie wywołane widokiem coraz bardziej opustoszałych centrów handlowych i chodników, zamkniętych sklepów oraz rozmowami prowadzonymi przyciszonym głosem. W czasie kilku dni, które minęły od początku kryzysu, wciąż znajdowała się w towarzystwie innych ludzi. Lecz teraz niemal wszyscy jej przyjaciele byli już daleko - albo na orbicie, albo w drodze na Skyport. Rozejrzała się po busie i zobaczyła Eleanor Kile, która została razem z nią na ostatnią wachtę, a teraz uśmiechnęła się, wyraźnie przestraszona.

- Panie i panowie - głos pilota zatrzeszczał w interkomie. - Odlatujemy za pięć minut. Lot do samolotu będzie trwał krótko, poniżej dwóch godzin. Kiedy znajdziemy się na miejscu, przejdziecie na jego pokład przez tę samą śluzę, przez którą weszliście. Samolot zejdzie z orbity wieczorem, o wpół do dziesiątej. I ja, i mój drugi pilot będziemy razem z wami na jego pokładzie i oczekujemy spektakularnego widowiska.

Zdajemy sobie sprawę, że atmosfera w busie nie jest taka, do jakiej się przyzwyczailiście, ani jaką chcielibyśmy móc zapewnić, musimy także z przykrością oznaj-

mić, że na pokładzie nie ma stewardów. Jeden z nas zajrzy do państwa po starcie i postara się, by lot był jak najbardziej wygodny. Powiadomię państwa, kiedy będziemy gotowi do startu.

Andrea zamknęła oczy i spróbowała zasnąć.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL. 13:31.

- Mówi Frances Picarno z Rzymu, koło Watykanu. Tutaj jest wczesny wieczór, Bruce. Pod Bazyliką Świętego Piotra zebrał się na modlitwę ogromny tłum. Papież ma lada chwila pojawić się na balkonie drugiego piętra.

- Frances, jaki panuje tam nastrój?

- Posępny. Ludzie są bardzo ponurzy. Powiedziałaabym, że wręcz przestraszeni. Lecz to wszystko ludzie wierzący, którzy dziś siejszej nocy szczególnie odczuwają, że są w rękach Stwórcy.

- Przedstawiciele Watykanu powiadomili nas, że Innocenty zrobi co będzie mógł by wszystkich pocieszyć. Wydarzenia wypadły w wyjątkowo niefortunnym, jak wszyscy wiemy, okresie jego pontyfikatu. Od roku podupadał na zdrowiu i lekarze najwyraźniej odradzali mu pojawienie się tutaj dzisiejszego wieczoru. Lecz Ojciec Święty, „Papież Ludu”, jest bardzo zatroskany i... momencik, Bruce. Oto i on...

2.

Baza Księżycowa, Dzielnica Grissom. 13:32.

Haskell wracał właśnie do swojej kwatery, kiedy zaświergotał telefon komórkowy.

- Charlie? - głos Evelyn. - Cieszę się, że cię złapałam. Myślałam, że znowu tylko dotrę do poczty głosowej.

- Zwiedzałem bazę, Evelyn. Pomyślałem sobie, że teraz jest najlepsza okazja. Co się dzieje?

- Dobre wieści. Możemy mieć szansę wydostania się stąd.

- Cudownie. Wiedziałem, że ktoś coś wymyśli.

- Szansę są najprawdopodobniej dość marne.

- Jaki jest plan?
 - Jeden z busów wróci po nas wieczorem. Zabierze nas stąd, ale naprawdę w ostatniej chwili.
 - Wszystko jest lepsze od siedzenia tutaj. Powiedz pilotowi, że mu serdecznie dziękuję.
- Aż osłabł z poczucia ulgi.

Kosmodrom Bazy Księżycowej. 13:35.

Od czasu wypadku z zaworami Bigfoot zmagał się ze swoim sumieniem. To w końcu on sprawdzał przewody paliwowe, kiedy Tony pierwszy raz zgłosił podejrzenie przecieku. Nie *znalazł* nic, bo trzymając się sugestii pilota nie szukał niczego, oprócz dziury w układzie. Usprawiedliwiając się przed samym sobą myślał, że przecież do wyszukania niewłaściwego zaworu nie wystarczyłoby podniesienie osłon i przyjrzenie się instalacjom. Obydwa typy zaworów wyglądały identycznie, musiałby wymontować każdy z nich i obejrzeć. A czas ich strasznie gonił.

Lecz teraz, pomimo, że zamierzał ryzykować życiem (a może właśnie dlatego) odzyskał równowagę wewnętrzną. Może im się uda.

Nie przyszło mu nawet do głowy, że nie on jeden odczuwał ciężar winy. Elias Tobin, inżynier, który zainstalował niewłaściwy zawór, zostawił list z przeprosinami i przedawkował środki uspokajające. Przeżył tylko dlatego, że zatroskany kolega zajrzał do niego. Później Elias zgłosił się do grupy Chandlera, ale Jack odmówił, gdy terapeuta powiadomił go, że Tobin nie jest w stanie podejmować przemyślanych decyzji.

Wsadzili go na pokład busu mniej więcej wtedy, gdy Evelyn rozmawiała z wiceprezydentem.

Baza Księżycowa, gabinet dyrektora. 13:57.

Chandler popatrzył ponad biurkiem na Angelę Hawthorth.

- Mamy jeszcze jednego ochotnika - powiedział
- więc ty jesteś wolna. Masz lot dziś, późnym popołudniem. Skontaktuj się z Susan w sprawie szczegółów.

Unikała jego wzroku.

- Jack - odezwała się - tak mi przykro...

- W porządku.

Była ostatnią osobą zmuszoną przez Evelyn do pozostania.

- Byłam gotowa zostać. Wiesz o tym.

- Tak, wiem.

Wstała, wyraźnie chcąc wyjść zanim coś się zmieni.

- Kto to jest?

- Caparatti. Zamierzamy zapakować wszystkich do busu i spróbować zwiać. Caparatti potrzebny jest, żeby zadbać o szczegóły, więc zostaje.

Skinęła głową i zaczęła się cofać.

- Zostałabym.

- W porządku, Angela. Wszyscy to wiedzą.

Carlisle, Pensylwania. 14:15.

Claire wjechała tirem pod szpaler wiązków i zaparkowała koło odrestaurowanego domu z przełomu wieków. Otaczały go szerokie trawniki i podjazd. Powietrze było tu chłodniejsze niż w południowym Jersey, z komina unosił się dym. Nad drzwiami garażu wisiała tablica do koszykówki, za domem stała huśtawka.

Zesztywniały Archie wysiadł, czując, że jest brudny i nie powinien nikomu pokazywać się w takim stanie. Jednak mieszkańcy stali już we frontowych drzwiach: kobieta w średnim wieku i za nią ktoś jeszcze, starszy mężczyzna. Znajomi Waltera, którzy zgodzili się przyjąć pod swój dach dwójkę jego pracowników.

Kobieta wyszła na zewnątrz, przygląda im się przez chwilę i ruszyła w ich stronę. Archie uniósł dłoń w geście pozdrowienia.

- Hello - powiedział.

Kobieta wyglądała niezbyt dobrze. Otaczała ją atmosfera kruchości, tak ciała jak i umysłu, wrażenie jakby zrobiona była ze splekanego szkła.

- Archie? — podała mu rękę. - Nazywam się Mariel Esterhazy. Cieszę się, że dotarliście szczęśliwie.

Archie nagrał się na ich sekretarkę wyjaśniając przyczyny opóźnienia.

- Miło mi, Mariel - powiedział. Przedstawił Claire.

- Mój mąż jest w pracy - powiedziała ich gospodyni - ale jeśli wniesiecie swoje bagaże do domu, spróbujemy was ulokować.

Mężczyzna, który stał z nią w drzwiach, wyszedł na ganek. Był niski, o wyrazie twarzy i posturze pasującej do rottweilera. Nosił grube okulary, niebieski blezer i mokasyny.

- Przez cały ranek oglądaliśmy wiadomości - powiedziała Mariel. - Ta sprawa z Księżycem naprawdę ruszyła ludzi. Prawda, Scott?

Machnęła do niego zniecierpliwionym gestem, żeby pomógł Claire z torbą.

Scott, jak się okazało, był jej teściem. Począł czekać aż Claire podejdzie do niego, dopiero wtedy wziął od niej bagaż. Archie widział, że nie bardzo akceptuje gości.

- Kilka waszych tirów przyjechało do miasta - powiedział, w minimalnym stopniu tylko próbując ukryć niechęć. - Ile jest ich w sumie?

- Osiemnaście.

- Sądzę, że dotarła mniej więcej połowa.

Udało mu się sprawić wrażenie, że zwał się na głowę kłopot, podniósł torbę Claire i wniósł do domu.

Mariel pokazała im pokoje i zaprosiła na dół, kiedy się ogarną. Pokój Archiego był o wiele bardziej sympatyczny niż jakikolwiek, który kiedykolwiek miał do dyspozycji. Na podłodze leżał gruby, niebieski dywan, stały tu antyczne meble i bogato rzeźbione, szerokie łóżko, wisały luksusowe draperie w kolorze cytrynowym. Była też obszerna garderoba. Na jednej ze ścian wisi olejny obraz. Na biurku i małym stoliku stały fotografie śmiejących się dzieci. Przy głowach łóżka, na półce, ustawiono kilka książek w skórzanych oprawkach.

Wykąpał się, zmienił ubranie i zszedł do salonu, gdzie Mariel i Scott rozmawiali przyciszonymi głosami. Mariel

opierała na kolanie filiżankę z kawą. Scott miał w dłoni koktajl.

- Ta cała sprawa z kometą kompletnie wymknęła się spod kontroli - powiedziała Mariel. - Ludzie stracili zupełnie poczucie proporcji - potrząsnęła głową z żalem nad tą stratą. - Zrobić ci jakiegoś drinka, Archie?

Scott poparł jej sąd.

- Ale to nie ma nic wspólnego z kometą - skomentował na koniec.

Archie poprosił o chablis. Ciekaw był co takiego miał znaczyć komentarz Scotta.

- Dlaczego, sir? - zapytał.

- Kometą ma uderzyć w Księżyc, na miłość boską, Archie. Jakbyś na to nie popatrzył, to nic wielkiego. Słuchaj, prawda jest taka, że ten kraj robi kolejny krok do wielkiego, zbiorowego załamania nerwowego. W moim zawodzie widać to było już od lat.

- A jaki to zawód, Scott?

- Taki sam, jak mojego syna. Jestem agentem ubezpieczeniowym. Na emeryturze - powiedział to tak, że zabrzmiało niczym „admiral na emeryturze”. - Wszyscy wiedzą, że żyjemy w dość przerażających czasach. Terroryści z bronią atomową, wszędzie rebelianci, między narodowe korporacje nie związane z żadnym państwem, więc nie wiadomo jakie jest ich stanowisko. Wszyscy śmiertelnie przerażeni technologią. W tym kraju nie ma już wiary w Boga. Rząd to tylko banda biurokratów i polityków zagarniających ile się da, kościoły znikają a wariaci nie wiedzą w co się wpakować. To czas, w którym człowiek potrzebuje dobrego księgowego.

- Słucham? - zdziwiła się Claire, która właśnie weszła.

- Chcę powiedzieć - wyjaśnił Scott - że dawniej było inaczej. Cokolwiek się kupiło, szło w górę. Ludzie nie potrzebowali porad zawodowców, bo zawsze udawało im się zarobić. Ale obecnie to już nieprawda. Teraz potrzebny jest ekspert....

- Jestem pewna - wtrąciła się Mariel, - że wszyscy świetnie sobie z tego zdają sprawę, tato - odwróciła się

w stronę gości. - Jesteście głodni? Może zrobić wam coś do jedzenia?

- Dziękuję bardzo - odmówił Archie - ale jedliśmy lunch po drodze.

Z podziwem przyglądał się meblom. Pokój wykończono dębem i skórą. Jedno z krzeseł z oparciem pochodziło z Pine Creek. Oryginalny olej, grupka ludzi na zboczu pod groźnym niebem, wisiał nad gzymsem kominka.

- To Tollinger - powiedziała Mariel najwyraźniej oczekując, że rozpozna nazwisko *malarza*..

Archie skinął głową, jakby zdziwił się, że mógł tego nie zauważyć sam.

Claire chodziła koło obrazu, teraz podeszła bliżej.

- To Coeur de vivre - powiedziała, zdumiona.

- Tak - potwierdziła Mariel.

Z nagłego braku tchu u Claire, Archie wywnioskował, że obraz był wart całkiem sporo.

- Scott - odezwał się - co ci się obecnie podoba na rynku?

Baza Księżycowa, kwatery kapelana. 14:26.

- Kapelan? Tu Jack Chandler. Chciałem cię powiadomić, że przyleci po nas bus. Będziemy mogli spróbować się wyrwać.

- Bogu niech będą dzięki.

- Uczciwie mówiąc, nie byłbym optymistą. Ale jest jakaś szansa.

- Tak. Wszystko jest lepsze od siedzenia tutaj.

- Lecz Evelyn pomyślała, że dobrze byłoby wieczorem mieć pełny brzuch. Planujemy obiad. Przyjdiesz?

- Oczywiście.

- Dobrze. Wspaniale. Pojemy, wypijemy po parę drinków - jeśli nie będzie sprzeciwów. A potem pojedziemy na kosmodrom.

- Okay.

- Szósta trzydzieści.

Dobrze. Bardzo brytyjskie. Herbata i kotlety wieprzowe w wigilię katastrofy.

- Będę na pewno - powiedział.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL. 14:31.

Rozprowadzany pomiędzy sieci informacyjne
będące sygnatariuszami Porozumienia Zbiorowego

- Tu Keith Morley, na żywo z Bazy Księżycowej. Kometa Tomiko jest teraz bardzo duża, po wschodniej stronie nieba. Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych oświadczył, że twardo będzie się trzymał swojego oświadczenia, iż „pozamyka drzwi i pogasi światła.” Napięcie rośnie w miarę zbliżania się komety. Znajdzie się tu za parę godzin. Według Jacka Chandlera, dyrektora Bazy Księżycowej, ostatni planowany lot zejdzie z orbity o osiemnastej trzydziści, pozostawiając na powierzchni wiceprezydenta i kilka innych osób. Ludzie ci spróbują dotrzeć do Skyport jednym z busów.

Pojazd, w którym znajdzie się Haskell wraz z sześcioma innymi osobami, wystartuje tuż przed uderzeniem komety. Pracownicy dyspozytorski wcale nie są pewni, czy bus przetrwa eksplozję wywołaną kolizją. Bruce, będąc informował o wszystkim na bieżąco i po prostu zobaczymy jak sprawy się potoczą.

Mówił Keith Morley z Bazy Księżycowej.

Kabina pasażerska SSTO *Rotne*. 14:33.

Do odlotu z orbity okołoksiężycowej zostało jeszcze półtorej godziny. Kiedy bus zbliżał się do samolotu Rick Hailey obserwował zachód Ziemi. Ugryzł kęs kanapki z tuńczykiem i przeniósł uwagę na manewrujący lunobus. Zajęcie właściwej pozycji zajęło mu kilka minut. Wyglądał jak czarna kula z pęcherzykiem kokpitu na szczycie. Na powierzchni te stateczki wyglądały niezdarnie, jednak w locie miały specyficzny wdzięk.

Przez okna lunobusu widać było ludzi poruszających się w jasno oświetlonym wnętrzu. Pojazd zbliżał się zwolna, w końcu zniknął za ramą iluminatora. W tym momencie pilot powiadomił pasażerów, że dokonywanie nastąpi za chwilę.

- Proszę pozostać na miejscach - zarządził, - do czasu usadowienia przybywających na pokład.

Rick poczuł wstrząs towarzyszący połączeniu pojazdów, usłyszał odgłos otwierania klap, potem głosy. Przyglądał się jak nowo przybyli przechodzą na pokład przez główną śluzę.

Nie było stewardów. Na prośbę kapitana zastąpiło ich na ochotnika kilkunastu pasażerów, którym wydano opaski na rękaw, a inżynier pokładowy poinformował gdzie są zapasy i udzielił krótkiego instruktażu użytkowania Kuchenki. *Teraz* ta grupa kierowała nowo przybyłych do zarezerwowanych dla nich miejsc.

Byli bardzo cisi, przygnębieni, wyraźnie uszczęśliwieni, że w końcu znaleźli się w samolocie. Wśród nich znajdował się Slade Elliott. Jego kariera, tak samo jak Charliego, zależała od publicznego wizerunku, toteż uważał by nie spieszyć się z ucieczką. Wyczekał do ostatniej chwili. Lecz jego nikt nie zobaczy w samym środku katastrofy. Należał do typu ludzi, jacy podobali się Rickowi. Mając bohatera filmów akcji na pokładzie czuł się bezpieczniej.

Na zewnątrz wschodziła kometa, wielki, pomarańczowy kłęb piany na tle czarnego nieba. Popatrzył na nią i pomyślał o wiceprezydencie. Charlie Haskell miał tam umrzeć i Rick żałował, że nie może temu zapobiec. Czuł, że jest w tym wszystkim jakaś nauka, ale nie potrafił dojść jaka.

Charlie naprawdę dawał się lubić. Ale ten biedny sukinsyn dał się złapać w pułapkę wydarzeń. Rick wiedział, że kiedy nadejdzie czas opublikowania pamiętników, strata Charliego Haskella będzie jednym z najciekawszych rozdziałów.

Jego własna kariera polityczna też była zagrożona. Mało prawdopodobne by zatrudnił go którykolwiek z pozostałych kandydatów. Musiał spalić za sobą kilka mostów i teraz był „człowiekiem Haskella”. Niektórzy będą nawet sądzili, że uwaga Charliego o „gaszeniu świateł” była pomysłem Ricka.

Nie miałby nic przeciwko pracy dla drugiej partii, jeśli otrzymałby odpowiednią ofertę. Naprawdę szkoda. Nieczęsto trafia się okazja wystartowania do Białego

Domu. A teraz wszystko trafił szlag. Znikło jak zdmuchnięte.

Poświęcenie Haskella było zaś najprawdopodobniej zupełnie niepotrzebne. Wyborcy mają bardzo krótką pamięć. Charlie. Rick był ciekaw, czy wiceprezydentowi w ogóle przyszło kiedykolwiek do głowy jak niszczy swoich przyjaciół. A jednak najwyraźniej droga do prezydentury prowadziła przez Bazę Księżycową. Przez sam środek tej przeklętej komety.

Gdzieś we wnętrzościach samolotu trzasnęły zamknięte klapy.

Rick ściągnął w dół zasłonę okna.

BIULETYN INFORMACYJNY SIECI PACIFIC NEWS.

15:56.

Rozprowadzany pomiędzy sieci informacyjne, będące sygnatariuszami Porozumienia Zbiorowego

- Mówi Tashi Yomiuri, na żywo z orbity wokółksiężycowej. Jestem na pokładzie jednego z samolotów orbitalnych, SSTO *Rome*. W tej chwili przyjmujemy na pokład ostatnich pasażerów przed powrotem na Ziemię. Kometa jest w odległości około trzy-nastu milionów kilometrów, zbliżając się z prędkością prawie półtora miliona kilometrów na godzinę.

Okładamy Księżyc trzykrotnie w ciągu doby na wysokości około trzech tysięcy kilometrów. Oznaczało, że widzieliśmy wschód i zachód komety co osiem godzin. Wyraźnie można było dostrzec, że robi się coraz większa.

W samolocie panuje atmosfera przygnębienia. Ludzie czują strach i jednocześnie radość, że są już w drodze.

WALL STREET JOURNAL, WYDANIE ELEKTRONICZNE Fragmenty komentarza Melindy Bright.

Ludzie snują domysły na temat odległości, jaką przebyła kometa, jej wieku, a także źródła tak ogromnej prędkości. Słyszeliśmy sugestie astronomów, że mogła zostać wystrzelona w trakcie wybuchu supernowej, a jeśli tak, to ta eksplozja gwiazdy musiała nastąpić miliony, a może miliardy lat temu.

Jeżeli to prawda, ten kosmiczny pocisk celowa) w Księżyc już od bardzo dawna. Pamiętam jak będąc małą dziewczynką,

z huśtawki na podwórku naszego domu w Kentucky, przyglądałam się Księżycowi i myślałam sobie od jak dawna znajduje się na naszym niebie, oraz że zostanie tam na zawsze. Dziś już wiemy, że tak się nie stanie. Kometa prawdopodobnie była już w drodze gdy pierwsze istoty ludzkie zlażyły z drzew, a dzisiejszy dzień został zaznaczony w kosmicznym kalendarzu z nieuchronnością równania kwadratowego. Ucieszyliśmy się, że kometa ma uderzyć w Księżyc, nie w Ziemię. Zgadzałam się, że jest to wystarczający powód byśmy uznali się za szczęściarzy.

Jednak wcale nie jest to powód do radości. Księżyc to nasz stary przyjaciel, prawdopodobnie starszy niż nasz gatunek. Jest integralną częścią naszej tożsamości i naszego sposobu życia. Czyni nas łagodniejszymi. Kojarzy się nam z najczulszymi uczuciami. Uczyniliśmy z niego boginię, pisaliśmy o nim pieśni i poematy. Wyznawaliśmy sobie miłość w jego srebrzystej poświacie. Może dopiero gdy go zabraknie, gdy potworny gość z kosmosu zgasi jego światło dla wszystkich następnych pokoleń, zrozumimy co straciliśmy.

Kokpit SSTO Rome. 16:04.

John Verrano wprowadził nowy kurs, przyglądał się jak zegar odlicza do zera, poczuł szarpnięcie gdy zadziały silniki. Wywołane ich pracą przyspieszenie wcisnęło go w fotel i pojazd powoli zszedł z orbity.

3.

Baza Księżycowa, Plac Główny. 18:01.

Wiadomość, że zostanie podjęta próba zabrania ostatniej grupy z powierzchni, głęboko poruszyła kapełana Pinnacle'a. Usiłował zachować stoicką postawę w godzinie swojej próby. W Twoich rękach, Panie... Lecz życie jest bezcenne i Bóg wie, że Mark wcale nie chciał się z nim rozstawać.

Siedział przy stoliku, koło kępy palm przed kawiarenką "Victor Hugo". Teraz nikt nie przechadzał się wśród drzew, w biurach pogaszono światła, sztuczny wiaterek,

pachnący mocno miętą, wiał przez park. Na całej zadrzewionej powierzchni Placu Głównego dostrzegł tylko jedną parę młodych ludzi, wolnym, spokojnym krokiem zmierzających w stronę przystanku tramwaju.

Kilka osób zeszło z jednej z ramp, pospieszenie przecięło środek placu i dołączyło do nich. Odbędą się już tylko cztery starty. Trzy do ostatniego samolotu znajdującego się na orbicie. A w końcu jego lot, którego przeznaczenie znajdowało się w rękach Boga.

Denerwował się przed spotkaniem przy obiedzie. Obawiał się, że inni dostrzegą jego strach. Próbował się modlić, błagać o odwagę, lecz dłonie wciąż mu się trzęsły, a głos zawodził w najmniej spodziewanych momentach.

Jedna z jego parafianek, młoda kobieta, kiedy dowiedziała się, że zostaje, przyszła do kaplicy i zaofiarowała mu narkotyki. Coś na uspokojenie nerwów. Coś mogącego pomóc mu przejść przez próbę. Środek nazywany „sreberko”. Był nielegalny i wyciągnięty pakiecik go zaskoczył. Odmówił, oświadczył, że nie potrzebuje, podziękował, ale wciąż trzymała go w wyciągniętej ręce i w końcu uznał, że jego obowiązkiem jest przyjęcie daru. Odebranie jej pokusy. Pocałowała go w policzek, życzyła mu szczęścia i pospieszenie odeszła. Poważnie rozważał użycie tego środka, ale nie wiedział jak jego organizm znosi takie rzeczy i w końcu wyrzucił pakiecik do zsyphu.

Zapiszczał jego telefon komórkowy.

- Kapelan Pinnacle.

- Kapelanie, tu Evelyn.

- Tak - poczuł się nieco urażony jej poufałością.

- O co chodzi, doktor Hampton?

- Chciałam tylko przypomnieć, że za kilka minut podajemy obiad.

- Nie zapomniałem.

- To dobrze - zawiesiła na chwilę głos. - Dobrze się pan czuje?

- O tak - odparł. - Świetnie.

- Wiceprezydent też tu będzie - jakby trzeba go było czymś zwabić.

- Tak, ja... ja jestem już w drodze.

Tramwaj cicho wjechał na przystanek. Otworzyły się drzwi i wszyscy weszli do środka. Drzwi zamknęły się z wyraźnie słyszalnym szczęknięciem i pojazd ruszył pomiędzy drzewa. Kapelan obserwował go, dopóki nie zniknął w gęstym zagajniku po przeciwnej stronie Placu Głównego.

San Francisco. 15:17 Pacyficznego Czasu Letniego (18:17 EDT).

Jerry Kapchik urwał się z pracy najwcześniej jak mu się udało i wyruszył na poszukiwanie teleskopu. W Wał-Marcie wszystkie były wyprzedane. Tak samo u Searsa. Na Ocean Avenue był specjalistyczny sklep, Galileo. Tam też sprzedano wszystko oprócz 90mm reflektora firmy Grazier. Kosztował pięć tysięcy dolarów.

- Wart każdego centa - przekonywał sprzedawca.

W komplecie znajdowała się przesłona pozwalająca patrzeć prosto w słońce. Był wyposażony w pozycjoner z zaprogramowanymi ponad siedemnastoma tysiącami obiektów.

- Wystarczy tylko sprawdzić kod w instrukcji - tłu maczył sprzedawca, - ustawić statyw dokładnie na Gwiazdę Polarną i wprowadzić kod z klawiatury. Teleskop sam znajdzie obiekt, ustawi ostrość i będzie go śledził dopóki nie kaze mu się zrobić czegoś innego. Albo, oczywiście do zajścia obiektu.

- Oczywiście.

- Mając ten sprzęt - dodał - zapragnie pan własnego obserwatorium.

Jerry próbował coś utargować, ale sprzedawca powiedział, że ma wątpliwości czy oddać go Jerry'emu, dziesięć minut temu był bowiem telefon od kogoś, kto był już w drodze chcąc go kupić.

- Ma pan szczęście - twierdził. - W taki dzień jak dziś musiałem mu powiedzieć, że nie możemy niczego zatrzymywać dla nikogo.

Popatrzył na zegarek, jakby spodziewał się potencjalnego nabywcy w każdej chwili.

Było to dużo więcej niż Jerry zamierzał wydać i nie bardzo wiedział jak to wyjaśni Marisie, ale coś w nim pękło. Może chodziło o wykorzystanie nagłego zainteresowania syna astronomią. Może za ileś lat Jimmy będzie pamiętał Graziera jako zwrotny punkt swojego życia. Tak czy siak, dzisiaj był specjalny wieczór i powinno się mieć odpowiedni sprzęt do obserwacji wydarzeń.

Teleskop zajmował dwie walizki, ale* sprzedawca zapewniał go, że montaż jest naprawdę bardzo prosty. Jerry dokupił zapasową baterię, wyniósł walizy na zewnątrz i zapakował je do taksówki, która dowiozła go do parkingu koło Skyline Boulevard, gdzie Jerry codziennie zostawiał samochód, do centrum dojeżdżając kolejką jednoszynową.

Po drodze zatrzymał się, żeby zadzwonić do Marisy i wreszcie mieć to z głowy. Z początku była niezadowolona i kazała mu zwrócić sprzęt, ale kiedy dotarł wreszcie do domu uznała, że inwestycja może okazać się właściwa.

- O ile będzie używany - zastrzegła. - Lecz jeśli tył będzie zawałał strych, jesteś trupem.

Marisa przez kilka lat pracowała jako sanitariuszka w jednostce ratowniczej, w zespole nagłych wypadków. Teraz uczyła metod postępowania w sytuacjach awaryjnych na Uniwersytecie Kalifornijskim.

- Jednostki ratownicze postawiono w stan pogotowia - powiedziała.

- Kometa? - spytał.

Wzruszyła ramionami.

- Ludzie są podenerwowani. Gdybym to ja dowodziła, też zarządziłabym alarm.

Po obiedzie rozpakowali teleskop. Sprzedawca nie kłamał, rzeczywiście bardzo łatwo się go montowało. Zatrzasnęli rurę w uchwycie i wstawili go w gniazdo w trójnogu. Dokręcili kilka klamer, podłączyli komputer, włożyli baterię, wcisnęli przycisk uruchamiający kilka testów wewnętrznych i byli gotowi do pracy.

Jimmy i Erin wykazali właściwą dozę entuzjazmu. Jedynym problemem był fakt, że teleskop najwyraźniej

był przeznaczony do montażu stacjonarnego. Jerry przypomniał sobie jak sprzedawca mówił, że „zapragnię własnego obserwatorium”.

Niemniej wyciągnęli go na taras i skierowali na kometa, która zdominowała wschodnią stronę nieba. Księżyc właśnie wzeszedł, dziecięca piłka wisząca za czerwono podświetloną chmurą burzową. Było wczesne popołudnie, do zachodu słońca zostało jeszcze kilka godzin. Wiał chłodny, rześki wiatr od morza.

Jerry przełączył teleskop na sterowanie ręczne.

- Jak najprościej - powiedział Marisie.

Przy pomocy lunetki celowniczej ustawił instrument, a w tym czasie Erin przyniosła stołek. Potem spojrział w okular. Zobaczył tylko ciemność. Dotknął przycisku i Księżyc wskoczył w pole widzenia, ześliznął się w lewo, wrócił na środek i znieruchomiał. Jerry dopuścił dzieciaki do okularu.

Nie zważając na wierzącego się niecierpliwie brata, Erin włączyła na stołek, zajrzała i achnęła z zachwytem.

- Widzę kratery - powiedziała.

Jerry cofnął się i zapatrzył w niebo. Kometa była ogromna, jej warkocze sięgały w przestrzeń i obejmowały Księżyc w półprzezroczystym uścisku. Poczuł strach.

Dzieciaki zaglądały w okular i krzyczały jakie to piękne, a on przechwycił spojrzenie Marisy.

- Myliłem się - powiedział.

- W czym?

- Spakujmy się i wyjedźmy. Tylko na tę jedną noc.

Zobaczył jej szeroko otwarte oczy.

- Jerry, w telewizji mówią, że w motelach w ogóle nie ma miejsc. A nie możemy zwalić się Helen na głowę bez uprzedzenia.

- Weźmiemy sprzęt biwakowy - postanowił - ale wyśmiejmy się stąd.

Mieli dwa samochody, Mazdę Superhawk i Chryslera kombi. Marisa, pomimo protestów, przewidziała rozwój wydarzeń i przygotowała się do szybkiego wyjazdu. Obydwa samochody były częściowo zapakowane. Dołożyli jedzenie, wodę i trochę ubrań. Marisa odszukała

zestaw pierwszej pomocy i zabrała go do Mazdy. Zapakowali też komputer, kilka rzadkich książek, które Jerry zbierał, biżuterię Marisy i srebra stołowe. Oraz książeczki bankowe, paszporty i obligacje państwowe. Również ulubione zabawki dzieci. Na końcy teleskop.

WIADOMOŚCI TRANSGLOBAL 18:18.

- Z wiceprezydenckiego przyjęcia w Bazie Księżycowej mówi Keith Morley, na żywo. Kometa Tomiko dotrze tu za nieco ponad cztery godziny. Jak prawdopodobnie wiecie, statek kosmiczny spróbuje nas stąd zabrać. Jest to lunobus, mniejszy od typowych, dlatego powszechnie nazywany jest *Mikro*. Pilotuje go Tony Casaway z San Francisco, drugim pilotem jest Alisa Rolnikaya. Alisa jest Rosjanką, choć urodziła się we Florencji. Nosi przezwisko „Saber”. Mam nadzieję na rozmowę z nimi nieco później, na żywo, z kokpitu *Mikro*. Razem ze mną jest tu kapelan Mark Pinnacle, jedna z sześciu osób, które zgodziły się zostać wiedząc, że wszyscy pozostali zdołają się ewakuować. Kapelanie, czy kiedy zgłaszał się pan na ochotnika wiedział pan, że podjęta zostanie próba zabrania w ostatniej chwili wszystkich pozostałych?

- Nie, Keith. Nie mieliśmy pojęcia, że ktokolwiek spróbuje nas stąd wywieźć. Muszę przyznać, że ta wiadomość sprawiła mi ogromną radość. Mam nadzieję, że się nam uda.

- Jest pan pewny?

- Wolę sądzić, że Bóg jeszcze ze mną nie skończył.

- Kapelanie, bardzo jestem ciekaw powodów, dla których postanowił pan zostać?

- Chyba mógłbym odwrócić to pytanie. Dlaczego pan tu jest? (Chwila wahania)

- Chyba dlatego, że to moja praca.

- Moja też.

- Kapelanie, czy powie nam pan, jakiego jest wyznania?

- No cóż, osobiście jestem członkiem kościoła anglikańskiego. Ale na Księżycu reprezentuję wszystkie znane wyznania, nie tylko chrześcijańskie.

- Jestem pewien, że widzowie dziwią się jak to możliwe.

- Nie wiem czy sam to rozumiem, Keith. Po prostu ludzie najwyraźniej to akceptują. Akceptują mnie. Jeśli wie pan, co chcę przez to powiedzieć.

Baza Księżycowa, Plac Główny. 18:28.

Kapelan Pinnacle był spocony jak ruda mysz. Cieszył się, że ma wywiad za sobą, ale nie czuł się zadowolony ze swojego wystąpienia. Miał z nieba zesłaną okazję, by wyjaśnić całemu światu jak tu jest naprawdę, jak wszystkie wielkie wiary zeszyły się razem, a dysputy teologiczne zaczęły zanikać. Na Księżycu nie było herezyków.

Tutaj Wszyschświat wydaje się naprawdę spory.

Teologowie od zawsze opisywali Stwórcę jako niekończoną dobroć. Po raz pierwszy ludzie zaczęli pojmować co to może znaczyć. Może każda wiara ma swoje miejsce w porządku rzeczy. Po wyjściu poza rodzinną planetę najwyraźniej zaczynały współistnieć w zupełnej zgodzie.

Od czasu przybycia do Bazy Mark czuł się tak blisko Boga jak nigdy wcześniej. A jednak gigantyczna kometa miała zniszczyć to miejsce. Dlaczego?

Baza Księżycowa, prywatna jadalnia dyrektora. 18:30.

To mógł być najbardziej pamiętny obiad w całej karierze politycznej Charliego. Przyszedł tu niechętnie, spodziewając się grobowej atmosfery, wymiany spojrzeń skazańców i ukradkowego zerkania co chwilę na zegarki. Tymczasem było zupełnie inaczej.

Jack Chandler i Evelyn tryskali humorem. Keith Morley zajrzał do opuszczonego centrum łączności i uruchomił stały kanał łączący go z producentem. Potem siadł razem z kapelanem i nadał program.

- Był pan wspaniały - mówił właśnie do księdza, kiedy Charlie wszedł. - Wiara, odwaga i pokora. Wszyscy byli tu z nami.

Kapelan podziękował mu.

- Ogólnoświatowa kongregacja - skomentował. - Ni gdy bym w coś takiego nie uwierzył.

Brakowało tylko Bigfoota. Obiecał wpaść jeśli zdoła, ale dostali wiadomość: Dzięki za zaproszenie. Szlag mnie trafia, że ominą mnie kielbaski. Ale jeśli teraz pójde się napchać, to potem tu zostaniemy.

Evelyn i Jack przygotowali posiłek. Nie było żadnych kiełbasek, tylko sałatka Cezara, paluszki z kurczaka (prawdziwego), frytki, sos musztardowy, białe wino, kawa, a na deser piece de resistance, lody z polewą karmelowo-orzechową. W Georgetown takie menu nie byłoby niczym szczególnym, ale według standardów Bazy Księżycowej była to lukullusowa uczta.

Kapelan pochylił głowę w modlitwie. W innych okolicznościach pozostali ograniczyliby się tylko do chwili niezręcznego milczenia, teraz jednak dołączyli do niego.

Charlie był wychowany na metodystę przez sceptycznego ojca, który należał do Kościoła przede wszystkim z powodów politycznych. W nim skupiała się władza działaczy i ludzi trzęsących miastem. Należeli doń wszyscy liczący się w mieście. Sam wiceprezydent odwiedzał kościół dość regularnie. Metodystów, lub dowolny inny, jaki *znalazł* się pod ręką. Podobnie jak ojciec, robił to z powodów politycznych. Wyborcy oczekiwali od prezydentów pobożności.

Tak samo jak ojciec, wierzył we Wszechświat działający niczym nakręcony zegarek, a jeśli gdzieś tam jest jakiś zegarmistrz, to ukrył się tak dokładnie, że nie może mieć żadnych pretensji do niewierzących. Charlie skręcał się w trakcie długich kazań, wołałby pograć w golfa, albo dłużej pospać. Kościoły miały jeszcze jedną wadę: zazwyczaj kiedy odprawiający mszę zorientował się, że uczestniczy w niej wiceprezydent, wykorzystywał okazję do ataku na administrację w imieniu swojej ulubionej kwestii moralnej. Charlie był potępiany z ambony za wykorzystywanie tkanek płodowych w medycynie, cięcia w opiece socjalnej, samobójstwa z przyczyn medycznych, badania biotechnologiczne oraz brak religii w programach szkół publicznych.

- Zawsze zazdrościłem ludziom pełnym wiary - powiedział Markowi Pinnaclebwi. - W takich chwilach jak dziś, jest pomocna.

Kapelan sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Chciałbym móc powiedzieć, że dzięki niej jestem mniej zdenerwowany.

Stół zastawiono lśniącymi srebrami, porcelaną i wspaniałymi kieliszkami na długich nóżkach. Podano też lniane serwetki. Zaskakująca zmiana w stosunku do spartańskiego stylu życia na Księżycu. Evelyn nalała wina i wszyscy unieśli kieliszki.

- Za Bazę Księżycową - powiedziała.

Śmiech i świetny nastrój pokonały wszelką logikę. Dużo było wisielczego humoru, który później, we wspomnieniach nikomu nie wydawał się zabawny ("Mam tu historię stulecia, a tymczasem kto inny napisze podsumowanie."), ale trakcie tego obiadu rozśmieszał wszystkich.

Charlie zorientował się jak bardzo lubi tych ludzi: Evelyn, ciemnoskóra piękność, piekielnie błyskotliwa, usiłująca sprawiać wrażenie nieustraszonej, a jednak gdy podnosiła kieliszek, dłoń jej drżała.

Jack Chandler, perfekcyjny biurokrata. Dziś zachowujący się powściągliwie, konserwatywny, odmierzający życie precedensami i przepisami. Godzinę temu Charlie byłby przekonany, że dyrektor nigdy nie umiał cieszyć się życiem. Teraz Jack ryczał ze śmiechu przy lada okazji. W pewnym momencie wymienił spojrzenia z Evelyn i milcząco, samymi ustami powiedział kocham cię.

Keith Morley, dziennikarz telewizyjny, zawodowy cynik. Samozwańczy obrońca dobra publicznego. Człowiek lubiący niszczyć reputację polityków. Tymczasem złożył pozostałym bardzo sympatyczne życzenia: żeby Evelyn uniknęła bankructwa zagrażającego Moonbaase International; żeby Chandler dostał jeszcze większą machinę biurokratyczną pod swoje skrzydła: sprzątanie po Tomiko; żeby kapelan został przeniesiony do cichej parafii nad brzegami Tamizy; żeby Charlie dostał się do Białego Domu, ale tylko jeśli wciąż jeszcze tego będzie chciał, kiedy wróci do domu.

I kapelan. Człowiek, który kilka dni temu sprawiał wrażenie tak bojaźliwego, że niedawno przyznał jak bardzo jest zdenerwowany, czuł się tu jak w domu. Podziękował Morleyowi, sugerując, że już omawiali swoje nadzieje na przyszłość. Przyznał się, że jest mu dobrze

z samym sobą i zastanawiał się głośno, czy tak wspaniały wieczór nie jest wart ryzyka.

Dla Charliego, nieżonatego wiceprezydenta, niemal wszystkie posiłki spożywane w towarzystwie innych ludzi były, do pewnego stopnia, związane z pracą. Dziś, przez kilka godzin, stał się tylko zwykłym gościem. Zrozumiał zastrzeżenie w życzeniach Morleya: jeśli jeszcze będzie tego chciał.

Chandler obficie polał swoje frytki keczupem, kolejnym produktem, którego Charlie w ogóle nie widział w Bazie. Jack zjadł kęs z wyraźną przyjemnością i popatrzył po siedzących przy stole.

- Czy ktokolwiek z was był już w sytuacji zagrożenia życia? - spytał.

Evelyn skinęła głową.

- Kiedy miałam pięć lat, wyciągnięto mnie z płonącego budynku.

- Pamiętasz to? - zdziwił się Chandler.

- O, tak. Dokładnie. Właściwie jest to moje najstarsze wspomnienie. Tego dnia w pewien sposób uzyskałam świadomość.

- Bałaś się?

Uśmiechnęła się.

- Tak. Ale bardziej strażaków niż ognia. Byli wielcy, mieli na sobie te dziwaczne kombinezony, hełmy i maski.

- Ktoś jeszcze?

- Raz - odezwał się Morley - zostałem napadnięty przez gang i pozostawiony na śmierć. W Nowym Jorku. Pobili mnie porządnie i oznajmili, że poderzną mi gardło.

- Ale nie zrobili tego? - spytał kapelan.

Morley odwinął kołnierz i pokazał bliznę.

- Po prostu schrzanili robotę.

Charlie był przerażony. Mimo politycznych przepychanek, wiódł życie właściwie pod kloszem.

- Dlaczego to zrobili? - zapytał.

- Kto wie? Może zrobiłem niewłaściwe zdjęcie. A może po prostu wysiadłem z samochodu w niewłaściwym miej-

scu miasta. To naprawdę był najgorszy moment w moim życiu.

- Gorszy niż dzisiaj? - spytała Evelyn.

- O, tak. Dużo gorszy. Tamto było osobiste. Te dzieciaki chciały bym umarł. To straszne uczucie, zobaczyć, że ktoś chce cię zabić bez żadnej konkretnej przyczyny. A kometa? Psiakrew, ona ma nas gdzieś. Nie ma pojęcia, że tu jesteśmy. To tylko wielka, durna kupa lodu wystrzelona diabli wiedzą skąd - wzruszył ramionami. - Tak, teraz jest dużo łatwiej. Nie ma w tym krzty niemiłości.

Zapadła dłuższa chwila milczenia, jakby właśnie wydarzyło się coś ważnego. Charlie dopełnił wszystkim kieliszki. W niskiej grawitacji wino lało się powoli.

- Nasze zdrowie - zaproponował.

Dołączyli się do toastu, Charlie przyglądał się ich oczom widocznym nad szklanymi krawędziami.

- Za obie Tomiko - Jack Chandler zaproponował inny toast. - Za kobietę i komętę. Za pierwszą, bo ostrzegła nas w porę, za drugą, bo dzięki niej zebraliśmy się tu dzisiaj.

4.

Kokpit Mikro. 19:33.

Mikrobus wystartował do ostatniego planowego lotu dokładnie o czasie. Saber przyglądała się oddalającemu się krajobrazowi księżycowemu. W słuchawkach rozległ się głos Bigfoota.

- Saber, dyrektor chce rozmawiać z Tonym.

- Chwileczkę

Tony rozmawiał na drugim kanale z pilotem SSTO. Trąciła go w ramię.

- Pan Chandler - powiedziała.

- Do mnie?

- Przełącz go - powiedziała Saber do mikrofonu.

Tony zakończył rozmowę z SSTO.

- Przełączam - powiedział Bigfoot.
- Tony Casaway? - odezwał się nowy głos, precyzyjny, miarowy i zmęczony.
- Tu Casaway.
- Tony, tu Jack Chandler. Chciałem podziękować za to co robisz. Jesteśmy bardzo wdzięczni.
- Chcemy ewakuować wszystkich, sir.
- A kto nie? Niemniej doceniamy twój wysiłek. Mamy też prośbę. Jest tu z nami reporter telewizyjny, Keith Morley, który też leci z tobą. Chciałby, żebyś dał mu kanał łączności na Ziemię.
- Mam się zgodzić?
- Tak, proszę. Spełnij jego prośbę.
- Tak jest, sir. Zrobione.
- Dobrze. Miło z tobą się rozmawiało, Tony. Powodzenia.
Saber zauważyła, że jej nikt nie podziękował.
Popatrzyła w dół na powierzchnię Księżyca.
- Jak się zdaje, nasze notowania idą w górę - skomentował Tony.
- Uhm. No cóż, jeśli wyciąga się z ognia właściwych ludzi, kariera może rozwinąć się w cudowny sposób.
Popatrzył na nią jakby wygłosiła herezję.
- Trudno uwierzyć - powiedziała.
- W co?
Pokazała w dół. Pomiedzy punktem zderzenia na Marę Muscoviense, na północnej półkuli po niewidocznej stronie, a Bazą Księżycową znajdowała się masa całego Księżyca.
- Wydawałoby się, że mając pancierz z tych wszystkich skał Baza będzie bezpieczna.
W kabinie było dziewięć osób, technicy i dyspozytorzy, ludzie z obsługi systemów zasilania, centrum łączności i systemów podtrzymywania życia. Oraz kilku techników Bigfoota. Stanowili ostatnią grupę jaką *Mikro* dostarczy do orbitującego SSTO. Po nim przylecą jeszcze dwa lunobusy i na tym koniec.
Oprócz ostatniego lotu *Mikro*.

Do obowiązków Saber należała obserwacja informacji podawanych przez przyrządy pokładowe w trakcie startu, ale zawsze znajdowała chwilę by zerknąć na księżycowy krajobraz. Uwielbiała ten teren, loty nad nim, odległym i surowym, oświetlonym przez białobłękitną Ziemię. Przypadkowy widz, patrząc w dół na 117-kilometrowej średnicy krater nie zauważyłby, że poruszają się tam mężczyźni i kobiety, że coś tam zostało zbudowane. Z powodów praktycznych Baza Księżycowa znajdowała się prawie w całości pod poziomem gruntu. Z wysokości nawet tak małej jak tysiąc metrów, zauważenie anten, baterii słonecznych i kolei jednoszynowej wymagałoby wyjątkowo bystrego oka. Wolała jednak żywić przekonanie, że to nie utylitarność spowodowała ukrycie Bazy, ale poczucie kruchości piękna tego świata i niechęć do powtarzania starych błędów.

Teraz i tak nic z tego nie miało znaczenia. Blask komety przedostawał się zza horyzontu w trzech kierunkach, sygnalizując zbliżanie się potwora. Zupełnie jakby ogromne słońce wschodziło wszędzie naraz. Kontury odległych szczytów i kraterów wyostrzyły się. Za zachodnią ścianą Alfonsa czarny regolit Marę Nubium, Morza Chmur, łukiem ciągnął się w stronę blasku.

- Popatrz na to - powiedział Tony, włączając symulację komputerową. Krążek wielkości dziesięciocentówki i niewielki półksiężyc, reprezentujące Ziemię i Księżyc, unoszą się wewnątrz dużego stożka. Warkocza komety.

- Wydawałoby się, że powinniśmy go tu widzieć - skomentowała Saber.

Jednak niebo było czarne jak zawsze. Tylko Ziemia wyglądała inaczej. Nie była całkiem pewna, ale planeta zdawała się trochę ciemniejsza niż zwykle, jakby zbladło światło słońca.

- Szacują długość warkocza - rzekł Tony - na siedemdziesiąt milionów kilometrów. Sięga aż do orbity Marsa.

I jest prawie próżnią, pomyślała. W miarę wznoszenia się *Mikro* w księżycową noc, kometa, w kolorach lata, była coraz lepiej widoczna,

a jej blask opływał Księżyc. Saber nasłuchiwała reakcji pasażerów obserwujących ją przez iluminatory.

Wyczuwała, że Tony jest teraz cały czas na adrenalinie. Zdawał się bardzo zadowolony z siebie.

- Tony - zwróciła się do niego - sądzisz, że naprawdę się nam uda?

Pokazał jej oba kciuki w górę.

- Jasne - odpowiedział. - Będzie blisko, ale zrobimy to.

Wyłączył obraz komety na głównym ekranie.

- Chandler mówi, że Keith Morley jest z nimi. Będzie nadawał na żywo z *Mikro* - roześmiał się. - Będzie my sławni, Saber.

- O ile przeżyjemy.

Wyłapał specyficzny ton jej głosu.

- Hej - powiedział, - Aliso, nic nam nie będzie.

Rzadko zwracał się do niej po imieniu, tylko kiedy zależało mu na szczególnie bliskim kontakcie. W tym przypadku, aby pozwoliła mu się pocieszyć.

- Bigfoot uważa, że się uda.

- Bigfoot uważa, że poświęca swoje życie.

Tony spochmurniał. Zazwyczaj zachowywał się miło, ale tym razem rzecz była poważna.

- To nieprawda.

- Oczywiście, że prawda.

- Zgodził się zostać. Nikt nie przystawiał mu pistoletu do głowy.

- Posłuchaj, Tony. On był odpowiedzialny za ten wypadek, przez który mamy ten cały pasztet. Czego oczekiwalesz, kiedy powiedziałeś mu, że potrzebujesz ochotnika?

Wiedziała, że go rani, ale mówiła prawdę. Oczywiście zaprzeczył.

- Bigfoot nie zostałby, gdyby uważał, że się nam nie uda - wpatrywał się w nią ostro. - Saber, do cholery, nie musisz wcale lecieć, jeśli sądzisz, że się nie uda. Pora dź się sobie sam, jeśli będę musiał.

Przeglądała mu się przez bardzo długą chwilę.

- Tony, czy zdajesz sobie sprawę, że nigdy mnie nie spytałeś, czy chcę brać w tym udział?

Zbladł, i widziała wręcz jak sięga myślami wstecz, powtarza rozmowy.

- Na pewno to zrobiłem - powiedział. A potem:
- przepraszam. Ja po prostu założyłem...

W gruncie rzeczy nie sądziła, że gdyby miała wybór zdecydowałaby się podjąć taką próbę. Życie się jej podobało, a uważała, że w tym przypadku szansę powodzenia są dość marne. W końcu akcje ratunkowe nie są obowiązkowe. Człowiek robi to, co możliwe. Lecz od nikogo nie powinno się żądać ryzykowania życiem bez bardzo poważnych powodów.

Dlatego też czuła pokusę, żeby przyjąć tę jego ofertę. Niech spróbuje sam.

- Dużo rzeczy zakładasz, Tony. Jednak miło byłoby gdybyś spytał.

Wydał wargi na moment.

- Przepraszam. Myślałem, że chcesz to zrobić.

- Słuchaj, nie próbuj wywoływać we mnie poczucia winy. Polecę - I tak, szybko, prawie bez zastanowienia, decyzja została podjęta. - Ale następnym razem, chcę by mnie spytano. Wprost i zanim coś się zacznie.

- Okay - zgodził się. - Wybacz mi. Ale naprawdę nie próbowałem wzbudzać w tobie poczucia winy.

- Daj już spokój.

Niech to szlag. Nigdy nie przyjmuj zadań, które trzeba będzie wykonać w towarzystwie bohatera.

Kosmodrom Bazy Księżycowej. 20:21.

Ostatnie trzy starty odbyły się w ciągu pięćdziesięciu minut. Bigfoot cały czas siedział przy radiu, rozmawiając z pilotami dopóki nie weszli gładko na orbitę. Wtedy przekazywał ich w ręce *Arlington*, opadał na oparcie fotela i rozglądał się po centrum operacyjnym. W całym kompleksie warsztatów, poczekalni, platform startowych, magazynów i sprzętu łącznościowego był całkowicie sam. Większość światel została wyłączona. Wrota nad dokiem numer cztery wciąż były otwarte. Gdzieś syczała para.

Bigfoot wychował się w robotniczej rodzinie, która wciąż tonęła w długach, dopóki nie podpisał kontraktu z Packers¹⁵. Wiedział jak się żyje od wypłaty do wypłaty i w rezultacie nauczył się niczego nie marnować. Nałóż sobie na talerz ile chcesz, ale nie bierz niczego ponad to, co zamierzasz zjeść. Kiedy kontuzja odniesiona w pierwszym meczu zakończyła jego karierę, zaczął pracować dla FAA, jakiś czas jako inspektor bezpieczeństwa w liniach lotniczych, potem na stanowisku kontrolera. W tym czasie okazało się, że ma zdolności przywódcze. Ludzie instynktownie mu ufali.

Miał poczucie, że zawsze zasługiwał na to zaufanie. Aż do wypadku z mikrobusem.

Wziąwszy pod uwagę wygląd obu zaworów, taka pomyłka musiała nastąpić. Pech tylko, że wydarzyła się właśnie *teraz*. Ale to on był za to odpowiedzialny.

Obiad na pewno już się skończył, podejrzewał jednak, że wciąż jeszcze się nie rozeszli i współczując sobie nawzajem z powodu wspólnego nieszczęścia próbują nie myśleć za dużo o nadchodzących wydarzeniach. Ani spodziewana obecność wiceprezydenta, ani fakt, że w normalnych warunkach Bigfoot byłby niemal gotów zabić, żeby spożyć posiłek w towarzystwie faceta numer dwa w całym kraju, nie zmieniały jednego - że ci wszyscy ludzie spodziewali się wkrótce umrzeć. W takim wydarzeniu towarzyskim wołał nie uczestniczyć. Jednak został zaproszony.

Zamknął wrota do doku czwartego i wpuścił do niego powietrze. Tu właśnie miał przyjąć wracającego *Mikro*, jednak dopiero za ponad półtorej godziny i gdyby nie zamknął doku, pompy by zamarzły. Spróbował wymyślić co jeszcze trzeba zrobić, lecz rzeczy, które da się przygotować wcześniej było niewiele i o wszystkie już zadbał. Tym razem nie będzie przeglądu. Tylko tankowanie, załadowanie pasażerów i wzięcie nóg za pas.

¹⁵ *Drużyna futbolu amerykańskiego z Green Bay (przyp. tłum.)*

Kilka monitorów pokazywało symulację komputerową komety. Przeszedł przez centrum, część z nich wyłączył, a te, których miał później potrzebować *przeliczył* na inny obraz. Doszedł do wniosku, że kosmodrom jest zbyt cichy.

Spiął swój telefon komórkowy z radiostacją, tak żeby piloci mogli się z nim skontaktować w razie potrzeby. Potem wezwał tramwaj, pojechał na Plac Główny i windą dostał się do biur administracji.

Laboratorium Orbitalne na Skyport. 20:44.

- Nigdzie nie jadę - oznajmiła Tory. - I na tym koniec.

Windy potarł mocno palcami czoło, postępując przy tym jak człowiek dręczony straszną migreną.

- Otrzymałaś rozkaz wyjazdu - powiedział. - Nie ja go wydałem, więc nie ma z nim dyskusji. Twój lot jest o... - zerknął na kartkę leżącą przed nim na biurku - ...o dziewiątej dwadzieścia. Masz być na pokładzie.

Tory zaplotła ręce na piersi.

- Windy, nadchodzi największe wydarzenie astro-nomiczne w historii ludzkości a ty mi każesz się wynosić z mojego stanowiska.

- Powtórzę jeszcze raz. To nie jest mój rozkaz.

- Czykolwiek. Aleja nie mam najmniejszego zamiaru siedzieć w kupie chmur o dziesiątej trzydzieści pięć, zasta nawiając się co się dzieje. Rozumiesz? Nie zrobię tego.

- Nie masz wyboru.

- Kiedy wydano ten rozkaz?

- Posłuchaj, Tory, jak myślisz, dlaczego ewakuują to miejsce? Przez kilka najbliższych dni będzie tutaj niebezpiecznie. Na miłość boską, wsiadaj do swojego samolotu i oglądaj wszystko w czasie lotu. W czym problem?

- Windy, proszę. Chcę być tutaj dziś w nocy. Jesteś mi to winien.

- Nie jestem ci nic winien, Tory.

-A właśnie, że tak. Pracowałam tu ciężko przez dwa lata i nigdy o nic nie prosiłam. Dzisiaj proszę...

- Nie słuchasz mnie. Jeśli to ja bym decydował, nie byłoby problemu. Ale to nie zależy ode mnie.

Ewakuacja Skyport trwała już cały dzień. Jednak ta stacja nie miała być tak całkowicie opuszczona jak LI. Tak zwany niezbędny personel pozostawał na pokładzie by zapewnić funkcjonowanie stacji i obsłużyć pozostałe SSTO, które miały przylecieć z Bazy Księżycowej.

- A może byś im powiedział, że potrzebna ci pomoc?

- Tory, koniec rozmowy.

- Ależ ty naprawdę potrzebujesz pomocy. Przez kilka następnych dni tutaj będzie centrum wydarzeń. Czy nikt tego nie widzi?

Laboratorium Orbitalne kontrolowało sześć orbitalnych teleskopów oraz automatyczne obserwatorium na niewidocznej stronie. To ostatnie miało zostać zniszczone w kolizji, ale pozostałe posłużą jako system wczesnego ostrzegania przed dużymi odłamkami zmierzającymi w stronę, powiedzmy, Atlanty.

- Może tu się zrobić gorąco, jeśli odłamki polecą w tę stronę. A ty będziesz siedział tu sam.

Winfield Cross był pracownikiem Instytutu Smithsoniana, nominalnie specjalistą od strun, jednak stał się bardziej biurokrata niż astronomem. Trzymał się właściwych szefów we właściwym czasie i dzięki temu miał znakomitą pracę. Był w porządku, zazwyczaj trzymał się z boku i pozwalał technikom robić swoje. Jedynie, czego chciał, to żeby nie sprawiali mu kłopotów. Jednak nie był człowiekiem, który podjąłby się walki w imieniu podwładnego.

- Zgadzam się ze wszystkim co mówisz, Tory. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Oni chcą, żebyś się stąd wyniosła.

Odwrócił się od niej.

- Prywatnie mówiąc...

- Tu nie ma żadnego prywatnie mówiąc!

- Prywatnie mówiąc, co by się stało, gdybym nie pojawiła się na pokładzie?

- Zasługiwałabyś na umoczenie tyłka. Ale powiem

ci krótko: jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo swoich ludzi. Pojawisz się na pokładzie, albo rozpocznę postępowanie dyscyplinarne wobec ciebie.

- Windy, nie przesadzasz troszkę?

- Nie sądzę. Nie jesteś pierwszą osobą, która mówiła dziś to samo. Wpisuję rozmowę z tobą do dziennika i ostrzegam: nie sprawiaj mi kłopotów.

Tory kochała swoją pracę i nie miała ochoty narażać kariery. Co więcej, z natury była osobą uległą. Przez całe życie szanowała władze (w granicach rozsądku, oczywiście), próbowała trzymać się z daleka od kłopotów i generalnie być dobrym żołnierzem. Bardzo starannie więc przemyślała swoją odpowiedź.

- Nie - powiedziała.

- Słucham?

- Nie lecę do domu. A przynajmniej nie dzisiaj.

Windy zdjął okulary i odłożył je na biurko.

- Wiesz, że mogę spowodować doprowadzenie ciebie na pokład.

- Dlaczego nie dasz sobie spokoju? Jeśli potem chcesz mojej rezygnacji z pracy, masz ją. Powiem wszystkim, którzy będą pytali, że w ogóle nie rozmawialiśmy, że nie mogłeś wiedzieć, że zamierzam zostać. Windy, w całej historii gatunku nie wydarzyło się coś takiego. Nie będę siedziała w przedniej kabinie SSTO oglądając transmisję w telewizji.

CAŁONOCNY PROGRAM FRANKA CRANDALLA.

20:49.

Crandall :Lindo z Anchorage, **jesteś na antenie.**

Rozmówca: Hello, Frank. Chciałam ci powiedzieć, że bardzo cię podziwiam. Dzięki Bogu jest ktoś, kto potrafi wydobyć prawdę na światło dzienne.

Crandall: Dziękuję, Lindo. O czym chcesz rozmawiać?

Rozmówca: O komecie?

Crandall: Okay. Co powiesz o komecie.

Rozmówca: Frank, czy nie wydaje ci się, że cała ta sprawa jest wielkim oszustwem?

Crandall: To znaczy, Lindo? Twierdzisz, że nie ma żadnej komety?

Rozmówca: O nie. Kometa oczywiście jest. Przecież ją widać. Ale sądzę, że Kollander i Haskell znaleźli sposób, żeby zbić na niej kapitał polityczny.

Crandall: Opowiedz jak.

Rozmówca: Och, daj spokój Frank. Chyba nie sądzisz, że zostawiliby wiceprezydenta na Księżycu, gdyby groziło mu zniszczenie, prawda?

Crandall: Jak sądzisz, co się stanie?

Rozmówca: No cóż, cholera, oliwa już zaczyna wypływać. Najpierw powiedzieli, że postanowił się poświęcić, a teraz mówią, że, cóż, może uda się go wyciągnąć, że znaleźli jakiegoś bohater-skiego pilota kosmicznego, który zamierza spróbować, ale że to szansa jedna na tysiąc. Założysz się, że mu się uda?

Crandall: Brzmi to nieco cynicznie, Lindo.

Rozmówca: Realistycznie, Frank. Jestem tylko realistką.

5.

Baza Księżycowa, prywatna jadalnia dyrektora. 20:53.

W pierwszej chwili Bigfoot pomyślał, że wszyscy wypili trochę za dużo. Słyszał ich już w windzie, śpiewających i śmiejących się. Wybrali piosenkę „Człowiek o niezłomnym sercu”, ktoś grał na gitarze. Wszedł i został radośnie powitany. Gitarę trzymał Jack Chandler. Miał na głowie papierowy kapelusik.

Wszyscy mieli podobne kapelusiki. Charlie Haskell machnięciem ręki zaprosił go do środka i wskazał mu fotel. Na stole stało kilka pustych butelek po winie, jedną ktoś nie trafił do kosza, ale nie widać było śladów po czymś mocniejszym.

- Jak tam na starej, dobrej platformie startowej?
- spytała Hampton, a wszyscy roześmiali się jak stado hien.
- W porządku, Bigfoot - odezwał się kapelan, najwyraźniej zauważywszy jego zatroskaną minę. - W razie czego poprawimy.

Znów śmiechy. Potem, jakby ktoś przerzucił przełącznik, Chandler spoważniał i odłożył gitarę.

- Jak to wygląda? - zapytał.

- Wszystko jest tak przygotowane, że bardziej nie można. Tony mieści się w czasie.

Jedyną osobą spośród obecnych, którą Bigfoot znał osobiście był Chandler. Pozostali przedstawiali się kolejno, potrząsnął więc również dłonią wiceprezydenta. Evelyn podziękowała mu za pozostanie i pomoc.

Morley zaproponował mu wywiad i wszyscy znów się roześmiali. Tym razem Bigfoot dołączył do ogólnej wesołości.

Kokpit SSTO Arlington. 21:05.

George Culver obserwował mikrobus podchodzący do lewej burty. Pilot wprowadził go gładko na pozycję i zaczął przekazywać pasażerów. Dwa następne busy podążały bardzo blisko za nim, obydwa miał już na przyrządach. Załaduje pasażerów ze wszystkich trzech najszybciej jak się da, doleci do właściwego punktu na orbicie i wyniesie się stąd.

To ten pojazd *zamierzał* zawrócić i spróbować uratować wiceprezydenta. George podziwiał pilota. Popatrzył na komety i spróbował przesłonić ją dłonią wyciągniętej ręki. Nie udało się. Bardzo się cieszył, że to nie on tam leciał.

Mikro powiadomił go, że zakończył transfer. George uważnie obserwował lampki informujące o zamykaniu się służby pasażerskiej. Kiedy domknęła się, Mary przysłała do kabiny. Silnik *Mikro* ożył i pojazd łukiem odleciał w noc.

- Głowa do góry - powiedział George. - Następny podchodzi.

Jedna z pasażerek, która na ochotnika zgłosiła się do pomocy, pojawiła się w drzwiach kokpitu.

- Jest kłopot, kapitanie - oznajmił.

- Co się dzieje?

- Tam z tyłu robią się trochę nerwowi. Czy mógłby pan przyjść i pogadać z nimi?

George nie mógł wyjść ze kokpitu, nie kiedy podchodził następny bus.

- Mary? - poprosił.

Skinęła głową. Lecz włączył się inny głos, głęboki i pełen złości. Jego właściciel pojawił się tuż za woluntariuszką.

- Nie potrzeba nam żadnych gadek, tylko niech ten cholerny samolot wystartuje!

Mówiący te słowa był grubym mężczyzną, łysiejącym, o wściekłych oczach. I wielką nadwagą. Dość dla dwóch osób, pomyślał George. Intruz miał około trzydziestki.

Inżynier pokładowy wstał gwałtownie.

- Sir - powiedział Curt - panu nie wolno tu przebywać.

- Wy tu chcecie nas wszystkich pozabijać! Widzicie jak blisko jest ta cholera? - popatrzył na komętę.

George się odwrócił.

- Odlecimy stąd mając w zapasie dużo czasu...

- Musimy odlecieć teraz! Wszystko trwa za długo.

- Zapewniam pana, panie...?

- Donnelly - prychnął mężczyzna, niemal z pianą na ustach. - Ja tu tylko robiłem pomiary. Nikt nic nie mówił o czymś takim.

- To zaskoczyło nas wszystkich, panie Donnelly.

- Dlaczego nie przydzielono mnie na któryś z pozostałych samolotów?

- Już jesteśmy na kursie do domu - powiedział George. - Punkt zejścia z orbity jest przed nami. Po drodze będziemy jeszcze brać pasażerów na pokład. Jednak konieczne jest, by wszyscy zajęli miejsca i nam nie przeszkadzali.

Curt wziął intruza za ramię i próbował odprowadzić go do kabiny pasażerskiej. Ten jednak strząsnął rękę i wybuchnął stekiem przekleństw.

George przekazał stery Mary i wstał.

- Proszę wracać na miejsce - powiedział spokojnie.

- Przeszkadza pan w pracy pilotów i stwarza zagrożenie dla wszystkich.

- Pieprz się - warknął Donnelly.

George miał dość i wpakował krótki prawy prosty w brzuch awanturnika. Mężczyzna zwinął się wpół i upadł do tyłu.

- Zabierzcie go stąd - George zwrócił się do stewardesy-ochotniczki.

- Kapitanie - powiedziała - on nie jest jedynym, który tak mówi.

Donnelly usiłował wstać i oddać, ale zmierzył George[^] wzrokiem - a może tylko opanował złość - i *zrezygnował*. Wymamrotał coś o podjęciu kroków prawnych i odszedł z trudem.

George poszedł za nim do kabiny pasażerskiej.

SSTO mógł zabrać dwustu trzydziestu pięciu pasażerów. Na pokładzie było teraz siedemdziesięciu czterech, jeszcze trzydziestu siedmiu miało dojść. Byli rozproszeni po całej kabinie i George wyszukał miejsce, w którym większość powinna go widzieć. Wziął mikrofon.

- Panie i panowie - powiedział. - Wiem, że w tej sytuacji niektórym z was wysiadają nerwy, ale już jesteśmy w drodze do domu. Aktualnie jeden z busów podchodzi do naszej burty; drugi jest tuż za nim. Za bierzemy tych ludzi i na tym koniec. Powtórzę jeszcze raz, już jesteśmy w drodze do domu i nie moglibyśmy zrobić nic ponadto, nawet jeśli byłoby więcej busów, bo musimy zejść z orbity w ściśle określonym momencie. Proszę zachować spokój. To bardzo solidny i niezawodny statek kosmiczny. Jest bardzo szybki i odleciemy stąd dobrą godzinę przed katastrofą. To mnóstwo czasu. I jeszcze jedno... - przerwał na moment. - Nie możemy sobie pozwolić na żadne zakłócenia, bo naraziłyby nas wszystkich. Ja będę zajęty, moja żona również. Nie będziemy więc tolerować żadnych głupstw.

Popatrzył wzdłuż rzędów siedzeń i odnalazł Donnelly'ego, który wpatrywał się w niego ze złością. Większość pasażerów nosiła mundury Bazy Księżycowej. Donnelly i czterech innych cywilów siedziało razem. Doszedł do

wniosku, że to ludzie spoza Bazy, którzy pracowali na powierzchni i ściągnięcie ich zabrało trochę czasu.

- Proszę się nie martwić, kapitanie - odezwał się jeden z ludzi w uniformach, spoglądając znacząco w stronę Donnelly'ego. - Nikt się nie będzie wychylał.

- Dziękuję - powiedział George. - Wiem, że mogę liczyć na waszą współpracę.

Point Judith, Rhode Island. 21:11.

Lukę Peterson odkroił kawałek ciasta z wiśniami, napełnił szklanekę zimnym mlekiem i wsłuchał się w delikatny szum fal. Kilka trawlerów apatycznie sunęło przez mrok, słyszał śmiech dzieciaków na plaży. Poza tym Point Judith wydawało się opuszczone. Na ulicach panowała cisza. Sklepy w centrum handlowym w większości zostały wcześniej zamknięte. Nawet Kroger nie pracował.

Hendersonowie z domu obok powiedzieli, że od dawna planowali odwiedzić kuzynów w Woonsocket, i nie, to nie ma nic wspólnego z kometą. Pete Albuchek z drugiej strony ulicy nagle stwierdził, że też musi odwiedzić starego kumpla w Worcester.

Lukę zastanawiał się czy w domku myśliwskim, w którym zwykle spędzał sobotnie wieczory.

Spróbował ciasta wiśniowego. Dawnymi czasy, razem z Ann traktowali wieczorną przekąskę jak rytuał, często wynosili jedzenie na werandę i posilali się powoli, słuchając nadchodzącego przyływu. Teraz zamiast Ann miał monitor, który stał na półce nad kuchennym stołem. Wycelował pilota, naciśnął przycisk. Ekran wypełnił emblemat Time, po chwili zmienił się w obraz komety. Nałożono na niego wizerunek wiceprezydenta. Podpis brzmiał: CZY GO STRACIMY?

Lukę lubił Haskella. Jak większość Amerykanów instynktownie nie ufał politykom, ale sądził, że Haskell może okazać się wyjątkiem. Przyjaciele Luke'a śmiali się, gdy im to powiedział. Utrzymywali, że nie ma czegoś takiego jak uczciwy polityk.

Postanowił jednak, że jeśli Haskell otrzyma nominację, będzie na niego głosował. Nigdy nie miał dość energii by spróbować dojść, co kto kombinuje. Obie strony sprawiały wrażenie rozsądnych, kiedy przedstawiały swoje argumenty na rzecz zmniejszenia deficytu budżetowego, albo opanowania napływu imigrantów, czy nanotechnologii. Do diabła, Lukę nie miał pojęcia co to jest ta nanotechnologia. Przyjął więc za zasadę działać najlepiej jak potrafił: wyszukiwał kandydata, który wyglądał uczciwie i głosował na niego w nadziei, że elekt zrobi co będzie mógł. Jego syn Christopher lubił mawiać, że krajem i tak nie da się rządzić. Problemy są za wielkie, zbyt trudne do rozwiązania. Naród zbyt głęboko tonął w długach. Granice są śmiechu warte. Co chwila jakaś grupa terrorystów wykańczała kolejny tysiąc ludzi gazem paraliżującym. A tymczasem wszyscy nie mający władzy kierowali osobiste ataki we wszystkich ją mających. Może Chris miał rację. Może nawet Andy Culpepper nie mógł już sobie z niczym poradzić.

Może kometa jest znakiem.

Terminal na Skyport. 21:12.

Samolot, na który Tory Clark miała przydział, wystartował bez niej. Na pokładzie *znalazło* się dwustu dwudziestu dwóch pasażerów i piętnastu członków załogi. Tuż przed odlotem jej telefon piszczał przez kilka minut. Zignorowała go.

Kokpit SSTO Arlington. 21:25.

Moment startu zbliżał się. George z niepokojem obserwował podejście ostatniego busu do dokowania.

Mieli cztery minuty, potem musieli zejść z orbity. Albo zapomnieć o bezpiecznym odlocie.

Słuchał rozmowy Mary z pilotem busu. Wydawało się, że trwa w nieskończoność. W końcu wtrącił się z ostrym ostrzeżeniem. Zastanawiał się, czy klamry wytrzymają, jeśli spróbuje przyspieszać z przyczepionym busem. Nie miał najmniejszej ochoty tego próbować.

Podsluchując telefon komórkowy Mary, słyszał jednocześnie jak otwiera się wewnętrzna klapa oraz głosy, musimy iść, szybciej, szybciej.

Kometa była wielka jak Ziemia, wyraźnie się zbliżała.

- Mary, powiedz mi kiedy wszyscy będą już na pokładzie.

Tym lotem przybyło dziewiętnaście osób, w tym dwójka pilotów. Komplet.

Słyszał jak Mary liczy wchodzących. Czternaście, piętnaście...

- Mamy już tylko dwie minuty, dziewczyno. Popędź ich.

Włączył ogólny kanał interkomu i ostrzegł pasażerów, żeby zapięli pasy.

- Startujemy za moment - oznajmił.

- *Arlington* - tym razem jeden z pilotów busu.

- Słucham.

- Jeszcze nie jest przełączony na auto.

Plan zakładał, że najpierw autopilot odsunie bus na bezpieczną odległość od SSTO, który kiepsko się nadał do manewrowania.

- Dajcie sobie spokój i wsiadajcie - popędził ich - albo odlatujemy bez was.

Odchylił się do tyłu i spojrzał na Curta. Lewe skrzydło mogło zawadzić o bus przy starcie.

- Za minutę będę miał rozwiązanie - powiedział inżynier. Pracował szybko na konsoli.

Kometa zbliżała się. Niedobrze.

- Dziewiętnaście - ogłosiła Mary. - Wszyscy są.

- Niech się przypną. Przygotować się do odrzucenia busu.

Powtórzyła jego rozkaz i czekała.

Liczby od Curta pojawiły się na ekranie George'a.

- Gotów - oświadczył inżynier.

- Odcinaj - polecił George. Kontrolki zamrugały.

- Bus odrzucony.

George zastosował ciąg obliczony przez Curta, SSTO pochylał się w prawo i ruszył w górę.

- Bus został - powiedział Curt. - Powrót na kurs podstawowy. Schodzimy z orbity.

George dał pełny ciąg i samolot orbitalny ruszył w stronę Ziemi.

Mikro. 21:26.

Tony i Saber, zbliżający się do Alfonsa, słyszeli większość rozmowy pomiędzy *Arlington* i busem. Saber zdało się, że zobaczyła krótki błysk światła na welwetowo czarnym niebie, mignięcie, które mogło oznaczać start *Arlington* do domu.

Zostali sam na sam z potworem.

6.

Baza Księżycowa, prywatna jadalnia dyrektora. 21:27.

Impreza wygasła. Jack Chandler poczuł ukłucie żalu kiedy Bigfoot, spojrzawszy kilkakrotnie na zegarek, oznajmił, że musi już iść i wyjaśniając, iż w gruncie rzeczy w ogóle nie powinien się tu znajdować, tylko siedzieć na swoim stanowisku na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

- Co może pójść nie tak? - spytał Chandler, nawet nie słuchając odpowiedzi.

- Chyba wszyscy powinniśmy już pójść - powiedziała w chwilę później Evelyn. - Tym razem lepiej się nie spóźnić.

Pozostali skinęli głowami, popatrzyli na zegarki, dopili drinki.

- Powodzenia - powiedział Haskell, tak cicho, że nie mał niedosłyszalnie.

Morley popatrzył na wiceprezydenta i pokazał na swój laryngofon. Haskell spojrzał na Evelyn, która wzruszyła ramionami. Wiceprezydent skinął głową, Morley poszedł w odległy kąt pokoju, wyjął z kieszeni mikrokamerę, ustawił ją na stole, skierował na siebie i zaczął coś mówić. Chandler nie słyszał słów.

i

Kapelan popatrzył na niego i uśmiechnął się zachęcająco. Wszystko będzie dobrze, Jack.

- Wiem - powiedział Chandler głośno.

Jeszcze nie postanowił co zrobi. A może jednak decyzja już zapadła, gdzieś w jakimś wewnętrznym zakamarku umysłu. Może właśnie dlatego serce tak mu się tłukło, że chyba wszyscy pozostali je słyszeli.

- Wszystko w porządku, Jack? - zapytał Haskell, krzywiąc się.

- Nic mi nie jest. Po prostu ta chwila wywołuje bardzo silne uczucia - przyznał.

Wyszli z jadalni na korytarz, wsiedli do windy, zjechali na poziom gruntu i wyszli frontowymi drzwiami. Na Placu Głównym oczywiście panowała noc. Pod latarniami widniały plamy jasności, oświetlające ławki, witryny sklepików i chodniki. Widok tchnął spokojem, w tych okolicznościach wręcz bolesnym.

Chandler zatrzymał się koło krzewu azalii.

- Zapomniałem czegoś - zwrócił się do Evelyn. - Rodzinnych zdjęć. Spotkamy się na kosmodromie.

- Okay - odparła. - Ale pośpiesz się, Jack.

Skinął głową.

- Pójść z tobą?

- Nie, nie, idź z pozostałymi. Zaraz was dogonię.

Poczuł, że zaczyna się czerwienić.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Pozostali szli w stronę przystanku tramwaju. Ich leniwe dotychczas zachowanie zmieniło się w coś bardziej zdecydowanego.

- Pośpiesz się Jack, okay?

Skinął głową, odwrócił się i zszedł rampą na poziom trzeci, skąd powędrował do swojej kwatery w Dzielnicy McNaira, obszarze zarezerwowanym dla kierownictwa bazy.

Echo jego kroków niosło się pustymi korytarzami. Miał nadnaturalną świadomość tekstury ścian, geometrii przejść. Odnosił wrażenie, że baza żyje, jakby wszystko, co się w niej wydarzyło w jakiś sposób zostało przechwycone i zachowane.

Znalazł swój pokój, wsunął kartę kodową w zamek i otworzył drzwi. Kiedy wyszedł stąd na obiad, nie wiedział czy kiedykolwiek doń wróci. Nawet *teraz* nie był do końca pewien swoich zamiarów. Lecz miał pewność, że nie chce wracać na planetę, do przygniatającego ciężaru w piersi, do ciągłego strachu towarzyszącego kładzeniu się spać, strachu, że się już rano nie obudzi.

Prawdopodobnie mógłby załatwić sobie pobyt na Spaceport, ale nie znalazłby tam żadnej pracy. Byłby balastem, żalonym byłym przekładaczem papierków, zajmującym tylko miejscem i zużywającym zapasy. A brak grawitacji oznaczałby dalszy postęp choroby. Nie. Potrzebował czystego końca. Wyłączyć wszystko i mieć to z głowy.

Przystanek tramwajowy w Bazie Księżycowej. 21:32.

Tramwaj czekał.

Wsiedli po kolei, Evelyn i Charlie, kapelan i Morley. Dziennikarz spytał czy będzie mógł przeprowadzić wywiad z wiceprezydentem, kiedy już dotrą na kosmodrom. Tylko krótkie spojrzenie na jego reakcje, bardzo nieformalne i szybkie. Charlie wiedział, że Rick nigdy nie zgodziłby się na coś takiego bez porządnego przygotowania, w obawie, że Charlie mógłby powiedzieć coś niewłaściwego, przyznać się do strachu, okazać niezdecydowanie, powiedzieć coś, co później mogłoby zostać wykorzystane przeciwko niemu. Przystał więc na propozycję. Potem usiadł, by po raz ostatni przyjrzeć się wnętrzu Bazy. Siedzący koło niego Pinnacle wydawał się jakiś strapiony.

- Wszystko w porządku, kapelanie? - spytał Charlie.

- Tak - wzrok miał nieobecny. - Jest pan szczęściarzem, panie wiceprezydencie. Jakkolwiek się sprawy potoczą, już pan osiągnął wiele w życiu.

Charlie rozmyślał nad tym stwierdzeniem, kiedy pojazd ruszył z przystanku. Minał Plac Główny, zagajniki i ogrody, przejechał wzdłuż ciągu sklepów, które wyglądały jakby były zamknięte od bardzo dawna. W powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonej trawy.

- Nie jestem wcale tego pewien - oznajmił Charlie.
- Przyznaję, że poszło mi lepiej niż kiedykolwiek sądzi-
łem, że to możliwe. Ale to tylko pozycja. Wcale nie wiem,
czy cokolwiek osiągnąłem.

Prawdopodobnie mnóstwo ludzi wspominało ka-
pelana z sympatią, z takiego, czy innego powodu.
A czyje życie poprawiło się dzięki Charliemu Haskel-
łowi?

- Co by pan zmienił w swoim życiu? - zapytał znie-
macka. - Co by pan zrobił inaczej?

Kapelan zamyślił się.

- Weronika - powiedział.

- Weronika? - Charlie spodziewał się odpowiedzi
pobożnej, może wyznania niewystarczającej wyrozumia-
łości. Niczego tak zwyczajnego jak kobiece imię. - Czy to
dawna sympatia?

- Nie. Ku memu wiecznemu wstydomu - Pinnacle
uśmiechnął się nieśmiało. - Dawno temu opanowało
mnie coś w rodzaju namiętności do Weroniki. Kiedy mia-
łem dziewiętnaście lat. Wciąż chyba jeszcze we mnie tkwi.

- Co się stało?

- Niewiele. Kilka randek. W ciągu trzech miesięcy.
Potem straciła zainteresowanie.

- Och - Charlie popatrzył nad ramieniem kapelana
na grupkę więźców. - Musiała to być naprawdę mocna
namiętność, skoro przetrwała tyle lat. Co się z nią sta-
ło?

Kapelan wzruszył ramionami.

- Postąpiłem zgodnie z jej słowami i nigdy tam nie
wróciłem.

- Nigdy?

Pinnacle zaśmiał się króciutko i potrząsnął głową.

- Duma to zabójcze uczucie, nieprawdaż? Najbar-
dziej niszcząca z wad, jak sądzę.

Przejechali przez zadbane park, ze stukotem mijali
przystanki, na których nikt nie czekał. W końcu zieleni
skończyła się. Wyjechali poza Plac Główny, minęli most
nad wykopem, w którym działał Wydział Górnictwa
i Przemysłu. Potem wjechali do tunelu. W tramwaju za-

padła ciemność, po chwili zapaliły się światła. Jechali pod górę.

- A pan? - zapytał kapelan. - Co pan by zmienił?

Charlie zastanowił się nad odpowiedzią.

- Chciałbym mieć kilkoro dzieci.

- Jest pan żonaty?

- Nie - odparł Charlie. - Nigdy nie miałem okazji.

- Zaniechania - powiedział kapelan.

- Przepraszam?

- Żałuję się zawsze rzeczy nie zrobionych. Nigdy tego, co się zrobiło, a nie powinno. Zawsze chodzi o przepiękne okazje.

- Taak - przyznał Charlie. - To chyba prawda.

- Panie wiceprezydencie, sądzę, że będę zupełnie innym człowiekiem jeśli się z tego wykaraskamy.

- Lepiej ukryjmy kobiety - uśmiechnął się Charlie.

Ale kapelan już się nie odezwał.

Nastrój zrobił się poważny. Po chwili tramwaj zaczął zwalniać. Głos automatu ostrzegł przed ostrym zakrętem. Kilka minut później wjechali na terminal. Zanim pojazd się zatrzymał, Morley wstał i zwrócił się twarzą do wszystkich.

- Kiedy dojedziemy - powiedział, - chciałbym wysiąść i przygotować sprzęt. A wy, jeśli to możliwe, wprowadźcie tramwaj z powrotem do tunelu. Na minutkę, naprawdę. Potem wywołam was z powrotem, tak żebym mógł nakręcić wasze przybycie.

Charlie zaczął protestować, ale Evelyn ścisnęła go za ramię.

- Przystań na to - poprosiła. - Zasłużył na parę zdjęć.

- Jeśli nas złapią - rzekł Charlie - ludzie oskarżą mnie o inscenizowanie zdjęć.

- Nikt się nie dowie - oznajmił Morley, kiedy wstąpili na przystanek.

- Czy wiemy jak cofnąć tramwaj? - zaciekawiał się kapelan.

Morley odrobił pracę domową. Podeszedł do skrzynki kontrolnej, otworzył ją i uśmiechnął się do wszystkich.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL. 21:51.

- Tu Keith Morley z Bazy Księżycowej. Do przylotu komety Tomiko pozostało jeszcze około czterdziestu pięciu minut. Dowiedzieliśmy się, że wiceprezydent i pozostałe osoby jadą tutaj, by wsiąść na pokład mikrobusu, który zabierze ich w bezpieczne miejsce.

Opuścili Plac Główny kilka minut temu i powinni być tutaj lada... chwileczkę, chyba słyszę jak nadjeżdżają...

Baza Księżycowa, Dzielnica McNaira. 21:53.

Jack zamknął drzwi za sobą i opadł na sofę. Zaczynało się robić późno i jeśli wkrótce nie wyjdzie, nie będzie już musiał się wahać. Podniósł wzrok, zobaczył fotografie Jeanie i trojga dzieci, zrobione lata temu na Cape Cod. Wszyscy byli wtedy tacy młodzi, Jeanie sprawiała wrażenie okazu zdrowia. Lecz już wtedy choroba zapuściła w niej korzenie. Walczyła z nią do chwili, kiedy ostatnie dziecko opuściło dom, a wtedy poddała się. Sześć tygodni później ją stracił.

Były i inne zdjęcia: tu przyjmuje z rąk Evelyn nagrodę za szczególne osiągnięcia; tam jego twarz nałożono na rysunek Księżyca. Nad biurkiem wisiała pochwała od Bostońskiej Izby Handlowej; koło drzwi dyplom Amerykańskiej Ligi Brydżowej:

*OTWARTE MISTRZOSTWA PAR
WILMINGTON, DELAWARE, 2-4 CZERWCA 2017
FRED HAWLEY, JACK CHANDLER*

Wychowywano go na baptystę. Był to sposób życia, od którego chętnie uciekł, ale wciąż żałował tej spokojnej, chłopięcej wiary, przekonania, że znów zobaczy wszystkich, których kiedyś kochał.

Jeanie. Świetliste oczy. Łobuzerski uśmieszek. Za tym najbardziej tęsknił.

Zrozumiał nagle, że zawsze wiedział, jaką podejmie decyzję. W końcu zostawił fotografię na półce.

Poszedł do łazienki, otworzył apteczkę i wyjął opakowanie środków uspokajających. Wytrząsnął kilkanaście pastylek na drżącą dłoń i przyglądał się im długą chwilę. Potem połknął je, popijając wodą.

Wysłał do dzieci pożegnalne pozdrowienia. Nakreślił je na tle wydarzeń, używając dwuznacznych wyrażeń, sugerując, że być może nie zdoła uciec. Evelyn ukryje prawdę, tego był pewien.

Oparł głowę na poduszkach, zamknął oczy i czekał aż leki zaczną działać.

Kosmodrom **Bazy Księżycowej. 21:57.**

Kiedy powtórnie wjechali na terminal Morley gadał do kamery.

- ...już są - mówił.

Zgodnie z jego sugestiami Evelyn wysiadła pierwsza. Potem Charlie.

- Panie wiceprezydencie - powiedział dziennikarz, tak manewrując, żeby jego ofiara znalazła się w polu widzenia kamery przymocowanej do ściany. - Czy ze chciałby pan powiedzieć kilka słów? Co pan w tej chwili czuje?

Ogłupienie. Ale Charlie postarał się jak mógł.

- Powiedziano mi, że Tony Casaway i Alisa Rolnikaya - wymówił jej nazwisko bardzo starannie, uważając by zabrzmiało jak najlepiej - to dwoje najlepszych pilotów jakich mamy. Jestem pewien, że wszystko skończy się dobrze.

Pojawił się Bigfoot.

- *Mikro* mieści się w czasie - oznajmił drewnianym, sztucznym głosem kiepskiego aktora-amatora. Charlie doszedł do wniosku, że polecono mu wygłosić tę kwestię - Odlatujemy z doku numer cztery.

Przeczekał krótką wymianę zdań pomiędzy Morleyem i wiceprezydentem. Tak, przyznał Charlie, to bardzo denerwująca sytuacja i poczuje się lepiej, kiedy już znajdą się w drodze. Potem odwrócił rolę i spytał dziennikarza o jego odczucia. Reporter był skłonny do współpracy, roześmiał się i w rezultacie nagrali

rozmowę, która -jak Charlie był pewien - wypadła bardzo dobrze.

- To nie oznacza końca załogowych lotów kosmicznych - powiedział Charlie telewizjom podsumowując wywiad. - Znajdziemy sposób by powrócić w kosmos.

Tak naprawdę wcale nie był o tym przekonany, ale wydawało mu się, że coś takiego należy powiedzieć. Ale jeśli „powrót” miał oznaczać ponowne wyruszenie w przestrzeń, było to bardzo mało prawdopodobne. Zabraknie wsparcia ekonomicznego. Może załogowy lot kosmiczny odbędzie się pewnego dnia, ale na pewno w odległej przyszłości, podejrzewał, że po tak długim czasie człowiek zdąży zapomnieć, iż kiedykolwiek latał na Księżyc. Zawsze popierał Moonbase International, Administrację Transportu Księżycowego i NASA, ale zdawał sobie sprawę, że po tych wydarzeniach wiatr zmieni kierunek. Następna kampania będzie nawoływaniem do podatkowego rozsądku. Następnym razem pozwolą by inne pokolenia doprowadzały do swojego zubożenia.

Na krótko dotknęli nieba. I poszło to na marne.

Poczuł pustkę. Biały Dom wydawał się ogromnie odległy, tak daleki i nieosiągalny jak Mars. W oczach zakręciły mu się łzy, nie był pewien czego mu żal - samego siebie czy czegoś o wiele większego.

Bigfoot zaciskał zęby i spoglądał na zegarek. Charlie dał znak, że już dosyć. Morley podziękował mu przed kamerą, pożegnał się, wyłączył sprzęt i jeszcze raz podziękował.

Bigfoot zaprowadził ich do poczekalni.

- Będę podawał informacje przez głośniki - powiedział. - Kiedy wam powiem, pójdziecie tym tunelem - pokazał kierunek. - Na drugim końcu znajdziecie zamknięte drzwi. Otworzą się, gdy *Mikro* wyląduje. Za nimi będzie rękaw. Przejdziecie nim do kabiny pasażerskiej najszybciej jak się da. Okay? Chyba nie muszę podkreślać, że czasu będzie bardzo mało.

- A ty? - spytała Evelyn.

- Nie martwcie się o mnie. Wejdę innymi drzwiami. Wychodząc odwrócił się jeszcze na chwilę.

- Powodzenia - powiedział.
- Potem zniknął. Evelyn popatrzyła na zegarek.
- Robi się późno. Jak myślicie, co zatrzymało Jacka?

Baza Księżycowa, Dzielnica McNaira. 22:01.

Leki najwyraźniej nie działały. Wysunął dolną szufladę pod stolikiem i wyjął butelkę szkockiej. Napelnił kieliszek czystym alkoholem i wypił. Ciepło rozeszło mu się po ciele i napięcie zaczęło maleć.

Zaświergotał telefon komórkowy.

- Jack? - głos Evelyn. - Na miłość boską, gdzie jesteś? Robi się późno.

- Postanowiłem nigdzie nie lecieć, Evelyn.

- Jack, nie możesz tego zrobić.

- Nie chcę wracać.

- Chyba powinniśmy o tym porozmawiać później.

Gdzie teraz jesteś?

- W swoim mieszkaniu.

- Na Boga, Jack...

- Zgadza się. Nie zdążyłbym dotrzeć do was na czas, nawet gdybym chciał.

- Jack...

Słyszał jak Evelyn walczy o kontrolę nad własnym głosem. Miło było wiedzieć, że naprawdę się nim przejmuję. Nie z powodów zawodowych.

- Powodzenia, Evelyn. Uda ci się. I dzięki za wszystko.

Rozłączył się. Kiedy telefon odezwał się ponownie, wyjął baterie i odłożył je na stół. Potem wyciągnął z gniazda wtyczkę telefonu stacjonarnego.

Podszedł bliżej i przyjrzał się dyplomowi z turnieju brydzowego w Wilmington. To był wspaniały weekend. Jeden z najlepszych w jego życiu.

Nalał sobie następną szkocką.

Kosmodrom Bazy Księżycowej. 22:02.

- Idę po niego.

Charlie słyszał co Evelyn mówiła do Chandlera.

- Nie ma czasu - powiedział. - Nawet nie wiesz gdzie on jest.

- Jest w swojej kwaterze. Gdzie indziej mógłby być?
- Jest tam teraz. To bez znaczenia. Dokonał wyboru, Evelyn. Musisz to uszanować.
- Przyciągnął ją do siebie i objął. Policzki miała mokre, drżała cała.
- Powinnam była się domyślić - powiedziała.
- Skąd niby miałaś wiedzieć?
- Zaczęła odpowiadać, ale zrezygnowała i po prostu wtuliła się w niego. A Charlie przypomniał sobie bezgłośne słowa przekazane jej przez Chandlera.
- Kocham cię.
- Cholerny drań - powiedziała cicho.

7.

Manhattan, 22:03.

Louise Singfield mieszkała w apartamencie na dachu trzypiętrowego, licowanego brązowym piaskowcem budynku na 77 Ulicy, tuż koło Central Parku. Był idealny na przyjęcie astronomiczne.

Marilyn i Larry przyjechali taksówką, zgłosili się przez domofon i zostali wpuszczeni. Wjechali skrzypiącą windą na trzecie piętro i wspięli się po schodach do celu. Drzwi Louise wychodziły na wąski podest.

Ze środka dobiegały śmiechy i znajome głosy. Marilyn natychmiast rozpoznała Douga Cabela, szefa Larry'ego. Nie lubiła go, nie z powodu czegokolwiek co zrobił, albo kim był, tylko dlatego, że jej mąż mu się podlizywał. Larry był dobrym mężem. Traktował ją dobrze, zarabiał nieźle, nie oszukiwał, nie miał większych wad. Lecz budził sympatię raczej tym, czego nie robił, niż tym co robił. Byli małżeństwem od trzech lat i zaczęła sobie zdawać sprawę, że musi zadowolić się tym, co ma. Wielka miłość, o której marzyła na uczelni, takiej o jakich czytała niemal codziennie, nie nadeszła. A teraz już wiedziała, że nigdy nie nadejdzie.

No cóż, mogło być gorzej.

Drzwi Louise otworzyły się, stanęła w nich sama gospodyni. Miała na sobie białą bluzkę z marynarskim kołnierzem i długim rękawem, oraz marynarskie spodnie. Bluzka miała dekolt pokazujący część biustu. Nieco przydużo, pomyślała Marilyn, jak na składkowe spotkanie kolegów z biura.

- Miło, że przyszedłaś, Marilyn - powitała ją Louise, cmokając ją w policzek. Podstawiła się Larry'emu do pocałowania i przedstawiła swojego aktualnego. Mike Jakiśtam.

Marilyn знаła większość obecnych osób. Wydział Larry'ego często urządzał spotkania towarzyskie. Doug uważał, że poprawiają morale i popierał je.

Dodali przyniesioną butelkę jamajskiego rumu do puli, przyrządzili parę daiquiri i wyszli na taras. Lany złożył Dougowi zwyczajowy hołd. Szef rzucił uwagę, że noc jest bardzo spokojna, a potem zapytał jak należałoby postąpić ze sprawozdaniem Kiplinger's¹⁶ na temat stanu firmy BRK Merchandising. Czy coś w tym rodzaju.

Kometa z nocy na noc wyraźnie rosła. Teraz dominowała na niebie na wschód od Księżycy. Pobliskie gwiazdy zblakły, a kiedy Marilyn podeszła do odległego końca tarasu, tuż przy dachu, z dala od świateł, zobaczyła poświatę komety, dość silną, by przy niej czytać.

Marv Taylor dołączył do niej.

- Straszna, nie? - zagaił.

Marv, tak jak Larry, pracował jako księgowy. Był spokojnym, łagodnym introwertykiem. Miał jasnoniebieskie oczy, w kolorze porannego nieba i zawsze wyglądał jakby jednocześnie czuł rozbawienie i smutek, jakby znał prawdę o niej. (A jaka była ta prawda o niej?) Nie ożenił się. Kiedy go poznała miał narzeczoną, która potem odeszła, a jej zniknięcie sprawiło Marilyn ulgę, choć nie bardzo wiedziała dlaczego.

- Tak - przyznała. - Nigdy nie widziałam podobnego nieba.

¹⁶ *Jeden z największych zespołów konsultingowych zajmujący się oceną stanu firm. (przyp. tłum.)*

Nie pił nic.

- To jest noc, o której będzie się opowiadać wnu kom.

Marilyn spróbowała swojego daiquiri. Truskawkowy.

- Larry uważa, że będzie skwierceć. Twierdzi, że wszystko w kosmosie, a zwłaszcza komety, skwierczy.

Uśmiechnął się.

- Prawdopodobnie ma rację - powiedział.

Popatrzyła mu w oczy. Marvie Taylorze, miałabym wielką ochotę się z tobą przespać. Ale nie zrobiłaby tego. Gdyby miała pewność, że nic się nie wyda, poważnie rozważyłaby czy nie spróbować. Czuła, że ma prawo do jednego namiętnego wyskoku w życiu. Ale na pewno by się wydało. Larry by wiedział.

Z drugiej strony, jeśli okazałoby się, że to naprawdę koniec świata, jak niektórzy twierdzili, jakie by to miało znaczenie?

Biały Dom, Gabinet Ovalny. 22:04.

Przez tutejsze okna nie było widać Księżyca. Henry zorganizował gorącą linię do gubernatorów stanów, nie zgodził się na nacjonalizację Gwardii (co by tylko wywołało panikę wśród tych, którzy byli do niej skłonni), przeprowadził rozmowy z głowami ponad dwudziestu państw, wydał zgodę na pełne zaangażowanie się USA w prace Sił Reagowania ONZ, i wystąpił w telewizji z pogawędką przy kominku, w stylu F.D.Roosevelta.

W tym był szczególnie dobry. Al Kerr powiedział mu kiedyś, że promieniuje szczerością. Zdaje sobie sprawę, że ludzie są poruszeni, powiedział. Doświadczają czegoś bardzo niepokojącego. Ale Amerykanie nie należą do ludzi, którzy poddają się naciskom i strachowi (w gruncie rzeczy, pomyślał, media bardzo dobrze sobie radziły z nie rozdmuchiowaniem sprawy.)

Jeśli jakiegokolwiek skutki odległej kolizji (podkreślił odległej) będą odczuwalne w USA, to rząd jest gotowy do działania wszystkimi dostępnymi środkami - przekonywał. Wojsko zostało rozlokowane tak, by udzielać porno-

cy gdyby okazało się to potrzebne, co jest bardzo mało prawdopodobne. Agencje federalne były w pogotowiu. A on sam zamierzał spędzić weekend w Białym Domu. Planował obejrzenie dobrego filmu i spodziewał się, że nikt mu nie będzie przeszkadzał.

Machinalnie dodał, że wiceprezydent Haskell wciąż przebywa w Bazie Księżycowej. Powiedział, że jest dumny z niego i pięciorga innych odważnych Amerykanów, którzy zostali razem z nim. (Tutaj go poniosło, Morley był Nowozelandczykiem, kapelan Brytyjczykiem, Hampton pochodziła z Senegalu a pilotka *Mikro*, gdyby została wspomniana, była Rosjanką. Ale nieważne, naród potrzebował natchnienia.) Próba ratowania ich trwała w trakcie jego przemowy, wyraził optymistyczne przekonanie, że wszyscy zostaną bezpiecznie ewakuowani.

Kiedy skończył, Al uścisnął mu dłoń. To było znakomite przedstawienie. Prezydent przemawiał ze swojego mieszkania na pierwszym piętrze Skrzydła Zachodniego. Ściany pełne książek, potrzaskujący ogień w kominku (tak naprawdę to wirtualny, bo wieczór był niezwykle ciepły jak na tę porę roku), portrety rodzinne, wszystko to nadało przemówieniu atmosferę bezpieczeństwa i spokoju.

Oczywiście na ten wieczór nikt nie planował żadnego oglądania filmów.

Po audycji Henry wrócił do Gabinetu Owального, odebrał telefon od Sekretarza ONZ Elie Kopacca w sprawie nie mającej nic wspólnego z kometa i skierował się do pokoju operacyjnego. W holotanku wirtualna kometa zbliżała się do Marę Muscoviense. Na ekranach widniał jej obraz w różnych ujęciach. Po drugiej stronie szklanego przepierzenia kilkunastu operatorów pracowało przy komputerach i telefonach. Wszędzie było pełno mundurów. Zobaczył Mercedes Juarez pogrążoną w rozmowie z łącznikiem z Federalnej Agencji Kryzysowej.

Pokój operacyjny należał właściwie do armii, zazwyczaj wypełniali je zblazowani ludzie, siedzący tu tylko dla wygody głównodowodzącego. Jednak w czasie po-

ważnego kryzysu mógł stać się centrum nerwowym kraju. Odpowiadał za niego kontradmirał Jay Graboski.

Był trochę nawiedzony. Nie przepadał za cywilami, młodszymi oficerami, reporterami czy pracownikami Białego Domu. Żywił przekonanie, że naród znajduje się w głębokiej zapaści moralnej i tylko poddanie wszystkich obywateli wojskowej dyscyplinie wymuszanej przez silną policję zdołałoby zmienić tę sytuację. Tolerował Henry'ego Kollandera bo musiał, ale nie wahał się udzielać mu porad sugerujących te idee, zazwyczaj pod przykrywką „rozprawienia się” z jakąś niewłaściwą praktyką. Pomimo tego wszystkiego Graboski był użyteczny. Znał sprzęt, możliwości i ograniczenia. Nigdy nie tracił głowy. Był brutalnie szczery i nie miał żadnych prywatnych planów, które naruszałoby jego lojalność wobec Stanów Zjednoczonych.

Kiedy Henry wszedł, admirał był otoczony przez kilku swoich poruczników. Spozrzegł prezydenta i podszedł.

- Nic się nie zmieniło, sir - zameldował.

Zegary odliczały ostatnią godzinę.

- Czy próba ratunku mieści się w czasie?

- Tak, panie prezydencie. Mikrobus spotkał się z SSTO dokładnie w terminie. Teraz schodzą na dół, zbliżają się do Bazy Księżycowej.

Zaczął omawiać prace prowadzone na wschodnim wybrzeżu w celu zgromadzenia zapasów i wyposażenia na wyżej położonych terenach.

Henry'ego mało obchodziły szczegóły. Myślał raczej o ostatnich dziewięciu miesiącach swojej kadencji, co miał nadzieję w tym czasie osiągnąć, o kilku rachunkach do wyrównania, o śladzie jaki chciał po sobie pozostawić w historii. Próbował przy tym oszacować jak dzisiejsze wydarzenia wpłyną na to wszystko. Czy, na przykład, śmierć bohaterskiego wiceprezydenta rzuci na niego korzystne światło, czy też ustawi go na kontrastowej pozycji. W końcu można by powiedzieć, że otwarcie Bazy Księżycowej było wydarzeniem o monumentalnej

wadze. Prezydent powinien tam być. A jak by on się tam zachował?

Doprawdy, jak?

WIADOMOŚCI TRANSGLOBAL. 22:05.

-Tu Keith Morley na żywo z Bazy Księżycowej. Rozmawiam przez radio z Tonym Casawayem, pilotem mikrobusu, który podejmuje próbę zabrania nas stąd mniej więcej za dwadzieścia minut. Razem z nim jest drugi pilot, Alisa Rolnikaya. Tony, gdzie w tej chwili jesteście?

- Hello, Keith. Jesteśmy już tak blisko, że widzimy światła Bazy. Przylecimy za kilka minut.

- To dobrze. Nie muszę ci mówić, jak nerwowe było oczekiwanie. Czy mógłbyś podać nam swoją ocenę sytuacji? Jak to wygląda z twojego punktu widzenia?

- Mam mówić prawdę?

- Jasne.

- Nie chcę cię martwić, Keith, ale to wygląda dość strasznie. Kometa praktycznie wisi nam nad karkiem. Pokażę ci widok z kokpitu.

- Widzę. Jest na niebie niżej niż przedtem.

- Tuż przed uderzeniem zniknie za horyzontem. A przynajmniej tak byście to widzieli, gdybyście siedzieli na szczycie korony krateru. Powiem wam szczerze, że będę bardzo szczęśliwy kiedy was zgramę i zwięję jak najdalej.

- Powiem ci szczerze, że podzielamy twoje odczucia. (Chicho) A ty, Saber? Powinienem nadmienić, że Alisa jest Rosjanką i znana jest pod jej dawnym pseudonimem z NATO, Saber. Oboje na ochotnika zgłosiliście się do tej akcji. Coś ci w międzyczasie przyszło do głowy?

- Prawdopodobnie nie powinnam się do tego przyznawać przed całym światem, ale śmiertelnie się boję.

- Coż, Saber, wiedz, że jesteśmy bardzo wdzięczni za przyłączenie po nas.

- Keith?

- Tak, Tony?

-Jak ty się czujesz?

- Tak samo jak Saber. Będziemy czekać na platformie startowej trzymając spakowane pudełka z drugim śniadaniem.

Na pokładzie Diligent, USCGC¹⁷ 344, na East River. 22:06.

Kapitan Peter Bolling wsłuchiwał się w pomruk dwóch silników Diesla V16 i przyglądał się mijanym pirsom i nabrzeżom. Wszystkie były puste.

- To niesamowite - powiedział Dan Packard, pierwszy oficer.

Wybrzeże było oświetlone, jak zawsze. Tu i ówdzie samotne sylwetki patrolowały doki z latarkami i notesami w rękach. W głębi wieżowce Manhattanu wznosiły się pod czystym niebem, takie jak zawsze, niezmiennie, kpiąc sobie z Diligent i jego rozkazów. To naprawdę było niesamowite. Nawet Bolling, który pracował w porcie od dwunastu lat, nigdy nie widział go tak kompletnie opustoszałego.

Diligent był starym 70-metrowym kutrem, czule nazywanym Dilly. Stacjonował na Governor's Island, wcześniej tego wieczoru służył za przewodnika jednostkom przechodzącym cieśninę Long Island Sound. Teraz, w towarzystwie bliźniaczego kutra Reliant, płynął na południe po East River, w ostatnim patrolu przed wypłynięciem przez Narrows na Atlantyk, gdzie będą czekać aż władze dojdą do wniosku, że wydarzenia na niebie nie stworzą niebezpiecznych warunków w zatłoczonych kanałach Nowego Jorku i New Jersey.

Na wypadek gdyby miały powstać wielkie fale, statkom nakazano wypłynięcie w morze na trzy dni i trzymanie się z dala od przybrzeżnych płycizn.

Bolling ukończył Stanford z historią jako głównym kierunkiem. Wyrósł wśród łodzi i wstąpił do Straży Przybrzeżnej trochę dla żartu, chcąc zabawić się kilka lat zanim się ustatkuje i znajdzie prawdziwą pracę. W akademii zdobył patent oficerski i ożenił się z pilotką marines. Lubił takie życie, cieszył się wolnością, a teraz dziwił się, że kiedykolwiek mógł myśleć o pracy w biurze.

Małżeństwo nie trwało długo: zbyt wiele pracy w dziwnych godzinach po obu stronach, żadnych dzieci

¹⁷ USCGC - United States Coast Guard Cutter = kuter Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.)

mogących związać partnerów, może trochę za dużo pieniędzy. Udało im się pozostać przyjaciółmi i utrzymywali ze sobą kontakt. Wiedział, że dziś odprowadziła transportowiec samochodowy aż za ostatnie wschodnie boje i została na statku, który zazwyczaj pływał wzdłuż wybrzeża, zatrzymując się w Filadelfii, Charleston i Brunswick. *Teraz* jednak będzie trzymał się pełnego morza razem z całą flotą handlową, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

- Wyprawiłem rodzinę z miasta - powiedział Packard. - Kiedy tylko usłyszałem.

Bolling znał sporo osób, które próbowały tego samego, ale nie były w stanie zarezerwować sobie żadnego transportu. A jeszcze więcej takich, które wystartowały w drogę samochodem, zrezygnowały i wróciły do domu.

- Nie sądzę, żeby coś się tu działo, Dan - rzekł. - Ale zabezpieczenie się przed kłopotami nikomu jeszcze nie zaszkodziło.

Też się cieszył, że jego eks była w morzu.

Dziwne, jak nocne niebo skłania do obaw. Kiedy dziś po południu stawił się do pracy, wszystko wydawało się wręcz śmieszne. Słońce świeciło jasno, było ciepło i wszyscy śmiali się na myśl o długim wypadzie na Atlantyk. Lecz teraz, kiedy Dilly i Reliant przepływały koło pustych pirsów, panowała śmiertelna powaga.

Jeden statek, Kira Maru kierował się w stronę portu. Diligent wyprzedził go koło mostu Throgs Neck. Po lewej znajdowała się Akademia Marynarki Handlowej, tuż za Kings Point Road. Ruch samochodowy wyglądał normalnie. Może trochę zbyt intensywny jak na sobotnią noc.

Dilly miał na pokładzie środki medyczne, tak na wszelki wypadek. Oraz kilka zbiorników ze słodką wodą. Ktoś w dowództwie traktował komety bardzo serio.

Niebo było prawie tak czyste jak nad Nowym Jorkiem. Późnym popołudniem Księżyc i kometa weszły niemal równocześnie. Wisiały teraz nad głowami, wplecione w most, niemal dostrzegalnie zbliżając się do siebie. Bolling narzucił bluzę na ramiona. O tej porze roku noce na rzece były zawsze zimne.

W kieszeni tkwiły zgniecione rozkazy.

W RAZIE ZŁEJ POGODY CHRONIĆ STATEK

Dziwny dobór słów, pomyślał, wzięwszy pod uwagę czego się obawiali.

*W RAZIE POTRZEBY UDZIELAĆ POMOCY PO 22:00
BEZ PRZERWY UTRZYMYWAĆ KONTAKT RADIOWY
NATYCHMIAST MELDOWAĆ O WSZELKICH ZJAWI-
SKACH HYDROLOGICZNYCH*

Teraz nocne niebo przesłonił most Whitestone.

- Popatrz - Packard wskazał na znajdującą się przed nimi, kilka rumbów z prawej burty, niewielką flotyllę małych jachtów, wszystkiego jakieś dwadzieścia łodzi. Bolling słyszał muzykę niosącą się po wodzie. I śmiech. Lecz trzymali się razem i pomachali do mijającego ich kutra. Kilku strażników odpowiedziało na pozdrowienie.

Prowadził dwusilnikowy, białobordowy jacht firmy Mainship. Na rufie miał wymalowaną nazwę Yankee Liz.

- Ramsey - Bolling zwrócił się do swojego radiooperatora - daj tu Yankee Liz.

Ramsey był prawie dzieckiem, prosto ze szkoły. Zagadał do mikrofonu, posłuchał, skinął głową i popatrzył na swojego szypra. Bolling gestem poprosił o mikrofon.

- Yankee Liz - powiedział - tu Straż Przybrzeżna. Dokąd płyniecie?

Widział kapitana na mostku, pochylonego nad radiem. Był to niski, przysadzisty mężczyzna, za ciemno jednak było, żeby zobaczyć cokolwiek więcej.

- Wynosimy się na noc z cieśniny.

- Dokąd zmierzacie? - ponownie spytał Bolling.

- Peekskill.

- Wszyscy? Płyniecie razem?

- Część udaje się do Croton-on Hudson.

- Nikt nie wybiera się na morze?

- Nie, sir.

- Bardzo dobrze, kapitanie. Dziękuję.

Z lewej burty mijali ciche lotnisko LaGuardia. Bolling widywał je już w takim stanie, zamarłe z powodu silnego sztormu albo strajku. Jak się zdawało wieża pracowała, dawało się też dostrzec pojazdy na drogach dojazdowych. Ale na niebie nie było żadnych świateł.

Minęli wyspę Rikers Island i Heli Gate.

Reliant zniknął z pola widzenia.

Miasto przykucnęło nad rzeką, bezduszne, ponadczasowe, nietykalne. Na obu brzegach widniały światła poruszających się samochodów, wspinały się na wiadukty dojazdowe i mijały się na moście Triborough.

Płynęli dalej, dotarli do stóp Manhattanu, szybciej niż by na to normalnie Bolling zezwolił, ale czuł się przytłoczony wąskimi przesmykami East River. Pokazały się wyspy Governors i Statuy Wolności. Port wyglądał spokojnie, wokół niego bezustannie przetaczał się ruch uliczny. Minął ich prom.

Sprawdził jego rozkład kursów. Promy miały *zakończyć* pracę o 22:30.

- Zaskoczyło mnie, że nie ogłosili zamknięcia mostów do czasu wyjaśnienia się sytuacji - powiedział.

- Myślę, że to byłby koszmar, kapitanie - odparł Packard. - Nie sądzę by ktokolwiek to zrobił, jeśli nie byłby pewien, że coś nadciąga.

Rozmawiali o tym cały dzień. Żaden z nich nie przyznałby się do czegokolwiek innego niż sceptycyzm. Kolejne typowe zawracanie głowy przez rząd. Niemniej Bolling bardzo się cieszył, że przez Narrows wpływa na szeroki Atlantyk.

8.

Mikro. 22:07.

Tony i Saber, podchodzący wzdłuż wiązki naprowadzającej, widzieli światła lądowiska w Alfonsie, jasne i wyraziste, wręcz wesołe na tle monotonnego krajobra-

zu. Słońce znajdowało się za horyzontem wyżyny na wschodzie, prawdopodobnie do świtu brakowało kilku godzin. W tym dziwnym oświetleniu krater wyglądał jakoś inaczej, obco.

Kiedy tylko skończył się wywiad z Keithem Morleyem, Saber zeszła na pokład towarowy i włożyła skafander. Tony cieszył się, że rozmowa z dziennikarzem już się skończyła. Przemawianie do milionów ludzi przerażało go bardziej niż kometa. Na powierzchni globu zmieniły się światła i zaczęły się otwierać wrota.

- *Mikro* - głos Bigfoota w radiu. - Tony, jak stoimy?

- Dokładnie w celu.

- Okay. Wszyscy tu są spakowani i gotowi do drogi.

- Zrozumiano.

-Ale straciliśmy jednego.

- *Baza.*, powtórz.

- Straciliśmy jednego. Chandler nie leci.

- Zrozumiałem - chwila milczenia. - Dlaczego?

- Kłopoty z sercem - Bigfoot zmienił ton. - Kiedy tylko siądziesz na platformie, startujemy z robotą we dług planu. Saber ma na sobie sprzęt?

- Za kilka minut będzie gotowa.

- Okay. Muszę teraz kończyć. Potrzebuję kilku minut na przejście przez służę.

- Zrozumiałem.

- Kiedy znajdę się w doku, będę mógł z tobą rozmawiać, ale nie będę widział żadnych wskaźników. Jesteś więc zdany na siebie.

- Wiem.

Lądowanie w doku na ręcznym sterowaniu to nie rutynowy manewr, ale Tony nie spodziewał się żadnych kłopotów.

- Będziemy mieli wiązkę naprowadzającą przy starcie.

- Dobrze. Zobaczymy się za parę minut, Bigfoot.

Przerwał połączenie i wywołał Saber.

- Końcowe podejście.

- Okay - odpowiedziała. - Jestem gotowa.

Kosmodrom **Bazy Księżycowej. 22:08.**

Na kosmodromie było dziewięć doków serwisowych. Dwa z nich przystosowano do obsługi ciężarówek; w czterech były lobery i skoczki, używane do transportu po powierzchni Księżyca na krótkich i długich dystansach. Pozostałe trzy służyły busom łączącym Bazę Księżycową z LI. Oczywiście z każdego z nich można było wypompować powietrze niezależnie od pozostałych i otworzyć potężne wrota w suficie.

Rozmawiając z *Mikro* Bigfoot siedział w skafandrze. *Teraz* włożył hełm, sprawdził działanie systemów skafandra, wziął pilota, wcisnął go do kieszeni i wszedł do śluzy prowadzącej do doku numer cztery. Już wcześniej odpowietrzył go, otworzył wrota i włączył światła lądowania.

Kiedy na tablicy rozdzielczej pojawiły się zielone kontrolki, otworzył klapę i wyszedł do obszaru roboczego. Wcześniej już przygotował węże zasilające, ciekły tlen i pył aluminiowy jako paliwo, ładowanie akumulatorów, wodę i powietrze. Zgromadził też kilka przezroczystych plastikowych worków z uszczelniaczem, łatami, kluczami, masłem orzechowym (kto wie, jak długa będzie ta podróż?) i części zapasowe, jakich normalnie nie było na pokładzie busu. Przyjrzał się im krótko, starając się zastanowić, czy o niczym nie zapomniał. Nic mu nie przychodziło do głowy.

Włączył radio.

- Tony, jestem w doku.

- Zrozumiałem. Jesteśmy na tysiącu dwustu metrach.

Bigfoot popatrzył do góry. Jęzor ognia z głównego silnika przesunął się na tle gwiazd.

- Widzę was.

- Jak tam kometa?

- Ma się świetnie. Jest poniżej miliona kilometrów

- odpowiedział Bigfoot.

W samą porę.

Standardowe procedury wymagały od personelu Bazy śledzenia lądujących pojazdów i utrzymywania cią-

ełe przepływu informacji aż do chwili znalezienia się statku na platformie. Lecz jeśli Bigfoot został wewnątrz by to spełnić, zbyt wiele czasu kosztowałoby go przedostanie się przez śluzę. Jednak ryzyko właściwie nie istniało. Dok zaprojektowano do przyjmowania o wiele większego busu typu 2665, więc miejsca było mnóstwo, prawdopodobnie po jakieś dziesięć metrów zapasu z każdej strony. Bigfoot wcale by się nie niepokoił, tyle, że teraz pilot się śpieszył.

Zdjął z uchwytów przewody zasilające, które ułożył przy platformie ustawiając tak, żeby móc otwierać przepływ przy dyszy. Kiedy był już pewien, że nic więcej nie da się przygotować przypomniał sobie mikrokamerę, którą dał mu Keith Morley prosząc o ustawienie jej w doku. Rozejrzał się, znalazł stół, wyciągnął teleskopowe podpórki, jak mu pokazano, i skierował obiektyw w stronę platformy. (Ostrzegł Morleya, że może nie mieć czasu by ją odzyskać, ale dziennikarz powiedział, iż wcale nie chce jej odzyskać, bo zależy mu na zdjęciach lądującego i odlatującego *Mikro*.) Schował się potem za ekranem termicznym i podłączył do kanału ogólnego.

- Tu Caparatti - powiedział. - Jesteście przy drzwiach?

Odpowiedziała Evelyn.

- Gotowi do wymarszu, Bigfoot.

Wciąż jeszcze nie otrząsnęła się, pomyślał, słysząc jej głos.

- Okay. Otwieramy mniej więcej za pięć minut. Keith, wszystko masz ustawione i gotowe do działania.

- Dzięki, Bigfoot - powiedział dziennikarz. - Mój szef spytał, czy mógłbyś ją przesunąć odrobinę w lewo, o kilka stopni.

Bigfoot spełnił prośbę, przesuając pomalutku kamerę aż Morley powiedział, że tak jest dobrze.

Przez wrota nad głową zaglądał rąbek Ziemi. W radiu odezwał się głos Tony'ego.

- Jak wyglądam, Bigfoot?

Cholera jasna, wcale mu się nie podobało podglądanie *Mikro* z tego miejsca.

- Dryfujecie troszkę na wschód - odparł. - Nic więcej nie potrafię powiedzieć.

- Zrozumiałem.

Bigfoot przyglądał się poprawce kursu.

-Tak jest dobrze. Kontynuujcie schodzenie.

Przepisy bezpieczeństwa zabraniały personelowi przebywania w doku w trakcie lądowania lub startu. Ryzyko trafienia w strugę odrzutu było zbyt wysokie. Osłona termiczna, za którą się ukrywał, miała służyć do ochrony sprzętu.

Sto metrów.

Zegar na ścianie sali pomieszczenia kontrolnego wskazywał trzynaście po dziesiątej.

Dok pojaśniał od ognia silnika raketowego. Bigfoot usłyszał oboje pilotów rozmawiających ze sobą, przełączył się na inny kanał i posłuchał Keitha Morleya omawiającego sytuację przed całym światem. Dałby głowę, że głos dziennikarza brzmiał jakby gość cieszył się z każdej chwili.

Bigfoot poznał ludzi tego rodzaju w czasie swojego krótkiego związku z Packersami, facetów sprawiających wrażenie absolutnie nieustraszonych, napawających się ryzykiem.

Czterdzieści metrów.

- Odrobinę ciasnawo z tyłu, Tony. Daj o włos do przodu. O tak. Nie za dużo.

Nawet przez skafander czuł żar bijący od silnika.

Zespoły silniczków korekcyjnych ustawiły się pod odpowiednim kątem i odpaliły na moment. *Mikro* ustawił się dokładnie pośrodku.

- Tak dobrze. Sadzaj go.

Jęzor ognia wpadł przez wrota w suficie.

- Pasażerowie przygotować się - powiedział Bigfoot.

- Ptaszyna prawie już usiadła.

Stopy podpór i główne dysze minęły dach, ogień liźnął platformę. Potem do środka wsunęła się reszta podpór ładowniczych, a wreszcie cały kulisty pojazd. Spoczął na amortyzatorach, które osiadły pod jego ciężarem.

Powstałe kłęby pary zaczęły się rozwiewać.

Przez oświetlone okno Bigfoot widział poruszenia w sterówce. *Mikro* wyłączył silnik i inżynier wyszedł zza osłony. Skierował pilota w stronę czujnika na odległej ścianie i wdusił przycisk. Platforma obracała się *razem* z pojazdem do chwili gdy jego główne wejście znalazło się dokładnie naprzeciwko znacznika na pokładzie. Teraz użył innego przycisku. Rękaw Fleminga, wyraźnie krótszy od używanych na LI, rozwinął się od strony bramki do Doku Czwatego, niczym gąsienica przepęznąła przez halę i spiął się ze śluzą.

Tymczasem otworzył się przedział bagażowy i wyskoczyła z niego Saber w skafandrze. Bigfoot odłożył pilota na pokład.

- Najpierw paliwo - powiedział.

- Okay.

Saber podeszła szybko do przewodów, a on otworzył klapy zaworów paliwowych *Mikro*. Bez zbędnych ruchów zamocowali wąż i włączyli pompy.

Teraz Bigfoot poszedł po pozostałe przewody a Saber wzięła pilota i sprawdziła odczyty. Wszystko było w porządku, co oznaczało, że połączenie jest prawidłowe. Ponownie skierowała przyrząd w stronę czujnika i otworzyła drzwi, które wpuściły pasażerów do rękawa Fleminga. Przez radio Bigfoot słyszał jak Morley nadawał w trakcie przedzierania się w stronę statku:

- Bruce, jak widzisz drzwi się w końcu otworzyły i schodzimy po rampie.

Saber podłączyła kabel elektryczny, inżynier pozostałe przewody. Przerzucili wyłączniki i prąd, tlen oraz woda zaczęły płynąć. Następnie wrzucili plastikowe worki do śluzu. Skończywszy to Bigfoot wrócił do przewodów. Przepływy były stałe i w granicach normy. Wzrok powędrował mu w stronę zegara - dwadzieścia po - i z powrotem ku zaworom, gdzie migotały cyfry.

Dwadzieścia trzy po dziesiątej zbiorniki wody i tlenu napelniły się, Saber odłączyła przewody i odciągnęła na bok. Z doładowaniem akumulatorów niewiele mogli

zrobić, zazwyczaj zabierało to około pięciu kwadransów. Trzeba będzie zadowolić się tym, na co starczy czasu.

Krytyczne było paliwo. Zbiorniki wypełnione zostały w około czterdziestu procentach.

Tony zameldował, że pasażerowie przeszli przez służę i wchodzili do kabiny.

- Bigfoot - zwróciła się do niego Saber przez radio
- kiedy skończymy, wejdziemy przez służę towarową. Chcę spróbować dostać się do kokpitu, jeśli mi się uda. Zamkniesz klapę za nami.

- Okay - potwierdził.

Morley wciąż nadawał, mówiąc ściszym głosem, mającym zasugerować dramatyzm sytuacji.

- Na ekranach macie teraz państwo Bigfoota Caparrattiego. Tak, jeśli jesteście fanami futbolu, to jest to ten sam Bigfoot, który grał kiedyś w Packersach z Green Bay.

Dokładnie raz, durny sukinsynu! Czy naprawdę musiałeś to wywlekać?

Saber obserwowała ładowanie.

- Jak idzie? - spytał inżynier.

- Okay, mamy dość do zasilania systemów. Jak z paliwem?

- Prawie połowa.

Ponownie włączył się Tony.

- Wszyscy są w środku, śluza zabezpieczona. Może cie odłączyć rękaw.

Saber wycelowała pilota. Rękaw odłączył się i zaczął zwijać.

Cały świat Bigfoota ograniczył się do dwóch mierników paliwa i zegara. Rozogniskował wzrok, pozwalając liczbom się rozmyć. Oczy Saber za szybą hełmu wyglądały jak czarne szpilki.

Wąski pas czarnego nieba, widoczny przez wrota, zamglił się. Inżynier czuł się rozdarty pomiędzy grozą a całkowitym odrzuceniem wszystkiego jako przejawu hysterii. Wcześniej, kiedy podjął decyzję o pozostaniu, otrzymał połączenie ze swoją matką, która płakała i modliła się; oraz ze starym kumplem, z którym grał

w futbol. Ten uznał go za cholernego durnia, ale oświadczył, że jest dumny, iż znał Bigfoota. Użył czasu przeszłego.

- Możemy ruszać? - spytał Tony.

- Prawie skończone - odparł inżynier.

Dwadzieścia sześć po dziesiątej zbiornik ciekłego tlenu napełnił się i pompa stanęła. Bigfoot odłączył przewód i odrzucił go na bok. Saber uznała, że prądu w akumulatorach wystarczy, wyciągnęła kabel i też odrzuciła.

- Do środka - popędził ją Bigfoot. - Dojdę za minutę.

- Dlaczego nie uznamy, że zbiorniki są pełne i nie wystartujemy?

No właśnie, dlaczego?

Ruszyła w stronę śluzy towarowej, a Bigfoot wyłączył pompę, wyrwał przewód, zakorkował wlot paliwa, zamknął i zaryglował klapę. Cisnął przewodem najdalej jak zdołał, co przy księżycowym ciężeniu było sporą odległością. Potem wystartował tuż za Saber w stronę śluzy, jednocześnie informując Tony'ego, że tankowanie zakończone. Pilotka powiedziała, że urwali trochę czasu, ale nie można jeszcze odpalać silnika. Włąziła do łuku towarowego jednocześnie podając rękę Bigfootowi.

- Jesteśmy w środku - poinformowała Tony'ego.

- Ruszaj!

Bigfoot trzepnął dłonią w panel kontrolny i zewnętrzna kłapa zatrzęsnęła się. Tlen zaczął wypełniać komorę. Silnik zaskoczył i bus zadygotał

Wewnętrzny luk otworzył się. Saber przeskoczyła przezeń i przebiegła przez ładownię, zdejmując po drodze hełm. Umiała się bardzo sprawnie poruszać w zmniejszonej grawitacji i zostawiła Bigfoota daleko z tyłu.

Błyskawicznie wspięła się po drabinie i wpadła do kabiny pasażerskiej, wciąż z hełmem w rękach. *Mikro* zaczął się wznosić.

Tymczasem Bigfoot domknął i uszczelnił śluzę. Potem próbował podążyć za

Saber, ale bus nabierał przyspieszenia, więc ważył coraz więcej. Zanim dotarł do połowy drabinki, zdał sobie sprawę, że nie zdoła wejść i doszedł do wniosku, iż

pozostało mu tylko zamknięcie kłapy pomiędzy pokładami. Zobaczył jeszcze przez moment Saber wspinając się niczym małpa do kokpitu, zatrzasnął właz i zabezpieczył go. Potem zsunął się po drabince. Byli w drodze.

Kosmodrom Bazy Księżycowej. 22:24.

Dzięki kamerze Morleya widzowie na całym świecie oglądali scenę w Doku Czwartym, kiedy Saber odrzuciła przewody i rzuciła się ku otwartej klapie. Potem

w polu widzenia pojawił się Bigfoot, rozważnie poruszający się w niskiej grawitacji, skaczący w otwór włazu. Saber pomogła mu wejść. Służa zamknęła się.

Morley wciąż gadał w tle, opisując spokój pasażerów, przyznając się do napięcia. Później wielu widzów będzie się zastanawiać dlaczego pozostali pasażerowie nie wpadli w furję, zwłaszcza w trakcie końcowego odliczania, kiedy dramatycznym szeptem oznajmiał: „sześć minut do kolizji, pięć minut” i tak dalej.

Chwilami pojawiały się przebitki na komętę, pochodzące z mnóstwa obserwujących ją przyrządów, tak na Ziemi jak i w przestrzeni. Kilka umieszczono w punkcie zero na Marę Muscoviense, skąd patrzyły w górę, wprost na nadlatującego potwora. W prawym, dolnym rogu zegar odliczał czas pozostały do kolizji.

Media oceniły, że pierwszą strużkę dymu z dyszy głównego silnika, poprzedzającą jego zapłon oglądało 3,6 miliarda ludzi, co uczyniło z niej trzecie w historii najliczniej obserwowane wydarzenie, tuż za LXX i LXXII finałami futbolowymi Super Bowl.

Płomień z głównego silnika oślepił ekrany, lecz Morley gładko ciągnął dalej:

- Jak widzę nie mamy obrazu. Bruce od tej chwili będziemy musieli polegać tylko na fonii...

Transglobal podzielił ekran, na jednej połówce umieszczając obraz komety na żywo, na drugiej zdjęcie Morleya w tropikalnej koszuli i panamie na głowie, zrobione w czasie styczniowej konferencji w Rio.

- Opuściliśmy dok, nabieramy prędkości. Słysząc ryk silnika. (Pauza). Przy okazji powiem wam, że przełączyliśmy się na nadajnik pokładowy, dzięki czemu nie tracimy sygnału fonii niezależnie od tego, co stanie się z Bazą Księżycową.

- Trudno mi mówić. Przyspieszenie wgniata mnie w fotel. Powróciła moja waga, ale czuję się tak, jakbym ważył dobre kilkadziesiąt kilogramów więcej. Niebo wygląda inaczej niż tydzień temu, gdy tu przyleciałem. Jest rozjaśnione.

- Nie widzę pilota. Klapa do kokpitu jest zamknięta. Chwilę temu Saber Rolnikaya przeszła tam przez kabinę z przedziału towarowego. Miała na sobie skafander, w rękach hełm, który dała mi. Zamierzam postarać się go zatrzymać jako pamiątkę wydarzeń.

- Jakkolwiek się to skończy, wszyscy powinni zdać sobie sprawę, Bruce, że jest to grupa bardzo szczególnych ludzi. Nie możecie ich już zobaczyć, ale trzymają się znakomicie. Nie wiem, co im *teraz* przebiega przez myśl, ale mogę powiedzieć co wypełnia mój umysł. Jestem przerażony.

AstroLab. 22:33.

Feinberg udał się do AstroLab, gdzie obserwował zbliżanie się komety z pomieszczenia operacyjnego. Kilkanaście monitorów pokazywało fluktuacje pola magnetycznego, względną prędkość, jasność komety, analizy spektralne. Obserwatorium z niewidocznej strony użyło chemicznego lasera tlenowo-jodowego do odparowania niewielkiego kawałka Tomiko. Analiza wykazała niewielką, ale znaczącą, zawartość tytanu i aluminium. Jaka kometa zawiera metale przemysłowe?

- Naprawdę się temu dziwię - powiedział Feinberg do asystentki, której mógł ufać, że nie będzie rozgłaszała jego słów. - Możemy ponieść niewyobrażalną stratę.

Asystentka wiedziała, że nie ma na myśli Księżyca, ani zagrożenia ze strony spadających skał. Skinęła głową.

- Żałuję, że nie mogliśmy się jej bliżej przyjrzeć - ciągnął Feinberg. - Wylądować na niej. Przekopać.

- Jest zbyt szybka - odparła. - Nawet gdyby tylko przelatowała, nigdy nie zdołalibyśmy jej dopaść.

Feinberg wpatrywał się w obraz Tomiko na ekranie. Czym ty jesteś?

Kometa straciła znaczącą część swojej początkowej prędkości, lecz wciąż pędziła z wiatrem słonecznym pokonując w minutę niemal dwadzieścia cztery tysiące kilometrów. Połowę obwodu Ziemi w trzydzieści sekund.

Astronomowie wciąż próbowali dojść źródeł takiej szybkości. Matematyk z Uniwersytetu Hamburgskiego, znany z metafizycznych skłonności zasugerował, że kometa została wycelowana, a jej prędkość miała posłużyć jako wskazówka, iż nie jest to zdarzenie naturalne, tylko ostrzeżenie. Nie rozwinął tych myśli dalej.

Sieci informacyjne i Internet w czasie ostatnich godzin poprzedzających katastrofę były pełne napomnień do pojednania się z Bogiem.

Księżyc był w pierwszej kwadrze. Widziany z Nowego Jorku znajdował się po zachodniej stronie nieba. Kometa stanowiła wspaniały widok, rozciągnięta po firmamencie, z warkoczami wyrzucenymi daleko w przód, przytłaczająca naszego satelitę, sięgająca na drugą stronę Atlantyku aż poza horyzont. Otaczająca ją aureola była za to jasna i wyraźna, kokon ze złotego światła.

Marylin Keep patrzyła na zbliżającą się do Księżyca Tomiko z tarasu Louise. Larry'ego najwyraźniej satysfakcjonowała rozmowa o finansach z innymi facetami oraz pozostawienie jej w towarzystwie Marva i zachowywanie się jakby był jedynym mężczyzną na świecie. O wpół do jedenastej czuła już, że wypłała za dużo. Marv wykorzystywał każdą nadarzającą się sposobność, kiedy byli tylko we dwoje - krótkie spotkanie na tarasie, minięcie się w korytarzu - by otrzeć się lekko o jej biust, albo pośladki. Nie miała nic przeciwko temu, o ile tylko nikt ich nie przyłapie. Te krótkie sugestie brania w posiadanie sprawiały jej przyjemność, miłe były te chwilowe przypływy podniecenia. Po raz pierwszy w czasie małżeństwa pozwalała na coś takiego. Kiedy z wyrzutem spoglądała na Marva, w jego oczach pojawiał się

figlarny błysk. A opuszkami palców delikatnie muskał jej biodro, jakby robili to stale, jakby mieli jakiś wspólny sekret. Tak więc się zdarzyło, że kiedy kometa uderzyła w Księżyc, kiedy oczy wszystkich zwrócone były w niebo, Marilyn była zajęta czymś zupełnie innym.

W Point Judith Lukę Peterson obserwował zdarzenie przez polową lornetkę ze swojego podwórka za domem. Czytał i widział dość, by wiedzieć, że w pobliżu wody naprawdę jest bardziej niebezpiecznie. Ale noc była spokojna, niebo pełne gwiazd, oprócz okolicy, z której wymiotła je kometa. Tu właśnie żył. Jeśli Bóg uruchomił dziś całą tę maszynę by go zglądzić, coż, Bóg znajdzie go w domu.

I żadnych reklamacji.

W Carlisle, w Pensylwanii, padało i nikt w ogóle nie mógł zobaczyć Księżyca. Claire Hasson i Archie Pickman siedzieli z trojgiem Esterhazy, oglądając reportaż Keitha Morleya z platformy startowej. Dla Archiego było to bardzo ekscytujące, pomimo sceptycyzmu gospodarzy.

- Widzicie? - powiedział starszy Esterhazy, nie zwracając się do nikogo w szczególności, kiedy *Mikro* odezwał się od powierzchni. - Co wam mówiłem? Odlecieli bez szwanku.

Syn Jeffa bardzo go przypominał, wyjąwszy protekcyjnalny uśmiezek, który sprawiał wrażenie, że na stałe przylgnął do jego twarzy. Oprócz tego miał taką samą ściągniętą twarz, podobną okrągłą głowę, ten sam irytujący wyraz twarzy. Z męskimi członkami rodu Esterhazy się nie rozmawiało, ich się wysłuchiwało.

Archie zastanawiał się głośno, czy wiceprezydent zginie.

- To śmieszne - oznajmił Jeff. - Nie wierzysz w to, oczywiście, prawda?

Popatrzył na Archiego ze współczuciem.

- Archie - odezwał się Scott, suchym tonem czło wieka doświadczonogo - cała ta historia to wyborcza szopka.

- Sądzisz, że Biały Dom kontroluje komety?

- Nie denerwuj się - mitygował go Jeff - ale ludzie spostrzegli okazję i skorzystali z niej. Tak wszystko zorganizowali, żeby Haskell wyszedł na bohatera. Niebezpieczeństwo nie istniało, od samego początku. Będzie się wydawało, że udało mu się o włos, musi tak się wydáwać, ale na pewno im się uda.

Archie zauważył Mariel potrząsającą głową, w komentarzu do słów męża. Zamknij się proszę, mówił ten gest.

- Nie zgadzam się z wami - powiedział.

- To właśnie jest ich zysk - odparł Scott. - Jesteś inteligentnym człowiekiem, Archie, a jednak zrobili cię w konia.

Kapchikowie wydostali się z Pacifica i dość głęboko wjechali w Diablos. Znajdowali się na dwupasmowej, górskiej drodze, wysoko nad dnem doliny, porośniętej głównie krzakami. Słońce akurat zachodziło za wzgórze za ich plecami. Ten sam Księżyc, wraz z kometą, który rozświetlał nocne niebo nad Rhode Island, tu wisiał wprost nad głowami w świetle dnia. Od opuszczenia San Francisco poruszali się w gęstym ruchu, bardzo uważając by się nie rozdzielić. Lecz teraz znajdowali się wysoko, na pewno nie zagrożeni żadną powodzią i szukali miejsca na postój, kiedy natrafili na grupkę sklepików turystycznych. Rdzewiejący szyld obwieszczał, że jest to Centrum Handlowe Jenkins Point. Znajdowała się tu stacja doładowcza, meksykańska restauracja oraz sklep z pamiątkami. Chociaż jechali od kilku godzin, słońce doładowywało akumulatory, wciąż więc jeszcze mieli je prawie pełne.

Samochody elektryczne lat dwudziestych były o wiele bardziej ekonomiczne od swoich benzynowych odpowiedników. Brakowało im przyspieszeń, jakie wolałyby większość kierowców, oraz wymagały okresowego doładowania, jeśli użytkowano je nocą lub w pochmurny dzień. To była największa wada systemu, ładowanie zajmowało bowiem pół godziny i przy niesprzyjających warunkach mogło okazać się konieczne co pięć godzin. Ale w słońcu mogły poruszać się niemal w nieskończoność.

i

■ i

Centrum Handlowe Jenkins Point znajdowało się w widokowym miejscu na zachodniej krawędzi doliny San Joaquin.

- A może tu byśmy zatrzymali się na noc, kochanie?
- zasugerował Jency.

Miejsce było równie dobre, jak każde inne, które mogli *znaleźć*, przytulone do zbocza góry. Inni ludzie najwyraźniej też wpadli na ten pomysł. Około czterdziestu samochodów zaparkowano na dodatkowym parkingu, po południowej stronie drogi, naprzeciwko sklepików. Wciąż było tam mnóstwo miejsca.

Jerry zjechał z autostrady. *Znalazł* miejsce, w którym mogli ustawić obydwie samochody obok siebie, pod starym płotem ze sztachet. Za nim, zbocze wznosiło się stromo na dobre sześćdziesiąt metrów. Dzieci zapytały, czy mogą wejść na samą górę, ale straciły zainteresowanie, kiedy Marisa pokazała im, że nie ma tam żadnej drogi dojścia. Zgodziły się w zamian na restaurację o nazwie „Pablo's”.

Jerry stanął na skrajnym, wschodnim końcu parkingu. Dlatego znaleźli się na skraju tłumy i miejsce wydawało się idealne do rozstawienia teleskopu. Po lewej ręce Jerry'ego teren obniżał się gwałtownie, spadając w wąwóz.

Księżyc świecił jakby za mgłą, miał zmiękczone kontury.

Tomiko wyglądała jak jasny, mglisty kłębek, lecący za własnym warkoczem, w dół. Ludzie zgromadzili się na parkingu, z zadartymi głowami, w milczeniu. Ruch na dwupasmówce zamarł, samochody opustoszały.

Erin zapytała gdzie jest Baza Księżycowa. Chciała, żeby Jerry tak ustawił teleskop, by mogła zobaczyć lunobus. Nie było jednak dość czasu, nawet gdyby w tym przyrządzie dało się zobaczyć tak mały obiekt, w co wątpił.

Jedyną osobą, która w tej chwili miała szansę zobaczyć *Mikro* odlatujący z powierzchni Księżyca była Tory Clark, która zmieniła pozycję znajdującego się na LI zespołu teleskopów ADCOM i zaprogramowała na śle-

dzenie jakiegokolwiek ruchomego obiektu w rejonie krateru Alfons. Jednak oświetlenie było niekorzystne do obserwacji przy tej odległości i powiększeniu, więc i jej się nie udało.

Pasażerowie na pokładzie Merrivale musieliby patrzeć na wschód, żeby zobaczyć kolizję. Lecz niebo było zachmurzone i lekka mżawka moczyła pokłady. Horace jeszcze nie otrząsnął się po stracie Amy i tej nocy w ogóle nie zdawał sobie sprawy z wydarzeń dziejących się na niebie.

Arecibo, śledzące kometę przez całe sześć dni jej przelotu oceniło, że prędkość w chwili uderzenia będzie wynosić 417.6 kilometra na sekundę.

W AstroLab Wesley Feinberg patrzył jak zbliża się do Księżyca z mieszaniną satysfakcji i smutku. Kolizja będzie upajająca, astronomiczna orgia, unikatowa dla tego pokolenia. Lecz tę najbardziej fascynującą z komet mieli właśnie stracić.

Jądra kometarne często są bardziej spoiste niż ich wygląd „brudnej kuli śniegowej” sugerował dwudziesto-wiecznym astronomom. Czy tak jest w przypadku Tomiko, czy też jest to asteroid, na którym zgromadziło się mnóstwo śniegu i pyłu, czy też jest to coś zupełnie innego, nikt nigdy się tego nie dowie.

9.

Kabina pasażerska *Mikro*. 22:34.

Na pokładzie *Mikro* także obserwowano kometę. Obrazy przekazywane z obserwatorium na niewidocznej stronie stały się samym światłem. Nawet w ładowni, gdzie Bigfoot rozścielił kilka poduszek, pozostawionych tu dla niego przez Tony'ego, monitor przekazywał obraz z Transglobal. Na ekranie widniało zdjęcie Keitha Morleya, a z głośnika dobiegała rozmowa na żywo prowadzona przez niego z Bruce Kendrickiem na Ziemi.

- Tu, w *Mikro*, Bruce, jest bardzo spokojnie. *Teraz* tylko czekamy co się stanie.

- Czy cokolwiek już widać, Keith?

- Nie. Horyzont otacza luna. We wszystkich kierunkach. Chciałbym mieć kamerę, żeby móc wam to pokazać. Lecz, na ile mogę powiedzieć, nic się tu jeszcze nie zdarzyło.

- Jak wysoko jesteście?

- Nie wiem. Wysoko. Może z sześć kilometrów.

W chwilę później, kiedy eksplozja rozjaśniła całe niebo, od powierzchni dzieliło ich niewiele ponad pięć tysięcy metrów.

Kolizja nastąpiła o 22:35:17 EDT.

Świat obserwował ją przez zespół orbitujących teleskopów. To, co zobaczono przypominało nie wielkie zderzenie z meteorytem, ale uderzenie pioruna. Tomiko wypełniła niebo, soczewki, unosiła się w polu widzenia tak długo, że znikło wszystko oprócz niej. A potem bezgłośnie runęła w dół, nie jak ogromny kawał skał i lodu, nie jak gigantyczna spadająca gwiazda. Bardziej kojarzyła się z błyskawicą walącą w powierzchnię Księżyca, topiącą regolit i leżące pod nim skały, rozbijającą księżycowy płaszcz, zamieniającą w parę wszystko w promieniu setek kilometrów od punktu zero.

Księżyc zadygotał.

Głowa komety wdarła się głęboko w skały zanim eksplodowała ogromną kulą ognia, która roztopiła płaszcz na głębokość ponad sześciuset kilometrów, odsłaniając zewnętrzną warstwę jądra globu. Fale uderzeniowe popędziły przez skały z prędkością tysięcy kilometrów na godzinę. Kula ognia wydostała się nad pękającą powierzchnię, poruszając się jakby w zwolnionym tempie, rozlewając się wokół Księżyca, otulając go, pochłaniając.

Tony patrzył jak się zbliża. Z punktu, w którym się znajdował wyglądała jak ściana ognia nadciągająca z północy. Wyczuł nagłe znieruchomienie w przedziale pasażerskim, zobaczył jak pod nimi krajobraz księżycowy-

wy kruszy się, jak Alfons znika w otchłani. Chmura pyłu przetoczyła się nad kłębowiskiem, zaciemniony kokpit zalał czerwony blask.

Mikro uciekał przed ogniem, odczołgując się ze stałym przyspieszeniem jednego g.

Czujniki wybuchły kaskadą piknięć i świergotów. Odłamki załomotały o kadłub. *Mikro* zadygotał, kiwnął się i zarzucił, listek miotany huraganem. Odpadła podpora, zapaliło się światło ostrzegawcze.

Ogień wypełnił niebo.

Blask poraził Tony'ego w oczy, płomienie liznęły pękatą osłonę kokpitu.

Saber wyłączyła sygnał alarmowy.

- Wzrasta temperatura na zewnątrz - powiedziała. Tony skinął głową i powstrzymał się od sarkazmu.

Coś uderzyło ich od dołu, podrzuciło, wstrząs od rzucił mu głowę w tył. Grodzie i pokłady zajęczały.

- Linia wodna - rzuciła Saber. - Ładownia.

Oznaczało to, że Bigfoot miał kłopoty.

- Zamknij ją - polecił Tony.

- Zrobione.

Silniczki korekcyjne odpalały jak szalone, usiłując utrzymać stabilność.

Tony został rzucony na pasy, potem wbity w siedzenie. *Mikro* zatoczył się, opadł, skoczył w górę. Nawalnicą porwała go ze sobą, stalową bańkę w morzu ognia.

Ciągłe sprawozdanie Morleya było nadawane do satelity Comsat, za jej pośrednictwem przekazywane do studia w Nowym Jorku, gdzie włączano je do sygnału Transglobal, z którym wracało na konsolę Tony'ego.

Lecz sygnał ten, co wcale nie było dziwne, umilkł. Monitor pokazujący program Transglobal wypełniło morze zakłóceń. Tony pomyślał o poinformowaniu dziennikarza, że mówi już na próżno, że może dać sobie spokój, ale postanowił tego nie robić. Dzięki temu Morley był zajęty i może stanowił dla pozostałych jakąś nitkę łączącą ich z bezpieczeństwem.

- Silnik się przegrzewa - zameldowała Saber.

- Zrozumiałem.

Niech się przegrzewa. Będą mieli szczęście jeśli okaże się, że to najgorsze co ich spotka. Coś załomotało wewnątrz.

- Kabina pasażerska - powiedziała Saber.

- SC - dodała, czyli system chłodzenia.

Nie ma się czym przejmować.

Struga roztopionej skały chlusnęła na kopułę. W szkle pojawiły się pęcherzyki gazu. Tony połączył się z ładownią.

- Bigfoot, wszystko w porządku?

- Świetna jazda, Tony.

- Robię co mogę. Już się prawie wydostaliśmy.

Saber zerknęła na niego. Na zewnątrz kotłował się ogień.

- Dlaczego to powiedziałeś?

- W ten sposób, czy w inny. Dużo więcej nie wytrzymamy.

- Silnik przekroczył limit - oznajmiła.

Nie mógł go wyłączyć. *Mikro* potrzebował prędkości dwóch i czterech dziesiątych kilometra na sekundę by nie dać się ściągnąć na powierzchnię. Dochodził w tej chwili do dwóch i dwóch dziesiątych. Patrzył jak szybkość rośnie powoli, nie wiedząc czy jeszcze w ogóle jest gdzieś jakaś powierzchnia, na którą można spaść, podejrzewając, że niezależnie od tego co zrobi, żywił porwie ich ze sobą.

Dwa i dwie dziesiąte.

Nawałnica stuknęła, łomotała i grzmociła w kadłub.

Kiedy osiągną prędkość ucieczki będzie musiał wyłączyć silnik. Albo ryzykować zniszczenie silnika i prawdopodobnie statku.

- Tony, przeginamy!

- Nic się nie martw - odparł. - Ten sprzęt ma za wsze pewien margines bezpieczeństwa.

Dwa i trzy dziesiąte.

Czerwone lampki mrugały na całym pulpicie. Dwa i cztery dziesiąte. Tony odczekał jeszcze minutę i wyłączył silnik.

Lecąc teraz stosunkowo cicho nasłuchiwali uderzeń nawałnicy o kadłub, pisków z pulpitu i elektronicznego mamrotania przyrządów.

Saber wzięła mikrofon.

- Wszyscy tam na dole w porządku?

Odpowiedział jej głos Evelyn:

- Żywi i zdrowi.

- Dobrze. Trzymajcie się. Wiemy, że jest głośno, ale i tak radzimy sobie nieźle.

Wyjaśniła dlaczego wyłączyli silnik.

- Wciąż jeszcze lecimy. Za kilka minut znów damy ciąg i zaczniemy przyspieszać.

W tej chwili płomień zgasł i *Mikro* wzniósł się ponad wielkie, ciemne, kłębiące się chmury. Struga ognia wyprysnęła z jednej z nich i z wdziękiem przeleciała przez pole widzenia Tony'ego.

Potem znalazł się wśród gwiazd. Ziemia, błękitna i spokojna unosiła się niemal wprost przed nimi.

Saber westchnęła z poczuciem szczęścia.

- Za wcześniej - zgasił ją Tony.

Jakby dla podkreślenia jego słów kawał skały wielkości półciązarówki wirując wyleciał z jednej z chmur i urwał im antenę pomocniczą. Byłby zrobił coś o wiele gorszego, ale Tony zareagował błyskawicznie i usunął się z drogi.

Kokpit SSTO Arlington, 20000 kilometrów od Księżycy. 22:36.

Czoło fali uderzeniowej eksplozji rozchodziło się z prędkością niemal trzystu kilometrów na sekundę. Jeszcze dwa statki znajdowały się na jego drodze: *Arlington*, w odległości jakiejś godziny lotu i *Rome*, który odleciał już sześć godzin temu.

George Culver niewiele mógł zrobić dla ochrony swojego samolotu oprócz zwiększania dystansu między nim a Księżycem jak się tylko da. Krótkie, grube skrzydła podtrzymujące SSTO w trakcie lotu w atmosferze były schowane, anteny złożone, pasażerowie ostrzeżeni przed zbliżającymi się turbulencjami.

W tym przypadku słowo to stanowiło pewne niedomówienie. Wydawało się, że za nimi cały wszechświat stanął w ogniu.

Mary otarła usta wierzchem dłoni.

- No nie wiem - powiedziała, obserwując zbliżającą się falę uderzeniową.

Siedzieli tam za długo. Nie było dość czasu, żeby zabrać wszystkich, ale nikt nie chciał tego przyznać. Powinni byli odlecieć razem z *Rome*, pogodzić się ze stratami i zwiewać. Ale kto miał podjąć taką decyzję?

- Trzymać się.

Tylko tyle George zdołał wymyślić, kiedy dotarła do nich fala uderzeniowa.

AstroLab. 22:37.

AstroLab leżało w centrum Massachusetts, niedaleko sztucznego zbiornika Quabbin. Mieściło się w jednym z tych jaskrawych, ultranowoczesnych, abstrakcyjnych budynków ze stali i szkła, który wedle projektu miał odzwierciedlać matematyczną płynność, a tymczasem tylko szpecił krajobraz. Dobrze by się prezentował gdzieś na Commercial Street w Bostonie, a wśród lasów i jezior wyglądał obrzydliwie. Wesowi Feinbergowi przywodził na myśl kleks z limonowozielonej galarety.

W momencie katastrofy Feinberg zrobił coś, co znający go mogli łatwo przewidzieć: opuścił hałaśliwe wnętrza AstroLab, gdzie jego koledzy z wstrzymanymi oddechami tłoczyli się wokół głównego ekranu, obserwując potoki danych napływających przez radio, z teleskopu czułego na podczerwień, i z tego pracującego w ultrafioletcie, ze zliczających fotony półprzewodnikowych kamer i detektorów ultrafioletu. A potem ruszył w stronę północnego chodnika.

Noc była zimna, cieszył się, że ma na sobie wełniany sweter. Wcisnął ręce do kieszeni i spojrzał w górę ponad drzewami. Tam gdzie był Księżyc, teraz widniała krwistoczerwona chmura rozświetlona wewnętrznym ogniem. Rozszerzała się, rzucając rudy poblask na las.

Placówka była przepelniona. Klębiło się tu mnóstwo ludzi z wybrzeży i kilku miejscowych, którzy uznali, że to dobre miejsce na dzisiejszą noc. Feinberg rozmawiał z kilkoma. Nikt nie przyznał, że to jest realne zagrożenie dla planety; a jednak znaleźli się w głębi ładu.

- Lepiej dmuchać na zimne - powiedzieli mu.
Amerykańskie motto: bezpieczeństwo przede wszystkim.

Na parkingu widział światła latarek. Ludzie zbierali się razem, obserwując zdarzenie, ochając i achając.

Okrzyki typu: „Popatrzcie na to!”, oraz „To jest piękne”, wypełniały powietrze. Na okolicznych wzgórzach i na terenach piknikowych płonęły ogniska. Od czasu do czasu błyskał flesz, kiedy ktoś usiłował zrobić zdjęcie.

Kabina pasażerska SSTO *Rotne*, 143000 kilometrów od Księżyca.

Tashi Yomiuri myślała, żeby postawić wszystko na jedną kartę, tak jak to zrobił Morley, ale w końcu rozważa wzięła górę. *Teraz*, obserwując wybuch na monitorze wiedziała, że solidne zwiększenie odległości od tego piekła było właściwą decyzją. Właśnie stracili łączność z Morleyem, i choć Bruce Kendrick prowadził program tak, jakby połączenie miało za chwilę nastąpić, Tashi wierzyła, że jej kolega już nie żyje. Pośmiertny Pulitzer? Może. Prawdopodobnie. Ale to była cena, której ona nie chciała płacić.

Istniało porozumienie pomiędzy sieciami, zwane Kotłem i wszystkie wiadomości nadawały sprawozdanie Morleya. Ale jej producent z Nowego Jorku ostrzegł ją, żeby w każdej chwili była gotowa do roboty, *teraz*, gdy Keith się już nie liczył.

- Potrzebne nam są szczegółowe informacje z tego, co się dzieje - powiedział. - Jesteś tak blisko -jego głos brzmiał radośnie. - Co widzisz? Jakie są reakcje pasażerów? Ktoś się załamał?

Tak naprawdę nie miała pojęcia co się dzieje, jedyny obraz wydarzeń, jaki widziała pochodził z sieci. Parę

minut wcześniej spostrzegła rozbłysk za oknem, przypominający błyskawicę letniej burzy, teraz jednak nie widziała nic, oprócz niewielkiej poświaty na uniesionym stoliku. Wcześniej przeprowadziła wywiad z Rickiem Haileym, doradcą prasowym wiceprezydenta, który siedział w przedniej części samolotu. Rozmowa przebiegła dość spokojnie, Hailey był zbyt starym wyjadaczem, żeby powiedzieć cokolwiek niestosownego. Rząd zareaguje we właściwy sposób, zapewnił ją, naród może uważać się za szczęściarza, bo w tym krytycznym czasie ma silnego przywódcę. Reszta brzmiała podobnie.

O wiele lepszy wywiad przeprowadziła ze Slade Elliotem. Zaskoczył ją przyznaniem, że tak, jest przerażony, a kto nie jest, ale rozmawiał z pilotem, Johnem Verano, a ten wydał mu się kompetentny i pewny siebie.

Czy w takiej chwili chciałby mieć Shadow? Był to obdarzony świadomością statek, na którym w telewizji kapitan Pierce i jego załoga dziwaków przemierzała galaktykę.

- Jasne - uśmiechnął się łobuzersko - taki lot byłby dla Shadow bułeczką z maselkiem.

Tashi rozpoznała także dwoje wiceprezydenckich agentów Służby Specjalnej, potężnego faceta zwanego Sam, oraz atrakcyjną, młodą kobietę, która wyglądała jak ucieleśnienie niewinności.

W samolocie było kilka pustych miejsc, więc Yomiri udało się utrzymać dostęp do przejścia. Miała ze sobą kamerę i jeśli statek zacznie się kiwać, zrobi trochę niezłych ujęć i może wyjdzie z tej sytuacji nieco wygrana.

W kilka minut po utracie sygnału od Morleya, Tashi pojawiła się na żywo w sieci Pacific News. Opisała nastrój panujący w samolocie, sporo zmyślając, jako że wcale nie był jednorodny. Część ludzi szczęśliwie nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, inni byli przerażeni. Lecz Tashi odmalowała obraz pasażerów-twardzieli bo to się lepiej nadawało do wiadomości, a poza tym, w gruncie rzeczy, wcale nie było tak dalekie od prawdy -jeśliby przyjąć średnią z nastrojów.

Przerwał jej komunikat z głośników:

- Tu kapitan, Panie i Panowie, prawdopodobnie za kilka minut będziemy musieli trochę pomanewrować. Być może dość intensywnie; przewidujemy, że będzie to przypominało lot przez burzę. Jednak chciałbym państwa zapewnić, że znajdujecie się w bardzo solidnie skonstruowanym samolocie i na pewno wyjdziemy z tego w całkiem dobrym stanie. Tymczasem poproszę was, żeby zamocować wszystkie luźne przedmioty, aby nie zraniły kogoś. Dopilnujcie, proszę, żeby stoliki zostały podniesione, a wszystko, co nie zamocowane znalazło się w bagażnikach pod sufitem. Powiadomimy was, kiedy wszystko się skończy.

Yomiuri odetchnęła głęboko i powróciła do swojego komentarza. W słuchawkach rozległo się piknięcie i odezwał się jej producent:

- Tashi, podłączamy się do Kotła.

Znajdzie się na ogólnowiatowej antenie.

- Okay - potwierdziła.

- Za minutę. Twoim prowadzącym będzie Clyde Sommer. Tylko dla twojej informacji, o ile wiemy nikt nie zdołał ponownie nawiązać łączności ani z *Mikro*, ani z drugim samolotem.

Od tej wiadomości zrobiło się jej zimno.

- Bardzo mi przykro.

- Najprawdopodobniej to tylko turbulencje. Może wszystko z nimi w porządku, a może nie. Spodziewamy się, że za kilka minut i z tobą utracimy kontakt. To znaczy zerwie się twój sygnał.

Serce ścisnęło się jej dodatkowym skurczem.

- Jasne - powiedziała.

- Okay, jesteśmy gotowi.

Przeczekała odliczanie w słuchawkach, wyobraziła sobie Clyde Sommera, prowadzącego sieci, siedzącego sobie przy cennym biurku w Nowym Jorku. Tuż przed wejściem na antenę, zsunęła sobie z ucha prawą słuchawkę, żeby słyszeć co dzieje się wokół niej.

- Tu Tashi Yomiuri z pokładu samolotu orbitalnego, znajdującego się w odległości mniej więcej stu czterdzieści stu sześciu tysięcy kilometrów od miejsca, w którym

znajdował się Księżyc. Lecimy teraz z prędkością ponad dwudziestu czterech tysięcy kilometrów na godzinę, za nami pędzi huragan ognia...

i

Rozdział siódmy

Początek lawiny

Sobota, 13 kwietnia do niedzieli 14 kwietnia

1.

Kokpit *Mikro*. 22:40.

Przetrwali pierwszą nawałnicę. Tony pędził wraz z burzą wykazując się niezrównanym kunsztem, włączając silnik przy każdej nadarzającej się okazji i miotając statecznikiem w sposób, którego projektanci na pewno nie przewidzieli. Obserwując go, Saber była wdzięczna losowi, że tej nocy leci z Tony'm Casawayem.

Początkowa furia przycichła. Wciąż obrywali raz za razem, w większości były to jednak tylko ciosy z ukosa, które nie czyniły większych szkód. Jeden z odłamków wbił się w ładownię poniżej pokładów, ale klapy wytrzymały; inny zerwał przewód zasilający i pograżył kabinę pasażerską w ciemnościach. Na szczęście, ani pojawiające się od czasu do czasu wielkie głązy, wypadające na nich z mroku, ani kaskady stopionej skały, przelatujące przez pustkę, nie poruszały się w skoordynowany sposób, tylko dlatego jeszcze żyli.

Zupełnie jak po przejściu tsunami. Pustkę wypełniały teraz fruujące szczątki, jednak częstość ich występowania i wielkość, pozwalały na śledzenie największych zagrożeń.

Morley zapytał, czy *Mikro* ma już jakąkolwiek łączność ze światem zewnętrznym. Odpowiedź była negatywna.

- Niech to szlag! - warknął - to taki świetny materiał!.

Jednocześnie dodał, że wcale nie miałby nic przeciwko niewielkiemu złagodzeniu rozrywek.

Evelyn zaciekała się, czy kapitan wiedział, że w kabinie pasażerskiej panują ciemności.

- Wiemy - odpowiedziała Saber. - Naprawimy to później. Teraz jesteśmy odrobinę za bardzo zajęci.

Mówiąc to pokazała następny głaz. Tony skinął głową i odsunął mu *Mikro* z drogi. Odłamek wyglądał jak koziołkujący, długi, wąski klin, długości może połowy boiska piłkarskiego. Kiedy ich mijał usłyszała, jak zareagowano na niego w kabinie.

Krótko- i długodystansowe czujniki wypełniały ekrany echami. Czasem były to odłamki skał, albo fontanny żwiru i pyłu; najczęściej jednak amebowate kształty, które mogły być kłębamii gazu lub plazmy. W iluminatorach pojawiały się gigantyczne cienie i jęzory płynnego ognia. Od czasu do czasu gwiazdy znikwały całkowicie, jakby *Mikro* poruszał się w czerwonym tunelu.

Wciąż lecieli przez zatłoczone przestworza ze stałym przyspieszeniem jednego g.

- *Mikro*, tu Skyport - zatrzeszczał głos w słuchawkach. - Słyszycie nas?

- Słyszemy, Skyport. Wciąż tu jesteśmy.

- Co z wami?

Tony *przekazał* co wiedział, informacje o zużyciu paliwa, uszkodzeniach, listę pasażerów.

- Żadnych ofiar.

- *Mikro*, brakuje jednego nazwiska.

- Jack Chandler. Nie udało mu się.

- Co się stało?

- Atak serca, jak sądzimy. Umarł tuż przed ewakuacją. Jego ciało pozostało w Bazie Księżycowej.

Łączność zerwała się w trakcie odpowiedzi.

- Powtórz, Skyport. Słyszycie nas? - tylko szum interferencji.

Znów coś walnęło w kopułę i znikło, zbyt szybko, by to zobaczyć. Pozostawiło po sobie gwiaździste pęknięcie, całkiem przypominające pozostawiane na szybach samochodów przez kamienie wyrzucane spod kół.

- Żyjemy? - spytał Tony.

Niebezpieczeństwo polegało na tym, że kopuła musiała wytrzymać jeden kilogram na centymetr kwadratowy ciśnienia powietrza. Trzy pokłady, ładownia, pasażerski i kokpit, były od siebie hermetycznie oddzielone. Toteż w razie najgorszego - pęknięcia kopuły - *Mikro* straciłby tylko swoich pilotów.

Tylko pilotów.

Saber dotknęła pęknięcia palcem wskazującym. Nacisnęła je lekko i pociągnęła palcem wzdłuż linii.

- Chyba jest w porządku - oznajmiła.

Ładownia *Mikro*. 22:41.

Podobnie jak Saber, Bigfoot wciąż pozostawał w skafandrze. Na wszelki wypadek założył hełm, ale dostał zawrotów głowy, więc zdjął go, z trudem powstrzymując wymioty. Przywiązał się pasem do drabinki, i choć pośpieszny start nie był nawet w przybliżeniu tak stresujący, jak byłby na Ziemi, niemniej do przyjemności nie należał i miał po nim poobijane żebra oraz obolałe ramię, jak podejrzewał, wybite ze stawu.

Pokład C, ładunkowy, był całkowicie zamknięty. Nie wyposażono go w żadne iluminatory, a wstrząsy, skręty i podrzuty wywołały w końcu zawroty głowy. Bigfoot żałował, że nie pospieszył się bardziej i nie dotarł do kabiny pasażerskiej.

Mogło jednak być gorzej: ponieważ przyspieszali, wymiociny spadały na pokład, a nie fruwały dookoła. Uśmiechnął się na tę myśl i poczuł odrobinę lepiej.

Kabina pasażerska SSTO *Rome*, 145000 kilometrów od Księżyca. 22:42.

Rick opanowywał strach prostym sposobem - odcinając się od jego przyczyny. W tym przypadku polegało to na opuszczeniu zasłony na iluminatorze i skoncen-

trowaniu się na innych sprawach. Szczególnie na tym, jak dobrze wszystko dotychczas się ułożyło. Wiceprezydent zachował się właściwie, a jeśli im się uda, będzie odpowiednia nagroda. Dla Ricka taką nagrodą byłoby nie samo dotarcie do Białego Domu, ale prowadzenie kampanii dla prawdziwego bohatera. Charlie Haskell, jeszcze tydzień temu znajdujący się daleko w notowaniach własnej partii, teraz będzie niepokonany.

Haskell odleciał z Księżyca na pokładzie, Boże, busa, i to małego. Przy odrobinie szczęścia łączność zostanie przywrócona, Morley nadal będzie działał na korzyść Charliego i kiedy wiceprezydent wróci do domu, przywitają go z orkiestrą.

Rickowi aż ciekła ślinka na myśl o pisaniu odpowiednich, skromnych wypowiedzi dla potrzeb wiadomości. Przez głowę już przemykały mu całe frazy: Mieliśmy szczęście, że lecieliśmy z Jak-mu-tam, który jest piekielnie dobrym pilotem; w przeciwnym razie już byłibyśmy martwi. Albo: Utrata Bazy Księżycowej to bez wątpienia poważny cios, ale na szczęście nikt nie zginął, a tylko to się liczy. Albo: Tak, straciliśmy kilka osób i chciałbym poprosić was, byście razem ze mną minutą ciszy uczcili pamięć tych bohaterskich ludzi, którzy ośmielili się sięgać w przyszłość... Charlie był dobry w te klocki, miał do tego wrodzony talent. Prawdopodobnie dlatego, że wierzył w to, co mówił. Oto tajemnica jego sukcesu. Był naiwny, wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, nawet on sam, ale ta cecha nie miała najmniejszego znaczenia. Stanowiła część jego uroku. Coś, co wyborcy lubili.

Dla Ricka to podejście stanowiło jednoznaczną wskazówkę, o co naprawdę toczyła się gra. Media często podkreślały, że kampanie są mgliste, lecz dziennikarze nie rozumieli mechanizmów wyborczych. Kiedy narzekali, że zbyt rzadko porusza się rzeczy ważne, że debaty są zbyt osobiste, że w końcu wszystko przesłaniała mgła niejasności, nie uwzględniali jednego: kampania wyborcza to forma sztuki. Jej celem jest nie poruszanie codziennych spraw, tylko załatwienie

przeciwnika. Obserwowanie, jak usiłuje się wywinąć z sieci oskarżeń i insynuacji. Charlie miał specjalny dar, pozwalający mu przeprowadzać tę operację w przyjacielski, nieszkodliwy, skromny sposób. Ludzie to lubili. Nie przepadali za mściwymi, lub miotającymi ciężkie oskarżenia politykami.

Coś uderzyło w statek, kabina przechyliła się, najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Rozległy się okrzyki zaskoczenia, Rick aż do bólu zacisnął dłonie na poręczach fotela. Po chwili samolot wyrównał a z głośnika rozległ się głos pilota:

- Nie ma się czym przejmować, proszę państwa. To tylko odłamek odbił się od kadłuba. Będzie ich prawdopodobnie więcej, ale wszystko jest w porządku.

Rick zmusił się do zajęcia myśli przybyciem wiceprezydenta do Dulles. Wyobraził sobie tę scenę: Charlie schodzi z pokładu samolotu, machając do tłumów, podchodzi do mównicy.

Polityka to walka o władzę w najczystszej i najprostszej postaci. Jeśli wyborcy mają szczęście, wygrywający zrobi coś dla nich, bo będzie potrzebował ich następnym razem. Albo dlatego, że lubi popularność. Za to poważne sprawy nie miały żadnego znaczenia. Prawdopodobnie zawsze tak było. Po nadejściu wieku informacji prezydenci, jeśli byli sprytni, stawiali się aktorami, bożyszczami tłumów. FDR wykorzystywał swoje gawędy przy kominku; Kennedy pozwalał na spontaniczne pytania w czasie konferencji prasowych, opierając się na bystrości i wdzięku. Reagan po pracy w filmie wiedział dokładnie jak powinien się zachowywać prezydent i miał dokładnie tyle talentu, żeby to zagrać. Z tego punktu widzenia był pierwszym współczesnym prezydentem.

Zrozumienie tego zajęło krajowi trochę czasu. Ale stało się. Ani Lincoln, ani Waszyngton nie mieliby najmniejszych szans w wyborach wieku informacji. Może to i lepiej. Rick wiedział, że żaden z nich w ogóle nie słuchałby jego rad.

Kokpit SSTO Arlington, 23000 kilometrów od Księżyca. 22:43.

George sprzedałby duszę za swojego starego A-77 Blackjack. Samolot orbitalny po prostu włókł ze sobą zbyt wielką masę, był niezdarnym i za dużym celem.

Zauważył też niepokojące złudzenie. Latając przede wszystkim pomiędzy orbitą a Ziemią, był przyzwyczajony do wrażenia ruchu w czasie lotu: znikające z tyłu chmury, zbliżający się Skyport, Dulles zostające w dole. W tym otoczeniu nawet kometa wydawała mu się nieruchoma. Nic nigdy się nie poruszało.

Oprócz czoła fali uderzeniowej, które dopadło ich i usiłowało wydrzeć mu samolot z rąk. Usterzenie ogonowe poszło w diabły, a meteor przebił jedno z pomieszczeń na górze. Wiedział, że kadłub został uszkodzony, ale nie w jakim stopniu. A wciąż nadlatywały nowe odłamki. Teraz były raczej większe niż pył i żwir z pierwszej fali, za to poruszały się wolniej, miał więc większe szansę usunąć się im z drogi.

Włączył interkom i powiadomił pasażerów, że zdaje sobie sprawę, iż lot nie należy do spokojnych, ale może zapewnić wszystkich, że wszystko będzie dobrze.

Kabina pasażerska Mikro. 22:44.

W kabinie panowała cisza. Wcześniej mamrotanie Morleya irytowało Charliego, teraz mu go brakowało. Stanowiło ostatnią nitkę łączącą ich ze zwykłą codziennością. W ciemnościach, przy surrealistycznym świetle usiłującym wtargnąć do środka, coś zwyczajnego sprawiłoby wielką ulgę.

Bali się wszyscy. Pojazd wciąż rzucał dziko, naprężeniowe jęki grodzi przerażały. Charlie wyczuł, że nikt nie spodziewał się przeżyć, że wszyscy prawie pragnęli by się to skończyło. Raz na zawsze.

Lecz stopniowo skoki *Mikro* stały się mniej gwałtowne, coraz dłuższe były okresy stosunkowo spokojnego lotu.

- Może już najgorsze mamy za sobą - wyraził nadzieję Morley, siedzący tuż za nim.

Wszyscy siedzieli osobno, po jednej osobie w każdej parze siedzeń.

To poprawi równowagę powiedział Tony. Teraz Charlie rozumiał, że chciał wykorzystać każdy, najmniejszy szczegół na swoją korzyść.

- Mam nadzieję - odpowiedział. Dwie lampki awaryjne dawały zaledwie tyle światła, że można było rozróżnić sylwetki. - Wszystko w porządku, Evelyn?

- Tak - jej głos brzmiał jakoś dziwnie.

Nie widział jej, Siedziała z tyłu, po przeciwnej stronie przejścia.

Kapelan oznajmił, że z nim też wszystko w porządku akurat w momencie, gdy *Mikro* szarpnął się w przód i obrócił. Pasy Charliego wpiły mu się w ramię. Żołądek skurczył mu się w ciemny, mokry węzeł, bo statek wciąż wirował, chwycił się więc z całej siły fotela. Na jego okno padł cień, wyjrzał i zobaczył tylko ciemność przetykaną ogniem. Morley krzyknął krótko, po raz pierwszy uzewnętrzniając drażący go strach. Charlie ucieszył się, widząc u niego jakąś ludzką reakcję. Przebywanie w rozpaczliwym położeniu, w towarzystwie kogoś sprawiającego wrażenie niewrażliwego na zagrożenie, było irytujące. Poprzez mikrofon, pomyślał Charlie, Morley wykraczał poza wydarzenia, patrzył na nie z zewnątrz. Teraz tego nie ma, brak mu łączności i jest taki sam jak pozostali.

- Widział pan to? - Morley gapił się w okno, mówił głosem o oktawę wyższym niż głęboki baryton, do którego przyzwyczajeni byli widzowie Transglobal.

- Tak - powiedział Charlie. Tak naprawdę to nic nie widział, ale nadal lecieli i tylko to go obchodziło.

Kokpit SSTO i?ome, 146000 kilometrów od Księżyca. 22:45.

Verrano nigdy nie zobaczył skały. Wysunęła się z kłębowiska widocznego na jego ekranach i rozwalila silnik numer dwa. *Rome* zatrzęsł się, przewody paliwowe zostały automatycznie odcięte i silnik zamilkł. Samolot zaczął się powoli obracać. Zanim Verrano zdołał odzyskać nad nim kontrolę, drugi pilot szepnął:

- Leci coś wielkiego.

Wydusił z ocalałych silników ile się tylko dało.

Głaz był za nimi, zbliżał się szybko. Verrano odkrył, że poszły tylne kamery, więc nie mógł go zobaczyć. Czuł jednak jego obecność, z odczytów radarowych ocenił wielkość na kilkaset metrów. Latająca góra.

Zmieniający się obraz radarowy sugerował, że odłamek się obraca.

W kabinie pasażerskiej serce biło Rickowi jak szalone. Siedział mocno wciśnięty w fotel, miał zamknięte oczy, wsłuchiwał się w gęste bębnienie żwiru o kałużę usiłując zmusić się do myślenia, jak mógłby wpleść swoje doświadczenie w jedną z przemów Haskella. Wiedział jednak, że nadeszła krytyczna chwila, słyszał zmianę tonu silników, czuł gwałtowne szarpnięcia i zdawał sobie sprawę, że pilot usiłuje coś ominąć.

Kilka siedzeń za nim korespondentka telewizyjna bez przerwy mówiła do mikrofonu. Za nim i po lewej siedzieli Sam Anderson i Isabel. Slade Elliott wrócił na tył samolotu. Kapitan Pierce, szyper Shadow, człowiek, który przeżył setki groźnych spotkań.

Ale nie to.

Świat się rozpadł i straszliwe zimno ścisnęło Ricka za gardło. Umarł zastanawiając się czy Charlie będzie miał szansę wyrazić właściwe uznanie dla niego.

Kokpit Mikro. 22:48.

- Chyba się nam udało.

Saber skuliła się, kiedy to powiedział, instynktownie wyczuwała, że taka uwaga przyniesie pecha. Zabrzmiała zbyt podobnie do epitafium. Miała rację.

Skanery dalekiego zasięgu nie były warte funta kłaków. Po prostu z tyłu było za dużo śmieci i nadlatywały zbyt szybko. Radar się uspokoił i pikał mniej więcej jednostajnie, a natychmiast po wypowiedzi Tony'ego rozjązgotał się kakofonią pisków i brzęczenia.

- Skurwysyn -jęknął Tony.

Wyglądało to jak ściana nadlatująca od tyłu.

- Odległość dwa kilometry - powiedziała. - Zbliża się z jeden-dwa-pięć.

Kilometrów na godzinę.

Mieli mniej więcej minutę.

Ściana przesłoniła wszystko, była to ciemna chmura pyłowa. Ciągnęła się bez końca we wszystkich kierunkach.

Tony, wiedząc, że nie jest w stanie jej uciec, wyłączył silnik, zmienił pozycję silniczków korekcyjnych i odpalił je, zmieniając pozycję busu. Potem dał ciąg, w nadziei wyjścia poza nią, ale Saber była pewna, że się to nie uda. Wzięła mikrofon.

- Trzymajcie się - powiedziała.

SSTO były zbudowane solidniej niż *Mikro*, ale ich prawdziwą przewagą w tego typu sytuacji była możliwość zwiększenia ciągu. *Mikro* albo leciał swobodnie, albo z przyspieszeniem jednego g. Zupełnie jakby próbowało się uciec przed lawiną skacząc w worku po ziemniakach.

Tony zmienił ich położenie w ostatniej chwili i wyłączył silnik, obracając *Mikro* przodem do nawałnicy. Trzymać śmieci jak najdalej od silnika.

Uderzyła. Metał zaskrzypiał, a huragan kamieni i innych szczątków zabębnił o kadłub. Zderzenie podrzuciło *Mikro* i zakreśliło nim. Zawyły klaksony i zamigotały czerwone lampki. Potem chmura, równie szybko jak nadeszła, znikła, pozostawiając ich, koziółkujących, za sobą.

Saber potrzebowała chwili na przywrócenie ostrości wzroku. Kiedy się jej to udało, Tony próbował wywołać Bigfoota przez interkom. Bezskutecznie.

Popatrzyła na pulpit.

Ładownia została przebita.

- Mój Boże - wyszeptał Tony. - Czy miał na sobie skafander?

Ostatnim razem, kiedy go widziała, miał hełm na głowie.

- To może być radio - powiedziała.

Może.

Drugie migające światelko ostrzegawcze zwróciło jej uwagę.

- Tracimy powietrze - głos jej stwardniał. - Znowu ładownia. Wygląda mi to na pęknięty przewód.

Zamknęła go, odcinając praktycznie dopływ tlenu do reszty pojazdu.

Tony wciąż wywoływał Bigfoota, w końcu Saber poprosiła go, żeby przestał.

- Kiedy się trochę uspokoi dookoła - powiedziała - trzeba będzie wyjść na zewnątrz.

Nie mogli zwlekać zbyt długo, bo zacznie im brakować powietrza.

Wzrok Tony'ego prześliznął się po jej skafandrze.

- Gdzie twój hełm?

Gdzie on jest? Nie mogła sobie przypomnieć. Zdjęła go natychmiast po przejściu przez śluzę, ale zabrała ze sobą. Rozejrzała się po sterówce, ale nigdzie go nie wypatrzyła.

Wymienili niespokojne spojrzenia. Jeśli znajdował się w ładowni, niczego nie da się naprawić.

Zerwała się z fotela, zaczęła gwałtownie przeszukiwać szafki i szuflady ze sprzętem. Kiedy nic nie znalazła, otworzyła klapę do kabiny pasażerskiej, zobaczyła ciemność w dole, złapała latarkę i zjechała po drabinie.

- Wszyscy okay? - zapytała, próbując ukryć zaniepokojenie.

- Tak - odparł wiceprezydent. - Nic nam nie jest. Co się dzieje?

Omiotła kabinę światłem latarki.

- Czy ktoś widział hełm?

- To znaczy to? - Keith Morley podniósł go, żeby mogła się przyjrzeć. - Dała mi go pani przechodząc na górę.

Bogu dzięki.

- Dzięki, Keith - tracąc zawodowy chłód uściskała go.

- Saber - w głosie Charliego tym razem zadźwięczała stal. - Co się dzieje?

Wyjaśniła, że pokład poniżej został przebity.
- Musimy wyjść na zewnątrz i naprawić to.
- Na zewnątrz? - zdumiał się Morley. - W tych wa-
runkach?
Skinęła głową.
- Trzeba było chwilowo wyłączyć układy podtrzy-
mywania życia. Jeśli zrobi się tu trochę duszno, z sufitu
wylecą maski tlenowe. Użyjcie ich.
- Co z Bigfootem? - zapytała Evelyn.
- Nie mająk sprawdzić - odparła, biorąc hełm i wcho-
dząc na drabinkę. - Powiemy wam kiedy tylko czegoś
się dowiemy.
Zamknęła za sobą klapę.
- Sądysz, że możemy teraz spróbować? - spytała
Tony'ego.
Ekran radarowy znów był spokojny.
W kabinie pasażerskiej znajdowało się dwana-
ście masek, dużo więcej niż potrzeba, by doczekać
pomocy z Bazy Księżycowej albo LI. Tydzień temu
czekanie byłoby standardową procedurą. Zapewnić
bezpieczeństwo pasażerom i siedzieć na tyłku aż
przyłeci pomoc. Takie było credo. Ale warunki się
zmieniły.
- Mamy jeszcze jeden problem - powiedział Tony.
Grzebał w szafce z wyposażeniem, z której wycią-
gnął klucz, kilka śrubokrętów, łom, palnik i dwie rolki
taśmy.
- Pali się lampka ostrzegawcza dolnej śluzy. Ze
wnętrzna kłapa nie odpowiada. - Popatrz na Saber,
zakładającą hełm. - Nie teraz - powiedział.
- Chcesz poczekać?
- Tak. Mamy czas. Poczekajmy aż na zewnątrz się
przerzedzi.
- Okay. To ma sens.
- Jest coś jeszcze.
- Co?
- Ty nie idziesz.
- Dlaczego? Sądzę, że nie możemy sobie pozwolić na
ryzyko utraty pilota.

- Do cholery, Saber, nie w tym rzecz. Może się okazać, że do otwarcia klapy potrzeba będzie sporo siły. Ty jesteś niezbyt krzepka.

Quebec. 22:56.

Dwadzieścia dwie minuty po katastrofie nad Saguenay Provincial Park w Quebec dostrzeżono smugi światła na niebie. Była to pierwsza odnotowana obserwacja szczątków po zderzeniu.

2.

Kabina pasażerska SSTO Arlington. 22:57.

Andrea Bellwether trochę się odprężyła po tych początkowych, przerażających minutach. Została wręcz sparaliżowana przez strach, niezdolna przestać wyobrażać sobie jak to będzie, kiedy głaz uderzy w samolot, otwierając go jak puszkę i wyrzucając ją wraz z fotelem w próżnię. Nigdy nie myślała o sobie jak o tchórze. W życiu miewała chwile, kiedy stawiała do walki, sprzeciwiała się brutalom, a raz nawet tłumowi - gdy demonstracja IRA w Londynie przerodziła się w zadymę. Ale to było co innego, a potem czuła się osłabiona i cała się trzęsała.

Jeśli ogień na niebie jeszcze nie całkowicie wygasł, to przynajmniej zmalał, a bezustanne łomotanie i chrobotanie o kadłub ucichło. Kapitan odzywał się w regularnych odstępach, dodając im otuchy. Teraz właśnie potrzebowała, by potraktować ją jak dziecko. Poklepać po główce i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Laboratorium Orbitalne na Skyport. 22:59.

Tory Clark podłączyła się do ogromnego zespołu instrumentów w kosmosie i wokół Ziemi. Dane płynęły strumieniami. Windy Cross był tak podekscytowany, że zapomniał o swojej wściekłości na nią. Otrzymywali niesamowite obrazy, w eterze krzyżowały się podniecone

głosy. Skany w podczerwieni przeniknęły w głąb kuli ognia. Jak przewidziano, uderzenie strzaskało Księżyc, dosłownie rozbiło go na kawałki. Fragmenty wielkości Teksasu oderwały się i oddryfowały w przestrzeń. Na określenie trasy ich lotu było jeszcze za wcześnie, ale teoretycznie większość powinna pozostać mniej więcej na dotychczasowej orbicie Księżycy, w pasie o szerokości z grubsza jego średnicy.

Niektórzy twierdzili, że nawet jeśli kometa rozwali Księżyc, siły grawitacji wkrótce pościągną kawałki z powrotem w kulę. Przyglądając się obrazom Tony nie sądziła, by było to możliwe. Nie teraz, a najprawdopodobniej i w dającej się przewidzieć przyszłości.

W tej chwili jedno wydawało się pewne: świat zarobił bliznę, dostał lekcję o wiele bardziej spektakularną niż Shoemaker-Levy udzielił trzydzieści lat temu. Może Skybolt, planetarny system obronny wykorzystujący zespół chemicznych jodowo-tlenowych laserów zrobi się teraz bardziej popularny. Co więcej, Tomiko udowodniła, że nie można liczyć na rok czy dwa na przygotowania do zderzenia.

Przyszło jej na myśl, że utrata Księżycy może okazać się całkiem niezłym interesem, jeśli będziemy mieli trochę szczęścia i Ziemia uniknie większych zniszczeń, a my pojmimy lekcję, czyli przygotowujemy się na następny raz.

Na jej ekranach widniały obrazy kotłujących się chmur, przekazywane z kilku orbiterów, z Mount Palomar, z Whipple i Kitt Peak.

Jeden z nich zaczął gwałtownie migotać.

- OPoK-1 - powiedział Windy.

OPoK to był skrót od Obiekt Potencjalnie Kolidujący, terminu przyjętego jako określenie obiektu mogącego uderzyć w Ziemię. Uznanie go za zagrożenie następowało po obliczeniu kąta podejścia, wielkości, szacunkowej masy i prędkości.

Tory przekazała jego współrzędne i kurs zespołowi oceniającemu zagrożenie w Houston. Mogli *zażyczyć* sobie więcej obrazów, w podczerwieni, czegokolwiek; mo-

gli odrzucić obiekt jako nieważny; albo mogli potwierdzić jego znaczenie i wysłać ostrzeżenie do ludzi w Tualoosa, żeby zwiewali gdzie pieprz rośnie. Proces ten zżerał nerwy, bo nikt nie potrafił z góry przewidzieć jak szybko będą poruszały się odłamki, ile ich będzie, co się rozpadnie całkowicie, a co nie.

OPOK-1 miał sześćdziesiąt metrów średnicy, nadlatywał z prędkością 180 kilometrów na sekundę. Czoło fali uderzeniowej właśnie się zbliżało i widzieli mnóstwo drobnego żwiru, gazu i pyłu. Oraz kilka głazów. OPOK-1 był wyjątkiem, jego trajektoria trafiała w atmosferę bardzo płasko, dzięki czemu będzie miał długą drogę hamowania przed uderzeniem w ziemię - o ile w ogóle doleci.

Tory przyglądała się kotlewaninie odłamków zapoływających ekrany. Zastanawiała się, czy instrumenty zdołają w tej gęstwie odnaleźć większe kawałki.

Houston podało ocenę tego zagrożenia: OPOK-1 spadnie na ziemię w interiorze Ameryki Południowej, na równiny Grań Chaco, jednak zostanie z niego zbyt mało, żeby mógł wyrządzić szkody poważniejsze niż wystraszanie paru krów. Zlekceważyć.

OPOK-2 był nieco mniejszy, ale leciał pod większym kątem. Wprost do Pacyfiku. Ponownie zbyt mały, by wyrządzić szkody.

W Zielenczuńskiej na Kaukazie śledzono wydarzenia. Ktoś najwyraźniej wściekły, że nigdy nie realizowano programu Skybolt, zaproponował, żeby wysłać polityków na górę i zagonić ich do rozpędzania OPOKów patykami.

Radar wychwycił obiekt o średnicy dwustu metrów. Nie znalazł się na liście OPOKów, ponieważ miał całkowicie minąć planetę i wejść na orbitę okołosłoneczną.

Powszechnie uważano, że większe odłamki, jeśli w ogóle nadlecą, będą poruszać się wolniej więc pojawiają się później.

Pojawiły się plotki, że przygotowywane są rakiety z głowicami jądrowymi, ale Tory wiedziała, że nie byłoby czasu na celowanie. Wszystko działo się za szybko. Trze-

ba było po prostu usiąść i czekać na rozwój wypadków.
Alarm odezwał się ponownie. - OpoK-3 -
powiedział Wendy.

Point Judith, stan Rhode Island. 23:26.

Lukę Peterson śledził reportaż ze statków księżycowych i z całego świata. Kiedy urwał się kontakt z wiceprezydentem poczuł ukłucie żalu, potem drugie, kiedy zniknął samolot orbitalny. W obu przypadkach Bruce Kendrick z Transglobal zapewniał, że LTA i NASA wciąż są dobrej myśli i żywią przekonanie, iż to tylko kłopoty z łącznością, których w takich warunkach właściwie należało oczekiwać. Lukę oglądał wiadomości jeszcze przez jakąś godzinę, ale już ani słowem nie zająknięto się ani na temat Haskella ani zaginionego samolotu. Kiedy zaczęli męczyć kolejnego astronoma na temat komety, wyłączył telewizor, zrobił sobie rum z colą i wyszedł na frontową werandę.

Księżyc, czy też raczej obiekt niegdyś będący Księżycem, był widoczny nad drzewami rosnącymi po zachodniej stronie domu. Wyglądał jak obrzydliwa, czerwono nakrapiana chmura oświetlająca krwistym blaskiem garaż i podjazd. Jego szary sedan, zaparkowany przed domem, nabrał rudawego odcienia, budzącego niepokój.

Za wydmami leżał spokojny Atlantyk. Właśnie nadciągał przyływ. W kanale poruszały się światła. Prawdopodobnie niszczyciel. Kwatera główna Atlantyckiej Floty Niszczycieli znajdowała się w Newport od tak dawna, jak sięgała pamięć Luke'a i okręty często wypływały na ćwiczenia w pobliże Błock Island.

Odezwał się brzęczyk boi.

We wczesnych latach małżeństwa spędził tu z Ann niezliczone wieczory. Łatwo było wyobrazić sobie jej ducha wciąż unoszącego się wokół tego miejsca, szepczącego do niego w szumie przyboju. Dorastała w Woonsocket, starym, młynarskim mieście, a kiedy przywiózł ją tu, do Point Judith, odczuła to jakby znalazła się w Indiach. Bardziej zajmuje cię ocean niż ja, powiedział jej

kiedyś. Zaśmiała się w odpowiedzi, potem zamyśliła się. To jest to samo, powiedziała, Nie umiem sobie wyobrazić ciebie gdziekolwiek indziej.

Ja ciebie też.

Zadzwoił telefon. W tej chwili jednak, Luke wcale nie miał nastroju do rozmowy z kimkolwiek. Nasłuchiwał, aż sygnał umilkł, odezwał się on sam z sekretarki, a potem Del Clendennon poprosił by oddzwonił, kiedy znajdzie chwilkę. Na pewno chodziło o środowego pokerka. Mają grać czy nie? Prawdopodobnie tak. Wtedy już wszyscy powinni wrócić do domu.

Światła niszczyciela zblakły w oddali. Jeśli Luke przyjrzałby się dokładniej, mógłby zauważyć, że zaczęły się wznosić coraz wyżej. Jednak kiedy gwałtownie zgasły, jakby coś znalazło się pomiędzy nimi, a wybrzeżem, właśnie na nie patrzył.

Telefon znów zaczął dzwonić

Carlisle, Pensylwania. 23:28.

Deszcz wiaż padał, w nocy niebo nadal pokrywały chmury. Archie, który chciał oglądać kosmiczny spektakl, czuł się zawiedziony. Wszedł na taras i gapił się na chmury, często rozświetlane błyskawicami.

Po drugiej stronie stała pogrążona w mroku kamienna rezydencja z wieżyczkami. W dolnych oknach paliło się światło, przy każdej błyskawicy wieżyczki gwałtownie wyłaniały się z ciemności. W salonie rodzina Esterhazych oglądała program policyjny. Po chwili otworzyły się frontowe drzwi i Claire dołączyła do niego.

- Wygląda na to, że cała ta podróż była pozbawiona sensu - zauważyła.

- Dlaczego tak uważasz?

Wzruszyła ramionami. Noc wydawała się całkiem zwyczajna.

- Minęła godzina - wyjaśniła. - W Jersey nic się nie będzie działo.

- Taak. No cóż, to dobrze.

Pod przykrywą chmur czuł się lepiej. Claire usiadła na bujanym fotelu.

- Nie potrafię sobie wyobrazić kawałka księżycy spadającego na kogokolwiek. Choć nie miałabym nic przeciwko temu, żeby jakiś odłamek wleciał tam przez sufit i przywalił Esterhazym.

Archie skinął głową.

- Myślałem czy by nie spróbować jutro znaleźć jakiegoś motelu. Nie wytrzymam jeszcze jednej nocy z tymi ludźmi.

Nieuważnie przyglądali się mikrobusowi przejeżdżającemu ulicą przed domem.

- Jeśli nic się nie wydarzy do jutra, powinno się dać wrócić, nie?

Zanim zdążył odpowiedzieć, oczy rozszerzyły się jej gwałtownie i przeniosła wzrok nad jego ramię. Odwrócił się, żeby zobaczyć, co przykuło jej uwagę. Ciemne niebo rozbłyskiwało, ale nie w ten rytmiczny sposób, który sugerowałby kolejne wyładowania, tylko spazmatycznie. Nagle kula ognia wypadła z chmur, przeleciała nad drzewami i grzmotnęła prosto w kamienną rezydencję. Archie został zrzucony z krzesła. Wokół niego świat eksplodował, coś pozbawiło go tchu, zwinął się w pozycji płodowej, mając w uszach przeciągły ryk. Wszędzie wokół tańczyły niewielkie płomienie, taras zawalił się, a mikrobus leżał na boku, cały w ogniu.

Archie powoli podniósł się na czworaki. W tym momencie nie czuł żadnego bólu, choć zdrętwiało mu lewe ramię.

Nigdzie nie widział Claire. Drzwi frontowe otwarły się gwałtownie i wysunęła się z nich głowa Jeffa Esterhazy'ego, który wydał z siebie serię nerwowych okrzyków, jedyne przekleństwa, jakie Archie kiedykolwiek od niego usłyszał. Cała rezydencja, wraz z trawnikiem, żelaznym ogrodzeniem, które stało wzdłuż chodnika, oraz ulicą razem z wiązami, znikła, a na jej miejscu pojawiła się wielka dziura w ziemi. Nad wszystkim unosił się słup dymu. Mikrobus eksplodował, kłęb ognia wpadł między drzewa.

- Co się stało? - gwałtownie spytał Esterhazy, tonem sugerującym, że to Archie jest za wszystko odpowiedzialny.

- Nie wiem - odpowiedział.

Frontowe okno zostało wbite do wewnątrz domu, skąd dobiegł głos Mariel:

- Nie dotykaj jej. - A po chwili: - Wszystko w porządku, Claire?

Druga ogniasta kula wyleciała z chmur, rozświetliła okolicę na wiele mil dookoła i spadła gdzieś po wschodniej stronie z odległym „łup”. Następne płomienie strzeliły w niebo.

- Mój Boże - Esterhazy wyszedł, pozwalając by drzwi zamknęły się za nim i zbliżył się do krawędzi werandy.

- Tylko popatrz co to zrobiło z posiadłością.

Archie nigdy nie usłyszał nadlatującej trzeciej kuli.

Point Judith, Rhode Island. 23:30.

Lukę nie miał pojęcia skąd wzięła się atmosfera niepokoju panująca w domu. Może to z powodu poczucia, że jest sam, albo prawie sam w całym mieście. Może to kumulujący się dramatyzm wydarzeń tego wieczoru, jego troski o ludzi w statkach księżycowych. A może zwiększona świadomość obecności oceanu, zaledwie o osiemdziesiąt metrów od jego drzwi frontowych.

W salonie cicho mamrotał telewizor. Lukę ponownie go włączył i szukał następnej przekąski, planując nie kłaść się jeszcze i oglądać wiadomości, wiedział bowiem, że i tak nie zaśnie. Właśnie zalał świeży dzbanek kawy, kiedy zdał sobie sprawę z nowego dźwięku.

Nasłuchiwał, nie potrafiąc go zlokalizować, wyszedł znów na frontową werandę. Morze cofnęło się, co było dziwne, przecież powinien być właśnie przypyływ. Linia brzegu znalazła się tak daleko, że ginęła w mroku.

O Boże.

Pędem wpadł do środka, zgarnął klucze z półki z książkami, pomyślał, co mógłby jeszcze uratować, uznał, że nie ma już czasu (choć wewnątrz domu miał pewne poczucie bezpieczeństwa), i pognął do samochodu. Silnik ryknął za pierwszą próbą. Zawrócił i pojechał szosą 108, za plażę.

Docisnął gaz do dechy, zastanawiając się, dlaczego był taki zadowolony z siebie, taki głupi. We wstecznym lusterku nie było ani gwiazd, ani nieba, tylko czern, która poruszała się.

Jechał już ponad sto czterdzieści kilometrów na godzinę, szybciej, niż sądził, że da się wydusić z tego samochodu, kiedy go dopadła.

3.

Kuter Straży **Przybrzeżnej Diligent. 23:32.**

Dilly znajdował się na otwartym morzu około czterestu mil morskich na południowy wschód od Rockaway Inlet, oddalając się od lądu. Na dziobie, rufie i obu burtach stali obserwatorzy. Kapitanowi Bollingowi poradzono by zapewnił sobie przynajmniej czterdzieści metrów wody pod kilem. W tej chwili miał dwadzieścia siedem.

Jego załoga nie mogła oderwać oczu od świecącej chmury, która zastąpiła Księżyc. Na kutrze panował niezwykły nastrój. Bolling widział swoich ludzi w trudnych sytuacjach, w trakcie walki o uratowanie ludzi z jachtu tonącego na wzburzonym morzu, w środku nocy stojących twarzą w twarz z przemytnikami narkotyków. Tym razem wyglądało to inaczej. Byli wyciszeni, zamyśleni, prawie wystraszeni. Nie podkpiwali sobie, co zazwyczaj towarzyszyło zbliżaniu się niebezpieczeństwa. Dziś po prostu zajmowali stanowiska i uważnie obserwowali niebo.

Obok kapitana pojawił się poślaniec z depeszą w ręce. Bolling wziął ją, zerknął na nią i bez słowa przekazał Packardowi.

OPoK 06 OKOŁO 41oN, 73oW - ETA 140440Z.

- Prosto w nasz komin - powiedział pierwszy oficer.
Wymienił spojrzenia z Bollingiem. - Dodatkowe oczy?
- zasugerował.

- Chyba najwyższy czas - kapitan popatrzył na operatora radaru. - Pilnuj ekranu, Ramsey. Jeśli zobaczysz cokolwiek nietypowego, cokolwiek, krzycz.

Packard wezwał bosmana i przekazał rozkaz. W minutę później na pokładzie pojawiło się kilku dodatkowych strażników z lornetkami.

- Powinno być łatwo go zauważyć - powiedział pierwszy oficer.

Ocean pachniał czystością i świeżością. Bolling uwielbiał pobyty w morzu, z dala od oleistych smrodów East River i Cieśniny Long Island. Gdyby był bogaty, kupiłby sobie jacht i żył z dala od brzegów. Było to jego dziecięce marzenie, a praca w Straży Przybrzeżnej stanowiła największe przybliżenie jego realizacji, jakie udało mu się osiągnąć.

- Tam - wskazał Packard.

Długa, wąska smuga światła przecięła chmury dokładnie przed dziobem, kierując się prosto w dół. Wybuchła, rozrzucając kawałki na wszystkie strony i zgasła, pozostawiając po sobie tylko słabą poświatę.

- Niezbyt wielki, Skip - głos pierwszego oficera wyraźnie wskazywał, że od początku był przekonany o bezowocności ich zadania.

- Jeśli to był on, Dan - zaproponował Bolling. - Jeszcze za wcześnie.

Zapisał czas i pozycję obserwacji na blankiecie depeszy i przekazał radiowcowi do wysłania.

W słabym oświetleniu mostka twarz pierwszego oficera miała niebieską barwę. Kolejna smuga przecięła niebo i zgasła. Woda była czarna jak smoła.

- Według mnie wyglądają jak zwyczajne spadające gwiazdy - oświadczył.

- Mam nadzieję - Bolling wywołał kabinę radiową. - Co tam słyszysz? - zapytał Herba Bitzbergera, operatora.

- Nic niezwykłego, Skipper - odparł radiowiec. - Statki rozmawiają pomiędzy sobą, ale są to normalne pogawędki.

- Coś z Breakwater?

Breakwater to Komenda Straży Przybrzeżnej w Nowym Jorku.

- Nic, sir. Siedzą cicho.

Bolling zobaczył światła frachtowców rozsiane po horyzoncie.

- Wpływamy na trzydzieści metrów - powiadomił ich sternik.

- Bardzo dobrze - rzekł Packard. - Trzymać kurs. Ćwierć naprzód.

Dudnienie dwóch silników przycichło i łódź osiadła na wodzie. Bolling i Packard postanowili, że kiedy już znajdą się bezpiecznie na pozycji, najlepiej będzie założyć konieczność działań awaryjnych i oszczędzać paliwo, jednocześnie utrzymując niewielką prędkość. Chodziło o uniknięcie wywrotki w razie nagłego nadejścia fali. Żaden z nich nie miał doświadczenia z tsunami. Również nikt spośród znanych im osób, ale Bolling trochę się przygotował. W książkach twierdzono, że na głębokiej wodzie nie ma się czego obawiać. Tsunami jest bardzo trudno zauważyć dopóki nie dotrze do brzegu, lub na płycizny, gdzie woda zaczyna „wstawać”.

Kolejna świetlista smuga przecięła niebo, zbliżając się do nich. Zrobiła się duża, większa, aż w końcu eksplodowała, zasypując morze deszczem iskier.

- Część wpadła do wody - powiedział pierwszy oficer.

Bolling tak nie uważał. W nocy trudno ocenić co gdzie jest.

Z dołu przyniesiono świeżo parzoną kawę. Załogant powiadomił, że nawiązano kontakt z lunobusem wiozącym wiceprezydenta.

- Nie ma sygnału z busu - wyjaśnił - ale twierdzą, że mają go na radarze.

Bolling ucieszył się. Lubił Haskella. Jednak, co ważniejsze, uważał, że jeśli naród nie zdoła uratować człowieka numer dwa w swoim rządzie z katastrofy, o której nadejściu wiedziano od pięciu dni, bardzo kiepsko będzie wyglądać w oczach świata.

Następna wiadomość dotarła z centrum łączności.

TSUNAMI UDERZYŁO W WYBRZEŻE OD NEW LONDON DO MARTHA'S VINEYARD, NANTUCKET I CAPE COD. 140430Z.

Jak wielkie? Jakie zniszczenia?

Złapali z satelity reportaż Transglobal o fali. Pierwsze doniesienia były sporadyczne, ale Bolling zastanawiał się czy alarmiści przypadkiem nie mieli racji. Złapał za interkom i powiedział swoim ludziom czego się dowiedział.

- Przekażemy następne wiadomości kiedy do nas dotrą - zakończył.

Utrzymywali kurs południowoschodni, pod spokojnym *teraz* niebem. Zerwał się wiatr, woda lekko się wzburzyła.

O 23:39 dostał do ręki informację z tankowca skierowaną do wszystkich:

*TEXACO QUEEN DONOSI O FALI PRZEMIESZCZAJĄCEJ SIĘ NA PÓŁNOC
40.7oN, 71.8oW- ZBLIŻA SIĘ DO WYBRZEŻA*

Nawet nie musiał patrzeć na mapę; kolejne kłopoty dla Rhode Island.

- Przekażcie to do dowództwa - powiedział.

- Już to zrobiliśmy, kapitanie - odparł radiowiec. Bolling przejrzał horyzont przez lornetkę noktowizyjną. Płaski jak patelnia.

Z prawej burty kolejna ognista kula cicho przebiła chmury. Przeleciała nad nimi, rozsiewając skry i wpadła do morza. W jej blasku ocean poczerwieniał. Nad głowami przetoczył się grzmot. Dźwięk ledwie zdążył ucichnąć w fali ech, zanim ostatnie odłamki wpadły po lewej burcie do morza i zapanowała znów ciemność.

- Dan, uwaga na sterze - powiedział Bolling. - Sternik, piętnaście stopni w lewo, cała naprzód.

- Aye, aye, kapitanie.

Szybko naskrobał opis widzianego przed chwilą zjawiska i oddał posłańcowi.

- Dopiszcie naszą pozycję i wyślijcie - polecił.

Kuter zaczął spływać w głęboki rów.

- Kapitanie? - to Ramsey z radaru. - Proszę na to spojrzeć.

Dokładnie przed nimi widniało potężne echo. Zupełnie jakby ktoś postawił ścianę na wodzie.

- Pojawiło się ot tak, po prostu - ciągnął. - Odległość sześć mil.

- Sternik, kurs jeden-zero-zero. Prosto na to.

Jeden z dziobowych obserwatorów krzyknął - Fala! - i wskazał kierunek.

Bolling przyglądał się jej przez swoją lornetkę, wyglądała potężnie.

- Wszyscy przywiązać się! - krzyknął pierwszy oficer.

- Cała naprzód - polecił Bolling. - Włączyć światła.

Zapłonęły dwa halogenowe reflektory, sięgnęły w mrok.

Kuter wyrwał do przodu.

- Trzy mile - poinformował Willoughby.

Już ją widzieli, potężny, pędzący wał, bez pian na szczycie.

- Mój Boże - powiedział Packard - chyba mówił pan, że nie musimy przejmować się czymś takim na otwartym morzu.

- Proszę złożyć zażalenie po powrocie do domu - warknął kapitan. - Trzymać się.

Unieruchomili koło sterowe, żeby mieć pewność, że nie zejda z kursu, potem Bolling wydał rozkaz by wszyscy przywiązali się do swoich stanowisk. Sam tak zrobił i przyglądał się, jak robi to Packard.

Wtedy fala dotarła do nich. Dilly wspinał się na jej zbocze. Bolling stracił równowagę i oparł się o grodzie. Dziób wgryzał się w ocean, woda z hukiem przetaczała się przez pokład i przelewała przez mostek. Kapitan został przewrócony, stracił poczucie kierunku i przez straszną chwilę myślał, że obróca się do góry dnem, może



nawet już tak się stało. Ocean wrzał wokół niego. Potem zawiśli na grzbiecie fali i po chwili reflektory zajrzały w bezdennie głęboki rów, ginąc we mgle.

Dilly ześliznął się w dół. Bollingowi wydawało się, że spadają swobodnie w przepaść, trwało to w nieskończoność. Woda z rykiem przewalała mu się nad głową, potem znikła i mógł spróbować otrzeć oczy i pozbyć się morza z gardła.

- W porządku, kapitanie? - krzyknął Packard.

Światła kutra tańczyły na spienionej wodzie.

- W porządku. Radar?

- Po nim - poinformował Ramsay. - Sfajczony.

Sternik był oszołomiony. Packard przejął koło sterowe. Bolling nie dostrzegał żadnego bezpośredniego zagrożenia. Włączył interkom.

- Kabina radiowa.

-Aye, kapitanie.

- Wysłać informację do Breakwater. Fala miała dwa naście metrów. Przemieszcza się na północny wschód ku północnemu wschodowi, z prędkością mniej więcej dwa-zero-zero węzłów.

- Aye, sir.

Bolling przykleknął przy sterniku, ale podniósł wzrok na pierwszego oficera.

- Trzeba policzyć ludzi, Dan - polecił. - Upewnijmy się, że wszyscy są nadal na pokładzie.

SPECJALNY PROGRAM INFORMACYJNY CNN. 23:33.

- Mówi MarkAble z helikoptera lecącego nad Groton w Connecticut. Na dole pogasły światła i niewiele widać, ale na razie wiemy, że gigantyczna fala przetoczyła się tędy kilka minut temu. Łódź jest mocno zalana. Widać poprzewracane wagony kolejowe. Wszędzie walają się szczątki, jakby przeszło tędy wielkie tornado. Centrum miasta zostało zrównane z ziemią. John, nigdy nie widziałem czegoś takiego. To straszne. Na Connecticut Turnpike nic się nie porusza. O ile dobrze widzę, nie ma na niej żadnych samochodów. Na północ od autostrady leży kilka przewróconych pojazdów. Tak, John, to właśnie mam na myśli, że fala po prostu zmyła wszystko z szosy.

Na razie nie dysponujemy jeszcze oceną liczby ofiar, ale nie wierzę, żeby ktokolwiek tam na dole mógł przeżyć. Kilka wojskowych helikopterów właśnie się pojawiło i poszukują ocalałych oświetlając wszystko szperaczami. Zamierzamy spróbować znaleźć miejsce do lądowania i kontynuować sprawozdanie z rozwoju wypadków.

Oddaję ci głos, John.

Manhattan. 23:35.

Od mniej więcej godziny nastrój uczestników przyjęcia na dachu u Louise psuł się coraz bardziej. Skupiali się przy telewizorach i oglądali obrazy przekazywane z helikoptera. W miarę pojawiania się coraz nowych widoków zwalonych mostów, grubo pokrytych mułem ulic i poprzewracanych słupów telefonicznych, zaczęto przebąkiwać, że być może Manhattan wcale nie jest bezpieczny.

Marilyn zaczęła sobie w nieprzyjemny sposób здаwać sprawę z bliskości Atlantyku.

- Może - rzucił ktoś - powinniśmy się stąd wynieść.

- Wynieść, ale dokąd? - zapytał Marvin. - Jesteśmy na wysokości czwartego piętra. Gdzie znajdziesz bezpieczniejsze miejsce?

No właśnie, gdzie? Marilyn popatrzyła w dół, na ulicę zapchaną ciężarówkami i taksówkami. Z daleka dobiegało wycie policyjnej syreny.

- Marvin ma rację - powiedziała Louise. - Z radością ugoszczę wszystkich, którzy zechcą zostać.

Marilyn spędziła większość wieczoru z Marvem. Zirykował ją brak jakichkolwiek oznak zazdrości ze strony męża, nie dał nawet do zrozumienia, że cokolwiek zauważył. Uderzyło ją, że będąc pod umiarkowanym wpływem alkoholu ostrzej patrzy na świat. Tej nocy, myśląc chłodno i obiektywnie, zrozumiała, że poślubiła niewłaściwą osobę.

Może to, za kogo wyszła w ogóle nie miało znaczenia. Kiedyś jej mąż był taki jak Marv. Wciąż pamiętała noce, kiedy nie potrafili utrzymać rąk z dala od siebie nawzajem. Małżeństwa jej przyjaciół, te które przetrwa-

ły, zmieniły się w ten sam sposób. Nuda i apatia, to chyba najlepsze na co można w ogóle liczyć.

Może potrzebne jej są dzieci. Może tak właśnie jest zanim się one pojawią.

Była pewna tylko jednego: te rozmowy o gigantycznych falach oraz obserwacja ludzi próbujących wydość się z miasta skłoniły ją do zastanawiania się nad jej własną moralnością. Tak naprawdę nie obawiała się samej śmierci. Była czymś nazbyt odległym, przydarzającym się tylko innym ludziom. Zdawała sobie jednak sprawę z tykania zegara, z niespełnienia się żadnego z marzeń, które rozjaśniały jej życie, kiedy miała kilkanaście lat. Opracowywanie idiotycznych tekstów napisanych przez innych ludzi wcale nie sprawiało jej satysfakcji. Widziała też, że nikt, dokładnie ani jeden człowiek, nie pograży się w żalu, gdyby nagle zmarła. Może jej rodzice, ale to się nie liczy. Larry byłby smutny, to na pewno. Przyszłoby na pogrzeb, we właściwych momentach pochlipywałby, potem odwróciłby się na pięcie i wrócił do normalnego życia.

Marv.

Ciekawa była, czy jeśli cokolwiek by się jej przydarzyło, nie żałowałby jej bardziej niż mąż.

Wewnątrz nastąpiło małe poruszenie, informacja szybko dotarła do ludzi na tarasie.

Zalecają ewakuację Nowego Jorku.

Popatrzyła na Muzeum Historii Naturalnej, grupę nieciekawych, ceglanych budynków, rozrzuconych na kilku parcelach.

Poniżej, na 77 Ulicy, ludzie nadużywali klaksonów.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL. 23:36.

- Mówi Bruce Kendrick ze studia w Nowym Jorku. Mamy już kolejne informacje o wydarzeniach w Carlisle w Pensylwanii, gdzie jest Angela Shepard. Angelo, jak się przedstawia sytuacja?

- Bruce, według wstępnych ocen upadek co najmniej siedmiu obiektów w Carlisle i okolicach, który nastąpił kilka minut

po dwudziestej trzeciej, pociągnął za sobą śmierć nie mniej niż kilkuset ofiar. Jeden z meteorytów trafił w centrum miasta, które jest teraz, jak widzicie, jednym dymiącym kraterem. Całe miasto zostało zniszczone. Około trzech tysięcy ofiar przewieziono do szpitali.

- Czerwony Krzyż organizuje tymczasowe schronienia. Pod numerem podanym na dole ekranu można zasięgnąć informacji co do losu swoich bliskich. Wojsko zareagowało w ciągu kilku minut, działają tu dość liczne oddziały.

- Teraz pokażemy państwu panoramę okolicy, jak widzicie wszędzie się pali. Zniszczenia są zupełnie inne niż można by oczekiwać w czasie pokoju. Wszystko jest zburzone, brak prądu i wody. Kiedy tu dotarliśmy, ludzie wylegli na ulice próbując pomagać gdzie się da. Pewien mężczyzna powiedział nam, że meteory po prostu spadały jeden po drugim. Jak twierdził, co kilka minut zlatywał kolejny.

- Oto nagranie wideo pokazujące jeden z nich, za chwilę powinno pojawić się na ekranach. Zostało zrobione z samochodu przejeżdżającego przez północną część miasta. Okay, jest. Widzicie jak nadlatuje nad liniami telefonicznymi. Na moment znika z ujęcia, znowu się pojawia. Wydaje się, że spada pod kątem około czterdziestu pięciu stopni. To chyba ten, który trafił w centrum Carlisle, Bruce.

- Angelo, przerwę ci na chwilę. Właśnie otrzymaliśmy informację, że za kilka minut, o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć, prezydent przemówi do narodu. To najkrótszy w historii Stanów Zjednoczonych czas pomiędzy zapowiedzią a wystąpieniem prezydenta.

- Powiadomiono nas także, że tsunami uderzyły na Caracas i Trinidad. Jak dotąd wszystkie wypadki zdarzyły się na półkuli zachodniej, jak sądzę dlatego, że tej nocy właśnie ta część Ziemi zwrócona jest w stronę Księżyca.

- Będziemy w studio Transglobal przez całą noc informując na bieżąco. Mam nadzieję, że pozostaniecie państwo z nami. A teraz, w trakcie oczekiwania na oświadczenie prezydenta, połączymy się z Charleston w Południowej Karolinie, gdzie przebywa Peter Barton...

4.

Centrala Straży Przybrzeżnej, Governors Island, Nowy Jork.
23:44.

Komandor Lionel Phillips podniósł wzrok znad biurka. Oficer dyżurna wpadła do jego gabinetu z kartką papieru w ręce.

- Gigatyczna fala, sir - powiedziała. - Zbliża się do nas.

Komandor chwycił kartkę.

YY 140442Z

OD: USCGC DILIGENT.

DO: BREAKWATER.

TEMAT: OSTRZEŻENIE O WIELKIEJ FALI.

*WIELKA FALA NAPOTKANA NA POZYCJI 41.30N
72.0W 140440Z X WYSOKOŚĆ OKOŁO DWUNASTU
METRÓW, SZYBKOŚĆ 200 WĘZŁÓW POWT. 200 WĘ-
ZŁÓW X KURS DWA-DZIEWIĘĆ-ZERO.*

Patrzył na tekst, czując wpełzające mu w trzewia zimno, wdusił przycisk. Zajączał sygnał alarmowy. Wszyscy na zewnątrz. Ani przez moment nie uwierzył w te bzdury o niebie spadającym na głowy, namówił więc żonę do zlekceważenia zagrożenia. W tej chwili siedziała z ich pięcioletnim wnuczkiem, w miłym domu w stylu Tudorów na Hylan Boulevard, koło Huguenot Park na pobliskiej Staten Island. Mniej więcej trzy metry nad poziomem morza.

Fala znajdowała się o cztery, może pięć minut od brzegu.

Dzięki Bogu jednak tutaj otrzymał rozkazy, żeby przygotować się na najgorszy wariant wydarzeń.

- Janet, wysłaliśmy powszechne ostrzeżenie? - za pytał swoją podwładną.

- Tak jest, sir.

- To dobrze. Ruszamy - wstał z fotela, skierował się ku drzwiom, po drodze ściągając z wieszaka kurtkę.

- Wszyscy na zewnątrz - niepotrzebnie poleciał czworogę pozostałych, pośpiesznie zamykających centrum.
- Do helikoptera.

Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy, wybrał numer domowy i słuchał jak dzwoni. Odezwał się jego własny głos: „Tu mieszkanie komandora Phillipsa. Proszę mówić.” I piknięcie.

- Myro - powiedział - na miłość boską uciekaj z domu. Nadchodzi fala.

Potem wyszedł, na wpół idąc, na wpół biegnąc, zgodnie z regulaminem zamykając po drodze drzwi, cały czas nasłuchując odgłosu wirników. Wszyscy jego ludzie byli już na zewnątrz, biegli po asfalcie i wspinali się do helikoptera. Oprócz Janet, która czekała na niego. Cholerna baba.

- Naprzód - rozkazał, wsiadła, on za nią i helikopter wystartował.

Phillips popatrzył na wschód, ponad światłami Brooklynu, w stronę wejścia do portu. Wszystko wyglądało normalnie. Uruchomili Bluebell, Napowietrzne Centrum Dowodzenia Straży Przybrzeżnej. Jeden z radiooperatorów zwrócił na siebie jego uwagę.

- Komandorze - powiedział - mamy raporty od kilku statków handlowych. Mówią o dwudziestometrowej fali.

Boże, miej nas w swojej opiece. Skierował pilota na południe. Jednocześnie próbował dodzwonić się do domu. Bezskutecznie.

Ostrzeżenie podawane było teraz przez radio, wszystkie stacje radziły udać się jak najwyżej.

Phillips usiłował opanować ogarniającą go panikę.

- Janet - poleciał - daj mi Collinsa.

Regionalnego dyrektora FEMA¹⁸. Collins, oczywiście, już wiedział.

- Robimy co możemy - powiedział. Też był sceptykiem. - Może będziemy mieli szczęście - dodał. Zabrzmiało to złowieszczo.

¹⁸ FEMA - *Federal Emergency Management Agency*
= *Federalna Agencja Nagłych Wypadków (przyp. tłum.)*

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, potem Phillips jeszcze raz spróbował dodzwonić się do domu. Tym razem Myra odebrała.

- Hoo, Phil - powitała go - zwolnij troszkę.

Patrzył nad zatoką z wysokości jakichś trzystu metrów. W dole poruszały się światła. Dwie mile w przedzie, nad cieśniną Narrows, widniał most Verrazano Bridge.

- Myro, nadchodzi wielka fala. Naprawdę wielka. Uciekaj. Wjedź na międzystanówkę i skieruj się na zachód.

- Jak wielka?

- Gigantyczna.

- Ile mam czasu?

- Ani...

Telefon zamilkł. Próbował zadzwonić ponownie, ale uzyskał tylko nagranie z firmy telefonicznej, że linia jest w naprawie.

Janet patrzyła na niego nieruchomo, w milczeniu.

Próbował połączyć się z operatorem, żeby sprawdzić linię i wtedy światła na moście zgasły.

SPECJALNA AUDYCJA Z BIAŁEGO DOMU. 22:45.

Moi współobywatele Amerykanie.

Jak na pewno wiecie, kilka wielkich fal uderzyło we wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Kolidują komety Tomiko z Księżycem, która nastąpiła dziś wieczorem, wypełniła przestrzeń odłamkami. Fragmenty zniszczonego satelity spadły na ląd i do oceanu. Wywołane tym fale uderzyły na kilka miast. New Haven, Nowy Orlean, Charleston zostały poważnie uszkodzone. Katastrofom uległy nawet miasta w głębi lądu. Dotychczas większość zniszczeń nastąpiła na półkuli zachodniej, ponieważ nasza strona planety jest zwrócona ku Księżycowi.

Mamy powody by sądzić, że najgorsze mamy już za sobą, a wiadomości są całkiem niezłe. Jak na razie zachodnie wybrzeże w ogóle nie ucierpiało a centralna część kraju jest niemal nietknięta.

Dzisiejszej nocy zrobimy to samo, co zawsze robili Amerykanie w chwilach kryzysu: połączymy siły i przetrwamy. Poradzi-

my sobie z tym, zachowując wiarę w Boga, a kiedy wszędzie słońce, nadal tu będziemy.

Później Henry pożałował tego ostatniego zdania. Al był mu przeciwny, ale prezydent uważał, że jest w nim siła i zostanie zapamiętane. Coś, co ludzie będą często cytować, stanowiące w dodatku odwołanie do przyszłych kryzysów.

Tak naprawdę, z czego zdał sobie sprawę zbyt późno, brzmiało nadmiernie pesymistycznie.

Manhattan. 23:49.

Fala, która uderzyła na Nowy Jork była zupełnie inna, niż uczestnicy przyjęcia na dachu u Louise mogliby się spodziewać na podstawie wszystkich filmów katastroficznych, jakie kiedykolwiek nakręcono. Nie było kotłującej się wody, grzebienia piany. Po prostu woda w zatoce i we wszystkich rzekach w okolicy gwałtownie przybrała i zaczęła się rozlewać po Manhattanie, Queens, Brooklynie, Staten Island i wybrzeżu Jersey. Marilyn, stojąca za ludźmi zgromadzonymi wokół telewizora, na którym zmieniały się obrazy przekazywane z helikoptera, obserwowała przyływ zalewający nabrzeża, promy i nadbrzeżne szosy.

Pociągając któreś z rzędu daiquiri (ulubiony jej drink, mogła bowiem popijać go przez całą noc bez widocznych następstw), przyszło jej do głowy, że być może jednak jest pijana. Woda docierała tutaj. A 77 Ulica wciąż była zakorkowana.

Odsunęła się od grupy, wyszła z powrotem na taras i popatrzyła w dół, na samochody. Stały zderzak w zderzak, nieruchomo, półciężarówka miejskiego pogotowia energetycznego, cysterna z paliwem, ciężarówka z piwem, autobus miejski, policyjny radiowóz, kilka taksówek. Otwierały się drzwi, wysiadali z nich kierowcy, ludzie zaczęli wysypywać się z autobusu i uciekać. Ale tak naprawdę nie mieli dokąd.

Gdzie jest Larry?

Rozmawiał z jednym z menedżerów. Minęła go szybkim krokiem, wyszła z mieszkania i zjechała windą na parter.

Przeszła do wąskiego holu i podbiegła do frontowej części budynku. Teraz słyszała krzyki z zewnątrz. Oraz huk helikoptera.

Dotarła do wejścia. Pomiędzy zewnętrznymi i wewnętrznymi drzwiami, skonstruowanymi tak, by stanowiły środek bezpieczeństwa, był dwuipółmetrowy odstęp. Jednak zamek w wewnętrznych zaskoczy kiedy tylko drzwi się zamkną. Zostałaby zamknięta na zewnątrz. Rozejrzała się za krzesłem do podparcia drzwi, ale takiego nie było. Z tyłu, koło windy, na niewielkim stoliku stała lampa. Zestawiła ją na podłogę i użyła stolika jako zabezpieczenia powrotu. Potem otworzyła zewnętrzne drzwi i wyjrzała na ulicę.

Ludzie biegli, szli, kuśtykali od strony rzeki w kierunku parku. Kilka osób, najwyraźniej kompletnie oszomionych, siedziało w samochodach. Stała na najwyższym stopniu, zdając sobie nagłe sprawę z odległego dudnienia. Ziemia zatrzęsła się, jakby tuż obok przejeżdżało metro.

Para w średnim wieku, oboje w wieczorowych strojach, przebiegali obok. Mężczyzna podniósł wzrok i zobaczył ją.

- Uciekaj! - krzyknął.

Ryk nadciągał z zachodu, w stronę Broadwayu. Był coraz głośniejszy. Ludzie zaczęli panicznie uciekać z autobusu. Ktoś upadł, ale nikt nie zatrzymał się by mu pomóc. Taksówka, próbująca ominąć stojące pojazdy, wpadła na chodnik, przejechała młodą kobietę i walnęła w hydrant. Woda rzygnęła w powietrze, lśniąc w ulicznych światłach.

W tej samej chwili czarna ściana wody minęła róg ulicy i z hukiem runęła na samochody, zmywając wiszący na drugim piętrze Carmody Building szyld Breyers Ice Creams. Latarnie zgasły. Ryknęły rogi mgłowe.

- Tędy! - wrzasnęła Marilyn. - Tu, na górę!

Lecz jej głos zginął w powszechnym chaosie.

Ludzie przebiegali obok z krzykiem. Ktoś próbował wspiąć się na ciężarówkę z chlebem. Marilyn zeszła do połowy schodów, spróbowała schwycić za ramię kobietę, żeby zwrócić na siebie jej uwagę, ale została odepchnięta.

W końcu ktoś zauważył zaoferowaną drogę ucieczki: dziesięcioletni chłopak holujący za sobą matkę. Marilyn zdawało się, że wysiedli z autobusu, ale nie była tego pewna. Przedzierał się pomiędzy zamarzniętymi samochodami i wciąż znajdowali się w odległości piętnastu metrów, kiedy chłopiec podniósł wzrok i zobaczył ją przytrzymującą drzwi. Kobieta była przerażona. Chłopiec krzyknął coś do niej i oboje rzucili się biegiem.

Marilyn zmierzyła wzrokiem odległość i zorientowała się, że zdecydują ułamki sekund. Twarze mieli wykrzywione strachem. Kobieta potknęła się i upadła, ku przerażeniu Marilyn chłopiec zawrócił do niej. Obejrzał się przez ramię na nią, patrzyła na to, wiedząc, że szansa została zaprzepaszczone. Jeśli zaczeka na nich, powódź zagarnie i ją. Wszystko jakby zgęstniało, zaczęło się dziać w zwolnionym tempie, cała scena utrwaliła się w jej oczach: podnosząca się woda, zalewająca ciężarówkę, pochłaniająca wszystko, kobieta usiłująca popchnąć chłopca w stronę schodów. Dziecko łkające, szarpiące ją ku sobie...

Marilyn zatrzęsła drzwi w momencie gdy woda zaczęła je zalewać.

Budynek zatrzęsł się pod jej ciosem. Gdzieś z hukiem poleciały okna, do wnętrza zaczęły wlewać się potoki wody. Z kanałów instalacji elektrycznej trysnęły kolejne strugi. Marilyn krzyknęła, kopniakiem odrzuciła stolik od wewnętrznych drzwi pozwalając im się zamknąć, brodząc w wodzie po kostki ruszyła do windy. Wcisnęła guzik i czekała na kabinę. Kiedy wskoczyła do niej, zgasły wszystkie światła i znalazła się w całkowitej ciemności. Drzwi zaczęły się zamykać, instynkt samozachowawczy przejął kontrolę. Zablocko-

wała je i precyzyjnie się z powrotem do holu. Kiedy je zwolniła, zatrzasnęły się, ale kabina ani drgnęła.

Poczłapała przez ciemność, usiłując sobie przypomnieć gdzie są schody. Budynek trzeszczał i sprawiał wrażenie jakby tonął. Podłoga zrobiła się śliska, prąd wody podciął ją i upadła.

Z trudem podniosła się na nogi, na wpół już pływając. Woda krążyła wokół jej bioder. Coś, drewniana lampa, przepłynęło obok. Spróbowała wymacać sobie drogę wzdłuż ściany, która ciągnęła się jednak w nieskończoność i wcale nie dochodziła do schodów. Czy są po przeciwnej stronie? Czy też na drugim końcu korytarza, koło drzwi frontowych? Nie mogła sobie przypomnieć, już nie była nawet pewna gdzie jest frontowa strona.

Krzyknęła. Woda huczała. Miała ją do ramion, nie dostawała już nogami do podłogi.

Śmierdziało ropą naftową, zdechłymi rybami i gnijącym drewnem. Marilyn zrzuciła buty. Gdzie jest Larry? Czy, na miłość Boską, nie zauważył w ogóle, że znikła?

Prąd wody był już tak szybki, że nie była w stanie się mu przeciwstawić. Znów natrafiła na drzwi windy.

Stuknęła o coś głową.

Sufit.

Ktoś wyżej usłyszał jej krzyki. Ktoś wołający ją po imieniu. Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale zalała je woda. Potem zobaczyła dobiegające z tyłu światło.

To klatka schodowa. Ktoś jest na klatce schodowej.

- Ratunku! - wrzasnęła.

- Tutaj! - to był Lany!

Schody zamieniły się w wodospad. Z całej siły pchała się w tamtą stronę, walcząc z prądem i własnym zmęczeniem.

Pojawił się Larry, z latarką, uczepony poręczą. Wyciągnął rękę, złapał ją.

- Coś ty tu robiła? - krzyknął.

W tych warunkach pytanie było wręcz niesamowite.

-Tonełam - odpowiedziała, wiedząc, że jej nie usłyszy- Trzymał jednak mocno.

Louise znalazła dla niej szlafrok i zaoferowała sypialnię. Jednak po tej przygodzie była silnie pobudzona, pomimo przemarznięcia do szpiku kości i wyczerpania, i nie mogła zasnąć.

W sypialni byli sami. Louise znalazła jakieś ubranie i dla Larry'ego, o numer za duże, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Był tak samo wstrząśnięty jak ona i to budziło w niej uczucia, których nie doświadczała już od dawna.

- Myślałem już, że cię stracę.

Leżał koło niej, ledwie widoczny w mroku. Jedyne źródłem światła w pokoju był podświetlany budzik.

Wcisnęła się głębiej w poduszki.

- Wszystko zdarzyło się tak szybko.

Rozpłakała się, a on próbował ją uspokoić, mówiąc, że już wszystko w porządku, że są bezpieczni. Nie umiała mu opowiedzieć o ludziach na chodniku, o chłopcu i jego matce, za każdą próbą wszystko ginęło we łzach.

- Kocham cię - powiedział. - Nie wiedziałem, że oze niłem się z bohaterką.

Te słowa wcale nie były nowe. Codziennie mówił jej, że ją kocha. Tak samo jakby komentował dobry obiad - uprzejmość, odruchowo wyrażana. Jednak tym razem brzmiały inaczej. Głos miał dziwny.

- Też cię kocham, Larry - powiedziała, czując przyływ uczuć i przypominając sobie, że niecałą godzinę temu zastanawiała się nad korzyściami zamiany męża na Marva.

Jego dłoń insynuacyjnie wsunęła się jej pod szlafrok. Odsunęła ją, sprawiał wrażenie zranionego.

- Marilyn - powiedział zaskoczony - wszystko jest w porządku.

Lecz ona miała wzrok wbity w ciemność, znów patrzyła na chłopca, wprost w jego oskarżycielskie oczy. Były piwne, pomyślała. Wiedziała, że będzie je widziała przez resztę życia.



5.

Kokpit *Mikro*, niedziela, 14 kwietnia, 2:10.

- Co z kombinezonem ciśnieniowym?

Był to rodzaj bielizny noszony pod skafandrem, zaprojektowany tak, żeby w trakcie przeciążeń nie dopuszczać do zbierania się krwi w kończynach. Dysponowali tylko jednym, który miała na sobie Saber. Wisiał teraz w szafce. Tony otworzył ją i przymierzył się do nogawek. Były o kilka cali za długie.

- Chyba sobie poradzę bez niego - uśmiechnął się.

- Poza tym wrócę za kilka minut.

Powietrze w kabinie zrobiło się ciężkie około północy, wtedy Saber rozdała maski i butle tlenowe. Przełączyli się na drugą porcję butli koło drugiej. Wówczas radar już milczał i Tony uznał, że można zaryzykować wycieczkę na zewnątrz.

Założył skafander (nieco za duży), zszedł do kabiny pasażerskiej i zapewnił wszystkich, że nie ma się czym przejmować. Włożył hełm, sprawdził radio, wyszedł do śluzy i zamknął za sobą wewnętrzną klapę.

- Tony?

- Mów, Saber.

- Na ekranie pojawiło się kilka sygnałów.

- Coś niepokojącego?

- Nie. Ale w pobliżu wcale nie jest czysto.

Na tym, oczywiście, polegało niebezpieczeństwo. Jeśli coś w nich wyceluje, będzie musiała uruchomić silnik i zrobić unik. Rzecz niezbyt miła, kiedy się jest na zewnątrz.

- Okay. Do roboty, dziewczyno.

Otworzyła się zewnętrzna klapa. Przypiął linę do pasa. Będzie się rozwijała w miarę poruszeń Tony'ego, była wystarczająco długa, żeby pozwolić mu na dotarcie do ładowni. Przypiął latarkę do przegubu, włączył ją, zgłosił gotowość do wyjścia i przekroczył próg. Klapa zamknęła się za nim.

Kadłub pełen był wzerek, wgnieceń i przypaleń. Obejrzał go i potrząsnął głową.

- Nieco oberwaliśmy - powiedział do Saber.

Śluza pokładu C znajdowała się za krzywizną kadłuba. Ruszył naprzód, w dół busu, korzystając ze strategicznie rozmieszczonych uchwytów. „W dół” oznaczało tu w stronę dyszy i chmury po zderzeniu z Księżycem, którą zobaczył zbliżając się do klapy ładowni. Spozstrzegł zniszczoną podpórę, kiwającą się w uchwytach jak złamana noga. Cała dolna część *Mikro* była poobijana, zarówno przez odłamki, jak i najwyraźniej przez urwaną podpórę, która mogła uderzać w pojazd przy gwałtownych zwrotach. Trzeba będzie tu wrócić i usunąć ją.

Kłapa była pocięta; w pobliżu widać było otwór wielkości piłki baseballowej o brzegach wygiętych na zewnątrz. Meteor uderzył w kadłub po przeciwnej stronie i wyleciał tędy. Metal był przypalony. Wewnątrz wciąż paliło się światło.

- Mogę zajrzeć do środka - powiadomił Saber.

- Widzisz Bigfoota?

- Nie, ale jest tam coś błyszczącego.

-Co?

- Plastikowy worek.

- Och - zachłysnęła się Saber. - On zabrał na pokład dużo rzeczy w plastikowych workach.

Wór oddryfował w bok, teraz widać było tylko przeciwną burzę.

- Okay - powiedział, kierując latarkę w stronę śluzy.

- Czas się wziąć do roboty.

Właśnie ruszył do klapy, kiedy coś zaszeleściło na szybie hełmu. Mogła to być garść piasku.

- Coś się stało? - zaniepokoiła się Saber.

- Nie - odparł.

- Okay. Postaraj się dostać do środka najszybciej jak się da.

- Staram się.

Sięgnął do panelu kontrolnego, otworzył go i przekręcił klucz. Zapaliła się biała lampka. Dobrze. Przynajmniej miał zasilanie.

Wcisnął przycisk AKTYWACJA i rozjarzył się wyświetlacz informacyjny. Widniało na nim słowo ODPOWIETRZANIE. Lampka zmieniła kolor na czerwony.

Przez skafander wyczuł jakieś drgania.

- Następne kamienie? - spytał?

- Nie widziałam ich, Tony, były poniżej czułości radaru - żwiru po prostu nie widział. - Jesteś już prawie w środku?

Wpatrywał się w wyświetlacz śluzy.

- Będę wewnątrz za minutę.

- Zrozumiałam.

Myślał o Bigfoocie. Nigdy nie spotykali się na gruncie towarzyskim, nawet nie rozmawiali za wiele. Tylko cześć-cześć i już. W ich grupach zawodowych panowała tendencja do trzymania się razem. Tony spotykał się z pilotami, zakładał, że Bigfoot spędzał czas z pracownikami obsługi technicznej lotów. Albo z kierownictwem. Prawdopodobnie to drugie. Zastanawiał się, co robił, kiedy meteor przebił burzę, o czym myślał. Tony miał nadzieję, że zgon nastąpił szybko. Na pewno jednak było kilka chwil...

Kontrolka wciąż pozostawała czerwona.

Na wyświetlaczu jego skafandra nie było zegara, ale wydawało mu się, że zajmuje to zbyt wiele czasu.

- Tony?

-Tak.

- Możesz się pospieszyć?

- Śluza wciąż jeszcze pracuje.

W końcu czerwona kontrolka zgasła i napis na wyświetlaczu zmienił się na ODPOWIETRZANIE ZAKOŃCZONE.

Zmienił pozycję, prawą ręką trzymając się uchwyty, gotów wśliznąć się do śluzy kiedy tylko kłapa znacznie się otwierać.

Jednak ani drgnęła.

- Saber, chyba nic z tego nie będzie.

- Musi się otworzyć.

- Miło mi to słyszeć.

Przełączył klapę na otwieranie ręczne, chwycił za dźwignię, obrócił ją i pociągnął.

Nic

Zmienił pozycję i spróbował jeszcze raz. Tym razem poczuł, jak coś ustępuje.

- Okay - powiedział. - Są postępy.

Teraz pomiędzy krawędzią klapy a jej gniazdem była liewielka szczelina. Odpiął drąg od pasa, wsunął go tam zaczął kiwać nim tam i z powrotem.

- Tony, musisz się pośpieszyć. Na ekranie widać sporo nadlatujących śmieci.

- Słyszę - pociągnął mocno.

- Może powinieneś wrócić i spróbować później.

Nie miał dobrego punktu oparcia i kiedy odpychał klapę, sam odjeżdżał w bok. Uznał, że kłopot sprawia trzymanie się uchwyty w trakcie szarpaniny z klapą, piścił go więc, objął drąg obiema rękami i pociągnął. otworzyła się nieco szerzej.

- Idzie - wysapał do Saber.

- Kończy mi się czas, Tony.

Zebrał się w sobie i spróbował ponownie, ale drąg się pośliznął i pilot poleciał w przestrzeń.

- Oho - mruknął.

- Oho? Co to znaczy oho?

- Poleciałem.

- Tony? Muszę ruszyć statek.

- Nie przeszkadzaj sobie - przypiął drąg do pasa.

Nic mi nie będzie.

Silnik zaskoczył i bus skoczył w przód. Tony został z tyłu do chwili gdy lina pociągnęła go za sobą. Była wystarczająco krótka, żeby nie upiekł go główny ciąg. Ale rąbnął mocno o kadłub i uszkodził sobie nadgarstek.

- Jeszcze tam jesteś? - odezwał się w słuchawkach jej pełen niepokoju głos.

- Tak.

Miał trudności z mówieniem i przyszło mu do głowy, że mają tylko jeden skafander. Jeśli wpadnie tu w kłopoty, nikt nie będzie w stanie przyjść mu z pomocą.

- Lecą następne, Tony - ostrzegła Saber. - Musimy się stąd wynosić.

- Okay, u mnie wszystko w porządku.

Coś chlapnęło mu na szybę hełmu.

Ciecz. Próbował ją zetrzeć, ale nic się nie stało, a w tym niesamowitym świetle jego ręka wyglądała jakoś dziwnie.

Ciecz wydostawała się z jego rękawa, nie mógł dostrzec swojej lewej dłoni.

Nie czuł swojej lewej dłoni.

Na obrzeża jego pola widzenia zaczęła wpełzać czerń. Poczł rosny nacisk lewego rękawa. Skafander się uszczelniał.

Ale światło powoli gasło.

Kabina pasażerska *Mikro*. 2:31.

Charlie zużył już sporą część tlenu z drugiej butli. Zostało jeszcze tylko kilka sztuk, co oznaczało, że jeśli nie naprawią systemu podtrzymywania życia, około czwartej zaczną mieć poważne kłopoty.

Z okien kabiny pasażerskiej nie było widać co się dzieje. Tony zniknął za krzywizną kadłuba i słycać było łomotanie, kiedy walczył z kłapą. Charlie miał ochotę spytać Saber jak idzie naprawa, ale nie chciał jej rozpraszać. Życie brutalnie nauczyło go, że zwykły człowiek może zadawać pytania, albo narzekać ile wlezie i nikt tego nawet nie zauważy - ale osoba na politycznym świeczniku bardzo szybko i łatwo zostaje uznana za palanta. Czekał więc, wymieniając zaniepokojone spojrzenia z Evelyn, która również starała się nie wchodzić nikomu w drogę.

Morley siedział posepnie, obiema rękami trzymając maskę tlenową. Sprawiał wrażenie załamane, co ostro kontrastowało z jego energiczną osobowością antenową. Kapelan próbował traktować całą sytuację fatalistycznie, usiłował w ten sposób chronić się przed falami emocji.

- Niewiele możemy zrobić, tylko wytrzymać - mówił, albo: - Jesteśmy w rękach Boga.

Bez wątpienia byli.

Charlie poczuł się zaskoczony, kiedy Saber ostrzegła ich przed kolejnymi turbulencjami. Turbulencja była zabawnym słowem na określanie głązów, które obserwował przelatujące za iluminatorem. Kiedy pilotka włączyła silnik i obróciła bus, uznał, że Tony musiał dostać się już do wnętrza.

Lecz teraz silnik znów zamilkł. Z dolnych pokładów nie dochodziły żadne dźwięki i *Mikro* leciał w złowieszczej ciszy.

Evelyn próbowała okazać pewność siebie.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Wiedzą co robią.

W interkomie coś trzasnęło, ale nikt się nie odezwał. Evelyn znów zerknęła na Charliego. Milczenie trwało tak długo, że zdał sobie sprawę, iż może to oznaczać tylko złe wiadomości.

Kapelan wyglądał przez okno.

- Houston, Houston - powiedział Morley miękko - mamy kłopoty.

Kapelan wstrzymał nagle oddech.

- Na zewnątrz - wyszeptał.

Holowali za sobą Tony'ego na końcu liny. Był jakby zmięty, nieruchomy. Koziółkował powoli przez głowę.

Kędy zmienił się kąt i światła zewnętrznych reflektorów go dosięgły, Charlie zobaczył, że Tony'emu brakuje lewej dłoni. W pierwszym momencie pomyślał, że to gra świateł. Jednak po chwili zobaczył, że to prawda.

Charlie Haskell nie był jeszcze na tyle stary, żeby zanim zaczął się ten tydzień stanąć twarzą w twarz z możliwością własnej śmierci. Zakładał, że zawsze będzie jutro. *Teraz* patrzył na zewnątrz, na Tony'ego Casawaya, pomyślał o Bigfoocie w pozbawionej powietrza ładowni i zadygotał. Casaway wrócił po nich, Bigfoot został, żeby dać im szansę.

Charlie był niewierzący. Nie oczekiwał, że będzie wezwany na sąd, gdzie policzone mu zostanie co zrobił, a czego nie. Jego rodzice wierzyli w materialny świat,

miejsce ewolucji sprzętu i oprogramowania, gdzie dla boskości nie było miejsca. Po prostu jeszcze wszystkiego nie poznaliśmy, zwykł był mawiać jego ojciec. Wszystko robi się coraz bardziej skomplikowane, a my nie wiemy dlaczego. Lecz to wcale nie oznacza, że musimy przypisywać to boskiej opatrności.

Charlie przez krótki czas był związany z kościołem luterańskim, w wyniku wstąpienia do parafialnej drużyny baseballowej. Wycofał się stamtąd z radością. Później, kiedy wszedł do świata polityki, poradzono mu, żeby wybrał sobie wyznanie. Jakiegokolwiek. A potem żeby od czasu do czasu pokazał się w kościele. Zastosował się do rady, wybrał kilka. Nigdy jednak nie potrafił brać ich na serio, choć odkrył, że stały się istotne dla jego sukcesu i szybkiego awansu.

Z punktu widzenia Charliego, jeśli tu umarł, wszystko by się skończyło. Zazdrościł Markowi Pinnacle'owi, który mógł stawiać czoło największym niebezpieczeństwom ze stosunkowym spokojem, wierzył bowiem, że za bramą czeka Raj. Musiał tylko wyjaśnić sobie dlaczego Jezus zesłał kometę. Dla chrześcijanina to pestka.

Dla realisty, takiego jak on sam, życie było trochę bardziej skomplikowaną grą, w której czasem oprogramowanie cię wykańczało. Nic osobistego.

- Muszę wam powiedzieć - odezwała się Saber, przewijając mu rozmyślenia - że kapitan Casaway nie żyje. Z jego skafandra nie docierają żadne sygnały funkcji życiowych.

Głos jej drżał.

Kapelan odpiął pasy i chciał ruszyć jej z pomocą, ale Evelyn dotknęła jego ramienia i ruszyła po drabince na górę. W kokpicie rozgorzała gwałtowna dyskusja prowadzona przyciszonymi głosami.

Charlie napotkał spojrzenie Morleya.

- Nigdy nie dotarł na pokład C - powiedział.

Charlie skinął głową.

- Wiem.

- Co teraz zrobimy?
Dobre pytanie.

Laboratorium Orbitalne na Skyport. 2:33.

Windy, znajdujący się po drugiej stronie centrum operacyjnego, wymamrotał ciężkie przekleństwo.

- Co jest? - spytała Tory.
- Duży bydlak.

Nacelowwał instrumenty, wzmocnił obraz i wyświetlił liczby. Meteor był płasko ścięty z jednej strony, jakby ktoś odciął go gorącym nożem, przeciął niczym ananasa. Cały przypominał kawałek owocu, płaski u dołu, nieco wydłużony, koziółkował powoli jednocześnie obracając się wokół podłużnej osi, która mierzyla. ...

Półtora kilometra.

- O Boże... -jęknęła.

Przekazali dane do pozostałych ośrodków. Meteor otrzymał kryptonim OPoK-38, co ludzie bardzo szybko przerobili na Opos.

6.

ZESPÓŁ TERENOWY, HELIKOPTER REPORTERSKI WIADOMOŚCI WBKK. 3:07.

Cliff Beaumont **nad Miami Beach.**

- Na miłość boską, jeżeli znajdujecie się w zasięgu mojego głosu, znajdźcie sobie jakieś schronienie.

(Kamera pokazuje spienione morze, oświetlane błyskawicami. Na obrazie pokazuje się i znika gigantyczny, czarny lej.)

-To coś uderzy na Miami Beach za kilka minut. Jeśli dysponujecie piwnicą sztormową, zamknijcie się w niej. Jeśli nie, ukryjcie się w centralnej części domu. Znajdujemy się w odległości kilku kilometrów, ale i tak nieźle nam się dostaje i niedługo będziemy musieli lądować. W każdym razie, uciekajcie z otwartej przestrzeni.

AstroLab. 3:11.

Kiedy tylko dane ze Skyport zostały przeliczone i potwierdzone, Wes Feinberg zadzwonił do Białego Domu. Dostał wcześniej specjalny kod, dzięki któremu mógł rozmawiać bezpośrednio z Mercedes Juarez. Wolałby kogoś innego. Mercedes żywiła nadmierny szacunek dla ludzi u władzy. Feinbergowi potrzebny był ktoś, kto nie wahałby się przed przedarciem się przez wszelkie biurokratyczne blokady i wejściem wprost do Gabinetu Ovalnego. Chciał dostać bezpośrednie połączenie z prezydentem („Niemożliwe!”) albo przynajmniej z Alem Kerrem („Pan Kerr jest wyjątkowo zajęтым człowiekiem.”). Świat mógłby się skończyć, ale pan Kerr był zbyt zajęty, żeby to zauważyć.

- Czy może mnie pani połączyć wprost z prezydentem? - zapytał Juarez.

- Zrobiłabym to, gdybym mogła, profesorze Feinberg. Przez całą noc jest w pokoju operacyjnym.

- Tak. Niech mu pani powie, że stoi w obliczu poważnego zagrożenia.

- A dokładnie o co chodzi?

- Lepiej byłoby, gdybym mógł powiedzieć mu to osobiście. Być może zanoszą się na najgorsze.

- Prawdopodobnie ma pan na myśli raport przysłany kilka minut temu z NASA.

- Nie wiem. Co było w raporcie?

- To tajne.

- To chyba utrudnia rozmowę na jego temat, nieprawdaż?

Głos Juarez stężał.

- Profesorze Feinberg, jeśli poda mi pan szczegóły, przekażę je prezydentowi.)"Albo nie marnuj mojego czasu".

- Dobrze. Leci jeden naprawdę wielki. Otrzymał numer trzydzieści osiem. Dziś przed południem zawadzi o górne warstwy atmosfery. Istnieje poważna szansa, że wyhamuje go to wystarczająco by wszedł na orbitę. Jeśli tak się stanie, będzie ona bardzo niestabilna. Uwa-

żarn, że to cholera spadnie nam na głowy. Zrozumiała pani?

Przez długą minutę we słuchawce panowała cisza. Potem padły pytania:

- Jak jest wielki? Kiedy spadnie? Gdzie?
- Ciekaw był co znalazło się w raporcie NASA.
- Ma półtora kilometra średnicy. Wie pani co to oznacza?
- Tak - odparła. - Tak sędzę.
- Niech mu pani powie. Jeśli dysponuje czymkolwiek, ma bardzo mało czasu, żeby tego użyć.
- Przekażę mu wiadomość.
- On musi porozmawiać ze mną.

Boston. 3:16.

Fala nie była szczególnie wielka, jak na tę noc. Przetoczyła się przez port lotniczy Logan, przez Winthrop, opuszczone zaledwie kilka minut wcześniej, po ostrzeżeniu, które wypędziło ostatnich twardzieli. W centrum Bostonu woda miała zaledwie dwa i pół metra głębokości. Inne fale weszły na wybrzeże koło Plymouth na południu i Gloucester na północy. Rozmiary katastrofy powiększył ogromny karambol na szosie 114 koło Marblehead, gdzie tysiące ludzi zostało schwytych w pułapkę na drodze morza.

W Plymouth zniszczona została elektrownia Commonwealth Electric. Spowodowało to przeciążenie elektrowni w Bostonie i Providence, cały system zaczął się więc automatycznie wyłączać. O czwartej piętnaście wszystkie północnowschodnie stany zostały pozbawione prądu.

We wszystkich głównych miastach na obydwóch wybrzeżach zaczęła się desperacka ewakuacja. Siły policyjne zniknęły, bo funkcjonariusze usiłowali ratować własne rodziny. Szpitale i inne służby mające działać w nagłych wypadkach także stanęły, z tych samych powodów. Ludzie, którzy zrezygnowali z walki o wydostanie się z miasta i szukali schronienia w kościołach i lokalnych ośrodkach kultury, często zastawali je zamknię-

te. Jednostki wojskowe i Gwardii Narodowej mogły się szybko przemieszczać wyłącznie drogą powietrzną.

Dotychczas nie było jeszcze tsunami na zachodnim wybrzeżu. Eksperci wyrażali ostrożny optymizm.

Media przeżywały najprawdopodobniej swoje najwspanialsze chwile w historii. Zespoły terenowe były wszędzie, spadały z nieba by nakręcić wywiady z przerażonymi i zdesperowanymi ludźmi.

- Dokąd się pani udaje, pani Martinik?

- Dokądkolwiek...

Ludzie w Denver, Kansas City, Indianapolis, doświadczyli innych uderzeń. Niemal każdy miał dzieci, przyjaciół, kuzynów mieszkających na drodze fal - a linie telefoniczne na terenach objętych katastrofą były porzywane.

W różnych miejscach na kuli ziemskiej różnie się działo. Wschodnia Afryka, Środkowy Wschód i Azja ucierpiały dotychczas w niewielkim stopniu, nie były bowiem bezpośrednio narażone na skutki kolizji. Jednak odłamki wciąż spadały, a obrót Ziemi przesunął granicę ich pojawiania się. Europie dostało się mocno. Oceniano, że tysiące ludzi zginęło na obszarach od Rzymu do Zatoki Ryskiej. Kijów na Ukrainie został, tak jak Carlisle, zmieciony z powierzchni ziemi przez deszcz meteorytów. Porto Allegre i Valparaiso zniknęły pod wodą.

Trafiały się i dobre wieści: tsunami, które kierowało się na Vancouver nigdy tam nie dotarło. W Pearl Harbor przed atakiem fal marynarka ewakuowała na okręty wojenne tysiące członków rodzin marynarzy. W Glasgow władze miejskie użyły w tym samym celu wszystkich dostępnych pociągów, autobusów oraz znakomitego planowania.

Narody zaczęły udzielać sobie nawzajem pomocy nie zwracając uwagi na granice państwowe. Wojska rosyjskie przybyły do Kijowa z pomocą medyczną i żywnością. Polacy ratowali Łotyszy w Rydze, a w tym samym czasie Niemcy pomagali Polakom wzdłuż całego wybrzeża. Włoskie organizacje humanitarne pojawiły się we

wschodniej Francji. Kanadyjczycy byli w drodze do Nowego Jorku.

Tej nocy niektórzy dochodzili do wniosku, że cokolwiek się jeszcze wydarzy, gatunek ludzki nie będzie już taki sam jak przedtem.

Laboratorium Orbitalne Skyport. 3:18.

Skyport był satelitą geostacjonarnym, wiszącym nad Wyspami Galapagos. Niebo nad wschodnim Pacyfikiem rozjaśniały gęste smugi deszczy meteorów. Tory wiedziała co się dzieje na powierzchni planety. Wzdłuż całego wybrzeża Zatoki Meksykańskiej powstawały potężne sztormy, wywołane gwałtownymi zmianami temperatury i ciśnienia. Huraganowe wichry i niesamowite ulewy uderzyły na Mobile, Nowy Orlean, Tampico i Veracruz. W telewizji pokazywano poszarpane ciała i połamane wózki inwalidzkie, przemoczone misie i przewrócone autobusy. W Virginia Beach zdesperowany ojciec próbował uratować swoje dzieci przed falą przywiązując je do drzew. Nie udało mu się. W szpitalu Wilmington próbowano przeczekać atak morza. Zginęli pacjenci i niemal cały personel. Helikopter Straży Przybrzeżnej z Atlantic City trafił w podmuch wichru i zniknął w wodnych górach. Wszędzie, raz po raz, zdarzały się tragedie i akty bohaterstwa.

Tory patrzyła na to wszystko zamglonymi oczami, z trudem powstrzymując cisnące się łzy. Jej rodzina mieszkała w okolicach St.Louis, w obszarze na razie nie objętym powszechną katastrofą. Lecz OPoKi wciąż spadały, usiłowała ostrzegać przed nimi jak potrafiła. Zazwyczaj dawało to ludziom trzydzieści, czterdzieści minut na reakcję. Niewiele, ale i tak było to o niebo lepsze niż nic. Odgrywała tu bardzo ważną rolę, a oni chcieli odesłać ją na dół, w czasie gdy powinni raczej wzmacniać obsadę.

Patrzyła jak OPoK-27 spala się w atmosferze i gaśnie gdzieś nad Brazylią. Miasta obu Ameryk najczęściej były pełne świateł, nawet o takiej godzinie. Tej nocy jednak duże części obu kontynentów pozostawały po-

grążone w ciemności. Nawet rzeka światel łącząca zazwyczaj Boston z Miami, teraz była w najlepszym wypadku łaciata.

Stąd, z fotela wiszącego trzydzieści sześć tysięcy kilometrów nad Pacyfikiem, wyczuwała w zadawanych planecie ciosach pewien rytm, wzorzec światła, natężenia, rozkładu w czasie. Pomimo tego wszystkiego, co działo się na dole, kosmiczna symfonia była najpiękniejszą rzeczą jaką kiedykolwiek widziała.

Biały Dom, Gabinet Owalny. 3:20.

Henry wpatrywał się w papiery porzucane po całym biurku z drewna tekowego i w ekran laptopa, na którym przewijały się obrazy z Miami. Wzrok miał zamglony, trawiła go gorączka, dłonie mu drżały. Emily błagała go, żeby wezwał swojego osobistego lekarza i wziął coś na uspokojenie. Jednak środek uspokajający był teraz ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował.

Ilu ludzi zginęło tej nocy?

Nigdy się tego nie dowiedzą; a jeśli Henry Kollander miałby pod ręką pistolet, zrobiłby co należy i wpakował sobie kulkę w łeb.

Otworzyły się drzwi, zajrzał przez nie Kerr.

- Henry?

Jedynym, oprócz ekranu laptopa, źródłem światła w pomieszczeniu była lampka na biurku. Popatrzył na nią, pamiątkę od prezydenta Francji.

- Postawiłem na niewłaściwego konia, AL

Czuł się pusty, jak wyspany.

- Powinniśmy byli rozpocząć ewakuację miast, kiedy tylko się dowiedzieliśmy o katastrofie.

Drugi raz już nie popełnił błędu. Na kilka minut przed wystąpieniem o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć wydał służbom państwowym polecenie ewakuacji wszystkich miast wzdłuż obydwóch wybrzeży. Oczywiście za późno. Dużo za późno.

- Sir, zrobiliśmy to, co uważaliśmy za właściwe.



Wzruszył ramionami.

- To nie ma najmniejszego znaczenia, AL Tam jest mnóstwo trupów. Nie musiało tak być.

Przez długi czas żaden z nich się nie odzywał. W końcu milczenie przerwał Kerr.

- Feinberg znów dzwonił - poinformował z wyraźną rozpaczą w głosie.

Henry powoli obrócił fotel i popatrzył na swojego szefa sztabu, przyszpilając go wzrokiem.

- Co tym razem?

- OPoK-38. Ten, o którym NASA pisała w raporcie.

Prezydent odetchnął głęboko. OPoK-38 miał przelecieć dziś przed południem nad Chinami. Był wielki, ale miał ominąć Ziemię.

- Wciąż uważa, że nas ominie, prawda?

- Tak. Właśnie przed chwilą z nim rozmawiałem. Tyle tylko, że ten facet twierdzi, iż ta skała wróci.

-Co?

- Twierdzi, że meteor wyhamuje w trakcie przelotu przez atmosferę i wejdzie na orbitę wokół Ziemi. Nie jest jeszcze pewien, ale uważa, że w końcu ten głaz spadnie. Może całkiem niedługo.

- Boże. To bydlę ma ile, dziesięć kwartałów długości?

Po raz pierwszy Henry poczuł swoją chorobę. Niczym coś żywego wśliznęła mu się we wnętrność, płuca i owinęła się wokół kręgosłupa. Zabrakło mu tchu.

-Twierdzi, że to tylko inicjator katastrofy. Jeśli spadnie, odetnie światło słoneczne. Era lodowcowa, głód, co tylko zechcemy.

-Kiedy?

- Jeszcze nie wie. Zależy to od pierwszego przejścia przez atmosferę.

- W najgorszym wypadku?

- Za kilka dni.

Henry otarł pot z czoła i zaczął grzebać w papierach, aż znalazł ten, o który mu chodziło.

- NASA twierdzi, że nie ma zagrożenia w najbliższym czasie - miał wrażenie, że brzuch ściskają mu stłowe obręcze. - To Feinberg tak kracze, prawda?

- Nasi ludzie uważają, że on jest najlepszy.

- Okay. No cóż, nie będziemy siedzieli z założonymi rękami. Rozwalimy sukinsyna bronią jądrową - postukał palcami w dokument z NASA. - Tutaj piszą, że znajdzie się najbliżej nas o ósmej czterdzieści siedem. Dołożymy mu z samego rana i będzie spokój.

- Zgadzam się, Henry.

- Niech NASA sprawdzi obliczenia Feinberga. Zobaczymy, czy wyniki będą takie same. A tymczasem połącz mnie z Wilsonem.

Wilson był szefem sztabu sił powietrznych.

- Jeśli NASA zgodzi się z Feinbergiem, wystrzelimy rakiety.

Kerr postąpił niezgodnie ze swoimi zwyczajami wykonując kilka szybkich telefonów by nadać bieg sprawom podczas gdy Henry czekał. Potem znów zwrócił się do prezydenta:

- Jest jeszcze jedna rzecz, o której musimy pogadać, Henry. Dystrykt Columbia jest zagrożony. Uważam, że my też powinniśmy przenieść się w głąb lądu. Tak na wszelki wypadek. Pozwoliłem sobie przygotować zapasowe centrum dowodzenia w Offutt.

Henry miał ochotę się roześmiać, ale nie pozwalało mu na to zaschnięte gardło.

- Offutt? Chcesz, żebym poleciał do Kolorado i usiadł na szczycie góry?

- Offutt to nie góra, Henry.

- Kiedy ludzie słyszą o Kolorado, widzą góry. Jak to będzie wyglądało, jeśli prezydent, który mówił, żeby wszyscy zostali w domu, nie przejmowali się falami, że wszystko jest pod kontrolą - jeśli ten sam cholerny prezydent weźmie tyłek w troki i zwieje w góry?

- Ludzie będą zbyt zajęci, żeby myśleć jak to wygląda, Henry. Później będą zadowoleni, że głowa państwa wciąż urzęduje.

- Akurat. Nie ta sama głowa.

- Henry, morze obserwują samoloty, satelity, mamy tylu obserwatorów, że nie wiemy co z nimi zrobić, ale fale są trudne do wykrycia dopóki nie znajdą się na prawdę blisko. Niektóre pędzą z prędkością trzystu mil na godzinę - wzrok mu stwardniał. - Pracuje dla ciebie mnóstwo ludzi, Henry. Jeśli chcesz narażać samego siebie, to inna sprawa, ale musisz pamiętać o swoich pracownikach.

I Emily. Ona jednak wiedziała w czym problem i kiedy wcześniej tego wieczoru zaproponował jej wyjazd, odmówiła.

Prezydent słyszał głosy dobiegające z zewnątrz.

- Al - powiedział - dzisiejszej nocy los narodu wisi na włosku. Jeśli znajdziesz tu jakichkolwiek ludzi, których obecność nie jest absolutnie niezbędna, odeślij ich. W tym ochroniarzy. Lecz ja po prostu nie mam tyle czasu, żeby pętać się po całym kraju. Zespół operacyjny to prawie sami wojskowi. Miejsce ich pracy jest tu, przy mnie. Zostajemy.

7.

BIULETYN BBC.8:21 BRYTYJSKIEGO CZASU LETNIEGO (3:21 EDT).

- Tu Sidney Cain z Londynu (głos mu drży). Patrzycie państwo na starą dzielnicę finansową z miejsca, w pobliżu którego był Most Waterloo. Naoczni świadkowie mówią, że grzebień fali był wyższy niż dworzec Charing Cross. Centrum miasta w tej chwili znajduje się pod trzema metrami wody. Liczba ofiar, oceniana obecnie na ponad sto tysięcy, może okazać się poważnie zaniżona. Oddziały służb ratowniczych zaczęły się już pojawiać, ale napotkają poważne trudności.

Wiele... (na moment załamuje mu się głos). Wiele ważnych obiektów zostało zniszczonych. Jak widzicie, kościół Świętego Pawła zawalił się. Z budynku Parlamentu zniknął

dach. Pomnik Nelsona chyba przetrwa), podobnie Igta Kleopatry¹⁹, ale niewiele więcej. (Kolejna chwila przerwy). Łodzie z zaopatrzeniem kierują się tu z całych Wysp Brytyjskich. Doszły nas słuchy o francuskiej flotyli w Kanale (Usiłuje powiedzieć coś więcej. Poddaje się.) Oddaję ci głos, Clyde.

Kokpit Mikro. 3:22.

Evelyn uparła się z nią zostać. Saber czuła się zbyt oszołomiona, żeby protestować. Przez jakiś czas siedziały w milczeniu, potem zaczęły rozmawiać. O samopoczuciu pilotki, potem o Tony'm, ojej ambicjach, a w końcu o układzie podtrzymywania życia.

Na zewnątrz wciąż latało mnóstwo kamieni. Saber automatycznie reagowała na pojawiające się od czasu do czasu ostrzeżenia radaru, wyłączając silnik kiedy się dało, manewrując kątem ciągu, całkiem dobrze radząc sobie z unikaniem zagrożeń. Oczywiście było to coraz łatwiejsze. Czoło fali uderzeniowej minęło ich tak szybko, że przeżyli tylko dzięki łutowi szczęścia. Teraz odłamki nadlatywały z prędkością o wiele mniejszą, dzięki czemu siedzący za sterami człowiek mógł mieć nadzieję, że zareaguje wystarczająco szybko.

Za każdym razem, kiedy musiała przyspieszyć, ciało Tony'ego zostawało w tyle, znikало z pola widzenia, lecz po chwili lotu bez ciągu, dryfowało z powrotem do przodu, zupełnie jakby próbował trzymać się jak najbliższej kokpitu. I jej.

Było to niesamowite i *czulą*, ogromną wdzięczność za obecność Evelyn.

Trudno było pogodzić się ze śmiercią Tony'ego. Był absolutnie kompetentny, wierzył, że potrafi zrobić wszystko. W jej duszy pojawiła się ogromna pustka. Dopóki nie *zobaczyła* go tam na zewnątrz, wiszącego na

¹⁹ Egipski obelisk stojący w Londynie na Wybrzeżu Wiktorii tuż nad Tamizą. W 1819 roku podarował go Anglii wicekról Egiptu w uznaniu dla zwycięstwa Nelsona nad flotą francuską w bitwie nad Nilem w 1798 roku. (przyp. tłum.)

końcu liny, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo potrzebowała jego wsparcia.

Teraz została sama, w busie pozbawionym układu podtrzymywania życia, bez nadziei na ratunek, bez możliwości naprawienia uszkodzeń. Była tylko jedna dobra wiadomość: odzyskała łączność ze Skyport. Opisała sytuację, powtórzyła to jeszcze zwierzchnikowi.

Nalegali by dokładnie przejrzeć szafki w kokpicie, w nadziei, że znajdzie się jeszcze jeden skafander. Kiedy okazało się, że nie ma nic takiego, powiedzieli, że będą w kontakcie, a najlepsi specjaliści już poszukują rozwiązania problemu. Wiedziała co to znaczy.

- Żadnych szans na akcję ratunkową? - spytała Evelyn.

Saber potrząsnęła głową.

- Nikt nie jest w stanie dotrzeć do nas w takim czasie, by cokolwiek to dało. Prawdę mówiąc, mieliby duże trudności by dotrzeć do nas przed osiągnięciem przez nas orbity okołozemskiej.

- A kiedy to nastąpi?

- Za jakieś dwanaście godzin.

- Dużo wcześniej skończy się nam powietrze - podsumowała Evelyn. - Musimy coś wymyślić.

Saber ani przez chwilę nie przestała o tym myśleć. Wciąż przypominała sobie ten moment, w którym Tony zajrzał przez dziurę w ścianie ładowni i zobaczył jeden z plastikowych worków Bigfoota.

- Mam pomysł - powiedziała. - Piekielnie ryzykowny, ale to nasza ostatnia szansa.

Kabina pasażerska *Mikro*. 3:29.

Nastrój w kabinie zrobił się ponury. Padały propozycje by spróbować zejść na dół bez skafandra, wziąć jedną butlę, szybko otworzyć klapę, złapać skafander i wrócić z nim na górę. Ile by to zajęło?

Pięć minut? Dziesięć? Na pewno ktoś z nich mógłby wytrzymać wszystko przez głupie pięć minut.

Zależy ile czasu zabrałoby otwarcie klapy.

Tu było wąskie gardło: na przejściu przez klapę. Lecz nie mieli właściwie żadnego wyboru, musieli spróbować. Albo spróbować, albo przygotować się na otwarcie śluzy i przyjęcie śmierci z godnością.

Charlie był niewątpliwie najsilniejszą fizycznie osobą na pokładzie, zgodził się więc spróbować, myśląc sobie, że jeśli się nie uda, to przynajmniej będzie miał to już za sobą. Szczęśliwe chwile z przyjęcia obiadowego, pełne poczucia koleżeństwa, wydawały się odległe o całe lata świetlne.

Dlatego, kiedy Evelyn i Saber zeszły z kokpitu, zastała Charliego z butlą u pasa stojącego koło kłapy.

- Pomysł jest dobry - powiedziała Saber. Trzymała w rękę pomiętą, szary kombinezon, - ale zamierzam tam bardzo szybko.

- Lepsze to niż beczynne siedzenie tutaj.

- Sądzę też, że będzie pan wstrzymywał oddech. Wątpię, by zdołał pan tam oddychać, nawet mając maskę.

- Kto prowadzi bus? - zaciekał się Charlie.

- Ryzujemy - odparła Evelyn. - Mamy poważniejsze kłopoty.

Popatrzyła na Charliego.

- Jednak musisz iść. Rozmawialiśmy o tym i Saber chciała spróbować, ale jest problem z przejściem przez klapę.

Charlie przyjrzał się pozostałym mężczyznom. Obaj byli delikatnej budowy. Dwie kobiety i stary, dobry Charlie Haskell, metr dziewięćdziesiąt trzy.

- Czyli potrzeba tam trochę mięśni.

W normalnej sytuacji Charlie obróciłby to w żart, ale teraz nie umiałby się ani uśmiechnąć, ani użyć właściwego tonu.

- Właśnie - zgodziła się Saber. - Musimy tylko zorganizować panu lepsze wyposażenie. Ale najpierw wyjaśnij gdzie jest zapasowy skafander.

Nakreśliła plan pokładu C i zaznaczyła środkową z trzech szafek.



- Żeby ją otworzyć wystarczy pociągnąć drzwiczki. Są dwie części: skafander i hełm. Proszę nie zapomnieć hełmu, dobrze?

Charlie skrzywił się, czując się obrażony.

- Charlie - odezwała się Evelyn. - Na pewno będziesz tam zdezorientowany. Będzie ci nawalał wzrok, mózg też nie będzie za dobrze pracował. To nie wycieczka na piknik.

- Dlaczego nie miałbym spróbować założyć tam skafandra, zamiast go przynosić tutaj?

- Zbyt skomplikowane i niebezpieczne - odparła Evelyn. - Jak najprościej. Tylko go przynieś.

- Okay, no to spróbujmy dać sobie szansę - powiedziała Saber.

Otworzyła półkę nad siedzeniami i potrząsnęła jedną z dwóch pozostałych butli.

- Mam już jedną - zaprotestował Charlie.

- Używaną. Wszystko zależy od tej wyprawy, panie wiceprezydencie. Proszę wziąć pełną butlę.

Charlie poczuł, że ją lubi. Znajdowała się pod silniejszą presją niż ktokolwiek inny, właśnie straciła swojego kapitana, ale nadal była opanowana. Twarda kobieta.

- Okay - zgodził się.

- Skafander w szafce powinien być w porządku. Jest jednak ryzyko, że ten odłamek, który przebił ładownię, załatwił też i skafander. Jeśli tak, będzie pan musiał spróbować rozebrać Bigfoota.

- To chyba będzie niełatwe.

- Owszem.

- Mam lepszy pomysł - wtrąciła się Evelyn. - Jeśli skafander jest uszkodzony, daruj sobie. Zapewne łatwiej będzie naprawić przewody powietrzne niż rozebrać Bigfoota.

- To brzmi sensownie - zgodziła się Saber. Podała mu rolkę taśmy samoprzylepnej. - Proszę to wziąć ze sobą.

- Taśma samoprzylepna? Czy mam zatkać nią przeciek?

- Najlepsze co mamy. Poza tym, panie wiceprezydencie, jeśli to nie wystarczy, wszyscy jesteśmy martwi.

Wyciągnęła dłoń z kombinezonem, który składał się z bluzy i pary legginsów, najwyraźniej sporządzonych ze Spandexu. Przymierzyła je do niego, coś poprawiła, przymierzyła jeszcze raz.

- Będzie ciasno, ale może to i lepiej.

- Co to takiego?

- Kombinezon ciśnieniowy. Mój, nieuprany, za co przepraszam. A bielizna pod skafander.

Musiła coś spostrzec w jego wyrazie twarzy.

- Mówię serio - dodała. - Proszę posłuchać, brak powietrza i niska temperatura to nie wszystko. Naczyńka włosowate zaczną panu pękać. Bardzo szybko po wyjściu na zewnątrz. Powstaną rozległe siniaki. Jeśli będzie ich za dużo, umrze pan.

- Ile czasu to zajmie?

- Nie wiem. Nie uważałam, bo nigdy nie podejrzewałam, że kiedykolwiek będę musiała wychodzić na zewnątrz bez skafandra. Albo wysłać kogoś innego. Ale na pewno niedługo. Ten kombinezon nie pozwala krwi gro madzić się w kończynach podczas przeciążeń. Także chłodzi. Będzie panu to potrzebne.

Charlie popatrzył na nie obie powątpiewająco.

- Zrób to - powiedziała Evelyn.

- Żadnego szacunku, nawet dla wiceprezydenta - obruszył się na nią.

Wszedł jednak do łazienki, wciągnął kombinezon, zapiął suwaki. Było mu ciasno. Włożył ubranie i wrócił do kabiny.

Evelyn obejrzała go dokładnie.

- Kiepski skafander - powiedziała.

Brak było rękawic, więc kapelan poświęcił flanelową koszulę, którą podarli, owinęli mu ręce i przymocowali taśmą klejącą. Saber wyciągnęła kurtkę mundurową, pocięła ją na pasy, owinęła mu stopy i też zabezpieczyła taśmą.

Usłyszała ostrzegawcze piknięcia z kokpitu, odesłała ich z powrotem na siedzenia i pospiesznie wspięła się

po drabince. Silnik ryknął, skierowali się na nowy kurs. potem Saber wróciła, z nastawnym kluczem, latarką i kilkoma śrubokrętami. Położyła wszystko obok rolki taśmy.

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

- Sam kombinezon - powiedziała. - Reszta ubrania jest zupełnie niepotrzebna.

- Będzie mi cieplej - zaprotestował.

- Chłód nie będzie stanowić problemu, panie wiceprezydencie. Może mi pan wierzyć.

Zakłopotany Charlie ściągnął koszulę i spodnie. Ani on, ani Saber nie używali masek w trakcie przygotowań do wyjścia z pojazdu i ciężka atmosfera w kabinie stanowiła dla niego poważną zachętę.

Saber przesunęła dłońmi po spandeksowej powierzchni, zaakceptowała strój.

- Jeszcze kilka części - powiedziała.

Weszła do kuchenki, pogrzebała tam chwilę w szafkach i lodówce. Wróciła z plastikową słomką i sporą torbą.

Charlie przyglądał się ciekawie, jak opróżniła torbę z kilku kilogramów paczkowanej mielonki, przymierzyła do niego, a potem naciągnęła na mu na głowę.

- Nieco ciasnawa - uznała - ale powinna zadziałać.

Oczy Evelyn rozbłysły.

- Saber - powiedziała, chwytając za taśmę samo przylepną. - Jesteś genialna.

- Co? - zdziwił się Charlie.

Zdjęły z niego torbę i przytroczyły mu butlę do pleców.

- Okay- Saber przyjrzała się swojemu dziełu. - Proszę uważać na słońce. Nie będzie pan miał odpowiedniej osłony, więc w razie wystawienia się na jego blask, szybko nabawi się pan solidnych poparzeń. Będę próbowała osłaniać pana busem, ale proszę o tym pamiętać.

- W ciasnym kombinezonie i z torbą na głowie, będzie miał pan poczucie ograniczenia ruchów. Proszę za chować spokój. Prawdopodobnie będzie się dziwnie od dychało. Nie chodzi o wdechy, te będą normalne. Ale

sądzę, że wydychanie będzie sprawiało trudność.

- Kombinezon nie będzie chłodził, bo powinien być podłączony do skafandra. Zacznie się więc panu robić gorąco. To kolejny powód, żeby się trzymać z dala od słońca. Będzie się pan czuł jak w saunie.

- Proszę dalej - mruknął Charlie. - Notuję.

- Przykro mi. Żałuję, że to nie będzie łatwiejsze. Niech ktoś zrobi bandankę i owinie mu głowę. Wyjaśniała do kładnie dalej, co ma zrobić, krok po kroku.

- Jeszcze jedno - powiedziała. - Nie mamy dodatkowo liny. Zanim zrobi pan cokolwiek innego, niech pan przyholuje Tony'ego, odepnie go i przymocuje ją do swojego pasa. Mocno. Jeśli będę musiała ruszyć busem, mrugnę dwukrotnie zewnętrznymi światłami, policzę do pięciu i dopiero dam ciąg. Pan niech się upewni, że ma dobry chwyt. Lina nie uchroni przed poobijaniem się, czy nawet przebicciem torby. I na miłość boską, proszę mieć absolutną pewność, że jest pan przymocowany do busu, żebyśmy pana nie zgubili.

Wciągnęły mu ponownie torbę na głowę. Evelyn już miała ją zakleić taśmą, lecz Saber podniosła palec.

- Jeszcze nie.

- Dlaczego?

- Musi mieć możliwość usuwania powietrza. Teraz nie ma żadnego wylotu. Wszystko zaparuje.

Podniosła słomkę.

- Ale - zaprotestowała Evelyn - powietrze przez nią ucieknie.

- To prawda. Toteż potrzebny nam korek. Czy ktoś ma klips do papieru?

- Proszę - kapelan podał jej żądany przedmiot.

Wzięła go, zapięła na jednym końcu słomki, przytrzymała się konstrukcji, zabezpieczyła go taśmą. Potem przykleiła nią słomkę do kombinezonu Charliego tak, że spięty koniec znalazł się na zewnątrz, a górna część słomki pod torbą.

- Jeśli będziesz musiał, Charlie - wyjaśniła - otwórz klips w trakcie wydechu.

Przygryzła wargi.



- Upuszczenie powietrza przez słomkę powinno pomóc, ale rób to bardzo powoli. Jeśli ciśnienie spadnie za szybko, dostaniesz krwotoku z nosa.

Oczy jej pociemniały.

- Chyba jesteś gotów. I przepraszam. Wcale nie mam ochoty ci tego robić.

Skinął głową i uśmiechnął się.

Evelyn zapięła na nim pas, podała mu narzędzia i przypięła latarkę do przedramienia.

Życzyli mu szczęścia.

A potem Charlie, z protestującym brzuchem, z zaschniętymi ustami, wszedł do śluzy i zamknął klapę. Przycisk aktywacyjny był biały. Wcisnął go, zobaczył jak zmienia się kolor wyświetlacza i po prostu usiadł, czekając i już czując jak oblewa go pot. Odgłos oddechu był w torbie strasznie głośny, upewnił się, że klips jest na miejscu.

Procedura odpowietrzania wydawała mu się strasznie długa. Siedział, wsłuchując się w uderzenia serca. Saber miała rację: oddychanie szybko stało się czynnością wymagającą świadomego wysiłku.

Błysnęło zielone światełko i zewnętrzna klapa stanęła otworem. Wyrzwał w pustkę, wbrew słowom Saber oczekując fali mrozu. Jednak wcale nie zauważył natychmiastowej zmiany temperatury. Uspokoił się nieco i popatrzył na wszechświat zaskakująco spokojnym okiem. Nikt nie zostaje wiceprezydentem nie nabierając po drodze silnego poczucia pewności siebie, oraz zdolności do działania w silnym stresie. Te cechy, z których posiadania Charlie nawet nie bardzo zdawał sobie sprawę, teraz przyszły mu z pomocą.

Rozejrzał się i zobaczył ciało Tony'ego, wciąż dryfujące w ciszy.

Przyholowanie go zajmie czas. A Charlie wiedział, lepiej niż ktokolwiek inny, czując jak rozpręża mu się powietrze w płucach, że ma go bardzo niewiele. Lepiej zaryzykować brak liny asekuracyjnej. Tony'ego wciągnie się później. W obecnych warunkach i tak nie można mówić o jakimkolwiek bezpieczeństwie i wielką nieroz-

troпноścią wydawało się próbować je sobie zapewnić. Zrobił wydech, usłyszał potrzaskiwanie torby i wychylił się ze śluzy.

Tuż po lewej stronie był uchwyt. Poszukał wzrokiem następnych i zobaczył, że są rozmieszczone co jakieś sześćdziesiąt centymetrów, w obu kierunkach, i w stronę bańki kokpitu, i w stronę ładowni.

Dziwne to było wrażenie, wyglądać na zewnątrz i nie czuć żadnego wrażenia ruchu, wiedząc, że do niczego nie są zacumowani, nie widzieć nic pod sobą, oprócz pustki. Odsunął tę myśl od siebie i wywindował się na kadłub. Nigdy nie lubił wysokości, tym razem jednak było zupełnie inaczej. Łatwiej to znosił, niż się spodziewał i niemal od niechcienia ruszył po klamrach w dół. Przyszło mu do głowy, że wcale nie miał wielkich nadziei, kiedy wchodził do śluzy z tą torbą, słomką i klipsem. Teraz poczuł przyływ pewności siebie.

Co mu przypomniało, że przestał oddychać. Zrobił wydech, a płuca wypełniły mu się bez żadnego wysiłku z jego strony.

Wydychać.

Było mu gorąco. Coraz bardziej.

Posuwał się dalej. Zobaczył oderwaną podporę, końcówkę dyszy silnika i klapę ładowni, która wyglądała jakby ktoś ją nieco uchylił. Dotarł do niej szybko, sprawdził dźwignię, pociągnął za nią, klapa ani drgnęła.

Pomiędzy jej krawędzią a gniazdem było jednak dość miejsca na wciśnięcie palców. Zmienił pozycję, puścił uchwyt, złapał za brzeg klapy obiema rękami, oparł się nogami o kadłub i pociągnął.

Nic.

Spróbował ponownie, pomagając sobie kluczem, poczuł lekki ruch.

Dobrze. Są postępy.

Zabrał się do roboty, ciągnąc aż do bólu stawów. Kombinezon był już od środka kompletnie mokry od potu. Torba zaparowała mu od wewnątrz i musiał przerwać. Co mówiła Evelyn? I wzrok i mózg będą przymglone? Może. Ale po tym, to on będzie ekspertem w temacie.

Poluzował klips. Ciśnienie wypchnęło powietrze na zewnątrz. Mgiełka znikła z torby.

Miał już wracać do roboty, kiedy linia świateł, umieszczonych pośrodku kuli kadłuba, zapaliła się na chwilę, zgasła, zapaliła ponownie.

Policzę do pięciu i dam ciąg.

Skurwysyn. Rzucił się z powrotem do uchwytu klapy, złapał go najmocniej jak potrafił.

Nie patrzył na dyszę, ale zobaczył odbłask zapłonu na metalu tuż przed twarzą. W tej samej chwili nagle przyspieszenie rzuciło nim o kadłub i jednocześnie szarpnęło, usiłując wyrwać mu rękę z barku. Nagle pojawił się dół, bardzo wyraźnie, Charlie wisiał na zewnątrz *Mikro*, nad nieskończoną przepaścią.

Przywarł do uchwytu. Palce i ramiona bolały jak wściekle. Próbował zawrzeć układ z jakąkolwiek siłą, która rządzi wszechświatem.

Uchwyty miały zagłębienia, próbował znaleźć któryś stopą, żeby móc stanąć. Zmniejszyć choć trochę obciążenie rąk. Nie zapominać o wydechach. Klucz zaczął mu się wysuwać zza pasa.

Znalazł oparcie dla stopy, zaryzykował krótkie puszczenie jednej ręki, poprawił klucz.

Wtedy silnik zgasł i ciężenie znikło.

Nie wiedział, czy to już koniec. Nie pomyśleli o sygnale zezwalającym mu na działanie, wisiał więc dalej, czekając. Nogi odpłynęły mu od kadłuba.

Zmusił się do puszczenia jednej ręki. Pomasował sobie ramię i potem, ostrożnie puścił drugą rękę i ustawił się nad klapą. Cały czas obserwował światła.

Nie zapaliły się.

Wydech.

Oczekał aż wróci mu czucie w rękach, wsunął klucz pod krawędź i pociągnął. Jeśli przedtem działał gorączkowo, to teraz z rozpaczą. Czuł jak strzelają sprężyny, klucz wysunął się i walnął go w rękę, ale zignorował go i walczył dalej.

Kłapa puściła. I otworzyła się.

Kokpit Mikro. 3:41.

- Jest gdzie? - warknął na nią głos.
 - Na zewnątrz.
 - Na zewnątrz statku?
 - Tak.
 - Na miłość boską - z kim ja rozmawiam?
 - Pilotem.
 - Jak się pani nazywa, pilocie?
 - Rolnikaya.
 - Okay, Rolnikaya. Powiem ci co masz robić. Ściągniesz wiceprezydenta do środka. Natychmiast. Powiesz mu, że pan Kerr chce z nim rozmawiać.
 - W tej chwili jest zajęty, panie Kerr. Powiem mu, kiedy wróci do środka.
- Przerwała połączenie.

8.

Mikro, na zewnątrz ładowni. 3:42.

Charlie przepchnął się za klapę, wśliznął do służy i opadł z sił. Oddychał ciężko, wręcz dyszał, całkiem zaparowując torbę. Ponownie poluzował klips, ostrożnie, pamiętając ostrzeżenie o krwotokach z nosa. Bandankę miał przemoczoną.

Saber miała rację: naprawdę czuł się jak w saunie. To było dziwne, zawsze zakładał, że w próżni jest zimno.

Na grodzi był panel kontrolny, pod napięciem. Odnalazł biały przycisk, wziął głęboki wdech i wduśił go. Ku jego radości wewnętrzna klapa otworzyła się.

W środku wciąż paliło się światło.

Ciało Bigfoota w skafandrze unosiło się w pobliżu drabinki, do której było przytroczone. Skafander sprawiał wrażenie uszkodzonego, w pomieszczeniu unosiły się kule krwi. Charlie uświadomił sobie, że za każdym razem gdy Saber włączała silnik, ciało uderzało w drabinkę.



Musiał zatrzymać się i unieruchomić je. Jednak czuł się okropnie zmęczony. Torba ciągle pozostawała zamglona, miał więc kłopoty z dostrzeganiem szczegółów dookoła siebie. Podejrzywał też, że część widzianej krwi znajdowała się wewnątrz jego torby.

Miał trudności z koncentracją. Coś dotknęło jego ramienia i włosy stanęły mu dęba.

Hełm Bigfoota.

Dłoń zacisnęła mu się na nim, musiał chwilę pomyśleć.

Trzymać się go.

Szafka. Gdzie jest szafka? Usiłował sobie przypomnieć. Część jego umysłu, która jeszcze działała jak należy, zdawała się zmniejszać, wycofywać gdzieś w głąb czaszki, przypominało to efekt wywoływany przez tlenek azotu stosowany przez dentystów. Usiłował zrozumieć o co tu chodzi. Przyszło mu do głowy, że już nie widzi zewnętrznych świateł ostrzegawczych. Ale Saber mogła użyć interkomu, bezpośrednio do ładowni.

Tak?

Ale tu nie ma powietrza. Nie ma co przenosić dźwięku.

Powiedziała, że są tu trzy szafki. Skafander jest w środkowej. Przepchał się za pojemniki, kable, półki. Po omacku.

Minął narożnik. Oddryfował od pokładu. Znalazł uchwyt, po bocznej stronie pojemnika, czegoś tam, odepchnął się z powrotem. W ten zawiły sposób, na wpół ślepy, działając w stanie umysłu pośrednim pomiędzy normalnością a złudzeniami, znalazł szafki.

Otworzył środkową i wymacał skafander. I drugi hełm. Wziąć obydwie. Ten Bigfoota może być uszkodzony. Nie chciałby tego robić jeszcze raz. Nie sir. To było za dużo nawet dla wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Owinął hełmy w skafander.

Wrócił do śluzy, nacisnął przycisk i patrzył jak zamyka się wewnętrzna kłapa. Nastawił się na oczekiwanie i minęła dobra minuta, zanim przypomniał sobie,

że nie ma na co czekać, bo klapa zewnętrzna była już otwarta.

Upewnić się, że wciąż ma skafander.

Miał, zaczął wymacywać klamry na kadłubie lunobusu. Właściwie ich nie potrzebował. Mógł się odbić i polecieć. (Zachichotał na tę myśl). Złapać brzeg śluzy w przelocie. Nic takiego.

Tak naprawdę nie wiedział, w którym kierunku ma iść. Klamry były po obu stronach. Gdzie jest kabina, a gdzie podpory? Wrócił do śluzy - lepiej się upewnić niż żałować - odnalazł panel kontrolny, przetarł brudną ręką swój hełm z torby i usiłował odczytać oznaczenia. Nie widział nic.

W którą stronę?

Przypomniał sobie wtedy ławeczki w śluzie. Służyły do siadania, musiały więc być blisko podłogi. Dół. On chciał w przeciwnym kierunku.

Odnalazł ławeczki, wrócił do zewnętrznej klapy i ponownie sprawdził skafander. Jeśli Saber włączy silnik, niech Bóg ma go w swojej opiece. Złapał klamrę i ruszył do góry.

Nie policzenie uchwytów w drodze w dół było poważnym błędem. Myślał, że jest ich osiem czy dziewięć. A może trzynaście (znów zachichotał). Teraz, wspinając się liczył je i po sześciu próbował domacać się klapy śluzy kabiny pasażerskiej, choć wiedział, że to na pewno za wcześnie. Przy trzynastu wciąż jeszcze jej nie było. Zaczął rozważać zdarcie torby z głowy, żeby cokolwiek widzieć.

Wydychać.

Co się stanie, jeśli ją przegapi? Czy uchwyty okrążyły bus? Wyobraził sobie siebie wspinającego się w niekończoność, dookoła.

Zdjąć torbę. Rzucić kośćmi i mieć to z głowy.

Czy zdoła wejść do środka zanim próżnia go zabije? Kto wie? Na pewno nie wiceprezydent Charles J. Haskell. Ciekaw był, co by powiedział Sam, gdyby go teraz zobaczył.

Palce odnalazły brzeg klapy.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL. 3:53.

- Mówi Keith Morley z pokładu lunobusu wiceprezydenta. Właśnie kilka minut temu, aby nas uratować, wiceprezydent Haskell dokonał niesamowitego wyczynu na zewnątrz statku...

Kabina pasażerska *Mikro*. 4:07.

- Tak, AL o co chodzi?

- Jesteś cały, Charlie?

- Nic mi nie jest.

Łgał, aż się kurzyło, ale biorąc pod uwagę, w jakim stanie mógł się teraz znajdować, był w świetnej kondycji.

- Jak rozumiem, tam u was nie jest najlepiej.

- Tak. Miami Beach i Nowy Orlean zniszczone całkowicie. Wschodnie wybrzeże oberwało od Maine aż po Florida Keys. Nie tak mocno, nie ma całkowitych zniszczeń, ale...

Głos mu się załamał, załkał cicho. Al Kerr.

Evelyn schodziła właśnie z kokpitu, gdzie utrzymywała kontakt radiowy z Saber. Skinęła głową i starannie zdjęła maskę tlenową.

- Oceniają, że zginęły dziesiątki tysięcy - ciągnął Kerr, nieco tylko mniej drżącym głosem. - Lecz tylko jeden Bóg wie, ile jest ofiar.

Charlie zamknął oczy. Pomyślał o swoim ojcu i kuzynach mieszkających na Cape Cod.

- To kompletna katastrofa, Charlie. Myślę, że niko mu przez myśl nie przeszło...

- Okay - Charlie próbował uzmysłwić sobie, co przekazywał mu Kerr.

- Coś jeszcze. Nie wiem czy słyszałeś, czy nie, ale zaginął drugi samolot. Może to tylko uszkodzenie radia. Wiem, że z tobą też nie było kontaktu przez kilka godzin.

- Ten drugi samolot? Ten, w którym był Rick?

- Tak nam powiedziano. Sądzę, że nie mają większej nadziei. Przykro mi - nastąpiła długa przerwa.

- Charlie, teraz wygląda na to, że prawdopodobnie za-

nim się to skończy zginie przynajmniej milion ludzi. Prezydent sam by z tobą porozmawiał, tylko że jest strasznie zajęty. Rozumiesz. Zajęty.

- Charlie, powinieneś zdawać sobie sprawę, że istnieją wątpliwości, czy kraj to przetrwa.

- Tak - przyznał. - Widzę jak się sprawy mogą potoczyć.

- Henry chce, żebyś zrobił jak najlepszą minę do tej gry. Emanował optymizmem. To znaczy, rozumiesz, jesteś naszym ekspertem od tego. Ty tam byłeś.

- Al, gadasz jak Rick.

- Tak. Chyba wszyscy kończymy gadając podobnie jak on. Słuchaj, co robiłeś na zewnątrz statku? Czy się nie jest niebezpieczne?

- To bus.

- Cokolwiek.

- Próbowałem otworzyć klapę.

- Okay. Nie rób tego więcej, dobrze? Na razie damy oświadczenie do prasy. Haskell przejmuje pałeczkę, doobra?

- Dajcie sobie z tym spokój - powiedział Charlie.

- Charlie, sądzę, że prezydent będzie nalegał. Słuchaj, wszyscy potrzebujemy tyle wsparcia prasy, ile się nam uda zdobyć.

Charlie nie bardzo lubił prezydenta. Wiedział jednak, że Henry poważnie traktuje swoją pracę i teraz na pewno przeżywa piekielne męki. Nie należał do ludzi godzących się ze stratami, uznających, że zdarzają się sytuacje, w których można tylko działać najlepiej jak się potrafi i mieć nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Charlie wiedział, że Henry będzie obwiniał samego siebie. Niemal słyszał wyjaśnienia prezydenta: Charlie, powinniśmy byli od razu rozpocząć ewakuację. Za bardzo się baliśmy jak ich nakarmimy, kiedy znajdą się daleko od domów. Obawialiśmy się korków, na miłość boską. No więc poczynili niewłaściwe założenia i mnóstwo ludzi straciło życie.

Charlie zdawał sobie jednak sprawę, że jeśliby tam był, nie dostrzegłby żadnego błędu w podjętych działaniach. Zgodziłby się ze wszystkim, sądząc, że postępują właściwie.

Przez kilka chwil poczuł ciężącą na urządzie odpowiedzialność. Pierwszy raz w swojej politycznej karierze zastanawiał się, czy naprawdę chciał zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Zmienacka wizja tego stanowiska zrobiła się mroczna i groźna.

Kiedy wróci do domu i wszystko się uspokoi, będzie musiał poważnie to przemyśleć. Może wycofa swoją kandydaturę. Nie dlatego, żeby bał się tego stanowiska, ale powinien zastanowić się nad swoimi niedostatkami. Następny prezydent będzie miał do czynienia ze zniszczonym narodem. Prosta prawda mówiła, że ludzie będą potrzebować kogoś lepszego niż Charlie Haskell. On mógłby się sprawdzić w spokojnych czasach, lecz teraz Stany Zjednoczone dotykała największa katastrofa w dziejach. Naród potrzebował Lincolna. Albo Teddy'ego Roosevelta.

Gdzie, u diabła, mieli *znaleźć* kogoś takiego?

Natychmiast po telefonie Kerra, Saber pojawiła się w służbie. Była bardzo z siebie zadowolona, Charlie cieszył się razem z nią.

- Nie ma nic lepszego niż taśma samoprzylepna - oznajmiła, potem popatrzyła na Charliego, przypiętego pasami do rozłożonego fotela. - Wyglądasz nienajlepiej.

Chciała mu dać coś na sen, lecz odmówił. Nie tej nocy, tej jednej. Jakby był zdolny jeszcze pomóc w jakikolwiek sposób.

- Jak bardzo źle wyglądam? - zapytał Evelyn, kiedy Saber znikła w kokpicie.

- Jakbyś się bił. I przegrał - pokazała mu lusterko.

Nieźle, twarz miał posiniaczoną, obydwójce oczu podzelowane.

- Mnóstwo ludzi zginęło dziś w nocy - powiedział.

Skinęła głową.

- Słyszeliśmy.

Znajdował się gdzieś pośrodku pomiędzy wyczerpaniem a grozą.

Nadchodziły kolejne złe wiadomości. Evelyn poszła do kokpitu na wezwanie Saber. Po powrocie powiedziała, że dostali informację o fiasku prób przywrócenia łączności z wcześniejszym lotem. Został uznany za zaginiony, wraz ze stu jeden pasażerami i trzema członkami załogi.

Wszyscy myśleli o tym, przeglądając w pamięci nazwiska przyjaciół i kolegów, próbując przypomnieć sobie kto kiedy odlatywał.

Sto jeden osób. Niewiele, w porównaniu do ogromnej liczby ofiar na powierzchni. Lecz tutaj strata była osobista. Rick, Sam i jeden Bóg wie kto jeszcze, plus milion.

Najstraszniejsza noc w historii ludzkości.

Manhattan. 4:01.

Lany stał obok Marilyn, wyglądając przez krawędź dachu na rozciągające się w dole nowe morze. Manhattan zmienił się w grupę betonowych wysp. W mieście panował mrok. Potrzaskany Księżyc dawno już zaszedł.

- Cholerny rząd - warknął. - Mówili nam, że nie ma się czego obawiać.

Ktoś poświecił latarką w dół. Światło odbijało się od wody, raz wyżej, raz niżej. Pływały tam ciała.

Marilyn odwróciła się. Nie mogła spać i w końcu dołączyła do milczącej grupki skupionej wokół bateryjnego radia.

Drzwi tarasu były otwarte i firanki powiewały w lekkim wiatereku. Wciąż było tu około trzydziestu osób. Kilka, które spały wcześniej, spało. Pozostali byli niespokojni i przestraszeni.

Marilyn miała kuzynów w Bostonie i przyjaciół na Outer Banks. Próbowwała się do nich dodzwonić, ale aż do około trzeciej uzyskiwała wyłącznie sygnał zajęty i nagrania („Wybrany numer jest w naprawie...”). Potem telefon zamilkł całkowicie.

Pokoje oświetlono świecami.

- Ciekaw jestem jak wygląda nasze mieszkanie zwróciła się do Larry'ego.

Ich apartament mieścił się na drugim piętrze, wysokim drugim piętrze i powinien pozostać ponad wodą. Ale przejmowanie się tym wymagało wysiłku.

- Powinniśmy spróbować wrócić do domu - oznajmiła.

- A jak, według ciebie, mamy to zrobić, kochanie?

Była zaskoczona poczuciem oderwania, które ją oparowało. Nie dbała właściwie o nic. Widziała jednak, że są rzeczy, które trzeba powiedzieć, pozory, jakie trzeba zachować.

Louise była w kuchni. Oczywiście nie było bieżącej wody. Louise otworzyła butelkę wody źródlanej i nalewała małą porcję jednemu z księgowych.

- Oszczędzaj jej, Bili - powiedziała.

- To wszystko co mamy? - spytała Marilyn.

Louise popatrzyła na zbiornik. Zostało w nim około czterech litrów.

- Mamy tyle - odparła. - Musimy zacząć planować jak sobie poradzić, jeśli pomoc nie nadejdzie.

- Nadejdzie - wtrącił się księgowy.

- Sądzę - powiedziała Marilyn, - że Louise ma rację.

Gospodyni wyglądała, jakby nie spała całą noc. Martwi się jak wszystkich nakarmić, zdała sobie sprawę Marilyn. Larry podszedł do niej od tyłu.

- Może powinniśmy zacząć od wykombinowania jak zrobimy śniadanie - zaproponował. - Czy w pobliżu jest jakiś sklep spożywczy?

Louise skinęła głową. Jej legendarna energia gdzieś się ulotniła.

- Jedną przecznicę dalej, w stronę Broadway. Po drugiej stronie ulicy. Nazywa się Barney's. Sądzę jednak, że teraz jest pod wodą.

- Posłuchajcie - wtrącił się księgowy - cały świat wie, że jesteśmy tu w pułapce. Nie działajmy na wariata. Musimy tylko być cierpliwi.

- Nie - Marvin wszedł w krąg światła świecy. Głos miał jakby niższy o oktawę niż zazwyczaj. - Uważam, że

nie powinniśmy tak tu siedzieć i czekać co z nami będzie.

Popatrzył na Marilyn, potem zwrócił się do Louise.

- Czy w tym budynku jest cokolwiek, co mogłoby posłużyć jako tratwa?

9.

Biały Dom, Gabinet Ovalny. 4:07.

Zbędni pracownicy zostali spakowani i błyskawicznie wysłani w głąb ładu. Henry, który rozmawiał przez telefon z prezydentem Brazylii, przyglądał się im z poczuciem, że siedzi na tonącym statku. Ochroniarze twarde odmówili wyjazdu, obsadzali teraz główne wejście. Wszystkie pozostałe zamknięto naглуcho. Poza prezydentem, jego kilkoma najbliższymi doradcami, Służbą Specjalną i kilkoma oficerami w pokoju operacyjnym, w Białym Domu nie było nikogo. Jako środek ostrożności Kerr ściągnął trzy helikoptery Marines, które czekały na trawniku, z wolno obracającymi się wirnikami.

Zadzwonił telefon prezydenta.

- Generał Wilson na linii, sir - powiedział kapitan wojsk lądowych, który zastąpił sekretarkę.

- Tak, Bob? - odezwał się prezydent.

- Panie prezydencie, przeprogramujemy cele dla pocisków, jak pan żądał. Będziemy gotowi do odpalenia, kiedy tylko przyleci.

- Dobrze - dzięki Bogu. Choć jedno szło dobrze.

- Macie zezwolenie na odpalenie, Bob. Ale nie wcześniej, niż zacznie się oddalać.

- Tak jest, sir. Dokładnie tak zrobimy.

- Nie chcę, żeby jakieś radioaktywne śmieci spadły na Chiny.

- Nie, sir.

Oprócz Feinberga inni też zdali sobie sprawę z zagrożenia, jakie niósł OPoK-38, wiadomość o tym przeciekła do mediów. The Rocky Mountains News, w wyda-

niu elektronicznym, zauważył, że obiekt przypomina trochę kamień nagrobny. Pokazało się już kilka komiksów gazetowych, wykorzystujących ten obiekt, w tym jeden, ukazujący Henry'ego kontemplującego własny nagrobek, bardzo podobny do Oposa.

No cóż, mieli rację. Cokolwiek się jeszcze wydarzy, nekrolog Harry'ego został już napisany i opublikowany.

Piorun uderzył w dach. Burza była najgorsza ze wszystkich, jakie przeżył przez wszystkie lata spędzone w Dystrykcie. Eksperci twierdzili, że to kolejna nawałnica wywołana przez spadające meteory.

Rozległo się znajome stukanie do drzwi. Kerr.

- Wejść - powiedział prezydent.

Drzwi otworzyły się ostrożnie i szef sztabu zajrzał do gabinetu.

- Jak się czujesz, Henry?

- Wszystko w porządku.

Kerr stał w niewygodnej pozycji. Tak, jak zawsze, kiedy były kłopoty.

- Co poszło źle, Al?

- Nadchodzą kolejne fale - powiedział. - Za trzy do czterech godzin. Tym razem na zachodnie wybrzeże.

Szosa lokalna nr 6, na południe od San Francisco. 1:19 Pacyficznego Czasu Letniego. (4:19 EDT).

Doniesienia o rozmaitych katastrofach nadchodzące z różnych stron kraju kontrastowały ze spokojną dziką przyrodą otaczającą rodzinę Kapchików i nadawały przekazom telewizyjnym aurę nierealności. Mieli wrażenie, że oglądają sztukę o końcu świata, nadawaną równocześnie na wszystkich kanałach. Migotliwa chmura, która zastąpiła Księżyc znikła za pasmem chmur. Z zachodu wiał lekki wiatr, noc była chłodna i przyjemna. Zbocze góry, na którym się zatrzymali wypełniło się ludźmi handlującymi jedzeniem, kawą i alkoholem. Gromadzili się, czując tego specyficznego ducha wspólnoty, którego może wywołać tylko wspólne poczucie zagrożenia. Oglądali wiadomości z konsternacją i współczuciem, nikt nie wspominał o dziwnej, sekretnej radości jaką

odczuwali uniknąwszy katastrofy, która ogarnęła tak wielu. Po chwili Marisa wyłączyła odbiornik.

Zrezygnowała z prób zaśnięcia i siedziała oparta o drzewo, ubrana w dodatkową wełnianą koszulę. Oczy jej się zamknęły. Pachniało ogniskami i kawą. Wiele osób nie spało, rozmawiało przyciszonymi głosami. Jerry wczłgał się do śpiwora z dziećmi, pochrapywał cicho. Samochody i ciężarówki wciąż toczyły się na wschód.

Były doniesienia o falach zbliżających się do Kalifornii, ale nie wymieniano konkretnie San Francisco. Pomyślała o swoim domu w Pacifice, modliła się, by wciąż jeszcze stał, kiedy wróci.

Nagle szepty zmieniły się w odgłosy zaskoczenia. Niebo przecięła kula ognia i eksplodowała dokładnie nad ich głowami. Posypał się deszcz odłamków. Wzgórza pojaśniały, po kilku chwilach usłyszała trzaski, przypominające odległe fajerwerki. Potem znów zapadła ciemność.

Jerry nawet nie drgnął.

Ktoś zatrzaskał drzwiczki samochodu.

Jerry chciał, żeby jeśli nic się nie zdarzy, wracać do domu jutro rano, ale ona sądziła, że ostrożność jest jak najbardziej na miejscu. Rankiem zasugeruje, żeby zostali tu jeszcze jedną noc, dla pewności.

Plac, na którym zatrzymali się Kapchikowie był wypełniony do ostatniego miejsca. Inne pojazdy stały na poboczu szosy. Po drugiej stronie, pod kępą drzew przycupnął radiowóz. Dawał poczucie bezpieczeństwa, coś w rodzaju gwarancji, że świat będzie się toczył dalej.

Marisa zdała sobie sprawę z poruszenia wokół niej. Szepty zmieniły się w przekleństwa, ludzie pochylali się ku odbiornikom.

Naciągnęła słuchawki na głowę i włączyła swój w samą porę by usłyszeć dziennikarza podnieconym głosem opisującego wysiłki zmierzające do ewakuacji Los Angeles. Setki autobusów, zorganizowanych przez agencje humanitarne i wojsko, próbowały wywieźć trzy miliony ludzi na wyżej położone tereny. Chmury samolotów i helikopterów zmierzały na prywatne i małe,

municipalne lotniska, pomagając w tym zadaniu. Trzy miliony-

Drugi przekaz, z helikoptera lokalnej stacji opisywał warunki panujące na autostradach. Samochody poruszały się w żółwym tempie.

Boże, dopomóż im.

Wtedy zdała sobie sprawę, że nie mówiono tylko o Los Angeles. Sytuacja kryzysowa występowała na całej długości zachodniego wybrzeża, od Astorii na północy do Baja California na południu. Wszędzie spanikowane tłumy usiłowały dotrzeć na wyżej położone tereny, kierując się na szczyty wzgórz, włamując się do wieżowców, robiąc co się da.

Musiał tam panować zupełny chaos.

Z niektórych okolic dochodziły wiadomości o ludziach wysadzających mosty i blokujących szosy w celu zahamowania potopu uciekinierów. Lisa Monroe z CBS przeprowadziła wywiad z mężczyzną, który twierdził, że przemawia w imieniu całego miasteczka ogłaszając ich prawo do obrony przed „hordami z San Francisco”.

- Oni nas zaleją - powiedział. - Proszę się rozejrzeć. Wszyscy będą chcieli siedzieć na tym wzgórzu. Gdzie ich pomieścimy? Po prostu nie ma miejsca. Nie ma dość żywności, dość wody.

Przemawiał z precyzyjną artykulacją, jak aktor. Profesjonalista, w takim zawodzie czy innym, zdała sobie sprawę. - Więc tak, zablokowaliśmy szosę na dole przy czepą traktorową. A kiedy ją ruszą, przewrócimy następną. Nie jestem z tego dumny, ale mamy swoich bliskich, o których musimy myśleć.

Popatrzyła na stosunkowo niewielki ruch na lokalnej szosie i zastanawiała się, czy i ta została zablokowana gdzieś na zachód od nich. Potrząsnęła Jerrym.

- Co się dzieje - zapytał, wciąż półprzytomny.

Powiedziała mu.

- Twierdzą, że wszystko zostanie zalane.

- A my nie mamy ubezpieczenia od powodzi - skomentował. - Jasna cholera, Missy, stracimy wszystko.

Stali przodem do zbocza. Co mniej więcej dziesięć



sekund światła samochodów omiatały żwir. Błyskawica oświetliła góry.

To nie była błyskawica.

To był ogień.

W ciszy spadł z nieba i przesunął się powoli przez jej pole widzenia. Szosa i góra wyłoniły się z ciemności, białe i surowe. Ogień zdawał się spływać wprost na nich, usłyszała go, serię głośnych grzmotów i eksplozji. Od obiektu oderwało się kilka kawałków, zniknął za górą. Potężny huk wstrząsnął ziemią.

Nad sklepikiem z pamiątkami, za szosą błysnęły światła. Wstrząsy trwały jeszcze chwilę, wygasły, po chwili znów się zaczęły. Bardziej gwałtowne. Szosa pękła. Zapiszczały hamulce, samochody skłębity się jeden na drugim. Krzyki, bieganina, szaleńczo podskaakujące światła latarek. Zgasły wszystkie światła w centrum handlowym i ostrzegawcze na stacji doładowczej.

Odezwały się uruchamiane silniki. U stóp urwiska otworzyła się szczelina. Samochód wpadł w nią i zniknął.

- Trzęsienie ziemi - powiedział Jerry.

Latarki gwałtownie oświetliły zbocze nad nimi i znikły w mroku.

Krzyki trwały, Marisa usłyszała rumor. Nawis.

Policjanci wypadli z radiowozu, usiłując zagonić ludzi na drogę, z dala od urwiska.

Samochody próbowały się wycofać, obijając się o siebie, wyjeżdżając na szosę. Ryczały rogi mgłowe. Buick uderzył jednego z policjantów, jechał dalej. Inny wpadł kołami w dziurę i przewrócił się. Ludzie walczyli by się z niego wydostać.

- ... stąd - krzyczał Jerry, pospiesznie wsiadając za kierownicę kombi.

Marisa była świetnie wyszkoloną sanitariuszką. W pierwszym odruchu chciała sięgnąć po zestaw pierwszej pomocy, pomóc rannemu policjantowi, ale czuła się rozdarta pomiędzy tym, a koniecznością zapewnienia bezpieczeństwa rodzinie. Poza tym nikt się nie zatrzyma-

wał, a ona nie mogła dosięgnąć pakietu. W chwili kiedy podejmowała decyzję, urwisko eksplodowało.

Dzieci spały na tyle samochodu. Teraz się obudziły i zaczęły krzyczeć. Cały świat się rozpadał. Jerry zatrzasnął tylne drzwi, Marisa wskoczyła na siedzenie pasażera. Jerry wpadł do środka w chwilę później i przeczołgał się na tył, by uspokoić dzieci. Kamienie łomotały o maskę i dach.

Nie było gdzie uciekać. Kombi zadygotał pod uderzeniem, coś rozbiło jedno z okien. Osuwisko nadal trwało, nie widziała co się dzieje przez podniesioną chmurę kurzu. Potem wszystko ucichło.

- Wszyscy cali? - spytał Jerry.

Nic im nie było. Lecz odgłos sunącej ziemi zastąpiły okrzyki, wołania o pomoc i jęk zepsutego klaksonu.

- Weź dzieci - poleciała Marisa. - W tamtą stronę, za szosę.

Pokazała gdzie chce, żeby poszli. Z dała od nawisów.

Jerry bezradnie popatrzył na zagrzebaną do połowy linię samochodów, blokującą mu wyjazd.

- Jak mam się stąd wydostać?

- Piechotą - odparła. - I to szybko. Reszta może nadlecieć lada moment.

- A ty gdzie idziesz?

Wyśliznęła się przez tylne drzwi, z latarką i zestawem pierwszej pomocy.

- Nieść pomoc - wyjaśniła.

Wybrała trasę przez rzeź, wystukując numer na telefonie komórkowym, rozglądając się za policjantem. Był nieprzytomny, krwawił i miał kilka złamanych żeber.

Pod 911 nikt nie odpowiadał.

Laboratorium Orbitalne Skyport. 4:54.

OPoK-32 spadł pięćset kilometrów na południowy wschód od wybrzeża Wirginii. Tory przekazała współrzędne do odbiorców, wśród których była Służba Śledzenia Satelitów Marynarki Wojennej USA.

ZAGROŻENIE *** ZAGROŻENIE *** ZAGROŻENIE
OD: NAVSAT
DO: ALLNAV
DTG: 140956Z
TEMAT: WCZESNE OSTRZEŻENIE

WIELKA FALA NADCIĄGA W STRONĘ WYBRZEŻA
WIGINIA-MARYLAND. ODLEGŁOŚĆ SIEDEMDZIESIĄT
PIĘĆ MIL MORSKICH. SZYBKOŚĆ DWA-DZIEWIĘĆ-
ZERO WĘZŁÓW.

Sala Odpraw Białego Domu. 5:00.

Pomieszczenie było wypełnione dziennikarzami i kamerami.

Henry ponuro patrzył w reflektory ekip telewizyjnych.

- Współobywatele - powiedział. - Ta noc była straszna dla Amerykanów i ludzi na całym globie. Jak wiecie, wbrew naszym nadziejom fale wyrządziły wielkie szkody. Nadchodzą następne. Żałuję, że nie mogę powiedzieć czegoś innego; chciałbym móc poinformować, że koszmar już się skończył. Niestety nie mogę. Na dokładkę do klęsk tej nocy doszło zagrożenie ze strony wielkiego obiektu, który nazywamy Oposem. Jego prawdziwa nazwa to OPoK-38, ma nieco ponad półtora kilometra. To odłamek Księżyca odrzucony w czasie kolizji, a jeśli spadnie na ziemię, może wywołać nieodwracalne szkody w środowisku.

O ósmej czterdzieści siedem dziś rano obiekt ten znajdzie się blisko Ziemi. Przeleci przez górne warstwy atmosfery, bardzo prawdopodobne, że wskutek tego wejdzie na orbitę i wróci. Będzie stanowił dla nas stałe, ogromne zagrożenie, jeśli nic nie zrobimy. Rzeczy tak się mają, że nigdy nie będziemy mieli lepszej okazji, żeby się go pozbyć niż dziś rano. Dlatego też wydałem siłom powietrznym rozkaz rozpoczęcia przygotowań do masowego uderzenia nuklearnego, które nastąpi po opuszczeniu przez niego ziemskiej atmosfery. W ten sposób...

Tyle zdążył powiedzieć.



Piorun uderzył w Biały Dom, światła przygasły, błysnęły kilkakrotnie i w końcu zgasły na dobre.

- Transmisja przerwana, panie prezydencie - powiedział producent.

- Możesz wznowić audycję, Herman?

- Za kilka minut. Może.

Zapaliły się światła awaryjne.

Henry spojrzął na tłum dziennikarzy.

- Widzicie jak to wygląda.

Uwaga wywołała kilka słabych uśmiechów.

Czekając rozmawiał z nimi, nieformalnie wyjaśniając, jakie mogą być konsekwencje, jeśli nie podejmie się akcji przeciwko Oposowi. Czy konsultował się z Chinami? ktoś chciał wiedzieć. Nie, to nie dotyczy Chińczyków. CBS spytało czy teraz administracja zapewni sensowny budżet dla projektu Skybolt.

Zaczął wyjaśniać, że administracja zawsze popierała te koncepcję, miał właśnie opowiedzieć odpowiednią historyjkę, kiedy młody kapitan marynarki wszedł przez boczne drzwi i podał Alowi Kerrowi kartkę papieru. Ten zerknął na nią, natychmiast podszedł i podał ją prezydentowi. Napisano na niej: WIELKA FALA UDERZY LADA CHWILA.

- Panie i panowie - powiedział Henry - lepiej przeńmy się z tą dyskusją gdzie indziej.

Żadne wyjaśnienia nie były potrzebne. Dziennikarze pobiegli do samochodów. Prezydent odwrócił się do doradcy.

- Wezwij Emily - powiedział.

10.

AstroLab. 5:07.

Feinberg rozmawiał z Windy Cross o OPoK-38, domagając się podregulowania obrazowania, kiedy u niego wysiadło zasilanie. W minutę później zamilkły telefony.

Lecz Feinberg stał się ważną osobą, chyba ważniejszą niż sądził. Dziesięć minut po wyłączeniu prądu armia helikopterów opadła na frontowy trawnik. Młody kapitan przedstawił się jako McMichael, odkomenderowano go by zapewnił profesorowi wszelką potrzebną łączność i transport. Potem nieoficjalnie zapytał, czy Opos jest rzeczywiście tak groźny jak mówił prezydent.

Feinberg zapewnił go, że trudno przecenić niebezpieczeństwo.

W jakiś sposób, pomimo wszystkiego wokół, Feinberg nie zauważył ludzkiego wymiaru katastrofy. Wiedział co się działo na całym świecie, ale uwagę miał skupioną na mechanice ciał niebieskich, a teraz na ruchu Oposa. Ostrzegł prezydenta, kiedy tylko zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Jednak nie czuł humanitarnej strony wydarzeń. Patrząc w szare oczy McMichaela, wyczuwając jego strach, zdał sobie sprawę z własnego dystansu. Rozumiał skąd się to bierze: z poczucia, że nic z tą skałą nie da się zrobić, tak samo jak z kometą. Poradził prezydentowi działanie, pomimo że żywił wewnętrzne przekonanie, iż nic nie pomoże. Że bez systemu Skybolt planeta nie dysponuje żadnym środkiem obrony. Ludzkość znalazła się w samym środku kosmicznej gry w bilard. Prawdopodobnie przegra, o ile nie będzie miała dzikiego szczęścia. A ponieważ mógł tylko siedzieć i patrzeć, nie odczuwał żadnego emocjonalnego zaangażowania poza podekscytowaniem, że w takim dniu może znajdować się w tym miejscu.

Opos miał minąć Ziemię o włos, z rykiem przelecieć przez jonosferę, wystarczająco blisko, by zobaczyć go gołym okiem. Miał wystarczającą prędkość, żeby nie zostać ściągnięty na dół. Feinberga interesowała trajektoria i prędkość po opuszczeniu atmosfery.

- Czy prezydent wydał oficjalne oświadczenie na temat Oposa? - zapytał.

- Tak jest, sir. Prowadził konferencję prasową, jednak nastąpiła przerwa w transmisji. Brak prądu w D.C.

- Dołączyli do reszty kraju - skomentował Feinberg.

- Co mówił na jego temat?

-
- Że zamierza go ostrzelać bronią jądrową.
 - Jądrową?
 - Tak jest, sir - spojrział na zegarek. - Za kilka go dzin, jak sądzę. Zaraz po jego przelocie nad Chinami.
- Feinberg westchnął.
- Niech mnie pan z nim połączy, kapitanie.
 - Sir, zrobię co będę mógł.
- Cholerni idioci. Czy politycy kiedykolwiek zadają pytania przed podjęciem decyzji?

Biały Dom. 5:09.

Pod strugami niesamowitej ulewy pośpiesznie przeprowadzili prezydenta i pierwszą damę przez zachodni trawnik, gdzie czekały trzy helikoptery. Jeden odleciał kiedy rozpryskując wodę zbliżali się po przytopionej trawie. Właściwie to Henry, pomimo choroby, był w lepszej formie niż większość towarzyszących mu urzędników w średnim wieku, i skończyło się na tym, że to on im pomagał. Zwłaszcza Kerr zachłystywał się i wzdychał ciężko już po paru krokach.

Wojskowi otaczali grupę, pomagając w razie potrzeby. Kiedy Henry dotarł do czekającego helikoptera, błyskawica oświetliła Kapitol i południowowschodnie niebo chyba na minutę. Zobaczył wtedy falę. Wyglądała jakby miała z półtora kilometra wysokości, spieniona na szczycie, góra wody pędząca ku nim. Ludzie znajdujący się nieco z tyłu zachłystnęli się ze zgrozy i rzucili do helikoptera. Załoga pomagała, dosłownie wciągając niektórych za kołnierz, przy akompaniamencie bezustannego poganiania przez oficera marines: „Biegiem, biegiem, biegiem!”.

Henry pomógł Emily wsiąść, potem został bezceremonialnie wciągnięty na pokład, przekazywano go sobie z rąk do rąk, wcale nie łagodnie. Usłyszał zdławiony głos Emily wołającej Ala po imieniu, zobaczył jak Kerr znów się potyka, na ugiętych nogach, zaczął padać w przód, młody porucznik próbował go podtrzymać. Dwadzieścia metrów za szefem sztabu grupka reporterów biegła przez walące się z nieba potoki wody. Głos za Henrym zawo-

łał: „Ruszać, ruszać!”, ryk silników pogłębił się, helikopter zaczął się wznosić.

Prezydent krzyknął by zaczekali, rozkazał pilotowi siadać z powrotem. Kerr wciąż był na ziemi, nie zabrali wszystkich, wciąż było jeszcze trochę miejsca. Lecz jakieś ręce odciągnęły go od otwartych drzwi, ktoś powiedział, że wszystko w porządku, bo drugi helikopter zabierze maruderów. Lecz Henry wiedział, że jest ich zbyt wielu by się wszyscy w nim zmieścili.

Znajdował się w jednym z wielkich transportowców, który wznosił się tak szybko, że przewrócił go na pokład. Załogant rzucił się na niego i przytrzymał. Ktoś zatrzaskał drzwi.

- Chwileczkę, sir - powiedział lotnik.

Silne podmuchy wiatru szarpały helikopterem. Henry nie widział już fali, nic nie widział w ciemnym wnętrzu, nie mógł wstać i wyrzeć, bo pokład podskakiwał i kiwał się pod nim. Zdażyło wsiąść kilku jego doradców, kilku wojskowych, paru dziennikarzy i jeden z ochroniarzy. Było jednak dość miejsca dla większej liczby ludzi. Zostawili na trawniku dobre dwadzieścia osób. W tym Ala.

Silniki zawyły. Henry *znalazł* jakiś uchwyt. Powinien istnieć opracowany plan ewakuacji wszystkich. Niech to szlag. Jego biuro schrzańiło to kompletnie. Albo on sam.

Czuł się zwłaszcza odpowiedzialny za dziennikarzy. Wezwał ich do Białego Domu i nie zapewnił im bezpieczeństwa. Jakby sądził, że D.C. jest świętym miejscem, w jakiś sposób chronionym przed katastrofą, która obejmowała resztę kraju.

Człowiek przyciskający go do podłogi, najwyraźniej stwierdziwszy, że prezydent już nie może sobie wyrządzić krzywdy, podniósł się.

- Przepraszam, sir - powiedział. Na naramiennikach miał srebrne belki.

- Wszystko w porządku, poruczniku - powiedział Henry.

Rozejrzał się, znalazł Emily, przestraszył się jej pu-
u/ch oczu. Próbował z nią porozmawiać, ale nie mogła
wydać z siebie głosu.

Błyskawica rozświetliła wnętrze. Płachty wody wa-
liły w okna. Helikopter rzucał, opadał, znów się wznosił,
porucznik pochylił się w stronę kokpitu, rozmawiał przez
chwilę i skinął głową.

-Wydostaliśmy się, panie prezydencie.

- Czy drugi helikopter zdążył wystartować?

Porucznik znów przez chwilę rozmawiał z pilo-
tami.

- Tak, sir. Są w powietrzu.

Ryk silników zelżał i Henry wstał. Świat w dole pe-
łen był płynnej ciemności i elektryczności. Światła po-
gasły, na ziemi panował mrok; nie widać było ulic, do-
mów, gór. Wzdrygnął się.

Błyskawice migotały w czarnym potopie omywają-
cym rotundę. Mauzoleum Lincolna, na wpół zatopione
to pojawiało się, to znikało.

Henry wszedł do kokpitu i zwrócił się do pilota:

- Czy może się pan skontaktować z drugim helikop-
terem? Tym, który wystartował po nas?

Pilot skinął głową.

- Witamy na pokładzie, panie prezydencie - powie-
dział i podał mu mikrofon oraz parę słuchawek. - Bagel
Trzy - powiedział - prezydent chce z wami rozmawiać.

Po drugiej stronie przez dłuższą chwilę panował ci-
sza. Potem:

- Tu Bagel Trzy. Cieszymy się, że pan zdążył, panie
prezydencie.

- Dziękuję. Czy udało się wam zabrać wszystkich
z ziemi?

Kolejna chwila milczenia, na tyle długa, że Henry
znał już odpowiedź.

- Nie, sir. Nie wszystkich. Zabrakło czasu - głos na
brał jakby wyższych tonów. - Nic nie mogłem zrobić, sir.

-Wiem, chłopcze. Byłem tam.

- I tak ledwie się nam udało, panie prezydencie.
Gdybym nie wystartował, zginęliby wszyscy.

- W porządku - wziął głęboki wdech. - Czy Al Kerr tam jest?

Emily ścisnęła go za ramię, kiedy słuchali jak ludzie wywołują tam nazwisko doradcy. Beładne głosy, a potem Henry go usłyszał.

- Jestem, panie prezydencie.

- Dzięki Bogu, Al. Jak jest źle? Ile osób musieli zostawić?

- Dziesięć, piętnaście. Nie jestem pewien, sir - nie rozwinął tematu.

- Al, wyglądałeś przez okno?

Uderzyła kolejna potężna błyskawica. Lecieli nad szeroko rozlanym morzem, tu i ówdzie, z rzadka, wystawał z wody pomnik, albo fragment budynku Departamentu Stanu.

- Tak - potwierdził Kerr. - Widziałem to.

Henry zastanawiał się, ile osób jeszcze zostało w mieście. Stosując się do jego rad.

- Al, dokąd lecimy?

- W Camp David wciąż jeszcze jest sucho, sir.

Skręcali na północny zachód, lecąc nad spokojną wodą, w stosunkowej ciszy, wyjąwszy burzę.

- Panie prezydencie - odezwał się znów głos pilota, sprowadzając go na ziemię.

- Tak? O co chodzi?

- Chce z panem rozmawiać ktoś nazwiskiem Feinberg.

- Proszę przełączyć.

Kilka kliknięć w słuchawkach, a potem ochrypli głos Feinberga:

- Panie prezydencie, proszę tego nie robić.

- Nie robić czego?

- Nie używać broni jądrowej przeciwko Oposowi.

Henry spojrział w dół, na zalane miasto.

- Chyba już dość oberwaliśmy, Wesley.

- Nie! Jeśli się pan uprze, będzie jeszcze gorzej!

Były to ostatnie słowa, jakie Henry usłyszał. Miał właśnie odpowiedzieć, zapytać jak w ogóle możliwe jest jeszcze pogorszenie sytuacji, oznajmić, że, na Boga, usu-

„ie Oposa z gry, kiedy ktoś krzyknął głośno, wewnątrz kokpitu zamgliło się, buchnął ogień i światła helikoptera zgasły. Na wpół przytomny próbował dosięgnąć Emily wiedząc, że spadają.

KOMENTARZ TRANSGLOBAL. 5:10.

Utrata zasilania w czasie konferencji prasowej prezydenta stała się ostatnią słomką, pod którą załamała się odporność psychiczna społeczeństwa. Prawdopodobnie nigdy wcześniej, w całej historii kraju nie zdarzyło się by cała ludność spędziła noc na czuwaniu. Miliony zostały zmuszone do opuszczenia domów, ludzie masowo ginęli, całe rodziny zniknęły z powierzchni ziemi przed obiektywami kamer telewizyjnych, zniszczenia materialne sięgają, miej nas Boże w opiece, bilionów dolarów.

Obywatele Ameryki byli zaskoczeni zorganizowaniem prezydenckiej konferencji prasowej zaledwie w kilka godzin po orędziu. Jeśli oczekiwali, że Pan Kollander ogłosi dzień Armageddonu, zostali porwani przez jego nieoczekiwaną pewność siebie i optymizm. Być może jego oczywisty cel - uspokojenie narodu - zostałyby osiągnięty, gdyby nie nagłe zniknięcie z ekranów na całym świecie. W setkach języków, na całej planecie, wyjaśniano, że utrata łączności jest chwilowa i spowodowana u źródła sygnału, że przekaz zostanie za moment wznowiony.

Kilka minut później pojawiła się informacja, że tsunami uderzyło na Waszyngton i potoczyło się dalej, aż do Front Royal, zatrzymując się dopiero na paśmie Gór Błękitnych. W chwili obecnej los prezydenta jest nieznany.

Z Biura Narodowej Służby Pogodowej w El Paso mówiła Judy Gunworthy, Transglobal News Sen/ice.

Kabina pasażerska *Mikro*. 5:43.

- Charlie - to był znów Kerr. Tym razem jednak miał dziwny głos.

- Tak, Al. Co się stało?

- Charlie, straciliśmy prezydenta.

Serce Charliego Haskella przyspieszyło. Co Harry Truman powiedział, kiedy usłyszał o śmierci FDR? Zupełnie, jakby zwała się na mnie kupa gnoju.

Serce dzwonu

Niedziela, 14 kwietnia

1.

Manhattan. 5:45.

Próba splądrowania pobliskiego sklepu spożywczego nie udała się. Marvin i jeden z księgowych zdjęli podwójne drzwi jako zaimprovizowaną tratwę, ale we dwóch ważyli zbyt dużo i kilkakrotnie obróciły się na drugą stronę, zrzucając ich do wody. Księgowy stracił serce do pomysłu i wszyscy, wraz z Larrym, uznali, że najmądrzej będzie poczekać na Straż Przybrzeżną. W końcu Marvin popłynął sam. Wrócił godzinę później, narzekając, że opisany przez Louise sklep znajdował się całkowicie pod wodą. Zostawił jednak tratwę, włamał się do środka i prawie utonął. Wyglądał tak, że jego opowieść sprawiała wrażenie prawdziwej. Dołączył teraz do zalecających czekanie na pomoc. Jego głos nabrał nietypowych dla niego jęklowych tonów i Marilyn doszła do wniosku, że dziś rano wcale nie wyglądał tak dobrze jak wczoraj wieczorem. Nigdy nie romanśuj z facetem, pomyślała, zanim nie zobaczysz go w czasie powodzi.

Lodówka Louise opustoszała błyskawicznie, woda z butli znikła pomimo wszelkich wysiłków zmierzających do racjonowania zapasów. Goście zaczęli sugerować, że

może jednak powinni podjąć próbę zdobycia puszkowanej żywności z zalanego sklepu.

- Nie wiadomo, jak długo tu będziemy - powiedział jeden z nich.

Marv odparł, że nie spróbuje drugi raz bez względu na okoliczności.

Analityczka giełdowa, która spędziła rok w akademii medycznej zauważyła, że każdy, kto wejdzie do wody pełnej trupów ryzykuje zakażeniem tyfusem albo inną paskudną chorobą.

- Marv ma rację - powiedziała. - Powinniśmy czekać.

Byli odcięci od świata. Baterie w telewizorze wyczerpały się, nie pozostało im nic oprócz oglądania panoramy miasta, w porannym świetle wyglądającego szaro i żałośnie. W powietrzu zaczął pojawiać się smród.

Larry próbował odgrywać rolę obrońcy i opiekuna, musiał czuć, że tego się po nim spodziewano. Zapewnił Marilyn, że wszystko będzie okay, zapytał, czy czuje się dobrze, i objął ją, kiedy zachciało się jej płakać. Nie bardzo mu to wychodziło: bardziej pasował do biura niż do sytuacji kryzysowej. Było jej jednak miło, że próbował.

Wiedziała, że jej mąż nigdy by nie wpłynął do zatopionego sklepu. Jednak wiedziała też, że gdyby to zrobił, nigdy by nie jęczał na ten temat po powrocie.

Z tyłu zrobiło się poruszenie: ludzie pokazywali na północny zachód. Helikopter, kilka helikopterów nadlatywało nad rzeki Hudson, w szyku, na małej wysokości. Wleciały pomiędzy betonowe ściany, dotarłszy do Central Parku rozdzieliły się na pary.

Na dachach innych budynków też byli ludzie, wszyscy machali rękami. Jedna z maszyn podleciała bliżej i zawisła dokładnie nad nimi. Pomalowana była na oliwkowy kolor. Wojskowy. Z głośnika dobiegł głos:

- Prosimy o opuszczenie dachu.

Podmuch wirnika szarpał ją za włosy.

Z maszyny wychylił się żołnierz i popatrzył na nią.

- Ile was tu jest?

Szybka ocena.

- Trzydzieścioro - powiedziała Marilyn, ale słowa zginęły w hałasie. Trzykrotnie szeroko rozłożyła ręce.

- Powiedz im, że pięćdziesiąt, ściągnij ich tu ile wle-
że _ powiedział ktoś za nią.

Żołnierz zasygnalizował, że zrozumiał.

- Durna suka - mruknął facet, żądający podania liczby pięćdziesięciu osób.

Był niski, tłusty, nad uszami miał kosmyki włosów okalające łysinę. Larry usłyszał obelgę, rzucił się na niego. Tłuscioch zaczął dziko wymachiwać rękami i uderzył kobietę, która nie zdążyła się szybko odsunąć. Potem pozostali rozdzielili tę dwójkę.

Marilyn czuła się dumna z Larry'ego. Nie tylko dlatego, że jej bronił; ale również dlatego, że ten człowiek był jakimś ważnym menedżerem w Bradley & Boone. Jej mąż właśnie stracił pracę. Musiało to od niego wymagać więcej odwagi, niż szukanie żony w powodzi.

Nie czuła się tak dobrze w małżeństwie od czasu przejścia przez kościół.

Helikopter obniżył się, zawisł tuż nad ich głowami. Cztery pudła odtoczyły się na bok.

- Czy komuś potrzebna jest pomoc medyczna? - padło pytanie z głośnika.

Popatrzyli po sobie.

- Mam kłopoty z kręgosłupem - krzyknął szczupły mężczyzna, nieznanymi Marilyn.

Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto łatwo zgodziłby się na lot helikopterem.

- Może pan chodzić?

- Tak sądzę.

- Dobrze. Niech pan nie stoi. Reszta z was niech się nie stąd nie rusza. Wrócimy.

Helikopter odleciał. Larry znów zwrócił się przeciwko małemu tłusciochowi i ktoś kazał mu się uspokoić. Marilyn widziała, że pod maską oburzenia jej mąż jest bardzo zadowolony z siebie.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL. 5:47.

- Mówi Angela Shepard z Camp David, stan Maryland. Otrzymaliśmy wiadomość, że kilka minut temu wojskowy helikopter wiozący prezydenta Henry'ego Kollandera spadł pod Waszyngtonem. Prezydent został ewakuowany na kilka minut przed zalaniem stolicy przez wielką falę i znajdował się w drodze tutaj, gdzie zorganizowano centrum dowodzenia mające koordynować działania rządu związane z trwającym księżycowym kryzysem. Najprawdopodobniej helikopter został trafiony przez piorun. Źródła oficjalne podają, że wystana została ekipa ratunkowa i wciąż jeszcze jest nadzieja.

Rozmawiałam z osobą z biura prezydenta, która znajdowała się na pokładzie sąsiedniego helikoptera i prosiła o nieujawnianie jej nazwiska. Płakała, Don. Powiedziała, że helikopter prezydenta stanął w płomieniach i, według jej słów, „spadł jak kamień”. Dodała, że nie sądzi by ktokolwiek mógł przeżyć.

Kabina pasażerska *Mikro*. 5:48.

- Charlie, wiadomość jest potwierdzona - powiedział głos w jego telefonie komórkowym. - Znalaziono wrak.
- Nie żyje?
- Tak.
- Emily, co z Emily?
- Była razem z nim, kiedy to się stało.
- Boże...

Kokpit *Mikro*. 5:49.

- Jaki jest wasz stan, *Mikro*?
- Jeszcze cali, Skyport. Układ podtrzymywania życia wygląda dobrze. Ładownia została przebita jeszcze raz, ale poza tym wszystko jest w porządku.
- Zrozumieliśmy, *Mikro*.
- Paliwa już prawie nie ma.
- Zrozumieliśmy. Nadal starajcie się oszczędzać. Dotrzemy do was jak się da najszybciej.

Poruszali się z prędkością 8,1 kilometra na sekundę, przyspieszając w miarę zbliżania się do Ziemi. W rezultacie, nie można było wysłać żadnego statku ratun-

kowego dopóki nie miną Skypport, co miało nastąpić około trzynastej trzydzieści.

- Czy w tej chwili zagraża wam jakieś bezpośrednie niebezpieczeństwo?

-Nie.

Po drugiej stronie nastąpiła chwila wahania. Potem dotarły złe wieści:

- *Mikro*, według nas wejdziecie na orbitę okołosłoneczną.

- Zrozumiałam.

Saber miała za mało paliwa na hamowanie. Przelecała więc obok satelity Ziemi z prędkością obecną plus to, co doszło w trakcie odpalania silnika.

- Skypport, wychodzi mi, że będziemy się poruszać zbyt szybko, byśmy mogli spotkać się promem.

- Nie traćcie nadziei, *Mikro*. Macie na pokładzie VIPa, a właściwie dwoje.

Saber przepuściła liczby przez komputer. Po minięciu przez nich planety, prom mógł ich dogonić, ale wymagałoby to zbyt dużo paliwa. W rezultacie obydwie pojazdy wejdą na orbitę okołosłoneczną. Jakby tego było mało, obliczyła, że około osiemnastej zaczną im brakować powietrza. Rzecz odległa w czasie, ale wtedy już nie da się tego załatwić środkami dostępnymi na pokładzie. Na szczęście istniało proste rozwiązanie i jeśli Skypport go nie wymyśli, sama je zaproponuje.

Rozłączyła się, przetarła oczy i popatrzyła na ekran radaru, który litościwie znów nic nie pokazywał. Ściągnęła ciało Tony'ego i zostawiła w ładowni razem z Bigfootem. Ponure zajęcie, ale przynajmniej jego poświęcenie nie poszło na marne. Jeżeli nie dopadnie ich coś wyjątkowo paskudnego, *Mikro* dowiedzie do domu Charliego Haskella i pozostałych ochotników.

Spróbowała złapać połączenie z St.Petersburgiem, sprawdzić co z rodziną. Przez to rosyjskie miasto przetoczyła się seria niszczycielskich burz z piorunami, które spowodowały powódź. Jednak łączność telefoniczna była zerwana, więc, nie mogąc nic więcej zrobić, przestała o tym myśleć.

Mikro wciąż od czasu do czasu musiał odpalać silnik, żeby usunąć się z drogi zagrożeniom. Już nie widywała piachu czy żwiru. Teraz odłamki raczej ograniczały się do płyt i głazów, które pojawiały się dość rzadko i już nie mijały statku tak szybko jak przedtem. Teraz mikrobus poruszał się z o wiele większą prędkością niż w pierwszych minutach katastrofy i skały przelatywały obok relatywnie dużo wolniej.

Kilka miało gigantyczne rozmiary. Zwłaszcza jedna bryła mierzyła ponad osiemdziesiąt kilometrów średnicy. Miniaturowy księżyc. Zgłosiła ją do Laboratorium Orbitalnego na Skyport, gdzie okazało się, że już ją zarejestrowano. Kobieta, z którą Saber rozmawiała, powiedziała jej, że ten kawał skały wejdzie na orbitę.

- To dobrze - skomentowała pilotka. - Nikt by nie chciał, żeby coś takiego zleciało na dół.

Jej rozmówczyni nazywała się Tory Clark i wryła się jej w pamięć przekazaniem jednej wiadomości:

- Tak na marginesie - powiedziała, - potwierdzono śmierć prezydenta. Dbaj o Charliego Haskella.

Saber miała za sobą długą noc i potrzebowała około trzydziestu sekund zanim dotarło do niej, że wiezie prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Wiedziała, że powinna skupić się na prowadzeniu busu, ale nie potrafiła się powstrzymać przed zejściem na dół by pożyczyć mu powodzenia. Być pierwszą osobą, która to zrobi, bo była pewna, że nikt w kabinie pasażerskiej nie dysponuje jeszcze tą informacją. Może nawet on sam tego jeszcze nie wiedział, choć lampka kontrolna nad obwodem jego telefonu świeciła się prawie cały czas. Biedny sukinyś, siedzi tu na górze na wpół żywy, a oni nie dają mu chwili spokoju.

Podeszła do jego fotela. Trzymał telefon przy uchu, słuchał w milczeniu, robiąc notatki. Stanęła obok i czekała. Zerknął na nią w górę, gestem prosząc by zaczęła chwilkę, i kiedy tylko mu się udało, poprosił rozmówcę o chwilkę przerwy.

- Tak, Saber, czym mogę służyć? - zapytał.

- Panie prezydencie - powiedziała, kładąc szczególny nacisk na drugie słowo . - Chciałabym życzyć panu powodzenia.

Jej słowa wywołały małą eksplozję. Czy to prawda? Czy znaleziono Henry'ego Kollandera?

Kiedy Charlie otrzymał tę wiadomość, przyszło mu do głowy, że być może Henry miał szczęście. Prawdopodobnie jedynie w ten sposób mógł ocalić swoją reputację. *Teraz* podziękował za miłe życzenia, objął Saber i Evelyn, uściśnął dłoń Keithowi i kapelanowi. Potem wrócił do rozmowy telefonicznej.

Saber chciała zapewnić mu choć trochę prywatności, ale jedynymi dostępnymi miejscami w lunobusie były kambuz i łazienka. Kambuz jednak właściwie nie był odizolowany od kabiny, a w łazience brakowało miejsca. Nowy prezydent będzie musiał się zadowolić zajmowanym miejscem w kabinie pasażerskiej. Poprosił tylko Keitha Morleya by nie wykorzystywał niczego co usłyszy, bez specjalnego zezwolenia.

Saber wróciła do kokpitu i wkrótce usłyszała odgłos otwierania klapy. Spojrzała na nią z dołu uśmiechnięta twarz kapelana.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedział.
- Zastanawiałem się, czy mógłbym zobaczyć jak się lata czymś takim.

Gestem pokazała mu, żeby przypasał się do fotela drugiego pilota.

Popatrzył na rozświetloną Ziemię. Zrobił kilka nieznaczających uwag, potem zapadł w pełne zadumy milczenie.

- Wszecławiat wygląda bardzo neutralnie - odezwał się w końcu.

- Co pan przez to rozumie?

- Całkiem prywatnie?

- Oczywiście.

- Czy jest pani wierząca?

Zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Nie wiem, kapelanie. Prawdopodobnie nie.

Skinął głową.

- Nie wierzę, by Jezus pozwolił na wydarzenia z mioniej nocy. Nie ten Jezus, którego ja *znam*.

Saber nie miała pojęcia jak zareagować, po chwili połapała się, że ta wypowiedź w ogóle żadnej reakcji nie wymaga.

- Powiedz mi, Saber - odezwał się po chwili. - Czy na Marsie jest życie?

- Tak - odparła, ciekawa ku czemu zmierza, - ale prymitywne.

Kapelan skinął głową.

- To, że prymitywne, nie ma żadnego znaczenia. W danych warunkach powstaje co powstaje. W innych będzie lepiej. Zgadza się? Karaibskie plaże. Zimne, wilgotne doliny. Bezkrzesne równiny. Gdzieś tam są inne Szkocje.

- Tak - zgodziła się. - Sądzę, że musi tak być. Nie umiem sobie wyobrazić innej sytuacji.

- Och, można sobie wyobrazić, że jesteśmy sami. Ja to potrafię i chciałbym, by tak było.

- Dlaczego? - zapytała.

Wszyscy, których znała pragnęli, aby poszukiwania obcych form życia, obcych cywilizacji, zakończyły się sukcesem. Myśl, że ktokolwiek, choćby jeden człowiek, preferował pusty wszechświat była dla niej wręcz szokująca.

- Bo wtedy historia Jezusa miałaby sens. Lecz taki wszechświat jak ten, w którym podejrzewamy istnienie milionów ras podobnych do nas, jego poświęcenie nie bardzo przystaje do istniejącej natury rzeczy - kapelan potrząsnął głową. - Albo ukrzyżowanie jest odkupieniem dla wszystkich, albo nie. Jeśli dla wszystkich, mamy wierzyć, że spośród tego mrowia światów, On wybrał sobie nasz dla ogłoszenia Swego manifestu.

Słuchała wątpliwości kapelana, wzbierających po uwolnieniu jakiejś od dawna wpychanej w zapomnienie wewnętrznej sprężyny. Słyszała zaimki wymawiane z dużej litery, błaganie o interwencję.

- Jeśli zaś ukrzyżowanie nie jest odkupieniem dla wszystkich, musi dokonywać się, w takiej czy innej for-

r n , niezliczoną liczbę razy w nieskończonej liczbie miejsc. *Co* wtedy zostaje z Jego męczarni, poświęcenia specjalnie dla nas?

Zastanawiała się nad tym przez kilka minut.

- Chrześcijanie mówią, że on jest nieskończonością, kapelanie - powiedziała w końcu. - Może teraz zaczyna ją pojmować, co to słowo znaczy.

2.

Skyport, restauracja „U Mo”. 5:51.

Rachel Quinn w ogóle nie spała tej nocy. Tak samo jak wszyscy na stacji, spędziła ją przyklejona do telewizora. Z narastającym poczuciem winy przypominała sobie swój gniew spowodowany odwołaniem misji marsjańskiej. Ale wtedy nie miała zielonego pojęcia, że przylot komety wywoła aż takie skutki.

Niemniej gdzieś w głębi, pod tymi nieustannymi wylęczeniami fal, burz i trzęsień ziemi, były ukryte optymistyczne wiadomości; wszędzie pojawiały się przykłady wielkiej odwagi. W Fort Lauredale mężczyzna w motorowym jachcie wyłowił rozbitków i pokonał kilka tsunami. W Baltimore lekarze nie opuścili posterunków, w Houston policjanci w helikopterze zbierali ludzi z dachów domów, w Savannah grupa nastolatków wyprowadziła całe przedszkole w bezpieczne miejsce. Kiedy fala uderzyła na Vancouver Island, jeden z mieszkańców uratował sąsiadów upychając ich w koszu balonu z wodorem. Udało mu się wystartować na sekundy przed katastrofą. W St. Augustine młoda kobieta pomogła kilku parom starszych ludzi wspiąć się na starą kamienną wieżę i uciec przed zagładą.

Nawet Skyport otrzymało swoją porcję razów. Odłamki przebiły przedziały na dwóch pokładach, trzy osoby zginęły.

Rachel siedziała w „U Mo”, nad kawą z tostami, oglądając CNN, kiedy zadzwoniła jej komórka. Na wyświetlaczu widniał identyfikator dyspozytorni.

- Quinn - odebrała.

- Pani pułkownik, nazywam się Howard Chambers, jestem asystentem Belle Cassidy - to była dyrektorka dyspozytorni. - Chciałaby wiedzieć, czy może pani przyjść do jej gabinetu.

Dziesięć minut później Rachel wprowadzono do gabinetu Cassidy. Dyrektorka stała w kącie pokoju, pochylona nad konsolą. Towarzyszyło jej dwóch doradców. Uśmiechnęła się do Rachel, odprawiła współpracowników i zaprosiła ją gestem do zajęcia miejsca. Belle Cassidy miała nieco ponad czterdzieści lat. W jej zachowaniu było coś z instruktora musztry. Trzymała się prosto jak świeca, miała krótkie, czarne włosy, kamienne spojrzenie i szerokie ramiona. Rachel знаła ją, nawet raz uczestniczyły w tym samym obiedzie, wydanym przez załogę Skyport, gdy na stacji zgromadziło się kilkunastu astronautów udających się w różne strony.

- Miło cię znów widzieć, Rachel - powiedziała, wyciągając rękę.

Na jej nadgarstku połyskiwał złoty łańcuszek, delikatna sugestia kobiecości w bardzo męskiej osobowości.

Gabinet był duży, jak wszystkie na Skyport. Na ścianach wisiały w ramach dokumenty opisujące służbę kolejnych gospodarzy tego pomieszczenia, w różnych agencjach federalnych oraz w Administracji Transportu Księżycowego, jej obecnym pracodawcy. Belle splotła ramiona na piersi i nie usiadła.

- Rachel - zagaiła - potrzebujemy twojej pomocy.

- Jakiej?

- Czy wiesz, że prezydent Kollander nie żyje?

- Tak - odparła - niedawno o tym słyszałam.

- Nowy prezydent jest rozbitkiem w przestrzeni

- Belle machnęła ręką w ogólnym kierunku gdzieś na zewnątrz. - Za mniej więcej siedem i pół godziny przeleci koło nas z prędkością ponad czterdziestu tysięcy kilometrów na godzinę. Jeśli nie będzie tam czekać coś mającego dość paliwa, żeby go złapać, równie dobrze mogą już zaprzysięgać kogoś następnego w kolejce. Jak sądzę byłby to ten idiota Speaker.

Oczy Rachel zaokrągliły się ze zdumienia.
- Chcesz ruszyć Lovella?
- Nie mamy nic innego. Promy sobie z tym nie po radzą.
- Jasne - padła odpowiedź. - Wezmę obliczenia od waszych ludzi i *zaraz* będziemy gotowi do startu.
- Doceniam to.
- Cała przyjemność po mojej stronie.
Na twarzy Belle pojawił się wyraz żalu i zawodu.
- Będę z tobą szczerą. Od kilku godzin usiłowaliśmy wykombinować jak to zrobić tylko przy pomocy promów. To znaczy, jak często LTA ma szansę uratowania życia prezydentowi?
- Nie da rady, co?
- No cóż... jeśli byśmy musieli, spróbowalibyśmy bardzo ryzykownego wariantu. Ale nie możemy *ryzykować*, bo szansę powodzenia są znikome - uścisnęła dłoń Rachel. - Tak więc to NASA zbierze całą śmie tankę. Znów.

CAŁONOCNY PROGRAM FRANKA CRANDALLA. 5:57.

- Tych, którzy późno dostroili się do naszej stacji, oraz tych, którzy swoimi telefonami zablokowali naszą centralkę, po raz kolejny informuję - Frankowi nic nie jest. Ostatniej nocy odniósł niewielkie obrażenia i to wszystko. Jak wiecie, audycja zwykle nadawana jest z Miami, lecz burze zmiotły tamtejsze studio. Frank skręcił kolano, ale nie jest to nic poważnego i dziś wieczorem wróci na antenę. Na razie program prowadzi Paul DiAngelo, zastępujący Starego Wojaka. W tej chwili mamy czas na jeszcze jednego rozmówcę, zanim wyniesiemy się stąd. Llewellyn sygnalizuje mi, że nadajemy na żywo. Hello, Marga-ret z Los Angeles.

Rozmówca: Hi, Paul. Powiedz Frankowi, że całe LA dobrze mu życzy.

DiAngelo: Ucieszy się, gdy to usłyszy, Margaret. Może powiesz naszym słuchaczom gdzie w tej chwili jesteś?

Rozmówca: W swoim gabinecie, na drugim piętrze Warrior Warehouse na wybrzeżu.

DiAngelo: A co tam robisz?

Rozmówca: Pracuję do późna. Jestem jednym ze współników Warrior. Ale w gruncie rzeczy wyczekiwałam nadejścia wielkiej fali. Tymczasem, wierz mi lub nie, ocean jest gładki jak szkło.

DiAngelo: Momencik, Margaret. Siedzisz na wybrzeżu czekając na pojawienie się wielkiej fali?

Rozmówca: (śmiejąc się) Jestem zupełnie bezpieczna, piętra są wysokie. Jestem na wysokości ponad trzydziestu metrów nad parkingiem, a budynek jest żelbetonowy.

DiAngelo: Margaret, dlaczego to robisz?

Rozmówca: Ile razy w życiu widziałaś wielką falę, Paul? W każdym razie, mam minikamerę i jeśli do czegoś dojdzie, powinnam zrobić parę całkiem niezłych zdjęć.

DiAngelo: Mam nadzieję. Czy pomyślałaś, że możesz zostać tam całkowicie odcięta od świata?

Rozmówca: Zamrażarka jest pełna. Słuchaj, tak naprawdę nie dlatego zadzwoniłam.

DiAngelo: Okay, Margaret, ale czas się nam kończy, Pospiesz się.

Rozmówca: Ile osób zginęło ostatniej nocy?

DiAngelo: Nie wiem. Wszędzie są tylko szacunkowe liczby.

Rozmówca: Bardzo wiele.

DiAngelo: Tak.

Rozmówca: Właśnie, Paul. A moglibyśmy uratować mnóstwo z nich, gdyby ci błażni z Waszyngtonu nie olali tego wszystkiego.

DiAngelo: Na to wygląda.

Rozmówca: Czy sądzisz, że dojrzeliśmy już do postawienia prezydenta w stan oskarżenia?

DiAngelo: Margaret, prezydent znajduje się wśród ofiar.

Rozmówca: Wiem. I chciałabym powiedzieć, że żałuję jego śmierci. Ale tym razem naprawdę dał ciała. Ktoś musi za to zapłacić.

DiAngelo: Dziękuję za przemyślenia, Margaret. Skończył się nam czas, kochani. Nie zapominajcie, Frank będzie tu z wami na żywo dziś wieczorem, o zwykłej porze.

3.

Mikro. 6:22.

- Ja, Charles L. Haskell niniejszym przysięgam, że będę wiernie służył urzędowi Prezydenta Stanów Zjednoczonych i najlepiej jak potrafię będę strzegł, chronił i bronił Konstytucji Stanów Zjednoczonych.

Sędzia Mary B. Longbridge przyjmowała zaprzysiężenie przez radio. Znajdowała się w Bazie Sił Powietrznych w Egmont. Po raz pierwszy w historii kraju osoba przewodnicząca w ceremonii i obejmujący urząd prezydent, nie znajdowali się w tym samym miejscu.

W gruncie rzeczy ani jeden obywatel USA nie był obecny przy zaprzysiężeniu.

Gdyby wyborcy mogli zobaczyć pana Haskella, zauważyliby, że nowy prezydent wyglądał jak po napadzie. Twarz miał spuchniętą i pokrytą siniakami.

W mikrobusie nie było egzemplarza Biblii. Dlatego też pan Haskell wyciągnął odpowiednie wersety z biblioteki statku i na czas wygłaszania przysięgi umieścił je po lewej stronie ekranu. Cytaty, zasugerowane przez Marka Pinnacle'a pochodziły z Księgi Liczb, Rozdział VI, Wersety 24-26.

W wieku trzydziestu ośmiu lat Charlie Haskell został się najmłodszym prezydentem w historii, wyprzedzając Theodore Roosevelta o trzy lata. Był dziewiątym wiceprezydentem, który obejmował urząd po śmierci poprzednika i dziesiątym, który w ogóle trafił na to stanowisko. (Gerald Ford został mianowany po rezygnacji Nbcna.).

Jego drugi inicjał oznaczał imię „Lionel”, należące do wuja, którego widział raz w życiu. Nie znośił go i na ile potrafił, nie dopuszczał by pojawiło się w druku.

Przemawiał przez sześć minut i jednaście sekund, chyba najkrótsze przemówienie inauguracyjne w historii. Żaden inny prezydent, powiedział, nie był zaprzysięgany w tak tragicznej chwili. Lecz zrobi co w jego mocy,

przy pomocy zjednoczonego społeczeństwa Ameryki, by zapewnić przetrwanie narodu, by ulżyć jego cierpieniom, by zabezpieczyć się przed przyszłymi katastrofami i rozpocząć długi proces powracania do zdrowia.

- Pójdziemy naprzód - powiedział. - Wyciągniemy na ukę z tych wydarzeń i nie zmienimy kierunku. Rozbity Księżyc pozostanie na naszym niebie by przypominać nam, że Ziemia nie jest izolowana od reszty Wszechświata. Nasz świat to tylko fragment większej całości, o czym musimy zacząć pamiętać. Musimy nauczyć się stosować zdobyte technologie do wszelkiej możliwej obrony; musimy też prze myśleć kim tak naprawdę jesteśmy. Tej nocy znaleźliśmy się w przełomowej chwili naszej historii. Musimy pogodzić się z poniesionymi stratami, bo nic innego nie możemy zrobić. Lecz nie zaakceptujemy klęski i pójdziemy naprzód, ponieważ rezygnacja z tego byłoby zdradą wobec wszystkich, którzy zginęli w czasie ostatnich kilku godzin.

Kiedy ceremonia się skończyła, wypili toast za jego sukces. Evelyn zaprojektowała, a Saber wydrukowała programy tego wydarzenia i wszyscy poprosili by na kopiach złożył swój autograf.

- Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie ceremonię swojej inauguracji - przyznał się Charlie. - Zazwyczaj zaprzysiężenie obejmuje paradę, bale, dygnitarzy, mnóstwo prasy.

Uśmiechnął się do Keitha Morleya, który na chwilę wyłączył mikrofon.

-To dzisiejsze jest najbardziej kameralne ze wszystkich na świecie. Lecz żaden inny prezydent nie miał tyle szczęścia co ja, jeśli chodzi o ludzi towarzyszących mu w rytuale. Żywych i martwych - uniósł szklaneczkę sugerując toast na ich cześć. - Dziękuję wam.

RAPORT WPYX. PDT (7:33 EDT) (W tle helikopter z wolno obracającym się wirnikiem).

- ... na dachu Sądu New County w Los Angeles. Z naszego wysoko położonego stanowiska widzimy Gmach Sądu Najwyższego, Budynek Służb Federalnych, Centrum Władz Lokalnych. Wszę-

dzie wokół przerażone tłumy włamują się do wszelkich wysokich budynków, do których zdołają, w nadziei znalezienia się wysoko nad ziemią. (Wrzaski tłumu, wybuchy, strzały w tle).

Widzimy światła i postaci poruszające się na wyższych piętrach komendy głównej policji oraz Muzeum Sztuki Współczesnej. Na ile potrafimy ocenić, w mieście nie pozostały żadne zorganizowane siły policyjne. Ulice są pełne ludzi. Nie mam pojęcia skąd oni wszyscy się biorą.

Według naszych najświeższych informacji wszystkie drogi wylotowe są beznadziejnie zablokowane. Oczywiście PacRail zawiesił kursowanie już wcześniej tego wieczoru, więc teraz jedynym ratunkiem dla wszystkich jest znalezienie się powyżej poziomu wody. Gdziekolwiek to jest. Właśnie otrzymuję sygnały, że słychać ludzi wspinających się wewnątrz tego budynku.

- Okay, było to sprawozdanie z Hill Street i Beverly Boulevard. Teraz przełączymy się do Lindy Teller, która jest w naszym helikopterze nad Redondo Beach. Lindo?

- Dzięki, Rod. Znajdujemy się o około trzy czwarte kilometra od plaży, czekamy na pierwszą z fal, które od kilku godzin zapowiada National Weather Service. Wisimy tuż nad wodą i choć nie jesteście w stanie widzieć w ciemności, przy pływ w Redondo Beach jest wyjątkowo niski. To jeden z pewnych sygnałów zapowiadających zbliżającą się ogromną falę.

- Na wschodzie widzimy światła Torrance i Inglewood. Na Między stanowej 1405 panuje niemal kompletna ciemność, Rod. Zapelniają ją porzucone samochody. Policja i wojsko były tam mniej więcej godzinę temu, po prostu spychając pojazdy z szosy, teraz oni też się wynieśli. Kiedy zajrzeliśmy tam kilka minut temu, zauważyliśmy nieliczne, snujące się bez celu osoby, oraz paru ludzi rabujących samochody.

- Skontaktowaliśmy się ze Strażą Przybrzeżną - czekaj, coś się chyba dzieje. Zapewne nie widzicie tego na waszych ekranach, ale na horyzoncie widoczne jest coś jakby ściana. Ocean najwyraźniej się podnosi. Coraz wyżej. (Długa przerwa). I wyżej. Boże, miej nas w swojej opiece, Rod, nie jestem pewna, ale to może mieć ponad piętnaście pięter wysokości.

- Mam nadzieję, że wszyscy wyjechali z Redondo.

Wybrzeże Pacyfiku. 4:39 Pacyficznego Czasu Letniego (7:39 EDT).

Pierwsza fala uderzyła na długo przed świtem. Z rykiem przetoczyła się nad Point Conception oraz Santa Barbara i wtoczyła się w Góry Santa Ynez. Ostrzeżeni ludzie uciekli na wyżej położone tereny i zanotowano bardzo nieliczne ofiary. Służba Parków Narodowych oceniła, że ta fala miała pięćdziesiąt metrów wysokości.

W kilka minut później kolejne tsunami uderzyły na Seattle i Coos Bay. Z Seattle z początku donoszono o wpadającej do miasta fali wysokiej na osiemset metrów, ale filmy wideo nakręcone z dachów budynków biurowych i helikopterów udowodniły, że fala była dziesięciokrotnie mniejsza. I tak wystarczyło.

Pomiędzy czwartą trzydziści pięć a piątą rano, Pacyfik podniósł się i zalał wybrzeże od Juneau do San Carlos. W Los Angeles centrum po prostu znikło pod wodą, z wyjątkiem kilku wieżowców i budynków na otaczających wzgórzach. Większość Santa Monica i Redondo, Long Beach i Inglewood podzieliło jego los.

San Francisco również zginęło. Fala, której wysokość oceniano na dwieście metrów, zwała most Golden Gate, zatopiła miasto od Presidio na północy do jeziora San Andreas na południu. Pod wodą zniknęły Oakland i Berkeley, powódź przelała się przez Simi Valley i zatoki na północ od San Francisco w głąb Kalifornii. Dolina San Joaquin zamieniła się w śródlądowe morze.

Wstępne oceny doliczyły się około dwóch milionów ofiar tylko w okolicach Los Angeles. Co dziwne, San Diego przetrwało wcześniejsze bombardowanie prawie bez uszkodzeń. Przyptyw był tam też mniejszy niż normalnie.

W Meksyku ocean przelał się przez Baja California, wypełnił Zatokę Kalifornijską i wystarczyło mu pędu by wywołać poważne zniszczenia na wschodnim wybrzeżu od Isla Del Tiburon do Mazatlan.

**Szosa lokalna 6, na południowy wschód od San Francisco.
4:59 PDT (7:59 EDT).**

Nie było służb awaryjnych. Telefony milczały, a w policyjnym radio dawał się słyszeć jedynie szum. Kiedy pojawiły się pierwsze, szare zwiastuny brzasku, z lekarzem i lekami przyleciał helikopter będący własnością Short Haul Airways.

- Zrobiłem co mogłem - powiedział pilot, którego imienia Marisa nigdy się nie dowiedziała. - Tam na ze wnątrz jest dość ponuro.

W grupie schwytej przez osuwisko znalazł się tylko jeden lekarz, który miał złamany kręgosłup. Marisa i Jerry zajęli się ratowaniem ludzi.

Przekształcili restaurację w prowizoryczny szpital, a sklepik z antykami w kostnicę. Marisa usiłowała opatrzyć ciężko rannych tam, gdzie upadli, pomimo zagrożenia ze strony urwiska. Lecz wstrząsy wciąż się powtarzały, więc w końcu dała za wygraną i zarządziła przenosiny. Dziesięć minut później urwisko się obe-rwało.

Jerry zebrał ochotników, którzy rzucili się do pomocy, czyścili rany, składali kości, zakładali łubki. Lekarz, który przyleciał helikopterem był na wakacjach w górskim domku, kiedy Short Haul go wytropił.

Mieli czterdzieści osób wymagających leczenia szpitalnego.

- Nie ma na to szans - oznajmił lekarz.

Miał na nazwisko Hardacre, dopiero co przekroczył trzydziestkę. Młody, przystojny, narzekał, że były to jego pierwsze wakacje od trzech lat. Traktował katastrofę jako nadużycie skierowane osobiście przeciwko niemu. Jednak przyleciał i sprawiał wrażenie kompetentnego, więc Marisa nie narzekała.

- To znaczy, że nie da się umieścić ich w szpitalu?

- Oglądała pani telewizję? - zapytał.

- Od ponad godziny nie.

- Jeśli znajdzie pani minutkę, niech pani zerknie.

Wszystkie ocalałe szpitale będą przepelnione. Najpraw-

dopodobniej minie długi czas, zanim jakiegokolwiek łóżka będą dostępne.

Popatrzyła na swoich pacjentów. Nie mieli łóżek polowych, więc wszyscy leżeli na podłodze i zapewniono im wszelkie dostępne w takich warunkach wygody. Hardacre zgarnął z apteczki w kurorcie, w którym wypoczywał, trochę środków przeciwbólowych, co bardzo pomogło. Lecz ci ludzie potrzebowali poważnej terapii. Co robić?

Jakby dla podkreślenia tej sytuacji, odległe mamrotanie stało się lepiej słyszalne. W pierwszym momencie Marisa sądziła, że to reszta góry zamierza się zawalić. Znajdowali się po drugiej stronie drogi, dość daleko, żeby czuć się bezpiecznie, ale dźwięk był inny, niż słyszany przez nią wcześniej. Nadciągał z przeciwnej strony, od San Joaquin. Może tym razem miała zjechać w dół ta część góry, na której się znajdowali.

Odsunęła od siebie tę myśl i wróciła do zmiany opatrunku. Pacjentką była kobieta w średnim wieku, z połamaną nogą i zranioną ręką. Hardacre założył jej dwa dzieścia szwów na rękę i złożył nogę najlepiej jak potrafił. Mąż tej kobiety, któremu nic się nie stało, siedział przy niej.

Myśli Marisy wróciły do Jerry'ego. Zorganizowali miejsce, w którym gromadzili zgubione dzieci, snujące się dookoła bez celu. Jerry zadbał o odpowiedni personel. Teraz był zajęty po przeciwnej stronie restauracji, zmieniając opatrunki. Nie lubił tego robić, w gruncie rzeczy nie cierpiał widoku krwi, ale dzisiejszego ranka zachowywał się jak profesjonalista.

Kiedy skończyła pracę przy kobiecie, podeszła do następnych chorych. Odległy dźwięk nasilał się. Brzmiało to nie jak lawina, ale było tak samo denerwujące, jakby coś się zbliżało.

Zmieniała opatrunek, kiedy jeden z wolontariuszy wpadł przez drzwi.

- Dolina się napęlnia! - wrzasnął.

Marisa teraz *czuła* się już zupełnie odporna na słowne ostrzeżenia. Spokojnie skończyła robotę i podeszła do tylnego okna, wychodzącego na St Joaquin.

Rozciągała się przed nią, potężny basen otoczony górami ginącymi w porannej mgle. Na zachodzie powódź tryskała z wąskiego wąwozu i rozlewała się po dnie doliny.

Później, kiedy zrobiła sobie przerwę i poszła zobaczyć się z Erin i Jimmy'm, oboje objęli ją i uściskali a potem zapytali kiedy wróć do domu. Do tego czasu śródłądowe morze rozciągało się w porannym słońcu daleko jak okiem sięgnąć.

- Jesteśmy w domu - odparła miękko.

Kabina pasażerska *Mikro*. 8:03.

- Powtórz to Al.

Charlie usiłował mówić cicho, tak, żeby inni nie słyszeli. Jednak rozmowy w kabinie cichły natychmiast, gdy tylko zaczynał korzystać z telefonu. Wiedział, że wcale nie chcieli podsłuchiwać - może oprócz Morleya, który robił to zawodowo - tylko brała tu górę ludzka natura. W obecnych warunkach szans na prywatność nie miał żadnych. Ale czy to w ogóle miało jakiegokolwiek znaczenie?

- Powiedziałem, NASA twierdzi, że nic wam nie będzie. Znaleźli sposób, żeby was uratować.

- Nie wiedziałem, że w ogóle trzeba mnie ratować.

- Mój Boże, czy ty mówisz poważnie? Jesteście na najlepszej drodze do Plutona, czy gdzieś tam. Wysyłają do was „*Lowella*”.

Charlie niewiele się tym przejął. W porównaniu ze wszystkim, co mu się już zważyło na głowę, ta wiadomość niemal budziła rozczarowanie.

- Okay - powiedział.

Od dwóch godzin co chwila rozmawiał przez telefon z Alem Kerrem, otrzymując najświeższe wiadomości o coraz bardziej rozpaczliwej sytuacji. W Stanach Zjednoczonych dosłownie miliony ludzi wyległy na drogi, brakowało dla nich miejsc noclegowych i żywności, wysiłki agencji ratowniczych stanowiły kroplę w morzu. Obydwa wybrzeża oraz Hawaje doświadczyły poważnych zniszczeń ze strony fal i burz. Na niektórych obszarach doszło do trzęsień ziemi. Straty materialne sięgały bilio-

nów dolarów, a jeden Bóg wie, ilu ludzi straciło życie. Służby medyczne już zaczęły ostrzegać przed możliwością wybuchu epidemii, z Pacyfiku nadciągały kolejne wielkie fale.

Eksperti finansowi wskazywali, że praktyczna utrata Nowego Jorku i Los Angeles doprowadzi do upadku systemu bankowego i radzili, by rząd natychmiast podjął kroki zaradcze.

- Co sugerują? - spytał Charlie.

- Wydaje mi się, że w tej chwili nie mają bladego pojęcia co robić, panie prezydencie. Ale upierają się, że natychmiastowe działania są konieczne.

- Co jeszcze?

- Na północnym wschodzie i północnym zachodzie nastąpiły poważne wyłączenia prądu; dziesiątki tysięcy Meksykanów, dla których nie było żadnych zapasów, literalnie nic, ciągnęły na północ; dziwna burza elektryczna prawie doszczętnie zniszczyła Tucson.

W tym zalewie zdarzały się jednak prawdziwe dobre wiadomości: centrum kraju wciąż pozostawało właściwie nietknięte. Rząd federalny funkcjonował całkiem dobrze; dochodziły pierwsze sygnały, że jego agencje oraz wojsko dokonują cudów. Europa i Azja ucierpiały nieco mniej niż obie Ameryki i sprzymierzeńcy, a nawet kilku starych wrogów, pomagali jak mogli. Najważniejsze zaś, że rakiety zostały uzbrojone, wycelowane i o dziewiątej rano Opos przejdzie do historii.

Charlie określił priorytety. Przede wszystkim należało się skupić na problemie uchodźców.

- Zróbcie co tylko się da, żeby dostarczyć im żywność. Ty kryje się potencjalne zagrożenie jeszcze większymi stratami w ludziach. Musimy ocenić jak można pomóc ludziom znajdującym się na drogach i wykonać to dobrze od pierwszego podejścia. Nie czekajcie na zgodę prezydenta. Jeśli coś trzeba zrobić, róbcie to, informujcie mnie tylko. Będę was wspierał.

- Albo mnie pan zwolni - skomentował Al Kerr, najwyraźniej czujący się niepewnie. Nigdy nie popierał Charliego Haskella i teraz spodziewał się za to zapłacić.

Charlie miał ważniejsze rzeczy na głowie.

- Chcę, żeby kiedy wrócę, czekały na mnie plany działań. Zorganizujcie grupy robocze, żeby uprzedzić wypadki. Nie chcę, żebyśmy tylko reagowali na katastrofy. Zbierzcie ludzi, którzy będą potrafili przewidywać, co się jeszcze może zdarzyć, co jeszcze możemy zrobić.

- Co konkretnie ma pan na myśli, panie prezydencie?

- Na początek cholera i tyfus.

Odetchnął głęboko, wyczuł bowiem bojaźliwość rozmówcy. Zalała go fala gniewu. Po prostu nie było czasu na przepychanie się z ludźmi nie gotowymi do podjęcia zdecydowanych działań.

- Niech cię szlag, Al - warknął. - Gdybym wiedział co tu się może zdarzyć, nie potrzebowałbym grup roboczych. Powinny być niewielkie. Żądam pomysłów, a nie krycia własnych tyłków. Czego nam trzeba, żeby utrzymać kraj przy życiu? Nie tylko ludzi, ale i instytucji. Kapujesz?

- Ściągnij kogoś z wojska. CDC²⁰. FEMA. Naukowców. Wymyślcie coś. W tym tygodniu poruszaliśmy się na ślepo i, jak sądzę, nie możemy sobie już na to pozwolić. Żadnych więcej niespodzianek. - Czy było coś jeszcze? Ach, tak...

- Bardzo mi przykro z powodu Henry'ego i Emily - powiedział dużo bardziej miękko głosem. - Wiem, że byliście sobie bliscy.

- Dziękuję, panie prezydencie.

- Spodziewam się, że zostaniesz szefem sztabu. Przy najmniej do czasu aż się to skończy.

- Tak jest, sir.

Przerwał połączenie, wrócił do kabiny pasażerskiej, gdzie wszyscy udawali, że są głęboko pogrążeni w lekturze.

- Wszystko w porządku, panie prezydencie? - spytała Evelyn.

²⁰ CDC - Centers for Disease Control and Prevention = Centra Kontroli i Prewencji Chorób (przyp. tłum)

Wszyscy teraz znów traktowali go bardzo oficjalnie. Może to i lepiej. Zastanawiał się ile działałby Lincoln, gdyby wszyscy dookoła zwracali się do niego per Abe.

- Tak - potwierdził. - Radzimy sobie.

Coś mu to przypomniało. Wszedł po drabince - zaczął się już całkiem nieźle poruszać w stanie nieważkości - i znalazł się za plecami Saber.

- Witam, pani pilot - powiedział.

Uniosła rękę nie odrywając wzroku od przyrządów.

- Witam, panie prezydencie.

- Słyszałem, że w rezultacie wybieramy się na Plutona? - zagaił.

- Och - odparła. - Wie pan o tym. Nie, wszystko będzie w porządku. Nigdy nie byliśmy zagrożeni.

Wśliznął się na fotel drugiego pilota.

- Jest pani pewna?

- Tak jest, sir - potwierdziła.

- Czy powinienem o czymś wiedzieć?

- Nie, panie prezydencie.

- Jeśli pojawi się jakiś problem, chciałbym o nim wiedzieć - poprosił.

- Tak jest, sir. Wcale nie uważałam tego za problem. To znaczy, od początku wiedziałam, że mają „*Lowella*” w odwodzie - uśmiechnęła się do niego. Spostrzegł, że jest piękną kobietą. Jakoś wcześniej nie było czasu, żeby to zauważyć. - Sądziłam, że i tak ma się pan czym martwić. Doprowadzenie *Mikro* na miejsce, to moja działka.

- Czy mamy jeszcze w ogóle paliwo?

- Kilkaset kilogramów. Niewiele. Staram się oszczędzać jak mogę.

- Okay. Jakie są zadania na czas akcji ratunkowej?

Odprężyła się nieco.

- „*Lowella*” dogoni nas około szesnastej. Przejdzie my na jego pokład i porzucimy *Mikro*. Jeszcze nie podali mi przewidywanego czasu przybycia, ale jak sądzę powinniśmy *znaleźć* się na stacji późnym wieczorem. Na razie tylko zgaduję. Nie znam możliwości „*Lowella*”.

Charlie popatrzył na mnóstwo błyskających światełek i wskaźników na pulpicie *Mikro*.

- Czy stąd widać Oposa?

Dotknęła jednego z przycisków i na centralnym ekranie pojawił się meteor.

- To widok z jednego z satelitów.

Opisy przekazywane przez media mówiły o czymś wyglądającym jak przecięte na pół. Z jednej strony głaz był płaski, z drugiej wypukły i poszarpany. Podłużny, przypominający maczugę. Charlie cieszył się, że to skolarzenie nie przyszło jeszcze do głowy żadnemu z dziennikarzy. Patrzył na meteor, wolno obracający się na ekranie.

Palce Saber zatańczyły na klawiaturze.

- Mam coś, z czym można go porównać - pojawił się wizerunek *Mikro*. Mała, aż stał się niemal niewidoczny obok skały.

- To my - nacisnęła jeszcze jeden przycisk i wzdłuż obiektu pojawił się długi rząd znaczników. - Jest ich sześćdziesiąt jeden, od końca do końca.

- A my ile mierzymy?

- Dwadzieścia jeden metrów z groszami, od kopuły kokpitu do podpór. Dość zwarty stateczek.

- Lepiej pozbadźmy się tego paskudztwa - powie dział.

Opos wywierał wręcz hipnotyczny wpływ. Patrzył, jak się obraca, na drugim ekranie widniała błękitna kula Ziemi.

Drugi obraz, wyjaśniła Saber, pochodził z teleskopów *Mikro*.

Odległość pomiędzy wiceprezydenturą i najwyższym stanowiskiem w państwie, odkrywał Charlie, liczona była w latach świetlnych. Być może nie pojmował tego nikt, kto nie znalazł się po obu stronach tej przepaści. Kilka godzin temu martwił się tylko o uratowanie samego siebie. Teraz to zmartwienie wydawało mu się wręcz trywialne.

Trzecie dziesięciolecie dwudziestego pierwszego wieku, do momentu sprzed kilku dni, było okresem bardzo dobrym dla planety. Sto milionów Chińczyków miało samochody, niemal wszyscy zgodzili się, że militarne

ekscesy są objawem złego smaku, wydawało się, że dotychczasowe wahania gospodarcze pomiędzy dobrą koniunkturą i kryzysami zostały opanowane, potęgi odkryły, że współpraca przynosi większe zyski niż konkurencja. Technologia poprawiła poziom życia prawie każdemu. Nauka rozwijała się dynamicznie, ludzie długo żyli i zachowywali młodość dłużej niż kiedykolwiek w historii. Większość rodzajów raka dawało się leczyć; siłownie dostarczały niemal nieograniczonej energii; a długa walka o odwrócenie zniszczeń w środowisku naturalnym wreszcie zaczęła dawać rezultaty. W Stanach Zjednoczonych napięcia międzyrasowe stale malały, dochód narodowy co roku był większy, przestępczość i szaleńczy wzrost populacji malały.

Oczywiście były i problemy. Liczba ludzi na Ziemi przekraczała wydolność zasobów naturalnych a grupy wyznawców starożytnych tradycji i religii torpedowały jak mogły wszelkie wysiłki zmierzające do jej zmniejszenia. Przestępczość wciąż była bardzo wysoka, w dodatku w większości bardzo brutalna, zwłaszcza w Rosji, Stanach Zjednoczonych i Chinach. Ostatnie badania przeprowadzone przez USA Today wśród dorosłych Amerykanów wskazywały, że trzy ósme narodu to funkcyjnie analfabeci. Był to najwyższy odsetek wśród wszystkich krajów uprzemysłowionych, w dodatku ciągle rósł. Zalety dostępu do ogólnosiwiatowej sieci informacyjnej wciąż były niedostępne dla jednej czwartej społeczeństwa w USA i dla ponad jednej trzeciej w pozostałych krajach zachodnich. Każdy większy rząd zmagał się z deficytem budżetowym.

Administracja Haskella mogła spodziewać się konieczności radzenia sobie z takimi problemami. Przewidując możliwość wygranej jesienią, Charlie już zorganizował ludzi mających się tym zająć i sformułował kilka własnych pomysłów. Rozmawiał z ludźmi z pierwszej linii frontu - nauczycielami, rodzicami, policjantami, lekarzami z izby przyjęć oraz ludźmi z kierowniczych stanowisk najróżniejszych zawodów. Sądził, że jest przygotowany do podjęcia ciężaru obowiązków prezydenta,

mając w zanadru kilka pomysłów jak zaatakować te problemy na szerszą skalę.

Jak się okazało, gorzej nie mógłby się przygotować.

Saber skrzywiła się i dotknęła słuchawek.

- Poczekaj sekundkę - powiedziała. - To do pana, panie prezydencie.

Jednak nie zapaliła się lampka jego prywatnej linii, czyli rozmowa odbywała się na kanale ogólnym.

- Zechce pan porozmawiać z Wesleyem Feinbergiem?

- Oczywiście.

Charlie włączył komórkę. Nigdy nie spotkał Feinberga, ale słyszał o nim sporo. Poza tym w czasie planowania Al uzupełnił te informacje. Nazwał go wichrzycielem.

- Dzień dobry, profesorze Feinberg. Tu Charles Haskell.

- Panie prezydencie - w głosie astronoma słychać było napięcie. - Od kilku godzin usiłuję się do pana prze drzeć. Czy wciąż palnuje pan uderzenie nuklearne na Oposa?

- Tak - odparł Charlie. - Oczywiście.

- Proszę tego nie robić.

Charlie poczuł przyływ rozpacz.

- Dlaczego?

- Nie wiemy, czy zdołamy zmienić jego trajektorię, a właśnie to musimy zrobić, tylko nie wiemy jak.

- No to spróbujemy. Co mamy do stracenia?

- Co mamy do stracenia? Panie prezydencie, rozwa li go pan na kawałki i stworzy wielką chmurę radioak tywnych szczątków, która z równym prawdopodobień stwem co Opos może wrócić do nas, by uderzyć troszkę później. Oprócz tego, jeśli tak się zdarzy, konsekwencje będą jeszcze gorsze.

- W jaki sposób gorsze? Według posiadanych przeze mnie informacji Opos zabije kilka dodatkowych milio nów ludzi. Może nawet zepchnie nas z powrotem w śre dniowiecze.

- Panie prezydencie, porządna radioaktywna chmu ra może zabić wszystkich na całej planecie. Mówię tu o całkowitej zagładzie gatunku.

Charlie wyobraził sobie deszcz promieniotwórczych odłamków spadających wszędzie dookoła, do oceanów, radioaktywny pył wznoszący się w atmosferę, świecący deszcz spadający ze skażonych chmur.

- Dlaczego nie powiedział pan tego Henry'emu?

- Powiedziałem. A raczej próbowałem. Właśnie z nim rozmawiałem, kiedy została zerwana łączność. Myślę, że właśnie wtedy jego helikopter spadł.

- Co powiedział?

- Nie zdążył nic powiedzieć.

Saber przyglądała się Charliemu.

- Musi pan powstrzymać atak - ciągnął Feinberg.

- Nic się nim nie osiągnie, a tylko dramatycznie pogorszy szansę jeśli ma on spaść nam na głowy.

- Ale może nie spaść? Tak?

- Nie można być pewnym.

- Na miłość Boską, Feinberg, czy jest jakiś sposób, żeby to sprawdzić?

- Po opuszczeniu przez niego atmosfery będziemy mieli kilka godzin.

Kilka godzin wyprowadzi go poza zasięg rakiet. Będą musieli poczekać i zaatakować w drodze powrotnej. Jego ludzie powiadomili go, że to o wiele bardziej ryzykowny wariant.

- Czy jest pan dobrej myśli? Czy istnieją szansę, że odleci?

- Proszę mi dać kilka godzin, panie prezydencie.

Po zakończeniu rozmowy Charlie siedział w milczeniu prawie dziesięć minut. Nie odbierał telefonów i rozważał możliwości oraz ich potencjalne konsekwencje. Myślał o reputacji Feinberga, a między wierszami wypowiedzi Kerra wyłapał dość, by wiedzieć, że astronom udzielił Henry'emu dobrych rad.

Lecz mnóstwo ludzi sądziło, że rakiety jądrowe to świetny sposób na pozbycie się tego paskudztwa. Jeśli Charlie nie pociągnie za spust, a meteor wróci i uderzy w nich, kto będzie obwiniany?

Z drugiej strony, czy wtedy w ogóle będzie miało jakiegokolwiek znaczenie kto jest winien?

||

Popatrzył na zegarek. Odpalenie miało nastąpić za niecałą godzinę. Obok niego siedziała Saber, w całkowitym milczeniu.

- Słyszała pani wszystko?

- Tylko pana odpowiedzi.

Wybrał numer Ala Kerra.

5.

Faks otrzymany i rozpowszechniony przez C-Span.

8:26.

Wszyscy jedziemy autobusem, cały gatunek ludzki. Pędzi on drogą, która zazwyczaj jest zupełnie pusta. Jednak od czasu do czasu trafiają się kamienie na jezdni, może nawet okazjonalnie inny pojazd, a my właśnie odkryliśmy, że nie ma kierowcy.

- Dan White, Oklahoma City

Laboratorium **Orbitalne na Skyport. 8:41.**

Wielkie obszary Internetu znikły. Całe grupy domen przestały odpowiadać; elektronicznie się wyłączały; rozpadały się systemy telefoniczne. Jednak nadal redundancja i drogi zastępcze, nagromadzone w ciągu lat, dobrze się sprawdzały i sieć wciąż działała. Jeśli ktoś miał telefon z kompanii, która wciąż pracowała, dysponował również dostępem do Internetu.

Orędownicy systemu Skybolt stali się szczególnie widoczni w sieci. Pojawił się zalew wypowiedzi typu „a *nie* mówiłem?”, a nazwiska kongresmanów, którzy szczególnie zaciekle atakowali projekt, zostały rzucone publiczności na pożarcie.

Opos wciąż się zbliżał, ale znalazł się *teraz* poza krzywizną planety więc nie było go widać z pokładowego obserwatorium Skyport. Najlepsze obrazy otrzymywano teraz z teleskopów naziemnych. Tory i Windy obserwowali wszystko na głównym ekranie.

Asymetryczna budowa OPoK-38, podobieństwo do spłaszczonej maczugi, czy raczej (jak ktoś zasugerował)

do przeciętej wzdłuż cukini, nadawało mu specyficzną tożsamość. Najczęstszym wyjaśnieniem tego kształtu była teoria mówiąca, że jedna jego strona była bardziej wystawiona na żar kolizji, więc wszystkie palne materiały odparowały, pozostawiając stosunkowo gładką, stygnącą powierzchnię. Bardzo szybko ochrzczono ją „Równiną”, w przeciwieństwie do strony zaokrąglonej, mocno nierównej, nazywanej przez astronomów „Prowincją”, przez którą biegła na całej długości potężna krawędź wyglądająca jak swego rodzaju kręgosłup, jedyny element, którego nie wygładziło topnienie skał. Ktoś nazwał ją „Samotnym Urwiskiem” i tak już zostało.

Meteor znajdował się w odległości sześciu minut od atmosfery, zbliżając się z prędkością 10,7 kilometra na sekundę. Tory wszystko co miała, przekazywała do innych odbiorców, z których jednym, jak ją poinformowano, był nowy prezydent Stanów Zjednoczonych.

- Jest osobiście zainteresowany - bardzo uroczyście powiedział jej jeden z wyższych oficjeli NASA.

A pewnie, powinien się interesować. Miała nadzieję, że jest dość bystry, żeby połapać się o co chodzi.

Gdzieś odezwał się klakson alarmowy, sygnalizujący kolejne przebiecie stacji. Popatrzyli z Windy na siebie. Myśl, że w każdej chwili grozi pojawienie się tuż obok w kadłubie przebiecia odłamkiem skalnym, mogła doprowadzić do szału. Usiłowała zepchnąć ją gdzieś w głąb umysłu i skupić się na Oposie. Wlatywał w atmosferę nad zachodnim Pacyfikiem, pod ostrym kątem. Latające Obserwatorium Goddarda, należące do NASA, wiszące nad Morzem Wschodniochińskim, przesyłało im próbne obrazy czystego, wypełnionego gwiazdami nieba.

Zazwyczaj sieci informacyjne bardzo szczegółowo zajęłyby się takim wydarzeniem, lecz ten niedzielny poranek zdominowany był całkowicie przez reportaże z katastrof na całej planecie. Obrót Ziemi przesunął obszar zniszczeń na Pacyfik. Meteoroidy spadały wzdłuż całego azjatyckiego wybrzeża, zmiatając kompletnie Tokio, niszcząc Szanghaj, Hong Kong i Singapur.

||

Tory miała otwarte łącze z prywatnym kanałem Feinberga w AstroLab. Lecz astrofizyka nie było na linii. Mniej więcej godzinę temu BBC przeprowadziło z nim wywiad. Opos przeleci bardzo blisko, powiedział, ale zapewnił widzów, że na pewno nie spadnie.

Inni byli mniej pewni. Chińczycy już ogłosili zamiar zgłoszenia oficjalnego protestu wobec faktu, że ich amerykańscy sprzymierzeńcy czekają z atakiem na meteor aż minie planetę. Sugerowali ponuro, że Amerykanie mają cichą nadzieję, iż spadnie on na Chiny. Sekretarz stanu, na konferencji prasowej, która odbyła się przed świtem, skomentował tę sprawę w następujący sposób: Jeżeli Opos wywoła tylko *pokaz* fajerwerków i polecą dalej, jak tego się po nim spodziewa, Chińczycy nie będą mieli powodu do narzekań. Natomiast jeśli spadnie na Chiny i sprawdzą się przepowiednie naukowców, że jego wielkość jest wystarczająca by doprowadzić do końca cywilizacji, nie będzie komu wysłuchać protestu. Uśmiechnął się przy tym.

Minutnik podawał czas: Dwie minuty do kontaktu z atmosferą. Trzy minuty do największego zbliżenia.

Sygnaly alarmowe na stacji ucichły. Głos z interkomu powiadomił Tory, że sektory pokładu D, w tym główna promenada, są rozhermetyzowane i chwilowo zamknięte.

Na ekranie pojawił się biuletyn z wiadomościami: Amerykanie odwołali uderzenie nuklearne. Żadnych wyjaśnień. Konferencja prasowa o dziesiątej.

Jedna minuta.

Opos oczywiście wcale nie był jedynym wielkim obiektem w okolicy. Według ostatnich zliczeń zarejestrowano sześćdziesiąt dwa inne. Największy, OPoK-55 był naprawdę asteroidą zagłady, cztery razy większy od Oposa. Wystarczyłby do likwidacji wszystkiego co żywe, no, może z wyjątkiem karaluchów. Na szczęście zmierzał na dość stabilną orbitę. Tak naprawdę, pomyślała, pomimo wszystkich strat mamy dzikie szczęście. Mogło być dużo gorzej. W ciągu ostatnich godzin deszcz szczątków wyraźnie się przerzedził.

- Wciąż tam lata mnóstwo odłamków - powiedział Windy. - Kiedy to się skończy powinniśmy doradzić li niom lotniczym pozostanie na ziemi przez kilka dni.

Dziesięć sekund.

Meteor poruszał się teraz szybko na tle planety, nad Pacyfikiem, błyskawicznie zbliżając się do wybrzeży Azji. Na animacji komputerowej właśnie wchodził w błękitną mgiełkę jonosfery. W oczach nabierał czerwonej barwy, spadały zeń kawałki, pojawiały się smugi dymu. Na ekranach przekazujących dane z Latającego Obserwatorium jeszcze nic się nie pojawiło. Na dwóch widniały wzmocnione obrazy teleskopowe, na trzecim widok jaki miałyby się patrzeć nieuzbrojonym okiem. Wpatrywała się weń uważnie, nagle zobaczyła, cienką, ostrą, białą linię przecinającą błękitną mgiełkę. W najniższym punkcie od powierzchni będzie dzieliło go dwieście kilometrów.

Teleskopy z *ziemi też* go śledziły. Reporter z CNN, stojący z kamerzystą na zboczu wzgórza pod Hainan, uchwycił moment zapłonu. Ludzie stojący obok niego wydawali okrzyki zaskoczenia. Długa struga ognia pędziła przez niebo. Potem dotarł do nich ryk przelotu, głęboki, gardłowy. Zaskoczeni ludzie osłaniali głowy. Kilka osób krzyknęło i rzuciło się na ziemię.

Z hukiem mijał konstelacje, niebiańska lokomotywa z szeroko otwartym paleniskiem, odsłoniętym płomienistym wnętrzem. A potem zniknął na zachodzie, w kierunku prowincji Wuhan.

- Jak na razie wygląda to dobrze - powiedział Windy, napiętym głosem.

Ruchome stacje uchwyciły go nad Chengtu i nad Himalajami, gdzie zaczął przygasać. Nad Lahore był już cichszy, mniej agresywny, wydawał się też mniejszy. Ryk ucichł. Afgańczycy zobaczyli tylko długą, różową krechę na niebie, a gdzieś nad krajami mułłów zgasł.

Tory miała połączenie z AstroLab i słyszała ich radosny aplauz.

- Pa, pa, dziecinko - rozległ się zachwycony, damski głos.

AstroLab 8:58.

Feinberg po prostu był niezdolny do świętowania. Z natury małomówny, powściągliwy, unikający ludzi. Dla niego lokalny Wal-Mart był bardziej egzotycznym miejscem niż Cygnus X-1. Lata temu Feinberg miał szczęście i *znalazł* się w Obserwatorium Mount Palomar akurat gdy wybuchła supernowa 2017A w Mgławicy Laguna, NGC6523, znajdującej się w Strzelcu, w odległości poniżej pięciu tysięcy lat świetlnych. Jak dotąd było to astrofizyczne wydarzenie stulecia. Lecz kiedy jego koledzy świętowali, Feinberg musiał udawać, że on też. Znał swoją osobowość wystarczająco dobrze; wiedział, że nigdy nie nauczył się lubić siebie. Nawet tego ranka kiedy (przynajmniej we własnych myślach) zainterweniował, ratując prezydenta przed podjęciem potencjalnie zgubnej decyzji, nawet nie przyszło mu do głowy by zabrać kilku kolegów na małą przekąskę w celu uczczenia osiągnięcia.

Za to, kiedy opadł kurz, po prostu poszedł do domu.

Był na nogach bez przerwy od pięciu dni i czuł się wyczerpany. Niebo w końcu przeczyszczało się i nie wiedział, co jeszcze mógłby zdziałać. Cynthia Murray, jego prawa ręka, będzie śledzić Oposa i kiedy już dowie się, co się z nim stanie, zadzwoni.

Na zewnątrz, na drzewach śpiewało mnóstwo ptaków, zupełnie jakby nic się nie stało.

KONFERENCJA PRASOWA, WYDANIE SPECJALNE.

9:00.

Atlanta. Obecni: Judy Alamayer, New York Times; Fred Chiles, Boston Globe; Karl Nishamura, Los Angeles Online; oraz prowadzący Pierce Benjamin, NBC News. Gość specjalny Julian Moore, przewodniczący Minority Alliance.

NBC: Doktorze Moore, pańska organizacja godzinę temu ogłosiła żądanie rozwiązania systemu prezydenckiego i zastąpienia go krótkokadencyjną radą, co pozwalałoby na szybkie jej odwołanie przez parlament.

Moore: Zgadza się. Podjęliśmy tę decyzję po dogłębnym namyśle.

NBC: Co konkretnie proponujecie? Wyrzucenie Konstytucji do kosza?

Moore: To jest konstytucja stworzona przez i dla bogatych, panie Benjamin.

NY Times: Czy jednak nie jest to podcinanie gałęzi, na której samemu się siedzi? W końcu, jeżeli zlikwidujecie Konstytucję, co pozostanie do obrony zwykłym ludziom? Ludziom, których, jak twierdzicie, reprezentujecie?

Moore: Konstytucja, przykro mi to mówić, zawsze służyła jako narzędzie uników. Uciskani ludzie muszą powstać i zacząć domagać się swoich praw.

Boston Globe: Lecz czy Konstytucja nie zapewnia jedyne-go realnego sposobu ochrony tych praw? Do jakiego innego dokumentu stworzonego przez człowieka by się pan odwołał?

Moore: Może trzeba napisać taki. Przypomnę panu, panie Chiles, że Konstytucja bardzo dobrze koegzystowała z niewolnictwem. Dopóki niewolnicy nie uznali, że już dłużej tego nie zniosą.

L.A.Online: Lecz to Konstytucja była dźwignią, której użył Lincoln.

Moore: To tylko standardowa opowiadka dla szkolnych dzieci. Dźwignią była Armia Unii, a po 1863 roku jej trzonem były oddziały złożone z Murzynów.

NBC: Chwileczkę, nie *zbaczajmy* z tematu. Doktorze Moore, jeśli obali pan obecny rząd, czym go pan zastąpi?

Moore: Na początek potrzebujemy rady, która byłaby przedstawicielką wszystkich ludzi, a nie tylko białej większości.

L.A.Online: Lecz prezydent Kollander był Afroamerykaninem. Na pewno...

Moore: Który nie akceptował tego określenia. Nie uznawał żadnych przedrostków, proszę pamiętać. Twierdził, że jest wyłącznie Amerykaninem. Tak naprawdę był lokajczykiem. Nie lubię źle mówić o zmarłych, ale on wstydził się swojego pochodzenia. Był klasycznym Wujem Tomem.

N.Y.Times: Doktorze Moore, Minority Alliance zawsze w przeszłości zajmowała umiarkowane konserwatywne stanowisko. Pan również był umiarkowanie konserwatywny. Co spowodowało zmianę kursu?

Moore: Biedni ludzie w tym kraju zostali porzuceni, skazani na śmierć. Kiedy to się zdarzyło, rewolucja stała się nieuchronna, tak jak wschód słońca.

N.Y. Times: Lecz nie ma dowodów, że to posunięcie było zamierzone. Wielka liczba ludzi ze wszystkich grup społeczno-ekonomicznych straciła dziś życie.

LA. Online: Pan najwyraźniej jest niezadowolony z Kollandera. Kto, według pana, poradziłby sobie lepiej?

Moore: Nie potrafię sobie wyobrazić nikogo, kto mógłby postąpić gorzej. Co więcej, kiedy biała Ameryka rozpocznie polowanie na kozła ofiarnego, nie zapomni, że Henry Kollander był Murzynem. Słuchajcie, jeden Bóg wie ilu ludzi zginęło w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Nadal giną. Miliony. Panie Nishamura, pan nawet nie ma miasta, do którego mógłby wrócić.

L.A. Online: Nikt nie mógł nic zrobić by uratować miasto. Fale zmiotły L.A. z powierzchni ziemi. Kropka. Dokąd przeniósłby pan ludność tego miasta mając do dyspozycji kilka dni?

Moore: Na pewno nie zostawiłbym ich na Gage Avenue i Avalon żeby utonęli. Słuchajcie, kiedy skończymy liczyć ofiary, odkryjemy, że jest ich ponad dwadzieścia milionów. Większość będą to ludzie z centrów miast. Po raz kolejny czarni obywatele pfcą w tym kraju najwyższą cenę. To tyle. Nigdy więcej.

NBC: Czy naprawdę spodziewa się pan, że Kongres ustąpi przed pańskim żądaniem?

Moore: Jeśli chcą uratować naród, ustąpią.

NBC: To brzmi jak ultimatum.

Moore: To nie jest ultimatum. To tylko poważna sugestia. Alliance nie chce upadku kraju. Naprawdę. Lecz przetrwanie tego narodu bezwzględnie zależy od umiejętności znalezienia sposobu wyprowadzenia ludzi, a zwłaszcza czarnych, z nędzy. My mówimy Kongresowi i nowemu prezydentowi: Stary system nie sprawdził się w stosunku do nas. Czas na radykalne posunięcia. Mam nadzieję, że spostrzegą mądrość zawartą w naszej sugestii. Jeśli nie, nie wątpię, że ulice spłyną krwią.

Boston Globe: Doktorze Moore, musi pan zdawać sobie sprawę, że podburza pan do wojny domowej.

Moore: Nic podobnego. Mam nadzieję jej zapobiec.

Sterownia „Percivalla Lowella”. 9:11.

Rachel skończyła ostatnie testy i przełączyła statek na zasilanie wewnętrzne. Cochran, siedzący przy pulpicie nawigacyjnym uniósł kciuki. Programy startowe zostały uruchomione.

- „*Lowella*”- odezwał się głos w słuchawkach. - Macie zezwolenie na start.

„Start” ze Skyport oznaczał wypuszczenie statku z uchwytu magnetycznych cum i delikatne odepchnięcie od doku przez cztery zespoły tłoków. Mniej więcej w tym samym czasie Rachel odpalił silnik i skoryguje odległość. Odsunie się na sześć kilometrów, odwróci statek we właściwą stronę i zacznie przyspieszać.

Był to niełatwy poranek. Wydawało się, że wszyscy obecni na Skyport chcą się znaleźć na pokładzie „*Lowella*”, kiedy ten spotka się z *Mikro*. Telefony się urywały. Ludzie przedstawiający się jako inżynierowie, specjaliści od łączności i przedstawiciele wszelkich możliwych zawodów sądzili, że ich obecność w razie jakichś kłopotów byłaby bardzo cenna. Tak naprawdę, oczywiście, chodziło im tylko o spotkanie nowego prezydenta. Nawet kilku biurokratów ze stacji usiłowało sugerować, że powinien się tam znaleźć wysokiej rangi przedstawiciel Skyport.

Tak naprawdę, jedynym potrzebnym jej członkiem załogi był Cochran. Powtarzała cierpliwie, raz po raz, do znudzenia, że przykro jej niewymownie, ale każdy dodatkowy człowiek tylko zajmowałby miejsce. A co ważniejsze, zmniejszałby zapasy tlenu. W drodze powrotnej będą mieli ośmiu ludzi na pokładzie, co już o trzydzieści trzy procent przekraczało zaplanowaną wydajność systemów podtrzymania życia. Kiedy ktoś nalegał, po prostu ucinała rozmowę stwierdzeniem, że to wbrew prze-

pisom. Nawet najbardziej zawzięci ustępowali przed tym argumentem.

Belle przysłała lekarza. Tak na wszelki wypadek. Główny medyk był na urlopie kiedy wszystko się zaczęło, przydział trafił się więc stacyjnemu zastępcy głównego lekarza, doktorowi Arthurowi Elkhartowi. Był to człowiek z szarego, smutnego końca biurokratycznej maszyny. Wyraźnie bał się konieczności udzielania medycznych porad prezydentowi i wolałby siedzieć w domu, jednak jego stanowisko na to nie pozwalało. Lecz kiedy Belle sobie poszła, otwarcie przyznał się do swojego strachu, czym zyskał sobie szacunek Rachel. Był człowiekiem w średnim wieku, przedwcześnie posiwiiałym, drobnej budowy.

- Mam nadzieję, że u nich wszystko w porządku - powiedział.

- Tu „Lowella” - zgłosiła Kontroli. - Gotowi do startu.

Tłoki delikatnie zaczęły wypychać statek z doku. Po jej lewej stronie przesunęło się długie okno Kontroli. Uruchomiła interkom.

- Lecimy, doktorku. Niech pan zapnie pasy.

Nie otrzymała odpowiedzi, spróbowała jeszcze raz.

- Proszę wcisnąć żółty guzik i dopiero wtedy mówić.

Minęła chwila, potem trzask.

- Dzięki - powiedział. - Jestem gotów.

Trzydzieści dwa tysiące kilometrów pod nimi pomiędzy chmifr wyrzało wybrzeże Ekwadoru i Peru. Pacyfik rozciągał się na zachodzie, jasny i spokojny, rozświetlony południowym słońcem. Podobnie jak wszyscy inni była poważnie zaniepokojona hurtowymi zgonami i destrukcją wędrującymi wokół planety. Nie mogła skontaktować się ze swoją rodziną, która mieszkała w Charleston. Patrząc w dół, na nieskończenie spokojny widok, rozmyślała o tendencji ludzi do przenoszenia własnych kłopotów na całe ich otoczenie. Jakikolwiek Tomiko poczyni zniszczenia w domach, świątyniach i ratuszach na całej Ziemi, sama planeta będzie wędrować przez Wszechświat jakby nic się nie wydarzyło.

Włączyła silnik.

Zaskoczył spokojnie, dalekim pomrukiem, zupełnie innym niż chemiczne silniki lunobusów i samolotów orbitalnych, które ryczały wściekle, wzbudzając drgania w całych kadłubach.

- Wszystko sprawne - powiedział Cochran.

Potwierdziła i oddała sterowanie autopilotowi, który zmienił nieco położenie statku i zwiększył ciąg.

„*Lowella*” przeleci trzy czwarte orbity okołoziemskiej i wejdzie na kurs równoległy do *Mikro*, tylko daleko przed nim. Z tej pozycji zacznie powoli wytracać prędkość i pozwoli busowi się dogonić.

Rachel nie podobał się lot w to niebo. Z początku sądziła, że to z powodu zbyt wielkiej liczby fruujących wszędzie kamieni. Powoli jednak zdała sobie sprawę, że właściwie podziela obawy doktora Elkharta dotyczące przyjęcia prezydenta Stanów Zjednoczonych na pokład. Obejrzała się na Cochrana, którego głównym obowiązkiem w trakcie lotu było kontrolowanie zasilania i układu podtrzymywania życia. Innymi słowy, nie zasypianie na wypadek gdyby coś się wydarzyło.

-Lee?

-Yo?

- Jak się czujesz?

- Dobrze. Dlaczego pytasz?

Dała sobie spokój. Astronauci byli, z jednym, czy dwoma wyjątkami, byłymi pilotami wojskowymi. A wśród pilotów bojowych zwyczajnie nie okazuj strachu był żywy i silny.

Rachel przezwyciężyła wszystkie niepewności, jakie mogła mieć od chwili gdy po raz pierwszy usiadła na szczycie rakiety i podłożyła zapalnik. Radziła sobie znakomicie i w końcu okazała się lepsza od większości swoich męskich konkurentów. Nigdy w życiu nie cofnęła się przed nikim ani niczym. Dziś jednak trzęsły jej się ręce.

Poniżej planeta pozieleniała. Lecieli na wschód, nad Brazylią. W przodzie gwiazdy zaczęły blade prześwity-

wać przez chmurę znajdującą się w miejscu Księżyca.

Już rzedła, rozplywając się w przestrzeni. Dawna kula, matematycznie doskonała, napawająca otuchą, obiecująca powszechną harmonię, znikła.

Kabina pasażerska *Mikro*. 10:15.

- Al, znacjonalizujemy wszystko. Linie lotnicze, tiry, elektrownie, wszystko. Weź Tierneya na szefa.

Tierneya poważali prawie wszyscy w rządzie. Posiadanie go po swojej stronie powinno poważnie zmniejszyć opór.

- Okay, Charlie - powrócili już do normalnego mówienia sobie po imieniu. - Poruszę to na zebraniu do radców...

- Zapomnij o doradcach. Zrób to.

- Nie jestem pewien co Konstytucja...

- Al, ogłosiliśmy stan zagrożenia państwa. Z definicji teraz wszystko co robię jest zgodne z Konstytucją. Ludzie umierają tam tysiącami. Zrobimy co musimy.

Odczytał długą, precyzyjną listę swoich poleceń, pozostawiając szczegóły Kerrowi.

- Coś jeszcze, Charlie - powiedział Kerr, kiedy skończył czytanie. - Krajom Ameryki Łacińskiej porządnie się dostało. Proszą o pomoc.

- Nie mamy nic. Powiedz im, że muszą sobie same radzić. Wyraź żal, ale podkreśl, że ponieśliśmy gigantyczne straty. Zapytaj, czy to oni nie mogliby pomóc nam. Powiedz, że przyjmujemy cokolwiek, czym zdołają się podzielić. Zorganizuj to. Przyjmujemy pomoc od każdego, kto nam ją zaproponuje. Aha, Harmon wczoraj wieczorem stroił sobie żarty z chińskiego protestu - Harmon był sekretarzem stanu. - Jakoś wątpię w dyplomatyczne umiejętności człowieka, który potrafi *znaleźć* cokolwiek śmiesznego w tego rodzaju katastrofie. Jest zwolniony. Powiadom go.

-Ale Charlie...

- Powiedziałbym mu to sam, ale jestem zbyt zajęty. Jeśli będzie się upierał, że musi to usłyszeć wprost ode mnie, zrobię to, ale uprzedź, że nie będę się z nim cac-

kał.

Charlie przez cały rano rozmawiał przez telefon z Kerrem, członkami gabinetu, głowami państwa na całym świecie, próbując jakoś zorganizować ogólnoplanetarną akcję. Było to za mało. Gadanie z ludźmi to tu, to tam, niczego nie załatwiało. Potrzebowali globalnego zarządu na czas katastrofy. Zazwyczaj logiczną osobą byłby prezydent Stanów Zjednoczonych, ale tym razem ten kraj znalazł się wśród najciężej doświadczonych. Zmieniło to układ sił. Zaproponowano kilku kandydatów. Jednym z nich był belgijski premier, którego Charlie znał jako człowieka zdolnego i uczciwego.

- Poprzemy go - polecił.

Dobre wiadomości wciąż nadchodziły. Inne Oposy były w drodze, ale żaden nie stanowił bezpośredniego zagrożenia. Częstość i gęstość deszczy meteorytowych wyraźnie *zmalowały*. Burza przechodziła i za kilka godzin być może da się obniżyć stan gotowości.

Wszyscy ucierpieli. Lecz kontynenty amerykańskie były najbardziej zniszczone. Oferty pomocy nadeszły ze wszystkich dużych i wielu małych krajów.

- Tak - powiedział im Charlie. - Potrzebujemy żywności, ubrań, leków, środków transportu i łączności. Cokolwiek i kogokolwiek możecie przysłać.

Międzynarodowe korporacje również organizowały pomoc.

- Cholerni, samolubni dranie - skomentował Kerr.

- Wchodzą w to tylko dlatego, że muszą utrzymać swoich klientów przy życiu.

Motywy Charlie miał gdzieś.

Późnym rankiem był emocjonalnie wyczerpany. Nastąpiły gigantyczne zmiany w ludzkim sposobie postrzegania własnego *żyda* i świata. Jak sądził, zbliżyli się bardziej do siebie niż kiedykolwiek za jego życia. Może nawet w całej pisanej historii.

Niemniej pozycja Charliego była nie do pozazdroszczenia. Niemal wszyscy przywódcy na świecie mieli kłopoty, oczekiwano od nich zapobieżenia dalszym kata-

strofom.

A najbardziej od niego, przedstawiciela administracji, która nie zdołała nawet ostrzec własnych obywateli. Zaświergotał telefon komórkowy.

- Pilot, panie prezydencie.

- Tak, Saber?

- Chciałam tylko, żeby pan wiedział. „Lowella” wystartował zgodnie z planem. Spotka się z nami za pięć i pół godziny.

- Dzięki.

Spojrzał w bok na Evelyn, która siedziała z nosem w książce. Kapelan spał, a Morley pisał, apatycznie pukając w klawisze notatnika. Prawdopodobnie notując wszystko na potrzeby przyszłej książki. Ta kabina była na pewno najbardziej publicznym miejscem w jakim kiedykolwiek prezydent wykonywał swoją pracę. Przydrożny Biały Dom.

No cóż, jeśli nie osiągnie już niczego więcej, przynajmniej zostanie standardowym pytaniem teleturniejowym.

Wzgórza koło Staunton, Wirginia. 11:47.

Podpułkownik Steven L. Gallagher opuścił lornetkę polową. Nie lubił ćwiczyć swoich oddziałów w niedzielny poranek, kiedy powinni znajdować się w kościele, lecz wiedział, że krytyczna chwila nadchodziła i chciał mieć pewność, że Legion jest gotów.

Ćwiczyła Kompania Błękitnej Gwiazdy, Trzeciego Batalionu Wolności, Legionu Thomasa Jeffersona. Trwało to już czwartą godzinę. Oparł swe zwaliste ciało o forda służącego mu za pojazd dowodzenia i popatrzył na zegarek.

- Kończy im się czas, Jack - powiedział do brata, noszącego dębowe liście majora.

- Tad zgłosił, że może zdjąć jeszcze kilku.

Prowadzili ćwiczenia służb ochrony. Tad Wickett z sześcioma ludźmi wysadził symulowany arsenał. Ochrona, która miała bronić obiektu nie mogła teraz liczyć na nic więcej oprócz zlikwidowania napastników.

Lecz najwyraźniej to też nie miało się udać.

- To nie do końca ich wina, pułkowniku - powie dział Jack ostrożnie. - Tad jest naprawdę dobry.

Steve wiedział, że służba w ochronie nudziła ludzi. Chcieli wysadzać różne rzeczy w powietrze, a nie bronić ich. Lecz miał nadejść dzień, w którym trzeba będzie bronić różnych miejsc przed partyzantami. Przejęcie przez niego władzy w Wirginii spotka się z oporem. Nie tylko ze strony lojalistów rządowych, którym uda się przeżyć. Wiedział, że przyjdzie mu się też zmierzyć z nie uznającym prawa elementem, który tylko czeka na katastrofę taką jak Tomiko, żeby zagarnąć władzę dla siebie. A w nadchodzących dniach jedyną obroną cywilizowanego życia przed nieuniknioną przemianą w zdziczałą tłuszczę będzie Legion Jeffersona.

Tad wciąż siedział na liczącym szesnaście kilometrów kwadratowych terenie ćwiczeń. Mógł go opuścić dwiema drogami i przez dwa mosty, wszystkie zostały odcięte. Lecz obrońcy nie zdołali przygwoździć go do ziemi, stracili przy tym tylko kilku kolejnych ludzi. Niezbyt dobry przykład.

- Czy nie tłumaczyłem, że trzeba metodycznie? - zapytał Jacka. - Czy nie rozmawialiśmy o tym, jak istotne jest, by tego typu operacje były prowadzone systematycznie?

Jego brat skinął głową.

- Chyba nie dotarło, Steve.

- Najwyraźniej nie - pułkownik spojrzał na zegarek. Była dwunasta. - Okay. Kończymy na dzisiaj. Roześlij oddziały do domów, a my zbierzemy oficerów. Trzeba pogadać.

Kwatera główna Legionu mieściła się we wschodnim skrzydle chaotycznie rozbudowanego domu pułkownika. Wszystkich oficerów, oprócz niego samego, było siedmiu. Byli sprawni, dobrze wyszkoleni, inteligentni, lojalni. O wiele lepsi, niż się wydawało jego krytykom.

Duży salon w głębi służył za pokój konferencyjny. Kiedy Jack dał znać, że wszyscy już są, pułkownik Gal-



lagher wszedł bocznymi drzwiami. Stanęli na baczność.

- Spocznij, panowie - powiedział i zajął miejsce na mównicy.

(Wprawdzie jednym z kapitanów była kobieta, ale nigdy nikt nie zwracał uwagi na jej płeć, a jej najwyraźniej to nie przeszkadzało.)

Pomieszczenie wypełnił zapach kawy. Ktoś podał pułkownikowi filiżankę. *Zaczai* odprawę od prośbienia Tada o wyjaśnienie w jaki sposób przez cały ranek wymykał się obrońcom. Wickett, który był tylko kapitanem, zirytował kolegów twierdząc, że było to bardzo proste, bo jednostki obrońców działały chaotycznie. Pokazał dlaczego, wyrysował strzałki na mapach i zasugerował inną taktykę. Wickett był jedną z dwóch osób w pokoju mających doświadczenie wojskowe. Sam pułkownik nigdy nie nosił państwowego munduru, lecz oprócz jego brata, Jacka, nie wiedział o tym nikt. Pozostali uważali, że Gallagher służył kilka lat w piechocie i Rangersach. To oszustwo było możliwe tylko dzięki jego ogromnym zainteresowaniom i zdolnościom w dziedzinie militarnej technologii i taktyki.

Tad Wickett sprawiał jakieś takie zimne wrażenie i trochę gadzie. Jack słuchał jego przemowy, obserwował, jak jego oczy błędzą cały czas po pokoju, jak od czasu do czasu oblizuje górną wargę, wyczuwał, że ten człowiek wciąż coś knuje. Nigdy nie przegapił szansy wykazania swoim kolegom niekompetencji.

Kiedy Wickett skończył, Steve zaprosił wszystkich do dyskusji, słuchając uważnie, potem dodał swoje własne obserwacje. Jednostka Petersona zareagowała zbyt wolno, kiedy ich plan nie wypalił; Barber nie przewidział kilku możliwości; w rezultacie siły terrorystyczne odniosły pełny sukces i uciekły pozostawiając tylko jednego zabitego. Według niego, obrońcy wypadli żałośnie.

Nawet jeśli Gallagher nigdy nie służył w armii, to wcale nie z powodu braku chęci. Walczył z astmą i mnóstwem uczuleń, co eliminowało go z szeregów. Teraz astmy nie miał już od lat, wyrósł z niej. W czasach, kie-

dy marzył tylko o dostaniu się do Rangersów nauczył się bardzo dużo. Przede wszystkim, że Stany Zjednoczone rządzone są przez małą klikę rodzin, które udają, że są między sobą skłócone, ale trzymają władzę w rękach i doją pracujący lud do sucha. Dziś na pewno, ani by myślał bronić dyktatorów.

Znalazł lepszy sposób by służyć Amerykańskiemu Ideałowi. Założył Legion Thomasa Jeffersona, grupę bogobojnych, kochających kraj mężczyzn i kobiet, którzy poświęcili się obronie wolności we własnym domu, przed różnymi zawołowanymi przejawami ucisku ze strony rządu, który sam był tylko narzędziem w rękach ogólnoswiatowego spisku, którego jedynym celem było utrzymanie całkowitej władzy.

Pułkownik był właścicielem restauracji Potluck w centrum Staunton. Potluck, założona przez jego dziadka była w rodzinie od trzydziestu ośmiu lat i doprowadziła do plajty podobny zakład w pobliskim Harrisonburgu.

Jednak nie przynosiła takich dochodów, jakie powinna. Odmienne niż większość Amerykanów, którzy nawet nigdy nie oglądają pieniędzy odbieranych im w formie podatków, on musiał własnoręcznie co miesiąc płacić poważne sumy coraz bardziej uciążliwemu i skorumpowanemu rządowi. To jednak nie było jeszcze najgorsze. Wszędzie było pełno kontrolerów. Inspektorzy ze wszystkich szczebli rządowych, idąc za przykładem federalnych, bez przerwy nękali go kontrolami sanitarnymi i bezpieczeństwa, domagali się licencji, sprawdzali ile płaci pracownikom, dyktowali kogo powinien zatrudnić i które ubezpieczenie medyczne ma zapewnić. Całe te pieniądze szły na utrzymanie nienawistnych praktyk dekadentckiego narodu, który nie wpuścił Boga do szkół, pozwolił kobietom mordować swoje dzieci i tak wypaczył proces reprodukcji, że mężczyzna stał się zbędny.

W ciągu lat stał się zaciekle wrogiem niewi-

działnej ręki, która tak ciążyła na losie jego i współobywateli. Prawidłowo myślący mężczyźni i kobiety z całej Wirginii zbiegli się pod jego skrzydła i teraz Legion Jeffersona miał swoje oddziały w kilkunastu gminach.

Nie tylko bezbożność i korupcja rozwścieczyły Gallaghera, jeszcze mniej strata pieniędzy czy ciągłe inspekcje. Najbardziej chyba demonstrowana wyższość agentów rządowych, ich wyraźne przekonanie, że nie jest człowiekiem honoru, że nie można mu ufać, że trzeba trzymać go na smyczy.

...By... zachować Błogosławieństwo Wolności dla nas i Potomności....

To się nie wydarzyło.

Tom Jefferson przegrał z federalistami, a jego ideały poświęcono na rzecz Hamiltonowskiego centralnego rządu ucisku. Mieszkańcy kolonii zamienili jeden komplet łańcuchów na drugi. Lecz ponieważ te drugie były opatrzone godłem orła, niczego nie zauważyli.

- Panowie - powiedział pułkownik, podsumowując swoje uwagi i chcąc by mieli o czym pomyśleć w domu.
- Chciałbym powiedzieć jeszcze kilka słów o czymś innym niż ćwiczenia.

Wyprostował się na całą wysokość.

- Jak sobie zdajecie sprawę, ostatnia noc była katastrofą dla dyktatorów. Naród zobaczył w końcu czym jest ten rząd, wszędzie panuje gotowość do rewolucji. Potrzeba tylko iskry. Dowiedźcie się, że kontaktowałem się z towarzyszami broni w całym stanie i innych częściach kraju. Już prawie czas działać. Kiedy nadejdzie chwila, a mogę wam powiedzieć, że jest bardzo bliska, będziemy gotowi zrzucić handlarzy władzą i oddać kraj prawdziwym Amerykanom.

Przyklasnęli mu, zapewnili, że są z nim, i poszli do domów. Siedział potem sam w kuchni i nasłuchiwał leniwego brzęczenia owadów.

Koń jest gotów do bitwy. Ale kiedy, o Panie? Kiedy?

7.

NEWSNET AKTUALNOŚCI Z 12:30.

(Kliknij po szczegóły)

NA CAŁYM ŚWIECIE LUDZIE OPUSZCZAJĄ DOMY

Czy eksperci nie docenili ilości odłamków spowodowanych kolizją z kometą?

Na całej planecie posiadane środki są mniejsze niż potrzeby uchodźców

KONTYNENTY AMERYKAŃSKIE SĄ NAJBARDZIEJ ZNISZCZONE

Półkula zachodnia znalazła się bezpośrednio na linii eksplozji

Liczbę ofiar ocenia się na trzy miliony

Naukowcy twierdzą, że najgorsze może już być za nami, lecz niektórzy wciąż trapią się Oposem

BADANIA RENTGENOWSKIE: KSIĘŻYC ZOSTAŁ ROZBITY

Astronomowie: większość odłamków jest niegroźna Czy Ziemia będzie miała kiedyś pierścienie?

TOMIKO HARRINGTON UKRYWA SIĘ

Ostrzelana z przejeżdżających samochodów, liczne groźby śmierci pod adresem odkrywczyni komety.

HASKELL ZAPRZYSIĘŻONY JAKO 47 PREZYDENT

Nowa głowa państwa dryfuje w przestrzeni Lecz nic mu nie grozi, twierdzi administracja

CHILE RATUJE WIELU LUDZI PRZENOSZĄC ICH W GÓRY

Anderos: „Nigdy nie uwierzyłem w uspokajające zapewnienia z USA”

**PAPIEŻ PRZEWODZI MODLITWIE TYSIĘCY LUDZI W
BAZYLICE ŚWIĘTEGO PIOTRA**

Prosi o ogólnościatową akcję ratowniczą

**UZBROJONY CZŁOWIEK ZABIJA JEDENAŚCIORO
DZIECI NA BOISKU SZKOLNYM
I POPEŁNIA SAMOBÓJSTWO.**

Pozostawił list: „Chciałem uratować dzieci
przed końcem świata”
„Wszyscy go lubili” mówią sąsiedzi

**DONIESIENIA O ZNISZCZENIACH WYWOŁANYCH
PRZEZ KSIĘŻYCOWY „ŻWIR”**

Obiekty wielkości piłki golfowej wciąż spadają Wielu
zabitych, zniszczone samochody i domy

GIGANTYCZNE FALE DZIESIĄTKUJĄ KARAIBY

W Nassau i St. Lucia niewiele osób ocalało

**PREZYDENT WYSZEDŁ W PRÓŻNIĘ
BY RATOWAĆ LUNOBUS**

Haskell miał na sobie prowizoryczny skafander

**URZĄD SKARBOWY PRZESUWA TERMIN SKŁADANIA
ROCZNYCH ZEZNAŃ O TYDZIEŃ**

Powołuje się na trudności transportowe i komunikacyjne

Kabina pasażerska *Mikro*. 12:38.

Głos Saber dochodzący z interkomu był chłodny
i opanowany:

- Zużyliśmy właśnie całe paliwo - oznajmiła. - Zbior
niki są puste.

Morley popatrzył na kapelana.

- Co się stanie, jeśli będziemy musieli zejść z drogi
któremuś z tych gładów?

- Jak sądzę będzie spory rozbryzg.

Morley wstał i popatrzył na Charliego.

- Zamierzam wysłać sprawozdanie - powiedział.

Dogadali się co może rozpowszechnić, a co powinien zatrzymać dla siebie. Na przykład wszystkie rozmowy prezydenta były poza wszelką dyskusją.

- Okay - zgodził się Charlie. - Nie ma sprawy, ale proszę dodać, że nie ma bezpośredniego zagrożenia.

- Panie prezydencie, to pozbawia wiadomość uroku.

- Ani trochę, Keith. Nie chciałbym mówić ci, jak masz wykonywać swoją robotę, ale takie oświadczenie powinno podnieść dramatyzm sytuacji.

Keith uśmiechnął się szeroko.

- Jest pan dobrym politykiem, sir. Ale w moim za wodzie chyba by pan przepadł.

C-SPAN SUNDAY JOURNAL. 13:07.

Gospodarz: Cleveland Somers; Gość:
senator Audrey Belmont (R-NJ)

Somers: Mamy telefon. Słuchamy.

Pierwszy rozmówca: Mieszkam w Kokomo. Na północ od Indianapolis. Mam pytanie do senatora Belmonta.

Somers: Okay.

Pierwszy rozmówca: Dziś w telewizji powiedziano, że zniszczenia w pana stanie, senatorze, będą rzędu miliardów.

Belmont: Najprawdopodobniej, proszę pana.

Pierwszy rozmówca: A to tylko New Jersey. Całe wschodnie wybrzeże leży w gruzach. W gruncie rzeczy obydwie wybrzeża wyglądają tak samo. Widział pan Kalifornię? To tylko grupa wysp.

Somers: Widziałem Kalifornię. O ile wiem, woda stamtąd spłynie sama.

Pierwszy rozmówca: No cóż, zniszczenia na pewno nie usuną się same. Mówimy tu o odbudowie. Chcę spytać, skąd weźmiemy na to pieniądze? Bo ja już widzę co będzie: prezydent ogłosi obydwie wybrzeża obszarem klęski żywiołowej i rząd tam za wszystko zapłaci. Co oznacza, że zapłacą podatnicy. Jak zawsze, zresztą.

Somers: Okay, mamy pytanie. Dziękujemy. Panie senatorze?

Belmont: Myślę, że nasz rozmówca miał na myśli, że znisz-



czony obszary zostaną ogłoszone miejscami klęski żywiołowej. Ale tak, oczywiście, pieniądze z budżetu zostaną przeznaczone na likwidację najgorszych skutków wydarzeń z ostatniej nocy. Jestem pewien, że nasz rozmówca nie sugerował by pozostawić kilka milionów ludzi na środku drogi bez możliwości zwrócenia się gdziekolwiek o pomoc.

Somers: Mamy następnego rozmówcę. Proszę mówić.

Drugi rozmówca: Halo?

Somers: Tak? Jest pan na antenie

Drugi rozmówca: Jestem na antenie?

Somers: Tak, to pan.

Drugi rozmówca: Słuchałem poprzedniego rozmówcy i zgadzam się z nim całkowicie. Mieszkam w Grand Island, w Nebrascie. Dlaczego moje podatki mają pomagać w odbudowie Nowego Jorku i Miami? Powinniśmy się oderwać. To jedyny sposób na uratowanie kraju.

Somers: Panie senatorze?

Belmont: Nie chciałbym nikogo obrażać, Clevelandzie, ale jeśli istnieje jakieś stanowisko gwarantujące wpadnięcie tego kraju w kompletne szambo, to sądzę, że właśnie je usłyszeliśmy.

Kabina pasażerska *Mikro*. 13:32.

Pasażerowie usłyszeli kliknięcie interkomu i głos pilota.

- Tu Saber. Jesteśmy w tej chwili najbliżej Ziemi, poruszamy się z prędkością 11,7 kilometra na sekundę. „*Lawella*” jest przed nami, powoli przyspieszając do naszej szybkości. Spotkamy się z nim około szesnastej.

109 Grupa Transportu Powietrznego, Scotia, Nowy Jork. 13:31.

Wielki helikopter transportowy, który przywiózł ich z Manhattanu, ominął płytę lądowiska i usiadł na pustym polu za hangarem. Podniosła się chmura kurzu, pilot wyłączył silnik. Wirnik stanął, łopaty opadły. Marilyn, która nigdy wcześniej nie leciała helikopterem i nie za bardzo lubiła podróżowanie samolotem, była uszczęśliwiona, że znaleźli się już na ziemi.

Niemal wszyscy w maszynie byli gośćmi z przyjęcia



u Louise. Przemoczeni, zmęczeni i zagubieni czekali na otwarcie drzwi. Larry siedział obok żony i trzymał ją za rękę.

- Jak myślisz, kiedy wrócimy do domu? - spytała. Wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie za kilka dni. Woda powinna dość szybko opaść. Nasze rzeczy raczej przetrwają, o ile da się utrzymać rabusiów w ryzach. To mnie martwi.

Louise siedziała naprzeciwko nich. Przebrała się w wełnianą koszulę i dżinsy, podzieliła się też swoimi ubraniami z kilkoma kobietami.

- Wątpię, czy wielu rabusiów pozostało przy życiu - powiedziała. - Ale nie sądzę, żebyśmy prędko wrócili. Miejsce takie jak Manhattan... - potrząsnęła głową. - Nie chciałabym, żeby zabrzmiało to pesymistycznie, ale tam pojawiają się bardzo poważne problemy zdrowotne. Będzie my mieli szczęście, jeśli wrócimy na czwartego lipca.

- Niech cię szlag, Louise - mruknął łysiejący, nie wysoki ekonomista siedzący przy drzwiach. - Ty to po trafisz urządzić przyjęcia.

Kilka osób roześmiało się blado. Marilyn nie czuła się rozbawiona.

Zmieniła się. Zastanawiała się, jak ten chłopiec miał na imię. Co myślała jego matka, kiedy Marilyn zamknęła drzwi.

Wydarzyło się coś jeszcze: czuła się bliższa Larry'emu niż kiedykolwiek w trakcie ich małżeństwa. Od dłuższego czasu Larry traktował ją zupełnie obojętnie, ale ostatniej nocy to się zmieniło. Może ta zmiana nie potrwa długo, ale miała poczucie, że jej mąż - jej dawny chłopak - powrócił.

Drzwi otwały się, pojawiły się w nich dwie kobiety w nienagannych mundurach khaki. Marilyn popatrzyła poza nie i zobaczyła dużą grupę oszołomionych ludzi zgromadzonych pomiędzy pojazdami i budynkami. Niektórzy siedzieli na ziemi.

Jedna z kobiet, z naszywkami sierżanta, trzymała notes. Druga miała najwyżej osiemnaście lat.

- Witamy w Scotii - powiedziała sierżant. - Pilot po-

wiedział, że nikt z was nie jest ranny. Czy to prawda? Komuś coś dolega? Nie? To dobrze. Zaczniemy wylądowanie od mojej lewej strony. Proszę uważać, stopień jest bardzo wysoki. Byłabym też wdzięczna, gdyby oddawali państwo swoje karty szeregowej Turner - pilot rozdał im wcześniej żółte karty, do których wpisali swoje nazwiska i inne informacje personalne. - Proszę zwrócić uwagę na szary budynek za mną. Tam się udamy. Dostaniecie kanapki, napoje i kawę. Żałuję, że nie możemy zaoferować gorącego posiłku, ale po prostu nie mamy warunków by go przygotować, zwłaszcza dla tylu ludzi.

- Macie mniej więcej godzinę do następnego lotu. Powiadomimy was. Jesteście grupą siedem-czternaście. Zapamiętacie?

- Przepraszam - wpadł jej w słowo jeden z pasażerów. - Wsadzacie nas do następnego samolotu?

Kilka osób zaczęło mówić naraz. Sierżant uniosła dłoń i czekała. Kiedy ucichli, mówiła dalej:

- F'rzepaszam, moi drodzy, tutaj już panuje tłok. Prosimy o współpracę i cierpliwość. Wyślemy was dalej, do stałego miejsca przesiedlenia, najszybciej jak się da.

- A gdzie to jest? - spytała jedna z kobiet. - Dokąd się udajemy?

Sierżant sprawdziła w notesie.

- Bismarck.

- Bismarck? - szepnął Larry. - Gdzie jest Bismarck?

-W Północnej Dakocie -wyjaśniła Marilyn. Podniosła się i ruszyła do wyjścia. - Może być całkiem niezłe. To bardzo daleko od oceanu.

8.

Kabina pasażerska SSTO Arlington. 14:28.

W trakcie swojej ucieczki na łeb na szyję *Mikro* dogonił i wyprzedził *Arlington*. Andrea nie zdawała sobie z tego sprawy. Kilka godzin później obracające się w przeciwnych kierunkach koła Skyport wprawiły ją w zachwyt.

Jak niemal każdy w pojeździe czuła, że ma szczęście, iż przeżyła. Niemniej ogólny nastrój był dość ponury. Śmierć przyjaciół i kolegów w zaginionym samolocie, obawa o rodziny i znajomych w domu obciążały myśli pasażerów, którzy na dokładkę byli też zmęczeni, przepoceni a syntetyczne jedzenie bokiem im już wychodziło. Wciąż jeszcze się bali - w końcu widok *głazu* wielkości garażu, przelatującego szybko tuż za oknem, robi wrażenie.

Teraz odłamki mogły nadlecieć z dowolnej strony. Pilot wyjaśnił, że mnóstwo materiału wybitego z Księżyca weszło na orbitę wokółziemską. Prawdopodobnie, dodał, będzie on stanowił poważną przeszkodę nawigacyjną przez długi jeszcze czas. Andrea uważała, że z tej wypowiedzi wynika, choć nie wprost, wstrzymanie lotów nawet w obrębie atmosfery.

Wśród osób, które znajdowały się w zaginionym samolocie znajdowało się kilku jej bliskich przyjaciół, były kochanek, ulubiony partner do brydża, większość jej współpracowników oraz Bóg jeden wie, kto jeszcze. Dowie się, kiedy zejda z pokładu samolotu i zdoła zajrzeć do listy pasażerów. Jak dotąd nikt nie podał żadnych oficjalnych wiadomości.

Wśliznęli się dziobem naprzód do doku. Za oknami przesunęły się grodzie, z gigantycznych rur sączyła się para. Ludzie za długimi oknami obserwacyjnymi pochylali się nad konsolami, mówili do mikrofonów. Grodzie zwolniły, nastąpił lekki wstrząs.

- Mówi kapitan Culver - głos pilota brzmiał zupełnie jakby właśnie odbyli rutynowy lot. - Proszę pozostać na swoich miejscach dopóki nie zgasną światła ostrzegawcze - zrobił krótką pauzę. - Było nam bardzo miło pomóc państwu, chciałbym podziękować za współpracę w trakcie trudnego lotu - światła w kabinie przygasły. - W hali przylotów będą czekali na państwa przedstawiciele Administracji Transportu Księżycowego, którzy udzielą odpowiedzi na wszelkie pytania.

Minutę później światła ostrzegawcze zgasły. Andrea odpięła pas i przyglądała się wychodzącym współpasa-

żerom.

Kiedy schodziła po rampie zanotowano jej nazwisko, wydano trochę ubrania i przydzielono pokój. Zapytała, czy może zajrzeć do listy pasażerów zaginionego lotu.

- Przykro mi - odparła kobieta w szmaragdowej kurtce mundurowej LTA, - ale jeszcze nie jest dostępna.

Potem spytano ją czy dobrze się czuje i czy nie chce porozmawiać z kimś z poradni?

Andrea odmówiła i poszła poszukać swojej kabiny. Znajdowała się na pokładzie B, w obszarze zazwyczaj zarezerwowanym dla załóg statków kosmicznych. Rozciągał się zeń fantastyczny widok na Ziemię, zalaną słońcem, spokojną, powoli przesuwającą się z lewa na prawo przed iluminatorem. Patrzyła na nią przez jakąś minutę, czerpiąc z niej siłę. Potem rozebrała się i poszła do łazienki. Dzieśnięć minut *później*, czując się nareszcie znowu czysta, padła nago na koję, wdzięczna za możliwość wyciągnięcia się na całą długość. Lecz pomimo zmęczenia, sen nie nadchodził.

Po chwili zrezygnowała, ubrała się i udała na promenadę w poszukiwaniu jedzenia. Niemal wszystkie sklepy były zamknięte. Działało za to kilka restauracji. Wybrała „U Mo”, udekorowaną motywami z serialu „Three Stooges”.

Było w niej pełno. Rozejrzała się w poszukiwaniu znajomych twarzy, zobaczyła kilka z samolotu, ale usiadła samotnie przy jedynym dostępnym stoliku. Nad środkiem baru wisiał telewizor, w którym podawano wiadomości z powierzchni planety. Ktoś mówił o mszy żałobnej w intencji Henry'ego Kollandera. Uderzyło ją, że zginął prezydent Stanów Zjednoczonych, a ona ledwie to zauważyła.

Przejrzała kartę dań, nie była zbyt głodna, miała tylko ochotę przekąsić coś innego niż syntetyczna karma na pokładzie samolotu. Wystarczy grzanka i kawa. Wystukała wybór i oparła brodę na splecionych dłoniach. Łzy, które powstrzymywała przez tyle godzin popłynęły

jej po policzkach.

„U Mo" było zbyt publicznym miejscem, żeby pozwolić tu sobie na załamanie, więc zdusiła w sobie łkanie, grożące wybuchem. Wtedy zdała sobie sprawę, że stoi nad nią i przygląda się jej kobieta w mundurze NASA.

- Hi - powiedziała. - Mogę się przysiąść?

Miała ciemne włosy, bystre, brązowe oczy i uprzejmą minę, która błyskawicznie zmieniła się w zatroskaną, kiedy tylko lepiej przyjrzała się Andrei.

- Nic pani nie jest? - spytała.

Andrea pociągnęła nosem, wytarła go i uśmiechnęła się.

- Przepraszam, tak oczywiście, proszę usiąść.

Kobieta zajęła krzesło.

- Straciła pani kogoś? - zapytała ostrożnie.

Andrea skinęła głową i poczuła jak lzy płyną jej sru-mieniami.

- Nie powstrzymuj ich - powiedziała kobieta.

- Wszystko w porządku.

Ujęła Andreę za przegub i uścisnęła ją pocieszająco.

- Jestem Tory Clark - przedstawiła się, gdy potok nieco wysechł. - Pracuję w Laboratorium Orbitalnym.

- Fizyka?

- Astronomia.

Andrea skinęła głową.

- Musiał to być wyjątkowo podniecający okres dla pani - zobaczyła nagłe zeszywnienie rozmówczyni.

- Przepraszam, wymknęło mi się bezmyślnie.

- Nie szkodzi. Wszystkim było trudno.

Andrea czuła się, jakby płynęła przez sen.

- Jestem Andrea Bellwether - wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się.

- Znane nazwisko - Tory odpowiedziała jej uśmiechem.

Andrea skinęła głową.

- Był moim ojcem.

- Och - Tory usiłowała ukryć gwałtowne zakłopotanie. - Nic, tylko czapka z dzwoneczkami na łeb. Przepraszam.

- Nie szkodzi. To było dawno temu.
Siedziały przez chwilę przyglądając się jak kelner przynosi dwie szklanki i napełnia je wodą.
- Słuchaj - odezwała się Tory, przeglądając menu.
- Chyba potrzebny mi prawdziwy drink. A ty jak? Ja stawiam.

AstroLab. 15:11.

Cynthia Murray była dyrektorką obserwatorium Kitt Peak od sześciu lat. Wzięła urlop bezpłatny i przyjechała do AstroLab pracować z Feinbergiem nad mapowaniem anizotropii Wszechświata a także, co ważniejsze, zrozumieć ją. Dzięki pracom nad strukturą makrogalaktyk miała już ustaloną pozycję naukową, a teraz, tak samo jak wszystkich, wydarzenia zmusiły ją do zajęcia się obserwacją OPoKów, a zwłaszcza śledzeniem OPoK-38.

Cynthia miała pięciu mężów. Jeden zmarł; pozostali odeszli z rozmaitych powodów. Jedynymi pasjami w jej życiu były dwie córki (z drugim i czwartym mężem) oraz galaktyki. Oczywiście stanowiło to poważne wady w oczach każdego mężczyzny, nawet innych astronomów. Lecz nie miała na to żadnego wpływu i w końcu zaakceptowała fakt, że po prostu zostanie czyjąś żoną nie jest jej przeznaczeniem.

W Feinbergu rozpoznała bardzo podobnego człowieka, tylko że on był samotny, choć nigdy do tego się nie przyznawał. Ona, z kolei, czuła się samotna tylko w czasie godzin spędzanych z konieczności na domowych obowiązkach, z dala od teleskopów.

Cynthia piła kawę i obserwowała zachowanie Opo-38 po przedarciu się przez atmosferę. Jego prędkość zmalała znacząco i, oczywiście, zmienił kurs. W trakcie przelotu stracił około pięciu procent masy.

Na ekranie widziała ekstrapolowaną trajektorię meteoru - długi, wąski łuk, który potem zawracał ku Ziemi.

Wciąż jeszcze było za wcześnie, by mieć pewność, ale przecucie jej mówiło, że Feinberg będzie miał rację. Znowu.

Dopiła kawę, westchnęła i sięgnęła po telefon.

AstroLab. 15:36.

Feinberg siedział w swoim białym fleetwoodzie pod kępą drzew (na parkingu właśnie trwało wylewanie asfaltu) przyglądając się AstroLab. Budynek był płaskim wirem ze stali i szkła, dwa łukowate skrzydła wyrastające z poprzecznej części. W nocy, przy właściwym oświetleniu przypominał SBa - galaktykę spiralną z poprzeczką. Teraz, wczesnym przedpołudniem, tego dnia, kojarzył się nieco z wielgachnym nietoperzem ukrywającym się przed dziennym światłem. Nie chciał wchodzić do środka. Miał nadzieję, że Opos po prostu odleci, że przelot przez atmosferę nie spowolni go zanadto i nada mu niegroźną trajektorię. Odpychał więc od siebie myśli o nim, tak samo jak chciałby go odepchnąć od planety i pójść do domu spać. Ukryć się przed nim, wiedząc, że jeśli wydarzenia potoczą się tak, jak się spodziewał, Cynthia zadzwoni.

I Cynthia zadzwoniła.

Dzwonek telefonu wystarczył. Popatrzył na zegarek i zanim podniósł słuchawkę już wiedział. Wypowiedziała tylko jego imię. Nie musiała nic dodawać.

- Apogeum? - zapytał.

- Dwieście trzydzieści siedem tysięcy kilometrów.

Nic zaskakującego.

- Perygeum?

- Bardzo blisko.

Jak blisko?

- Chyba bije nam dzwon.

Dwieście trzydzieści siedem tysięcy kilometrów. Czyli mniej więcej wtorek. Zostało mało czasu.

Wysiadł z samochodu i ruszył w stronę laboratorium.

Trwało świeże, kwietniowe popołudnie, leniwe i chłodne. Wiatr szeptał w koronach drzew, słońce stało wysoko, jeszcze bardzo jasne. Ostra woń asfaltu przywiodła mu na myśl wspomnienia z dzieciństwa, z południowego Bostonu, gdzie bez przerwy naprawiano ulice.



I gdzie przyszłość była nieskończona.

Wolnym krokiem przeszedł po długiej, łukowato wygiętej, żwirowanej ścieżce, wspiął się po szerokich, kamiennych schodach i pchnął szklane drzwi. Strażniczka siedząca w holu podniosła wzrok i uśmiechnęła się. Miała około dwudziestu pięciu lat, była ładna w ten sposób, który przydaje urody wszystkim kobietom w tym wieku. Zatrzymała na nim wzrok odrobinę za długo, niemal zalotnie, choć jednak nie całkiem. Na imię miała Amy, i - jak słyszał - zatrudniono ją tu niedawno.

Przyjrzała mu się dokładniej, skrzywiła się.

- Czy dobrze się pan czuje, profesorze?

Jej miły, klimatyzowany świat, z automatycznymi zmywarkami, zamówieniami wideo i stosunkowym bezpieczeństwem właśnie walił się jej na głowę. Zastanawiał się, czy to pojmowała.

- Tak - odpowiedział. - Wszystko w porządku.

Cynthia *czekała* na niego.

- Przykro mi, Wes - powiedziała.

- No cóż, wiedzieliśmy, że tak się stanie, nieprawdaż?

Ściągnął sweter i rzucił go na oparcie fotela. Kilku współpracowników już tu było, zebrali się przy ekranach, rozmawiając przyciszonymi głosami.

Starannie, nie spiesząc się sprawdził wyniki, w nadziei znalezienia błędu. Kiedy tak się nie stało, opadł na oparcie, masując sobie czoło. Czwarta pięćdziesiąt sześć we wtorek.

- Lepiej powiadommy prezydenta - westchnął.

9.

Kabina pasażerska *Mikro*. 15:47.

CNN nadawało sprawozdanie z konferencji prasowej senator z Idaho. Była rzeczniczką Toma Claya, przywódcy większości i najprawdopodobniej szego oponenta w listopadzie. Nawet Clay, pomyślał, powinien teraz po-

przeć Biały Dom. Ale
było inaczej.

- ... powinien ustąpić - mówiła, patrząc prosto w kamerę. - Nie zrozumcie mnie źle. Nie chcę wcale atakować Charliego Haskell'a. Dziś rano widziałam kilka elektronicznych naklejek na zderzaki głoszących, że Haskell to drań, a mnie nie podoba się takie bezmyślne obrzucanie błotem. Jednak rozumiem, dla czego ludzie są rozwścieczeni. Wszyscy wiemy, że prezydent chciałby odciąć się od polityki Henry'ego Kollandera. Nie może jednak. Kraj już nie ufa jego partii, nie ufa już jemu, i nie może tak być dalej. Stawką jest przeżycie narodu. Musimy ruszyć do przodu i to szybko. W konsekwencji, w najlepszym interesie wszystkich...

Charlie wyłączył dźwięk i przyglądał się kobiecie. Pompatyczne, aroganckie, stare babsko, gotowe przehandlować istnienie kraju za chwilową przewagę polityczną. Evelyn przyglądała się wszystkiemu ze swojego siedzenia.

- Zastanawiam się, jak tego rodzaju ludzie w ogóle mogą zostać wybrani - jęknął.

Popatrzyła na niego dziwnym wzrokiem.

- Co? - zdziwił się. - Co w tym takiego zabawnego?

- Twój przyjaciel Rick Hailey specjalizował się w do prowadzaniu do wybrania takich właśnie ludzi.

- Ze mną włącznie? - upewnił się.

Zmrużyła oczy, przyglądając mu się uważnie. Charlie zbyt długo działał w tej branży, by przejmować się wrzaskliwymi atakami politycznymi, lecz opinia Evelyn była dla niego niezmiernie istotna.

- Nie, Charlie. Oprócz ciebie. Byłeś czymś w rodzaju anomalii w jego karierze. Będziesz mi musiał to kiedyś wyjaśnić.

Charlie otrzymywał raporty o lokalnych powstaniach w głębi kontynentu. Szaleńcy, zainspirowani przez ogólnonarodowy kryzys, wyłazili ze swoich kryjówek i ogłaszali suwerenność, grozili miejscowym przedstawicielom władz, w kilku wypadkach posuwając się do morderstw

i brania zakładników. Kilka miast w Montanie i Idaho zostało przez nich opanowanych, stamtąd ogłaszali wszem i wobec oderwanie się od Stanów Zjednoczonych.

Chciałby mieć choć odrobinę więcej prywatności niż ucieczka do łazienki. Zauważył, że formułuje swoje wypowiedzi skierowane do Kerra i innych rozmówców w sposób biorący pod uwagę ich wpływ na pozostałych pasażerów *Mikro*. Kiedy, na przykład, radził gubernatorowi Idaho by ruszył przeciwko rebeliantom, że ma pełne poparcie prezydenta w tej materii, spostrzegł, że wyraża się w sposób łagodzący sytuację: Nie mamy dość środków ani czasu na oblężenia chciał powiedzieć, wyślijcie Gwardię i odstrzelcie im tyłki, jeśli nie zrezygnują. Zamiast tego wygłosił pełny niedomówień komentarz sugerujący podjęcie odpowiednich kroków przez władze stanowe i obiecujący pełne poparcie rządu.

W interkombie odezwał się głos Saber:

- Może zechcielibyście zerknąć na bakburkę?

- Z której strony jest bakburta? - zapytał kapelan. Wśród gwiazd poruszało się kilka światełek. Kawa leria przybyła.

Wszyscy ściskali sobie dłonie i składali gratulacje. Morley nadawał na żywo, przekazywał ten szczególnie nastrój świętowania, podkreślił, że w statku pozostało powietrza jeszcze tylko na dwie godziny. Charliemu przyszło na myśl, że dziennikarz byłby szczęśliwszy, gdyby czasu zostało dużo mniej, gdyby ludzie tracili przytomność w trakcie podchodzenia „*Lowella*” do akcji ratunkowej w ostatniej chwili. No cóż, Transglobal nie może mieć wszystkiego.

Po raz ostatni wspiął się do kokpitu, gdzie Saber powitała go szerokim uśmiechem.

- Dzięki - powiedział Charlie. - Za wszystko.

Wzruszyła ramionami, sugerując, że była to robota jak co dzień.

- Miło mi było pomóc, panie prezydencie.

Był to, delikatnie mówiąc, wstrząsający lot. W czasie jego trwania Charlie czuł się równym wśród równych, nikim więcej. Przyzwyczał się już do podrózo-

nia w towarzystwie doradców, takich jak Rick, albo zagranicznych dygnitarzy, czy dziennikarzy. Oraz ochroniarzy. Zawsze był wiceprezydentem, nigdy Charlie Haskellem, który zapodział się gdzieś po drodze, lecz na siedemnaście godzin powrócił.

Przepaść otwarła się ponownie po jego zaprzysiężeniu. Nawet Evelyn wycofała się po tej ceremonii. Poczucie braterstwa, które dzielił z nimi w Bazie Księżycowej, i później, w pierwszej części lotu, zanikło. Dlaczego? Zwykły awans na szczytowe stanowisko nie powinno odtworzyć tej bariery, którą obaliło wspólne przeżywanie niebezpieczeństwa. A jednak tak się stało i wiedział, że sam był częściowo za to odpowiedzialny. Teraz spędzał większość czasu na uboczu, ze swoim telefonem, rozmawiając z mozymi tego świata. Sympatię w oczach współpasażerów zastąpił ostrożny szacunek. Zastanawiał się, czy nie płacił zbyt wysokiej ceny za polityczną władzę.

Saber skupiła się na jakichś informacjach docierających przez słuchawki. Przesunęła do przodu mikrofon i skinęła głową.

- Stoi obok mnie, „Lowella”- powiedziała. - Chwi leczkę.

Wskazała Charliemu prawy fotel.

- Charles Haskell - zgłosił się.

- Panie prezydencie, pozdrawia załoga „Percivalla Lowella”. Miło nam, że możemy zapewnić panu trans port, sir.

Charlie gapił się nieruchomo na konsolę łączności. Nawet tutaj, w takich okolicznościach wszędzie wciskała się polityka. Zrozumiał natychmiast, czego Rachel Quinn - spotkał ją kiedyś - pragnęła. Nie zapominaj o Marsie!

- Dziękuję - powiedział, usiłując nie okazać urazy w głosie. - Wasz widok bardzo nas cieszy.

Coś odbiło się od kadłuba, jeden z ostatnich kamieni przeznaczonych dla *Mikro*. Zamarli na moment, czekając na sygnały alarmowe. Jednak nic się nie odezwało, nie zapaliła się ani jedna czerwona lampka.

Wyczuwając jego zakłopotanie Saber pospieszyła mu



z pomocą.

- „*Lowella*”, jesteście gotowi do przesiadki?
- W każdej chwili. Czy macie w ogóle napęd?
- Żadnego.

- Okay. No to zaczekajcie spokojnie, wszystkim się zajmujemy.

Statek międzyplanetarny był teraz dobrze widoczny. Długi, elegancki kadłub, pozbawiony szczegółów i funkcjonalny, promieniujący ciepłym blaskiem światła. Cywilizacja, która potrafiła zbudować taki pojazd i wysłać go w mrok, na pewno miała przed sobą przyszłość. Charlie postanowił, że nie będzie stał z boku i nie pozwoli by ta przyszłość uległa zburzeniu.

Odezwał się jego telefon komórkowy.

- Tak, Al?
- Złe wiadomości, Charlie. Opos wraca.

Był tak otepiały od nadmiaru raportów o zniszczeniach, że ta informacja wydawała mu się niczym więcej jak tylko jeszcze jednym punktem do statystyki zagłady. '

- To znaczy, że spadnie? - zdołał w końcu zapytać.
- Tak.

Zamknął oczy, usiłując nie dopuścić do siebie świadomości nieskończonej pustki tuż za ścianą.

- Kiedy? Ile mamy czasu?
- We wtorek rano. Około piątej.

Charlie założył zestaw nagłowny.

- Są pewni?
- Tak. No, twierdzą, że jeszcze za wcześnie na stu procentową pewność, ale uważają, że powinniśmy zakładać najgorsze.

- Okay. Dopadnij Feinberga, NASA, wyciągnij suche fakty. Nie ma tu miejsca na żadne zgadywanki.

- Okay, panie prezydencie.

Charlie nie przegapił przeskoku do formalnego języka.

- Gdzie? - zapytał. - Gdzie ma uderzyć?
- Wydaje się, że w sam środek Kansas.
- Mój Boże. Nie mamy nawet chwili spokoju, nie?

Okay, Al, musimy powrócić do rakiet jądrowych.

- Tak właśnie myśleliśmy. Nie możemy tak po prostu stać i....

- Właśnie. Powiadom mnie do czego dojdiesz. Wszystko inne idzie w odstawkę. Musimy zlikwidować tego sukinsyna. Nie gadaj z samymi wojskowymi. Skontaktuj się z Feinbergiem, kimkolwiek kto ma jakiś pomysł, co moglibyśmy zrobić. Niech wszystko przeliczą jeszcze raz od początku - patrzył na coraz jaśniejsze światła „Lowella”. - Masz coś jeszcze?

- Nie bardzo wiem co zrobić z Henry'm. Ogłosiliśmy, że w środę odbędzie się msza w intencji jego i Emily, ale pojawiły się rozbieżności co do sposobu jej przeprowadzenia. Cokolwiek wystawnego mogłoby nie najlepiej wyglądać w obecnej sytuacji. Jego rodzina uważa, że w tych okolicznościach powinna być kameralna i skromna.

Dzięki Bogu. Przynajmniej z tym problemem można sobie na pewno poradzić.

- Słuchaj, Al, jeśli sprawdzi się wizyta Oposa we wtorek, środowego poranka może po prostu nie być.

Kerr milczał.

- Rodzina ma rację - ciągnął po chwili Charlie. - Kameralnie. Ze smakiem, ale skromnie. Kraj nie potrzebuje teraz parad. Kiedy się to wszystko przewali, może pomyślimy o czymś więcej. Są jakiegokolwiek szansę powrotu do Waszyngtonu we wtorek, czy coś koło tego?

- Miasto wciąż jest pod wodą.

- Okay. Słuchaj, Henry był weteranem. Służył w marines. Jeśli rodzina się zgodzi, może odprawić mszę w *Arlington*? To jest wysoko. Tam chyba wszystko w porządku?

- Tak sądzę.

- No to tam. Sprowadź paru marines. Podobałoby mu się to. Salwa honorowa, przelot odrzutowców. Zaginiony żołnierz, kapujesz? Tylko naprawdę skromnie.

- Tak jest, sir. A co z biurami rządowymi? Musimy zacząć działać.

- Al, ty jesteś na miejscu. Zorientuj się co trzeba

zrobić i zrób to. Trzymaj wszystko pod korcem, niech media mają wolne przez parę dni. Zorganizuj trochę luzu na kilka dni, ale utrzymuj publiczną obecność. Pojmujesz?

- Jasne, ale...

- Zajmij się szczegółami. Mnie właśnie będą ratować i zamierzam się tym nacieszyć.

- Okay, Charlie. Tak na marginesie, cieszę się, że to słyszę. Baliśmy się o ciebie.

Charlie rozłączył się, wrócił do kabiny pasażerskiej i usiadł przy oknie, obok Evelyn. „*Lowella*” leciał teraz równoległe do nich, na tyle blisko, że można było zobaczyć jego wnętrze i poruszających się tam ludzi.

- Niezapomniana chwila, Charlie - szepnęła Evelyn. - W przyszłym roku będzie to najważniejszy film w telewizji.

- Mam nadzieję - odszepnął.

Percivall „*Lowell*” był opisywany jako największy cud inżynierii dwudziestego pierwszego wieku. Jego zwolennicy twierdzili, że jest kluczem otwierającym eksplorację i zagospodarowanie Układu Słonecznego. Zainstalowane w nim technologie sugerowały bezgraniczne możliwości.

„*Lowella*” zbliżył się jeszcze bardziej, tak że Charlie był w stanie policzyć nity kadłuba.

- Proszę o zapięcie pasów - odezwał się głos Saber.

Morley cicho mówił do mikrofonu. Charlie nie miał pojęcia, czy nadawał, czy notował sobie wrażenia dopóki na jednym z ekranów nie zobaczył nieruchomego zdjęcia dziennikarza z podpisem: NA ŻYWO Z LUNOBUSU PREZYDENTA.

Powietrze było ciężkie, przesycone gęstymi woniami ludzkich ciał zbyt długo przeżywających strach i pozbawionych prysznica. Za Charlie'm siedział kapelan. Pochylił się do przodu.

- Panie prezydencie, jestem szczęśliwy, że miałem szansę pana poznać.

Mówił tonem, który brzmiał jak pożegnanie. Charlie rozumiał o co tu chodzi. Kiedy bezpiecznie dotrą na pokład „*Lowella*”, zniknie ostatnie zagrożenie,

a wraz z nim ostatnie ślady poczucia bliskości.

- Ja też - odparł. - Może kiedy wrócimy do domu, wpadnie pan kiedyś na lunch.

Już w połowie zdania wiedział, że mówi rzecz niewłaściwą, że jest to jednocześnie pretensjonalne i bezmyślne. Nie zdołał już jednak cofnąć słów.

- Byłoby bardzo miło - zgodził się kapelan z nieruchomą twarzą.

„Lowella” wisiał teraz w odległości dwudziestu metrów. Jedna z jego śluz otworzyła się szeroko i wysunął

s

i

ę

z niej ktoś w skafandrze. Astronauta podniósł głowę, zobaczył obserwującego go Charliego i pozostałych, pomachał im ręką.

Korzystając z plecaka odrzutowego odsunął się od „Lowella”.

- Najpierw chcą zabrać na pokład Tony'ego i Bigfota - powiedziała im Saber. - Troszkę im zejdzie, zanim dotrą do nas.

Czterdzieści minut później byli gotowi do przesiadki. Śluza otworzyła się i Charlie po raz ostatni rozejrzał się po kabinie pasażerskiej. Kapelan przechwycił jego spojrzenie i skinął głową.

- Jak sądzicie, co się z nim stanie? - zapytał.

- W końcu złapie go Jowisz - wyjaśniła Saber. - Nikt nie będzie próbował go odzyskać. To niepraktyczne.

- Nie jestem taki pewien - wtrącił się Morley, mówiąc jednocześnie do nich i do słuchaczy. - Podejrzewam, że ten stateczek będzie miał wielką wartość historyczną.

- Jeśli historycy będą chcieli go mieć - odparła Saber, - to sądzę, że sami będą musieli *zająć* się jego złapaniem.

Lecz Morley miał rację. Charlie podejrzewał, że jeśli uda im się przebrnąć przez to wszystko, jeśli naród przetrwa i świat będzie istniał nadal, w końcu zostanie podjęta próba uratowania *Mikro*. Oczywiście wyobraźni widział stateczek stojący w Muzeum Smithsonian. Oczywiście szansę na taki rozwój wydarzeń mogły poważnie zależeć od tego, jakim Charlie okaże się prezydentem.

Nikt nie wysiłałby się, żeby odzyskać jakąś pamiątkę po Jamesie Buchananie.

10.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL. 15:53.

Sekretarz Prasowy Białego Domu, Pat Russell, w trakcie telewizyjnej konferencji transmitowanej kilka minut temu z Camp David oświadczył, że dtugi na półtora kilometra, przypominający maczugę odłamek skały księżycowej, znany jako Opos, wraca w stronę Ziemi i najprawdopodobniej uderzy w środek Kansas we wtorek, wczesnym rankiem. Rozpoczęła się już akcja masowej ewakuacji. Eksperci obliczyli, że w promieniu tysiąca dwustu kilometrów od miejsca kolizji nikt nie będzie miał szans przeżycia bezpośrednich skutków zderzenia. Ucierpią Chicago, St. Louis, Kansas City i inne liczne miasta Środkowego Zachodu.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL 15:58.

...panika na Środkowym Zachodzie. Władze federalne i stanowe usiłują utrzymać choćby pozory kontroli nad przerażonymi tłumami...

Pokład gospodarczy „Percivala Lowella”. 16:11.

Kiedy Charlie wyszedł ze służby, czekający na niego w białym mundurze galowym major Lee Cochran zasalutował.

- Witamy na pokładzie „Percivala Lowella”, panie prezydencie.

Głośne tony pieśni „Hail to the Chief” buchnęły z interkomu. Charlie musiał świadomie postarać się, żeby nie okazać konsternacji, ale wszystko zamarło na czas trwania marsza, aż udało mu się zasygnalizować, że czuje się usatysfakcjonowany i można to już wyłączyć, albo przyciszyć. Ktoś zmniejszył głośność.

- Jestem major Cochran, sir - wygłosił Lee, jak na musztrze. - Kapitan prosiła mnie by w jej imieniu wyra-



zić żał, że nie może się tu pojawić osobiście, ale sytuacja wymaga jej obecności w sterowni.

Charlie skinął głową i uśmiechnął się.

- Dzięki, Lee.

Przedstawiono go astronautom tydzień temu, na Li. Cochran wyraźnie ucieszył się z użycia jego imienia.

- Nie spodziewałem się, że tak szybko znów się z wami zobaczę - kontynuował prezydent.

Stali w małym pomieszczeniu pełnym szaf i szafeków.

Ze służby wychodzili pozostali: Evelyn, która odzyskała trochę swojego władczygo sposobu bycia; Morley, cały czas gadający do mikrofonu przyciszonym głosem; kapelan, zamyślony i milczący.

Major rzucił niechętnie spojrzenie w stronę dziennikarza, ale nic nie powiedział. Saber była ostatnia, wyraźnie zadowolona, że może przerzucić odpowiedzialność na cudze barki. Cochran zajrzał do służby.

- To wszyscy? - spytał.

- Tak - potwierdziła Saber.

Skinął głową, zatrzasnął kłapę i stuknął w kilka klawiszy. „*Lowella*” zakołysał się lekko, lampy zmieniły kolor.

- Niech wszyscy się czegoś złapią - polecił major. Do interkomu powiedział: - Rachel, przesiadka zakończona. Możemy lecieć.

Charlie poczuł jak statek zmienia kierunek.

- Panie prezydencie - zwrócił się do niego Cochran.

- Będzie pan zajmował kajutę komendanta misji. Proszę wraz z... - chwilę szukał odpowiedniego słowa - ...ze swoimi towarzyszami udać się za mną.

„*Lowella*” wydał się Charliemu mniejszy niż w czasie zwiedzania na LI. Wąskie korytarze, wyposażenie popychane gdzie się tylko da, czysto funkcjonalne stanowiska. W porównaniu z tym kwatery komendanta, która w innych warunkach wydawałaby się ciasna, sprawiała wrażenie prawie obszernej. Stał tu fotel i biurko z wyświetlaczem. Koję podniesiono na jedną ze ścian,

w które wpuszczono szuflady i szafę. Dwa ręczniki, grzebień, kubek i tubka pasty do zębów przymocowano do fotela. Przygotowano też dla niego mundur „*Percwala Lowella*”, kompletny, nawet z odznakami misji marsjańskiej i naszywką HASKELL na lewej piersi.

Cochran powiedział, że postarają się spełnić wszelkie jego życzenia, pokazał jak obsługiwać tutejszy interkom i jak się podłączyć do pokładowego systemu łączności.

- W sterówce dysponujemy dwukierunkowymi łąkami wideofonicznymi, jeśli będą potrzebne, panie prezydencie.

- Dzięki - rzekł Charlie.

Major wskazał na drzwi na końcu korytarza.

- Obawiam się, że nie mamy prywatnych łazienek - poinformował. - Proszę korzystać z którejkolwiek.

Kiedy Cochran sobie poszedł, Charlie wcisnął swoją torbę do szafki, porwał mundur, elektryczną maszynkę do golenia, kilka przyborów toaletowych i pospiesznie udał się do łazienki. Jedna była zajęta.

Otworzył drzwi i wcisnął się do środka. Stał przez chwilę, przyglądając się pomieszczeniu z niezdnarą toaletą do korzystania w nieważkości i ultradźwiękowymi skrobaczkami. Kiedy przedtem, oglądał „*Lowella*”, zastanawiał się co mogłoby skłonić człowieka, żeby na dwa czy trzy lata skazał się na stłoczenie w tych klaustrofobicznych klatkach. Wtedy jego pierwszą myślą było, że ludzie nie powinni pchać się na Marsa, dopóki nie będą w stanie zrobić tego w odpowiednim stylu.

Zaraz potem przyszło mu do głowy, że TR otwarcie by protestował przeciwko takiemu twierdzeniu, jednak pierwszy prezydent Roosevelt nie musiał sprawdzać swoich poglądów w praktyce. Charlie też lubił życie na łonie natury, jak TR, stwierdził jednak, że to nie to samo, co zamknięcie się w ścianach cudu techniki, będącego odpowiednikiem taniego hoteliku bez wyjścia.

Rozebrał się, wepchnął zużyte ubranie do plastikowej torby i włączył skrobaczkę. Ciało mrowiło go, choć inaczej niż pod gorącym prysznicem. Resztki brudu od-

padły gdy przetarł się jednym z ręczników. Był czysty, ale nie czuł się czysty. Doszedł do wniosku, że z przyjemnością pozostawi loty kosmiczne innym.

Kiedy wrócił do kajuty, świergotał jego telefon komórkowy.

- Haskell.

To był AL

- Wszystko potwierdzone. Opos uderzy w Kansas.

- Okay - Charlie nie spodziewał się niczego innego.

- Bardzo mi przykro - Kerr przerwał, może zastana wiając się jak zmienić temat. - Jak widzę jesteś już na pokładzie „*Lowella*”. Śledziliśmy całą przesiadkę. Masz znakomitą prasę. Co takiego zrobiłeś, kupiłeś tego Morleya?

- Wykonuje świetną robotę, prawda? Rick byłby z niego dumny.

Charlie usiłował zdecydować co zrobić z Oposem. Żałował teraz, że nie zaryzykował wcześniej ataku atomowego, może wybiliby go wtedy na inną trajektorię. I tak skończyło się na konieczności rozwalenia go, tyle tylko, że teraz w trakcie zbliżania się.

- Feinberg znów chce z tobą rozmawiać - powiedział AL

- Co mówi?

- Nam nie chce nic powiedzieć.

- Okay, dawajcie go. Upewnijcie się, że rozmowa idzie przez skrambler.

Charlie przerwał połączenie i przyglądał się jak ściany się na niego wała. Śmiertelnie się bał, że wykryją jeszcze jeden meteor. Poczł jak wszystko mu się w środku skręca, pomyślał o Henry'm w pierwszych dniach kryzysu, odpowiedzialnym za wszystkich tych, którzy zginęli, wiedzącym w chwili śmierci, że popełnił błąd.

Telefon znów zaświergotał.

- Panie prezydencie - kobiecy głos.

Spodziewał się usłyszeć Kerra zapowiadającego połączenie z Feinbergiem. To była Rachel Quinn.

- Tak, pani kapitan?

- Sir, dwie informacje. Przed startem zgarnęliśmy

trochę gotowych posiłków z kambuza Skyport. Chciałabym zaprosić pana i pozostałych pasażerów na wspólny obiad.

- Z wielką przyjemnością, Rachel.

Głos jej zmiażdżył, stał się mniej formalny.

- Czy o siódmej będzie dobrze, sir? Może wolałby pan wcześniej?

- Nie, tak będzie doskonale.

- Poza tym rozpoczynamy długi manewr zawracania do domu, więc pojawią się odczuwalne przeciążenia. Nie będą duże, zamierzamy wykonywać skręt łagodnie, więc manewr potrwa kilka godzin. Jeśli pojawią się jakieś problemy, proszę bez wahania nas o tym powiadomić. W razie potrzeby możemy skrócić po większym promieniu, tylko że w takim wypadku powrót na stację zajmie nam więcej czasu.

- Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze, Rachel.

- Powinniście też wiedzieć, że mamy lekarza na pokładzie. Chciałby pana obejrzeć w dogodnej chwili. Ma pan następną rozmowę, sir...

Zawiesiła głos i Charlie poprosił ją o przełączenie.

- Panie prezydencie - głos Feinberga był precyzyjny, zmęczony, złowieszczy. - Jak się pan czuje? Z tego co wiem, miał pan nie lada podróż.

- Niech mi pan powie co z Oposem.

- Kansas. Czwarta pięćdziesiąt sześć, wtorek.

Charliemu przychodziły na myśl tylko rakiety jądrowe.

- Wesley, nie możemy tak siedzieć i czekać aż nam to zleci na głowy. Czy wciąż oponujesz przeciwko atakowi nuklearnemu?

- Zdecydowanie. O wiele lepiej będzie nie robić nic.

- Nie. Nie mogę siedzieć na tyłku i nic nie robić.

Potrzebuję jakiegoś pomysłu.

- Właściwie - powiedział naukowiec - miałbym pewną sugestię. Możemy spróbować podnieść Oposa na wyższą orbitę. Bardziej stabilną, co da nam czas na spokojne porządzenie sobie z nim.

- Jak to można zrobić? Bombami?

- Musi pan przestać myśleć o broni, panie prezydencie, trochę elastyczności. Tu trzeba użyć samolotów orbitalnych.

Charlie spróbował sobie to wyobrazić. Co mają zrobić? Podlecieć pod niego i dźwignąć w górę?

- W jaki sposób?

- Na świecie jest *teraz* cała flotylla SSTO. Jeśli do brze obliczyłem, siedem, pracujących razem, powinno zdołać przyspieszyć lot Oposa i spowodować, że przeleci przez punkt kolizji zanim dotrze tam Ziemia.

- Naprawdę możemy to zrobić?

- Możemy. Jeśli samoloty da się zgromadzić na czas, jeśli umieści się je we właściwych miejscach i jeśli do brze się wszystko zorganizuje.

Charlie zaczął odrobinę lżej oddychać.

- Wspaniale - powiedział. - Dzięki Bogu.

Brzmiało to zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście, że nie jestem pewien, panie prezydencie. W tej chwili niemal niczego nie można być pewnym. Zbyt wiele jest niewiadomych. Na przykład o Oposie wie my stanowczo za mało. Po drugie nie mam pojęcia ile paliwa zostanie samolotom, kiedy do niego doleczą. Lecz czuję, że mamy realną szansę.

- Okay, skonsultuję to z moimi ludźmi.

- Czas jest tu krytyczny, panie prezydencie. To nie jedna z tych spraw, które można pozostawić sporom biu rokratów. Jeśli chce pan to zrobić, sądzę, że powinien pan po prostu podjąć decyzję i wydać rozkaz natychmiastowego wykonania.

Charlie zastanawiał się przez minutę. Nie był przyzwyczajony do podejmowania ważnych decyzji bez konsultacji z doradcami.

- W porządku - powiedział. - Skontaktuję z tobą Orły Carpentera. On może rozpocząć operację. Coś jeszcze?

-Tak. Potrzebujemy więcej informacji o Oposie. Ktoś musi podlecieć do niego i lepiej się mu przyjrzeć. Poro-

bić zdjęcia. Wylądować na nim, zrobić odwierty. Koniecznie trzeba bardzo precyzyjnie określić jego masę i jej *rozkład*. Musimy ustalić miejsca na powierzchni, gdzie zakotwiczymy samoloty. Potrzebne są nam wszelkie dostępne dane.

- Sugeruję użycie wszystkich dostępnych SSTO - mówił dalej Feinberg. - Wszystkich dziesięciu, jeśli to tylko możliwe. Im więcej ich będzie, tym większe mamy szansę. Lecz pod żadnym pozorem mniej niż siedem, potrzebne będzie co najmniej siedemnaście minut pełnego ciągu przynajmniej siedmiu pojazdów. Zakładając, że znajdują się na Oposie nie później niż o czwartej rano.

- Okay, Wesley. Powiedz Orły Carpenterowi to samo co mnie.

Przerwał, myśląc czym jeszcze dysponuje, stwierdził, że niczym więcej.

- Coś nie tak, panie prezydencie?

- Nie wiem jak obejrzeć Oposa z bliska.

- Ależ to oczywiste. Wy już tam jesteście.

Centrum Indianapolis. 16:27.

Harold K. Stratemeyer osunął się na oparcie swojej limuzyny, pozwolił głowie bezwładnie opaść na poduszki. Zastanawiał się, czy wszystko, co z takim wysiłkiem zbudował w ciągu wielu lat rozwali się w gruzy. Był komisarzem Administracji Transportu Księżycowego i kilka dni temu nie widział żadnych przeszkód na drodze korporacji w świetlaną przyszłość. Teraz, dosłownie w ciągu jednej nocy, Moonbase International wraz z Hampton znalazła się na bruku i podejrzewał, że LTA i Stratemayer są tuż, tuż za nimi.

Prywatne przedsiębiorstwa nie byłyby w stanie zająć się załogowymi lotami kosmicznymi bez poważnego wsparcia rządu. W kosmosie tkwił gigantyczny potencjał, ale stworzenie możliwości wykorzystania go, wciąż jeszcze wymagało co najmniej kilku lat. Tymczasem wydatki inwestycyjne były astronomiczne. (Już się nie uśmiechał, słysząc ten stary żart). Podobnie było z pew-



nością, że program zostanie dokończony. Jeśli rząd teraz wycofa swoje poparcie, wszystko się zawali, tymczasem LTA, Moonbase International, wraz z setkami innych, mniejszych korporacji opracowywały jeszcze bardziej wyrafinowane technologie.

Stratemeyer spędził długi, ponury dzień na pospiesznym organizowaniu konferencji, próbach opracowania strategii utrzymania przemysłu przy życiu. Lecz panowało ogólne przekonanie, że w przewidywalnej przyszłości loty kosmiczne nie mają żadnych szans. Rządy, które były ich klientami, najprawdopodobniej skupią się teraz na przetrwaniu, a przemysł na pewno sam nie udźwignie takiego obciążenia. Poza tym, w jakim stanie za tydzień będzie światowa ekonomia? Niektórzy twierdzili, że na produkty ery kosmicznej, nawet jeśli będą dostępne, nie znajdzie się rynków zbytu.

Zapisał jego telefon komórkowy. Popatrzył na wyświetlacz: z Camp David.

- Stratemeyer - odebrał.

Z drugiej strony odezwał się damski głos.

- Łączę z prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Stratemeyer poczuł jak przyspiesza mu puls. Pomimo wszystkich lat kontaktowania się z mężczyznami i kobietami kontrolującymi bieg rzeczy zachodniej cywilizacji, tylko raz rozmawiał z urzędującym prezydentem. Z Culpepperem, kiedy dołączył do grupy menedżerów usiłujących zdobyć poparcie Białego Domu dla technologii kosmicznych. Wtedy był młodszy, łatwiej było na nim zrobić wrażenie. Zirykowało go, że ponownie poczuł napięcie.

Usłyszał kilka kliknięć, zmianę tonu. Potem odezwał się inny głos:

- Ma pan połączenie, panie prezydencie.

- Pan Stratemeyer?

Rozpoznał głos Haskella, brzmiący jakby z daleka, prawdopodobnie przekazywany z pokładu „*Perciuala Lowella*”.

- Dzień dobry, panie prezydencie. Bardzo się cieszę, że pana uratowano.

- Dzięki. Teraz jestem w całkiem niezłym stanie przerwał na chwilę. - Haroldzie, czy mogę tak się do ciebie zwracać? Wiesz, że Opos wraca?

- Wiem, panie prezydencie, cały świat wie. Co się stanie?

- Właśnie dlatego dzwonię, Haroldzie, potrzebne są nam samoloty orbitalne.

- Flota? Wszystkie?

- Tak.

- Po co?

- Zamierzamy spróbować pokierować Oposem, podnieść go na wyższą orbitę.

Limuzyna skręciła na północ w Arlington Avenue. Stratemeyer popatrzył na rozciągające się na zewnątrz szerokie, wypielegnowane trawniki Naval Avionics Center. Ruch był niewielki; w centrum nie pozostał prawie nikt. Niezwykła rzecz jak na niedzielne popołudnie. Indianapolis wyglądało dość upiornie, jakby rzeczywistość gdzieś odpływała, jakby stawała się częścią przeszłości.

- Dlaczego moje samoloty? - zapytał.

- Haroldzie, tylko ty stoisz pomiędzy światem a największą katastrofą w historii.

- Panie prezydencie, uważam, że katastrofa już na stąpiła - popatrzył na opuszczone ulice. - Dlaczego nie opisze pan dokładniej o co chodzi?

Słuchał uważnie Haskella omawiającego plan. Chcieli, żeby wszystkie samoloty dziś przeniosły się do Atlanty, gdzie wyposaży się je w urządzenia pozwalające na zakotwiczenie ich na powierzchni Oposa. Potem polecą na Skyport, gdzie zatankują. We wtorek rano znajdą się we właściwym miejscu by przesunąć meteor.

- To bardzo duży meteor - powiedział Stratemeyer.

- Wiem.

- Jaką mam gwarancję, że odzyskam samoloty i załogi?

- Haroldzie, wysyłamy grupę promów po załogi. Nie przewidujemy możliwości natychmiastowego odzyskania samolotów. Prawdopodobnie w czasie operacji zużyją całe paliwo.

Co oznaczało, jak odczytał pomiędzy wierszami, że straci te maszyny. Ubezpieczenie nigdy za nie zapłaci. Nie w tych okolicznościach.

- Panie prezydencie, naprawdę chciałbym pomóc, ale muszę brać pod uwagę akcjonariuszy. Jak na pewno pan wie, w tych samolotach zamrożona jest poważna część aktywów LTA. Po prostu nie mogę pozwolić panu na wyrzucenie ich w kosmos.

- Rozumiem, Haroldzie. Rząd pokryje wszelkie straty.

Gdzie tam, rząd już zbankrutował. Skąd skarb weźmie takie sumy, jakie tu przepadną? Poza tym, kto powiedział, że Opos to takie wielkie halo? W ciągu ostatnich osiemnastu godzin spadło mnóstwo gładów a planeta wciąż istniała. Co więcej, te obietnice czynił Charlie Haskell, a to tylko jeszcze jeden polityk. Stratemeyer nie ufał żadnemu. A na pewno nie powierzy mu swojej floty. Do diaska, biorąc pod uwagę bieg wydarzeń, prezydent będzie miał dzikie szczęście, jeśli zostanie wybrany na dalszą kadencję.

Lepiej się wywinać.

- Proszę o wybaczenie, panie prezydencie. Nie mam wystarczających uprawnień do podjęcia takiej decyzji osobiście. Chciałbym je mieć. Ale obiecuję, że złapię wszystkich członków rady i namówię do wyrażenia zgody. A wtedy zawiadomię pana.

- Kiedy?

- Najszybciej jak mi się uda.

11.

Główny pokład „Percivala Lowella”. 16:38.

- Pat - powiedziała Evelyn. - On nie zamierza nic zrobić.

- Wiem.

W interkombie odezwał się głos Rachel.

- Panie prezydencie, weszliśmy na kurs w stronę

Oposa, ale dotarcie do niego zajmie nam trzynaście godzin.

Charlie skinął głową.

- Nie da się szybciej, co?

- Nie, sir. Ma dużą przewagę na starcie.

- Okay.

- Tak na marginesie, dotrzemy tam tuż po apogeum.

Charlie skrzywił się.

- Proszę powiadomić Feinberga, Niech wie, kiedy spodziewać się danych.

- Zrobione - powiedziała.

- A ty? - spytała Evelyn. - Co ty zamierzasz zrobić?

- Już zrobiłem. Przejmujemy samoloty.

- Większość znajduje się poza terytorium Stanów Zjednoczonych.

- To komplikuje sprawę, ale możemy liczyć na międzynarodową współpracę. Zwłaszcza w takich sytuacjach.

- A nie potrwa to trochę?

- Owszem. A właśnie czasu nam brakuje. Masz lepszy pomysł?

Zadając pytanie był pewien, że tak.

Indianapolis. 16:43.

Stratemeyer wysiadł z limuzyny na zwirowany podjazd swojego domu kiedy znów odezwał się telefon komórkowy. Tym razem nie z Camp David, jak zobaczył, ale z korporacji Moonbase. Dziwne. Tylko jedna osoba stamtąd znała jego prywatny numer.

- Stratemeyer - przedstawił się. - To ty, Evelyn?

- Tak, Haroldzie. Miło znów usłyszeć twój głos.

- Jak słyszałem miałaś niezłą przeprawę.

-Wszyscy mieliśmy. Posłuchaj, czasu jest mało, więc nie będę owijać w bawełnę. Możesz ufać Charliemu Haskellowi.

- Och, oczywiście, że mogę, Evelyn. Mam nadzieję, że nie sprawiłem na nim wrażenia, że mu nie ufam. Po prostu nie jestem władny zrobić tego, o co mnie prosił.

- Haroldzie, ta decyzja zależy wyłącznie od ciebie i oboje o tym świetnie wiemy. Rada zrobi dokładnie to, co jej każesz.

- Chyba, że samoloty nie wrócą. A nie wrócą. Tego nie przełkną, Evelyn.

Otworzyły się frontowe drzwi, kamerdyner uprzejmie odsunął się na bok. Ale Stratemeyer zawahał się, stojąc na trzecim i czwartym kamiennym stopniu.

Evelyn też się zawahała, przez chwilę czas jakby się zatrzymał. Chłodny powiew uniósł połę jego marynarki.

- Ja naprawdę tak myślę, jak mówiłam - odezwała się w końcu Evelyn. - Możesz mu ufać. Nie tylko, że dotrzyma słowa, możesz też ufać jego ocenie sytuacji. Cały czas byłam tu blisko wszystkich wydarzeń. Jeśli nie powstrzymamy tej skały, twoje samoloty i tak nie będą warte. Masz szansę użyć ich i uratować to wszystko, na co pracowaliśmy. Może na co wszyscy pracowali. Charlie mówi, że dostaniesz odszkodowanie. Okay, może tej obietnicy nie zdoła dotrzymać, ale będzie próbował - a to dużo więcej, niż ci zostanie w rękach, jeśli staniesz z boku by biernie przyglądać się biegowi wypadków.

- To przesada - powiedział. - Ja też zadzwoniłem tu i ówdzie. Nikt nie postrzega sytuacji tak, jak Haskell.

- Daj spokój, Haroldzie. Ludzie tacy jak my zawsze potrafią znaleźć ekspertów, którzy powiedzą nam dokładnie to, co chcemy usłyszeć. To jeden z naszych największych problemów, każdy łże nam jak może w nadziei, że coś od nas wyciągnie. Okay, prawda jest taka: Feinberg stanowczo twierdzi, że ten meteor przy upadku zabije miliony ludzi, wywoła zimę globalną i zepchnie ocalałych do średniowiecza. Uważasz, że ktokolwiek na tym zarobi?

Skyport, restauracja „U Mo”. 18:00.

Lista pasażerów zaginionego samolotu wciąż pozostawała niedostępna. Według biura transportowego bliżej zostali powiadomieni. Andrea usiłowała zadzwonić się do przyjaciół, ale większość prób kończyła się mono-

tonnym nagraniem informującym, że dany numer jest nieznanym. Nieznany. To mogło oznaczać, że znajdowali się w tym samolocie, albo że jeszcze nie podłączyli się do centrum przekaźnikowego Skyport. Mogli o tym zapomnieć, mieć to w nosie, cokolwiek.

Niektórzy odezwali się, ucieszyli się słysząc jej głos, porozmawiali przez chwilę, wymieniając posiadane informacje (Tak, przykro mi, Hanlon był w samolocie, zginął razem z pozostałymi...), napawając się obustronną przyjemnością płynącą ze stwierdzenia, że druga osoba żyje. Późnym wieczorem ogłoszono listę osób z Bazy Księżycowej, którym przydzielono kajuty. Przejrzała ją uważnie i odnalazła jeszcze kilka nazwisk. Lecz większość ludzi, których *znała*, i pracowała z nimi od dwóch lat, zginęła.

Przy obiedzie spotkała ponownie Tory Clark, która siedziała z przyjaciółmi i zaprosiła Andreę do stolika. Rozmawiali głównie o Oposie, o skutkach jego upadku na Ziemię. Wszyscy, jak jeden mąż, wściekali się na durnych polityków, którzy naśmiewali się z projektu Skybolt i blokowali jego wdrożenie.

Z restauracji wyszły razem. Zatrzymały się na jednym z pokładów widokowych i popatrzyły na chmurę po Księżycu. Spłaszczyla się i zaczęła rozplływać łukiem po orbicie.

- Jak sobie radzisz? - zapytała Tory.

Andrea czuła pustkę, niemal winę. Poczucie winy u ocalonych, jak przypuszczała. No coż, u licha, szczęście w losowaniu, nieprawdaż?

- Ciekawa jestem kiedy nas stąd puszczą - powie działa.

- Masz na myśli na dół? - Tory potrząsnęła głową.

- Nieprędko, jak sądzę.

- W samolocie mówili nam o jednym, dwóch dniach.

- Tak. Nie wiem. Tam jest naprawdę kiepsko. Wątpię, żeby cokolwiek tu przyleciało, chyba że okaże się to absolutnie konieczne - popatrzyła na zegarek. - Muszę iść. Jest kupa roboty, a ci durnie odesłali wszystkich na dół.

- Mogę się jakoś przydać? - spytała Andrea. - Nie mam ochoty obijać się z kąta w kąt.

Tory wzruszyła ramionami.

- Nie sędę. Praca jest bardzo techniczna. Jaką masz specjalność?

- Łączność. Na pewno potrzebny jest wam ktoś obsługujący przepływ informacji, prawda?

Tory pomyślała przez chwilę.

- Jasne - zgodziła się. - Może się jakoś przydasz.

Kłęb poksiężycowy zniknął z pola widzenia, poniżej okna.

- Dobrze. Kiedy zaczynam?

- Może chodź ze mną i pogadaj z Windy Crossem?

To mój szef. Nic nie mogę obiecać, ale kto wie?

Camp David. 18:28.

Stratemeyer gniewnie wpatrywał się w ekran.

- Wyjaśnię jeszcze raz, AL Feinberg sądzi, że mamy dziesięć samolotów. Jeden jest rozbebeszony w hangarze, nie da się go poskładać na czas. Jeden zaginął w drodze powrotnej z Księżyca, czy nikt o tym nie pamięta? A trzeci jest na Skyport, tak uszkodzony, że nie zdoła wrócić na Ziemię. Mamy więc tylko siedem, tym się musicie zadowolić.

- Prezydent chciał minimum ośmiu lub dziewięciu.

- Tyle nie istnieje.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL. 19:02.

- Mówi Peggy Bitmauer z centrali LTA w Indianapolis. Jutro rano flotyła samolotów orbitalnych wystartuje z Atlanty by podjąć próbę zmiany kursu Oposa, wielkiej bryły księżycowej skały, która według naukowców we wtorek rano ma spaść na Kansas. Kilka minut temu komisarz Administracji Transportu Księżycowego Harold Stratemeyer powiedział, że cała flota samolotów SSTO została oddana do dyspozycji rządu...

Atlanta. 19:09.

Pete Teillard celebrował wraz z żoną dwudziestą drugą rocznicę ślubu w „Horatio's”, gdzie nie drukowano cen w karcie dań, a jedno kosztowało w okolicach stu sześćdziesięciu dolarów. Zazwyczaj trzeba było rezerwo-

wać stół na tydzień naprzód; ale tego wieczoru trzy czwarte restauracji, podobnie jak całego miasta, świeciły pustkami.

Pete skręcał się w swojej marynarce, czując się nieswojo w obecności niesłychanie ugrzecznionych kelnerów, próbując sprawiać wrażenie, że stale korzysta z takich miejsc. Żona uśmiechnęła się do niego.

- W przyszłym roku - powiedziała, - wybierzemy się do „Steak and Ale”.

Zapisał telefon. Przycisnął klawisz i patrzył jak wysuwa się antena.

- Teillard - powiedział.

- Pete - głos szefa. Z pracy. - Jesteś potrzebny, na tychmiast.

Gapił się na aparat.

- Nie dam rady - powiedział. - Jestem z żoną. W „Horatio's”. Mamy rocznicę.

- Przykro mi, Pete. Naprawdę. Ale muszę cię tu mieć. Sprowadzają SSTO na przeróbki. Robota na wczoraj i nie ma miejsca na żadne okoliczności łagodzące.

Skyport, kontrola lotów. 20:17.

George Culvert gapił się na zbliżenie urwanego ogona. Kadłub był poobijany i poprzepalany, większość czujników trafił szlag, lewe skrzydło zacięło się w pozycji zamkniętej.

- Po prostu nie mamy tu możliwości dokonania na praw, jakie są konieczne, George - mówił szef obsługi technicznej, spokojny, poważny człowiek po pięćdziesiątce. - Ja tego nie podpiszę. Rozleci się, jeśli spróbujesz sprowadzić go na dół.

- W takim razie co teraz?

Technik wzruszył ramionami.

- Nie mój wydział. Ale jeśliby mnie kto pytał, wyciągnąłbym wszystkie sprawne części i złomował resztę.

- Możesz nie mieć wyboru z tym podpisem - rzekł George. - Potrzebne im są wszystkie SSTO.

Oczy technika się zwęziły.

-Już próbowali mnie naciskać, George. Słuchaj, jeśli spróbujesz sprowadzić go na dół, prawie pewne, że nie dolecisz. Powiedziałem to i kierownictwu, i NASA. Jeśli mój szef podpisze papier, wolno mu. Ja tego nie zrobię. A będąc na twoim miejscu, jeśli by podpisali certyfikat, odmówiłbym prowadzenia go. Możesz mnie cytować, jeśli chcesz.

Skyport, kokpit *Copenhagen*. 20:36.

Silniki pracowały.

Nora Ehrlich była wszechstronną kobietą. Oprócz latania wielkim samolotem orbitalnym, umiała dobrze grać na organach, dwukrotnie weszła do rady w swojej szkole i wydała dwie książki o humorystycznych aforyzmach. Atrakcyjne wydarzenia dostrzegała w lot, teraz robiła notatki do trzeciej książki, która miała być poświęcona ewakuacji Bazy Księżycowej i pogoni z Oposem. Była pewna jej sukcesu, miała już tytuł: „Niewidoczna strona”. Rozważała „Skalę zagłady” i „Zagładę Księżyca”, ale „Niewidoczna strona” miała w sobie coś. Swoje pierwsze dwie książki „Golas na autostradzie” oraz „Rozsypcie moje prochy u Scotta & Taylora”, napisała pod pseudonimem i odniosła umiarkowany sukces. „Niewidoczną stronę” wyda pod własnym nazwiskiem. Spodziewała się znaleźć na liście bestsellerów.

Nora pochodziła z Londynu. Wysoka, atrakcyjna jak modelka, rudowłosa. Nigdy nie brakowało jej chętnych na randki, wyszła za bogatego Duńczyka, udawało się jej wszystko, czego się tknęła. Jesienią jej starsza córka miała zacząć studia na uniwersytecie w Zurichu. Jej mąż zginął trzy lata temu w katastrofie lotniczej. Tęskniła za nim, nabrała nieszczęsnego zwyczaju porównywania z nim wszystkich dookoła. Nikt mu nie dorównywał.

Lecz życie bez stałego partnera okazało się nie aż takie złe, jak się spodziewała i była dość zadowolona. Kolidacja z Tomiko, katastrofa dla wszystkich, dla niej zaczęła okazywać się gwiazdką z nieba. Znajdowała się

w samym środku wydarzeń. Wiedziała, że Keith Morley leciał teraz do Oposa, zamierzała namówić go na wywiad z nią. Spodziewała się, że z dnia na dzień zostanie powszechnie znaną osobą, a to na pewno nie zaszkodzi jej książce.

- *Copenhagen* - rozległ się głos z kontroli lotów Skyport. - Gotowi do startu.

- Zrozumiałam. Odliczajcie.

- Sześćdziesiąt sekund.

Jej drugi pilot, Johann Blakeslee, skinął głową. Inżynierem pokładowym była Wendy Carpenter, koleżanka od czasu studiów, siostrzenica Orły Carpentera, dyrektora operacyjnego NASA w Houston.

- Wszystko w porządku - zameldowała Wendy.

Trzydzieści sekund.

Blakeslee był wysoki, jasnowłosey. Ostro ciosany podbródek, czyste, błękitne oczy, rozbrajający uśmiech. Był jednym z nielicznych przystojniaków, wśród poznanych przez Norę, którzy byli cokolwiek warci.

- Czy wiesz, że zgłoszono kilka zażaleń? - spytał.

- Parę osób się obraziło, bo lecimy pustym kursem, a oni nie mogą wrócić do domu. O ile wiem, zrobili piekło w dyspozytorni.

- Nic mnie już nie zaskoczy, Blakes - odparła.

Wystartowali dokładnie o czasie. Standardowy plan lotu do Atlanty obejmował przelot samolotu po trzech czwartych pełnego okrążenia po orbicie, przed rozpoczęciem schodzenia na dół. Teraz jednak, tuż po starcie, bez ostrzeżenia zostali ogarnięci przez chmurę żwiru i pyłu. Uderzyła w samolot zrywając anteny, rozbijając osłonę radaru i okno w tyle kabiny pasażerskiej. Powietrze wypchnęło je na zewnątrz, ciśnienie gwałtownie spadło. Nora wyłączyła silniki i to był poważny błąd. Odłamki nadlatujące szybciej niż samolot i niemal dokładnie od tyłu, wpadły do silników, zapaprały pompy paliwowe, wypełniły komory spalania i niemal doszczętnie zatkaną dysze. Światła ostrzegawcze obu silników za-

płonęły czerwienią.

Kamienie zabębniły o kadłub. Zawyły sygnały ostrzegawcze w przedziale pasażerskim.

Nora połączyła się ze Skyport.

- Tu *Copenhagen* - powiedziała. - Mayday.

- Widzimy. Nic nie róbcie, *Copenhagen*. Czekać chwilę.

Nagle nawałnica ustała. Odezwał się Skyport.

- Nic nie róbcie przez jedno okrążenie. Opuszczacie samolot. Podejmie was Koreshev.

- Nie możemy tego zrobić. Samolot jest potrzebny.

- Zapomnijcie o tym.

- Tak, mogę go uratować - powiedziała. - Odpalę silniki i wrócimy.

- Zabraniam, *Copenhagen*. Nie otrzymujecie zezwolenia na odpalenie silników.

Oczy Blakeslee zrobiły się okrągłe.

- Oni mają rację. Nie możesz tak ryzykować.

- Włączę jeden - powiedziała. - Potrzebny nam jest tylko jeden.

Blakeslee potrząsnął głową. Kiepski pomysł. Wendy pochwyliła spojrzenie Ehrlich i skinęła głową. Zrób to.

- Nie próbujcie wracać - rozkazała kontrola lotów.

- *Copenhagen*, proszę o potwierdzenie.

Nora użyła silniczków korekcyjnych do ustawienia samolotu. Potrzebne jej było tylko niewielkie podwyższenie orbity. Odrobina przyspieszenia.

- Tracimy kontakt, Skyport - powiedziała. - Nie słyszemy was.

Zerknęła na Blakeslee.

- Gotów?

Skinął głową.

Prawoburtowy silnik odpalił nie w osi i płomień trafił w zbiornik paliwa, który momentalnie eksplodował. Wybuch rozłamał samolot na pół i wywołał serię wtórnych eksplozji. Pobliski satelita zarejestrował przebieg wypadku.

Oślepiające światło zgasło dopiero po dobrej mi-

nucie.

12.

RAPORT SPECJALNY FOX MEDIA. 21:18
**Fragment wywiadu z fizykiem J. Robertem Collinsem
z Princeton, prowadzi Harmon McMichael.**

Collins: ...trzysta tysięcy megaton. Osobiście uważam, że nikt w całej Północnej Ameryce nie będzie bezpieczny.

McMichael: Miejmy więc nadzieję, że uda im się pozbyć tego drania.

Collins: O tak. Nie ma żadnych wątpliwości, że trzeba go usunąć.

McMichael: Jakie według pana są szansę powodzenia?

Collins: Można powiedzieć, że jestem ostrożnie optymistyczny.

Skyport, gabinet dyrektora operacyjnego. 21:32.

Belle wprowadziła go z sekretariatu.

- George, cieszę się, że przyszedłeś - powiedziała.

Była zmięta, zatroskana, zmęczona.

George usiadł w fotelu.

- Brakuje wam jednego samolotu - powiedział.

- Tak, właśnie dlatego jesteś nam potrzebny.

Skinął głową. Nie mógł wprowadzić samolotu w atmosferę, ale spokojnie mógł pomóc przy Oposie.

- Trzeba wymyślić sposób na zakotwiczenie - powiedział.

- Myśleliśmy o tym. Powinno się udać przywiązać cię liną. Tego mamy dużo - w oczach czaiła się jej troska. - George, musisz zrozumieć, że to będzie prowizorka. Przywiążemy cię najlepiej jak się uda, ale ryzyko jest spore. Jeśli coś się urwie w czasie pełnego ciągu...

Wiedział przecież.

- Nie powinno być wcale tak trudno upewnić się, że

nic takiego się nie przydarzy - świetnie wiedział jak optymistyczne jest to stwierdzenie. - Czy macie jakichś inżynierów pod ręką?

- Nikogo z doświadczeniem w takich sytuacjach - a kto mógłby mieć tego typu doświadczenie, zdziwił się George w duchu, - ale zorganizujemy ci pomoc - postu - kała palcami po blacie. - Kiedy operacja się zacznie, chcemy żebyście wszyscy byli w skafandrach.

Na wypadek, gdyby samolot pękł.

- Jasne - potwierdził George. - To raczej dobry pomysł.

13.

Staunton, Wirginia. 23:08.

Jack Gallagher leżał w łóżku, przeglądając ostatni numer „The Patriot”, kiedy zadzwonił telefon. Ann podniosła wzrok znad wiadomości CNN, które szczegółowo opisywały przegrupowanie samolotów orbitalnych do Atlanty w celu dokonania przeróbek.

Jego nastoletni syn był w szkole z internatem, więc telefony późno w nocy zdarzały się bardzo rzadko.

- Halo?

- Jack - głos Steve'a. - Możesz tu przyjechać?

Jack był kucharzem w restauracji brata. Nie znosił tej roboty. Nie było po temu szczególnych powodów. Steve traktował go całkiem dobrze, płacił nieźle, godziny pracy były akceptowalne. Ale nie miało to przyszłości, wiedział, że za trzydzieści lat nadal będzie kucharzem. Dla tego podobało mu się w Legionie: był majorem. Ludzie mu salutowali, traktowali poważnie.

- Co się dzieje? - zapytał.

(Zawsze starał się unikać używania rangi Steve'a, kiedy Ann była w pokoju. Nigdy nic nie powiedziała, nie okazała braku akceptacji. Ale w jej obecności brzmiało to śmiesznie.)

- Po prostu przyjedź, okay? Mamy kaczkę na stawie.

Oznaczało to, że ma przyjechać uzbrojony. Czyli zagrożony był Legion. Albo, że zaczyna się ofensywa. Lecz o co tu, do cholery, chodziło? Pomimo inklinacji do przyłączania się do ogólnego psioczenia na rząd, Jack Gallagher nigdy nie myślał, że naprawdę dojdzie do strzelaniny. To było tylko gadanie.

- Czekam - Steve przerwał na chwilę. - Bez munuru.

Ann popatrzyła na niego.

- Jest późno, Jack.

- Sprawy Legionu, kochanie - powiedział. - Wrócę za jakąś godzinę.

Była przyzwyczajona do nocnych ćwiczeń i nie narzekała.

- Spróbuj wrócić do domu o jakiejś sensownej godzinie - powiedziała.

Dziesięć minut później Jack wyjechał z podjazdu otaczającego ich mieszkalną przyczepę, skręcił w Banner Street i skierował się na zachód szosą numer 250. Dom Steve'a znajdował się kilka mil za miastem, nad Middle River. Właściwie było to rancho, sympatyczne miejsce, zajmujące trochę ponad trzy hektary.

Jack zobaczył Chevroleta pickupa Tada Wicketta na podjeździe. Zatrzymał się obok, otworzyły się drzwi frontowe. W świetle padającym ze środka stanęła sylwetka pułkownika.

- Cześć Jack - powiedział. - Wygląda na to, że na deszła nasza noc.

Miał na sobie ciemne, odprasowane spodnie i wciągana przez głowę wełnianą koszulę z emblematem producenta na lewej kieszeni na piersi.

Tad siedział w salonie, bawiąc się puszką Coca-coli, oczy miał całkowicie bez wyrazu. (Lubił piwo, ale Steve nigdy nie pozwalał na łączenie służby i alkoholu. Wyraźnie zanosilo się na akcję). Spojrzenie Tada musnęło Jacka i powędrowało w stronę jednego z trofeów zdobytych przez pułkownika w kręgle. Tad nie do końca akceptował Jacka Gallaghera.

Spędził pięć lat w wojsku. Otrzymał pochwałę za

odwagę, gdy marines lądowali w Benghazi uwalniając zakładników z zachodnich państw. Dosłużył się stopnia starszego sierżanta, zdegradowano go za bójki i niesubordynację, w końcu dostał się pod sąd wojenny za zaatakowanie porucznika. Od tamtej pory dojrzał jednak. *Teraz* był idealnym oficerem. Zrobił na Steve'm takie wrażenie, że już po trzech latach w Legionie otrzymał patent.

W życiu prywatnym Tad pracował w tartaku. Był solidnym człowiekiem, regularnie chodzącym do kościoła, deklarującym miłość do Stanów Zjednoczonych oraz mającym skłonności do okrucieństwa, którymi mógłby zadziwić średniowiecznego pomocnika katowskiego. Nie wiedział gdzie jest jego rodzina. Żona rzuciła go dwa lata temu, zabierając obu synów. Podobnie jak wielu innych przyglądał się z niepokojem rozkładowi społeczeństwa, zanikiem wartości, stałym pogłębianiem się wściubiania we wszystko nosa przez rząd federalny i jego agencje, powolnym sprzedawaniem się Narodowi Zjednoczonym i podrzędnym rasom. Robi się coraz gorzej, powiedział kiedyś Jackowi. Dzisiaj wolny człowiek może wyswobodzić się spod ucisku, jeśli musi. Może udać się do Argentyny, Sri Lanki, gdziekolwiek. Jednak wkrótce powstanie światowy rząd i nie będzie dokąd uciekać.

- Widziałeś wiadomości? - zapytał pułkownik, pod stawiając Jackowi krzesło. - Na temat SSTO?

Jack usiadł, przyjął szklankę soku jabłkowego.

- Tak, Steve. Widziałem.

- Co o tym sądzisz?

- Nadlatuje wielka skała. Mam nadzieję, że zdołają ją powstrzymać.

Steve rozsiadł się wygodnie na sofie i *zalażył* nogę na nogę.

- Jack, wiesz, że dziś wieczorem stracili jeden z samolotów?

- Słyszałem.

- Znaleźli coś w zamian. Mówią, że wciąż jeszcze mają dosyć, żeby odepchnąć tę skałę.

- Chyba nie bardzo rozumiem do czego zmierzasz - wyznał Jack.

Wolałby, żeby Tada tu nie było. Były marinę w jakiś sposób go niepokoił. Wciąż młody, tuż po trzydziestce, zwarty, muskularny, lekko emanujący wrogością. Oczywiście miał twarde, a w kącikach ust czaił mu się wyraz okrucieństwa.

Uśmiechnął się teraz, jakby dokładnie takiej wypowiedzi spodziewał się po Jacku, jakby ten czytał ze scenariusza. Tad nie okazywał żadnych uczuć, z wyjątkiem chwil, które jemu sprawiały przyjemność, tak jak teraz. Jackowi wydawało się, że jest zupełnie pozbawiony związków z życiem nie będącym służbą w milicji.

Steve pochylił się do przodu, ze zwężonymi oczami.

- Pomyśl. Co się stanie, jeśli Opos spadnie?

- Zginie mnóstwo ludzi - odparł Jack. - A media twierdzą, że kraj tego nie przetrwa.

Tad uniósł szklankę w milczącej zgodzie.

- Rząd nie przetrwa - powiedział. - Instytucje trafi szlag, oni to mówią. A pytanie, na które musimy znaleźć odpowiedź jest następujące: czy to źle?

- To źle, jeśli razem z tym zginie cały Środkowy Zachód, a może i reszta nas, co według nich właśnie się zdarzy.

- Ależ Jack - wtrącił się pułkownik. - Tad ma rację. To media tak twierdzą. Od kiedy zacząłeś im wierzyć? Oni też należą do wyzyskiwaczy. Nie sądzisz, że chronią własne tyłki?

Odsunął zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Odległa latarnia oświetlała drogę dojazdową.

- Czy nie na coś takiego właśnie czekaliśmy?

Jack poczuł ucisk w brzuchu. Był lojalny wobec Legionu. Lojalny wobec Steve'a. Wykonywał swoją część roboty. My przeciwko rządowi. Pewnego dnia im pokażemy. Lecz broń nigdy nie była nabita. Nigdy nie będzie nabita. Nie naprawdę. To była część niepisanego porozumienia.

- Co chcecie zrobić? - zapytał.

- To proste. Jedziemy do Atlanty. Ty, Tad i ja rozwalimy jeden SSTO. Nic więcej nie musimy robić: uszko-

dzić tylko jeden. Jeśli to zrobimy, to koniec. Opos spadnie i rząd zniknie w ciągu kilku tygodni. Może nawet dni.

- Boże - zachłysnął się Jack. - Ilu ludzi zabijemy?

Steve smutno pokiwał głową.

- Zbyt wielu - przyznał. - Ale cena wolności zawsze jest wysoka. Na szczęście tę cenę człowiek zawsze był gotów zapłacić.

Dolał mu do szklanki. Oczy błyszczały mu w świetle.

- Jack, nie uważasz, że wykorzystałbym inny sposób, gdyby istniał? Ale to jest wszystko co mamy. To jest to. Okazja zesłana przez Boga i przestępstwem byłoby nie wykorzystać jej z powodu jakichś zbędnych skrupułów.

- Skrupułów? Steve... - słowa nie chciały mu przejść przez gardło.

Jack zawsze považał brata, nigdy nie widział go robiącego cokolwiek złego. Steve Gallagher był odważny i prawy. Jego kłamstwo o pozycji wśród Rangersów się nie liczyło, bo potrzebny mu był dodatkowy prestiż by zapewnić sobie kontrolę nad Legionem. Jack to świetnie rozumiał. Lecz to było straszliwe zło. Przyszło mu do głowy, że brat naczytał się zbyt wielu instrukcji, zaczął wierzyć we wszystko *co* mówi, we wszystko, co dawało mu władzę.

Pułkownik zamknął oczy.

- Wiem - powiedział uspokajająco, - wiem dokładnie co chcesz powiedzieć. Przemyślałem to. Lecz czyż na dłuższą metę nie lepiej jest, by w kraju żyło kilka tysięcy wolnych ludzi, niż trzysta milionów niewolników? Taka jest teraz sytuacja, Jack. Wiesz to równie dobrze jak ja.

Tad obserwował Jacka bardzo uważnie. Steve pochylił się do przodu.

- Jaka jest więc twoja odpowiedź, Jack?

- Nie - głos się trząsnął Jackowi, nigdy bowiem dotąd nie powiedział tego słowa do brata. — Nie zamierzam brać w tym udziału.

- Okay - pułkownik skinął głową. - Rozumiem, jak się czujesz. Szanuję to.

Dzięki Bogu.

- Czyli poszukamy innego sposobu?

- Szukaliśmy innej drogi. Robiliśmy to przez całe lata. Jack: Tad i ja wykonamy to zadanie - popatrzył na Tada, który miał rozradowane oczy. - Lecz rozumiem, że masz opory moralne, które nie pozwalają ci w tym uczestniczyć.

-Pułkowniku...

- W porządku.

Kurtka Tada *leżała* niedbale rzucona na stoliku. Teraz podniósł ją, prawą rękę wsunął nieznacznie do kieszeni. Pułkownik zasygnalizował nie i dłoń wycofała się.

- Jestem bardzo rozczarowany, Jack - powiedział Steve. - Myślałem, że będziesz chciał być przy tym razem z nami.

- Nie. Nie pojmuję, jak możesz mówić coś takiego. Nigdy nie chciałem nikogo zabić.

- No *to* muszę cię spytać, *co* robiłeś przez te wszystkie lata w oddziale wojskowym? Co to było? Jakiś żart z twojej strony?

-To nie jest akcja wojskowa, Steve. To masowe morderstwo. Tego chcesz? Steve zamknął oczy.

- Okay. Przykro mi, że widzisz to w ten sposób, Jack - popatrzył na Tada. - Miałeś rację. Nie powinniśmy byli go do tego mieszać.

Tad ledwo dostrzegalnie skinął głową.

- Nie mogę cię teraz puścić wolno - powiedział Steve z irytacją i żalem w głosie. - Będziesz musiał pójść z nami.

- Za pozwoleniem, pułkowniku - wtrącił się Tad - będzie nam przeszkadzał. Trzeba będzie go bez przerwy pilnować.

- Rozumiem problem - odparł Steve - ale nie mamy wielkiego wyboru. A ja nie chcę mieć krwi brata na swoich rękach.

Wpatrywał się w Jacka, który miał kłopoty ze zrozumieniem co się z nim dzieje.

- Na szczęście jestem przygotowany.
Wyjął parę kajdanek.

BBC WORLDNET 23:55.

Dr Alice Finizio z Jet Propulsion Laboratory.

Wywiad prowadzi Connie Hasting.

Finizio: (Obie kobiety stoją przed mapą Stanów Zjednoczonych). Przewidujemy, że kolizja nastąpi tutaj, Connie, w pobliżu autostrady międzystanowej 135 w gminie Chase, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Wichita i Topeka. (Na mapie, w stanie Kansas, pojawia się koło. Rozszerza się, dochodzi do Kanady i Meksyku, rozciągając się z grubsza od wschodniego Utah na zachodzie do Columbus w Ohio). Oto pierwsza strefa skutków eksplozji. W tym obszarze nie ocaleje niemal nikt.

Hasting: (Zduszonym głosem) To obejmuje Chicago, St. Louis, Dallas...

Finizio: ...Minneapolis. Lansing, Fort Wayne. Obawiam się, że całe centrum kraju. Żałuję, że nie możemy być bardziej optymistyczni. (Pojawia się drugie, bledsze koło, obejmuje duże części Kanady i Meksyku, całe Stany Zjednoczone za wyjątkiem Oregonu, stanu Waszyngton i północnej Kalifornii na zachodzie, oraz Florydy i Nowej Anglii na wschodzie.) To koło oznacza obszar zniszczeń od poważnych do umiarkowanych. Ludzie żyjący na tych obszarach, jeśli podejmą środki ostrożności, powinni przeżyć samą eksplozję.

Hasting: Samą eksplozję?

Finizio: Rokowania na dłuższą metę są dość mame. Wybuch wyrzuci do atmosfery chmurę pyłu, która rozprzestrzeni się po całej planecie i na dziesiątki lat przesłoni słońce. Zrobi się zimno i tak już zostanie, Connie...

(Obraz migocze i znika. Pojawia się prowadząca w studio BBC.)

Studio: Mamy techniczne problemy na łączach. Powrócimy do Jet Propulsion Laboratory najszybciej jak się da. Na razie mamy relację z Federal Emergency Management Agency, jak przygotować się do upadku meteorytu...

Fizyka i polityka

Poniedziałek, 15 kwietnia

1.

Zakiady Obsługi SSTO w Hartsfield, Atlanta. 2:55.

Dwa SSTO stały w hangarze, jeden czekał na zewnątrz. Grupy mechaników obsiadły wszystkie trzy. Błyskały iskry z aparatów spawalniczych. Zdjęto płyty zewnętrznego poszycia i technicy grzebali w obwodach elektrycznych.

Szef załogi był zadowolony, że prace przygotowawcze już się kończyły. Wciąż jeszcze pozostawało pytanie jaki typ haków zostanie użyty, a tego nie da się ustalić zanim ten, kto opracowuje analizy powierzchni Oposa nie określi jaką muszą mieć charakterystykę. Lecz kiedy tylko się tego dowiedzą, pozostanie już jedynie wsadzenie ich w łączniki, zakończenie połączeń i wmontowanie całości w gniazda.

- Cztery godziny - powiedział dyrektorowi swojego wydziału. - Minimum.

- Cztery godziny? - dyrektor otarł usta wierzchem dłoni. - Słuchaj, Arvy, sam cholerny prezydent Stanów Zjednoczonych pobiera próbki...

- Coż, dzięki temu czuję się dużo pewniej.

- Miej tylko wszystko gotowe, okay?

AstroLab. 4:11.

Kiedy odezwał się telefon, Feinberg spał w swoim gabinecie na kanapie. Dzwonił Al Kerr: prezydent byłby ogromnie wdzięczny, gdyby profesor zechciał dołączyć do zespołu mającego poradzić sobie z Oposem.

Zawahał się. Nie lubił samolotów, raket jeszcze bardziej. Protestował, twierdząc, że bardziej się przyda w AstroLab, ale Kerr nalegał. Prezydent był przekonany, że obecność profesora na miejscu może okazać się bardzo cenna w razie kłopotów.

- Poza tym - dodał Kerr konspiracyjnym tonem - kraj jest ogarnięty paniką. Jeśli pan tam polecisz, ludzie poczują się lepiej.

- Potrzebują mnie, żebym ich trzymał za rękę - powiedział Cynthii parę minut później. - Chcę mieć z tobą kontakt w razie potrzeby. Zostań tutaj. Jeśli będziesz musiała, prześpij się w gabinecie, ale bądź cały czas w pobliżu.

Helikopter eskorty wojskowej, gotów zabrać go do Atlanty, już czekał na niego. Dlatego też, kiedy w nieco ponad godzinę później OPoK-38 osiągnął apogeum i zawrócił w stronę Ziemi, pracami w AstroLab kierowała Cynthia Murray.

Sterownia „Percivala Lowella”. 5:42.

Rachel Quinn weszła na kurs równoległy do OPoKa-38. Okrążyli obiekt i zaczęli sporządzać mapę powierzchni. Zrobili liczne, szczegółowe zdjęcia, skupiając się na obszarach zasugerowanych przez Feinberga, który utrzymywał z nimi kontakt z wojskowego helikoptera lecącego nad Pensylwanią.

Kapelan spytał, jak mógłby pomóc i Rachel *pokazała*, mu jak obsługiwać aparaturę przetwarzającą obraz. Było to naprawdę proste. Kiedy Feinberg, zaglądając do notesu poprosił o przesunięcie albo obrót obrazu, czy też po prostu kontynuowali przegląd, kapelan wciskał odpowiednie guziki.

Kiedy uznali, że mają dość danych, Rachel ustawiła statek wzdłuż Oposa i wprawiła go w synchroniczny

z meteorom ruch wirowy tak, że skała za iluminatorami znieruchomiła, za to gwiazdy i Ziemia zaczęły koziółkować. Feinberg zaproponował kilka miejsc zakotwiczenia samolotów i Rachel zaczęła powoli podchodzić do pierwszego z nich. Statek obrócił się nieco, skorygował położenie.

Siedzący w prawym fotelu Charlie przyglądał się, jak zbliża się urwista ściana, przekrzywia się, przesuwając poza okno, staje się równiną. Zaczął odczuwać kłopoty żołądkowe. Kapelan uśmiechnął się i powiedział, że za minutę będzie po wszystkim.

- Proszę spróbować myśleć o czym innym - powiedział.

Charlie patrzył przez okno na kawał pozaziemskiego terenu. Nie krajobraz księżycowy; było to raczej mnóstwo wzgórz i dolin, panorama, w której tkwiła drzemiąca płynność. Ta część Oposa przypominała mu Black Hills w Dakocie, w których był jako chłopiec w czasie krajoznawczych wakacji. One też, tak jak to ponure miejsce, powstały w wyniku gwałtownej erupcji wulkanicznej i szybko zastygły. To była „Prowincja”, kopulasty obszar stanowiący trzy czwarte powierzchni Oposa. Skały były ciemne, prawdopodobnie osmalone ogniem eksplozji. W oddali widniało „Samotne Urwisko”, długa, pionowa ściana, w tym dość monotonnym terenie wyróżniająca się kanciastością.

Morley znów miał mikrokamerę, którą wyprosił od Rachel. Teraz wykorzystywał ją do przesyłania zbliżeń, jednocześnie opisując wykonywane zadanie. Jak wyjaśnił, zostaną pobrane próbki, których analiza dostarczy informacji na temat gęstości, co pozwoli na oszacowanie masy meteoru. Zaczynają tutaj, ponieważ jest gładko i będzie można zdobyć pewne doświadczenie przed badaniem bardziej nierównego terenu.

Lecz nawet Morley nie potrafił sprawić, by przygotowania do pobrania próbek skały wyglądały interesująco, więc po dziesięciu minutach odmeldował się, obiecując odezwać się jeśli wydarzy się coś interesującego.

Powiedział to ze specyficznym przydechem, jakby sądził, że coś się wydarzy, że musi się wydarzyć.

Pobranie próbek było zadaniem Cochran'a i kiedy zameldował, że sprzęt jest prawie gotów, pozostałe dwie osoby wchodzące w skład "zespołu kamieniarzy" - Saber i Evelyn - zeszły na dół i zaczęły przebierać się w skafandry.

Charlie protestował, twierdząc, że doświadczenie Evelyn w spacerach na zewnątrz nie równoważy braku siły fizycznej, że to on powinien być trzecim członkiem zespołu, ale Rachel była nieugięta. Nie będzie ryzykować życia prezydenta i koniec dyskusji. Była dowódcą statku i mogła wydawać takie rozkazy. Charlie zauważył, że czuła się przy tym bardzo nieswojo, więc wycofał się. Zdał sobie zresztą sprawę, że miała rację. Strata kolejnego przywódcy była ostatnią rzeczą jakiej kraj potrzebował.

Rachel delikatnie posadziła „Lowella” na powierzchni. Ponieważ nie istniała tu żadna znacząca siła ciężenia, musiała użyć silniczków korekcyjnych by utrzymać się w miejscu. Sterownia znajdowała się wystarczająco wysoko, by mieć widok ponad większością kopców, więc Charlie przyglądał się horyzontowi, odległemu - jak się zdawało - mniej więcej tak, jak przeciwległy koniec boiska piłkarskiego. Był prosty, nie wygięty łukowato i Charlie czuł się jak przy krawędzi wyżyny.

Kiedy Rachel zasugerowała, z wyraźnym ociąganiem, że przydałaby się jego pomoc przy wiertni laserowej, ochoczo się zgodził. Dodała, że nie będzie mogła się doczekać opowiedzenia wnukom jak to kiedyś dawała wskazówki prezydentowi USA.

Wiertnia była wielkości dużego traktora rolniczego. Na masce miała zamontowany okrągły reflektor, z którego emitowany był promień laserowy. Po obu stronach widniały dwie elastycznie zamocowane rury próbujące, każda innej średnicy.

Operator, siedzący na siodełku, mógł ręcznie opuszczać, podnosić i wysuwać reflektor do przodu, albo oddać sterowanie całą robotą komputerom pokładowym.

Półprzewodnikowe serce systemu znajdowało się w czarnym pudle przed operatorem.

Maszyna normalnie poruszała się na sześciu niezależnie zawieszonych kołach, co w nieważkości panującej na powierzchni Oposa na niewiele mogło się zdać. Szarpanie się z nią tutaj na pewno nie będzie łatwe.

Wiertnia była duża, niezdarna i miała tendencję do pozostawania w jednym miejscu. Kiedy w końcu zmusili ją do ruchu, bardzo trudno było nią sterować, podobnie jak zatrzymać. Cochran ostrzegł, że kiedy już znajdą się na zewnątrz, muszą się bardzo pilnować, żeby jej nie zgubić.

Charlie nie był w najlepszej kondycji, ale potrafił sobie wyobrazić całą sytuację: Opos obracał się dość szybko i próbował zrzucić z siebie wiertnicę laserową razem z trójką astronautów. W rezultacie, kiedy znajdą się poza statkiem konieczne będzie zamocowanie maszyny do podłoża. Sytuację komplikował fakt, że skafandry „Lowella” nie były wyposażone w przyczepne buty, więc najpierw będą musieli zakotwiczyć się sami. Rozmontowali moduły, które miały na Marsie posłużyć jako pomieszczenia mieszkalne, w poszukiwaniu lin i prętów, z których sporządzili kotwice. Na pewno zapowiadała się mocno niezdarna operacja. Charlie założył skafander, żeby być gotowym do wyjścia na zewnątrz w razie kłopotów.

Morley zszedł na dół i *przekazał* na żywo załadowanie maszyny do śluzy. Potem weszli tam sami, zamknęli klapę, i kilka minut później wydostali się na powierzchnię Oposa.

Charlie otrzymywał informacje o tym co się dzieje przez słuchawki oraz z kamer zamontowanych na kądłubie.

Kamieniarze, przyczepieni do statku linami bezpieczeństwa, ściągnęli wiertnicę na powierzchnię.

- Na razie idzie nieźle - powiedział Cochran. - Pod noście spokojnie. Żadnych nagłych szarpnięć, dobrze?

- Mam - odezwała się Evelyn. - Patrzcie, odpływa.

- Cholera, Evelyn, to ty dryfujesz. Wybierz trochę liny.

- Zupełnie jakby się próbowało zatrzymać słońca.

- Potrzebujecie pomocy tam, na zewnątrz? - zapytała Rachel. - Mam wysłać prezydenta?

-Nie.

Doholowali maszynę na miejsce i umocowali linami.

Kiedy skończyli Cochran przerzucił nogę nad siodełkiem.

- Ustawiam na jeden metr. Włączam zasilanie.

W chwilę później z czarnego pudła wytrysnął rubinowy promień, który odbił się od reflektora, wpadł w soczewki, zmienił kierunek o dziewięćdziesiąt stopni w stronę podłoża. Po kilku sekundach grunt zaczął wrzeć. Uniosła się chmurka dymu i, na polecenie Cochrana, jedno z modliszkopodobnych ramion wyciągnęło się w stronę skały, obracając się z dużą prędkością. Kiedy operator uznał, że starczy, wycofał próbnik i umieścił zawartość w błyszczącym, plastikowym pudełku. Potem przestawił głębokość na cztery metry i powtórzył proces.

Pobrali próbki do głębokości dwunastu metrów. Potem wrócili do statku, przekazali je Charliemu, a Rachel przeniosła ich w następne miejsce.

Charlie opisał próbki i dostarczył je Morleyowi, który razem z doktorem Elkhartem przeszli krótki kurs obsługi laboratorium geologicznego „Lowella”. Przeprowadzili na rdzeniach kilka prostych testów, których wyniki obserwowała Cynthia Murray w AstroLab, przekazując je Feinbergowi.

Kapelan zastanawiał się na głos, czy próba zmiany orbity Oposa na stabilniejszą nie stwarza dodatkowego zagrożenia.

- Kiedy samoloty orbitalne włączą ciąg - powiedział Charliemu - sądzę, że będą musiały doprowadzić do sukcesu. Bo jeśli nie, zmienią tylko miejsce upadku, prawda? Wtedy już nikt nie będzie wiedział, gdzie to nastąpi.



Charlie nie zdradził się ze swoim przekonaniem, że jeżeli sprawy zajdą aż tak daleko, konkretny punkt nie będzie miał żadnego znaczenia.

**Punkt Stałego Przesiedlenia, Bismarck, Północna Dakota.
5:11 Centralnego Czasu Letniego (6:11 EDT).**

Marilyn słyszała odległe głosy, poruszenia, dźwięk silników ciężarówek. W wojskowym namiocie, który dzielili z dwudziestką innych osób, było zimno. Niektórzy współmieszkańcy byli gośćmi u Louise, choć ona sama zniknęła, porwana przez tłumy przybywające bezustannie autobusami i samolotami z całego kraju.

Ludzie stali w namiocie, oszołomieni, przestraszeni, odkrywając jak bardzo brakuje im takich udogodnień jak codzienny prysznic i spokojnie zjedzone śniadanie. O prywatności, oczywiście, nie było mowy. Marilyn zdała sobie sprawę, że to był luksus cywilizacyjny.

- Chodźcie wszyscy - rozległ się przenikliwy głos. Marilyn potrzebowała dłuższej chwili, żeby zobaczyć kto to mówi - drobna, siwowłosa kobieta w paskudnej, brązowej sukience z czerwono-zieloną opaską na ramieniu identyfikującą ją jako ochotniczkę z Civil Emergency Corps. - Wyjeżdżamy. Autobusy będą tu za dwadzieścia minut.

Larry obrócił się na połówym łóżku i popatrzył na nią. Powietrze wczesnego poranka było zimne i wilgotne.

- Co się dzieje? - zapytał. - Znowu się gdzieś przenosimy?

Starszy człowiek próbował wciągnąć spodnie, jednocześnie osłaniając się kocem.

- Jesteśmy zbyt blisko Kansas - powiedział. - Słyszałem, że przenoszą nas do Saskatoon.

Larry przewrócił oczami.

- Gdzie, u diabła, jest Saskatoon?

- Gdzieś w Kanadzie.

Ktoś odchylił połę namiotu i zimny wiatr wdarł się do wnętrza.

- Na północy - wyjaśniła Marilyn. - Znow jedyemy na północ.

AstroLab. 7:17.

Opos zbudowany był przede wszystkim ze skał krystalicznych: plagioklazu, piroksenu, ilmenitu, oliwinu i innych. Wielkość i ułożenie kryształów wskazywały na to, że wytraściły się w płynnej lawie. Oczywiście, biorąc pod uwagę okoliczności, trudno by kogokolwiek to zaskoczyło. Lecz meteor powinien być wystarczająco spisty, myślał Feinberg, żeby utrzymać mocowania. Przekazał swoje wnioski, wraz z zalecanymi charakterystykami zakotwień do Johnson Space Center. Stąd specyfikacje trafiły do producenta oraz do LTA w Hartsfield. Producent poinformował, że już wysłał dwadzieścia cztery zestawy każdego modelu, jaki miał szansę zostać użyty, więc haki powinny znajdować się w Atlantycie i czekać na montaż.

Wiadomość tę przekazano Feinbergowi, który właśnie lądował w Hartsfield.

Starał się na bieżąco śledzić zmienne losy SSTO. Ostatniej nocy, kiedy jeden z nich został zniszczony w czasie próby powrotu ze Skyport, poinformowano go, że mają już tylko sześć i że musi znaleźć sposób, by sobie pomimo to poradzić. Kiedy wyjaśnił Orły Carpenterowi w NASA, że to po prostu niemożliwe, skądś wytrzasnęli jeszcze jeden.

Cholerni biurokraci. Grają swoje gierki nawet kiedy stawką jest przetrwanie życia na planecie.

Carpenter *czekał* na niego na lądowisku. Przyszły obrazy z „Lowella”, więc udali się do kabiny wirtualnej szukać miejsc zakotwiczenia. Feinberg gapił się na Oposa, koziołkującego, obracającego się wzdłuż długiej osi raz na pięćdziesiąt trzy minuty i jedenaście sekund.

Odczuwał szczególną satysfakcję. Poświęcił życie na spokojne gromadzenie wiedzy, która nie powinna mieć żadnego praktycznego zastosowania. A jednak tu mógł zaprząć swój zawód do ratowania, Boże!, Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a *może* nawet całej cywi-

lizacji. Nieźle jak na astrofizyka. Będzie to porywająca kulminacja życia, spędzanego pomimo wszystkich na gród w stosunkowym cieniu. Oczywiście sama wiedza jest wystarczającym uzasadnieniem. Poznanie jak działa Słońce, dlaczego powstały galaktyki, jak długo będzie żyć konkretna gwiazda. Takie zagadnienia były właściwą drogą poszukiwań dla ludzkości. Nieważne, że z nich nie wynikną plany lepszego budynku mieszkalnego, czy sposób na zmuszenie ekonomii do grzecznego zachowania. (Kwestia praktycznych zastosowań doprowadziła go do furii w zeszłym roku, kiedy kolejne starania o sfinansowanie akceleratora przeciwbieznego zakończyły się fiaskiem. Kongres spytał o zyski, jakie będą płynęły z poznania przebiegu kreacji; a fizyk nie potrafił na to odpowiedzieć, więc politycy kompletnie zdyskredytowali te badania.)

A jednak, miło było stosować swoją wiedzę w praktyce. Mieć świadomość, że tylko dzięki istnieniu astronomów cywilizacja może przeżyć.

-Tu - powiedział, podświetlając punkt z tyłu, wysoko na „Prowincji”. -1 tu - w stronę przedniej części „Równiny”.

- Prawdziwy kłopot w tym, że mnóstwo terenu jest zbyt nierówne. Nie zdołają tam podejść wystarczająco blisko, żeby zakotwiczyć samoloty. A w niektórych miejscach podkład z lawy jest zbyt słaby. Ale damy radę.

W końcu dobrali siedem miejsc.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL. 7:20.

- Mówi Shannon Gardner z centrum St. Louis. Jestem tylko o kilka mil od Valley Park, miejsca, gdzie się to wszystko zaczęło. Dziś mija tydzień od chwili, gdy w czasie zaćmienia słońca młoda kobieta zauważyła kometę. Od tego pamiętnego popołudnia, zginęły niezliczone rzesze ludzi, spustoszone zostały kraje na całym świecie, straty materialne sięgają bilionów dolarów, a najgorsze ze wszystkich zagrożeń wciąż wisi nad naszymi głowami. W tle widzicie państwo plądrujących ludzi. Zostało tu bardzo niewiele policji, która mogłaby ich powstrzymać. Na mniej niż dwadzieścia cztery godziny przed przewidywanym uderzeniem Oposa w Kan-

sas, kto mógł opuścić miasto, zrobił to, pozostali *tu* tylko zbyt biedni, albo pozbawieni nadziei.

Autobusy, które sprowadziło tu miasto oraz różne organizacje obywatelskie już odjechały. Autostrady wokół opuszczonej metropolii są zablokowane zepsutymi samochodami. Można się stąd wydostać jedynie drogą powietrzną. Albo na piechotę. Kiedy udamy się na lotnisko, porzucimy nasz wóz transmisyjny. Jeśli będziemy mieli szczęście i grupa operacyjna prezydenta, złożona z samolotów orbitalnych dokona tego, co jak się uważa, jest w stanie zrobić, może zdołamy wrócić tu i odzyskać go. Może....

(- Hej, co robicie... (Chrapliwy głos spoza zasięgu kamery) -
(Czekaj no, suko... (Kamera obraca się gwałtownie w stronę nieba, lecz widzowie słyszą odgłosy szamotaniny, krzyki reporterki.)

(Przejdźcie do studia, do Bruce'a Kendricka.) - .Nasza ekipa terenowa w St. Louis najwyraźniej ma problemy techniczne. Wrócimy tam, kiedy tylko ponownie nawiążemy łączność. Tymczasem, posłuchajmy co ma do powiedzenia Jay Hardin, który stoi w miejscu przewidywanej kolizji w gminie Chase, w Kansas.

2.

Zakłady Obsługi SSTO w Hartfield. 8:14.

W Hartsfield stało teraz pięć SSTO. Przysłane haki połyskiwały w skrzynkach, z których technicy brali je do instalacji.

W sąsiednim budynku Orły Carpenter informował załogi jak używać nowego wyposażenia. Carpenter był wysoki, kanciasty, z burzą siwych włosów, które w czasach, kiedy jeszcze był astronautą miały tak ja-skrawą barwę, że zapewniły mu przydomek „Rudy”. Zazwyczaj wykładał bardzo energicznie, dziś jednak był przygaszony, prawdopodobnie z powodu rodzaju zadania czekającego samoloty, a możliwe, że wciąż jeszcze usiłował zapomnieć stratę *Copenhagen* i śmierć siostrzenicy Wendy.

Załogi siedziały w zatłoczonej salce konferencyjnej wokół długiego stołu, normalnie przeznaczonego dla mniejszej o połowę liczby uczestników.

- Panie i panowie - zagaił z mównicy stojącej przed ekranem wideo - witamy w Operacji Tęcza.

Zauważył uśmiechy, kilka sceptycznych, kilka typu się zrobi", w wojskowym stylu.

- W mediach mówi się, że chcemy podnieść Oposa na wyższą orbitę. To generalnie jest prawda. Zmienimy jego trajektorię. Ale najważniejsze żebyśmy zwiększyli jego prędkość. Trzeba go popędzić tak, żeby przeciął orbitę Ziemi zanim planeta się tam znajdzie.

- Po zakończeniu wyposażania waszych samolotów zabierzemy je na Skyport, zatankujemy i wyruszymy na spotkanie z Oposem. Niewiele, ale na pewno wystarczy. Najważniejsze by nie marnować paliwa. Kiedy przyleciemy na miejsce, zakotwiczymy się w zaplanowanych miejscach i pod odpowiednim kątem, a potem wyłączymy silniki. Od tego momentu nie wolno zrobić nic bez rozkazu. Jakież pytania?

Podniosła się ręka Bena Westa, pilota samolotu stacjonującego w L.A.

- Jeśli dobrze rozumiem, większość, o ile nie całe paliwo, zostanie zużyte w czasie operacji?

- Zgadza się, Ben.

- Jak wrócimy do domu?

Carpenter skinął głową.

- Dobre pytanie. Promy będą czekać w gotowości. Kiedy wykonamy zadanie, to jeżeli samoloty nie będą w stanie opuścić Oposa o własnych siłach, co bardzo prawdopodobne, promy podejmą załogi.

- Orły - odezwał się Stephan, który właśnie wrócił z Księżyca. - Co się wtedy stanie z SSTO?

Piloci zazwyczaj przywiązywali się do swoich maszyn. Porzucenie ich nikomu się nie uśmiechało.

- Niestety - odpowiedział Carpenter - na razie nie mamy żadnego sposobu zatankowania ich tam, na miejscu. Spodziewamy się, że kiedyś uda się nam je odzyskać. Ale wszystko po kolei. Teraz celem jest powstrzy-

manie meteoru przed upadkiem, a nie ratowanie maszyny. Ktoś jeszcze? Nikt się nie zgłosił.

- Okay. Kiedy znajdziecie się już na miejscu, haki zakotwiczają was na Oposie. Będziecie mogli uwolnić się od nich w dowolnym momencie, ale wtedy haki pozostaną wbite w grunt. Nie da się zakotwiczyć ponownie. Tak więc wszystko musi się udać za pierwszym razem.

- Haki będą obsługiwane ze stanowiska inżyniera pokładowego. Potrzebny będzie stosunkowo płaski kawałek terenu, staraliśmy się brać to pod uwagę przy doborze stanowisk. Jeśli po dotarciu na miejsce uznacie, że teren jest nieodpowiedni, powiadomcie mnie. Nie próbujcie niczego nadmiernie ryzykownego. Ale powiadomcie mnie zanim się zakotwiczycie. Potem będzie za późno. Czy wszyscy to zrozumieli? Bardzo proszę, uważajcie na to. Wszystko waży się na ostrzu noża, jeśli stracimy jeden samolot znajdziemy się w bardzo poważnych kłopotach.

- Ja będę na pokładzie promu Antonia Mabry, który posłuży za centrum dowodzenia. Będziemy mieli jeszcze jednego pasażera, chciałbym poświęcić chwilę i przedstawić go wam - popatrzył na niskiego, krępego, broda tego mężczyznę siedzącego z przodu. - Profesorze, mógłby pan wstać?

Brodacz, bardzo niechętnie, zastosował się do życzenia.

- To jest profesor Wesley Feinberg, który zaplanował większość naszej misji.

- Witam wszystkich - powiedział Feinberg. - Cieszę się, że jestem z wami.

Potem usiadł.

Carpenter wrócił na swoje miejsce, nieco zaskoczony zwięzłością wypowiedzi naukowca.

- Dziękuję, profesorze Feinberg - powiedział.

- Chciałbym także wyrazić swoją wdzięczność dla załogi. Wiem, że wszyscy jesteście ochotnikami i nie będę próbował umniejszać niebezpieczeństwa, jakie towarzyszyć będzie naszej akcji. Nikt nigdy niczego takiego nie pró-

bował. Ale nie widzę powodu, żeby miało się nam nie udać.

Pecival Lowell, kajuta prezydenta. 8:28.

- Charlie, musisz coś zrobić, albo przestanie mieć w ogóle znaczenie czy odsuniecie tę skałę.

- Czego ci trzeba, Al?

- Mamy tu zbyt wielu zabitych. Ocaleni są przez to bardzo nerwowi. Kiedy usłyszeli, że niebo wali im się na głowy, uwierzyli. Cholera, Charlie, mówimy im, że wszyscy pomiędzy Kanadą i Meksykiem, od Ohio do Utah, są zagrożeni. Jak myślisz, co oni tam dziś czują?

- Chcesz, żebym do nich przemówił?

- Tak.

- Ale nie wiem na ile pocieszająco mogę wypaść. Sądźmy, że zdołamy to zrobić, eksperci są dobrej myśli. Ale nie jest to uczucie, które porwałoby ludzi na barykady.

Ktoś pukał. Charlie otworzył drzwi i zobaczył Evelyn. Przyniosła jajka i kawę. Bezgłośnie, ruchem ust zapytała „śniadanie?”.

- No to kłam - powiedział Al.

- Czy nie dość się już tego nasłuchali?

- Rany boskie, Charlie, całe centrum kraju jest ogarnięte paniką. Wszyscy szukają schronienia.

Skinął głową.

- Oglądałem wiadomości.

- W takim razie wie pan, sir, że musi pan coś zrobić.

Evelyn przygotowywała mu miejsce na posiłek, wpinając kawę i pojemniki z jedzeniem w *gniazda* małego stolika.

- Zarezerwowaliśmy okienko w sieciach informacyjnych. O dziesiątej.

- O dziesiątej? Zwariowałeś, Al? Teraz jest która, ósma trzydzieści?

- Im szybciej tym lepiej, Charlie. Musimy wszystkich trochę uspokoić.

Poczuł nieprzyjemne uczucie w brzuchu.

- Zadzwoń do ciebie - obiecał.

Rozłączył się. Evelyn milczała przez kilka sekund, ale wiedział, że go uważnie obserwuje. Wzruszył ramionami.

- Myślałem, że jesteś na zewnątrz, pracując z Lee.

- Zmieniamy miejsce. Mamy przerwę - potem zmienionym tonem: - Co zamierzasz zrobić?

Była uroczą kobietą. Chciałby uciec z nią na bezludną wyspę. Jak najdalej od tego wszystkiego.

- A co mogę zrobić? Wygłoszę przemowę.

- Chodzi mi o to, co powiesz?

To było dobre pytanie.

- Powiem, że wszystko jest pod kontrolą. Poproszę o zachowanie spokoju, pozostanie w domach i przypominę, że na drogach jest o wiele bardziej niebezpiecznie niż pod własnym dachem.

Skrzywiła się, wzrok jej stwardniał.

- Czy nie dokładnie to samo mówił im Kollander?

- Do jasnej cholery, Evelyn. Czego ty chcesz ode mnie? Co niby mam im powiedzieć?

- Prawdę? - spytała.

- A jaka jest prawda? Że siedzę tu gapiąc się przez okno na ten cholerny latający Mount Everest, a kiedy Feinberg mówi mi, że kilka samolotów może zmusić to bydło do zmiany zamiarów chcę mu wierzyć, ale w głębi serca tego nie czuję? Że sądzę, iż to draństwo walnie w sam środek Kansas i złamie krajowi kręgosłup?

- Och - powiedziała.

- Nie. Teraz moja robota polega na wyciszeniu i daaniu Carpenterowi i Feinbergowi czasu na wykonanie ich pracy.

- Jeśli im skłamiesz - ostrzegła - połapią się. Nie sądzę, żebyś był dobrym kłamcą, Charlie.

A potem, bez ostrzeżenia popatrzyła mu w oczy, a on pojął zaproszenie. Zawahał się, uznał, że czemu nie i objął ją. Jej wargi dotknęły jego policzka, potem przywarły do ust. Czuł jej ciepło, oddanie, przywarła do niego piersiami i biodrami.

- Trzymaj się prawdy - poprosiła. - Jesteś zbyt uczciwy by kłamać.

Miała mokre policzki.

Przytulił się do jej karku, uściskał ją. Kołysali się delikatnie.

- Trzymaj się prawdy - powtórzyła. - Ale nie zdradz swoich przewidywań.

Szosa 411, na zachód od Parku Narodowego Cherokee, Tennessee. 8:42.

Zabrali mu rewolwer, skuli ręce kajdankami za plecami i wsadzili na tył białego Forda, mikrobusu pułkownika. Nie było tam okien, oprócz małych szybek u szczytu tylnych drzwi. Usiadł na podłodze obok wyrzutni i kilku rakiet typu AN/415, samonaprowadzających się na źródła ciepła.

Z przodu Tad i Steve nie rozmawiali wiele. Radio pełne było głosów katastrofy, ludzi oplakujących bliskich i przyjaciół albo przewidujących koniec świata. Wielka fala uderzyła na Anchorage; meteoryt spadł w Chinach wywołując trzęsienie ziemi, które pochłonęło kilka miast. Jack znał, znał ludzi w Los Angeles, Seattle, na Cape Cod i w Miami. Jego wuj Frank, który pamiętał o nim w każde Boże Narodzenie, kiedy jeszcze był dzieckiem, mieszkał w Anchorage. Kto przeżył, kto *zginął*? A Jack miał dwoje dzieci w domu. Co stanie się z nimi i Ann, jeśli jego bratu uda się zestrzelić jeden z samolotów?

Błagał brata, kiedy jechali autostradą Blue Ridge Parkway. Po pewnym czasie zaczął krzyczeć na obu mężczyzn siedzących z przodu, aż w końcu Tad przelezi na tył i zakneblował go.

W końcu zatrzymali się, Steve zrzędził, że szosa jest zablokowana, Tad zauważył, że nigdzie w pobliżu nie ma policji, co było kolejnym dowodem jak szybko rząd porzuca swoje obowiązki pod naciskiem.

Skręcili na górską drogę i jechali całą noc. Od czasu do czasu zatrzymywali się, raz doładować wóz, kilka razy na przekąskę i spytać o drogę. W jednym z miejsc Steve wyjął mu knebel, powiedział jak zawiedziony jest jego zachowaniem, ale spytał, czy nie chciałby czegoś zjeść.

Jack zaczął krzyżeć o pomoc i knebel wrócił na miejsce.

Pomimo wszystko Jack cierpiał widząc pogardę w oczach brata. Przez całe życie usiłował zdobyć jego uznanie. Właściwie to było powodem, dla którego wstąpił do Legionu Jeffersona. Tak naprawdę uważał, że życie pod rządami, które wszyscy inni chcieli obalić, wcale nie było takie złe. Choć nigdy nie przyznał się do tego swoim współtowarzyszom, a zwłaszcza Steve'owi.

Spędzili gdzieś kilka godzin zablokowani w korku.

Kiedy wstało słońce i znów coś widział, spróbował załadować jedną z rakiet do wyrzutni chcąc wystrzelić ją do szoferki. Lecz w kajdankach okazało się to niemożliwe, narobił przy tym tyle hałasu, że Tad przełazi na tył i ostrzegł, że ogłuszy Jacka, jeśli ten się nie uspokoi.

Późnym rankiem znów byli w drodze i w południe Tad obwieścił, że mijają granicę Georgii. Pierwszy z samolotów miał wystartować około pierwszej. Media były na miejscu, robiły z tego wielkie przedstawienie. Tłumy zebrały się w Rico, w Georgii, w pobliżu wylotu podziemnej wyrzutni. Sieci informacyjne nie mówiły o niczym innym, robiono wywiady nawet aż w Chattanooga. Gapie siedzieli na dachach z lornetkami i teleskopami.

- Nocne starty są najlepsze - powiedział pewien starszy człowiek. - To wspaniałe widowisko.

- Nasze też takie będzie - skomentował Steve.

Pułkownik miał mapy topograficzne, które studiował w poszukiwaniu najlepszego miejsca do ataku. Jack wiedział, że musi to być na zachód od Rico, w kierunku startu, ale Tad zauważył, że jest to teren mocno zabudowany i mało prawdopodobne, by znalazło się tam jakieś ukrycie, powiedzmy zagajnik.

Potem powiedział, że właściwie nie mają większego wyboru i jeśli pułkownik uważa, że tak trzeba, gotów jest stanąć na środku ulicy i odpalić raketę.

- Myślę, że możemy sobie lepiej poradzić - odparł Steve. - Tu jest Chattahoochee. Gdzieś wzdłuż jej brzegów musi się znaleźć jakaś kryjówka.

Jack zobaczył przed nimi błyskające koguty, zwol-

nili- Prawdopodobnie wypadek. Zaczął przesuwac się a strone tylnych drzwi, mysląc, że uda mu się je otworzyć i wyskoczyć w nadziei na spotkanie z policja, ale Tad przeszedł na tył i został z nim dopóki nie przejechali obok. Wrócił do przodu dopiero, kiedy znów jechali równym tempem.

Jeszcze kilka razy musieli zwolnić i Tad zaczął narzekać, że nie zdążą na pierwszą.

Gallagher popatrzył na zegarek. Kilka razy zmieniali się za kierownicą, teraz prowadził Tad.

- W porządku - rzekł uspokajająco. - Nie musimy się spieszyć. Wystarczy, że zestrzelimy jeden samolot. Nieważne, który.

Sprawiał wrażenie człowieka w pełni pogodzonego ze światem. Było to dziwne. Zupełnie pomijał podejmowane ryzyko. Jakby byli ulubieńcami przeznaczenia.

ORĘDZIE PREZYDENTA. 10:00. Prezydent

Charles L. Haskell, z pokładu "Percivala Lowella".

- Dzisiejszego ranka chciałbym się zwrócić nie tylko do Amerykanów, ale również do wszystkich naszych przyjaciół na całym świecie. Ludzkość przeżywa obecnie wydarzenia, z jakimi nie miała do czynienia jeszcze nigdy w historii. Wszystkie wybrzeża zostały zalane, miasta zniszczone, całe narody zostały bez dachu nad głową. Zginęły miliony. W Stanach Zjednoczonych straciliśmy prezydenta, rząd jest rozproszony, liczba ofiar przeraża - a nad głowami wisi nam jeszcze większe zagrożenie.

Znajduję się na pokładzie „Percivala Lowella”, statku o napędzie nuklearnym, zaprojektowanego i zbudowanego przez nas, przez człowieka. Miał on ponieść naszych przedstawicieli, a w rezultacie naszą cywilizację, w głęboki kosmos. Na Marsa i dalej. Zamiast tego służy teraz jako zwiadowca badający wroga tej cywilizacji. Jest cudem technologii i stanowi symbol tego, co potrafimy osiągnąć jeśli odsuniemy na bok różnice pomiędzy nami, nasze lęki i będziemy działać we wspólnym interesie.

W ciągu ostatnich dwóch dni, Stany Zjednoczone otrzymały ogromną pomoc od swoich przyjaciół, a nawet odwiecznych rywali, z całego świata. Grupy lekarzy z Włoch, zboże z Kanady, od-

działy ratownicze z Meksyku, helikoptery i transportowce z Chin przybyły do nas i pomogły uratować życie tysięcy ludzi. Japońscy technicy uwolnili Amerykanów uwięzionych pod zwalonymi budynkami w Seattle i Anchorage; na północnym Atlantyku rosyjskie statki uratowały marynarzy z przewróconych jednostek; inżynierowie z Izraela i Egiptu, pracując ręka w rękę, zabezpieczyli mnóstwo uszkodzonych budynków, mostów i zapór. Nasze własne siły zbrojne zareagowały z odwagą i zdecydowaniem.

Zaczynamy dowiadywać się o indywidualnych aktach bohaterstwa; o ludziach rzucających się w fale powodzi by wyciągać innych z przewróconych samochodów; o młodej kobiecie w Tallahassee, która wśród podnoszącej się wody uniosła samochód przyniatający dziecko; o pilocie helikoptera na Hawajach, który podjął z szosy troje nastolatków i ledwie zdążył uciec przed falą.

Ludzie na całym świecie zbliżają się do siebie. Polityka, odwieczna rywalizacja, wszystko co nas dzieli, idzie w kąć i po raz pierwszy w dziejach działamy jak jedna wielka rodzina. Ten fakt pozwala mi patrzeć w przyszłość z wielką nadzieją. Przekonuje mnie, że możemy podnieść się z tych wszystkich zniszczeń, jakie stały się naszym udziałem w ciągu ostatnich dwóch dni, z tych strasznych strat, jakie ponieśliśmy, że wyjdziemy z tej katastrofy silniejsi i lepsi niż kiedykolwiek. Że upamiętnimy tych, którzy zginęli, odbudowując ich świat. Że zrobimy to razem, a kiedy skończymy, zbudujemy cywilizację, która napełni dumą mężczyzn i kobiety na tak długo, jak długo będziemy zamieszkiwać tę planetę.

Niestety, wszystko to będzie niemożliwe jeśli nie zmienimy trajektorii Oposa. Pozwólcie mi więc wyjaśnić jak wygląda sytuacja. Wiecie już, że jeśli pozostanie on na obecnym kursie, spadnie w Kansas jutro, o czwartej pięćdziesiąt sześć.

Nie chcemy na to pozwolić. We współpracy z Administracją Transportu Księżycowego zamierzamy umieścić na meteorze całą flotę samolotów orbitalnych. Zostaną zakotwiczone, a potem uruchomią silniki dążąc do zwiększenia prędkości Oposa tak, żeby wcześniej przeciął orbitę Ziemi. W ten sposób zostanie usunięty z drogi. Spodziewamy się, że jeszcze na jakiś czas pozostanie zagrożeniem, ale będziemy mogli poradzić sobie z nim bez pośpiechu.

Czy to zadziała?

Widziałem kilka wywiadów. Niektórzy eksperci twierdzą, że nie. Co więcej, mnóstwo ludzi nie bardzo ufa rządowi. Uważają, że jest albo nieuczciwy, albo niekompetentny, albo jedno i drugie. Okay, dziś nie zamierzam dyskutować z tym przeświadczeniem. Możemy zająć się tym później, kiedy rozwiążemy bardziej palące problemy związane z przetrwaniem.

Czy to zadziała?

Nie mogę zagwarantować sukcesu. Lecz od samego początku znajdowałem się bardzo blisko wysiłków zmierzających do zmiany orbity Oposa. Mogę, jak sądzę, powiedzieć, że nikt inny nie znajduje się bliżej. Właściwie to mogę wyjrzeć przez okno, a wtedy zobaczycie, że meteor znajduje się w odległości kilku dziesięciu metrów ode mnie.

Nie jestem matematykiem. Fizycy, którzy zaplanowali tę akcję są pewni swego. Zebraliśmy najlepszy zespół ludzi z całego świata do jej wykonania. Powiem wam więc: Jeśli w ludzkiej mocy leży wykonanie tej pracy, zrobimy to. Tymczasem, proszę was o spokój, zaufanie, że my tu wytrwamy, a przetrwamy to razem.

Dziękuję. Będziemy was informować.

3.

NEWSNET

Z PRZYKROŚCIĄ ZAWIADAMIAMY, ŻE SERWIS NEWSNET
JEST CHWILOWO NIEDOSTĘPNY ZE WZGLĘDU NA TRWA-
JĄCE PRZENOSINY Z CHICAGO DO TORONTO. PROSIMY
SPRAWDZIĆ TEN ADRES JUTRO.

Laboratorium **Orbitalne na Skyport. 13:10.**

Andrea okazała się znakomitym nabytkiem. Bardzo szybko przejęła kontrolę nad systemami łączności, nauczyła się monitorować kanały informacyjne, które przyjmowały dane z tysięcy automatycznych i załogowych stacji a potem przekazywały je do właściwych odbiorców oraz wykazała się wrodzonym talentem do ułagdzania naukowców niezadowolonych z jakości albo szybkości reakcji na ich żądania.

Laboratorium, jak również liczne zakłady, z którymi współpracowało, były niemal wyłącznie zainteresowane szczątkami po kolizji Tomiko z Księżycem. Niemal z dnia na dzień pojawiła się dodatkowa specjalizacja: zainteresowanie samą Tomiko, połączone z podejrzeniami, że było to coś więcej niż zwyczajna kometa. To podejście bardzo szybko wywołało burzliwe dyskusje. Równie szybko okazało się, że podobnie jak debaty na tematy filozoficzne czy religijne, prowadzą one donikąd. Kometa wyparowała i jeśli cokolwiek niezwykłego znajdowało się w jej zamrożonym wnętrzu, trudno było sądzić, że mogło przetrwać.

Tymczasem powrót OPoK-38 przykuł uwagę wszystkich. Ludzie domagający się informacji o, powiedzmy, ilości energii wydzielonej w czasie kolizji, albo o fluktuacjach grawitacyjnych, zostali odsunięci dalej w kolejce. Niemal wszystkie urzędnicy znajdujące się w gestii laboratorium były wycelowane w Oposa.

Ze swej strony Andrea była szczęśliwa, że może wrócić do pracy. Windy nawet podpisał dokumenty nadające jej status zatrudnionej na czas określony (okazało się, że rząd wydał przepisy zabraniające zatrudniania wykształconych wolontariuszy bez płacy).

W tym czasie niewielka sieć stacji bezpośrednio zaangażowanych w wysiłki zmierzające do odsunięcia Oposa miała bezpośrednio łącze z „*Lowellem*”. Tworzyły ją między innymi Lyndon Space Center w Houston, Hartsfield - miejsce czasowego pobytu Feinberga, Obserwatorium Mauna Kea na Hawajach, Palomar w Kalifornii, punkt doradczy w Cambridge University oraz AstroLab. Wszystkie pozostałe połączenia z „*Lowellem*” przechodziły przez Laboratorium Orbitalne.

Większość z tego stanowiły depesze do Keitha Morleya od jego producentów, albo do prezydenta. Te ostatnie w większości zakodowane.

Andrea była zawodowcem. Nie próbowała podsłuchiwać, ale do jej obowiązków należało pozostawanie na linii dopóki nie upewniła się, że połączenie zostało nawiązane. W trakcie tego dowiedziała się, że Evelyn Hamp-

ton, kapelan oraz Rachel Quinn otrzymali propozycje kontraktów na książki oraz wystąpienia w filmie. Wiedziała też, że prezydent rozmawiał z rodzinami Tony'ego Casawaya oraz Bigfoota Caparatti; że Hampton kontaktowała się z synem Jacka Chandlera.

Ciekawa była co się stało z Chandlerem. Nie było go w mikrobusie, a wiedziała, że zgłosił się do grupy, która miała pozostać do końca. Co się wydarzyło?

Na „*Lowellu*” pojawił się nowy radiooperator. Głos był znajomy, ale nie potrafiła odgadnąć kto to taki.

- Tu Andrea Bellwether - przedstawiła się. - Czyja cię znam?

- Tak, Andreo - odpowiedział głos. - Tu Mark.

- Witam, kapelanie - w Bazie Księżycowej byli tylko dalekimi znajomymi, teraz wydawał się jej starym przyjaciele. - Zostałeś łącznościowcem?

- Tak. Na bezrybiu i rak ryba, rozumiesz. Cieszę się, że wróciłaś cało.

- Dzięki. Chyba miałeś gorszą jazdę niż ja. Powiedz mi, pozbędziecie się tego paskudztwa?

- Mam nadzieję. Myślę, że jeśli będzie trzeba Charlie Haskell pójdzie na niego z oskarżeniem w garści.

Pokład gospodarczy „*Percivala Lowella*”. 13:19.

Evelyn i Saber zdarły z siebie skafandry. Lee Cochran miał dość taktu, żeby stać tyłem.

- Myślę, że dobrze nam poszło - powiedział.

To była prawda. *Okazało* się, że cztery z preferowanych przez Feinberga lokacji znajdowały się na solidnym gruncie, z dwóch trzeba było zrezygnować. Jeszcze trzy.

Evelyn była zeszywniała i spocona, ale samopoczucie miała dobre. Przetrwiała najgorszy kryzys w życiu i przez cały czas stanowiła tylko zbędny ciężar. Do dziś. Dzisiaj wychodzili z Lee i Saber na zewnątrz, szarpali się z wiertnią laserową, wiercili otwory, zbierali próbki, wracali, czekali na przestawienie statku przez Rachel na następne miejsce na powierzchni meteora, gdzie wychodzili i wszystko zaczynało się od początku.

Uzyskiwali to, o co im chodziło i wyprzedzali terminarz.

Wyczyściła się w skrobaczce, przebrała się w bluzę i spodnie i poszła do kambuza na lunch. Kiedy weszła, Mark Pinnacle podniósł wzrok.

- Witam zdobywcę - powiedział. - Mamy kilka wspólnych ujęć ciebie i Lee z ciągnikiem.

- Dzięki - otworzyła lodówkę i wyciągnęła Quick-Pack. Kanapka z indykiem i borówkami. - Zachowaj dla mnie jedno, powieszę sobie nad biurkiem.

Wszedł Lee.

- To jest kawał głazu - powiedział. - Siedem par silników rakietowych wobec czegoś takiego to niezbyt wiele.

- Siedem jest liczbą o uświęconych tradycjach - rzekł kapelan. - Siedem sakramentów, siedem grzechów głównych, siedmiu japońskich bogów szczęścia, Siedmiu przeciw Tobom. Może i my dołączymy do tej tradycji.

- Miejmy nadzieję - skomentowała Evelyn.

Kapelan żuł kawałek mięsa. Przełknął, dopił sok jabłkowy z pojemnika i wstał.

- Wracam do swojej roboty - powiedział, wyraźnie zadowolony z siebie. - Tak na marginesie, w Laboratorium Orbitalnym łącznością zajmuje się dziewczyna z załogi Bazy Księżycowej.

- Naprawdę? - ucieszyła się Evelyn. - Kto?

- Andrea Bellwether.

- Chyba jej nie znam - rzekła Evelyn.

- Czy to jakaś krewna Franka Bellwethera? - zapytał Cochran.

- Jest jego córką - wyjaśnił kapelan.

- Jeśli to jest omen - skrzywił się Cochran - to raczej nie najlepszy.

Frank Bellwether, pilot, który się odbił. Który przyleciał uszkodzonym *Rangerem* z nieczynnymi przyrządami, który próbował na ręcznym sterowaniu wejść w atmosferę precyzyjnie pod takim kątem, żeby ani się nie odbić od atmosfery ani w niej nie spłonąć i trafił nieco za płasko, rykoszetując. Bez najmniejszej szansy na ratunek.

Ostatnio mówiło się o tym wypadku, o wykorzystaniu statku typu „*Lowella*”

do odzyskania *Rangera*, którego ziemskimi radarami wciąż znajdowano na jego samotnej orbicie okołosłonecznej. Lecz powszechnie uważano, że lepiej zostawić go tam, gdzie jest. Evelyn podzielała to przekonanie.

- Nikt tu nie mówi o żadnych omenach - zaprote stował kapelan, zaskakująco ostrym tonem, zupełnie do niego nie pasującym.

Evelyn zastanawiała się, czy nie zaczął właśnie od czuć napięcia.

Kokpit SSTO Berlin, Zakłady Obsługi w Hartsfield. 13:43.

- Spróbuj teraz, Gruder.

Inżynier pokładowy spojrział w dół, na żółtą skrzynkę świeżo zamontowaną w okolicy jego bioder i wduśił czarny przycisk. Tym razem lampki zapaliły się i pod pokładem odezwały się mechaniczne odgłosy. Inżynierowie zgromadzeni w hangarze dookoła wykonywali gesty triumfu i ściskali sobie ręce.

- Dobrze, Gruder - powiedział głos Kathleen w słuchawkach. Stała na dole, wśród inżynierów. - To było obluźowane cięgno. Zakładmy poszycie, spróbujemy jeszcze raz i będziemy gotowi do wyruszenia.

SSTO stał na rusztowaniu, żeby haki nie wbiły się w podłogę hangaru.

Gruder skinął głową do swojego kapitana.

Willem skończył wstępne testy i popatrzył na zewnątrz, na inżynierów. Wśród nich znajdowała się atrakcyjna blondynka.

- Kiedy wrócimy - powiedział Gruder - będziemy bohaterami. Kobiety takie jak ta, nam się nie oprą. Będą wpadać w nasze ramiona na jedno skinienie.

Uśmiechnął się szeroko, kapitan odpowiedział tym samym. Oczywiście, tkwiło w tym sporo prawdy.

Obsługa naziemna przyniosła trzy kuwety z ziemią i umieściła pod każdym z haków.

- Okay, Gruder, spróbuj jeszcze raz - poleciła Kathleen.

Wdusił przycisk i poczuł jak haki opadają, wgrzyzają się w ziemię, jak statek unosi się delikatnie, dzięki odciążeniu podwozia, obserwował wciąż bursztynowe lampki kontrolne dopóki rząd świateł nie powiedział mu, że haki są wysunięte do końca. Gruder dotknął przełącznika i z głowicy każdego haka wysunęły się w trzech kierunkach kołnierze, zakotwicząc je. Jeśliby zaszła potrzeba miał do dyspozycji przycisk zwalniający, który spowodowałby odrzucenie haków i pozwolił na oderwanie się od powierzchni. Był on zagłębiony w obudowę żółtej skrzynki dla uniknięcia przypadkowego wciśnięcia.

- Wciągnij - poleciła Kathleen.

Na Oposie nie będą w stanie tego zrobić, mając haki zakotwiczone w twardej skale. Ale tu nie stanowiło to problemu. Kołnierze zwolniły chwyt i haki wsunęły się w gniazda. Podwozie zatrzeszczało.

Powtórzyli operację jeszcze raz, potem haki zostały porządnie oczyszczone i nasmarowane. Inżynierowie, zadowoleni, odeszli a Kathleen, uściskawszy kilku z nich dłoń, wróciła na pokład samolotu.

- *Berlin* - odezwał się głos w słuchawkach Grudera.

- Instalacja zakończona. Jesteśmy gotowi do startu.

Kathleen weszła do kokpitu i zajęła swoje miejsce.

- Wiecie - zagaiła - szkoda, że nie wymyślili lepszego kryptonimu niż „Operacja Tęcza”.

- Dlaczego? - zdziwił się Willem. - To odniesienie do następstw potopu. Wszystko się dobrze skończyło.

- Tylko dla Noego i jego rodziny. Wszyscy pozostali utonęli.

Kathleen była daleką kuzynką Grudera, choć nie mieli o tym pojęcia dopóki nie zaczęli razem pracować. Oboje pochodzili z okolic Bremerhaven, latali na myśliwcach, mieli urodziny tego samego dnia, choć Gruder był o rok młodszy. Lubili myśleć, że ich losy są ze sobą związane, a teraz albo pojawią się nowe podobieństwa, albo takowe odkryją. Jedno już było: oboje wykonywali to samo zadanie o historycznym znaczeniu.

Ludzie, którzy przynieśli ziemię pojawili się znów, a potem opuścili hangar. Teraz dwa ciągniki zaczęły wywlekać samolot z hangaru w jasne światło dnia.

- Wieża - powiedział Willem. - *Berlin* gotów do startu.

- Zrozumiano, *Berlin*.

Ciągniki podczepiły SSTO do wyciągarki, która wprowadziła ich do Terminalu Transatmosferycznego i powoli przeciągała w stronę tunelu startowego. Minęli perony, które normalnie byłyby pełne pasażerów.

Willem włączył silniki.

Berlin - odezwała się wieża. - Wszystko gotowe. Start za sześćdziesiąt sekund.

Gruder popatrzył na swój zegarek, ale nie zapamiętał godziny. Wszystkie kobiety jakie tylko zechcesz. Ciekaw był, co sobie myślała Kathleen.

RAPORT SPECJALNY CNN NEWSBREAK 14:05.

- Mówi Mark Able z okolic wylotu Tunelu Transatmosferycznego pod Rico, stan Georgia. Pierwszy samolot orbitalny jest już gotowy do startu...

4.

Na brzegu rzeki Chattahoochee, na zachód od Rico, Georgia. 14:11.

Steve Gallagher zatrzymał się na poboczu by obejrzeć start. Lubił sprzęt kosmiczny tak samo jak wojskowy. Coś było w tych zimnych, szarych, funkcjonalnych pojazdach latających pomiędzy Ziemią i Księżycem, co poruszało jego duszę w sposób, w jaki nigdy nie zdołałaby go poruszyć kobieta, ani nic innego. A wśród najrozmaitszych posiadanych przez LTA pojazdów: busów, ciężarówek i promów nic tak nie przyspieszało mu tętna jak samolot SSTO, maszyna o napędzie raketowym, z wąskimi skrzydłami składającymi się w tył w czasie lotu na Księżyc. Naprawdę myśl o zniszczeniu jednego z nich sprawiała mu ból. Miał nadzieję, że wolni męż-

czyżni i kobiety w przyszłości docenią jego poświęcenie dla potomności.

Radio podało, że start nastąpi za chwilę. Tad otworzył swoje drzwi, wysiadł i zwrócił się na wschód.

- Powinien przelecieć dokładnie nad tymi drzewami - powiedział.

Drzewa rosły wzdłuż szkolnego boiska, w odległości około pięćdziesięciu metrów. Po kolistym torze biegały dzieciaki, inne po prostu ganiały się wokół, skakały przez skakankę, bawiły się. Pułkownik zobaczył ruch w jednej z klas.

- Można by pomyśleć, że zgromadzą tu wszystkich, żeby się przyglądali - rzekł. - Rząd twierdzi, że ratuje świat a nawet nie zadba żeby dzieci na to popatrzyły.

Zawsze rozumiał, że poszczególni ludzie pracujący dla rządu wcale nie są szczególnie mściwi. To instytucja ich korumpowała, instytucja - bezmyślna i władcza. Widział wystarczająco wiele wywiadów telewizyjnych by wiedzieć, że federalni naprawdę wierzyli w głoszoną przez siebie propagandę, naprawdę wierzyli, że są po stronie aniołów. Lecz czasami słabła w nim ta wiara w ludzką naturę i wtedy zastanawiał się, czy oni jednak nie byli osobiście źli i nie wiedzieli dokładnie co robią. Jak inaczej można wyjaśnić fakt, że z jednej strony twierdzą iż samoloty orbitalne mają uratować świat, a z drugiej nawet nie zadbają by dzieci podziwiały ten wysiłek?

Może wszyscy wiedzieli, że to tylko fasada. Wiedzieli, ale zgadzali się na to, bo nie widzieli żadnej innej możliwości. Zupełnie jak u Orwella, tyle tylko, że Wielki Brat okazał się o wiele bardziej subtelny i podstępny niż ktokolwiek się spodziewał.

- Jest - powiedział Tad.

Samolot orbitalny wzleciał nad drzewami, pozostawiając za sobą dwie smugi kondensacyjne, szybko wznosząc się ku kłębowi lśniących, białych chmur. Potem usłyszeli dźwięk jego przelotu, odległe dudnienie, jak morze uderzające o daleki brzeg, cichnące na moment potem silniejsze. Kilkoro dzieci odwróciło się by popatrzeć.

Steve stał jeszcze długo po jego zniknięciu, narastał w nim gniew na mężczyzn - i kobiety też, niech ich wszystkich piekło pochłonie - którzy zmusili go do podjęcia akcji militarnej.

Chattahoochee była zaledwie wąskim strumieniem, nie rosły nad nią, wbrew jego nadziejom, żadne pasma drzew. Jednak w pewnym miejscu przepływała na tyłach uzdrowiska Golden Apple. Kurort wyglądał na zamknięty, a gęste krzewy częściowo osłaniały go przed spojrzzeniami sąsiadów. Po drugiej stronie rzeki widniało dziecięce boisko baseballowe.

- Wygląda idealnie - powiedział Steve.

Tad skinął głową. Nigdzie nie było żadnych pojazdów, oznak życia w sąsiedztwie oprócz czarnego labradora szczekającego na nich z werandy domu po drugiej stronie ulicy.

- Powinniśmy go zastrzelić - uznał Tad. - Mam tłumik.

Steve popatrzył na niego z wyrzutem.

- Psy szczekają - powiedział. - Daj spokój.

Golden Apple był długim budynkiem z rzędem szklanych drzwi otwierających się do holu. Z tyłu miał dwa piętra. Rząd okien znajdował się nad pustym basenem o olimpijskich wymiarach. Z przodu znajdował się owalny podjazd.

Radio podało, że kolejny start nastąpi za kilka minut.

- Wolałbym usunąć wana z widoku - rzekł Steve. - W takim sąsiedztwie mogą zapamiętać dziwne pojazdy. Ktoś może nawet zapisać numer rejestracyjny.

Tad przyjrzał się ulicy.

- Nie sądzę, by ktokolwiek był w domu.

Steve zastanowił się przez chwilę.

- Okay - zgodził się. - Do roboty.

Radio podało, że drugi samolot orbitalny jest holowany z hangaru na rampę startową.

- Znakomite zgranie w czasie - pochwalił Tad. Steve skinął głową, podobał mu się entuzjizm Wicketta.

Smutno mu było, że w godzinie chwały Legionu jego brat okazał się niedoskonały.

- Będziemy musieli go związać - zwrócił się do Tada, oglądając się przez ramię. Jack siedział oparty o koło zapasowe, wpatrując się w niego pałającym wzrokiem. Stopy miał oparte o wyrzutnię. - Przytroczyć do siedzenia.

Z obu stron uzdrowiska rosły potężne żywopłoty nie przystrzygane od paru tygodni. Steve zaparkował najbliżej jak się dało krzewów. Tad wysłiznął się ze swojego miejsca, obszedł wana i otworzył tylne drzwi.

Minot, Północna Dakota. 13:17 Centralnego Czasu Letniego (14:17 EDT).

Autobus wojskowy, w którym jechali Marilyn i Larry wjechał na boisko piłkarskie, zapchane innymi autobusami. Siedzieli w pojeździe od niemal siedmiu godzin i wciąż jeszcze nie opuścili Północnej Dakoty.

Kierowca, korpulentny, niewysoki mężczyzna, usiłujący zachować dobry humor, wmanewrował autobus w wolne miejsce w długiej linii pojazdów przed stadionem, a potem odwrócił się do pasażerów.

- Przykro mi, moi drodzy - powiedział. - Nasza kontrola drogowa powiadomiła, że przed nami jest praktycznie nieruchomy korek. Znajdziecie tu kilka toalet, z których można skorzystać, a gdzieś w pobliżu powinien być Czerwony Krzyż. Zostaniecie tu czterdzieści minut. Zadbajcie o siebie, zrobicie co musicie, spotkamy się tutaj o, hm, trzeciej.

- Nie wydostaniemy się już stąd, prawda? - zapytał ostrym tonem wysoki mężczyzna z gęstą, kręconą brodą, wydymający wargi dziecinnym gestem.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział kierowca.

- Policja próbuje rozładować ten korek.

- Wszyscy policjanci uciekli - brodacze odwrócił się do kobiety siedzącej za nim. - A pani by tego nie zrobiła? - prychnął.

Może byli zbyt zmęczeni, by się bać. Marilyn wstała, trąciła Larry'ego. Żyć, czy umierać, i tak miała ochotę coś przegryźć.

- Idziesz? - spytała.

Larry skinął głową, ruszyli w stronę drzwi. Autobus opustoszał.

Toalety znajdowały się pod trybunami. Stały tam długie kolejki i tutaj właśnie rozstali się z ostatnimi osobami z przyjęcia u Louise.

Czerwonego Krzyża nigdzie nie było widać. Marilyn nie jadła już od wielu godzin. Poszli z powrotem do autobusu spytać, czy ktokolwiek znalazł coś do jedzenia. Nikt.

- Chyba mamy dość - rzekł Larry. - Może zostanie my tu, aż się to skończy.

- Wciąż jesteśmy w strefie bezpośredniego zagrożenia - zaprotestowała Marilyn

- W tym się stąd nie wydostaniemy - uznał Larry, spoglądając na autobus.

Przemyślała to. O tej porze jutrzejszego dnia, w tę stronę, czy w inną, będzie po wszystkim. A on miał rację: autobus już nigdzie nie pojedzie. Śmierdziało w nim potem, niemytymi ciałami i jakoś nie miała ochoty umierać w czymś takim.

- Okay - zgodziła się. - Rzućmy okiem na miasto.

Kierowca usłyszał to i skrzywił się.

- Nie wracacie? - spytał.

- Nie - potwierdził Larry.

- Ja za to nie odpowiadam - ostrzegł ich.

- Nikt nigdy nie jest za nic odpowiedzialny - odezwał się z tyłu chrapliwy głos. - To największa tragedia tego kraju.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL. 14:18.

- St. Louis. Korespondentka Transglobal Shannon Gardner została ciężko ranna, a jej kamerzysta zamordowany podczas próby przyjęcia jej z pomocą. W czasie prowadzenia relacji z powietrza...

5.

Kabina pasażerska SSTO Tokyo, Terminal Transatmosferyczny, lotnisko Hartsfield, Atlanta. 14:31.

Orły Carpenter siedział po przeciwnej stronie przejścia niż Feinberg. Fizyk sprawiał wrażenie wymizerowanego.

- Pierwszy raz w drodze na orbitę? - spytał Carpenter.

Feinberg zdołał się uśmiechnąć. Wyrzwał na zewnątrz, gdzie asfalt powoli przesunął się w tył, potem wrócił wzrokiem do swojego rozmówcy.

- Tak - przyznał.

- Nie ma się czego bać, Doc.

- Niech pan nie będzie śmieszny - zaprotestował.

- Nie boję się takich rzeczy. Przyznam się, że mam lekkie kłopoty żołądkowe.

- Dobrze. Nie różni się to wcale od normalnych samolotów.

Feinberg skinął głową. Jego pozycja wymagała od niego latania od czasu do czasu, znał statystyki, mówiące, że może okrążyć planetę sto tysięcy razy zanim prawdopodobieństwo zagrozi mu katastrofą. Jednak pamiętał też opowieść o człowieku, który utonął w strumieniu o przeciętnej głębokości dwudziestu centymetrów. Liczby bywały zdradliwe i wolał nie odrywać się od ziemi.

Ruch w przód zatrzymał się. Statek kosmiczny lekko się uniósł, potem znów osiadł.

- Co to było? - zapytał Feinberg.

- Zostaliśmy ustawieni na rampie startowej.

Carpenter znajdował się w szczytowym punkcie długiej i świetlanej kariery. Był pilotem myśliwca, oblatywaczem, instruktorem w szkole Top Gun marynarki i został astronautą dokładnie w takim momencie, który pozwolił na uczestnictwo w powrocie na Księżyc.

Wydarzenia ostatniego tygodnia wstrząsnęły nim, słyszał pogłoski o zamknięciu NASA, o zapobieganiu dalszym stratom związanym z Bazą Księżycową i LTA, o powrocie na planetę, odbudowie miast i pozostawieniu kosmosu przyszłym pokoleniom. Lecz, na Boga, nie zamierzał na to pozwolić. Miał tu naoczny dowód co może się stać, jeśli brak odpowiednich środków obrony. Następna wielka kometa mogła trafić w środek Ameryki Północnej. W gruncie rzeczy wielki meteor zmierzał dokładnie w to miejsce.

Lecz Carpenter dostrzegał niepowtarzalną okazję w fakcie, że prezydent znajdował się w samym środku wydarzeń. Nie chodziło przy tym o proste wciśnięcie mu programu Skybolt. Tak naprawdę ludzkość potrzebowała wyjścia w głębszy kosmos. Potrzebowała zasobów, jakie oferował układ słoneczny, a teraz dysponowała technologią, która mogła temu podołać. Niezbędne były tylko chęci.

Carpenter był przekonany, że jeśli uda się odsunąć Oposa, znajdzie sposób by dotrzeć do tego prezydenta - czyli uzyskać wpływ na przyszłość.

- Uda się nam, prawda, Doc? - zwrócił się do Feinberga.

Ten skinął głową.

- Jeśli wszyscy tam dotrą, nikt nie spali za dużo paliwa, a haki utrzymają - tak. Jeśli wszystko pójdzie całkowicie zgodnie z planem, na pewno nam się uda.

W interkombie odezwał się głos pilota:

- Zapnijcie pasy, panowie. Za minutę start.

- Doc - rzekł Carpenter - proszę się odprężyć i cieszyć przejażdżką. Dziś w nocy obaj będziemy tworzyć historię.

Rzeka Chattahoochee. 14:34.

Bardzo starannie wyjęli z wana wyrzutnię i dwie rakiety, położyli je na kawałku materiału. Potem, kiedy pułkownik sprawdzał broń, Tad pchnął Jacka w plecy.

- Jesteś bezwartościowy, wiesz? - powiedział zbyt cicho, żeby usłyszał to Steve.

Oczy Jacka otaczały żółte obwódki.

Tad odpiął pas Jacka, owinał wokół podpórki przedniego siedzenia i pociągnął go do przodu. Jack usiłował się opierać i Tad wykręcił mu rękę i przytrzymał tak długo, aż ofiara zbladła.

Jednak podjął się zadania dość niewygodnego i kiedy pochylił się nad Jackiem by przywiązać pas do kajdanek, nagle wybuch bólu w kroczu zwinął go w kłębek. Potoczył się na bok i Jack wypadł z wana.

Tad, unieruchomiony bólem, leżał spokojnie przez chwilę, zbierając myśli. Usłyszał odległy odgłos otwieranych drzwi. Widział Jacka, z rękami skutymi za plecami, potykającego się na ulicy. Zza rogu wyjechał samochód przeprowadzkowy, którego kierowca przyjrzał się uważnie sytuacji, ale nie zatrzymał się.

Tad wyciągnął z kieszeni Smith & Wessona, powoli i bardzo niepewnie zsunął się na asfalt. Nogi się pod nim ugiwały. Wciąż myślał jak cholernie spieprzona zaczynała się robić cała ta operacja.

Drzwi, których otwieranie usłyszał, należały do domu z psem. Kobieta wyszła na trawnik i patrzyła co się dzieje. Tad podniósł broń i złapał ją w celownik. Nagle spostrzegła broń. Próbowała uciec do środka, ale ściągnął spust, usłyszał strzał i patrzył jak kobieta pada.

Jack jeszcze przyspieszył. Dotarł już do ulicy i pędził w stronę schronienia, jakie mogła mu dać kępa drzew na rogu. Tad prowadził go bronią, dając niewielkie wyprzedzenie, ale podszedł pułkownik i przykrył mu pistolet dłonią.

- On jest moim bratem, Tad - powiedział łagodnie.

- Ja jestem odpowiedzialny.

Podniósł swój pistolet, kalibru 0.45 cala i strzelił raz. Jack szarpnął się w przód i padł.

- Musimy znaleźć inne miejsce - powiedział Steve, wsuwając broń do kabury pod pachą.

Wsadzili rakiety z powrotem do wana, wyjechali na ulicę, a kiedy mijali skulone ciało Jacka, pułkownik wpakował w nie jeszcze trzy pociski.

- Boże, wybacz mi - powiedział cicho.

6.

Kabina pasażerska SSTO. 14:38.

- Wszystko w porządku, Doc? - Carpenter przechylił się przez przejście i popatrzył z troską na Feinberga, którego twarz powoli nabierała barwy.

- Tak - głowa opadała mu na oparcie, oczy miał zamknięte. - Nic mi nie jest.

- Dobrze. Teraz trochę wyrównamy. Najgorsze za nami.

- Nie ma sprawy.

Nawet na moment nie otworzył oczu.

Rzeka Chattahoochee. 14:41.

Okolice Atlanty wyszły z ogólnej katastrofy prawie nietknięte. Tutaj zniszczenia były tylko czymś oglądanym w telewizji, rzutując na życie mieszkańców tylko jeśli mieli przyjaciół lub rodziny w niebezpieczeństwie, albo poprzez zerwanie linii telefonicznych i sieci komputerowej. Dlatego też, kiedy Frieda Harmon usłyszała strzały, pod telefonem 911 wciąż jeszcze byli ludzie. Jej sąsiadka Harriet leży przed swoimi drzwiami frontowymi, krwawiąc obficie, na ulicy jest jeszcze jeden mężczyzna, najwyraźniej martwy, przyślijcie ambulans. Tak, widziała kto to zrobił, dwóch mężczyzn z białego wana, którego zaparkowali koło kurortu Golden Apple, zamkniętego od dwóch miesięcy. Pospieszcie się, proszę.

I nie, wana już nie ma.

Ambulans i policja przybyły w kilka minut. Szybko zabrali Harriet do szpitala, otoczyli ulicę taśmą i spisali zeznania Friedy.

Jak wyglądali zabójcy?

Podawała im w miarę szczegółowy opis. Ten, który zabił mężczyznę na ulicy był wysoki, około czterdziestki, imponującej postury, poruszał się, jakby był właścicielem tego miejsca. Drugi, szczupły, zwarty, może trzy-

dziestoletni, trudno powiedzieć, w ciemnoniebieskiej kurtce. Lekko łysiejące czarne włosy. Wyglądał jak opryszek.

Nie była pewna, który strzelał do Harriet, ale sądziła, że ten duży. Aha, jeszcze, mieli na sobie wojskowe hełmy. Nie, nie mundury, tylko hełmy.

Mieli ze sobą coś, co wyglądało jak rakiety. Albo pociski, Wyglądało to jak pociski. Leżały na ziemi, kiedy zobaczyła ich po raz pierwszy. Po strzelaninie zabrali je i wsadzili do wana.

Nie, przykro jej, ale nie zapisała numeru rejestracyjnego. Oczy ma już nie te, nie miała okularów i wszystko wydarzyło się tak szybko.

Policja zidentyfikowała ciało Jacka Gallaghera, przepuściła jego nazwisko przez NCIC²¹. Nic. Nie był notowany.

Dowiedzieli się, że Gallagher mieszkał w Staunton w Wirginii. Wysłali tamtejszego policjanta, żeby zawiadomił wdowę i otrzymali stamtąd informację, że Gallagher należał do milicji.

Po kilku minutach wypłynęło nazwisko Steve Gallaghery. Pokazali jego zdjęcie Friedzie, która nie była w stanie go zidentyfikować.

- Był za daleko - powiedziała.

Sprawę w Atlancie prowadził detektyw Joe Calkins. Wykonał kilka telefonów by dowiedzieć się czegoś o tej milicji, potem sprawdził Steve Gallaghery, który też okazał się nie notowany. Kiedy siedział w nieoznakowanym samochodzie, zastanawiając się nad zabójstwem, kolejny SSTO z rykiem wzniósł się w niebo.

Włączył radio.

- Rozesłać list gończy: dwóch białych w białym, nowym modelu Forda wana, prawdopodobnie tablice rejestracyjne z Wirginii....

Podał wszystkie posiadane dane dyspozytorowi, a potem dodał:

²¹ *National Crime Information Center = Narodowe Centrum Informacji Kryminalistycznej (przyp. tłum.)*

- Lepiej zadzwonić do Hartsfield. Powiedzcie im, że ktoś może chcieć zestrzelić jeden z ich samolotów.

Terminal Skyport. 15:27.

- To jest to - Carpenter zatrzymał się przy iluminatorze i pokazał na pudełkowaty pojazd dokujący obok *Tokyo*. Przy SSTO wyglądał jak karzełek.

- Chyba bylibyśmy bardziej bezpieczni pozostając w samolocie - skomentował Feinberg.

- Zaufaj mi, Wes - powiedział Carpenter. - Samolot będzie ciągnął zakotwiczenia przy pełnej mocy silników. Jeśli się urwie... - wzruszył ramionami. - Mabry może nie jest piękny, ale ma o wiele większe szansę wrócić.

Rzeka Chattahoochee. 16:01.

Rzecz, która zaczęła się jako przygoda, stała się ponurą koniecznością. Steve wiedział, że nietrudno będzie powiązać Jacka z Legionem, a w konsekwencji z nim. Jedyną szansą ratunku dla niego stała się likwidacja policji, zniszczenie państwa, które wysyłało tych durniów by polowali na niewinnych obywateli. W gruncie rzeczy rozumiał, że w tym przypadku może nie jest tak do końca niewinny. Lecz zrobił tylko to, co musiał.

Drogą do zniszczenia państwa, było zestrzelenie jednego z samolotów orbitalnych.

Jak dotychczas naliczył trzy starty. Jeszcze dużo czasu na wykonanie zadania.

Znajdowali się teraz kilka mil na południowy zachód od rzeki, coraz bliżej granicy zasięgu pocisków Cobra, wciąż szukając miejsca, z którego mogliby je wystrzelić. A właściwie kto by próbował powstrzymać dwóch uzbrojonych ludzi? Wtedy zobaczyli Dom Pogrzebowy Munsona.

Stał na niewielkim wzniesieniu, jakieś pięćdziesiąt metrów od ulicy. Na parkingu obok znajdowało się około trzydziestu samochodów, kilka osób stało przed frontowymi drzwiami. Drugi plac z tyłu budynku był pusty, nie licząc kombi i czarnej limuzyny. Zasłaniał go rząd cienkich drzew. Akurat wystarczający, żeby ich zamaskować.

Lotnisko Hartsfield, ochrona. 16:03.

- Panie Martin, policja na linii.

Rob Martin skrzywił się i podniósł słuchawkę.

- Ochrona. Czym mogę służyć?

- Cześć, Rob.

Poznał ten głos natychmiast. Należał do Oscara Tate, byłego agenta FBI, który był teraz szefem detektywów w gminie Fulton.

- Cześć, Oskar, co masz?

- Paru typków z milicji, jak sądzimy z wyrzutnią rakiet. Mogą chcieć spuścić jeden z waszych samolotów.

- Ale sobie wybrali moment.

Martin niemal usłyszał wzruszenie ramionami.

- Wariaci są nieprzewidywalni. Tak czy siak, lepiej żebyś wiedział... - zawiesił głos.

- Tak, dzięki Oskar. Powiadom nas, kiedy złapiesz tych palantów, dobrze?

Popatrzył na zdjęcie Deltę 787 wiszące nad kanapą. Potem włączył drugą linię.

- Janet - powiedział - daj mi Wolfy'ego w LTA.

Kontrola tunelu startowego SSTO w Hartsfield, Atlanta. 16:05.

Wolfgang Bracken podniósł słuchawkę przy pierwszym dzwonku.

- Służba pomocnicza - zgłosił się.

- Wolfy? - głos Roba Martina. - Dostaliśmy informację od policji, że gdzieś tam może się pętać ktoś z rakieta ziemia-powietrze, próbujący zestrzelić SSTO.

Bracken zaklął szpetnie.

- Na ile jesteś tego pewien?

- Gliniarze nie wiedzą. Ale sądzę, że powinienesz za wiesić starty dopóki się nie rozejrzą po okolicy.

- Dzięki Rob - Bracken był krępym, niskim mężczyzną o ciężkich, ciemnych brwiach, szczękach jak u buldoga i czaszce całkowicie pozbawionej włosów. - Właśnie jeden samolot wyprawiliśmy w drogę.

Kokpit SSTO Los Angeles. 16:06.

Ben West był jedynym pilotem LTA, który nie latał na myśliwcach. Zaczynał w firmie transportowej ojca na południowym zachodzie, wykazał się zdolnościami pilotażowymi, co w końcu doprowadziło go do stanowiska oblatywacza w Allied, gdzie latał pierwszym prototypem SSTO, Alfa-6. Był jedynym pilotem SSTO, którego zaproszono do pracy.

Ben był Afroamerykaninem, rozwiedzionym, dwoje nastolatków. Znakomicie grał w brydża, dwukrotnie reprezentował Stany Zjednoczone na arenie międzynarodowej. Dzieci uczyły się dobrze, a po sześciu latach w końcu znalazł kobietę, która potrafiła wzbudzić w nim właściwe emocje i wypełnić mu życie. Podobnie jak pozostali ochotnicy Operacji Tęcza, miał bardzo osobisty stosunek do tego, co próbowali uratować.

Jego inżynierem pokładowym była Tina Hoskin, mająca osobowość doktora Jekylla i Mr. Hyde'a. Na pokładzie samolotu orbitalnego stanowiła przykład spokojnej sprawności i stosownego zachowania, za to po pracy zrażała do siebie ludzi i od czasu do czasu *obrażania*, przelożonych. Narobiła sobie stanowczo za dużo wysoko postawionych wrogów i Ben wiedział, że nigdy nie awansuje. Czasami zastanawiał się czy mądrze jest latać z nią, mając świadomość, że wielu ludzi modliło się, żeby jej samolot spadł.

Drugim pilotem była Harmony Smith, atrakcyjna, chłodna profesjonalistka. Wśród personelu latającego tylko Ben nie latał na myśliwcach, a ona jedyna siedziała kiedyś w więzieniu. Przemyciała broń, po sześciu latach służby w lotnictwie jako pilot. Wróciła, a kadrowcy Administracji Transportu Księżycowego mieli wystarczająco dobre zdanie o jej umiejętnościach, żeby dać jej drugą szansę. Nie zawiedli się.

Moje dwie desperatki. Zupełnie zrozumiały, że kiedy nastąpił kryzys nie wahały się pomóc dopaść Oposa.

Ten lot był z samej swej istoty bardzo silnym przeżyciem i Ben właśnie myślał jak silne żywi uczucia do obu tych kobiet, kiedy Harmony zameldowała niemal beznamytnie, że coś się do nich zbliża od tyłu. Szybko.

- Sądzę, że to rakietka - powiedziała drewnianym głosem.

SSTO był zbyt wielki, żeby zrobić unik.

- Odległość szesnaście kilometrów - meldowała.

- Zbliża się z prędkością dwóch machów. Mamy może trzydzieści sekund.

- Termoczuła?

- Nie wiem.

Wolałby poczekać aż obiekt zbliży się i wtedy zrobić jak najostrożniejszy zwrot i wyłączyć silniki. Lecz samolot orbitalny był zbyt wielki i zbyt trudny w manewrowaniu by czekać.

- Trzymać się - powiedział i skrzył ostro w lewo.

- Ben - odezwała się Tina - dostaliśmy właśnie ostrzeżenie z wieży. Mamy uważać na rakiety.

- Dobrze - potwierdził Ben. Policzył do pięciu i wyłączył silniki.

- Dwadzieścia sekund - zameldowała Harmony.

- Zwraca się w naszą stronę.

- Potrzebne nam odbijacze dipolowe - rzuciła Tina.

Chmury cienkich pasków metalowych standardowo używane były przez myśliwce do oślepienia rakiet.

Ben włączył mikrofon.

- Wieża - rzucił. - Tu L.A. Znaleźliśmy waszą rakiety.

- Widzimy ją, Ben. Ostrzeżono nas, że kręcą się tu jacyś wariaci z wyrzutnią.

- Pięć sekund - zameldowała Tina.

- Dopadła nas - powiedział im.

Rakietka eksplodowała tuż za prawym silnikiem. Samolot ostro szarpnął się w lewo. W kokpicie zapaliło się mnóstwo lampek ostrzegawczych. Ben walczył o odzyskanie sterowności, w każdej chwili oczekując pęknięcia przewodów paliwowych i eksplozji zbiorników. Nic takiego nie nastąpiło.

Wieża wciąż mówiła coś do niego.

- Wciąż jesteśmy w powietrzu - zameldował do mi
krofonu. Potem do Tyny: - Jeszcze jakaś?

- Zrozumiałam - odparła. - Jest jeszcze jedna, ale
nie znalazła celu. Nie włączaj silników.

Ben przełączył skrzydła na ręczne sterowanie i wy-
sunął je na pełne trzydzieści osiem stopni, żeby zapew-
nić sobie jak największą siłę nośną.

- Prawy silnik nie działa - oznajmiła Harmony.

- Mamy też kłopoty z hydrauliką.

Tina uniosła zwiniętą pięść.

- Rakieta przeszła obok - zameldowała. - Niebo
czyste.

- Uwaga, włączam lewy silnik.

Otworzył zawory paliwowe i wcisnął zapłon. Silnik
ożył z rykiem.

Dzięki Ci Boże za to.

- L.A., co się dzieje?

Sterownica chodziła ciężko.

- Wieża, jeden silnik nie *działa*., hydraulika też
szwankuje. Nie jesteśmy pewni co jeszcze, ale mamy ste-
rowniść.

- Dacie radę wrócić? - w głosie z wieży wyraźnie
było słychać gigantyczną ulgę.

- Poczekajcie chwilę.

Wciąż tracili wysokość. Tina zrobiła szybkie oblicze-
nia, uniosła kciuk.

- Zrozumiałem - zameldował - ale musimy sięść za
pierwszym razem.

- Masz do dyspozycji całe lotnisko, Ben.

Samolot leciał ciężko, niezdarnie, wolno. Ben cały
czas musiał równoważyć ściąganie na prawo. W dodat-
ku gubili gdzieś paliwo.

Sprawdził podwozie i z ulgą zobaczył zielone świa-
telko gotowości.

- Nic nam nie będzie - powiedział.

- Może - ciemne oczy Harmony wpatrywały się
w jakiś punkt nad jego ramieniem. - Może nam nie.

7.

„Percival Lowell', kajuta prezydenta. 16:17.

Kerr przekazał mu nowiny. Charlie zamknął oczy i usiłował opanować ogarniającą go wściekłość. Zaczynał powoli wierzyć, że gdzieś naprawdę uwolniła się jakaś zła siła, biały wieloryb pragnący wszystko zniszczyć.

- Dadzą radę go naprawić? - zapytał.

- Nie w czasie dwunastu godzin.

- W takim razie musimy znaleźć coś innego. Gdzieś musi być coś zabunkrowane. A co z producentami? Ja sna cholera, Al, ktoś musi coś mieć.

- Już się rozglądaliśmy. Allied ma dwa na wystawie w Paryżu i Berlinie, ale żadnego z nich nie da się przygotować do startu na czas.

- Jesteś pewien?

- Tak, jestem pewien, Charlie. Psiakrew, do jutra rana nie daliby ich rady nawet doprowadzić na lotnisko.

Charlie chciał usiąść, ale bez grawitacji była to niewygodna pozycja. Zaczynał nienawidzić nieważkości. Wydawało mu się, że od momentu opuszczenia Waszyngtonu tydzień temu, kiedy to wnętrzości usiłowały mu wydostać się przez przełyk, nic nie poszło dobrze.

- W porządku, Al.

- Co masz na myśli mówiąc „w porządku Al.”? Chcesz odwołać Tęczę?

- Odwołać? Nic innego nie mamy.

- Nie, to nie jest wszystko co mamy, są jeszcze ła dunki nuklearne.

Głowice atomowe. Teraz też, tak jak zawsze, były bronią, której nikt nie ważył się użyć.

- Dobrze - zdecydował. - Zrobimy tak: wyceluj je w to cholerstwo. Bądź gotów do odpalenia na mój rozkaz. Ale nie użyjemy ich, chyba, że w ostateczności.

- Charlie, według mnie to już jest teraz.

- Nie - zaprzeczył. - Jeszcze nie.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL 16:21.

- Dziś po południu dwóch ludzi zostało aresztowanych w kilka minut po nielegalnym wystrzeleniu przez nich rakiet ziemia-powietrze w kierunku samolotu orbitalnego startującego z lotniska Hartsfield. Twierdzi się, że co najmniej jedna rakiet trafiła w cel. Samolot wylądował szczęśliwie wkrótce potem. Nie było żadnych ofiar w ludziach, ale maszyna jest poważnie uszkodzona. Na ziemi znaleziono dwie zabite osoby, mężczyznę i kobietę, przygotowuje się oskarżenie aresztowanych o morderstwo.

Policja zidentyfikowała mężczyzn jako Steve'a Gallaghera i Thaddeusa Wicketta, obaj są ze Staunton, Wirginia, obydwaj są związani z prawicowymi oddziałami milicji. Gallagher kilkakrotnie występował w telewizji popierając ultraprawicowe działania. Nie podano żadnego motywu ataku.

Tymczasem władze kanadyjskie przygotowują się do lawiny uciekinierów opuszczających strefę przewidywanego uderzenia Oposa jutro wczesnym rankiem. Przejścia graniczne już są przeciążone. Źródła zbliżone do rządowych wciąż zaprzeczają jakoby Kanadyjczycy mieli zawiesić kontrolę celną na czas zagrożenia.

Sterownia „Percivala Lowella”. 16:27.

- Słyszał pan, panie prezydencie? - głos Feinberga brzmiał piskliwie.

- Słyszałem. Po prostu będzie musiało nam wystarczyć sześć.

- Proszę o wybaczenie, sir, ale fizyka to nie polityka. Nie da się czegoś zrobić po prostu bardziej się starając.

Charlie siedział z przodu, razem z Rachel Quinn. Na zewnątrz powoli przesuwał się krajobraz Oposa.

- Wes, nie poddamy się.

- To nie ma najmniejszego znaczenia, czy poddamy się czy nie. Bez siedmiu statków rzecz się nie uda. Ale powinienem może zwrócić uwagę, że pan siedzi w jednym z nich.

Ten fakt wcale nie umknął uwadze Charliego. Podobnie jak Feinberg zaczynał zastanawiać się, czy „Percival Lowell” może zastąpić uszkodzony SSTO. Przykrył mikrofon i popatrzył na Rachel.

- Czy ten pojazd rozwinie taką samą moc jak samoloty orbitalne?

- Nie nazywamy tego mocą, panie prezydencie - od powiedziała. - Ale nie, tu nie jest potrzebny aż taki ciąg.

- Powinien wystarczyć - powiedział Feinberg, kiedy Charlie powtórzył mu jej komentarz.

- Okay - rzekł Charlie. - Poczekaj chwilkę, przełączę cię na głośnik, żeby i pilot mogła uczestniczyć w rozmowie.

Przerzucił przełącznik i głos Feinberga wypełnił kabinę.

- Musicie znaleźć sposób na przymocowanie „Lowella” do Oposa. Tak naprawdę to będzie on o wiele bardziej skutecznym silnikiem od samolotów, bo nie *zabraknie* mu paliwa po dwudziestu minutach. Jeśli byśmy mieli kilka takich statków w ogóle nie byłoby problemu.

Rachel przeciągnęła sobie palcem po gardle. Charlie skinął głową.

- Musimy o tym pogadać, Wes. Odezwiemy się - wyłączył radio i odwrócił się do pilot. - O co chodzi?

- Pamięta pan uszkodzony SSTO? Wysyłają go z jakimś wyposażeniem, którym spróbują go przymocować. Chyba jeszcze nie wylecieli ze Skyport. Może zasugerować im, żeby zabrali dodatkowy sprzęt i dla nas?

- Jasne - zgodził się Charlie.

Przekazała żądanie i odwróciła się z powrotem do niego.

- Jest w tym i ciemna strona, wie pan.

- Co takiego?

- Nie będzie łatwo nas odczepić. O ile wiem, haki SSTO mogą zostać odrzucone. Jeśli zrobi się pochyło, naciskają guzik i już ich nie ma.

- Mówisz, że...

- W naszym przypadku będziemy przymocowani do skały. Jeśli plan A nie zadziała, „Lowella” nie da się uwolnić.

Terminal Skyport. 16:36.

Technicy połatali dziury *Arlington*, wyczyścili i nasmarowali silniki oraz wymienili połamane anteny. Mówiło się trochę o usunięciu ogona i skrzydeł dla zmniejszenia obciążenia, ale w końcu uznano, że to zbyt duża robota. Uszkodzenia zewnętrzne, potrzaskane usterzenie ogonowe, różne wgięcia, rysy, pocięte podwozie pozostawiono w spokoju. Tym wszystkim można było się zająć później. Jeśli będzie trzeba.

Razem z inżynierem pokładowym Curtem Greenbergiem oraz drugą pilot Mary Casey, George udał się na spotkanie z Belle Cassidy i kilkoma osobami z operacyjnego by przedyskutować zadanie. Przejrzeli dane planowanego lotu, dostali przydział miejsca na Oposie. W czasie rozmowy George przyglądał się jak jeden z SSTO przybywa z Atlanty i miękko wsuwa się do doku.

Belle przedstawiła Jonathana Portera, inżyniera, który miał pomóc przymocować samolot. Porter był ciemnowłosym mężczyzną w średnim wieku, o wybitnie biernym zachowaniu. Wydawał się podenerwowany w obecności Belle i śmiał się za często. Głos miał piskliwy. To chłopak, pomyślał George, którego zawsze zostawiano na sam koniec przy wybieraniu składów. Wcale nie miał ochoty na obecność tego rodzaju człowieka na pokładzie. Ale Belle najwyraźniej nie miała żadnych wątpliwości.

- Mamy szczęście, że Jonathan nie odleciał z pozostawionymi - powiedziała spokojnie. - Daliśmy wam mnóstwo lin i haków. Jonathan zadba, żeby was porządnie zakotwiczyć. Potem zrobi to samo z „*Lowellem*”.

- „*Lowellem*”?

- Uhum. Jak mi się zdaje rzucamy do tej potyczki wszystkie posiadane siły.

Terminal Skyport. 21:45.

Wszystko poszło jak w zegarku. Pięć samolotów przyleciało z Hartfield, trzy ostatnie tylko lekko opóźnione przez atak terrorystyczny. Zatankowały i przeszły ostatni

przeгляд czekając na odpowiednią chwilę do startu.

Choć były własnością Administracji Transportu Księżycowego, stacjonowały na całej planecie. SSTO 702 był z Atlanty, 703 z Berlina, 704 z Londynu, 705 z Tokio, 708 z Moskwy.

Obecni na Skyporcie dziennikarze, których większość znajdowała się na Księżycu w czasie ceremonii przecięcia wstęgi, mieli swój wielki dzień. Sieci informacyjne były pełne wywiadów z członkami załóg, którzy wszyscy okazywali spokój i pewność siebie. Feinberg przewidywał sukces.

- Liczby to mówią - powiedział. - Pomijając możliwość kolejnego ataku szalonych terrorystów, jutro rano powinniśmy zobaczyć słońce wstające nad szczęśliwym Kansas.

CAŁONOCNY PROGRAM FRANKA CRANDALLA.

22:53.

- Mówię ci, Frank, zgadzam się z kobietą, która uważa, że to tylko kant mający na celu wyszarpanie forsy na kosmos. To wszystko. Żaden meteor nie spadnie tej nocy, bo nigdy nic takiego nie miało się zdarzyć. Ale Haskell przypisze sobie całą zasługę i mnóstwo pieniędzy podatków trafi do Lockheeda i LTA. Zapamiętaj moje słowa.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL 23:43.

Bruce Kendrick.

- Dzisiejszej nocy cały świat klęka pogrążając się w modlitwie....

■
.
■
■
■
-

Terminal Skyporcie. Północ.

Ostatni SSTO, 708 z Moskwy odsunął się od Skyporcie ze ściśle kontrolowaną prędkością. Niemal wszyscy ze stacji stali wzdłuż pokładu terminalu Apollo, skąd był najlepszy widok na start. Przez długi czas po zniknięciu świateł Moskwy, w ciemnościach niemal nikt się nie poruszył.

Rozdział dziesiąty

Bellwether

Wtorek, 16 kwietnia

1.

Sterownia „Percivala Lowella”. 0:03.

- Jest *Arlington*, panie prezydencie.

Rachel wskazała na ekran ponad wyświetlaczem przeciwnym, gdzie pojawiły się trzy punkty. Obiekty zbliżały się od tyłu, kończąc długą pętlę, która pozwoliła im na dopasowanie się do trajektorii *Oposa*. Z przodu była *Ziemia*, ogromna i bezbronna.

Dzięki Bogu. Charlie poczuł jak kamień mu spada z serca. Zbyt łatwo można było sobie wyobrazić jak to draństwo rozdziera różowiejące niebo planety, wyrzucając żyzną, brunatną glebę *Kansas* w górne warstwy atmosfery, roztopiając leżące pod nią skały.

- *Arlington jest* uszkodzony - mówiła dalej. - Obe rwał w drodze powrotnej z *Księżycy*.

- Mam nadzieję, że się nie rozleci.

- Nie sądzę by należało się tego obawiać.

- A pozostałe dwa pojazdy?

- *Promy*, panie prezydencie. *Aleksiei Kordeshev* oraz *Christopher Talley*.

Charlie podniósł kawę w milczącym salucie. Takie nazwiska nosili członkowie załogi *Rangera*.

Rachel odebrała następną transmisję. Dotknęła słuchawek, skinęła głową, potem włączyła głośnik.

- Tu *Arlington* - powiedziało radio.
- Miło was widzieć, *Arlington*.
- *Zrozumiano*. Ależ wielki sukinsyn, nieprawdaz?
- To prawda.
- Okay, jak sądzę czas się liczy. Mamy inżyniera i sprzęt. Siadamy i zamocowujemy się. Wy za nami, tak?
- *Arlington*, będziemy tuż za wami.
- Dlaczego siadamy razem z nimi? - spytał Charlie.
- Będzie im potrzebna wiertnia laserowa. Kiedy już skończą, zabierzemy część ich sprzętu, inżyniera i pole cimy przyczepić się na swoim miejscu.

Przerzuciła przełącznik na interkomie.

- Lee, jesteś gotów?

- Tak jest.

Przyglądali się zbliżającemu się *Arlington*. Feinberg wyznaczył mu miejsce na Równinie. Pilot podleciał blisko i oddał sterowanie komputerom nawigacyjnym, które zgrały kurs i prędkość z Oposem, potem rotację i koziółkowanie.

Statek dotknął meteoru w odpowiedniku lądowania w stanie nieważkości.

„*Lowell*” osiadł w pobliżu, Rachel powiedziała Cochranowi, że może wychodzić.

Luk *Arlington* otworzył się i wysunęły się zeń dwie postaci w skafandrach. Jedna zeszła po drabince. Druga, inżynier, zaczęła wypychać duże bębny, które trzeba było ściągnąć na powierzchnię przy pomocy liny. Po bębnach pojawiły się zwoje lin i pęki haków, długich na dwa metry. Cochran, *razem* z Saber i Evelyn, wydobyli wiertnic.

Lee i inżynier obejrzeni podłoże, zastanowili się i uzgodnili wybór miejsc. Przy pomocy wiertni wykonali cztery grupy otworów w gruncie. Potem wsadzili do nich haki, które rozsuwały się teleskopowo do długości dwunastu metrów.

- Te bębny, co to takiego? - zaciekał się Charlie.

- Poliment.

Poliment to pochodna cementu powszechnie używana w trakcie budowy na Księżycu.

Kiedy zespoły pracowały, Charlie odebrał telefon od brytyjskiego premiera, który przygotowywał oświadczenie i chciał wiedzieć, czy ma jakieś dobre wieści do przekazania. Charlie wyłączył głośnik, ale i tak treść rozmowy była oczywista dla Rachel, która przyglądała mu się współczująco. Właśnie myśli sobie, że za żadne skarby nie wzięłaby mojej roboty.

- Jeszcze nic, Phil - powiedział. - Ale możesz powiedzieć, że operacja idzie zgodnie z planem i możemy sobie pozwolić na ostrożny optymizm - zastanowił się przez chwilę. - Nie, po prostu optymizm.

- Tak - powiedział premier. - Tak samo pomyślałem.

Kerr zadzwonił w chwilę później. Pojawiły się kolejne problemy, tym razem z bankami.

- Nie teraz - zaprotestował Charlie. - Nie mam czasu na handryczenie się z bankami.

- Niech go pan lepiej znajdzie, panie prezydencie - uciekanie się do formalnego języka rozzłościło Charliego. - Nie chciałby pan chyba uratować planety tylko po to, żeby walczyć z kryzysem gospodarczym.

Problem stanowiła utrata centrów finansowych wzdłuż obydwóch wybrzeży, a przede wszystkim w Nowym Jorku i Los Angeles. Należy uruchomić mechanizmy, które pozwolą funkcjonować systemowi monetar-nemu w czasie kryzysu. Czy prezydent zgodzi się na krótkoterminowe rozwiązania? Czy poprze nową Ustawę Odrodzenia Narodowego? (Powinniśmy to zrobić, skomentował Kerr.) W Senacie krążył pewien projekt, powiedział szef sztabu.

- Musimy sporządzić własną wersję.

- Fundusze na poradzenie sobie ze skutkami klęski żywiołowej zostały zatwierdzone przez izbę niższą i zaaprobowane przez Senat w trakcie sesji trwającej do późnej nocy. Dobrze byłoby niezwłocznie uzyskać podpis prezydenta - powiedział Kerr. Wszyscy w kraju, mający jeszcze dostęp do telewizorów lub komputerów, ob-

serwowali tę sprawę. - Musimy zrobić co się da, żeby wzmocnić przekonanie, że będzie jutro.

- Przefaksuj mi to - polecił Charlie. - Razem z komentarem twoim i Berta z Handlu. A także każdego, kto według ciebie powinien to zobaczyć. Jeśli mi się spodoba, podpiszę i prześlę ci natychmiast.

Były i inne telefony, kiedy w końcu uwolnił się od aparatu minęły ponad dwie godziny. Do tego czasu cztery potężne liny, jedna z przodu, jedna z tyłu i dwie pośrodku, mocowały samolot orbitalny.

W tym czasie Ziemia weszła i zaszła dwukrotnie, w bardzo odległych punktach horyzontu. Szybko się powiększała.

Usłyszał otwieranie i zamykanie śluzy.

- Koniec - powiedział Cochran. - Mamy naszego pasażera.

Rachel skinęła głową.

- Inżynier z *Arlington* jest na pokładzie - wyjaśniła Charliemu. Potem: - Startujemy!

Powierzchnia meteoru uciekła w dół, skała znów zaczęła się obracać.

- Zbliżają się *Tokyo* i *Berlin*, panie prezydencie - powiedziała. - Kawaleria się zjeżdża. Jest też następny prom z pańskim profesorem Feinbergiem na pokładzie.

Dobrze. Poczucie, że całkiem sam musi sobie z tym wszystkim radzić osłabło. Charlie popatrzył na migające na wyświetlaczu światełka i spytał w którym.

Rachel postukała w ekran palcem wskazującym.

- W Mabry - powiedziała. - Chyba też czas spętać naszego mustanga.

Odleciała „*Lowellem*” na mniej więcej kilometr, a potem okrążyła go, udając się na „Prowincję”, przesu- wając się nad zastygłą lawą dopóki czujniki nie powiedziały jej, że są już na miejscu. Skierowali się ku plateau.

Prom *Antonia Mabry*. 2:27.

Siedząc w kabinie pasażerskiej, która służyła jako siedziba dowództwa operacji, Feinberg zaczął powoli za-

pominać o swojej niedyspozycji. Patrzył na zewnątrz, na meteor.

- Byłoby dużo łatwiej, gdyby nie koziołkował - powiedział. - Pierwszym celem będzie zapewnienie pewnego stopnia stabilności.

Carpenter znał plan, ale rozumiał, że Feinberg mówi to dla siebie, przypominając sobie plany operacji, żeby upewnić się, czy przypadkiem czegoś nie przegapił.

Cała procedura miała być zbyt skomplikowana, żeby mogli ją przeprowadzić ludzie porozumiewający się przez radio i sterujący ciągiem ręcznie z pokładów samolotów. Dlatego też Mabry miał posłużyć jako centrum dowodzenia zbierające dane z siedmiu pokładowych komputerów nawigacyjnych i wysyłające instrukcje wprost do silników wszystkich statków.

Ponieważ istniała konieczność zorientowania Oposa tak, by jego długa oś zwrócona była wzdłuż toru lotu, statki trzeba było tak rozmieścić, żeby mogły zapewnić boczny ciąg większy niż zapewniały silniczki korekcyjne. Oznaczało to, że jakkolwiek wszystkie statki miały być skierowane z grubsza w tę samą stronę, czyli do przodu, to jednak nie całkiem równoległe do siebie nawzajem.

Feinberg długo rozmawiał z Rachel Quinn z „*Lowella*”, żeby upewnić się, że systemy pokładowe są zsynchronizowane. Potem powtórzył to z George'm Culverem na *Arlington*. Z innymi pilotami przećwiczył szczegółowo procedurę zgrywania systemów już na Skyport.

- Jedyne, co mnie niepokoi - powiedział w końcu, patrząc na Carpentera - to zużycie paliwa. Nie mamy ani grama zapasu.

Potrząsnął głową.

- Jeśli wyjdziemy z tego cało, należałoby poradzić prezydentowi, by serio zastanowił się nad stworzeniem flotyli statków z silnikami atomowymi. Technologia już istnieje. Wiemy jak to zrobić, pozostaje tylko je zbudować.

- Prezydent jest tu na górze - zwrócił mu uwagę Carpenter. - Możesz mu to sam powiedzieć.

- Już to zrobiłem - odparł fizyk. - Mam nadzieję, że do niego to dotarło.

- Panie Carpenter? - w interkombie odezwał się głos pilotki.

- Słucham, Rito.

Feinbergowi Rita wydawała się stanowczo za młoda i zbyt rozluźniona by mogła pilotować statek kosmiczny.

- Wszystkie samoloty się zgłosiły. Rosyjski jest ostatni w kolejce. Podają przewidywany czas przybycia na czwartą.

Carpenter potwierdził odebranie wiadomości. Feinberg wyjrzał na zewnątrz, na Oposa. Miał nieco melancholijny wyraz twarzy, ale nie powiedział nic.

Sterownia „Percivala Lowella”. 2:29.

- Do pana, panie prezydencie. Z Mabry.

Rachel przełączyła rozmowę i Charlie poczuł drgnięcie swojego zestawu nagłownego.

- Tylko Carpenter, sir.

Charlie go znał, miał kiedyś okazję z nim porozmawiać.

- Hello, Orły - przywitał się. - Miło, że obaj z Wesem jesteście z nami.

Cały kłopot był w tym, że sytuacja zasadniczo nie miała politycznego charakteru, Charlie nią dowodził a nie miał pojęcia co robi. Miał nadzieję, że Carpenter wie.

- Dobrze, że dolecieliśmy, panie prezydencie. Będziemy kierować całą operacją z Mabry. Pomyślałem sobie, że mógłby pan do nas dołączyć. Będzie pan miał stąd lepszy widok na wszystko.

„Lowell” właśnie dotarł na wyznaczone mu miejsce i Jonathan Porter, razem z całą grupą mającą zamocować statek, szykowali się do wyjścia. Charlie wyjrzał przez okno na ponadtapiane kopce otaczające maszynę. Słońce było przecięte horyzontem i wszystko rzucało długie cienie.

- Okay - powiedział. - Jak chcecie mnie zabrać?

- Możemy prosto ze służby.

- Kiedy?
- Za dwadzieścia minut. Ruszamy.
Charlie zauważył dziwną minę, błysk pogardy w oczach Rachel, który zniknął po ułamku sekundy.
- Orły?
- Tak, panie prezydencie.
- Jak sądzę, u was będę również bardziej bezpieczny, nieprawdaż?
Carpenter zawahał się.
- Tak - potwierdził. - Będzie pan.
Charlie skinął głową.
- Zostaję tutaj.
- To nie najlepszy pomysł, sir.
- Niemniej dziękuję. Nigdzie się nie ruszam.
Głos Carpentera zmienił się, pojawił się w nim ślad irytacji.
- Panie prezydencie, naprawdę proszę o przemyśle nie tej decyzji. Mam rozkazy...
- Możesz o nich zapomnieć - uciął Charlie.
Rachel popatrzyła na niego zagadkowo.
- Stąd mogę robić dokładnie to samo - *zakończył*,
- co z waszego statku.

2.

Na Oposie. 2:34.

Wycucie George'a Culvera nie myliło się co do Jonathana Portera: był zawsze wybierany ostatni, ustawiano go po prawej stronie pola i był dziewiątym pałkarzem. Wszystko w jego życiu wyglądało podobnie. Coś w jego zachowaniu powodowało, że oczekiwano od niego kiepskich rezultatów i zawsze dziwiono się, kiedy sobie znakomicie poradził. Cokolwiek to było, towarzyszyło mu też w dorosłym życiu.

Jonathan żył samotnie, ale nie z wyboru. Był jakby niewidzialny dla kobiet. Wysoka inteligencja nie przekładała się u niego na dowcip, nie miał nawet śladów

poczucia humoru. Nudził ludzi, wiedział o tym, więc nigdy nie pozbył się dziecięcej nieśmiałości. Cieszył się jednak szacunkiem przełożonych i właśnie dlatego nie odesłano go ze Skyport razem z innymi. Jeśli coś by się wydarzyło, on był najlepszy i zdawano sobie z tego sprawę.

Teraz miał wykorzystać swoją wiedzę do czegoś więcej niż tylko zatykanie przebieg poszycia na stacji. Nagle stał się integralną częścią najważniejszego przedsięwzięcia inżynieryjnego w historii. Sprawa uderzała do głowy. Jonathan był zachwycony z otrzymanej szansy i tylko dzięki niej powstrzymywał się przed zeskokiem z nadtopionej powierzchni Oposa.

Zanim wyszedł na zewnątrz, obejrzał dokładnie teren, przejrzał wyniki sondowań i doszedł do wniosku, że zadanie nie będzie zbyt trudne. Skład skały wokół *Arlington* satysfakcjonował go, tutaj, w miejscu wyznaczonym dla „*Lowella*”, już nie był tak pewien. Skała miała niemal gąbczastą teksturę. Stopiła się w trakcie kolizji, zmieniła w lawę, może nawet w plazmę, a potem ostygła. Dłonią w grubej rękawicy wciąż można by wyczuć ciepło.

Lecz statek miał się *znaleźć* właśnie tutaj. Inny inżynier mógłby zaprotestować, ale Jonathan podjął wyzwanie, rozejrzał się, wybrał miejsca na wtopienie haków i sprawdził gdzie na kadłubie najlepiej będzie zamocować liny.

Odmienne niż samoloty, „*Percival Lowell*” nigdy nie miał znaleźć się w atmosferze, lecz projektanci przewidywali, że ludzie będą wychodzić z niego w przestrzeni, więc wyposażyli jego powierzchnię w relingi, drabinki i mnóstwo występów mających pomóc w poruszaniu się wokół kadłuba. Dużo łatwiej będzie go zamocować niż samolot. Miał jedynie wątpliwości, czy grunt wytrzyma.

Zaznaczył kredą miejsca, w których zostaną zatopione haki. Miało ich być jedenaście. Wiedział, że wszyscy denerwowali się prowizorycznymi zakotwieniami, obawiając się, że albo „*Lowell*”, albo *Arlington* zerwie się z cum i potoczy się po powierzchni meteoru zabijając

wszystkich na pokładzie i doprowadzając do fiaska operacji. Ich obawy były uzasadnione: część zadania wykonywana przez Jonathana była krytyczna, choć z konieczności została zorganizowana niemal na chybił-trafił, w ostatniej chwili, przy wykorzystaniu tego, co akurat znalazło się pod ręką.

Reakcje George'a Culverta zirytowały go. Pilot, w prywatnej rozmowie, nie ukrywał przekonania, że jego samolot wyrwie się z więzów Jonathana kiedy tylko da pełny ciąg i zmieni się w kulę ognia turlającą się po powierzchni skały. Lecz inżynier dobrze wiedział, że zastosowane cumy są wystarczająco mocno połączone ze statkiem i mogą wytrzymać dziesięciokrotnie większe naprężenia niż te, jakie były w stanie wywołać jego pracujące pełną mocą podwójne silniki. Był absolutnie pewien, że jego liny i kotwice wytrzymają. Jeśli grunt nie puści, ani *Arlington*, ani „*Lowell*” nigdzie się nie ruszą.

Zaczęli pracę koło rufy „*Lowella*”. Kiedy wiertnia zmiękczyła grunt na odpowiednią głębokość, wcisnęli węń pokryty polimentem hak. Na sygnał z pilota, wzdłuż całego centralnego pręta wysunęły się kołnierze, zakotwicząc go dokładnie.

- Zastygnie mniej więcej za godzinę - powiedział inżynier. - Wtedy będzie potrzebny ładunek wybuchowy, żeby go ruszyć z miejsca.

Kiedy skończyli kotwiczyć haki, doczepili liny, przetrzucili je przez kadłub i licznymi klamrami, zaciskami i łącznikami zamocowali je na sztywno do statku. Po zakończeniu prac Jonathan cofnął się o kilka kroków, żeby podziwiać swoje dzieło.

Patrzył jak kobieta nazywana Saber obeszła maszynę dookoła, pociągając za cumy, jakby potrafiła cokolwiek z tego wywnioskować. Był to odpowiednik kopania w opony.

Pokład gospodarczy „*Percivala Lowella*”. 3:58.

- Zbliża się *Kordeshev*. Czas iść, moi drodzy - dobiegł z interkomu głos Rachel.

Jonathan, Doc Elkhart, kapelan i Evelyn zgromadzili się przy głównej śluzie, czekając na przejście do

promu. Musieli zejść z pokładu z kilku powodów: na pokładzie „*Lowella*” znajdowało się więcej osób niż skafandrow, a wszyscy obecni będą musieli mieć je na sobie w czasie akcji; stanowili obciążenie dla systemu podtrzymywania życia; i w końcu jeśli coś pójdzie źle, łatwo ewakuować pięć osób niż dziewięć.

Charlie, Saber i Morley uścisnęli im dłonie i życzyli wszelkiego dobrego.

- To była *niezła* podróż - zauważył Pinnacle.

Charlie skinął głową.

- To jeszcze nie koniec, Mark.

Evelyn ociągała się z puszczeniem jego dłoni. Uśmiechnął się do niej, uścisnął jej ramię.

- Był pan wspaniały, panie prezydencie - powiedziała.

Kilka minut później odlecieli i Morley cofnął się, żeby przygotować się do kolejnej transmisji. Saber została, ponieważ miała techniczne wykształcenie i w razie kłopotów mogła się przydać.

- Panie prezydencie? - odezwała się Rachel z kokpitu.

- Słucham, Rachel.

- Pan Kerr usiłuje się z panem skontaktować. Ro syjski samolot właśnie pokazał się na ekranach. Jeste śmy już w komplecie.

- Dobrze - rzekł Charlie. - Przełącz Ala.

Kolejne pytania, problemy z Narodami Zjednoczonymi, sprawy związane z aktem terrorystycznym na Środkowym Zachodzie, ogólne załamanie cywilizowanego stylu życia wszędzie w granicach obszarów objętych katastrofą. Siły porządkowe, tam gdzie jeszcze w ogóle istniały, były zbyt zajęte radzeniem sobie z ogólnymi zagrożeniami, żeby przeciwstawić się zmilitaryzowanym grupom. Kilka niewielkich miast na północnym wschodzie i w zachodniej Wirginii zostało nawet opanowanych przez ludzi usiłujących zostać lokalnymi dyktatorami.

- Nie możemy na to pozwolić - powiedział Charlie Kerrowi. - Ale teraz musimy robić wszystko po kolei. Powiedz gubernatorom, że mają nie ustępować ani o włos. Zapewnij ich, że otrzymają wszelką pomoc nie zbędą do zdławienia separatystycznych posunięć. Wy-

daj na ten temat oświadczenie w moim imieniu. Dziś wieczorem będę w domu i wtedy możemy zająć się poszukiwaniem sposobów działania. Tymczasem działaj, AL Wiesz, czego ja chcę.

- Okay, Charlie. Powiem im.

- Poczekaj jeszcze, dobrze? Czy wciąż rząd jest w Camp David?

-Tak.

- W jakim stanie jest Biały Dom?

- Woda spłynęła, ale jest zrujnowany.

- Masz na myśli co - dywany, meble, tego typu rzeczy?

-Tak. Byli tam ludzie z OSHA²². Uznali, że budynek nie jest bezpieczny. Minie kilka miesięcy, zanim będzie można tam pracować.

- Al - powiedział Charlie, - w tej chwili nigdzie na świecie nie jest bezpiecznie. Chcę, żeby dziś wieczorem Biały Dom zaczął działać. Kiedy wrócę, udam się tam.

- Ale Charlie...

- Mam gdzieś meble. Zadbaj tylko o telefony i światło. Niech sala operacyjna ruszy jak najszybciej. Podeprzy ściany kołkami, jeśli będzie trzeba. I dopilnuj, żeby nad budynkiem powiewała flaga.

Kerr westchnął.

Charlie uprzejmie wysłuchał serii pytań w kwestii politycznych spotkań, o które zwróciły się rządy innych państw, oświadczenia dotyczące polityki wobec obozów przesiedleńczych i różnych innych spraw. Odpowiadał najlepiej jak umiał i w końcu przerwał rozmowę ze swoim szefem sztabu.

- Muszę iść, Al. Wiesz co jest nam potrzebne. Zrób to. Tymczasem ja spróbuję zepchnąć ten kamień z drogi.

²² *Occupational Safety and Health Administration. Organizacja nieco podobna do naszego Sanepidu i BHP razem wziętych, tylko o szerszych zadaniach i uprawieniach, (przyp. tłum.)*

Kokpit SSTO Moskwa 4:04.

- Gospodin! - Dmitrij Pietrowik, drugi pilot *Moskwy* był w pesymistycznym nastroju.

Kiedy zbliżyli się do Oposa wszelkie rozmowy w kokpicie umilkły. Może jego widok przez okno to coś innego niż na ekranie, a może był po prostu zbyt wielki, kiedy porównało się go z małutkimi światełkami rozrzuconymi po jego powierzchni i błyskającymi tuż nad głową. Świetliki próbujące poruszyć połamaną płytę chodnikową.

- *Moskwa* - rozległ się głos Amerykanina - tu kontrola misji. Miło, że jesteście. Kierunkowy znacznik na nawigacyjny pracuje na kanale czwartym.

- Priwiet, kontrola misji - Grigorij Grigoriewicz Ilianik złapał namiar i oddał stery autopilotowi. - Mamy go.

- *Moskwa*, kiedy tylko się zakotwiczycie zaczynamy rock'n'rolla. Im szybciej, tym lepiej.

- Zrozumiałem. Będziemy gotowi za kilka minut.

Grigorij szarpnął za swój skafander. Był nieszczerliwy; czuł się niezdatny, było mu gorąco i swędziało go w miejscu, gdzie nie mógł się podrapać. Ale nakazano im przebywanie w skafandrach przez cały czas trwania operacji.

Hełm leżał obok.

Mroczny krajobraz skały wypełnił okna. Sunęli powoli wśród czarnych jak noc wzgórz i dolin.

Natasza Romanowna, jego inżynier pokładowy, wpatrywała się w mapę Oposa przewijającą się przez ekran nawigacyjny. Zielony trójkąt oznaczał wyznaczone im miejsce na „Równinie”, niedaleko *Arlington*.

- *Moskwa* - odezwał się głos z kontroli misji - zaczniemy kiedy tylko się zakotwiczycie.

- Śpieszy im się - powiedziała Natasza.

Grigorij popatrzył w przód, na zachmurzoną Ziemię.

- Ja tak i dumał - powiedział. - Wcale mnie to nie dziwi.

Moskwa zwolniła. Z lewej burty, w odległości jakichś dwustu metrów widział światła *Arlington*. Silniczki ko-



rekyjne zagrały krótko, osadzając ich na skale. Podwozie było wciągnięte, żeby nie przeszkadzało specjalnemu wyposażeniu podczepionemu do kadłuba przez techników w Hartsfield.

- Gotów? - spytała Natasza.

- Da.

Wdusiła czarny przycisk w nowo zainstalowanej skrzynce po prawej stronie jej konsoli. Otworzyły się komory podwozia, ale koła nie wysunęły się, za to dwa samokotwiczące się haki wystrzeliły ze swoich gniazd i wgryzły się głęboko w skałę. Z tyłu, gdzie odsunęła się niewielka pokrywa, wystrzelił trzeci.

Statek kosmiczny zadygotał od wstrząsów.

Natasza popatrzyła na swój ekran.

- Powinniśmy być już zakotwiczeni - zameldowała.

Grigorij wyczuł, że naprawdę stanowili jedność ze skałą.

- Jak je zwolnisz? - zapytał.

Natasza otworzyła niewielką kłapkę na żółtej skrzynce i pokazała mu przełącznik.

- Bardzo dobrze - dotknął mikrofonu. - Kontrola misji, tu *Moskwa*. Jesteśmy gotowi do rock'n'rolla.

Natasza popatrzyła na niego, zaskoczona amerykańskim wyrażeniem. Uśmiechnął się do niej szeroko w odpowiedzi.

- Wkrótce zobaczymy, nie?

Antonia Mabry, kontrola misji. 4:10.

- Wszystkie statki, tu kontrola misji. Przypominam, że w ramach środków ostrożności wszyscy znajdujący się na pokładach SSTO i „*Lowella*” powinni być teraz ubrani w skafandry. Za cztery minuty uruchamiamy program. Panie i panowie, włączcie silniki.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL 4:10.

- Tu Keith Morley z pokładu „*Percivala Lowella*”. Znajduje/ my się na powierzchni Oposa, który właśnie wchodzi w egzosferę. Zaczyna się ona mniej więcej na wysokości dziesięciu tysięcy kilometrów od Ziemi. Razem z nami jest tu sześć samolotów orbitat-

nych i trzy promy. SSTO i „Lowell” dosłownie zakotwiczyły się na Oposie i zaraz rozpoczną skomplikowaną sekwencję ciągów, dzięki której mają nadzieję, wszyscy mamy nadzieję, uda się wynieść tego zabójcę planet na wyższą i bardziej stabilną orbitę. Odliczanie się rozpoczęło. Pozostaniemy tu cały czas, mam nadzieję, że wy wszyscy razem z nami.

3.

Antonia Mabry, kontrola misji. 4:11.

Odmienne niż w przypadku lunobusów i promów, których silniki mogły tylko być *włączone* albo *wyłączone* i pracowały przy stałym ciągu, samoloty orbitalne i „Lowell” były zdolne do jego regulacji. Feinberg, w czasie minionych dramatycznych trzydziestu sześciu godzin pracował z inżynierami NASA nad sprowadzeniem celów misji do jak najmniejszej liczby niezbędnych operacji. Włączono je do planu i przekazano zespołowi specjalistów, który miał sporządzić odpowiedni zestaw instrukcji dla komputerów. Programy załadowano do pokładowych komputerów na Mabry i na *KordesheiAe*, żeby mieć kopię zapasową w razie, gdyby jakiś wypadek zdekapitował operację.

Program był samokorygujący się, miał obserwować skutki działań siedmiu statków przez czujniki zamontowane na wszystkich trzech promach i dopasowywać się do zmieniających się warunków. Jednym z niepewnych elementów, którego planiści się obawiali, uważając go przypuszczalnie za najbardziej niebezpieczny, była możliwość przegapienia błędu w oprogramowaniu, na przetestowanie którego nie było po prostu czasu.

Właśnie głównie to ryzyko zapluskwienia zaprzętało myśli Feinberga. Obserwował radiooperatora Mabry, który urządził się w kabinie pasażerskiej (na czas operacji nazwanej „kontrolą misji”) dla usprawnienia łączności. Rozmawiał nie tylko z innymi statkami, ale rów-

niez z Laboratorium Orbitalnym, które obserwowało operację z myślą o pozostałych naukowcach.

Wes Feinberg nigdy nie wątpił w swoje zdolności. Wyjechał z Massachusetts do Atlanty zachowując się powściągliwie jak zawsze. Koledzy życzyli mu szczęścia i otwarcie podziwiali jego opanowanie w sytuacji, którą postrzegali jako szczególnie napiętą. Zapewnił ich, że wszystko jest pod kontrolą. Ale zaledwie wzleciał w chłodne niebo Nowej Anglii poczuł pierwsze wątpliwości. W czasie konferencji w Hartsfield wręcz dzwoniły mu zęby. Powinien wziąć coś na rozdygotane nerwy, ale nie używał leków uspokajających, a przynajmniej od pogrzebu ojca, trzydzieści lat temu. Nigdy więc nie przyszło mu na myśl by sięgnąć do apteczki, a jeśli przyszło mu to do głowy teraz, odrzucił tę możliwość jako otwarte okazanie słabości.

Próbował skupić się na operacji, pamiętać kim jest i dlaczego ludzie pokładają w nim takie zaufanie. Przeliczał swoje wyniki kilkakrotnie, zupełnie jak człowiek cofający się z podwórka, żeby sprawdzić czy zamknął drzwi. Cały problem polegał na tym, że pomimo sondowań i analiz nie mógł być pewien wszystkiego. Na przykład oszacował masę obiektu. Oceniał rozkład masy. Koziółkowanie stanowiło czynnik który, nawet jeśli nie wprowadzał elementów chaosu, to można go było precyzyjnie ocenić tylko po dość długich obserwacjach, a nie na podstawie krótkiej serii obrazów, jaką dysponowali. Tak czy siak, w jego obliczeniach tkwiło zbyt wiele *założeń*, żeby czuć się spokojnie.

Mabry znajdował się w odległości stu kilometrów od Oposa, skąd łatwiej było dokonywać pomiarów jego ruchu wobec gwiazd odniesienia. Jeśli nie uzyskają pożądaných rezultatów, jeśli skała nie przyspieszy zgodnie z planem, albo niedostatecznie zmieni wysokość, Feinberg będzie musiał robić poprawki na kolanie. A to, zdał sobie ponuro sprawę, będzie przekraczało zdolności niemal każdego. Może jego też.

Sterownia „Percivala Lowella”4:12.

W przeciwieństwie do pilotów SSTO, którzy musieli oszczędzać paliwo, Rachel nie widziała powodów, żeby wyłączać swój reaktor. Siedziała przy sterach, mając w prawym fotelu prezydenta Stanów Zjednoczonych, patrząc prosto przed siebie na krajobraz, który po jakichś stu metrach podnosił się raptownie i przechodził w grzbiet przypominający nadchodzącą falę. Czowała się mocno niepewnie. Cały jej trening, wszystkie odruchy, szlifowane latami na wysoce skomplikowanych pojazdach, mówiły jej, że w momencie gdy komenda komputera z promu Orły Carpentera wciśnie gaz do dechy, „Lowell” z rykiem wyrwie się ze sznurków Jonathana Portera, rozedrze sobie brzuch na skałach i roztrzaska się o grzbiet.

- Dwie minuty - oznajmił głos z Mabry

Lee Cochran siedział za prezydentem, próbując sprawiać wrażenie rozluźnionego. Keith Morley został gdzieś z tyłu. Wszyscy byli ubrani w skafandry.

- Rachel, dobrze się czujesz? - zapytał Charlie.

To było ambarasujące. Oto siedziała tu obok polityka, spokojniejszego, cholera, od niej. Zastanawiała się, czy zdawał sobie sprawę co się stanie jeśli jonathanowa kolekcja klamerek i sznurowadeł puści.

- Jasne - odparła.

Pociągnął za pasy, próbując znaleźć jakąś wygodną pozycję w skafandrze, który, po prostu, był zbyt nieporęczny. Fakt, że był wysokim mężczyzną ani trochę nie pomagał.

- Czy możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie - poprosił. -Jeśli cała ta operacja prowadzona jest przez komputer promu, po co my tu w ogóle jesteśmy? Piloci, znaczy się?

- Jesteśmy kołami zapasowymi - odpowiedziała, - na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Tak czy siak, wątpię by ktokolwiek miał dość czasu na napisanie programu całkowicie zautomatyzowanego procesu. Odrobinkę się wszystkim spieszyło.

- Jedna minuta.
- Okay - ostrzegła. - Trzymaj się, Zaczynamy.

Kokpit Arlington. 4:13.

Silniki mruczały pocieszająco. Tydzień temu George cieszył się na wieczór w towarzystwie Annę Blink, bystrej, pociągającej blondynki, o absurdalnym nazwisku²³, która utrzymywała, że stanowi ono poważny kłopot i jak najpoważniej w świecie zamierza je zmienić, ale musi bardzo uważać, bo nie zamierza spędzić reszty życia nosząc jakieś równie zabawne, wśród ludzi usiłujących ukryć uśmiech przy wzajemnym przedstawianiu się. A prawdę mówiąc, George, Culver brzmi podejrzenie²⁴.

Tego wieczoru przedarł się przez wszelkie zahamowania i udało mu się zabrać ją do łóżka, pierwszy raz. Jedyny raz. Noc była pełna namiętności i śmiechu, doszedł do wniosku, że Annie jest dziewczyną w sam raz dla niego. W zeszły wtorek przyszłość wyglądała bardzo miło.

- Trzydzieści sekund.

Obejrzał się na Mary i Curta. Sprawdzali sobie nawzajem skafandry.

Wsluchiwał się we własny oddech. W hełmie czuł się odizolowany, samotny. Nad głową poruszały się światła; to jeden z promów; druga grupka świateł znajdowała się z prawej burty, na powierzchni. Samolot stacjonujący w Rosji. *Moskwa*. Trzeci, *Tokyo*, był daleko z przodu na „Równinie”. *Atlanta*, *London*, *Berlin* i „*Lowell*” znajdowały się na „Prowincji”.

Mary, która nader niechętnie okazywała uczucia, niespodziewanie sięgnęła ku niemu, uściskała go za przegub. Przez skafander ledwie poczuł jej gest. Popatrzył na nią, zobaczył, że jej wargi się poruszają.

²³ *Blink - mrugnięcie, (przyp. tłum.)*

²⁴ *Rzeczywiście: „culuer” to archaiczne bądź poetyckie słowo oznaczające gołębia, {przyp. tłum.}darzyć, w tej chwili był na to najlepszy moment.*

Tak. Jeśli boska interwencja w ogóle mogła się wydarzyć, w tej chwili był na to najlepszy moment.

Antonia Mabry, kontrola misji. 4:14.

- Zero.

Feinberg wduśił przycisk. *London* i *Tokyo*, samoloty znajdujące się najdalej z przodu na „Równinie” i „Provincji” dały pełny ciąg.

Jednocześnie Carpenter uruchomił program symulacyjny. Na głównym ekranie pojawił się obraz, jaki powinien być widoczny przy prawidłowych reakcjach Oposa; a na nim nałożony, czerwony obraz rzeczywisty. Dopóki nie ma rozbieżności pomiędzy białymi i czerwonymi konturami, wszystko będzie okay.

Napięcie w kabinie było tak wielkie, że Feinbergowi zrobiło się trochę słabo. Zaczął czuć się klaustrofobicznie, dałby wszystko, żeby znaleźć się w normalnym ciśnieniu. Żołądek uciskał mu serce.

Od opuszczenia Atlanty nie bardzo mógł jeść. Wszystko w środku mu protestowało. Żałował, że nie uparł się przy pozostaniu w AstroLab, gdzie na pewno byłby bardziej przydatny, nie czując się bezustannie chory.

Program uruchomił kolejne silniki, tu pełny ciąg, tam jedna czwarta. Dyrygował siedmioma zespołami napędowymi niczym orkiestrą.

W czasie zero plus jedna minuta koziołkowanie się zmniejszyło. Opos zaczynał się stabilizować.

Feinberg umieścił „*Lowella*” w tylnej części meteoru, żeby jak najpełniej wykorzystać możliwości jego jądrowego napędu. Mógł tam pracować niemal cały czas pełnym ciągiem, działając jak specyficzny silnik zaburtowy.

Ku zaskoczeniu wszystkich telefon milczał. Carpenter spodziewał się, że Haskell będzie na nim wisiął, domagając się informacji o sytuacji, marnując jego czas. Lecz aparat ani pisnął.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL. 4:15.

- Tu Angela Shepard sprzed Union Station w Chicago. Pomimo wczesnej pory widzicie ogromne tłumy zgromadzone

wzdłuż Jackson Boulevard. Ludzie wciąż uciekają z miasta, lecz wielu spośród tych, którzy zostali, skupia się teraz w centrum. Otrzymujemy sygnały o takim samym zjawisku na całym Środkowym Zachodzie, gromadzeniu się ludzi w oczekiwaniu na wynik Operacji Tęcza. Tutaj ulice są wypełnione tłumami, rozbrzmiewają dzwony, ruch zamarł. Lecz atmosfera wręcz przypomina festyn, zupełnie inaczej niż w czasie tych przerażających scen, których świadkami byliśmy w czasie weekendu w miastach na wybrzeżach, a nawet dziś wcześniej na Środkowym Zachodzie.

- Zupełnie jakby opanował wszystkich jakiś instynkt stadny. Ludzie, z którymi rozmawialiśmy byli dobrej myśli. Według naszego nieformalnego sondażu opinii publicznej uważających, że meteor uda się powstrzymać jest dziesięć ciekrotnie więcej niż pesymistów. Niektórzy przynieśli dzbanki i krowie dzwonki, przygotowując się do świętowania.

- Zdarzyła się pewna liczba aresztowań za niewłaściwe zachowanie, ale policja twierdzi, że to nie to, czego można by oczekiwać, nie ograbianie sklepów, tylko ludzie nieco przesadzający ze świętowaniem. Muszę powiedzieć, że to najdziwniejsza rzecz jaką widziałam w życiu. Przyjechalśmy tu dziś w nocy oczekując paniki a zastaliśmy to (Kamera robi długą panoramę załoczonej ulicy pełnej śmiejących się i śpiewających ludzi).

- Powiedziano mi, że jeśli Opos spadnie, będzie to widać stąd, na południowym zachodzie. Ciepła noc. Chmura po Księżycu zaszła i niebo jest krystalicznie czyste.

- Niemal każdy ma odbiornik telewizyjny, przewieszony przez ramię albo wciśnięty w tylną kieszeń. Chyba wszystkie sklepy są otwarte i telewizory są wszędzie. W tej chwili oglądam tę transmisję na ekranie w witrynie sklepu meblowego. Ci ludzie zaczęli się schodzić wczesnym wieczorem i kręcili się tu przez całą noc. Cokolwiek wydarzy się dzisiaj rana nie da się nie podziwiać ich odwagi. (Aplauz poza polem widzenia kamery).

- Oddaję ci głos, Don. Mówiła Angela Shepard z Chicago.

3.

Minot, Północna Dakota. 3:16 Centralnego Czasu Letniego (4:16 EDT).

Można by powiedzieć, że Minot miało we krwi nieco więcej stali niż przeciętnie miasteczko w Północnej Dakocie. Wśród jego mieszkańców było wiele rodzin żołnierzy z sił powietrznych, które stwierdziły, że co prawda nie mogą nic zrobić z niebezpieczeństwem zagrażającym z nieba, za to mogą zebrać się w dwóch szkołach podstawowych i otworzyć je dla setek zagubionych rozbitków nadciągających z południa. Teraz, mając w brzuchu trochę jajecznicy na boczku Marilyn Keep czuła się znacznie lepiej. Stała razem z mężem w niewielkim tłumku zgromadzonym przed audytorium szkoły podstawowej imienia Dwighta Eisenhowera, popijając kawę i jednym okiem zerkając na akumulatorowy telewizorek postawiony przez kogoś na krześle.

Większość personelu operacyjnego Sił Powietrznych była w akcji, dowożąc zapasy w dotknięte katastrofą okolice, ratując chorych i rannych, próbując zdziałać jak najwięcej. Lecz służby pomocnicze i rodziny wciąż były w Minot.

Marilyn pytano o Nowy Jork, opisała zalane ulice, poczucie izolacji na dachu, dziecko, któremu zamknęła drzwi przed nosem. (W porządku, powiedział ktoś, nie mogłaś nic zrobić).

W telewizji pokazywano zbliżenie jednego z samolotów orbitalnych. Dwie długie smugi ognia wydobywające się z bliźniaczych silników oświetlały ciemną skałę. Operacja trwała już dwie minuty i reporter twierdził, że wszystko idzie dobrze. Jak dotąd. Nawet jeśli nie, nawet jeśli się coś sypnie, na pewno są wystarczająco daleko na północ by nic im nie groziło.

Na pewno.

Pokład gospodarczy „Percivala Lowella”. 4:20. Zero plus sześć.

Tak naprawdę Keith Morley nie miał pojęcia jak się rozwija sytuacja. W rezultacie opowiadał co widzi, zakładając, że ma jakiś obraz operacji. Lecz dysponował tylko obrazami transmitowanymi z pojazdów kontrolnych, błyskami światła w ciemnościach, w zbliżeniach rozpoznawalne jako płomień rzygające z silników raketowych. Ale nie miał żadnej możliwości, żeby dowiedzieć się czegokolwiek na temat Oposa. Nie miał żadnego punktu odniesienia, który mógłby posłużyć mu do oceny ruchów. W gruncie rzeczy nie mógł być pewny, czy jakiegokolwiek widoczne poruszenia nie są wynikiem zmiany pozycji sensorów na krążących dookoła promach.

Próbował trzymać się blisko prezydenta, ale Haskell siedział z przodu, w fotelu drugiego pilota, był tam też Lee Cochran, więc dla Morleya zabrakło miejsca.

Lecz prezydent był jakby niezwykle nieświadom znaczenia mediów. Zadzwoił, powiadamiając Morleya, że na razie trzymają się planu, że to dobrze, ale wciąż brakowało mu prawdziwych szczegółów. Niemniej z grubszą wiedzą co powinno się dziać w trakcie operacji, więc zaczął zmyślać wydarzenia, zakładając, że wszystko idzie tak jak powinno, a gdyby coś było nie tak, powiedzieliby mu. Poza tym: jeśli się mylił, jeśli wyda się, że łągał jak pies, świat będzie miał większe problemy niż uganianie się za pechowym dziennikarzem.

- Koziołkowanie Oposa zmalało o około trzydzieści procent - powiedział ogólnoswiatowej publiczności.

Kokpit SSTO Berlin. 4:21. Zero plus siedem.

Mogło się okazać, że po prostu było zbyt wiele rzeczy, które mogły pójść źle, zbyt wiele ruchomych części, zbyt wiele założeń, zbyt wiele improwizacji.

Radiooperator z Mabry donosił, że Opos przyspieszał dokładnie według przewidywań. Gruder nigdy nie wątpił, że tak właśnie będzie. Zakładaj sukces, trzymaj się matematyki, bądź gotów na awarie i skup się na naj-

blizszym celu. Na tych zasadach zbudował swoje zawodowe życie. Zupełnie inaczej niż biurokraci, którzy ciągle powtarzali „coś za coś”.

Jak dotąd miał niewiele do roboty. Siedział w skafandrze, delektując się doświadczeniem i rozmyślając o przyszłości wypełnionej ludźmi pokazującymi go i mówiącymi: „Tak, to Gruder Miiller; był wśród tych, którzy odepchnęli Oposa”. Jeśli już nigdy więcej nic nie zrobi, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Mógłby umrzeć już jutro, a i tak odniósłby życiowy sukces.

Wspaniałe uczucie. Zawsze pragnął zostać bohaterem i właśnie mu się to spełniało.

- Zero plus osiem - oznajmił głos z Mabry. - Wektory wyglądają dobrze.

Załoga *Berlina* znajdowała się na Oposie od niemal trzech godzin i Gruder zauważył pewien wzorec w sposobie w jaki Słońce i Ziemia przecinały niebo mikroświata. Było zupełnie niemożliwe, poza bardzo ogólnym kierunkiem, powiedzieć gdzie zacznie wschodzić dane ciało niebieskie. Lecz zdołał wykryć prawidłowości czasowe. *Teraz* wszystko zaczęło się spóźniać. Dobry znak.

Widok do przodu zasłaniało niskie wzgórza, niewiele wyższe niż statek kosmiczny, po obu stronach kończą się urwiskami. Akurat kiedy patrzył, rąbek Ziemi pokazał się nad lewym zboczem.

Willem Stephan zerknął na wskaźnik paliwa. Zostało im go jeszcze na dziesięć minut pełnego ciągu. Program miał trwać jeszcze dziewięć minut. Idealnie. Stephan włączył interkom.

- Chyba zasłużyliśmy na porządny obiad po powrocie - powiedział.

Kathleen, siedząca obok niego, uniosła rękę w ostrzeżeniu przed przedwczesnym świętowaniem. Gruder za to myślał dokładnie tak samo jak pilot i uznał, że sauerbraten i piwo będą idealne na taką okazję.

Jedną z niewiadomych była spójność i stabilność skały. Feinberg został zmuszony do zrobienia pewnych założeń na podstawie odczytów czujnikowych i pobranych próbek, które wcale nie muszą ujawnić istnienia

szczelin i pęknięć naprężeniowych. Skała w okolicy *Berlina*, która stopiła się w trakcie kolizji z Tomiko nie zdążyła dostatecznie stwardnieć przed kilkoma kolejnymi zderzeniami. W rezultacie pojawiła się w niej sieć mikroskopijnych pęknięć. Bliźniacze silniki raketowe pracujące pełnym ciągiem powodowały skrajne obciążenie tych pęknięć. Teraz, kiedy Gruder widział oczami wyobraźni sauerbraten, jedno z nich puściło pod naprężeniem.

Lewoburtowy hak wyrwał się ze skały. Samolot gwałtownie przechylił się na prawą burtę. Willem natychmiast przełączył na sterowanie ręczne, chcąc wyłączyć obydwa silniki. Ale było już za późno. Rufowy hak też puścił, natychmiast wyrwał się też prawy. Samolot ruszył naprzód z rykiem po skałach i pełnym ciągiem wbił się we wzgórze. Obydwa zbiorniki paliwa eksplodowały i kula ognia wzbijała się w niebo.

4.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL. 4:23.

- ... kilka chwil temu. Władze jeszcze nie poinformowały jakie skutki dla misji będzie miała strata jednego z samolotów. Mamy nadzieję, Don, że proces był już na tyle zaawansowany, żeby pozostałe statki kosmiczne wystarczyły do dokończenia pracy. W tej chwili jeszcze nic nie wiadomo. Usiłujemy uzyskać jakieś oświadczenie. Tymczasem przenieśmy się na chwilę do Kitt Peak, gdzie astronomowie uważnie śledzą rozwój wypadków.

- Mówił Keith Morley z pokładu „*Percivaia Lowell*” zakotwiczony na Oposie.

5.

Antonia Mabry, kontrola misji. 4:24.

- Jesteś pewien?
- Tak, do cholery!

Feinberg, który zawsze szczyił się opanowaniem, słyszał jak piskliwy zrobił mu się głos. Był bliski łez. Sylwetki na ekranie rozdzieliły się i rozchodziły się coraz bardziej.

- Jeśli wciąż będziemy pchać... - nalegał Carpenter.
- Nie wystarczy. Tylko przesuniemy miejsce uderzenia na południowy wschód.
- Gdzie?
- Czy to w ogóle ma znaczenie? Obchodzi nas to?
- Tak, obchodzi.
- Dobrze. Niech będzie wschodnia Floryda, może Jacksonville. Przylądek Canaveral. Ocean. Kto to wie? Zadzwoił telefon.
- To będzie Haskell - powiedział Carpenter. Sprawiał wrażenie spanikowanego. - Co mu powiemy?
- Prawdę - rzekł Feinberg. - Proszę powiedzieć mu prawdę. A na razie sugeruję rezygnację z operacji.

Sterownia „*Percivala Lowella*”. 4:25.

- Czyli po prostu poddajemy się? - krew pulsowała Charliemu w skroniach.

Równomierne dudnienie silnika „*Percivala Lowella*” ucichło, kiedy przeszedł w stan oczekiwania.

- Nic już nie zdziałamy, panie prezydencie.
 - Dlaczego nie? Co nam szkodzi spróbować?
- Rozległ się trzask i na linii pojawił się Feinberg.
- Musi pan zaakceptować tę sytuację - powiedział.
- Nie da się już tego zrobić i tylko przesuwamy miejsce uderzenia na wschód. W stronę Atlantyku. Jeśli to draństwo wpadnie do oceanu, co już jest dość prawdopodobne, katastrofa będzie jeszcze poważniejsza.

Charlie załamał się.

- Mój Boże.
- Po prostu nic już nie możemy zrobić - oznajmił Feinberg.

- Wydaliśmy polecenie - odezwał się znów Carpenter - *Kordesheuowi*, żeby był gotów zabrać was, a *Talley* jest w drodze do załogi *Arlington*. Przygotujcie się do odlotu. Mamy tylko trzydzieści minut na akcję ratunko-

wą. Zamierzamy rozkazać pozostałym statkom odrzucić haki i zwiewać ile sił.

- Nie - zaciął się Charlie. - Czy nie mamy żadnego planu awaryjnego?

- Nie, sir, bardzo mi przykro. Zrobiliśmy co się dało. Zrobiliśmy wszystko co możliwe - to znów Feinberg rozeźlonym, ale obronnym głosem.

Kokpit chwiał się Charliemu przed oczami. Rozwinęła się w nim wrogość do Oposa, osobista nienawiść i pogarda. Wciąż jeszcze miał jedną możliwość, mógł zbombardować sukinsyna. Wziął głęboki oddech i upomniał się, żeby nie tracić głowy.

- Wciąż jeszcze mamy trochę czasu. Pomyślmy. Coś jeszcze musi być...

- Jeśli wpadnie pan na pomysł, panie prezydencie, będzie pan lepszy ode mnie. Na razie *Arlington* oraz pański statek są przymocowane do skały. Jeśli nie zabierzemy szybko załóg, w tym i pana, wszyscy zlecicie na dół.

- Na razie zostajemy - warknął Charlie. - Nikt nigdzie nie polecą, dopóki nie wydam rozkazu. Zrozumiano?

- Panie prezydencie - głos Carpentera. - Proszę...

- Bądźcie gotowi do akcji w razie potrzeby. Ale nie wcześniej niż powiem. Ale fizyka to nie polityka. Nie da się czegoś zrobić tylko bardziej się starając.

Przerwał połączenie i gapił się w czerwoną mgłę.

- Dobrze się pan czuje, sir? - głos Rachel.

- Nic mi nie jest - powiedział. - My nie jesteśmy w najlepszej sytuacji, ale mnie nic nie jest.

- Co się stało z *Berlinem*? Odstrzelony hak?

- Tak mi się zdaje. Ale nie wiem.

Skinęła głową. W kokpicie panowała cisza.

- Jest do pana całe mnóstwo telefonów, panie prezydencie.

- Nie teraz - zaprotestował.

RAPORT SPECJALNY TRANSGLOBAL. 4:26.

- ... wyłączyli silniki. Teraz cała flota SSTO oraz „Percival Lowell” wciąż są na Oposie, ale nic się nie dzieje. Bruce, próbowałem skontaktować się ze statkiem dowodzenia, którym jak wie-

cie jest Antonia Mabry, ale nie odpowiadają. Usiłuję też się do-
dzwonić do prezydenta Haskella. Muszę być szczery, w tej chwili
sytuacja tutaj przedstawia się nader ponuro.

Laboratorium Orbitalne na Skyport. 4:27.

- Poddali się - Windy Cross oparł łokcie na biurku
i ukrył twarz w dłoniach. - To koniec.

Tory siedziała jak sparaliżowana, słuchając mam-
rotania urzędów. Obrazy Oposa widniały na kilkun-
stu ekranach, *włączając* w to główny ekran z kontroli
Operacji Tęcza, na którym bliźniacze reprezentacje obiek-
tu, biała i czerwona beznadziejnie się rozjechały.

Andrea Bellwether usiłowała zwrócić na siebie uwagę.

- Mam Keitha Morleya - powiedziała. - Próbuje do-
wiedzieć się co się dzieje.

- Do diabła, my nic nie wiemy - powiedział Windy.

- Niech skontaktuje się z Carpenterem.

- Twierdzi, że Carpenter nie odbiera.

- I ma cholerną rację, Ja też tego nie zrobię - głos
mu opadł o oktawę. - Powiedz mu, że rzucili ręczniki
i należy zacząć wpadać w panikę.

- Sądzisz, że i tak jej nie będzie?

- W porządku. Niech inni też dostaną w tyłek. Nas
to już nie dotyczy.

Sterownia „Percivala Lowella”. 4:28.

- Mówią mi, że to niemożliwe, Al.

- Na miłość boską, Charlie, co my zrobimy?

- Nie mam pojęcia.

Rachel obserwowała Charliego jakby obawiała się,
że za chwilę dostanie ataku serca. - Nie wiem, Al. Jeśli
masz jakikolwiek pomysł, to świetny moment, żeby go
zdradzić.

- Posłuchaj, wciąż tutaj uprawiamy skomplikowany
taniec z prasą. Co mamy im powiedzieć?

Tak więc w końcu i tak skończyło się na tym sa-
mym,. Jakby to była wina Charliego Haskella, że świat
się skończy. Co ja chcę im powiedzieć?

Zapaliło się światełko połączenia.

- Carpenter - powiedziała Rachel. - Mówi, że to pilne.
- Sekundkę, Al - zmienił kanały. - Haskell.
- Panie prezydencie. Musimy się ewakuować. Proszę o tym, nie zapominać.

Charlie gapił się na polerowaną słuchawkę. W tej chwili najchętniej wpakowałby sobie nóż w serce.

Kokpit Arlington. 4:29.

- *Arlington*, przygotować się do ewakuacji.

George wsłuchiwał się w swój oddech, wzmocniony przez skafander. Z tyłu Mary odpięła pasy.

Nikt nie powiedział ani słowa. Powoli podnieśli się z siedzeń. Wyglądało to zupełnie jakby poruszali się w bardzo silnym ciężeniu.

CAŁONOCNY PROGRAM FRANKA CRANDALLA. 4:30.

- Jak wiecie dzisiejszą audycję poświęciliśmy próbom odpchnięcia Oposa. Mamy tu biuletyn i chciałbym, żebyście wysłuchali go uważnie. Cytuje się tu wypowiedzi naukowców z AstroLab, którzy twierdzą, że utrata jednego z samolotów oznacza, że meteoru nie da się powstrzymać. Jednak przewidywane miejsce uderzenia przesunęło się na wschód. Nikt nie chce powiedzieć konkretnie gdzie meteor spadnie, ale nieoficjalnie sugeruje się południowoschodnie Stany Zjednoczone, albo Karaiby. Bili Plant jest w tej chwili w AstroLab i za chwilę się tam przeniesiemy.

Chciałbym dodać, że zamierzamy skrócić to wydanie audycji. Jak wiecie, nadajemy z Miami i chcemy umożliwić ludziom dotarcie do ich rodzin. Dlatego też po sprawozdaniu z AstroLab, kończymy audycję. Spotkamy się jutro, o zwykłej porze. Mam nadzieję.

Stary Żołnierz się wyłącza.

6.

Labortorium Orbitalne na Skyport. 4:31.

Tory Clark nigdy nie potrafiła dokładnie określić, kiedy wpadła na pomysł. Wyglądało to tak, jakby już od obiadu czekał gdzieś tuż za granicami percepcji, od chwili

gdy usłyszała o trzech promach, które miały towarzyszyć SSTO na Oposie. *Kordesheu*. Mabry. *Talley*. Wszystkie noszące nazwiska członków załogi straconego *Ran-gera* Franka Bellwethera. I Andrea Bellwether, córka Franka, siedząca o kilka kroków od niej.

Bellwether.

Może cały problem Feinberga i całej reszty polegał na sztywnym myśleniu?

Wciąż jeszcze mógł być sposób.

Antonia Mabry, kontrola misji. 4:32.

- Nie, Tory - powiedział Feinberg. - To nie *zadziała*. Masa jest zbyt duża.

- Jest pan pewien?

Oczywiście, że był pewien.

- A co innego macie? - nalegała.

Feinberg nigdy nie lubił Tory Clark. Jak na jego upodobania była zbyt natrętna, a poza tym, jakie miała wykształcenie? Po prostu jeszcze jedna owieczka idąca za modą.

- Naprawdę nie mam czasu na kłótnie na ten temat.

- A na co ma pan czas, profesorze? Dlaczego by tego nie spróbować? Co mamy do stracenia?

- Co mamy do stracenia? Powiem ci, co mamy do stracenia. Już przepchnęliśmy go za daleko. Prawdopodobnie wpadnie do oceanu. Co więcej, aby spróbować twojego pomysłu, musielibyśmy poświęcić ludzi **na** statkach. Czy tego chcesz?

- Jeśli to *zadziała*, nic im nie będzie.

- To nie *zadziała*, Tory. Czego tu nie pojąłeś? - znów miał mokre oczy. - Dość już zniszczeń z naszej winy. Zostawmy to.

Przerwał połączenie.

Orly Carpenter wpatrywał się w niego.

- Czego ona chciała?

- Niczego.

Feinberg gorzko żałował zaoferowania swoich usług w tym przedsięwzięciu. Poniósł klęskę, to nie jego wina,

nikt nie mógł powiedzieć, że to on jest za wszystko odpowiedzialny. Ale nie miało to żadnego znaczenia. Jego odciski palców były wszędzie, na całej akcji. I jednak żywił jakieś nieuzasadnione przekonanie, że powinien był temu wszystkiemu zapobiec.

Laboratorium Orbitalne na Skyport. 4:33.

- Co powiedział? - spytał Windy.

-Nie.

- To wszystko?

Oczy Andrei pociemniały z gniewu.

- Jak mógł coś takiego zrobić? Ma lepszy pomysł?

- Twierdzi, że to tylko pogorszy sprawę.

- No cóż - poddał się Windy. - Próbowaliśmy. Nikt nie może powiedzieć, że nie próbowaliśmy.

- Niech to szlag - warknęła Andrea, - on się podda je. Ale to nie do niego należy decyzja.

Na jednym z ekranów telewizyjnych można było zobaczyć ludzi gromadzących się pod kościołem w Bostonie. Trzymali świece, kilkoro głośną modlitwą skłaniało ludzi do tego samego.

- Masz rację - powiedziała Tory. - To nie on tu decyduje.

Windy potrząsał głową.

- No to kto? - spytał.

- Niech cię cholera - prychnęła Tony - prezydent, tam na górze.

- Cudownie - mruknął Windy. - Zamierzasz do niego zadzwonić?

- Dlaczego nie? Wiemy gdzie jest - sięgnęła po telefon.

- Nie - zaprotestował Windy. - Czy masz pojęcie, w jakie kłopoty się pchamy?

Tory wcisnęła co trzeba. Odezwał się głos pułkownik Queen.

- Jestem na linii - powiedziała.

- Pani pułkownik, to pilne.

- Wszystko teraz jest pilne. Ustawię panią w kolejce.

- Muszę... - Andrea mówiła już do głuchego telefonu.

Andrea zacisnęła swoje małe pięści.

- Nie ma czasu na takie przepychanki. Może znam kogoś, kto może do niego dotrzeć.

Pochyliła się nad mikrofonem i uderzyła w klawiaturę.,

- *Kordesheu*, tu Laboratorium Orbitalne. Muszę rozmawiać z kapelanem Pinnacle. Natychmiast, jeśli można.

Sterownia „Percivala Lowella”. 4:34.

Charlie rozmawiał z Alem Kerrem, który balansował na krawędzi paniki. A Charlie nie miał mu nic do powiedzenia.

Rachel popatrzyła na niego i postukała w słuchawki. Kolejna rozmowa. Powiedział jej, że nie chce rozmawiać z nikim oprócz Carpentera i Feinberga.

- Poczekaj, Al - powiedział. Potem popatrzył na nią, zirytowany. - Kto to jest?

- Doktor Hampton chce z panem rozmawiać, sir.

Mój Boże.

- Powiedz jej, że później.

- Ona twierdzi, że to wyjątkowo pilne. Uważa, że powinien pan z nią porozmawiać.

Charlie skinął głową.

- Daj ją.

Antonia Mabry, kontrola misji. 4:37.

Dziewiętnaście minut do kolizji.

- Tak - przyznał Feinberg. - To jest możliwe. Ale to bardzo ryzykowne. Jeden Bóg wie...

- Zróbcie to.

- Panie prezydencie...

- Zróbcie to, niech was szlag!

- Nie jesteśmy przygotowani. Musimy wręcz zga dywać kolejność odpaleń. Jeśli popełnimy błąd, co bardzo prawdopodobne, możemy zabić wszystkich na całej planecie. Czy chce pan wziąć na siebie taką odpowiedzialność?

Przez przerażony umysł Charliego przelatywały kolejne obrazy: spaleni słońcem niewolnicy wlokący po-

teżne bloki po egipskiej pustyni; ludzie wymyślający religie by nadać sens schorowanemu, pełnemu przemocy, bezsensownemu życiu a potem sami podporządkowani tymże wyznaniom; kobiety bez większego powodzenia próbujące ucywilizować swoich mężów-traperów; wszyscy usiłujący sterować rządzącymi. Wszystkie bitwy, zarazy, wylewy rzek i spokojne lata, inkwizycja i daremność... Poświęciły się miliony, spośród których większość nie miała bladego pojęcia ku czemu zmierza nasza rasa. Teraz wreszcie wysiłki ludzkości zaczynają przynosić owoce. Kolizja z tym meteorem oznaczałaby zagładę tego wszystkiego, zepchnięcie ludzi z powrotem do jaskiń, konieczność ponownego stoczenia wszystkich bitew przeciwko wojnom, chorobom, przesądom, robienia wszystkiego jeszcze raz.

- Rozumiem - powiedział Haskell. - Biorę na siebie tę odpowiedzialność.

Kabina pasażerska SSTO Arlington 4:38.

Osiemnaście minut do kolizji.

George Culver otworzył klapę służby, Mary weszła do środka. Była zmęczona i przerażona. Na ekranie widzieli Christophera *Talleya*, zbliżającego się by ich zabrać. Curt oparł się hełmem o grodzie, nie chcąc wychodzić. George położył mu dłoń na ramieniu i skierował do służby-

- Popatrzcie - powiedziała Mary.

Oczy miała utkwione w monitorze. *Talley* oddalał się.

- Korekta wysokości - rzekł George.

Curt potrząsnął głową.

- Nie sądzę.

- *Talley* - odezwał się George - jesteśmy gotowi do wyjścia.

- Zrozumiano *Arlington*. Zmiana planów.

W kanale ogólnym odezwał się inny głos, spokojny, poważny. Prezydent.

- Panie i panowie - rzekł. - Mówi Charles Haskell. Potrzebna mi wasza pomoc. Widzieliście jak wielki jest ten meteor, wiecie co się stanie, jeśli spadnie - zrobił

pauzę, słyszeli jego oddech. -Wciąż mamy szansę go powstrzymać. Ale wymaga to od nas, nas wszystkich, żeby zostać tu troszkę dłużej. Przykro mi, że was o to proszę, ale nie mam wyboru. My nie mamy wyboru. Wszystko, o co się troszczyliśmy, wszyscy, których kochaliśmy, są w śmiertelnym zagrożeniu. I po prostu nie ma nikogo innego, kto mógłby nas zastąpić i zrobić to, *co trzeba*.

Antonia Mabry, kontrola misji. 4:39.

Siedemnaście minut do kolizji.

Feinberg włączył się na kanał ogólny.

- Wszyscy na ręczne sterowanie - polecił.

Opos wciąż obracał się wokół swojej długiej osi, raz na pięćdziesiąt trzy minuty i jedenaście sekund. Strategia postępowania wymagała, żeby „Równina” znalazła się u dołu, kiedy obiekt wejdzie w jonosferę.

Na nieszczęście w obecnej sytuacji miało być inaczej. Za jedenaście minut „Równina” miała znaleźć się w idealnej pozycji a potem zacząć się odwracać. Musieli osiągnąć dwa cele: przyspieszyć lot Oposa tak, żeby osiągnął górne warstwy atmosfery najszybciej jak się da; oraz spowolnić jego rotację.

- Wszyscy - powiedział Feinberg - dają pełny ciąg i utrzymują go. Wszystkie pojazdy mają ustawić lewoburtowe silniczki korekcyjne prostopadle do długiej osi i włączyć je na pełną moc.

Niewiele można było w ten sposób osiągnąć, ale jakąś składową rotacyjną *to* da, a *on* był zdecydowany wykorzystać wszystko czym dysponuje.

Pomyślał, że mógłby spróbować jeszcze innych rzeczy: manipulacji pomiędzy ciągiem trzech pojazdów - „Lowella”, Moskwy i Arlington - które były ustawione dokładnie wzdłuż długiej osi i pozostałych, zakotwiczonych pod różnymi kątami. Lecz na wyszukane manewry po prostu nie było czasu.

Carpenter jakby czytając w jego myślach spojrzał na wskaźnik zużycia paliwa. Potrząsnął głową.

- Nie wystarczy - powiedział. - Czy ma jakiegokolwiek znaczenie kiedy zużyjemy paliwo: teraz czy później?

- Teraz - odparł Feinberg. - Jak najprościej.

Równina zwracała się w dół, ku błękitnym oceanom i odległym, skrzącym się chmurom. Ale obracała się dalej.

- Musimy zwolnić obrót - rzekł Carpenter.

Feinberg przebiegł wzrokiem liczby i obrazy na ekranach, nie *znalazł* tam nic, zerknął przez okno, zobaczył tam światła *Talleya*, ujrzał „Samotne Urwisko” właśnie wyłaniające się zza horyzontu.

- Może i da się coś zrobić.

Mabry, *Kordesheu* i *Talley* zostały zaprojektowane do lotów wyłącznie pomiędzy LI i Skyport. Nigdy nie lądowały na powierzchni planety i nigdy nie musiały wydostawać się z dna jej studni grawitacyjnej. W rezultacie ich ciąg był nieporównanie mniejszy niż „*Lowella*” czy SSTO, jednak dysponowały sporą mocą.

- Dość, żeby spowolnić rotację? - zapytał Carpenter, który natychmiast połąpał się o co chodzi.

- Musimy zyskać tylko kilka minut - odpowiedział Feinberg. - Sprawdźmy.

Połączył się z pilotami trzech promów. Wyjaśnił, co chcą osiągnąć.

- Promy ustawiają się wzdłuż „Samotnego Urwiska”, *Kordesheu* po lewej, *Talley* po prawej. Znajdźcie dobre miejsce, ale rozstawcie się, spróbujcie utrzymać przy najmniej półkilometrową odległość pomiędzy pojazdami. Zróbcie to jak najszybciej. Oprzyjcie się dziobami i na mój sygnał dajcie pełny ciąg.

Jay Bannister, pilot *Kordesheua* potwierdził, a potem oznajmił, że to czyste wariactwo.

- Zużyjemy za dużo paliwa - powiedział. - Nikt z nas nie wróci do domu. Mam czworo pasażerów na pokładzie.

- Będą musieli zaryzykować razem z nami, Jay - odparł Carpenter. - Jeżeli nie odepchniemy tego bydlaka, nie będzie domu, do którego moglibyśmy wrócić.

Wtedy odezwała się Rita, z ich własnego statku:

- Nie jestem pewna, czy kadłub to wytrzyma. Ogromny minus stanowił brak regulacji ciągu, cecha wspólna promów i lunobusów. Silnik albo praco-

wał, albo nie. Toteż piloci musieli dotrzeć do powierzchni meteoru posługując się jedynie silniczkami korekcyjnymi.

- Dociśnijcie się do gruntu najmocniej jak się da - poradził Carpenter. - Znajdźcie możliwie płaską powierzchnię ściany.

Opos przyspieszał.

Zapaliło się światelko, radiowiec pokazał na nie palcem.

- Prezydent, sir - poinformował Carpentera.

Feinberg westchnął.

Carpenter słuchał przez chwilę, potem skinął głową.

- Jak na razie nieźle - powiedział. - Będę informował.

Za oknem widzieli teraz „Prowincję”, schodzili coraz niżej. Skały, wzgórza i wąwozy przesunęły się w tył. W przedzie Feinberg widział „Samotne Urwisko” rozciągające się w obie strony do horyzontu. Po lewej zachodziło Słońce. Mieli utrzymać je na niebie, zadbać by już nie weszło ponownie. Niczym Jozue.

- *Kordesheu* na pozycji - głos przebił się przez biały szum.

- Czekać - polecił Carpenter.

Feinberg patrzył na zegar.

Rita wyszukała na ścianie najbardziej płaski kawałek i przesunęła prom ku niemu. Jeśli mieli zachować jakąkolwiek szansę na przeżycie, ciąg musiał być dokładnie prostopadły do powierzchni klifu. Najmniejsza niedokładność mogła skończyć się fatalnie. Podsunęła pojazd starannie, zahamowała całkowicie ruch w przód i pozwoliła by ściana sama się do niej zbliżyła.

W kontroli misji poczuli lekki wstrząs.

- Gotowi - powiedziała Rita. - Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

- Możemy odpalać? - spytano z *Kordesheua*

- Jeszcze nie - rzekł Feinberg. - Musimy wszyscy razem.

Kilka sekund później odezwał się *Talley*. Mieli kłopoty ze znalezieniem płaskiej powierzchni.

- Skały tu są strasznie potrzaskane - powiadomił pilot.

Zajmowali miejsce po prawej stronie.

- Nie ma czasu na wybrzydzenie - rzekł Carpenter.

7.

Kokpit Talleya. 4:41.

Piętnaście minut do kolizji.

- Tu - zdecydował Ahmad.

- To nazywasz płaskim miejscem?

Pilot Oscar „Hawk” Adams był współwłaścicielem restauracji „U Mo” na Skyport i jedynym milionerem wśród personelu latającego.

- Nie sądzę, żebyśmy znaleźli tu coś lepszego - rzekł Skip Wilkowski, inżynier pokładowy. Potrzebny im był stosunkowo gładki kawałek skały, coś, o co można by oprzeć dziób. Lecz ta część „Samotnego Urwiska” była pełna dziur. - Musimy się zadowolić tym, co mamy.

- Sukinsyn - prychnął Adams. Powoli podsunął prom do urwiska.

Antonia Mabry, kontrola misji. 4:43.

Trzydzieści minut do kolizji.

Promy równocześnie uruchomiły silniki. Mabry wypełnił się zgrzytami i trzaskami, ale nie pękł, jak się obawiała Rita. Carpenter i Feinberg nie mieli czasu na ubranie się w skafandry, co i tak nie miałyby znaczenia gdyby coś się nie udało. Po kilku pełnych niepokoju sekundach Carpenter ponownie skupił się na danych nadchodzących z innych pojazdów.

- Wszystkie trzy pracują - powiedział. - Nie spodziewałem się, że te jednostki wytrzymają coś takiego.

Feinberg obserwował ekrany i myślał jak pięknie jest żyć. Zawsze bał się śmierci, ostatecznego zaniku światła i długiego skoku w niebyt. Postrzegał swoją śmiertelność jak osobistą czarną dziurę, wciągającą

go nieuchronnie przez kolejne dni by w końcu pochłonąć. Teraz, siedząc tuż obok potężnego silnika raketowego promu napierającego na delikatną konstrukcję i usiłującego za jej pomocą zatrzymać ogromną masę Oposa, zastanawiał się, czy przypadkiem już nie ześliznął się poniżej promienia strefy Schwartzschilda.

Nigdy nie miał wiary, która mogłaby go pocieszać, ani użytkowej filozofii mogącej odpędzić demony. Pierwszy raz w swoim życiu działał w sposób, który można by określić jako bohaterski. Podejrzewał też, że jego dzisiejsze działania zapewnią mu sławę. Jeśli wszystko się uda. Lecz jeśli zginie, jeśli nie będzie mógł odebrać jakiegoś tam medalu, o ile mu zostanie przyznany, to po co to wszystko?

W ciemności bulgoczącej jego strachem, szukał Obecności, Boga, który mógłby interweniować. Jeśli tam jesteś, wymamrotał, proszę, daj mi to przeżyć. Nie próbował żadnego układania się, nie czynił żadnych obietnic poprawy. Tylko prosił o pomoc. W tej chwili Feinberg był najbliższy modlitwie od ponad dwudziestu trzech lat.

Pokład gospodarczy „Percivala Lowella”. 4:46.

Dziesięć minut to kolizji.

Najbardziej frustrującym elementem całej sytuacji było dla Charliego poczucie, że nie może aktywnie uczestniczyć w wysiłkach, że tylko bezradnie siedzi na pokładzie „Lowella”, tak jak wcześniej siedział na pokładzie *Mikro*, obserwując rozwój wypadków. Miał bezpośrednie połączenie z kontrolą misji, lecz żałował teraz, że nie przyjął sugestii Feinberga - czy Carpentera? - by obserwować wydarzenia z Mabry.

Wycofał się z kokpitu, oddając miejsce Saber. Zupełnie jakby wiedząc, że nie może pomóc, nie chciał patrzeć.

Towarzyszył mu jedynie Keith Morley. Cały czas mówił do mikrofonu i kiedy Charlie wszedł, podniósł na niego wzrok. Dał milczący znak, że chciałby zadać pre-

zydentowi kilka pytań przed kamerą, lecz Charlie potrząsnął głową i opadł na fotel.

Tam, na przedzie, rosła lista telefonów do niego. Rachel miała już kolejkę liczącą kilkaset pozycji. Kilka odebrał. Dwadzieścia minut temu, kiedy zaczęły się kłopoty, z Charlie'm skontaktował się papież. Czy **im** się uda? zapytał. Charlie zaś odpowiedział, niezbyt dyplomatycznie, że można tylko zgadywać, a jeśli Ojciec Święty może mieć jakiś wpływ na przebieg wypadków, jest to najlepszy moment by go wykorzystać.

Odezwała się jego komórka. Sygnał z Mabry.

- Haskell - przedstawił się. Serce mu waliło.

- Dwa samoloty mają puste zbiorniki - głos Carpentera. - Ale mamy szansę. Trochę spowolniliśmy obrót. Feinberg to geniusz.

- Tak - potwierdził Charlie. - Jest naprawdę dobry.

Ale niech Bogu będą dzięki za tę kobietę z Laboratorium Orbitalnego. I Evelyn. Oraz, choć nie wiedział o tym, kapelana Pinnacle'a.

Kokpit Talleya. 4:50.

Sześć minut do kolizji.

Hawk Adams utrzymywał delikatną równowagę pomiędzy dziobem promu a potrzaskaną ścianą urwiska. Zasadniczą sprawą było tu precyzyjne zachowanie idealnego kąta prostego pojazdu w stosunku do skał. Nawet niewielkie odchylenie spowodowałoby, że ciąg połamałby konstrukcję statku, co skończyłoby się wepchnięciem przez silnik całej tylnej części do przednich przedziałów i zmiążdżeniem wszystkiego po drodze. Hawk nie potrafił przestać myśleć o takiej możliwości.

Tak naprawdę utrzymał prom w stabilnej pozycji dłużej niż wydawało mu się to możliwe. Lecz coś - zaburzenie przepływu paliwa, błąd komputera, coś - spowodowało chwilową zmianę ciągu. Koniec nadszedł tak szybko, iż Hawk nawet nie dowiedział się o pojawieniu się kłopotów.

Antonia Mabry, kontrola misji. 4:51.

Pięć minut do kolizji.

- Straciliśmy *Talleyal*
- Feinberg skinął głową. Carpenter popatrzył na ekrany.
- I co myślisz?
- Jeszcze nic.

Sterownia „Percivala Lowella”. 4:52.

Cztery minuty do kolizji.

Wentylatory skafandra ruszyły i chłodne powietrze owiało jej twarz.

- Zaczyna się robić gorąco - skomentowała Saber.
- Rachel skinęła głową.
- Będzie jeszcze cieplej.

Wchodzili w jonosferę. Statek nie był przeznaczony do lotów w atmosferze. Będzie się bardzo szybko nagrzewał.

Smugi światła, naładowanych cząstek wiatru słonecznego, padały na otaczające skały. Niebo zaczęło się robić różowe, gwiazdy zgasły.

Spośród SSTO tylko *Arlington* jeszcze miał ciąg. Oczywiście „*LoweWteż*”.

- Trzymaj się - powiedziała Rachel i włączyła interkom.
- Przypnijcie się, panowie, będzie rzucało.

Kokpit SSTO Arlington. 4:53.

Trzy minuty do kolizji.

Ostatki paliwa spłynęły do silników, które w chwilę potem umilkły.

- To jest to - rzekł George.

W ciszy, która ich teraz ogarnęła, było coś przerażająco ostatecznego. Byli naprawdę przykuci do skały, która najprawdopodobniej miała uderzyć we Florydę.

Znajdujące się z prawej burty niewielkie urwisko eksplodowało, odłamki poleciały w tył, znikając z pola widzenia.

- Atmosfera - powiedział George.
- Chwila prawdy.

Antonia Mabry, kontrola misji. 4:54.

Feinberg obserwował liczby przewijające się przez jego ekran. Czuł się otępiały, teraz nie był zdolny do niczego oprócz czekania. Nie miało to już żadnego znaczenia: wydarzenia toczyły się zbyt szybko, żeby możliwa była jakakolwiek ich analiza, dane zamazywały się, zmieniały w bezładny strumień poszatkowanych obrazów, fizycznych sił i czystego przerażenia. Wszystko zależało od tego, czy udało się uzyskać wystarczająco mały kąt i czy spód Oposa jest wystarczająco płaski.

Carpenter siedział nieruchomo, przypięty do fotela. Teraz, kiedy już nic nie zostało do zrobienia wycofał się do swojego wnętrza czekając na rezultat.

Pytania, żądania informacji jazgotały w interkomie. Brytyjczycy, Rosjanie, Japończycy, nawet ta nieprawdopodobna kobieta, Tory Clark, siedząca sobie bezpiecznie na Skyport, pytali:

- Udało się? Jak to wygląda?

Jak to wygląda?

Odezwiał się cichy pomruk. Podmuchy wiatru pojawiły się znikąd i zatrzęsły Mabry. Grodzie zatrzęszczały, burza zmieniła się w huragan. Feinberg został brutalnie wciśnięty w pasy. Kabina kiwała się i chwiała. Już czuli wzrost temperatury.

Prawie minutę trwało, zanim ich pilot odzyskała coś w rodzaju kontroli nad pojazdem.

- Zwiało nas z meteoru - zameldowała przez interkom. Jakby nie było to oczywiste.

Feinberg odczekał aż mu się żołądek uspokoi i włączył kanał ogólny.

- Tu Tęcza - powiedział. - Oceniamy sytuację.

I zaśmiał się. Ryczał z własnego dowcipu. Tak, dajcie mi dwie minuty i powiem wam dokładnie na czym stoimy.

Burza wciąż nimi miotła. Coś, kawałek skały, a może kawałek statku odbiło się z łomotem od kądłuba.

Laboratorium Orbitalne na Skyport. 4:55.

Nikt nie śmiał się odezwać. Lecz Tory obserwowała Oposa jak schodzi w dół, zalany słońcem, kierując się w stronę Atlantyku. Ciemny i nieskończony ocean rozciągał się za skupiskami światła wyznaczającymi południowowschodnie wybrzeże USA.

Skała powoli wchodziła w noc. Widziała jak jeden z promów, obydwa ocalałe promy, koziółkując odpadły od meteoru, który wciąż obracał się wokół swojej osi, otoczony płomieniami. Ciągnął się za nim pióropusz dymu.

Dym połyskiwał w czerwonym świetle. Ale jego smuga przestała wyginać się w dół, prostowała się!

Ocean powietrza zebrał się pod Oposem. Stworzył barierę.

Skała zaczęła wpadać w poślizg.

Jak kamyczek podskakujący na powierzchni stawu.

Opadły od niej płonące kawałki. Niektóre spadły z nieba, inne z rykiem wyskoczyły z powrotem w słoneczny blask.

Jak *Ranger*.

Pokład gospodarczy „Percivala Lowella”. 4:56.

Charlie Haskell nie potrafił się już zmusić do oglądania obrazów na ekranach. „*Lowell*” trząsł się, jakby miał się lada moment rozpaść, ryk silników wydawał się głośniejszy. Rachel wciąż próbowała, pomyślał, mierzyć się atomowym ogniem z bezwładną masą Oposa, usiłując wynieść go z atmosfery, odciągnąć go od delikatnej powierzchni planety.

Zalew głosów domagających się informacji o stanie akcji od kontroli misji utonął w ogólnym hałasie. Jeśli Feinberg nie odpowiedział w żaden sensowny sposób, mogło oznaczać to tylko jedno: że nie miał nic **do** powiedzenia. Zrobili wszystko co mogli, rzucili do walki całą flotę jaką dysponowała planeta. I to nie wystarczyło.

OPoK-38 z rykiem przeszywał niebo, Charlie leciał wraz z nim, on i trzydzieści kilka innych osób, niczym

Slim Pickens w starym filmie, skaczący okrakiem na bombie atomowej w swój cel.

Martwi.

Wszyscy byli martwi, a świat wraz z nimi.

Charlie zwykle skłaniał się ku optymistycznej interpretacji wydarzeń. To, że teraz poddał się i doszedł do wniosku, że wszystko stracone, łatwo było zrozumieć: ""Per cival Lowell" roztrząsał się na kawałki, otoczony płomieniami, Feinberg gdał coś niezrozumiale na kanale dowodzenia, a on sam po długim czasie spędzonym w nieważkości znów zaczął odczuwać siłę ciężenia.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że to ostatnie jest dobrym znakiem, że wskazuje na zmianę kursu meteoru. Czekał na ostatni, morderczy cios, pocieszając się jedynie myślą, że zrobił wszystko co było w jego mocy.

Czterdzieści osiem godzin, jego prezydentura będzie najkrótsza w historii, wręcz deklasując rekordowe trzydzieści jeden dni Williama Henry'ego Harrisona. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie będzie ostatnim prezydentem Stanów Zjednoczonych. Właśnie rozważał tę smętną możliwość, gdy zadzwoniła jego komórka. Wśród panującego chaosu dźwięk ten zabrzmiał niesamowicie prozaicznie, chłodno i zwyczajnie. Wyciągnął aparat z kieszeni.

- Haskell - przedstawił się, zdumiony jak spokojnie zabrzmiał jego głos.

- Panie prezydencie - to był Feinberg. - Gratuluję. Udało się nam. Opos odlatuje.

Charlie poczuł jak puls mu wali.

- Jesteś pewien?

- Tak, jestem pewien.

- Dzięki Bogu.

- Analiza nowej orbity zajmie trochę czasu. Musimy sprawdzić czy, i do jakiego stopnia Opos pozostanie za zagrożeniem.

- Ale dziś nie spadnie?

- Nie, panie prezydencie. Mogę zapewnić pana, że dziś nie spadnie.

Charlie rozłączył się, zamknął oczy i pozwolił sobie na rozkoszowanie się tą chwilą. Pływał we własnym pocię, czuł się szczęśliwy do szaleństwa. Nagle uświadomił sobie, że jest też głodny jak wilk.

- Niezłe przedstawienie, panie prezydencie - odezwał się głos Rachel.

Kilka minut później Charlie przemawiał przed całym światem przekazując wiadomości. Planeta zaczęła świętować w uświęcony tradycją sposób: rozdzwoniły się dzwony kościołów, zadudniły bębny, wybuchły fajerwerki, politycy rozpoczęli przemowy. W tej chwili Charles L. Haskell mógł zostać wybrany prezydentem całej planety, gdyby takie stanowisko istniało. Wiedział, że jego popularność niezawodnie zaprowadzi go do Białego Domu. Rozumiał też, że ta aklamacja potrwa tylko do pierwszych oznak kryzysu.

Ale ta myśl była niegodna chwilowego bohatera.

W kokpicie konsola łączności Rachel świeciła jak choinka. Dosłownie cała populacja Ziemi usiłowała się z nim skontaktować.

Pierwszą osobą, której wezwanie odebrał, była Evelyn.

Epilog

Wtorek, 15 kwietnia 2025

Nowy Biały Dom. Pokój stołowy prezydenta.

Na obiedzie byli notable z całej planety, świętujący pierwszą rocznicę wydarzenia, które wielu nazywało obecnie narodzinami Ery Kosmicznej. Lecz prezydent Haskell wolał myśleć o nim jako o długo oczekiwanych narodzinach Ludzkiej Rodziny. Oglądali mające rok nagrania wideo przedstawiające tłumy wiwatujące w Paryżu i Szanghaju, Jeruzalem i Kansas City kiedy Opos przeleciał przez niebo Florydy, ciągnąc za sobą płomie-nisty ogon, a potem zniknął sprzed ludzkich oczu.

Oczywiście nie na zawsze. Egzekucja została odroczone tylko na sześć lat, co oznaczało, że świat nie miał wyboru i musiał zadbać o realizację projektu Skybolt.

Pierwsza dama wzięła na siebie obowiązek organizacji budowy mauzoleum poświęconego pamięci ludzi, którzy oddali życie w trakcie wspólnej walki: załóg *Copenhagen*, *Rome*, *Berlina*, *Chństophera Talleya*, *Bigfo-ota* i *Tony 'ego Casawaya*.

Z katastrofy wyłonił się nowy świat. Los Angeles znikło, najprawdopodobniej na zawsze. Jezioro, które powstało w pustynnej części Kalifornii pomiędzy nadbrzeżnymi wzgórzami a górami na zachodzie, geologowie nazywali „tymczasowym”, ale mieli na myśli tysiąclecia. Nad jego brzegami już zaczęły powstawać nowe miasta.

Nikt nie wyszedł bez szwanku. Obciążenie budżetów narodowych wywołane przez zniszczenia zmusiło przywódców do międzynarodowych wysiłków nie mają-

cych odpowiedników w historii. Siły wojskowe straciły, przynajmniej na razie, swoją odwieczną funkcję. Nikt teraz, po wizycie Oposa, nie miał ochoty podnosić ręki na sąsiada. Ludzie całego świata ręką w rękę walczyli ze wspólnym nieszczęściem i w wyniku tego miała szansę powstać pomiędzy nimi nowa więź, przekraczająca wszelkie podziały narodowe i religijne, świadoma jednakiej wrażliwości na zagrożenia z zewnątrz.

Na swój ponury sposób kometa mogła okazać się błogosławieństwem.

Specjalnymi gośćmi na obiedzie w Białym Domu były Andrea Bellwether i Tory Clark. Prezydent nazywał je twórczyniami przetrwania, wiedząc, że Rick Hailey zaprobowałby ten termin. Tory powiedziała to co się zawsze mówi w takich wypadkach, wspomniała innych współtwórców sukcesu, w końcu zakłopotana usiadła przy burzy okłasków. Andrea powiedziała tylko, że ojciec byłby z niej dumny.

Feinberg zauważył potem, że historia zapamięta wykorzystaną technikę jako Manewr Bellwethera.

Później prezydent zaprosił obie panie na prywatne przyjęcie w Sali Kollandera, gdzie spędziły wieczór w towarzystwie Saber, Keitha Morleya, kapelana Pinnacle (który, wykazując się błyskawiczną orientacją, wybrał Evelyn Hampton do przekazania prezydentowi kluczowej informacji), Wesa Feinberga, Orły Carpentera, Jonathana Portera i załóg różnych pojazdów, które uczestniczyły w Operacji Tęcza. I oczywiście Pierwszej Damy, Evelyn Haskell.

Zaproponowano, żeby takie świętowanie urządzić co roku. Niestety, w przyszłym roku Rachel Quinn i Lee Cochran nie zdołają przyjść. Będą w drodze na Marsa.



Spis treści

Całkowite zaćmienie	9
Baza Księżycowa	51
Prognozy	67
Lot	121
Ewakuacja.....	165
Kolizja.....	225
Początek lawiny.....	313
Serce dzwonu.....	397
Fizyka i polityka	485
Bellwether	529
Epilog.....	571

AGENCJA

**to nie tylko wydawnictwo
ale także największa
księgarnia wysyłkowa w Polsce,
specjalizująca się w science fiction,
fantasy, horrorze.**

**Jej oferta obejmuje również filmy SF
na DVD, gadgety, komiksy.**

**Księgarnia organizuje liczne
akcje promocyjne,
sezonowe obniżki cen,
oferty antykwaryczne.**

**Agencja od 1984 roku organizuje
coroczny Festiwal Fantastyki,
który odbywa się w czerwcu
na zamku krzyżackim w Nidzicy.**

**SKONTAKTUJ SIĘ Z NAMI
10-693 Olsztyn, ul. Okulickiego 9/1
tel/faks (0-89)5413117
e-mail: apk-solaris@poczta.wp.pl
OTRZYMASZ BEZPŁATNY KATALOG**

OFERTA WYSYŁKOWA

Wszystkie poniższe książki możesz zamówić bezpośrednio u wydawcy. Cena zawiera koszt wysyłki i pobrania.

Dodatkowo otrzymasz jeszcze bezpłatny katalog księgarń i wydawnictwa.

POLSKA FANTASTYKA

Eugeniusz Dębski „Planeta Anioła Stróża”	23,00 zł
Marek Oramus „Arsenał”	22,00 zł
Marek Oramus „Rozmyślania nad tlenem”	24,00 zł
Marek Oramus „Senni zwycięzcy”	23,00 zł
Marek Oramus „Rewolucja z dostawą na miejsce”	28,00 zł
Mirosław P. Jabłoński „Duch Czasu”	23,00 zł
Stefan Otceten „Przechowalnia”	23,00 zł
Jerzy Grundkowski „Lancelot znad Renu”	25,00 zł
antologia „Wizje alternatywne #3”	33,00 zł
Marcin Wolski „THE BESTiarium”	31,00 zł

ROSYJSKA FANTASTYKA

Leonid Kudriawcew „Polowanie na Quacka”	29,00 zł
Leonid Kudriawcew „Prawo metamorfa”	29,00 zł
K.J. Yeskov „Ostatni władca Pierścienia”	28,00 zł
Kir Bułyczow „Wyspa dzieci”	26,00 zł
Kir Bułyczow „Przepaść bez dna”	27,00 zł

KANON SCIENCE FICTION

F.Pohl & CM. Kornbluth „Handlarze kosmosem”	23,00 zł
Frederik Pohl „Gateway - brama do gwiazd”	29,00 zł
Frederik Pohl „Za błękitnym horyzontem zdarzeń”	32,00 zł
Frederik Pohl „Spotkanie z Heechami”	32,00 zł
Frederik Pohl „Kroniki Heechów”	33,00 zł
Colin Kapp „W poszukiwaniu Słońca”	25,00 zł
Theodore Sturgeon „Więcej niż człowiek”	26,00 zł
Hal Clement „Misja grawitacyjna”	26,00 zł
Sarban „Dźwięk rogu”	20,00 zł
C.J. Cherryh „Czas ciąży”	33,00 zł
C.J. Cherryh „Hellburner”	33,00 zł
C.J. Cherryh „Stacja Podspodzie”	36,00 zł
C.J. Cherryh „Kupieckie szczęście”	26,00 zł
Brian W. Aldiss „Malacjański gobelin”	33,00 zł

ZAMÓWIENIA PROSZĘ SKŁADAĆ NA ADRES:

SOLARIS, 10-693 Olsztyn, ul. Okulickiego 9/1,

e-mail: apk-solaris@poczta.onet.pl, tel/faks (0-89) 5413117